

JEFF VANDERMEER

ZRODZONY



UCZTA WYOBRAŹNI

JEFF VANDERMEER

ZRODZONY

Przełożył Robert Waliś

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018**

Tytuł oryginału:
Borne. The Strange Bird

Copyright © 2016 by Jeff VanderMeer
Copyright for the Polish translation
© 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Projekt graficzny serii:
Piotr Chyliński

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66065-52-9

Wydanie II

Skład wersji elektronicznej:
pan@drewnianyrower.com

Zrodzony

Dla Ann.

Część pierwsza

Co znalazłam i jak do tego doszło

Natrafiłam na Zrodzonego pewnego słonecznego spizowego dnia, gdy olbrzymi niedźwiedź Mord włóczył się w pobliżu naszego domu. Dla mnie Zrodzony początkowo był tylko znaleziskiem. Nie wiedziałam, co będzie dla nas znaczyć.

Tamtego dnia nie wyglądał imponująco: ciemnofioletowy, mniej więcej wielkości mojej pięści, przyczepiony do futra Morda niczym przymknięty zabłąkany ukwiał. Znalazłam go tylko dlatego, że co około pół minuty jego fioletowe ciało rozjarzało się szmaragdowym światłem, jak latarnia morska.

Kiedy się zbliżyłam, zalała mnie wzbierająca fala słonej woni i przez chwilę nie otaczało mnie zrujnowane miasto, nie musiałam szukać pożywienia ani wody, a wokoło nie grasowały gangi ani zbiegłe zmienione stworzenia o nieznanym pochodzeniu i zamiarach. Zmasakrowane, spalone ciała nie zwisały ze strzaskanych latarni.

Zamiast tego, przez jedną niebezpieczną chwilę, miałam wrażenie, że ta rzecz, którą znalazłam, pochodzi z basenów pływowych mojej młodości, z czasów, zanim przybyłam do miasta. Poczułam słoną woń sprasowanych suszonych kwiatów, podmuchy wiatru i chłodną wodę obmywającą mi stopy. Długie polowanie na muszelki, szorstki głos ojca, melodyjna, wznosząca intonacja matki. Miodowe ciepło piasku, w którym zanurzałam stopy, spoglądając ku horyzontowi i białym żaglom statków, opowiadających historie o gościach spoza naszej wyspy. Jeśli kiedykolwiek mieszkałam na wyspie. Jeśli to kiedykolwiek było

prawdą.

Słońce miało kolor spróchniałego zęba, jak jedno ze ślepi Morda.

Żeby znaleźć Zrodzonego, przez cały ranek tropiłam Morda, od chwili gdy się zbudził w cieniu budynku Firmy, daleko na południu. Faktyczny władca naszego miasta uniósł się w powietrze i zbliżył do mojej kryjówki, by zaspokoić pragnienie. Rozwarł potężną paszczę i potarł pyskiem o koryto skażonej rzeki na północy. Nikt poza Mordem nie mógł napić się z tej rzeki i przeżyć; Firma tak go ukształtowała. Potem ponownie wzbił się ku błękitowi, morderca lekki jak pyłek dmuchawca. Gdy znajdował zwierzynę, daleko na wschodzie, pod gniewnymi bezdeszczowymi chmurami, nurkował z wysokości i pozbawiał oddechu wrzeszczące kawałki mięsa. Zmieniał je w czerwoną mgiełkę, kłębiącą się falę niewyobrażalnie cuchnącego oddechu. Czasami kichał od ich krwi.

Nikt, nawet Wick, nie wiedział, dlaczego Firma nie przewidziała, że pewnego dnia Mord zmieni się z psa podwórzowego w ich zgubę, i dlaczego nie próbowała go zniszczyć, póki wciąż miała taką możliwość. Teraz było za późno, ponieważ Mord nie tylko stał się olbrzymem, ale, za sprawą jakiegoś cudu inżynierii, którego dokonała Firma, nauczył się lewitować, latać.

Kiedy dotarłam do miejsca spoczynku Morda, on już niespokojnie spał, targany przypominającymi trzęsienie ziemi czknięciami, a jego udo wznosiło się wysoko nade mną. Nawet gdy leżał na boku, jego sylwetka sięgała trzeciego piętra. Oszołomiony po zaspokojeniu żądzy krwi bezmyślnie zwałił się na ziemię, burząc jeden z budynków tak, że zmiażdżone cegły rozsypały się wokoło, tworząc leże uśpionego potwora.

Mord miał pazury i kły, które mogły błyskawicznie patroszyć i unicestwiać. Jego ślepia, czasami otwarte nawet podczas snu, były jak pokryte zaschniętą warstwą much latarnie morskie, szpiedzy umysłu, który, jak uważali niektórzy, działał

w kosmicznej skali. Ale dla mnie, ludzkiej pchły stojącej przy jego boku, Mord przede wszystkim był źródłem dobrych łupów. Z sobie tylko znanych powodów niszczył i odtwarzał nasze zrujnowane miasto, a zarazem bezmyślnie je obdarowywał.

Kiedy rozwścieczony Mord wyruszał ze swojego leża, które wyźłobił w zranionym boku budynku Firmy, w jego nitkowatym futrze, skąpanym w brudzie, cuchnącym padliną i chemikaliami, zapłatywały się najróżniejsze skarby. Darowywał nam pakunki bezmiennego mięsa z nadwyżek żywieniowych Firmy, a czasami w jego futrze znajdowałam truchła nierozpoznawalnych zwierząt o jasnych wyłupiastych ślepiach i czaszkach rozsadzonych przez wewnętrzne ciśnienie. Przy odrobinie szczęścia niektóre z tych skarbów opadały z niego jak deszcz, gdy człapał po okolicy albo sunął wysoko w górze, a wtedy nie musieliśmy się na niego wspinać. W najlepsze, a zarazem najgorsze dni znajdowaliśmy żuki, które można włożyć do ucha, podobne do tych, jakie budował mój partner Wick. Zazwyczaj, jak to w życiu, nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać, więc tylko podążaliśmy za Mordem z pokornie pochylonymi głowami, licząc na to, że czymś nas obdaruje.

Wick zawsze mnie ostrzegał, że niektóre z tych przedmiotów mogły tam zostać umieszczone rozmyślnie. Mogły stanowić pułapkę. Odwrócenie uwagi. Ale ja znałam się na pułapkach. Sama je zastawiałam. Dlatego, gdy każdego ranka ruszałam w drogę, zgodnie z oczekiwaniami ignorowałam ostrzeżenia Wicka. Z myślą o własnym przetrwaniu podejmowałam ryzyko, po czym przynosiłam mu wszystkie znaleziska, aby mógł je przejrzeć, jak wyrocznia wróżąca z wnętrzości. Czasami odnosiłam wrażenie, że Mord ofiarowuje nam te przedmioty z chorego poczucia odpowiedzialności za nas, jego zabawki, nad którymi może się znęcać; czasami uważałam, że sama Firma kazała mu to robić.

Przyglądając się jego bokowi, rozmyślałam o tym, że wielu poszukiwaczy błędnie oceniło głębokość snu Morda i zostało uniesionych, a potem, nie mogąc się utrzymać, spadło i zginęło... podczas gdy nieświadomy Mord sunął jak głaz nad swoim

myśliwskim rezerwatem, miastem, które jeszcze nie zasłużyło na to, by odzyskać swoje miano. Z tych powodów zawsze ograniczałam się tylko do badawczych wypraw wzdłuż boku Morda. *Seethera. Theebera. Morda*. Miał wiele imion, które często brzmiały cudownie w uszach osób wypowiadających je na głos.

Czy zatem Mord naprawdę sypiał, czy był to podstęp, który zrodził się w wirującym toksycznym śmietniku jego umysłu? Tym razem to nie było takie proste. Ośmielona chrapaniem Morda, które potężnie wstrząsało jego grzbietem, przemieściłam się dalej wzdłuż jego biodra, podczas gdy inni poszukiwacze w dole wykorzystywali mnie w roli swojego szpiega. I tam, w gęstwinie brunatnego, szorstkiego futra przypominającego wodorosty, natrafiłam na Zrodzonego.

Leżał i cicho mruczał do siebie, przymknięty otwór na jego szczycie miarowo się rozchyłał, cielesne spirale na zmianę kurczyły się i rozszerzały. Wtedy jeszcze nie stał się „nim”.

Im bliżej podchodziłam, tym bardziej Zrodzony wyłaniał się z futra Morda, podobny do mieszanki ukwiału z kałamarnicą, niczym smukły wazon pokryty falującymi kolorami, od fioletu, przez granat po morską zieleń. Cztery pionowe wypukłości wspinały się wzdłuż jego cieplej, pulsującej skóry. W dotyku był gładki jak obmywany wodą kamień, chociaż nieco gumowaty. Pachniał jak sitowie w leniwe letnie popołudnie na plaży, a pod wonią morskiej soli krył się zapach passiflory. Dużo później zrozumiałam, że ktoś inny mógłby czuć w jego obecności inną woń, a nawet postrzegać inną formę.

Nie wyglądał jak pożywienie i nie był pamięciozukiem, ale nie sprawiał wrażenia bezużytecznego, więc go zabrałam. Nie sądzę, bym mogła się powstrzymać.

Wokół mnie ciało Morda unosiło się i opadało w rytmie oddechów, więc ugięłam kolana, by utrzymać równowagę. Niedźwiedź chrapał i drgał przez sen, odgrywając jakąś psychotyczną senną pieśń. Jego fascynujące ślepia – ogromne i żółto-czarne, pobrużdżone jak meteory albo strzaskana kopuła obserwatorium na zachodzie – były mocno zaciśnięte, a potężny łeb wyciągał się na wschód, nie przejmując się żadnym

zagrożeniem.

Zrodzony tymczasem był bezbronny.

Inni poszukiwacze, których w wielu przypadkach wiązały niechętnie rozejmy, zaczęli wspinać się po boku Morda, rozochoceni, podejmując ryzyko zanurzenia się w lesie jego brudnego, świętego futra. Ukryłam swoje znalezisko pod obszerną koszulą, a nie w torbie, by nie mogli łatwo go dostrzec lub ukraść, gdy będą mnie wyprzedzać.

Zrodzony pulsował przy mojej piersi jak drugie serce.

„Zrodzony”.

Imiona i nazwy już niewiele znaczyły, dlatego przestaliśmy o nie wypytywać, aby się nawzajem nie zadręczać. Mapa dawnego horyzontu nawiedzała nas niczym groteskowa baśń, a gdy o niej opowiadaliśmy, zamiast słów pojawiały się dźwięki, jakie zwykle następują po katastrofie. Anonimowość pośród ruin Ziemi, właśnie tego poszukiwałam. Oraz pary dobrych butów na chłody. A także starej puszki z zupą na wpół zakopanej pod gruzami. Te rzeczy przynosiły nam szczęście; jaką siłę w porównaniu z nimi mogą mieć imiona?

A jednak nazwałam go „Zrodzonym”.

Do kogo przyniosłam Zrodzonego

Nie ma co owijać w bawełnę: Wick, mój partner i zarazem kochanek, handlował narkotykami, a narkotyk, który sprzedawał, był straszny, piękny, smutny i słodki jak samo życie. Żuki, które Wick przerabiał albo budował z materiałów skradzionych z Firmy, po wsadzeniu do ucha nie tylko przekazywały wiedzę, ale także mogły usuwać lub dodawać wspomnienia. Ludzie, którzy nie potrafili stawić czoła terażniejszości, wpychali je sobie do uszu, aby doświadczyć szczęśliwszych wspomnień należących do kogoś innego, pochodzących z dawnych czasów i miejsc, które już nie istniały.

Narkotyk był pierwszą rzeczą, jaką Wick mi zaproponował, gdy go poznałam, i pierwszą rzeczą, której odmówiłam, wyczuwając pułapkę udającą drogę ucieczki. Po włożeniu żuka do ucha, przy wtórce eksplozji mięty albo limonki powstawały cudowne wizje miejsc, które nie istniały, a przynajmniej miałam taką nadzieję. Byłoby to zbyt okrutne, wierzyć, że azyl może być prawdziwy. Taka myśl mogła ogłupić i uczynić lekkomyślnym.

Tylko oszołomiony wyraz twarzy Wicka w odpowiedzi na moje obrzydzenie sprawił, że zostałam, aby z nim porozmawiać. Żałuję, że dopiero dużo później poznałam źródło jego zakłopotania.

Postawiłam ukwiał na rozchwianym stole pomiędzy naszymi krzesłami. Siedzieliśmy na jednym z gnijących balkonów sterzących z urwistej skalnej ściany, która zainspirowała mnie do nazwania naszego schronienia Balkonowymi Klifami. Pierwotna nazwa tego miejsca, zapisana na zardzewiałej plakietce w na wpół zawalonym podziemnym holu, była nieczytelna.

Za nami rozciągał się labirynt, w którym mieszkaliśmy, a przed nami, daleko w dole, zasłonięta ochronną matą, którą Wick upłócił, aby chronić nas przed niechcianymi spojrzeniami, wiła się

trująca rzeka, która otaczała większą część miasta. Mieszanka ciężkich metali, oleju i odpadków, która wydzielala toksyczne opary, przypominając nam, że zapewne umrzemy na raka albo coś gorszego. Za rzeką ciągnęło się pustkowie porośnięte karłowatą roślinnością. Nie było tam niczego dobrego ani zdrowego, a jednak od czasu do czasu wciąż nadchodzili stamtąd ludzie.

Ja także stamtąd się wyłoniłam.

– Co to jest? – spytałam Wicka, który dokładnie przyglądał się mojemu znalezisku.

Obiekt pulsował, niegroźny i funkcjonalny jak lampa. Ale jedną ze zbrodni, jakie Firma wyrządziła miastu, były testy biotechnologiczne prowadzone na ulicach, które zmieniły miasto w olbrzymie laboratorium, obecnie w połowie zniszczone, podobnie jak sama Firma.

Wick uśmiechnął się chudym uśmiechem chudego człowieka, bardziej przypominającym bolesny grymas. Z jedną ręką na stole i skrzyżowanymi nogami, ubrany w luźne lniane spodnie, które znalazł przed tygodniem, i białą zapinaną koszulę, którą nosił od tak dawna, że zaczęła żółknąć, wyglądał niemal na odprężonego. Ale wiedziałam, że to tylko poza, którą przybierał, tak dla potrzeb miasta, jak i ze względu na mnie. Rozcięcia na spodniach. Dziury w koszuli. Detale, o których starasz się zapomnieć, a które opowiadają prawdziwszą historię.

– Czym to nie jest? Oto pierwsze pytanie – odezwał się.

– A więc czym nie jest?

Wzruszył ramionami, nie chcąc się zadeklarować. Gdy rozmawialiśmy o znaleziskach, czasami wyrastał między nami mur ostrożności, którego nie lubiłam.

– Mam wrócić innym razem? Kiedy będziesz w bardziej rozmownym nastroju? – spytałam.

Z czasem straciłam do niego cierpliwość, co nie było miłe z mojej strony, ponieważ obecnie bardziej jej potrzebował. Kończyły się surowce, których używał do budowy swoich urządzeń, a także miał inne potrzeby. Rywale Wicka – zwłaszcza Magiczka, która przejęła kontrolę nad zachodnimi rubieżami

miasta – zajmowali jego myśli i terytorium, wysuwając wobec niego żądania. Jego przystojna twarz zwieńczona cienkimi blond włosami, wystający podbródek i wysokie kości policzkowe niszczały jak świeca trawiona przez ogień.

– Umie latać? – spytał w końcu.

– Nie – odrzekłam z uśmiechem. – Nie ma skrzydeł.

Chociaż oboje wiedzieliśmy, że to o niczym nie świadczy.

– Gryzie?

– Mnie nie ugryzło – odpowiedziałam. – A co, sama powinnam to ugryźć?

– Może to zjemy?

Oczywiście nie mówił poważnie. Wick zawsze był przesadnie ostrożny, nawet wtedy, gdy postępował lekkomyślnie. Ale w końcu nieco się otworzył; nigdy bym się tego nie spodziewała. Może właśnie o to chodziło.

– Lepiej nie – odparłam.

– Moglibyśmy sobie tym porzucać.

– Pouczyć latania?

– Skoro nie zamierzamy tego zjeść.

– Już nie przypomina piłki.

To była prawda. Przez pewien czas stworzenie, które nazwałam Zrodzonym, pozostawało zwinięte, ale teraz z dziwnie ujmującym wdziękiem znów przybrało kształt wazonu. Leżało na stole, pulsując i migocząc w uspokajający sposób. Migotanie sprawiało, że wyglądało na większe, a może właśnie zaczęło rosnąć.

Piwno-zielone oczy Wicka osadzone w skurczonej twarzy rozszerzyły się i stały bardziej empatyczne, gdy zastanawiał się, co mu przyniosłam. Widziały wszystko, może poza tym, jak ja go postrzegałam.

– Wiem, czym nie jest – powiedział, znów poważniejąc. – Nie jest dziełem Morda. Wątpię, by Mord wiedział, że nosił to na sobie. Ale to nie oznacza, że musi pochodzić z Firmy.

Mord potrafił być przebiegły, a jego relacja z Firmą wciąż ulegała zmianie. Czasami zastanawialiśmy się, czy w pozostałościach budynku Firmy nie toczy się wojna domowa

pomiędzy zwolennikami Morda a tymi, którzy żalowali, że go stworzono.

– Gdzie Mord mógł to znaleźć, jeśli nie w Firmie?

Drżenie ust Wicka sprawiało, że jego czyste rysy przykuwały uwagę i nabierały intensywności.

– Docierają do mnie szept. O przemierzających miasto istotach, które nie są poddane Mordowi, Firmie ani Magiczce. Widuję te istoty na obrzeżach, nocą na pustyni i zastanawiam się...

Lisy i inne małe ssaki podążały za mną tego ranka. Czy właśnie o nich mówił Wick? Ich liczebność pozostawała zagadką – czy to Firma je produkowała, czy może pustynia wkraczała do miasta?

Nie powiedziałam mu o zwierzętach, chciałam usłyszeć jego własne świadectwo.

– Istoty? – zachęciłam.

Zignorował moje pytanie i zmienił temat.

– Cóż, nietrudno dowiedzieć się więcej. – Przesunął dłonią nad Zrodzonym. Karmazynowe robaki żyjące w jego nadgarstku na chwilę wysunęły się, by zbadać obiekt, po czym wróciły pod skórę.

– Zaskakujące. Pochodzi z Firmy. A przynajmniej został stworzony wewnątrz niej. – Wick pracował w Firmie w czasach jej świetności, dekadę temu, zanim został „odrzucony i wyrzucony”, jak to określał w nielicznych chwilach słabości.

– Ale nie przez nią?

– Cechuje go oszczędność konstrukcji, jaką zazwyczaj osiągają tylko firmowe komitety.

Kiedy Wick nie chciał przejść do sedna, zaczynałam się denerwować. Świat był już wystarczająco niepewny, a u Wicka oprócz bezpieczeństwa szukałam jedynie wiedzy.

– Sądzisz, że to jakaś pomyłka? – spytałam. – Ponadplanowy twór? Coś, co wyrzucono na śmietnik?

Wick pokręcił głową, ale jego zmarszczone czoło nie dodało mi otuchy. Był samowystarczalny i zamknięty w sobie. Podobnie jak ja. A przynajmniej oboje tak uważaliśmy. Ale teraz czułam, że ukrywa przede mną jakieś istotne informacje.

– Więc co?

– To może być niemal wszystko. Urządzenie sygnalizacyjne. Wołanie o pomoc. Może bomba. – Czyżby Wick naprawdę nie wiedział?

– Więc może jednak powinniśmy to zjeść?

Roześmiał się, burząc konstrukcję zmarszczek na swojej twarzy. Jego śmiech mnie nie zaniepokoił. Przynajmniej wtedy.

– Nie radzę. Znacznie gorzej zjeść bombę niż urządzenie sygnalizacyjne. – Nachylił się, a ja z taką lubością zapatrzyłam się na jego twarz, że musiał to zauważyć. – Ale powinniśmy poznać jego przeznaczenie. Jeśli mi to dasz, dokonam rozbioru na części i przepuszczę przez swoje żuki. W ten sposób więcej odkryję. Znajdę dla tego jakieś zastosowanie.

Na swój sposób byliśmy sobie równi. Jak partnerzy. Czasami nazywałam go swoim szefem, ponieważ poszukiwałam dla niego, ale nie musiałam mu dawać ukwiału. Nasz układ mnie do tego nie zobowiązywał. Owszem, mógł go zabrać, kiedy będę spała... ale nasza relacja stale musiała być poddawana próbie. Co nas łączyło? Symbioza czy pasożytnictwo?

Popatrzyłam na istotę leżącą na stole i wezbrała we mnie zachłanność. To uczucie pojawiło się niespodziewanie, ale było szczerze – i nie wynikało tylko z faktu, że zaryzykowałam zbliżenie się do Morda, by odnaleźć Zrodzonego.

– Chyba na jakiś czas to zatrzymam – odrzekłam.

Wick posłał mi przeciągłe spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Jak wolisz – odparł nieco zbyt swobodnie. Istota była nietypowa, ale już widzieliśmy podobne stworzenia. Może Wick uważał, że nie mogą z tego wyniknąć żadne kłopoty.

Potem wyjął złotego żuka z kieszeni, włożył go sobie do ucha i jego oczy przestały mnie dostrzegać. Zawsze tak robił po tym, gdy coś w nieprzyjemny sposób przypominało mu o Firmie, wzbudzając w nim wściekłą nienawiść do siebie i melancholię. Tłumaczyłam mu, że gdyby wyznał, co tam się wydarzyło, mógłby odnaleźć spokój, ale zawsze mnie ignorował. Twierdził, że mnie chroni. Nie wierzyłam mu. Nie do końca.

Może próbował zapomnieć o szczegółach jakiejś osobistej porażki, której nie potrafił sobie wybaczyć, o czymś, co sam na

siebie sprowadził, albo jakichś działaniach, które podjął pod koniec. Jednakże praca, którą wybrał – albo do której został zmuszony – po odejściu, każdej godziny każdego dnia przypominała mu o Firmie. Trudno było odgadnąć prawdę, ponieważ nie znałam się na biotechnologii. Podejrzewałam, że jego odpowiedzi mogłyby być tak fachowe, że nie zrozumiałabym szczegółów.

Gdybym skuteczniej przyciągnęła jego uwagę, gdyby pokłócił się ze mną o Zrodzonego, przyszłość mogłaby wyglądać inaczej. Gdyby próbował mi odebrać moje znalezisko. Ale tego nie zrobił. Nie był w stanie.

Gdzie mieszkałam i dlaczego

Kiedy znalazłam Zrodzonego, byłam pod wieloma względami uwikłana w relację z Wickiem. Łączyła nas wspólna kryjówka: Balkonowe Klify, które wznosiły się na północno-wschodnich obrzeżach miasta, ponad skażoną rzeką. Na zachodzie, gdzie miasto opadało ku poziomowi morza, rozciągało się terytorium Magiczki. Na południu, pośród ruin przeplatanych oazami, znajdowały się pozostałości Firmy, chronione przez Morda. Duża część tego wszystkiego leżała na rozległym dnie wyschniętego morza przechodzącego w stepową równinę ciągnącą się poza miastem.

Wick znalazł Balkonowe Klify i przez jakiś czas samodzielnie je zajmował. Ale dopiero gdy mnie zaprosił, mógł w pełni zawładnąć tym miejscem. On wniósł swój kurczący się zapas biologicznych i chemicznych środków, a ja talent do tworzenia pułapek, zarówno fizycznych, jak i psychologicznych. Wykorzystując projekty Wicka, umocniłam i udrożniłam najbardziej stabilne korytarze, natomiast na końcach pozostałych umieściłam ukryte doły bądź powierzchnie usiane tłuczonym szkłem albo czymś jeszcze gorszym. Użyłam przerażających rekwizytów: okładek książek z trupimi czaszkami, zakrwawionej kołyski, która miała nigdy nie pęknąć, kilkudziesięciu par butów (niekiedy ze zmumifikowanymi stopami w środku). Z jednego z sufitów zwisały kruche szczątki przypominającego psa zwierzęcia, które zabłądziło w labiryncie korytarzy, a na przeciwległej ścianie widniało graffiti, które mogło przyprawić intruza o koszmary. Jeśli umiał czytać. Ten pokaz grozy był sprzężony z feromonami i halucynogenami Wicka, aktywowanymi za pomocą ukrytej linki. Zdarzały się ataki i dzicy lokatorzy próbowali szczęścia, ale zawsze udawało nam się obronić.

Jeden za szlaków prowadził do pokojów Wicka, inny do

dawnego holu, z którego można było dotrzeć do ukrytej pokrywy umożliwiającej wyjście na powierzchnię. Kolejny pokrętny szlak wiódł najpierw do basenu, w którym Wick trzymał kipiące biosubstancje, niczym szalony naukowiec, a następnie do urwiska z balkonami, którym nasza kryjówka zawdzięczała swoją nazwę.

W myślach pośpiesznie przenieśliśmy się z miejsca pracy Wicka, niedaleko środka kopca, do południowego zbocza, z którego rozciągał się widok na budynek Firmy wznoszący się po przeciwnej stronie potężnych ruin południowo-zachodniego skrzydła miasta, co dodatkowo wzmacniało efekt oszołomienia i wpisywało się w mój plan stworzenia labiryntu dla nieproszonych gości. Jednakże po wyjściu trasa znów zwięzała się do trzech korytarzy, z których tylko jeden prowadził do bezpiecznego miejsca. Były tam drzwi, od zewnątrz porośnięte mchem i pnączami, tak że wyglądały na część zbocza. W ich pobliżu roztaczał się nieznośny smród padliny, jednego z najbardziej błyskotliwych rozpraszających feromonów Wicka. Nawet ja z trudem korzystałam z tego wyjścia.

Wewnątrz labiryntu, w który przekształciliśmy Balkonowe Klify, połączyły nas sojusze, bardziej intymne niż te dotyczące sypialni. Korytarze? Tunele? Nawet te różnice zatarły się na skutek prac wykopaliskowych i sprowadzenia przez Wicka specjalnych gatunków pajaków i owadów. Zaznaczałam swoje pułapki na mapie, podczas gdy Wick, wyszkolony w Firmie, używał do tego celu płastugi, którą trzymał w płytkim naczyniu z wodą, i na jej grzbiet nanosił delikatny zarys stale zmieniającego się planu wnętrza.

W pewnym momencie, gdy nasze systemy obronne zaczęły się ze sobą splatać, to samo uczyniły nasze ciała, wywołując niespodziewaną synergję. To, co narodziło się ze skrajnej samotności i pragnienia, z czasem wykroczyło poza zwykłą wygodę i zmieniło się w przyjaźń, a następnie zbliżyło do bezkształtnej granicy uczucia, które nie mogło być miłością – a przynajmniej ja nie zamierzałam tak go nazywać.

W chwilach słabości gładziłam dłonią jego żyłastą pierś

i żartowałam z bladej, niemal przejrzystej skóry, która wyraźnie odznaczała się na tle moich ciemnobrązowych ud, a wtedy przez jakiś czas czułam się szczęśliwa w ukrytym centrum naszych Balkonowych Klifów. Odpowiadało mi, że tam możemy być kochankami, by później wrócić do ról zwykłych sojuszników.

Jednakże zdawałam sobie sprawę, że podczas tych wspólnych nocy Wick traci siebie, aż do ostatniej cząstki, i staje się bezbronny. Czułam to bardzo wyraźnie, nawet jeśli się myliłam. I jeśli nawet z tego powodu coś przed nim ukrywałam, nadal pozostawałam otwarta na Balkonowe Klify, przenikane jakby promieniami lasera. Te linie promieniowały z nas obojga, z naszych ciał i mózgów, przesywając pomieszczenia, które pozostawały bezpieczne dzięki naszym talentom. Czujniki, rozciągnięte linki, wrażliwe na dotyk i drgania, zupełnie jakbyśmy tkwili w samym środku czegoś ważnego. Nawet tutaj, leżąc pode mną, Wick nie mógł się uwolnić od tej więzi.

Czuliśmy także dreszcz tajemniczości, ponieważ dla własnego bezpieczeństwa nie mogliśmy pokazywać się razem na zewnątrz – wychodziliśmy różnymi drogami i o różnych porach – a to podekscytowanie częściowo przenosiło się na nasz związek. Ktoś, kto ukradkowo przemykałby wysoko nad nami, uznałby, że pod nim, pod zagajnikiem wątych sosen, mieści się tylko rozległa sterta śmieci, stare wysypisko pokryte warstwami powyginanych dźwigarów, ludzkich szczątków, porzuconych lodówek, wysadzonych w powietrze samochodów – zgniecionych do postaci papki, elastycznej i niemal eleganckiej w dotyku.

Ale pod tym całym ciężarem kryliśmy się my, solidny dach Balkonowych Klifów oraz przekrój kopca służący nam jako dom – linie łączące kobietę zwaną Rachel z mężczyzną zwanym Wickiem. To wszystko miało tajemny kształt, który w nas żył, jak mapa powoli obracająca się w naszych umysłach, osobista kosmologia.

Właśnie tam i wtedy przyniosłam swój ukwiał, który nazwałam Zrodzonym – do tego kokonu, bezpiecznej przystani, rozległej pułapki, której utrzymanie wymagało czasu i cennych surowców, podczas gdy gdzie indziej tykający zegar odmierzał czas, który

pozostawiliśmy. Oboje wiedzieliśmy, że niezależnie od tego, jak wiele biotechnologicznych istot Wick wytworzy albo kupi, części żuków i inne niezbędne składniki, które dawno temu zabrał z Firmy, w końcu się wyczerpią. Bez niezwykłych ulepszeń Wicka moje pułapki nie zdołają powstrzymać poszukiwaczy.

Każdy dzień przybliżał nas do chwili, w której będziemy musieli na nowo zdefiniować nasz związek z Balkonowymi Klifami i ze sobą nawzajem. A na skrzyżowaniu wszystkich szlaków tkwiło moje mieszkanie, w którym leżeliśmy wyprężeni, pieprzyliśmy się, różniliśmy, kochaliśmy, jednakowo oddaleni od wszelkich zagrażających nam granic i wrogów, którzy mogliby próbować do nas wtargnąć. Tam mogliśmy być chciwi i samolubni, tam w pełni widzieliśmy się nawzajem. A przynajmniej tak nam się wydawało, ponieważ cokolwiek nas łączyło, było wrogo nastawione do zewnętrznego świata.

Pierwszej nocy po tym, gdy przyniosłam Zrodzonego do naszego domu, leżeliśmy w moim mieszkaniu i słuchaliśmy odległych, głuchych odgłosów ulewy tłukącej o omszałą powierzchnię daleko w górze. Oboje wiedzieliśmy, że to nie jest prawdziwy deszcz – w tym mieście prawdziwe opady były ulotne i krótkie – dlatego nie wyszliśmy na zewnątrz. Nawet prawdziwy deszcz często bywał trujący.

Niewiele mówiliśmy. Nie uprawialiśmy seksu. Tylko leżeliśmy w wygodnej pozycji, a Zrodzony stał na krześle, jak najdalej od nas, w kącie sypialni. Wick miał silne dłonie o niemal całkowicie gładkich opuszkach – po latach obcowania z materiałami, które trafiały do jego zbiorników ze sztucznym życiem – a ja lubiałam trzymać go za rękę.

Zaszliśmy tak daleko, że mogliśmy być razem, a zarazem milczeć. Ale nawet tamtej pierwszej nocy obecność Zrodzonego coś zmieniła, a ja nie wiedziałam, czy nasze milczenie nie jest chociaż częściowo tym spowodowane.

Rano wyrzeliśmy przez jedne z ukrytych drzwi i zobaczyliśmy, że na spękanej ziemi wiją się w agonii tysiące malutkich

czerwonych salamander. Były kunsztownie zbudowane, z precyzyjnymi kończynami i obsydianowymi oczami. Wyglądały jak miraż. Mozaika żywych znaków zapytania, które bez powodu spadły z pociemniałego nieba. A na zachodzie już słyszeliśmy wściekłość Morda i czuliśmy drżenie towarzyszące jego przejściu. Wścieka się na ten nielogiczny deszcz czy na kogoś lub coś innego?

Kiedyś na niebie pojawiały się komety, a ludzie omyłkowo uznawali je za niebiańskie istoty. Teraz mamy Morda i salamandry. Co zwiastują? Jaki los czeka miasto? Po kilku minutach leżenia na słońcu ciała salamander rozpląnęły się i wsiąkły w ziemię, tak że pozostał po nich tylko czerwonawy błyszczący ślad, niczym plama oleju, usiany malutkimi tropami ciekawskich zwierząt.

Wick nie sprawiał wrażenia przejętego salamandrą, chociaż musiał uzupełnić składniki w swoim basenie.

- Skażone - oznajmił, ale już wcześniej wyczytałam to z jego twarzy.

Dlaczego nazwałam go Zrodzonym i jak się zmienił

Nazwałam istotę „Zrodzonym” ze względu na jedną z nielicznych rzeczy, które Wick opowiedział mi o swojej pracy dla Firmy. Wspominając pewną formę życia, którą stworzył, powiedział: „Urodził się, ale to ja go zrodziłem”.

Kiedy akurat nie poszukiwałam materiałów dla siebie albo Wicka, opiekowałam się Zrodzonym. To wymagało odrobiny eksperymentowania, głównie dlatego, że nigdy nikim ani niczym się nie zajmowałam – nie licząc kilku krabów pustelników w dzieciństwie oraz zabłąkanego psa, którego musiałam oddać po jednym dniu. Nie miałam rodziny, a moi rodzice zmarli, zanim przybyłam do miasta.

Nie wiedziałam niczego o Zrodzonym i początkowo traktowałam go jak roślinę. Wydawało się to logiczne na podstawie wstępnych obserwacji. Kiedy Zrodzony po raz pierwszy poczuł się na tyle komfortowo, by się rozluźnić i otworzyć, właśnie w ciszy jadłam kolację złożoną z firmowych racji żywnościowych, które odkopałam w na wpół zawalonej piwnicy. Stał na stole przede mną, zagadkowy jak zawsze. Nagle, w połowie kęsa, usłyszałam jęk i charakterystyczne wilgotne cmoknięcie. Kiedy odłożyłam rację żywnościową, szczelina na szczycie Zrodzonego poszerzyła się i uwolniła woń przypominającą zapach róż i tapioki. Boki istoty rozdzieliły się na kilka części i odchyliły, odsłaniając delikatne ciemnozielone kosmyki, które, chociaż nie przestawały się wić, wciąż ochraniały ukryty rdzeń.

– Zrodzony, ty wcale nie jesteś ukwiałem... jesteś rośliną – odezwałam się bez namysłu.

Już od dłuższego czasu miałam w zwyczaju mówić do Zrodzonego, ale tym razem na dźwięk mojego głosu gwałtownie powrócił do swojej „postaci obronnej”, jak ją nazywałam, i pozostawał w niej przez cały dzień. Dlatego postawiłam go na

talerzu w łazience, na półce pod ukośnym otworem w suficie, którejdy wpadała odrobina słonecznego światła z powierzchni. Sama rozkoszowałam się tym zielonkawym, stęchłym światłem każdego ranka przed rozpoczęciem pracy dla Wicka.

Pod koniec drugiego dnia Zrodzony przybrał żółtoróżowy odcień, a wytrwałość jego obronnej postawy sugerowała chorobę albo religijną ekstazę, które zbyt często widywałam w mieście. Wydzielał woń rozgotowanej potrawy. Zdjęłam go z półki i odstawiłam z powrotem na kuchenny stół. Ale wtedy zauważyłam, że robaki odpowiedzialne za rozkładanie śmieci w łazience i wydzielanie substancji odżywczych, których Wick używał w swoich zbiornikach, „zniknęły”.

A więc poznałam kilka użytecznych faktów. Zrodzony mógł przedawkować światło słoneczne. Uwielbiał kompostowe robaki. Potrafił samodzielnie się przemieszczać, ale nie robił tego przy mnie. Zatem Zrodzony sam postanowił przedawkować światło. Obecnie nic nie wskazywało, by był zniekształcony lub stanowił owoc pomyłki.

Podniosłam status Zrodzonego z rośliny do zwierzęcia, ale wciąż nie mogłam uznać jego działań za „celowe”. Choć powinnam była to zrobić, ponieważ po przygodach w łazience już nie próbował ukrywać swoich ruchów. Zostawiałam go w kuchni, a kiedy wracałam do domu, był w sypialni albo znajdowałam go na korytarzu, chociaż wcześniej stał na podłodze w salonie. Po moim przyjsciu zawsze pozostawał cichy i nieruchomy, a mnie nigdy nie udało się go przyłapać. Miałam wrażenie, że jest tym rozbawiony, ale zapewne tylko mi się wydawało. Rozweselało mnie to i z czasem zmieniło się w rodzaj gry polegającej na odgadywaniu, gdzie go zastanę. Chętniej niż kiedykolwiek wracałam do domu.

Kiedy wspomniałam o tym Wickowi, dając mu na wpół martwego lazurowego ślimaka, którego znalazłam niedaleko Firmy, wcale nie był rozbawiony.

- Nie martwisz się?
- Dlaczego miałybyśmy się martwić?
- Ponieważ ukrywa przed tobą swoje możliwości. Już teraz. Nie

masz pojęcia, co może zrobić później. Twierdzisz, że jest zorganizowany i potencjalnie inteligentny jak pies, a my wciąż nie znamy jego przeznaczenia.

– Mówiłeś, że Zrodzony wcale nie musi mieć jakiegoś przeznaczenia.

– Mogłem się mylić. Powinnaś mi go dać. Mogę się dowiedzieć, czym jest.

Zadrżałam na samą myśl o tym.

– Tylko rozbierając go na części.

– Być może. Tak, oczywiście. Nie dysponuję tutaj wyszukany­m sprzętem. Nie mam czasu ani możliwości, aby przeprowadzić nieinwazyjną procedurę. – Magiczka wkraczała na nasze terytorium, zapasy się kończyły – oto rytm kierujący naszym życiem.

Dla Wicka Zrodzony był tylko kolejną zmienną, czymś, nad czym musiał zapanować, by poradzić sobie z napięciem. Rozumiałam go, ale możliwe, że życie w Balkonowych Klifach pozwoliło nam uwierzyć w kłamstwo, że kiedyś będziemy mogli wybiec myślą poza kolejny dzień albo tydzień. Ten okruc­h wątpliwości nie dawał mi spokoju, gdy śmiałam się z wyczynów Zrodzonego.

Pod wpływem impulsu przytuliłam Wicka, przygarnęłam go do siebie, chociaż starał się odsunąć. „Chodzi o naszą pracę, chodzi o przetrwanie”, mówił mi jego opór, a ja wiedziałam, że nie powinnam mieszać naszego związku z pracą. Ale nic nie mogłam na to poradzić.

A jednak nie chciałam mu oddać Zrodzonego – ani z litości, ani ze strachu, ani z jakiegokolwiek innego fałszywego powodu. A skoro nie mogłam tego zrobić, przestałam o nim opowiadać. Kiedy mnie o niego pytał, odpowiadałam zdawkowo i bez zaangażowania. „Wszystko w porządku. To tylko jakiś rodzaj warzywa. Chodząca roślina doniczkowa”. Wick patrzył na mnie tak, jakby znał prawdę, ale nie odebrał mi Zrodzonego.

To wszystko stanowiło test łączącego nas zaufania, a za każdym razem, gdy go nadużywałam, spodziewałam się, że w końcu nie zniesie tego ciężaru i pęknie.

Co znalazłam w mieszkaniu Wicka

Zaufanie czasami wymaga zdrady. Na długo przed pojawieniem się Zrodzonego przeszukałam mieszkanie Wicka, kiedy wyszedł sprzedawać narkotyki. Zakładałam, że zrobił to samo w stosunku do mnie, ale któż to może wiedzieć? O tym aspekcie zaufania nie rozmawia się z drugą stroną.

Moja zdrada wymagała sprawności – otwarcia szyfrowych zamków, ominięcia pułapek, oślepienia czujników – jednak ostatecznie było warto. Trzy pokoje Wicka nie ujawniały zbyt wiele o swoim lokatorze, który niemal nie odcisnął piętna na zatłoczonej przestrzeni, w której żył. Żadnych zdjęć rodzinnych ani portretowych, nieliczne osobiste przedmioty.

Może postanowił żyć tak skromnie, żeby nie myśleć o tajemnicach, które ukrywał? Wyobrażałam sobie, że gdzieś wewnątrz naszych zagraconych Balkonowych Klifów mieści się magazyn pełen artefaktów, które Wick ukrywa, by mu nie zaszkodziły. Ale jeśli nawet tak było, to nigdy nie znalazłam tego miejsca.

Miałam tylko dowody, które udało mi się delikatnie wydobyć z szuflady biurka dzięki kreatywnemu wykorzystaniu wytrychów: zwinięty wykres przedstawiający rybę, schowany w obudowie strzaskanego teleskopu, oraz metalowe pudełko wypełnione małutkimi cynobrowymi muszelkami łodzików, pozwijanymi i wysuszonymi.

Schowałam do kieszeni jedną muszelkę i przyjrzałam się wykresowi. Rozwinęłam go w słabym blasku świetlików, które Wick osadził w suficie. Wiedziałam, że to relikwiarz ostatniego projektu, który Wick realizował w Firmie, a o którym opowiadał tylko wtedy, gdy się upił. Nic takiego z pewnością nie wyłoniło się z jego prowizorycznego zbiornika w basenie. Na razie.

Jakiegokolwiek było przeznaczenie wykresu, przedstawiał on

brzydką rybę, jakby potężnego granika albo karpia. Był to częściowy przekrój boczny z kilkoma liniami prostymi odchodzącymi od mózgu, a także od innych części ciała. Linie na końcach oznaczono liczbami i przypadkowymi literami. Fakt, że ryba miała smętne oblicze kobiety o bladej skórze i niebieskich oczach, dodatkowo wzmacniał upiorny efekt. Patrzyłam na nią z niepokojem, mając wrażenie, że jakiś szalony naukowiec postanowił ożywić figurę pochodzącą z dziobu dawnego żaglowca.

Jednakże notatki nabazgrane na odwrocie wykresu nie wzbudziły we mnie niepokoju, a raczej nostalgię, gdyż rozpoznałam, że nowsze zapiski na obrzeżach kartki są autorstwa Wicka: były to drobne uwagi dotyczące przyszłego odtworzenia projektu, które z czasem przestały się pojawiać. Ale był także drugi autor, którego notatki, wykonane wcześniej, zdominowały środkową część kartki. Zawarta w nich czysta pasja stopniowo ustępowała miejsca szaleństwu. Odręczne pismo zmieniało się w coraz mniej czytelne kreski i kropki, a w końcu w wyżłobione ciemne chmury i gryzmoły. Zniszczenia przesłaniały treść albo były zbyt wymowne. Pojedyncze słowa, które wyzierały spod chaosu, okazywały się bezużyteczne. Pod koniec czytelnej części zapisków pojawiał się nabazgrany komunikat: „Koniec z firmą”.

Odłożyłam pusty teleskop na łóżko i dalej szperałam w pokoju, obawiając się, że Wick mnie przyłapie. Ale szybko zdałam sobie sprawę, że niczego więcej nie znajdę. Dlatego mój szósty zmysł poszukiwaczki skłonił mnie do ponownego sięgnięcia po teleskop. Jego powierzchnię pokrywał nalot przypominający macicę perłową. Podniosłam przyrząd ku świetlikom, by dokładniej mu się przyjrzeć.

Nagle zmarszczyłam czoło. Odniosłam wrażenie, że coś zostało wyryte na teleskopie. Z bliska okazało się, że jego „metalowa” powierzchnia składa się z setek drobnych i twardych rybich łusek, które tworzyły tak zwarty wzór, że niemal nie było widać łączy. Powierzchnia lśniła srebrzyście i była pozbawiona zdobień, ale kiedy poprawiłam uchwyt, odkryłam, że pod

wpływem ciepła moich palców coś stało się z łuskami, których dotykałam: ukazały się na nich miniaturowe fotografie. Cwany, cwany Wick – chociaż nie rozumiałam, po co ukrył te zdjęcia. Pochodziły z czasów przed zburzeniem miasta i zaczerpnięto je ze starych książek, ale nie sprawiały wrażenia na tyle cennych, by trzymać je w tajemnicy.

Zaciekawiona szybko przejrzałam całą powierzchnię teleskopu, rozgrzewając dotykiem każdą łuskę, zupełnie jakbym grała na jakimś instrumencie, a następnie uważnie przypatrując się rezultatom.

Oprócz zdjęć przedstawiających dawno zniszczone miejsca najczęściej pojawiały się zapisy rozmaitych przemyśleń dotyczących miasta, na przykład listy obiektów zatytułowane „Do odzyskania” albo zestawy pytań i odpowiedzi, na przykład: „Jak zabić budynek? Nic nie robiąc”. Niektóre z obrazów były odpowiednikami mikrofilmów opisującymi bogatą historię miasta przed pojawieniem się Firmy. Inne fragmenty były tak mikroskopijne, że mogłam tylko domyślać się ich znaczenia. Nie wiedziałam, jak Wick jest w stanie je odczytać, chyba że ukrył gdzieś urządzenie do ich przeglądania. To wszystko nie pasowało do Wicka, jakiego znałam – samotnika, który nigdy nie wspominał o mieście przed Firmą i pozbył się wszelkiej nadziei na jego przysze odrodzenie.

Ale w końcu zrozumiałam potrzebę zachowania tajemnicy, gdy zdałam sobie sprawę, że na powierzchni teleskopu znajdują się nie tylko stare fotografie i dane. Niektóre łuski zawierały potworne wizje niezrealizowanych projektów, które mnie przerażały, ponieważ przy nich Mord wydawał się pospolity. Co zaś ważniejsze, na części łusek znajdowały się opisy techniczne biotechnologicznych istot, które stworzył Wick. Te informacje nie powinny wpaść w ręce naszych wrogów.

Czasami zastanawiałam się, czy Wick wciąż będzie mnie fascynował, jeśli odkryję wszystkie jego tajemnice, i czy będę pamiętała, kim był bez nich.

Po powrocie do mieszkania wrzuciłam zabraną muszelkę łodzika do szklanki z wodą i patrzyłam, jak wraca do życia,

przybiera barwę jaskrawego karmazynu i zaczyna się rozwijać, wpatrując się we mnie niemal buntowniczo, a następnie rozplywa się w nicłość, jakby nigdy nie istniał. Sztuczka ze zniknięciem. Iluzja.

Wypicie tego tajemniczego eliksiru Wicka nie wchodziło w grę. Wylałam wodę, umyłam szklanekę i rzuciłam ją na stertę brudnych ubrań na korytarzu.

*

Moja kolejna zdrada była bardzo prosta: za bardzo polubiłam Zrodzonego. Czułam to w kościach, wiedziałam, że powinnam go oddać. Ale wiedziałam także, że musiałyby się wydarzyć jakaś katastrofa, abym się na to zdecydowała. Im więcej przejawów osobowości okazywał Zrodzony, tym bardziej byłam do niego przywiązana.

Zrodzony ułatwiał decyzję o zatrzymaniu go przy sobie, ponieważ okazało się, że żywi się niemal wszystkim – okruchami, kamykami czy kawałkami drewna. Każdy robak, który pojawił się w jego zasięgu, znikał bezpowrotnie. Zrodzony zjadał dużą część tego, co trafiłoby do śmieci, i w pewnym sensie zastępował kompostownik. Zapewne zjadłby nawet kosz na śmieci, gdyby był wystarczająco głodny.

Pomimo tej łatwości życia ze Zrodzonym wciąż mnie on zastanawiał. Co najczęściej zaprzętało moje myśli i najbardziej mnie niepokoiło? Chociaż tak wiele znikało we wnętrzu Zrodzonego, nic z niego nie wychodziło. Wydawało mi się to absurdalne, a nawet zabawnie złowieszcze. Czasami wręcz się z tego śmiałam. „Żadnych kulek. Żadnego gnoju. Żadnych kałuż. Nic”.

Poza tym Zrodzony rósł. Tak, rósł. Początkowo nie chciałam tego przyznać, ponieważ idea wzrostu niosła ze sobą ideę bardziej radykalnej zmiany, przekształcenia się dziecka w dorosłego. U wielu gatunków ta transformacja przybiera drastyczną formę, a rodzic znacznie różni się od potomstwa. Ale pod koniec pierwszego miesiąca, chociaż zmiany zachodziły stopniowo, już nie mogłam zaprzeczyć, że Zrodzony trzykrotnie

zwiększył rozmiary.

Nie mogłam także zaprzeczyć, że rozmyślnie ukrywam go przed Wickiem. Przestałam wpuszczać Wicka do swojego mieszkania, a jeśli już to robiłam, wstawiałam Zrodzonego do pokoju na tyłach, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Ignorowałam Wicka, gdy próbował rozmawiać ze mną o Zrodzonym jako o źródle zagrożenia lub istocie wymagającej ostrożności.

Jako że Zrodzony nigdy nie zachowywał się groźnie, nawet nie przyszło mi do głowy, by się go obawiać. Mówiąc o nim, stosowałam rodzaj męski, jednak z czasem wydało mi się to nieco absurdalne, gdyż nie zdradzał żadnych przejawów agresji ani egocentryzmu, jakie charakteryzują większość samców. W tych pierwszych dniach stał się czystą kartą, na której postanowiłam zapisywać wyłącznie użyteczne słowa.

Co Wick powiedział mi o projekcie z rybą i Firmie

Większość z tego, co Wick opowiadał mi o projekcie z rybą i Firmie, przypominała fragmenty mrocznej baśni, którą musiałam samodzielnie poskładać. Nie wiedziałam, czy tak niechętnie dzieli się tymi wspomnieniami, ponieważ chce trzymać świat na dystans, czy raczej po to, by móc go do siebie dopuścić. Firma przybyła nieproszona, gdy miasto już było pogrążone w rozpadzie i nie mogło się obronić przed intruzem. Przez jakiś czas zapewne wydawało się, że przyniesie ocalenie miastu i jego mieszkańcom. Początkowo ludziom wystarczała sama perspektywa miejsc pracy. Próbowалам sobie wyobrazić młodego Wicka, który został wciągnięty do Firmy i przebył całą ścieżkę awansu od ucznia aż do samodzielnego twórcy istot. Ale ta wizja zawsze rozmywała mi się przed oczami i znikała. Widziałam go tylko w pełni ukształtowanego, takiego, jakim znałam go obecnie.

Projekt z rybą był jego zgubą, powodem, dla którego zwolniono go z Firmy po wieloletniej służbie. I chociaż ryba doprowadziła go do rozpaczy, dotyczące jej wspomnienia przepełniały go także nostalgią.

– Ryba jak czołg – powiedział mi pewnego wieczoru, ponad rok przed tym, jak znalazłam Zrodzonego, podnosząc wzrok na czarne niebo, ignorując chłopot i szum trucizny w dole.

Staliśmy na naszym balkonie ponad rzeką. Czasami przez ochronny całun, który Wick stworzył, aby nas chronić, widzieliśmy innych ludzi na balkonach na północy, poza granicą strefy, którą kontrolowaliśmy. Wyglądali jak manekiny albo posągi, coś beznadziejnie odległego, chociaż wiedzieliśmy, że mogą być groźni.

Był początek tego roku, późny chłodny wieczór. Podmuchy wiatru uderzały z ciemności, rozbijając się o kamienny balkon i przynosząc niewyraźną mieszankę ostrych rzecznych woni, a ja

słyszałam uspokajające pohukiwanie sów i dobiegające z dołu odgłosy istot ukradkowo przemierzających podszycie. Myślałam o tym, że stworzenia, których nie widzimy, są dla nas bezużyteczne, zajmują się swoimi sprawami, a my nie musimy uwzględniać ich w naszych planach. Sama też wydawałam się sobie bezużyteczna. Oboje upiliśmy się alkoholowymi płótkami i byliśmy wykończeni po długim dniu pracy. Pod butami miałam krew pozostałą po misji poszukiwawczej, która się nie powiodła, chociaż nie do końca.

Niebo i jego rozmazane gwiazdy, które stale czegoś poszukiwały, zataczały kręgi, błędziły i drżały, chociaż niemal się nie poruszałam, spoglądając w górę ze swojego krzesła. Mimo wszystko wciąż słuchałam Wicka, który był przy mnie. Wciąż nie zasypiałam. Smutek dawał mi jasność umysłu, trzeźwość, na którą nie zasłużyłam. Wick był znacznie bardziej pijany.

– Cudowna ryba! Miała takie szerokie, ponure usta i poruszała się jak lewiatan. I to na łądzie! Potrafiła oddychać powietrzem. Zachwycało mnie, że to potrafi. Dałam jej cudowne oczy: poprzecinane szmaragdowymi i złotymi żyłkami.

Już wcześniej słyszałam tę część opowieści i chociaż Wick rozplęwał się nad rybą, tak naprawdę to nie ona go poruszała. Nie do końca. Wraz z upływem czasu gwiazdy nad nami zwalniały i układały się w znajome konstelacje, a Wick skupiał się na ludziach z Firmy, na starym przyjacielu, który go porzucił, albo którego to on porzucił, oraz na nowym pracowniku, który go zdradził. Na przełożonym, który nadzorował projekt z rybą. Na wszystkich tych ludziach, których wpuścił do swojego życia, a którzy zwrócili się przeciwko niemu. Albo się zmienili. Albo po prostu zachowywali się zgodnie ze swoją naturą, a Wick przez jakiś czas był dla nich ważny, po czym znów stał się zbędny.

Nie znałam ich, a Wick nigdy nie zapewniał mi wystarczającego kontekstu, żebym się nimi przejęła. Ale zarazem nie przypomiinałam sobie, bym kiedykolwiek w dorosłym życiu ufała jednocześnie trzem albo czterem osobom. To, że Wick kiedyś był tak łatwowierny, wydawało mi się głupie i nieodpowiedzialne: ot, kaprys rodem ze starego świata. Nie chciałam myśleć o tym,

że mógł im ufać bardziej niż mnie.

Zastanawiałam się także, czy opinia Wicka na temat Firmy i jego gotowość do przebaczenia, dadzą się pogodzić z moim stanowiskiem. Dla mnie Firma była białym wzdętym kleszczem na boku miasta, miejscem, które okradało nas z surowców i wprowadzało chaos. Miejscem, które, jeśli wierzyć pogłoskom, wysyłało gotowe produkty podziemnymi tunelami do dalekich krain, pozostawiając nam odpady w zbiornikach retencyjnych. Czasami spotykałam nielicznych starszych poszukiwaczy snujących opowieści o bogactwach miasta przed pojawieniem się Firmy. Ich twarze promieniowały wewnętrznym blaskiem, od którego prawie zmieniałam zdanie na temat pamięciożuków. Prawie. To, co mi mówili, nie mogło być całą prawdą, podobnie jak opowieści o niedawno zmarłych, o których mówi się tylko dobrze. Na tym polegało piękno Firmy, że zwyciężała niezależnie od okoliczności. Na trwałe złączyła się z historią naszego miasta, chociaż zawiodła i istniała już tylko jako pusta skorupa, widmo albo potężny, zabójczy niedźwiedź.

– Ktoś ją zabił, pokazali mi zapis z kamery w jednym z moich szpiegowskich żuków. – Tylko że później Wick twierdził, że rybę zabił ktoś inny.

Kolejna wersja: ryba została ranna i przez jakiś czas żyła w zbiornikach retencyjnych na zewnątrz budynku Firmy. Według tej wersji przetrwała niemal rok – dłużej, niż powinna, między innymi dlatego, że Wick ją karmił – i terroryzowała okolicę: żarłoczna ryba z ludzką twarzą wyłaniająca się z głębin. Ale ludzka twarz niemal od początku była martwa. Mniejsze wodne stworzenia skubały ją i podgryzały; z czasem nabrzmiała od wody i zniekształcił ją rozkład, tak że nikt nie mógł rozpoznać, do kogo należała, a pozostała część ryby nie zdołała sobie poradzić ze śmiercią, którą nosiła na czubku swojej głowy.

Według czwartej wersji ryba wciąż mogła żyć głęboko pod powierzchnią.

Wick opowiadający różne wersje. Wick cierpiący. Wick ponownie poddający się niepokoju – wspominający, jak został zmuszony do opuszczenia Firmy, gdy ktoś dopuścił się sabotażu

na jego projekcie, Firma popadła w anarchię i straciła kontakt z centralą, a on musiał dalej żyć, pozbawiony ochrony, do której przywykł. To zmieniło go w handlarza narkotykami, specjalistę od przetrwania, człowieka tak wychudzonego i przejrzystego, że mógłby stanąć w jednym szeregu ze stworzeniami zamieszkującymi jaskinie albo oceaniczne głębin.

W chwilach najgłębszego mroku, gdy kwestionowałam swoją prawdziwą naturę i sprzeniewierzałam się jej, uznając zainteresowanie Wickiem za rodzaj antidotum, wiedziałam, że Wick tak naprawdę chce się przyznać, iż w przeszłości pomógł stworzyć broń tak śmiertcionośną, że nawet jej niesamowite piękno nie mogło usprawiedliwić jej użycia. Broń z ludzką twarzą, o której nigdy mi nie opowiedział.

Oto prawda, którą Wick pomijał w większości swoich opowieści, a którą wyczytałam z notatek na wykresie znalezionym w jego mieszkaniu: Ostatecznym przeznaczeniem tej potwornej ryby było wymuszanie posłuszeństwa i panowanie nad tłumem, wzbudzanie strachu i przywracanie porządku. Istniało miejsce, w którym rząd wciąż sprawował władzę i był na tyle stabilny, że mógł zaprowadzić porządek, a zatem zamierzał to zrobić. Stworzono lewiatana, by wzbudzał lęk, a może nawet zabijał.

Ale tamtego wieczoru na balkonie po raz pierwszy i jedyny w chaotycznej opowieści Wicka dotyczącej Firmy pojawił się inny potwór. „Mord wiedział o rybie. Mord pokazał mi, czym byłem”. Poczulałam dreszcz, jak po odkryciu ciekawego znaleziska. Czy Wick i Mord w tym samym czasie działali w Firmie? Kiedy Mord był mniejszy i nie potrafił latać? Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, i czekałam, aż Wick wyjawi coś więcej. Ta chwila nigdy nie nadeszła. Za każdym razem, gdy wyczuwałam, że zdradził coś istotnego, natychmiast przerywał, jakby odczytywał moje nagłe zainteresowanie, i przestawał mówić. Zapadało nienaturalne milczenie.

Miejsce, w którym urywał, stanowiło granicę, za którą nie mógł się zapuścić.

Co robiłam innym i co inni mi robili

W mieście granica między koszmarem a rzeczywistością była płynna, a kontekst słów „zabójca” i „śmierć” z czasem uległ zmianie. Może odpowiadał za to Mord. A może my wszyscy.

Zabójcą był ktoś, kto zabijał z powodów innych niż przetrwanie. Zabójca był szaleńcem, a nie osobą, która próbowała przeżyć kolejny dzień. Kiedyś trafiłam kobietę kamieniem. Spotkałyśmy się, gdy przeszukiwałyśmy tę samą opuszczoną ulicę w zachodniej części miasta. Znalazłam gładki metalowy przedmiot, pochłaniany przez przypominającą kawałek mięsa lśniąca czerwoną roślinę. Nie wiedziałam, czy przyda się Wickowi, ale podejrzewałam, że tak będzie, ponieważ nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Kiedy skręciłam za róg, niosąc swój łup, napotkałam idącą kobietę. Miała około pięćdziesięciu lat, żylastą budowę ciała, często spotykaną u specjalistów od przetrwania, włosy opadające siwą kurtyną i szaro-czarne ubranie.

Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się. Potem zauważyła, co trzymam, i uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Daj mi to. To moje. – Może chciała powiedzieć: „To będzie moje”.

Nie czekałam, aż zbliży się na tyle, by się na mnie rzucić. Przyklęłam i wolną dłonią podniosłam kamień. Gdy ruszyła w moją stronę ze środka ulicy, zamachnęłam się i trafiłam ją w czoło. Zwiotczała i przewróciła się na bok, ciężko dysząc. Potem wstała, a ja rzuciłam kolejnym kamieniem, ponownie trafiając ją w głowę.

Tym razem zatoczyła się do tyłu i przykucnęła, opierając dłonie na kolanach. Widziałam krew spływającą z jej głowy na ziemię. Ciężko usiadła pośród gruzów i przyłożyła dłoń do głowy, a ja upuściłam trzeci kamień.

– Chciałam tylko popatrzeć – powiedziała oszołomiona, na

zmianę dotykając rany i cofając rękę. Oczy zaszyły jej mgłą. – Tylko popatrzeć, to wszystko.

Nie zostałam, aby jej pomóc albo ją skrzywdzić. Odeszłam.

Czy umarła? Czy ją zabiłam, a jeśli tak, to czy jestem morderczynią?

To, co się wydarzyło pomiędzy mną a tamtą kobietą, nie było niczym nowym, niezależnie od amnezji, która nas ogarnęła. Takie rzeczy dzieją się od początków świata albo nawet dłużej. Pierwszą i jedyną zasadą jest dbanie o własne bezpieczeństwo – broń się ze wszystkich sił, masz do tego prawo.

Ale pewnego wieczoru, trzy tygodnie po znalezieniu Zrodzonego, straciłam czujność. Banda dzieci skradających się pośród mchu i odpadków zdążyła przytrzymać drzwi zamykające się za moimi plecami. Bezszelestnie podążyły za mną korytarzami do mojego mieszkania, idąc po moich śladach, aby uniknąć pułapek, feromonów i pajaków. Nie zauważyłam ich, ponieważ już myślałam o Zrodzonym i zastanawiałam się, gdzie go znajdę tym razem.

Wick musiał doglądać najdalszych granic swojego podupadającego narkotykowego imperium. Żadne z moich osobistych systemów obronnych – drapieżne karaluchy w korytarzu, pająki ukośnikowate osadzone w drzwiach, staroświeckie ostrze – nie mogły ich powstrzymać.

Nie licząc Morda, zatrutego deszczu oraz porzuconych biotechnologicznych istot, które mogły spowodować śmierć albo dyskomfort, dzieci stanowiły najstraszliwszą siłę w mieście. W ich spojrzeniach nie było ani odrobiny człowieczeństwa. Nie miały wspomnień z dawnego świata, które mogłyby stanowić dla nich punkt odniesienia, źródło pokory lub inspiracji. Ich rodzice zapewne zginęli albo spotkał ich jeszcze gorszy los, a one same od najwcześniejszych lat doświadczały potwornej przemieniającej przemocy.

Było ich pięcioro, z czego czworo wymieniło swoje oczy na zielono-złote osy, które siedziały zwinięte w ich oczodołach,

wspomagając wzrok. Pazury zdołyły ich dłonie jak ostre przecinki. Łuski na szyjach płonęły czerwienią przy każdym oddechu. Pojedyncze skrzydło, które pompowało powietrze jak miech, wyrastało z nagich pleców najniższego chłopca o ciemnoszarych ludzkich oczach. Po chwili pożałowałam, że on również nie wymienił ich na osy.

Cuchnęły solanką, potem i kurzem. Oblizywały usta i napinały bicepsy jak zdobywcy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co mogło je tak przemienić, nie licząc skażenia będącego dziełem Firmy, i nie potrafiliśmy rozpoznać kierującego nimi nowego impulsu ani ustalić jego pochodzenia.

Walczyłam, ale czasami walka nie wystarczy. Okazanie agresji i oporu to za mało. Jeśli nie chcesz oszaleć, nie możesz obwiniać siebie o to, że przeciwnik ma przewagę liczebną.

Wszystko na nic. Wszystko na nic. Całymi godzinami torturowały mnie na rozmaite niewyobrażalne sposoby. Najniższy chłopiec przez większość czasu tylko stał obok łóżka i przyglądał mi się olbrzymimi ciemnoszarymi matowymi oczami, których białka nie były tak jasne jak jego blada skóra. Dzieci były pod wpływem narkotyków, które zapewne znalazły na składowisku toksycznych odpadów.

Pomiędzy jękami i wrzaskami, miotając się po czerwieniejącej pościeli i słuchając, jak pozostała trójka wyciem oznajmia swoją dominację, raz za razem powtarzałam do szarookiego malca: „Nie patrz. Nie patrz”. Chciałam wierzyć, że próbuję go ratować, ale tak naprawdę starałam się uratować siebie. Dla niego było już za późno.

Kiedy znudziły im się te zabawy, zniszczyły wszystko, co nie miało wartości; stawały sobie nawzajem na ramionach, żeby gasić moje świetliki.

Potem znalazły Zrodzonego – zapewne się poruszył albo w jakiś inny sposób zwrócił ich uwagę. Wkrótce przestały się mną interesować. Wychodząc, postanowiły zabrać Zrodzonego ze sobą – zobaczyłam jednym zażawionym i zalepionym krwią okiem, że go chwytają.

Wtedy po raz pierwszy zaczęłam ich prosić. Wtedy po raz

pierwszy uświadomiłam sobie, że Zrodzony jest dla mnie ważny. Ale to nie miało znaczenia. Dzieci zabrały Zrodzonego i zostawiły mnie w ciemności z rozciętym policzkiem, krwawiącymi rękami, nogami i twarzą, kilkoma głębokimi ranami. Moja skóra płonęła. Moja skóra była odrętwiała. Obnażone ciało marzło pomimo upału. Nie miałam siły wstać.

Miasto mnie odwiedziło, by przypomnieć, że nic dla niego nie znaczę, a nawet w Balkonowych Klifach nie jestem bezpieczna. Że systemy bezpieczeństwa w mojej głowie mogą zostać wyłączone, ot tak.

*

Czas mijał, a ja trwałam w tym straszliwym stanie, drżąca i odsłonięta. Wyłam i krzyczałam, całkowicie wyzbywszy się oporów; sprawił to ból. Kiedy ocknęłam się po raz trzeci albo czwarty, leżałam z głową na kolanach Wicka, który patrzył na mnie z zaciekawioną miną. Jego ciało migotało zielonkawo pod wpływem stresu, co stanowiło efekt uboczny wpuszczenia do organizmu diagnostycznych robaków. Gdy się mną zajmował, moje ciało było miękkie i ciepłe w dotyku, podszyte bólem, który w każdej chwili mógł mnie całkowicie pochłonąć.

– Tak mi przykro – odezwał się cicho, jakby przemawiał do trupa. Jego głos zdradzał troskę, jakiej jeszcze u niego nie widziałam; był tak chrapliwy i szczery – zupełnie jakby Wick niedawno płakał – że hipnotyzował mnie i zarazem przerażał. Nie potrzebowałam jego rozpacz, tylko siły. – Nie poruszaj się. Przez jakiś czas nie powinnaś czuć bólu.

Wciąż czułam ból, chociaż nieco przytłumiony, ale pokiwałam głową, żeby go pocieszyć. Gdy podnosiłam na niego wzrok, obraz rozmywał mi się przed oczami. Mimo wszystko dostrzegałam precyzyjną i piękną konstrukcję jego twarzy. To wciąż miało dla mnie znaczenie.

Wypuścił na mnie diagnostycznego żuka. Był stary i zużyty, miał podrapany pancerz, ale jego odnóża były gładkie i lśniące. Każde miejsce, którego dotykał, na krótką chwilę jakby się rozżarzało. Wick już wcześniej zszył moje rany za pomocą

chirurgicznych ślimaków. Pamiętałam ich chłodny dotyk, którego doświadczyłam, gdy poprzednim razem zostałam ranna. Napastnicy byli pomysłowi, wycięli wzory na moim ciele, wypisali na nim słowa, które nic nie znaczyły, zwłaszcza dla nich. Teraz ślimaki podążały tym samym szlakiem, przypadkowo nadając tym słowom znaczenie.

– Chciałbym cię objąć – odezwał się Wick gdzieś daleko. – Ale boję się, że mógłbym cię skrzywdzić.

Wtedy przypomniałam sobie, że dzieci zabrały Zrodzonego, i chciałam poprosić Wicka... o co? Żeby je ścigał? Ale on kazał mi się nie odzywać.

– Przepraszam, że mnie tutaj nie było. Przepraszam, że dostali się do środka. – Był w zupełnie innym miejscu niż ja, przejmował się innymi sprawami.

– Jak bardzo cię skrzywdzili? – spytał z charakterystycznym naciskiem, a ja wiedziałam, o co mu chodzi. To było pytanie medycznej, a zarazem niemedycznej natury. Odtwarzał atak w wyobraźni, wizualizując najgorszy scenariusz, i musiał wiedzieć, jak bardzo inwazyjną diagnozę powinien zastosować.

– Zrobili mi tylko to, co widzisz – odpowiedziałam, a Wick nieco się rozluźnił, co z jakiegoś powodu mnie wzburzyło.

Napastnicy byli zbyt ograniczeni lub zbyt nieludzcy, by mnie zgwałcić. Chłopiec o szarych oczach, najstarszy, miał mniej więcej jedenaście lat. Miał blond włosy i delikatne dłonie. Nawet gdybym została zgwałcona, być może nie powiedziałabym Wickowi prawdy, ale tak się nie stało. Dwójka osóokich wpychała mi języki do ust, gdy mnie kaleczyli, ale w ten sposób chyba próbowali mnie czymś zakazić. Wciąż czułam w ustach metaliczny posmak.

Rozpłakałam się – z oczu popłynął mi nieprzerwany strumień łez, chociaż wyraz mojej twarzy się nie zmienił. Każdy ma jakąś granicę wytrzymałości, po której przekroczeniu czuje, że walka o przetrwanie jest zbyt trudna do zniesienia. Byłoby lepiej, gdybym została napadnięta na ulicy. Wołałabym tam teraz leżeć niż chłonąć poczucie winy, troskę i szacunek Wicka w Balkonowych Klifach. Nie chciałam być obserwowana, tylko

wpełznąć do jakiejś ciemnej dziury, żeby umrzeć albo wyzdrowieć.

Ale pozwoliłam Wickowi wykonywać jego pracę i opowiedziałam mu, jak to się stało, dzięki czemu mógł poprawić nasze systemy obronne. Przeżyłam i wiedziałam z doświadczenia, że z czasem zapomnę na tyle, by znów udawać, że kiedyś możemy być wolni. Od miasta, od Morda, od wszystkiego. Nie wiem, czy to była nadzieja. Może tylko uparty bezwład.

– Poza tym zabrali Zrodzonego – powiedziałam nieco później, niepewna, czy właściwie się wyraziłam. Nie potrafiłam stawić czoła jego zniknięciu.

Wick zmarszczył czoło, patrząc na mnie z krzesła stojącego przy łóżku.

– Wcale go nie zabrali. – Skinął głową w stronę salonu. – Jest tam.

Pomimo otępiającej niewygody i żuka pełzającego po moim tułowiu poczułam przytłaczające oszołomienie i ulgę.

– Oddali go?

– Chyba nie. Stał w korytarzu przy drzwiach. Napastnicy uciekli. Wniosłem go z powrotem do mieszkania.

– Dziękuję – odrzekłam, wiedząc, że to mogła nie być łatwa decyzja.

– Urósł – zauważył Wick.

Nie odpowiedziałam. Nie odważyłam się. Po raz pierwszy zrozumiałam, że Wick może być zmartwiony lub zafrasowany z powodów, które nie mają nic wspólnego ze mną. Udawało mi się ukrywać przed nim Zrodzonego przez całe dwa tygodnie.

Żuk zakończył pracę.

Wick wstał z krzesła.

– Musisz wypocząć. Przyniosłem ci zapasy do kuchni. Zainstalowałem lepsze zabezpieczenia. Muszę na jakiś czas wyjść, ale niedługo wrócę.

Zrozumiałam. Musiał się upewnić, że napastnicy naprawdę odeszli. Musiał zmienić zamki, by nikt inny nie wszedł tą samą drogą. To wszystko wymagało zużycia kolejnych zasobów,

których nam brakowało, i znacznie szybszego wystawienia nas obojga na ryzyko.

Piekący i kłujący ból – potworna udreka – nie powracał przez wiele godzin, jakby oddalił się o całe lata świetlne. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć policzka Wicka i krawędzi jego ust, ale był za daleko.

– Powinienem tutaj być – powiedział.

– Gdybyś nie wrócił, możliwe, że bym nie żyła – odrzekłam, ale to go nie pocieszyło. Gdyby miasto naprawdę chciało mnie zabić, z pewnością by to zrobiło, tak jak w przypadku wielu innych osób.

– Powinienem zabrać Zrodzonego ze sobą – rzekł Wick, starając się zabrzmieć nonszalancko.

Skrzywiłam się.

– Nie. Proszę. Nie rób tego.

Wick byłby spokojniejszy, gdybym to wykrzyczała albo odpowiedziała równie swobodnie. Ale tego nie zrobiłam. Wypowiedziałam te kilka słów cichym, łamiącym się głosem, a Wick nie był w stanie ich odeprzeć.

*

W pewnym momencie po wyjściu Wicka zrozumiałam, że nie zasnę, i postanowiłam wstać z łóżka. Byłam obolała, ale nie przywykłam do leżenia, więc robiłam się niespokojna. Chciałam zobaczyć Zrodzonego. W swoim otępieniu martwiłam się, że napastnicy również go skrzywdzili. A może tylko chciałam się upewnić, że Wick go nie zabrał.

Stał na krześle przy kuchennym stole, pulsując delikatnym zielonozłotym światłem. Wick odtworzył kilka moich światełek, ale było ich tak niewiele, że widziałam tylko blask Zrodzonego.

Był o kilkanaście centymetrów wyższy niż tamtego popołudnia, a jego podstawa zgrubiała i okrzepła. Stojąc na krześle, sięgał mi do ramion. Nie widziałam, żeby został w jakikolwiek sposób uszkodzony – wciąż był idealnie symetryczny. Wyglądał pięknie w ciemności. Był potężny.

– To tylko ja – powiedział.

Krzyknęłam. Zatoczyłam się do tyłu, szukając jakiejś broni – kija, noża, czegokolwiek. Jego mowa brzmiała jak chrapliwy głos chłopca o szarych oczach.

– Tylko ja – dodał. – Zrodzony.

Tylko ja.

Robaki, które Wick pozostawił w moim wnętrzu, próbowały uwolnić środek uspokajający. Dygotałam. Wrzeszczałam.

– To tylko ja – powtórzył Zrodzony, jakby sprawdzał te słowa.

Tym razem nie zabrzmiał jak mój napastnik, lecz przemawiał cieplejszym, bardziej melodyjnym głosem. Później uznałam go za jego normalny głos, choć potrafił naśladować różne sposoby mówienia. Wzdrygnęłam się, ale nie krzyknęłam, tylko oparłam się o przeciwległą ścianę.

– Rachel – odezwał się Zrodzony. – Nie musisz się. Bać. – Głos szarookiego chłopca już całkowicie zniknął.

– Nie mów mi, co muszę, a czego nie muszę! – zawołałam. – Czym jesteś?

Zaczęłam niezdarnie schodzić z krzesła.

– Nie zbliżaj się, kurwa! Trzymaj się z dala!

Szukałam innych słów, które mogłyby wypełnić przestrzeń pomiędzy nami.

W tej przestrzeni Zrodzony powiedział:

– Idź odpocznij. Proszę odpocznij. Nie martw się. Śpij. – Widziałam, że starannie rozważa wszystkie słowa przed ich wypowiedzeniem, niepewny, jak będą do siebie pasowały.

– Mam spać? – Roześmiałam się z goryczą. – Nie będę teraz spała. Mówisz do mnie.

– Jestem Zrodzony – odezwała się istota stojąca przede mną. – Mówię mówię mówię.

Te słowa zabrzmiały jak słodki szczebiot, który przypomniał mi, jak bardzo Zrodzony bawił mnie przez ostatnie tygodnie. Ale skąd one pochodziły? Wciąż nie miał twarzy ani prawdziwych ust.

– Czy to sen?

– Sen? – odrzekł Zrodzony.

– Jak im uciekłeś?

– Im?

– Tak, im... Chodzi mi o dzieci, które mnie zaatakowały.

– Dzieci – powtórzył Zrodzony. – Mnie zaatakowały.

Zaczęłam odpływać, odpływać wbrew swojej woli, chwiejąc się, gdy medyczne stworzenia w moim wnętrzu wykonywały swoją pracę. Zachwiałam się i czułam, że osuwam się po ścianie. Robaki zapewne uznały, że potrzebuję snu. Wszystko stało się rozmyte i niewyraźne.

Po jakimś czasie odniosłam wrażenie, że Zrodzony góruje nade mną, i poczułam, jak coś pełza w moich żyłach. Leżałam na swoim łóżku. Leżałam na podłodze. Leżałam w salonie. Byłam rozbudzona. Spałam. Zawieszona pomiędzy. Majaczyłam, bredziłam, zastanawiałam się, czy śnię koszmar, czy dopiero do niego wkraczam. Wszystkie wydarzenia z mojej przeszłości, o których starałam się nie myśleć, wydobywały się na powierzchnię, wylewały się z moich ust, a Zrodzony tam stał i słuchał. Opowiedziałam mu wszystko. Rzeczy, do których nie przyznawałam się nawet przed sobą, które ukrywałam od tak dawna, że już nie miałam nad nimi kontroli.

Wtedy nie mogłam tego wiedzieć, ale to, co ofiarowałam Zrodzonemu, zapewne ocaliło mi życie.

Skąd przyszłam i kim byłam

Kiedyś było inaczej. Kiedyś ludzie mieli domy, rodziców i chodzili do szkół. Miasta istniały w krajach, a te kraje miały przywódców. Podróże mogły służyć rozrywce lub rekreacji, a nie przetrwaniu. Ale zanim dorosłam, ten szerszy kontekst był już tylko chorym żartem. Niesamowicie, w jaki sposób małe potknięcie może się zmienić w swobodny upadek, a on z kolei stać się piekłem, w którym żyliśmy jako duchy w nawiedzonym świecie.

Gdy miałam osiem albo dziewięć lat, wciąż chciałam być pisarką, a przynajmniej kimś innym niż uchodźcą. Niż twórczynią pułapek. Niż poszukiwaczką. Niż zabójczynią. Wypełniałam notatniki gryzmołami. Wierszami o tym, jak bardzo kocham morze. Nowymi wersjami baśni. Nawet opisami scen z powieści, których nie dokończyłam i już nigdy nie dokończę. Zrodzony mógłby być istotą z tych dziecięcych opowieści. Mógłby być moim wymyślonym przyjacielem.

Później przekonywałam sobie, że właśnie dlatego opowiedziałam mu o swojej przeszłości, o tym, czego nigdy nie wyznałam Wickowi, tak jak on nie powiedział mi o wykresie, teleskopie czy morskiej biotechnologii. Ale może w tamtej chwili byłabym gotowa wyznać to każdemu.

*

Przyszłam na świat na wyspie, która nie padła ofiarą wojny ani choroby, ale podnoszących się mórz. Mój ojciec był swoistym politykiem – członkiem rady, która rządziła największą wyspą w archipelagu. W wolnym czasie lubił łowić ryby i bawił się w konstruktora. Zbierał stare morskie mapy i szukał na nich błędów. Sam zbudował swoją łódź, którą nazwał „Żółtą skorupą”. Kiedy starał się o względy mojej matki, zabierał ją na „pływające pikniki”, podczas których stały ląd pozostawał tylko

kropką na horyzoncie.

– Pewnie mu ufałam – stwierdziła matka, kiedy o tym opowiadała. – Pewnie naprawdę mu ufałam, skoro pozwalałam zabierać się tak daleko na morze.

Moja matka także urodziła się na wyspie, ale jej lud pochodził z daleka, z kontynentu; ich małżeństwo wywołało skandal, ponieważ takie związki były niedopuszczalne. Od tego skandalu wzięło się moje imię, „Rachel”, ponieważ nie pochodziło z żadnej z naszych rodzin, tylko z dalekiego kraju. Stanowiło kompromis.

Matka była lekarką i zajmowała się małymi dziećmi. Chętnie się uśmiechała i śmiała, może nawet zbyt chętnie, ponieważ śmiała się także wtedy, gdy była zdenerwowana albo zaniepokojona. Ojciec uważnie ją obserwował, by zawsze umieć dostrzec tę różnicę. Lubiła pikantne potrawy pochodzące z jej ojczyzny i budowała małe modele okrętów, w ten sposób żartobliwie kpiąc z fascynacji ojca łodziami. Budowała modele w skali, używając do tego wykałaczek. Tak jak mój ojciec uwielbiała czytać, więc spędziłam dzieciństwo w otoczeniu książek.

Mieliśmy wszystko, czego chcieliśmy, i jeszcze więcej. Wiedzieliśmy, kim jesteśmy, nie mogliśmy jednak powstrzymać podnoszących się wód i mniejsze wysepki wokół nas stopniowo znikwały. Wiezorami patrzyliśmy na ich światła przez teleskop ustawiony na brzegu. A potem nadeszły dni, gdy już ich nie widzieliśmy. Już wcześniej wiedzieliśmy, co się dzieje, ale gdy to się dokonało, schowaliśmy teleskop.

Miałam zaledwie sześć lat, kiedy uciekliśmy, wsiadając na statek wraz z innymi uchodźcami. Pamiętam to, ponieważ rodzice opowiadali mi tę historię, gdy dorastałam. Opowiadali mi ją, gdy kontynuowaliśmy żywot uchodźców, przenosząc się z obozu do obozu, z kraju do kraju, wierząc, że zdołamy wyprzedzić rozpad świata. Ale świat rozpadał się w większości miejsc.

Wciąż zachowuję niewyraźne wspomnienia z obozów. Wszechobecne błoto rozdeptywane przez zbyt liczne tłumy, chmary komarów, tak gęste, że trzeba było trzymać zamknięte usta, ekstremalny upał, który później równoważyło ekstremalne

zimno. Ogrodzenia i psy, które zawsze sprawiały wrażenie lepiej zadbanej niż namioty. Nowe dokumenty, o które musieliśmy się ubiegać, ponieważ stare zawsze były niewystarczające. Odpady biologiczne, które specjalnie dla nas ładowano łopatami do koryt, oraz stopniowe wymieranie telefonów i innych urządzeń. Stale towarzyszące nam uczucie pustki i głodu. Choroby, nieustające przeziębienie albo gorączka. Ludzie za ogrodzeniem, strażnicy, byli tacy sami jak my, a ja nie rozumiałam, dlaczego oni mają być na zewnątrz, podczas gdy my tkwimy w środku.

Ale pamiętam także, jak moi rodzice śmiali się i opowiadali o naszej ojczyźnie, gdy byłam już na tyle duża, by to docenić. Pamiętam zdjęcia, ceremonialną miseczkę, którą ojciec koniecznie chciał zabrać, ręcznie robioną biżuterię matki i album fotografii. Za każdym razem, gdy się przeprowadzaliśmy i zaczynaliśmy od nowa, ojciec coś budował: namioty, zagrody, ogródki warzywne. Matka również nie pozostawała bezczynna i zajmowała się chorymi, chociaż w krajach, w których mieszkaliśmy, nie uznawano jej dyplomu lekarskiego. Czy kierowała nimi bezinteresowność? Walczyli o swoje życie i tożsamość, zatem nie byli bezinteresowni, a jednak pomagali ludziom.

Mój ojciec zapewne robił dobrą minę do złej gry ze względu na mnie i moją matkę. Ona mogła pewnego dnia wrócić do ojczyzny; on nie miał na to szans. Rzadko spotykaliśmy ludzi, którzy mieszkali na naszej wyspie. Opowieści ojca zaczęły mnie nudzić przez swoją powtarzalność, ale teraz rozumiem, że on po prostu starał się naprawić to miejsce dzięki busoli swoich wspomnień.

Przez cały ten czas rodzice pamiętali o mojej edukacji. Nie o formalnym wykształceniu, ale o zdobywaniu wiedzy, która się liczyła. Co należy cenić. Czego się trzymać. Z czego rezygnować. O co walczyć, a co porzucić. Gdzie kryją się pułapki.

Przez pewien czas żyliśmy we względnym spokoju. Ojciec zabrał nas na inną wyspę: była zupełnie inna, ale naiwność bądź odwaga – a może jedno i drugie – skłoniły go do próby

odtworzenia tego, co znał. Wiedliśmy tam dobre życie przez niemal dwa lata. Znaleźliśmy miasto do zamieszkania, plażę do spacerów, ogrody botaniczne, szkołę, inne dzieci, które wyglądały jak ja. Zajęliśmy niewielkie dwupokojowe mieszkanie, a mój tata zbudował na podwórku kanoe z silnikiem poskładanym ze znalezionych części. Matka znów została lekarką i pracowała w zamian za towary.

Od czasu do czasu z kontynentu docierały wieści, że sytuacja staje się coraz gorsza, ale rodzice starali się jak najdłużej ukrywać przede mną te informacje. Aż pewnego dnia przeżyliśmy szok: Żołnierze zapędzili nas na zatłoczony prom napędzany cuchnącym silnikiem diesla i zawieźli na stały łódź do kolejnego obozu. Zielononiebieska woda, łódź ojca i nasze mieszkanie zniknęły.

Potem było tylko gorzej. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, aż w końcu nie mogliśmy liczyć już nawet na obozy dla uchodźców. Samodzielnie przemierzaliśmy krainę, która mieściła w sobie obszary zarówno normalności, jak i szaleństwa. Serdeczności i okrucieństwa, które czasami pochodziły z tego samego źródła. Ojciec trzymał nóż w bucie i na zmianę z matką nosił niewielki rewolwer. W każdej chwili mogliśmy natrafić na spalone ciała na wpół pogrzebane w jakimś rowie albo na farmera i jego synów uzbrojonych w śrutówki. Kiedyś uśmiechnięty mężczyzna zaprosił nas do swojego domu i próbował zgwałcić moją matkę. Od tamtej pory ojciec miał bliźnę na lewej ręce i trzymaliśmy się z dala od głównych dróg.

Czasami woleliśmy głodować niż dołączyć do szeregów uchodźców, którzy powolnym, zmęczonym krokiem maszerowali ku złudzeniu. Boczne drogi, którymi wędrowaliśmy, zmieniły się w szare węże wijące się wśród czarnych lasów albo zarośli. Widziane w oddali światła chat albo miasteczek wzbudzały w nas przerażenie i ostrożność, więc staraliśmy się ich unikać.

Wiele miesięcy po tym, jak przestaliśmy wierzyć w bezpieczne schronienie, na dalekim wzgórzu pojawiło się miasto tak cudowne, że o zmierzchu wyglądało jak olbrzymi kryształowy żyrandol, który spadł na Ziemię, albo uwięziony oceaniczny

liniowiec leżący na burcie. Nie mogłam oderwać od niego wzroku i prosiłam rodziców, żebyśmy tam poszli. Zignorowali mnie. Mieli rację. Miasto wciąż widniało na horyzoncie, a wieczorem dziewiątego dnia, gdy okrążaliśmy je od wschodu, wciąż przedzierając się przez lasy i równiny, zapaliło się i wszystkie te migoczące światła pochłonął potężny pożar, który rozświetlił mrok w promieniu wielu kilometrów.

Od miasta oddaliły się migające światła bombowców, a my, daleko w dole, patrzyliśmy na nie z zachwytem, ponieważ od wielu lat nie widzieliśmy żadnego samolotu. To było coś tak starego, a zarazem tak nowego. Zastanawialiśmy się, czy samoloty świadczą o odrodzeniu, czy możemy się spodziewać wskrzeszenia normalnego życia. Ale to było tylko złudzenie. Pozbawione znaczenia.

Pośpiesznie wędrowaliśmy na wschód, obawiając się exodusu ocalałych mieszkańców, jakby to była fala, która może nas zatopić, chociaż oni w niczym się od nas nie różnili. Po jakimś czasie niebo zasnuł gęsty, pylisty czarny dym, z chmur spadł deszcz brudny jak sadza, a spod ziemi wyroiły się dżdżownice, króliki i inne umierające istoty.

Wkrótce zaczęliśmy wspominać tamte dni z rozrzewnieniem. Ale moi rodzice ani na chwilę nie tracili nadziei i próbowali znaleźć bezpieczne miejsce. Nie poddawali się. Nigdy się nie poddawali. Wiedziałam o tym, nawet wtedy, gdy ich zabrakło.

Powiedziałam Zrodzonemu jeszcze więcej, ale nie jestem w stanie o tym napisać, ponieważ to zbyt straszne rzeczy, by ująć je w słowa. Poza tym wiąże się z nimi jedyna kwestia, której nie pamiętam: jak przybyłam do tego miasta, co się stało z moimi rodzicami. Ostatnie, co pamiętam przed miastem, to powódzie, prowizoryczne szalupy i rozszerzające się milczenie martwych i tonących ludzi – a także łąd mający na horyzoncie. Ostatnie, co pamiętam, to drugie i trzecie zanurzenie pod powierzchnię z płucami pełnymi błota.

Ale kiedy się ocknęłam, byłam w mieście i szłam o własnych

siłach. Wędrowałam przez miasto, jakbym od zawsze tutaj była.
Sama.

Co zrobiłam potem, chociaż to nie było właściwe

Mimo że patrzyłam trzeźwym okiem na swój pokój, w którym brakowało bieżącej wody, pleśń wypowiedziała wojnę konstelacjom świetlików osadzonych w suficie, jedna ze ścian groziła zawaleniem, a za znajdującym się w niej oknem piętrzyła się góra szlamu... mimo tego wszystkiego, a także scen widywanych na ulicach, gdzie jedna zmęczona i brudna osoba walczyła z inną równie zmęczoną i brudną osobą o ochłapy, które dawny świat uznałby za bezużyteczne lub ohydne... mimo tego wszystkiego, wciąż wyobrażałam sobie, że pewnego dnia drobne rzeczy, które kiedyś kochaliśmy, mogą zostać nam zwrócone.

– To tylko ja – powiedział Zrodzony, a ja, kuląc się na swoim łóżku i próbując dojść do siebie, długo nie odpowiadałam.

Przynajmniej nie w sensowny sposób. Zagubiona wypluwałam w jego kierunku bełkotliwe słowa. Od czasu do czasu obok niego pojawiał się Wick, po czym znów znikał. Czasami czułam, że mnie obejmuje. Czasami widziałam, że wpatruje się we mnie z poczuciem winy oraz, jak mi się wydawało, podejrzliwością.

Czy był podejrzliwy ze względu na Zrodzonego? Od czasu napaści Zrodzony znów się zmienił. Porzucił kształt ukwiału i teraz przypominał duży wazon albo kałamarnicę balansującą na płaskim kominku. Otwór na szczycie wywinął się na zewnątrz i uniósł na czymś, co postanowiłam uznać za długą szyję, a także wypuścił pierzaste nitki, które wyglądały niemal pretensjonalnie. Przy wtórze długiego cichego westchnienia zbijały się razem, a następnie rozdzielały, niczym dziwaczni zsynchronizowani tancerze. Zrodzony przewyższał teraz łóżko o dobre sześćdziesiąt centymetrów. Kolory wciąż migotały na jego powierzchni lub leniwie kłębiły się jak burzowe chmury, poszarpane, wielowarstwowe i ciemne. Lazurowe. Lawendowe. Szmaragdowe. Często pachniał wanilią.

Kiedy leżałam na boku i na niego patrzyłam – na wpół zaciekawiona, na wpół wystraszona – widziałam, że jego ciało otaczają niepokojące niewielkie oczy. Każde z nich całkowicie różniło się swoich sąsiadów. Niektóre były ludzkie – z niebieskimi, czarnymi, brązowymi, zielonymi źrenicami – a inne zwierzęce, ale Zrodzony widział nimi wszystkimi. Wprawiały mnie w zakłopotanie, ponieważ nie wiedziałam, co oznaczają. Postanowiłam uznać je za rodzaj dziwnego ornamentu, odpowiednik pasa.

Kiedy Zrodzony widział, że go obserwuję, wydawał odgłos, który przypominał odchrząkiwanie, a jego ciało wchłaniało wszystkie oczy poza dwojgiem, które przesuwają się wyżej i oddalały od siebie. Czasami ponownie zsuwały się na wysokość jego bioder, ale gdy już zajęły pozycję na tułowiu, powiększały się, przybierały barwę morskiego błękitu i wyrastały na nich długie ciemne rzęsy. Poruszały się niezależnie od siebie.

Pewnie uważał, że dzięki temu wygląda bardziej normalnie.

*

Szóstego dnia czułam się już bardziej przytomna i obudziłam się tylko lekko otępiła. Wick znów niechętnie wyszedł z domu, żeby zająć się swoimi interesami. Nie znalazł napastników i wiedziałam, że zapewne nigdy mu się to nie uda. Nie wracaliśmy do tego, co się wydarzyło, i w ogóle mało rozmawialiśmy. Kiedy wracał, udawałam, że śpię. Zachowywałam siły tylko dla Zrodzonego.

Ze swojego posłania zadałam mu pytanie. Jedyne, jakie mogłam zadać – niebezpieczne pytanie, które pasowało do utrzymującego się niebezpiecznego nastroju. Wciąż działały we mnie lecznicze robaki i chciałam się do czegoś przydać, zrobić coś więcej poza leżeniem.

– Czym jesteś? – Serce szybciej mi zabiło, ale się nie bałam. Prawie.

– Nie wiem – odpowiedział Zrodzony szorstkim, ale słodkim głosem.

Przez chwilę byłam oszołomiona, ponieważ miałam wrażenie,

że przemówił jednocześnie głosami obojga moich rodziców.

Potem dodał szczerze i z entuzjazmem:

– A ty wiesz, czym jesteś?

Zignorowałam go.

– Zagrajmy w pewną grę, żeby odkryć, czym jesteś.

Na chwilę zamilkł, a jego kolory przygasły. Potem znów się rozjarzył.

– Dobrze – odrzekł. – Dobrze!

– W takim razie będziesz musiał być wobec mnie szczerzy.

– Szczerzy. – Obracał to słowo w swoim umyśle.

– Mówić prawdę.

Po jego skórze przebiegła jaskrawofioletowa fala.

– Szczerzy. Mogę być szczerzy. Jestem szczerzy. Szczerzy.

Czyżbym go zdenerwowała lub uruchomiła jakąś inną emocję?
A może tylko badał to słowo?

– Dużo o mnie wiesz – zagadnęłam. – Ale ja nie wiem nic o tobie.

Ta gra polega na zadawaniu pytań. Odpowiesz na kilka pytań?

– Odpowiem na pytania – odrzekł Zrodzony niepewnie. Czy rozumiał słowo „pytanie”?

– Czy jesteś maszyną? – spytałam.

– Co to jest maszyna?

– Stworzony przedmiot. Stworzony przez ludzi.

To zbiło go z tropu i długo nie odpowiadał.

– Ty jesteś stworzona. Stworzyła cię dwójka ludzi.

– Chodzi mi o coś zbudowanego z metalu albo ciała, co nie powstało za sprawą naturalnego procesu biologicznego.

– Stworzyła cię dwójka ludzi. Jesteś stworzona z ciała – odparł Zrodzony. Sprawiał wrażenie pobudzonego.

– Dlaczego nie ocaliłeś mnie przed tamtymi chłopcami?

– Ocaliłem?

– Nie uratowałeś. Nie pomogłeś. Nie powstrzymałeś ich przed zrobieniem mi krzywdy.

Zapadła długa cisza i Zrodzony jakby całkowicie się wyłączył, zmieniając się w szary przedmiot. Zniknęły nawet jego oczy.

Nagle kolory powróciły w eksplozji czerwieni, różu i kłębiącej się, niespokojnej zieleni. Oczy pojawiły się w formie obracającej

się aureoli osadzonej w skórze niedaleko otworu na szczycie.

– Przecież pomogłem! Pomogłem! Pomogłem Rachel. Pomogłem! – zawołał udręczonym tonem.

Starłam się zapanować nad drzeniem głosu. Napełnił mnie duch Zrodzonego.

– Tamci chłopcy krzywdzili mnie całymi godzinami – wyrzuciłam z siebie. – A ty niczego nie robiłeś. Bardzo mnie krzywdzili. A ty mogłeś coś zrobić.

Znów milczenie, a potem szept.

– Nie mogłem. Nie zrobiłem. Nie pomogłem. Dopóki.

– Dopóki co?

– Dopóki ich nie poznałem.

Zrozumiałam, że tak naprawdę wcale nie chodziło mu o słowo „poznać”. Określenie, którego szukał, mogło w ogóle nie istnieć, a on próbował mi powiedzieć dwie albo trzy rzeczy jednocześnie.

– Jak ich poznałeś?

– Nie jestem pełny – odrzekł. – Nie byłem pełny. Nie jestem pełny. – Spróbował dodać „poskładany”, ale to mu nie pomogło właściwie się wysłowić, więc zakończył wypowiedź z frustracją, od której jego pierzaste nibynóżki wyprostowały się jak kolce.

– A teraz jesteś pełny? Świadomy? – Nie chciałam użyć słowa „aktywny”, ponieważ mnie przerażało.

– Pełniejszy – odrzekł.

Czułam na sobie spojrzenie jego oczu i miałam wrażenie, że czują się uwięzione, jakby były tylko pasażerami.

– Zabiłeś ich – powiedziałam spokojnie. „Ale dopiero, kiedy mnie skrzywdzili”, zabrzmiała w mojej głowie hałaśliwa myśl.

– Zabiłem?

– Pozbawiłeś istnienia. Sprawileś, że już nie żyją. Są martwi. Nie ma ich tutaj.

Zrodzony zadrżał pod wpływem oszołomienia.

– Teraz ich znam. Znam ich.

– Zabijanie jest złe – powiedziałam. – Zabijanie nie powinno się zdarzać. Nie zabijaj. – Chyba że ktoś cię zaatakuje. Chyba że musisz. Ale nie wprowadziłam takiego rozróżnienia, ponieważ zabrakło mi sił.

Jego oczy już nie wydawały się piękne. Wyglądały na jeszcze bardziej zniewolone i straszliwe. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy jedno z nich miało znajomy szary kolor? Odwróciłam się od Zrodzonego i na chwilę odpłynęłam, tracąc przytomność. To było łatwiejsze niż stawienie czoła temu, co powiedział.

Ale dlaczego miałabym się odwracać, gdybym nie czuła się bezpieczna?

*

Siódmej nocy spałam w mieszkaniu Wicka, a Mord spał wysoko ponad nami, rozciągnięty na morzu glinki i odpadków pokrywającym Balkonowe Klify. Czuliśmy jego oddech, niczym upiorny ładunek głębinowy wstrząsający warstwami gleby, belkami, tynkowaniem, podporami i pękającymi łukami. Ten dźwięk przenikał atomy tuzina sufitów, wibrował w naszych ciałach. Po tym, jak docierał do naszych uszu, jeszcze długo czuliśmy go pod skórą.

Czuliśmy także smród, niewyraźny, niesiony kanałami i tysiącami niedoskonałości w skałach osadowych, podziemnymi tunelami dżdżownic i żuków. Tak jak grzmot po błyskawicy, docierał do nas z opóźnieniem, ale gdy tak się działo, zatykał nam gardła. To był smród każdej żywej istoty, jaką Mord zabił w ciągu ostatniego tygodnia. Czy Mord mógł nas wywęszyć tutaj na dole? Czy wyczuwał takie małe ludzkie myszy?

Wick leżał znieruchomiąły, przerażony, że to nie przypadek, że Mord o nas wie i rano zacznie się do nas dobierać. Przez jakiś czas mówił szeptem i poruszał się w zwolnionym tempie, zachowując się tak, jakbyśmy siedzieli wewnątrz okrętu podwodnego, a Mord był niszczycielem, który szuka nas na powierzchni. Zbliżał usta do mojego ucha, nawet gdy szeptał. Wciąż przytaczał plotki o wysłannikach Morda, którzy przeszukują miasto i tereny w głębi kraju. Czego szukają? Wick nie mówił, ale wyczuwałam, że zna odpowiedź.

W końcu w ogóle przestał się odzywać, gdy Mord zaczął stękać przez sen. Jego stęknięcia brzmiały jak roztarte, zmiażdżone słowa przefiltrowane przez ziemię. Nie rozumieliśmy ich, ale

wiedziałam, że pobrzmiwa w nich cierpienie.

Kilka godzin później poczuliśmy, że jego ciężar ustępuje, a Balkonowe Klify niemal podskoczyły z ulgą. Kiedy rankiem przyjrzeliliśmy się miejscu, w którym leżał Mord, zobaczyliśmy potężne zagłębienie. Czy gdyby spędził tam całą noc, w końcu zapadłby się pod ziemię i jego śpiące cielsko przebiłoby kolejne poziomy, docierając aż do naszego sufitu? Smród utrzymywał się przez kolejny dzień albo dwa, a za każdym razem, gdy go czułam, miałam wrażenie, że coś uciska mi głowę.

Przeniosłam się do Wicka, nie chcąc, by przychodził do mojego mieszkania, gdzie wszystko przypominało mu o Zrodzonym, ale on i tak wrócił do tego tematu, gdy tylko Mord się oddalił. Niemal pragnęłam, by Mord został i go uciszył.

– Mógłbym go zabrać – rzekł Wick.

– Kogo? – spytałam, chociaż znałam odpowiedź.

– Zrodzonego. Najwyższy czas. Powinienem go zabrać i zbadać. Podczas gdy ty będziesz wracała do zdrowia.

– Nie musisz.

Zawahał się i chciał coś dodać, ale zrezygnował i najwyraźniej zaakceptował moje zdanie. Przytulił się do mnie i już po chwili cicho chrapał oparty o moje ramię, zupełnie jakbym była tarczą chroniącą go przed Mordem.

Pozwoliłam mu, chociaż mnie bolało; oto cena spokoju. Ponieważ tak było najprościej. Ponieważ to pomagało nam obojgu.

Ale nie mogłam zasnąć. Myślałam o swoich niemądrych rozmowach ze Zrodzonym, wynikających z jego niewielkiej wiedzy o świecie. Przyswajał tylko fragmenty, których nie potrafił poskładać w całość.

Zrodzony: Dlaczego woda jest mokra?

Ja: Nie wiem. Ponieważ nie jest sucha?

Zrodzony: Jeśli coś jest suche, to nie jest mikre?

Ja: Mikre czy mokre?

Zrodzony: Mikre.

Ja: Mówią, że małe jest piękne.

Zrodzony: Słucham?

Spróbowałam mu wytłumaczyć, co oznacza „mikry”.

Zrodzony: Czyli wszystkie mikre rzeczy są piękne? Na przykład ziarenko pyłu w oku? Czy ono jest mikre?

Ja: Tak, no i suche.

Zrodzony: Chce mi się pić. I muszę coś przekąsić. Jestem głodny. Jestem głodny. Jestem głodny.

Rozmowa się urywała, a ja szukałam przekąski dla Zrodzonego, co nie było trudne. Szczególnie lubił „śmieciowe jedzenie”, chociaż to pojęcie już dawno się zdezaktualizowało.

Być może tak bardzo lubiałam Zrodzonego, ponieważ Wick wtedy już niemal stale był poważny. Zrodzony jeszcze długo nie wiedział, czym jest powaga.

Rankiem, kiedy obecność i ciężar Morda były już tylko złym snem, Wick ponowił próbę.

– Mogę to zrobić delikatnie – powiedział, ale to mnie nie uspokoiło. – Mogę go zwrócić w nienaruszonym stanie.

– Nie.

Poczułam, że jego ciało się napięło.

– Nie wiem, dlaczego muszę cię przekonywać. Powinnaś wiedzieć, że to najlepsze rozwiązanie.

– Wcale tak nie jest.

– Wiesz, że coś jest nie w porządku, Rachel. – Teraz już prawie krzyczał.

Jak większość mężczyzn, także Wick w obliczu strachu reagował gniewem dotyczącym całkowicie innej sprawy. Dlatego nic nie odpowiedziałam.

Ale on nie dawał za wygraną.

– Daj mi Zrodzonego.

Nawet nie popatrzyłam w jego stronę.

– Musisz mi go dać, żebyśmy dowiedzieli się, czym jest. Żyje tutaj, razem z nami, a ty chronisz go w nienaturalny sposób. Niczego o nim nie wiesz.

– Nie.

– Możliwe, że wpływa na ciebie za pomocą substancji

biochemicznych – dodał Wick. – Możliwe, że nie panujesz nad własnym umysłem.

Roześmiałam się, chociaż wiedziałam, że to może być prawda.

– Nie masz prawa, Rachel. – Słowo „prawa” wypowiedział urażonym tonem.

– Opowiedz mi o swojej pracy dla Firmy. – Byłam zmęczona rozmową. Po prostu zmęczona. – Opowiedz o swoim dziwnym teleskopie.

Ale nie miał mi nic do powiedzenia o teleskopie. Nie zamierzał już niczego dodawać, podobnie jak ja. Oboje wiedzieliśmy, że wystarczy jeszcze jedno słowo, a opuszczę jego łóżko albo on poprosi mnie, żebym wyszła.

Wick. Wick i Rachel. Nasz portret. Wick i ja po przeciwnych stronach, częściowo poza kadrem. Dziwnie nieufni wobec siebie nawzajem, chociaż tak czule się mną opiekował. Może spodziewał się, że będę go bardziej obwiniała, podsyć poczucie winy, które sam w sobie podtrzymywał. Możliwe, że rzeczywiście miałam do niego pretensje – za to, że uczynił mnie słabą, zależną od jego obserwacji, od jego żuków i pajaków, a nie od własnych pułapek.

Czy to było w porządku? Nie było. Ale ja również się obwiniałam: ukrywałam przed nim jeszcze większą tajemnicę.

Zrodzony potrafi mówić. Zrodzony zabił napastników i ukrył ich ciała. Zrodzony jest inteligentny. Zrodzony czyni mnie szczęśliwą.

Czego nauczyłam Zrodzonego i czego on nauczył mnie

Zrodzony czynił mnie szczęśliwą, ale szczęście nigdy nie czyni ludzi mniej głupimi. Kiedy dochodziłam do siebie, zapomniałam, co na mnie czeka na zewnątrz, więc musiałam nauczyć się wszystkiego od nowa, chociaż odebrałam już tak wiele lekcji.

Gdy byłam oszołomiona, w moim umyśle pojawiały się rozmaite niebezpieczne pomysły. Miałam wrażenie, że małe lisy albo inne pustynne zwierzęta krążą wokół mojego umysłu, czekając i wzbijając kłęby kurzu, zatrzymując się tylko po to, by popatrzeć na mnie z daleka i zachęcić mnie do włóczędzy. Fantazjowałam, że mam prawdziwe mieszkanie w jednym ze stabilnych, praworządnych azylów, które odwiedzałam w przeszłości. Wszystko będzie dobrze – po prostu mam grypę albo jestem przeziębiona i muszę wyzdrowieć. A co wtedy zrobię? Wrócę na uniwersytet i znajdę pracę na pół etatu. Dokończę studia, żeby móc zostać pisarką. Ponieważ zrujnowane miasto i moje życie poszukiwaczki to tylko zły sen, z którego wkrótce się obudzę, a wizje, w których się topię, tracę swoich rodziców i zarazem wszelkie związki z przeszłością, to także tylko iluzja.

Im więcej czasu i energii Wick poświęcał, by mnie chronić, tym bardziej te myśli nade mną panowały, chociaż miały niewielki związek z moimi wspomnieniami o ucieczce, poszukiwaniu schronienia i zagrożeniach, które napotykałam przed przybyciem do miasta.

Umysł jednak zawsze szuka sposobów, by się chronić i budować fortyfikacje, a niektóre z tych murów stają się pułapkami. Zaczęłam wędrować po swoich obwarowanych pokojach razem ze Zrodzonym, zapuszczać się na korytarze. Żyłam w żalosnej fantazji i nie zauważałam napotykanych zjaw, które mówiły mi, że to kłamstwo. Krzesło tkwiące w ścianie. Zardzewiała bezużyteczna szafka, która służyła tylko jako barykada blokująca

wlot tunelu. Brak bibliotek i innych ludzi.

Ale dzięki Zrodzonemu tamte tygodnie izolacji zawierają także moje najwspanialsze wspomnienia. Wick często wychodził, żeby szpiegować ruchy Magiczki, dostarczać żuki swojej nielicznej grupie handlarzy... a zapewne także z powodu naszej kłótni.

W ten sposób Zrodzony i ja mieliśmy więcej czasu na poznawanie okolicy. Znudziło mu się siedzenie w mieszkaniu. Kiedy wiedziałam, że Wicka nie będzie przez wiele godzin, prowadziłam Zrodzonego korytarzami, zaniepokojona wizją przyłapania i zeszywniała od powoli gojących się ran.

Sama się oszukiwałam, nie mówiąc Wickowi, że Zrodzony potrafi mówić. Na pewno o tym wiedział. Ale skoro nigdy o tym nie wspomniałam, a on również nie poruszał tego tematu, Zrodzony pozostawał stojącą między nami jawną potworną tajemnicą. Czułam się przez to niespokojna, zupełnie jakbym chciała, by Wick stawiał mi czoło. Jakbym czuła, że jeśli tego nie zrobi, nasz związek okaże się kłamstwem.

Ignorując słabość ciała, pędziłam razem ze Zrodzonym ciemnymi, zakurzonymi korytarzami. Zrodzony bał się zderzenia/złączenia ze ścianą i potknięcia o własne nibynóżki, więc zawodził: „Biegniesz zaaaaaa szybko!” albo „To ma być zabaaaaaaaawa?”, co mnie również rozśmieszało. Kiedy nie musisz biec, ale masz okazję robić to dla frajdy, czujesz się dziwnie luksusowo.

Na końcu korytarza padaliśmy na ziemię, a Zrodzony, oprócz zwyczajowych uwag, że jest głodny i potrzebuje przekąski – pozwalałam mu polować na jaszczurki i szczury, żeby chociaż trochę stępić jego apetyt – zadawał swoje pytania. Nigdy nie miał ich dosyć i łapczywie oczekiwał odpowiedzi.

– Ten kurz jest taki suchy. Dlaczego kurz jest taki suchy? Czy potrzebuje wilgoci dla równowagi?

– Wtedy mówimy na to błoto.

– Co to jest błoto?

– Mokra ziemia.

– Jeszcze nie widziałem błota.

– Nie, nie widziałeś. Jeszcze nie.

Pokazałam Zrodzonemu zdjęcie łośnicy w starej encyklopedii, a on wskazał je wyciągniętą macką i zawołał: „Oooo! Długa mysz!”. Od razu wpadłam na pomysł, że nauczę Zrodzonego czytać, ale on zabrał się do tego samodzielnie. Gdy bawiliśmy się w chowanym, czasami znajdowałam go skulonego obok sterty porzuconych książek. Dwie macki przytrzymywały tom, a trzecia opuszczała się delikatną spiralą ze szczytu głowy.

Z entuzjazmem zgłębiał wszystkie możliwe tematy i nie miał żadnych preferencji. Jego liczne oczy miarowo przesuwają się po stronach. Podejrzewam, że nie potrzebował światła ani oczu do czytania, ale lubił mnie naśladować. Może nawet uważał, że grzeczność wymaga udawania, że światło i oczy są mu niezbędne.

Ale tak naprawdę nie wiem, co ani jak myślał, ponieważ przez większość czasu tylko zasypywał mnie pytaniami.

W końcu zabrałam go na basen, który służył Wickowi jako laboratorium. Kochałam to miejsce i być może to oznaczało, że w pewnym sensie kochałam także Wicka. Nad basenem pierwotnie znajdował się świetlik sięgający samego szczytu Balkonowych Klifów, otoczony połącią otwartej przestrzeni, którą Wick starał się zakamuflować od góry za pomocą swoich iluzji.

Kiedy światło wpadało przez dziurę w suficie pod odpowiednim kątem, tworzyło zielonozłote fale, zupełnie jakby mech i porosty na powierzchni mieszały się z promieniami słońca i ulegały zasadniczej przemianie. W świetle odbijającym się od żywych włókien, które Wick umieścił tam w ramach swojej pracy, widać było unoszące się w powietrzu drobiny kurzu, pływające pluskwiki i nartniki, a ponad powierzchnią wody kłębiącą się mgiełkę układającą się we wzory podobne do paproci.

Trzeba było chwili, aby przyzwyczaić się do mieszanki chemikaliów, od których biła zatęchła woń podszyta ostrą nutą, czasem słodką, innym razem kwaśną, ale zawsze drażniącą nozdrza. Wick rano potrzebował światła, by żyć cuchnący,

obrzydliwy, połyskujący wywar potrzebny na ostatnim etapie produkcji żuków i innych tworów. Do zbiornika trafiały także nasze odchody, chociaż nieprzyjemna woń pochodziła raczej od alg, torfu i jakichś chemikaliów. Już dawno się do niej przyzwyczaiałam, a nawet uznałam ją za przyjemną.

Podobne do węgorzy istoty wiły się w tym bagnie, a spod powierzchni na chwilę wynurzały się płetwy dziwacznych ryb.

- Co to jest basen? - spytał Zrodzony.

- Zbiornik, do którego ludzie wchodzi, żeby popływać.

- Przecież on jest pełen obrzydliwych rzeczy! Żyją tam obrzydliwe istoty. Po prostu obrzydliwe. Naprawdę obrzydliwe.
- Zrodzony niedawno poznał słowo „obrzydliwy” i często go używał.

- Wystarczy, że zostawisz te obrzydliwe istoty w spokoju, Zrodzony, nawet jeśli jesteś głodny. - Delikatnie odtrąciłam mackę, która zaczęła się zbliżać do wody. Nie miałam pojęcia, jak mogłyby na niego wpłynąć te chemikalia. Nie chciałam także, żeby Zrodzony zjadał zapasy Wicka, gdyż to jeszcze bardziej by go rozwścieczyło.

Zrodzony podsumował dla mnie całą sytuację:

- Basen to zbiornik, w którym ludzie lubią pływać w obrzydliwych rzeczach.

- Blisko - odrzekłam, chichocząc. - Nie natrafisz na zbyt wiele takich miejsc, gdy znajdziesz się w prawdziwym świecie.

Od razu pożałowałam, że to powiedziałam, ponieważ przyznałam, że ten świat nie jest prawdziwy. Że żyjemy wewnątrz czasoprzestrzennej bańki, która nie może przetrwać.

Zabierałam go także na balkon na urwisku, ale to było nieco trudniejsze, ponieważ czułam, że powinien się zamaskować, by był bezpieczny. Znalazłam kapelusz w kwiaty z tylko jedną dziurą po kuli i pasującą brązową plamą krwi. Znalazłam modne okulary przeciwsłoneczne. Mogłam okryć Zrodzonego niebieskim prześcieradłem albo czarną suknią wieczorową, którą ocalałam z na wpół pogrzebanego mieszkania. Suknia była

nadjedzona przez mole i wyblakła do ciemnej szarości, ale zdecydowałam się właśnie na nią, ponieważ nie miałam dokąd w niej chodzić, a zresztą była na mnie o kilka numerów za duża.

Zrodzony zmienił kształt, robiąc się nieco dłuższy i węższy niż zazwyczaj, jakby „wciągnął brzuch”, po czym włożył ten absurdalny strój. Na nim suknia wyglądała dobrze, a później dowiedziałam się, że ukształtował się na podobieństwo mojego ciała, więc patrzyłam na prymitywną zielonoskórą wersję siebie.

Ale to mu nie wystarczyło.

– Co z butami? – spytał, a ja pożałowałam, że dwa dni wcześniej wygłosiłam mu pogadankę na temat wartości solidnej pary butów.

– Nie potrzebujesz butów. Nikt nie zobaczy twoich stóp. – Pewnie nikt w ogóle go nie zobaczy, koniec kropka.

– Wszyscy noszą buty – odrzekł, cytując mnie. – Po prostu wszyscy. Ty nie zdejmujesz ich nawet do snu.

To była prawda. Wciąż byłam przyzwyczajona do spania pod gołym niebem, a kiedy nocujesz w niebezpiecznym miejscu, nigdy nie należy zdejmować butów, na wypadek gdyby w ciągu kilku sekund trzeba było zebrać swoje rzeczy i rzucić się do ucieczki.

Zrodzony naprawdę chciał mieć buty. Pragnął pełnego przebrania. Dlatego dałam mu zapasową parę swoich ciężkich butów, w których przyszedł do miasta.

Z wielkim namaszczeniem wyhodował stopo-nogi i za pomocą dłonio-rąk włożył nowe obuwie. Zmienił odcień skóry, upodabiając go do mojej karnacji. Ze szczeliny na szczycie jego głowy dobiegły słowa stłumione przez kapelusz:

– Teraz możemy iść.

Ale skoro Zrodzony domagał się pełnego przebrania, to ja chciałam pełnego człowieka.

– Najpierw musisz wyhodować usta i prawdziwą twarz – odrzekłam.

– O-o – odparł, ponieważ zupełnie o tym zapomniał. W tamtych czasach zawsze mówił „o-o”, kiedy uważał, że popełnił błąd. Może także próbował być nieco „trudny” – bawił się tą ideą,

zazwyczaj w uroczy sposób.

Przemiana trwała zaledwie sekundę. Wszystkie oczy zniknęły, a następnie dwoje wyłoniło się w odpowiednim miejscu – już nigdy nie miały być szare – pod nimi zaś pojawił się nos, bardziej przypominający głowę jaszczurki, którą Zrodzony zjadł kilka godzin wcześniej, oraz szaleńczo wyszczerzone usta. W tym kapeluszu. W tej czarnej sukni wieczorowej. W tych butach.

Wyglądał tak autentycznie, że miałam ochotę go uściskać, i nawet nie przyszło mi do głowy, jaki dar mu ofiarowałam. Nie rozumiałam, do czego jeszcze można wykorzystać przebranie.

Wyszliśmy na balkon. Zrodzony uważał, że niczego nie widzi przez okulary przeciwsłoneczne, więc je zdjął. Jego nowe usta ułożyły się w szczerze zaskoczone „O”.

– Jak pięknie! – zawołał. – Jak pięknie pięknie pięknie... – Kolejne nowe słowo.

Tym, co najbardziej mnie zaszokowało, i co nie dawało mi spokoju, był fakt, że tutaj rzeczywiście było pięknie. Tak niewiarygodnie pięknie, a ja nigdy wcześniej tego nie dostrzegłam. W dziwnym morskim błękicie późnego popołudnia rzeka rozбивała się lawendą, złotem i pomarańczem o liczne skaliste wysepki i porastające je drzewa... Wyglądała niesamowicie. Balkonowe Klify w tym świetle zabarwiły się niemal na czarno, ale nie do końca, niemal na niebiesko, ale nie do końca, a sterczące cienie wyglądały na twarde i chłodne.

Zrodzony nie wiedział, że to wszystko jest śmiercionośne, skażone, prawdziwie obrzydliwe. Zresztą może dla niego wcale takie nie było. Może mógłby popływać w tej rzece bez żadnego uszczerbku. W tamtej chwili zdałam sobie sprawę, że być może zaczynam go kochać. Ponieważ on nie postrzegał świata tak jak ja. Nie widział pułapek. Ponieważ sprawiał, że musiałam na nowo przemyśleć znaczenie nawet tak prostych słów jak „obrzydliwy” i „piękny”.

Wtedy zdecydowałam, że wymienię swoje bezpieczeństwo na coś innego. To była ta chwila. Niezależnie od tego, co miało się stać później, przeszłam do innego miejsca, a pytanie już nie brzmiało, komu powinnam zaufać, ale kto powinien zaufać mnie.

Część druga

Jak to było i co się wydarzyło później

Pierwszy raz zobaczyłam Morda o zmierzchu sześć lat przed spotkaniem Zrodzonego, w dniu, gdy nie udało mi się znaleźć niczego poza odrobiną cuchnącego autonomicznego mięsa drżącego w rowie obok na wpół otwartej kraty kanału burzowego. Od razu rozpoznałam pułapkę. Oznaczyłam teren kredą i powędrowałam daleko na zachód, do ruin porzuconej autostrady pokrytej porostami, rdzą i fragmentami kości. Tworzyły zielono-czerwono-biały wzór, który wyglądał niemal na celowo wykonany. To nie były dobre porosty, w przeciwnym razie zebrałabym trochę na później.

Wysoki poziom chemikaliów w miejskim powietrzu zawsze sprawiał, że zachody słońca wyglądały oszałamiająco, nawet dla kogoś zblazowanego, beznadziejnie rozproszonego albo po prostu znudzonego poezją. Warstwy pomarańczowego i żółtego blasku roztopiały się w błękit i fiolet. Popatrzyłam na północ i południe, ale nikogo nie zobaczyłam. Znalazłam gdzieś wyblakły leżak, usiadłam na nim i zaczęłam jeść wyschnięte zeszlotygodniowe krakersy. Mój żołądek boleśnie się ścisnął, gdy patrzyłam na zachodzące słońce.

Byłam brudna po całodniowej wspinaczce tunelami w na wpół opuszczonej dzielnicy fabrycznej. Śmierdziałam. Byłam wyczerpana. Pomimo podjętych środków ostrożności każdy mógł mnie zobaczyć. Każdy mógł mnie zaatakować. Nie dbałam o to. Od czasu do czasu trzeba odpuścić, w przeciwnym razie zapomina się, jakie to uczucie, a w tym tygodniu już osiągnęłam

swój limit. Tamto mięso marnujące się jako przynęta w pułapce zastawionej przez jakiegoś szaleńca, kanibala, zbrodźcę – ono przeważyło szalę.

Mord uniósł się spomiędzy skupiska budynków bezpośrednio przede mną. Początkowo był dużą, nieregularną ciemnobrązową kulą na tle pomarańczowej krawędzi słońca. Przez jedną straszną chwilę myślałam, że to zaćmienie albo chemiczna chmura zwiastująca moją śmierć. Ale potem „zaćmienie” zaczęło bez wysiłku sunąć w moją stronę, przesłaniając słońce, niszcząc niebo, a ja ze szczegółami widziałam potężny porośnięty futrem łeb.

Nie mogłam się ruszyć. Powinnam była uciec, ale tego nie zrobiłam. Powinnam była zerwać się z leżaka i pobiec do tunelu ściekowego. Ale tego nie zrobiłam. Tylko siedziałam z krakersem do połowy wsuniętym do ust i patrzyłam, jak pochłania mnie cień potwora.

Wtedy Mord nie był jeszcze taki wielki i wciąż mieszkał w budynku Firmy. Kiedy uniósł się nade mną niczym żywy okręt, zobaczyłam, że jego futro jest złocistobrunatne, nieskazitelne i pachnie czystością, jakby armia pracowników Firmy całymi godzinami je pielęgnowała.

W jego ogromnych ślepiach można było dostrzec inteligencję i ciekawość. Były dziwnie ludzkie, nie tak przekrwione i krzywe jak później. Gładkie białe kły nie wyglądały jak krwawa groźba, a raczej obietnica szybkiej, czystej egzekucji. Rozkoszował się podmuchami wiatru poruszającymi jego futrem.

Nie umiem w pełni wytłumaczyć, jakie wrażenie wywarł wtedy na mnie Mord. Kiedy jego aksamitna, cudowna głowa sunęła nade mną, kiedy jego wzrok przesunął się po mnie z niemal tajonym rozbawieniem, gdy jego futro znalazło się zaledwie metr nade mną, roztaczając zapach jaśminu... patrzyłam na lecące nade mną potężne ciało i z trudem powstrzymałam pragnienie uniesienia ręki i dotknięcia go.

Jakaś cząstka mnie nie potrafiła zdecydować, czy doświadczyłam przejścia boga, czy może halucynacji wywołanej głodem. Ale w tamtej chwili pragnęłam przytulić się do Morda.

Zanurzyć w jego futrze. Chciałam uczepić się go, jakby był ostatnią normalną rzeczą na świecie, choćby to oznaczało mój koniec.

Po tym, jak Mord mnie minął, nie śmiałam obejrzeć się przez ramię. Bałam się. Bałam się, że będzie na mnie patrzył łapczywym wzrokiem. Bałam się, że to ja go przywołałam pod wpływem jakiejś mrocznej potrzeby i on tak naprawdę nie istnieje. Jak to możliwe, że potrafi latać? Co to za cud bądź przekleństwo? Nie wiedziałam, a Wick nigdy nie wysunął żadnej teorii. To, że Mord kiedyś mógł być człowiekiem, wtedy wydawało nam się opowieścią rodem z bajki – daleką i niejasną prawdą mieszkającą na odległym górskim szczycie. Jednakże ta umiejętność sprawiała, że niektórzy w mieście wierzyli, że umarliśmy i teraz istniejemy w zaświatach. Jakimś czyścicu albo piekle. A część z tych, którzy w to wierzyli, oddawała się Mordowi w ofierze – i to nie poprzez gapienie się na niego z leżaka z krakersem w ustach. Bo skoro już nie żyjesz, to jakie to ma znaczenie?

Siedziałam z ostatnim krakersem, podczas gdy wokół mnie zapadał zmrok i pojawiały się gwiazdy. Dopiero po jakimś czasie zaczęłam drzeć i zwróciłam uwagę na zbliżające się dziwne dźwięki, więc postanowiłam poszukać schronienia na noc.

Byłam w mieście od tygodnia. Tydzień później spotkałam Wicka. Wkrótce potem zamieszkałam z nim w Balkonowych Klifach.

*

Byłam przekonana, że Zrodzony zabił napastników – mimo że wciąż zbyt mało o nim wiedziałam – ale nie mogłam się zgodzić z osądem Wicka. Zastanawiałam się, czy w Zrodzonym nie ma mnóstwa dobrych i szlachetnych cech, które mogę wydobyć, niezależnie od jego przeznaczenia. To podstawowe pytanie wciąż na nowo wyłaniało się z ciemności, chociaż już znałam odpowiedź Wicka.

W kolejnych tygodniach tak bardzo się starałam zaakceptować Zrodzonego, że w końcu przestałam go postrzegać jako dziwnego, mimo że stale rósł i już przewyższył wzrostem Wicka, a także wypróbowywał nowe kształty, zmieniając się ze stożka w sześcian i kulę, a następnie z powrotem w odwróconą kałamarnicę.

Wick niemal bez przerwy był przy mnie i otaczał mnie opieką. Powinnam była okazywać mu większą wdzięczność, ale zamiast tego coraz bardziej niechętnie reagowałam na jego obecność. Gdy był w pobliżu, Zrodzony musiał trwać w bezruchu i milczeniu, z ukrytymi oczami – stał w kącie, podczas gdy Wick i ja rozmawialiśmy. Przypominał olbrzymi znak zapytania, a to, że Wick nigdy na niego nie patrzył, uświadamiało mi, że tak naprawdę zwraca na niego baczną uwagę.

Ale nawet gdy Wick wychodził, moje rozmowy ze Zrodzonym były urywane i sztywne. Początkowo unikałam podstawowych pytań, ale potem do nich wracałam, ponieważ nie miałam wyboru. Postrzegałam siebie jako tarczę przed Wickiem, który zadawałby bardziej natarczywe pytania i wyciągał surowsze wnioski.

Wróciłam do idei Zrodzonego jako maszyny. W gruzach znalazłam starą książkę i pokazałam mu zdjęcie robota, a następnie krowy wyhodowanej za pomocą bioinżynierii. Ależ bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy dzisiaj napotkali krowę włączającą się po mieście!

– Widzisz? Podoba ci się?

Uniósł się, wysuwając nibynóżki, które wyłoniły się jakby z porów skóry.

– Nie jestem maszyną. Jestem osobą. Tak jak ty, Rachel. Tak jak ty.

Po raz pierwszy zrobiłam coś, co go uraziło. Wcześniej zdarzało mi się wprawić go w zakłopotanie, ale nigdy go nie obraziłam.

– Przepraszam – odpowiedziałam i rzeczywiście było mi przykro. Nieco zmieniłam temat. – Wiesz, jak przybyłeś do miasta?

– Nie pamiętam. Była woda, mnóstwo wody, a potem szedłem.

Po prostu szedłem.

– Nie – odrzekłam cierpliwie. – To moje wspomnienie. To coś, co ci opowiedziałam. – Takie pomyłki zdarzały się częściej, niż powinny.

Zrodzony przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Wiem różne rzeczy o rzeczach, które nie są moje. Ale to wszystko jest pomieszane. Ja to mieszam. Powinienem to mieszać. W białym świetle.

Pomyślałam o białym świetle często pojawiającym się w opowieściach o śmierci i umieraniu. „Byłem w tunelu. Widziałem białe światło”.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć o tym świetle?

Ale nie odpowiedział na to pytanie, tylko uciekł się do odpowiedzi, która miała sprawić mi przyjemność.

– Odnalazłem siebie, kiedy mnie zabrałaś! To ty mnie znalazłaś. Zerwałaś mnie jak kwiat.

Niedawno poznał słowo „kwiat”, którego brzmienie niezwykle go rozbawiło. Biegał po korytarzach jak rozbrykany uczeń i wołał „kwiat kwiat kwiat”, przypominając świergoczącego ptaka.

Ale tym razem wypowiedział te słowa cichnym głosem, rozplaszczając się na podłodze przy moim łóżku, co zawsze robił, gdy rozmawiał o rzeczach, które go przerażały.

– Znasz swoje przeznaczenie? – spytałam.

Oczy osadzone na słupkach, które niedawno wypuścił i które na zmianę wysuwały się i chowały w jego ciele, popatrzyły na mnie pytająco.

– Powód – wyjaśniłam. – No wiesz... cel istnienia. Czy zostałeś stworzony w jakimś celu?

– Czy wszystko ma jakiś cel, Rachel?

Jego słowa mnie poruszyły, gdy tak siedziałam w salonie i spoglądałam na naznaczony pleśnią sufit.

Jakie jest moje przeznaczenie? Przeszukiwać ruiny dla siebie, Wicka, a teraz także Zrodzonego? Trwać... i czekać? Na co?

Ale starałam się być dobrym rodzicem i przyjacielem dla Zrodzonego, więc odpowiedziałam:

– Tak, wszystko ma jakiś cel. A każda osoba ma albo odnajduje jakieś przeznaczenie. – Albo powód istnienia.

– Czy jestem osobą? – spytał, a oczy na słupkach uniosły się, bacznie oczekując odpowiedzi.

Nie wahałam się.

– Tak, Zrodzony, jesteś osobą.

Dla mnie był osobą, ale zarazem już wkraczał na kolejne terytoria.

– Czy jestem zdrowy na umyśle?

– Nie jestem pewna, o co ci chodzi – odrzekłam, jak zwykle, gdy potrzebowałam czasu do namysłu.

– Skoro można być zdrowym na umyśle, to czy można być także chorym na umyśle?

– Tak sądzę.

– Jak do tego dochodzi? Czy to wrodzone?

– Trudne pytanie. – Zazwyczaj odpowiedziałabym na przykład: „Czy chciałbyś być chory na umyśle?” albo wyjaśniłabym, że to może być zarówno wrodzone, jak i spowodowane jakimś urazem. Ale byłam zbyt zmęczona po całym dniu naprawiania pułapek.

– Trudne, ponieważ jestem chory na umyśle?

– Nie. Czy lubisz czasami milczeć? – Zrodzony był osobą, ale wyjątkowo męczącą, ponieważ o wszystko wypytywał.

– Czy milczenie jest spowodowane chorym umysłem? – spytał.

– Milczenie jest złotem.

– Ponieważ jest zrobione ze światła?

– Jak to możliwe, że mówisz, skoro nie masz ust? – spytałam, ale nie bez czułości.

– Ponieważ jestem chory na umyśle?

– Jesteś zdrowy na umyśle, ale chorobliwie gadatliwy.

– Czy brak ust to choroba?

– Brak ust to... – Nie zdołałam powstrzymać wybuchu śmiechu.

Postrzegałam te rozmowy jako zabawę, ale tak naprawdę był to przykład kontaktu z młodym, nieukształtowanym umysłem, który jeszcze nie potrafił przekazywać złożonych pojęć za

pomocą języka. Po części było to spowodowane tym, że zmysły Zrodzonego funkcjonowały inaczej niż moje. Musiał się nauczyć, co to oznacza, a jednocześnie za moim pośrednictwem odnaleźć się w ludzkim świecie. Oszałamiająca konieczność stania się praktycznie trójjęzycznym i życia pośród ludzkich istot sprawiała mu duże kłopoty. Odkąd się znaliśmy, Zrodzony wielokrotnie porozumiewał się ze mną za pomocą słów, które tylko w przybliżony bądź częściowo błędny sposób przekazywały znaczenie tego, co chciał powiedzieć.

Kiedy dużo później to zrozumiałam, zaczęłam przypominać sobie nasze dawne rozmowy, sprawdzając, czy odnajdę w nich nowe treści. Ale było już za późno. Słowa są tym, czym są. Znaczą to, co znaczą. A zresztą wiem, że część z nich błędnie zapamiętałam, i to mnie boli.

*

Ostatniego wieczoru przed moją pierwszą od dawna poszukiwawczą wyprawą odwiedził mnie Wick. Na tym etapie naszego związku jego wizyty były pośpieszne i stanowiły przykry obowiązek. Zrodzony przeszedł w tryb „oniemienia” lub „wciągnięcia brzucha”, jak to później żartobliwie nazywał. Schował oczy, zmniejszył się i stanął w kacie nieruchomy i milczący.

– Jak się czujesz? – spytał Wick od progu. Wyraźne cienie kładły się na jego zapadniętych policzkach i miałam wrażenie, że nie przemawia do mnie człowiek, tylko jakaś abstrakcyjna idea.

– Dobrze, dzięki – odpowiedziałam.

– Jutro dasz sobie radę.

– Tak – odpowiedziałam, chociaż to nie było pytanie.

Wick został jeszcze przez chwilę, patrząc na mnie oczami lśniącymi jak okruchy minerałów, trzymając dystans. Nie chciałam, żeby przeze mnie cierpiał, ale byłam w kropce. Nie musiał być tak nieprzejednany w kwestii Zrodzonego – to była jego wina – a ja nic więcej nie dodałam. Dlatego wycofał się na korytarz, być może po to, by wepchnąć sobie pamięciożuka do ucha.

Wick się wycofał, a Zrodzony rozkwitł. Tak to wyglądało w tamtych dniach – a w tym samym czasie zmieniała się także sytuacja w mieście, gdzie wyrastały nowe rzeczy, a to, co znajome, usychało.

Od mojej ostatniej wizyty w mieście Magiczka znacznie zwiększyła wpływy. Obecnie zajmowała tereny na północnym zachodzie, które sięgały aż do granicy jurysdykcji budynku Firmy na południowym skraju miasta. Rosnąca armia wyznawców pomagała jej w produkcji narkotyków oraz chroniła jej terytorium przed Mordem i innymi intruzami. Wick dysponował tylko swoim osobliwym basenem, bastionem w Balkonowych Klifach, poszukiwaczką, która umiała zastawiać pułapki, ale miała przed nim tajemnice, oraz istotą o nieznanym potencjale, której chciał się pozbyć.

Co gorsza, wspomniani wysłannicy Morda w końcu dali o sobie znać i okazali się jeszcze bardziej krwiożerczy od swojego przodka. Nie znali żadnych praw, nawet naturalnego prawa snu. Po ich przybyciu Mord przez kilka dni warował przed budynkiem Firmy, zupełnie jakby jego wysłannicy byli z nią w zмовie. Pod jego niepewną egidą budynek Firmy stawał się coraz bardziej niestabilny i niebezpieczny. Mord przed nim sypiał, ale czasami zapominał o swojej domniemanej roli obrońcy i przez roztargnienie uderzał w ściany szerokim łbem. Widzieliśmy, że na ostatnich piętrach wciąż mieszkają ludzie, pozostający jakby w stanie oblężenia, ponieważ musieli spełniać zachcianki Morda. Plotki głosiły, że najgłębszymi poziomami budynku nikt już nie włada.

Pomimo tych zagrożeń Wick nie zapewniał mi schronienia. Zawarliśmy umowę i musiałam znów zacząć ją honorować. Wyruszać na poszukiwania. Nie wiedziałam, czy to łaska, czy okrucieństwo, ani jakie było źródło tego impulsu w Wicku. Nie dbałam o to. Nadszedł czas wstać z łóżka.

Kiedy Wick wyszedł, Zrodzony wyciągnął jedną ze swoich macek i ujął mnie za rękę. Macka przypominała dłoń, choć była nieco wilgotna.

– Rachel?

– Słucham, Zrodzony?

– Pamiętasz, co mówiłem o białym świetle?

– Tak.

– Kiedy był tutaj twój przyjaciel, część mnie miała koszmar dotyczący tego światła.

Powstrzymałam się przed zadaniem wszystkich pytań, które cisnęły mi się na usta.

„Część mnie?”

„Właśnie spałeś?”

„Miewasz sny?”

Wiedziałam, że kiedy Zrodzony przemawia do mnie takim tonem, chce mi zaufać i podzielić się czymś ważnym.

– Jakiego rodzaju koszmar? – spytałam. Skąd on zna słowo „koszmar”? Nie ode mnie; wcześniej go nie używał.

– Byłem w ciemnym miejscu. Tylko że ono było pełne światła. Byłem sam. Tylko że byli tam także inni tacy jak ja. Byłem martwy. Wszyscy byliśmy... martwi.

– Nieżywi? – Czasami Zrodzony nazywał martwymi rzeczy, które się nie poruszają, na przykład krzesło. Albo kapelusz.

– Nieżywi.

– Jakby w niebie albo w piekle?

– Rachel – odezwał się z delikatną naganą. – Rachel, nie wiem, czym są te rzeczy.

Ja również nie wiedziałam. Skąd mogłabym wiedzieć, skoro rozmawiam z wesołym potworem i mieszkam w dziurze w ziemi otoczona mnóstwem zniszczonych rzeczy? Roześmiałam się, bardziej po to, by odpędzić tę myśl, a nie dlatego, że coś mnie rozbawiło.

– Nieważne. To „religia”, a tego nigdy cię nie nauczę. – Moi rodzice nie byli religijni, a kultury Morda przekonały mnie, że celem religii w mieście nie jest dawanie nadziei ani odkupienia, ale kuszenie śmierci.

– W porządku – odrzekł Zrodzony, a jego oczy ułożyły się w pełen wyrzutu uśmiech. – Nie zawsze rozumiem, Rachel. Kocham cię, ale nie rozumiem.

Kocha mnie? Właśnie przyznał, że nie rozumie, czym są niebo

i piekło. Co może wiedzieć o miłości? Zignorowałam tę uwagę.

– Co było potem?

– Próbowałem się obudzić. Próbowałem obudzić nas wszystkich. Ale nie mogłem. Nie mogłem, ponieważ byłem martwy. To właściwe słowo: martwy. A musiałem się obudzić, ponieważ otwierały się drzwi.

„Drzwi” mogły dla niego znaczyć także wiele innych rzeczy.

– Co się stało, kiedy otworzyły się drzwi? – spytałam.

– Zmuszali mnie, żebym przez nie przeszedł. Nie chcę przejść przez drzwi, nie tylko dlatego, że jestem martwy.

– Co było po drugiej stronie drzwi? – spytałam.

Wszystkie oczy Zrodzonego zwróciły się w moją stronę, niczym rzędy dalekich, migoczących gwiazd widocznych na tle ciemnofioletowych ziemistych odcieni jego skóry. Po raz pierwszy od dawna czułam, że go nie znam.

– Jestem martwy, więc nie wiem, co jest po drugiej stronie drzwi.

Nic więcej nie powiedział.

Co się wydarzyło, gdy znów wyszłam do miasta

Postanowiłam, że znów spróbuję podążyć jak cień za Mordem. To najlepszy sposób na zdobycie użytecznych przedmiotów. Poza tym uznałam, że najlepszym sprawdzianem mojej odzyskanej sprawności będzie powrót na drżący bok potwora, zaryzykowanie wszystkiego teraz, by później nie przekonać się, że brakuje mi odwagi lub umiejętności. Ale w tej chwili taka taktyka była zbyt ryzykowna. Wpierw musiałam rozejrzeć się po terytorium Magiczki.

Zwlekałam. Obudziłam się późno, udając, że to kolejny dzień mojego powrotu do zdrowia. Wczesnym popołudniem zabrakło mi zajęć i wymówek. To był dobry czas, aby ruszyć w drogę. Wick wstał bardzo późno; jego ostatnia wyprawa trwała nadspodziewanie długo, ponieważ musiał się upewnić, że nie podążają za nim ludzie Magiczki ani wysłannicy Morda.

Spakowałam plecak, zabierając niewielki zestaw broni i zapasy. Dwa z naszych ostatnich neuropajaków, które – podobnie jak biogranaty – unieruchamiają układ nerwowy ofiary. Dwa pamięciożuki, żeby w razie potrzeby wynegocjować dla siebie wolność. Bryłkę czegoś starego, co mogło być mięsem albo chlebem i według Wicka wciąż było jadalne. Stary, długi i nieco zardzewiały nóż, który znalazłam w tunelach. Manierkę z wodą pozyskaną z pary skroplonej w otworze nad łazienką.

Czułam się ostra, niebezpieczna i silna.

Zrodzony przyłapał mnie na chowaniu wody do plecaka.

– Tej pary wystarczy dla pary, ale dla paru par zabraknie pary, a wtedy zabraknie im pary.

Potrzebowałam chwili, żeby rozgryźć jego wypowiedź.

– Wszystkim nam wystarczy pary – odpowiedziałam, chociaż to niekoniecznie musiała być prawda. Ale to nie było pytanie, tylko zabawa w hasło-odzew.

– Dokądś się wybierasz? – spytał Zrodzony. – Ludzie

z plecakami zawsze dokądś się wybierają. Ludzie z plecakami mają cel.

Dotychczas unikałam patrzenia na niego i we wszystkie jego oczy, ale teraz odwróciłam się ze spakowanym plecakiem.

– Wychodzę. Idę na wyprawę poszukiwawczą. Wrócę przed zmrokiem.

– Czym jest „wyprawa poszukiwawcza”?

– Dbam o to, żeby nie zabrakło nam pary.

– Chcę iść z tobą – powiedział Zrodzony, jakby miasto było po prostu kolejnym tunelem. – Powiniennem pójść. Postanowione. Idę. – Lubił podejmować decyzje przede mną.

– Nie możesz pójść – odparłam.

Przypomniałam sobie wszystkie niebezpieczeństwa, na które Zrodzony nie był gotowy. Nie chodziło tylko o Magiczkę i Morda. Ludzie tacy jak ja również byli groźni: poszukiwacze, którzy kryli się pod klapami w podłodze, by wyskoczyć jak pająki, ci, którzy przetwarzali i sprzedawali jako jedzenie materiały znalezione w fabrykach, ci, którzy znajdowali pokaźne skupiska zasobów i ich bronili, ci (nieliczni), którzy nauczyli się uprawiać formę pokarmu na swoim ciele i sami się pożerali, z niewielkim zyskiem, a także ci, którzy marnieli i umierali, a ich kości zasypywały równinę zawalonych budynków, tak że nie pozostawały po nich żadne wspomnienia ani ślady, które mogłyby niepokoić nas żyjących. Nie chciałam skończyć jak oni i nie chciałam, by Zrodzony padł ich łupem.

Ale Zrodzonego nie zraził mój opór.

– Mam pomysł – rzekł. – Jeszcze nie odmawiaj. – Kolejna z jego ulubionych zagrywek. „Jeszcze nie odmawiaj”. A kiedy mu odmówiłam? Niech za odpowiedź wystarczy liczba jaszczurzych łebków spoczywających w koszu w kącie Balkonowych Klifów.

– Nie.

– Ale przecież powiedziałem, że nie możesz odmówić. – Podniecony i rozwścieczony rozszerzył się we wszystkich kierunkach, zakrywając ściany niczym szorstkie zielonkawe nierealne morze z dwójgiem olbrzymich świecących oczu wpatrujących się we mnie z sufitu. Poczułam woń spalenizny.

Wiedział, że nie lubię tego zapachu. (Niestety nie przeszkadzało mu, gdy pierdziałam w ramach odwetu).

Byłam już świadkiem takich napadów złości, więc się nie wystraszyłam. Dochodząc do zdrowia, przywykłam do wielu rzeczy.

– Może następnym razem. – Moja ulubiona zagrywka.

Skurczył się do rozmiarów i kształtu sporego zielonego psa, jego dwa czerwone ślepia zmieniły się w jedno – duże, brązowe i czułe – i opadł z sufitu na podłogę. Wysunął psi język i zaczął wściekle dyszeć, wbijając we mnie wzrok.

– Następnym razem! Następnym razem. Następnym razem?

– Zobaczymy – odparłam.

Naburmuszony wszedł do łazienki. Zaczynał się niecierpliwić i miewać humory, częściowo dlatego, że jedzenie, którym go karmiłam, stało się monotonne, ale także dlatego, że zbadał już każdy zakątek Balkonowych Klifów, mimo że starał się unikać Wicka. Jestem także pewna, że chociaż potrafił na pewien czas stawać się mały, tunele i korytarze przyprawiły go o klaustrofobię. Ale nie chciałam, żeby wychodził do miasta.

Czasami, gdy moi rodzice patrzyli na mnie z uwielbieniem, czułam ciężar ich miłości i pokazywałam język jak nieznośny bachor. Teraz patrzyłam w taki sam sposób na Zrodzonego.

*

Zaskoczyła mnie jasność zewnętrznego świata, promienie światła padające pod dziwnymi kątami. Wędrowałam pokrętnymi trasami, a ostatnie trzydzieści metrów pokonałam tunelem, w którym solidnie się poobijałam; wszystko po to, żeby nikt nie wyśledził, skąd wyruszyłam. Gdy znalazłam się na powierzchni, zmrużyłam oczy pod wpływem światła, ale po tak długim czasie spędzonym w pomieszczeniach z radością powitałam upalne powietrze. Być może to terytorium Magiczki, ale w odróżnieniu od wysłanników Morda Magiczka musiała spać, a jej panowanie bardziej przypominało rebelię, skoro nie mogła bezpośrednio walczyć z Mordem.

To była dzielnica mieszkalna, ale wyglądała, jakby pod koniec

została zbombardowana albo zajęta przez wojsko. Osoby, które od tamtej pory nielegalnie tam mieszkały, nie pozostawiały żadnych śladów, ponieważ w ten sposób zwabiłyby drapieżniki. W poczerńniętych ścianach nośnych było pełno poszarpanych dziur. Zniknęły drzwi razem z zawiasami. Pozostały nieliczne dachy. Stare i kruche słupy telefoniczne popękane przy podstawie opierały się o mury martwych domów, których trawniki zmieniły się w malutkie poletka pyłu. Być może powalił je Mord; wszystkie nachylały się pod tym samym kątem. Pomagały mi odnajdywać drogę w miejscach, w których pył i piach zagarnęły ulicę.

Wędrując przez ten nieruchomy krajobraz, byłam bezbronna, nawet gdy pozostawałam w cieniu bezużytecznych murów i w miarę możliwości zwracałam się plecami do słońca. Rozmyślnie wybierałam szlaki, na których nikogo nie widziałam, najwyżej w oddali. Kilkoro ludzi odpoczywało na werandzie przed domem, z którego pozostała płatanina zawałonych belek. Dwie osoby uciekały, oglądając się przez ramię. Potężnie zbudowany mężczyzna w czarnej szacie beztrąsko rąbał coś siekierą – drewno na opał, mięso? Nie zatrzymałam się, żeby sprawdzić.

To nie tak, że miasto trwało w bezruchu albo sprawiało wrażenie spokojnego, ponieważ nikt w nim nie mieszkał; po prostu nie zawsze dało się dostrzec ludzi i ślady ich wędrowek. Niewielu żyło w dobrych warunkach, niewielu żyło szczęśliwie lub długo. Ale istnieliśmy, a gdy opuszczałam bezpieczne schronienie Balkonowych Klifów, zawsze starałam się pamiętać, że ludzie tutaj śpią, głęboko ukryci, albo czekają aż ktoś taki jak ja znajdzie się w pobliżu i uruchomi pułapkę bądź sidła, lub starają się mnie śledzić, by sprawdzić, czy nie schowałam gdzieś jedzenia lub biotechnologii.

Przebiegam biegiem skrzyżowanie, trzymając się nisko na nogach, pochylona, zmierzając do kolejnej kryjówki. Wchodziłam przez otwory wybite w murach, które dawniej niewątpliwie miały zapewnić bezpieczne przejście pod ogniem snajperów. Jaszczurki umykały mi spod nóg; towarzyszyły mi tylko mój

przyśpieszony oddech, woń potu oraz chrzęst zapylonego żwiru pod butami. Minęłam pożółkłe resztki czyjś ogródka warzywnego i kilka sznurów na bieliznę rozciągniętych w miejscu niewidocznym z ulicy, mocno napiętych, tak że sprawiały wrażenie nowych.

Dotarłam do skraju podwórza, gdzie czekał na mnie osobliwy widok. W każdym innym miejscu, ale nie tutaj. Trzej martwi astronauta spadli z nieba, a ktoś powbijał ich w ziemię jak tulipany, aż po żebra, i ułożył pozwijane górne połówki ich ciał na piasku. Spod roztrzaskanych szybek hełmów wydostawały się porosty albo pleśń. A także kości. Zamarłam uwięziona między nadzieją a rozpaczą. Ktoś przybył do miasta z bardzo daleka – może nawet z kosmosu! To oznaczało, że tam w górze są ludzie. Ale tutaj umarli, tak jak wszystko inne.

Nagle zdałam sobie sprawę, że to wcale nie są astronauta, a jedynie ich przypominają, ponieważ ich stroje chroniące przed skażeniem wyblakły na słońcu. Z jakiegoś chorego powodu zrobiło mi się mniej smutno. Nie miałam pojęcia, co ich spotkało. Może to lekarze, których wysłano do walki z jakąś epidemią w ostatnich dniach przed chaosem i pojawieniem się Firmy. A może ktoś zupełnie inny. W każdym razie teraz tkwili tutaj, z ich twarzy wyrastało coś dziwnego, a ja nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie wiedziałam, czy na pewno byli tutaj przed miesiącem. Nie podobało mi się, że ktoś powbijał ich w ziemię, nawet jeśli wtedy już od dawna nie żyli. Kto albo co czaiło się tam w dole, w pyle i piasku.

Podejście do nich było głupim pomysłem, który mógł mnie zmienić w padlinę, więc przyjrzałam się dokładniej przez lornetkę. Tak starannie ułożeni. Tak mało żywi. Rękawice zakrywające kości dłoni zapewne zostały zabrane z jakiegoś sklepu, ponieważ nie pasowały do kombinezonów. Miałam wrażenie, że w jednej szybce hełmu coś się poruszyło, odbicie kogoś za moimi plecami, lecz kiedy się odwróciłam, niczego nie zauważyłam. Ale to wrażenie ze mną pozostało, a ja zawsze ufam instynktowi.

Istnieją sposoby na wywabienie kogoś, kto cię obserwuje.

Najbardziej oczywistym jest zatrzymanie się, półobrót i schylenie się w celu zawiązania sznurowadeł – to wystarczy, by dostrzec niewinnego, niedoświadczonego albo po prostu nieudolnego obserwatora. A jeśli ten ktoś chce ci zrobić krzywdę, wywabisz go z ukrycia, ponieważ uzna, że jesteś bezbronny i rozproszony.

Kolejny drobny ruch za mną, tym razem za rogiem budynku, zza którego przed chwilą wyglądałam, zmierzając na podwórze. Ale ruch od razu ustał bądź zmienił się w coś innego. Dziwna myśl, lecz znów zaczynałam ufać swoim dziwnym myślom.

Po lewej stronie za moimi plecami wznosił się rząd porozbijanych domów, po prawej stały kolejne parterowe budynki, a środkiem biegła piaszczysta droga.

Wyjęłam pająka z plecaka, wepchnęłam go do kieszeni, a następnie, omijając podwórze z martwymi astronautami, skręcałam w następną boczną uliczkę, przy której stały nienaruszone domy, a potem wspierałam się po stercie gruzów na łagodnie nachylony dach. Musiałam popatrzeć na okolicę z lotu ptaka, mimo że ból w kolanie i słabość w ramieniu podpowiadały mi, że wspinaczka to zły pomysł.

Położyłam się na brzuchu na szorstkich dachówkach i pełnym drzazg drewnie, od których biło wyblakłe, znużone gorąco wnikające w moje ciało. Dach był zniszczony, ale stabilny. Dzień rozpływał się w nadchodzącym zmierzchu i niebo miało kolor palonego błękitu. Miraż delikatnych pęknięć w oddali zapowiadał góry. Ale z tego, co wiedzieliśmy, wcale ich tam nie było. To tylko niebo nas okłamywało.

W dole widziałam gęste szeregi domów przypominających nagrobki, które wspólnie z ulicami tworzyły coś w rodzaju nierównego skrzyżowania w kształcie litery X. Na jego obrzeżu widziałam głowy martwych astronautów, spoczywające niczym poczwarzki na swoim dziwacznym podwórzu.

Czułam się odstonięta pomimo korzystnej pozycji, zahipnotyzowana triangulacją i wrażeniem wyrównywania dawnych rachunków – radosnym szpiegowaniem, poczuciem bycia szpiegiem, a nawet snajperem, które sprawiało, że robiło mi się nieswojo. Nie pomagała także świadomość bycia wysoko,

na dachu, co w tym mieście nie dawało przewagi. Mord w każdej chwili mógł opaść z nieba i mnie schwytać, zanim ja zdołałabym schwytać kogoś na dole – albo, co brzmi mniej poetycko, jego wysłannicy mogli się do mnie wgramolić i oddać figlarnemu ćwiartowaniu.

Przez tak wiele minut udawałam poziomy posąg, że poczułam ulgę, gdy wreszcie zobaczyłam coś, czego początkowo nie rozumiałam: kształt nadchodzący ulicą. Napięłam się i przywarłam do pochyłości dachu, wpatrując się w światło i cienie.

Ktoś wysoki i ubrany w ciemną szatę szedł w moją stronę. Ktoś w mocno naciągniętym na głowę spiczastym kapeluszu o szerokim rondzie. Miękki kapelusz wirował i migotał, a chód nieznanego był dziwnie płynny i bezładny: później uświadomiłam sobie, że przypomina niezdarny chód małego dziecka zamkniętego w dorosłym ciele. Ręce mężczyzny zwisały po bokach, a dłonie bezwładnie się kołysały. Były zbyt blade i sprawiały wrażenie nieistotnych, jakby tułów i nogi były prawdziwe, ale ręce miały jedynie uzupełnić iluzję.

Za tą postacią podążało niewielkie zwierzę, które ostrożnie zerkało zza rogów budynków, tak samo jak ja zerkałam z dachu. Miało ponadwymiary wysokie uszy i szorstki różowy język, a przez lornetkę dostrzegłam, że to jakiś rodzaj lisa o dziwnych ślepiach. Ciekawskie stworzenie, które wybrało się na przechadzkę? W poszukiwaniu padliny? A może szpieg albo obserwator? Tylko na czyich usługach? Cokolwiek to było, miało intuicję dorównującą mojej, ponieważ nagle podniosło wzrok, a kiedy mnie zauważyło, zniknęło bez śladu.

Postać, za którą podążało, przeszła jeszcze kilka kroków, a strach skręcający mi trzewia zmienił się w chichot, a następnie irytację i troskę. Wiedziałam, że patrzę na Zrodzonego w przebraniu. Tylko że nie miał na sobie ubrań – posunął się o krok dalej i wyhodował strój na swojej skórze. Kapeluszem była jego głowa, a ozdobiący go wzór z gwiazd tworzyły oczy.

Kiedy był przy sąsiednim domu, wychyliłam się z dachu. Nie zamierzałam wstawać, by nikt nie mógł wziąć mojej sylwetki na

cel.

– Zrodzony – powiedziałam.

Oszołomiony podniósł wzrok.

– Ojej! – zawołał. – Ojej!

Następnie się powiększył, skręcił jak korkociąg i niczym sprężyna skoczył na wysokość dachu, dzięki czemu czarodziejski kapelusz mógł mi się przyjrzeć z bliska, jakby miał krótkowzroczność. Niemal straciłam równowagę.

– Zrodzony!

– Rachel! – Opadł na ulicę i podniósł na mnie wzrok.

– Zrodzony. – Kręciło mi się w głowie. Wyraźnie urósł od rana.

– Rachel. Nie miałaś mnie zobaczyć.

– A ty nie powinieneś tutaj być! To niebezpieczne.

Wyczułam nutę rozdrażnienia w postawie Zrodzonego, której nie było w nim jeszcze przed tygodniem.

– Skoro to niebezpieczne, to po co wysłaś?

– Na tym polega moja praca. Nie posłuchałeś mnie. Poszedłeś za mną jak ktoś niedobry. Niedobry! – Chociaż Zrodzony wciąż wahał się między dziecięcym a dorosłym stanem, nazywanie go „niedobrym” wciąż było skuteczne. Zawsze starał się być dobry.

– Wiem.

Przygnębiony. Ale czy naprawdę? Wciąż wyczuwałam w nim entuzjazm. Był uradowany i żadna kara nie mogła tego zmienić, skoro nie sprawił tego wielki, straszliwy świat. Poza tym pod moją gburowatością także kryła się radość z powrotu do świata. Być może ją wyczuwał.

Strój opadł i Zrodzony znów stał się prawie dwumetrową hybrydą kałamarnicy z ukwiałem otoczoną kręgiem poruszających się oczu. Byłam roztrzęsiona, odsunęłam się i sięgnęłam po żuka, ale się powstrzymałam. Zrodzony jeszcze nigdy nie wyglądał tak obco jak w tej chwili, nagi i samotny na ulicy, chociaż właśnie w takiej postaci poznałam go w Balkonowych Klifach. Nigdy nie widziałam kogoś, kto byłby tak niedopasowany.

Zapagnęłam zostawić go na tej zapyłonej ulicy, przeskoczyć tyle dachów, ile zdołam, żeby od niego uciec. Pomyślałam, że

moje życie byłoby prostsze i lepsze, gdyby Zrodzonym musiał się zająć ktoś inny. Ale po chwili ogarnęło mnie tak silne poczucie straty, że aż się zatoczyłam. Nie mogłam tego zrobić.

Powietrze nagle stało się ciężkie, co wzbudziło we mnie irracjonalną myśl, że Mord zapewne się zbliża, więc pośpiesznie zeszedłam z dachu. Zresztą nie chciałam tam siedzieć po zmroku.

– Za kogo się przebrałaś? – spytałam.

– Za nikogo ważnego – odrzekł Zrodzony, nie patrząc mi w oczy, co było nie lada wyczynem.

– No powiedz.

– Za czarodzieja – odpowiedział nadąsanym i zawstydzonym głosem. – Z jednej ze starych ksiąg w Balkonowych Klifach.

– Której?

– Nie wiem. W wielu pojawiają się czarodzieje. Wszyscy są tacy sami.

– Ale rzucają różne zaklęcia – odrzekłam.

– Naprawdę? Czy Wick jest czarodziejem? Zna jakieś zaklęcia?

– Ja jestem czarodziejem – powiedziałam. – Znam zaklęcie, które sprawi, że wrócisz do Balkonowych Klifów.

– To nie jest zaklęcie – odpowiedział Zrodzony, ale sprawiał wrażenie niepewnego.

Czarodzieje przynajmniej są lepsi od Magiczki. Gdyby kiedyś znalazł się pod jej urokiem, wszyscy bylibyśmy zgubieni.

– Co ja z tobą zrobię, Zrodzony?

Spytałam go, ponieważ nie znałam odpowiedzi. Byłam głupia, sądząc, że zachowam go przed skażeniem przez miasto. Gdybyśmy mieli na to czas, od razu pouczyłabym go o otaczających nas zagrożeniach. Powiedziałabym mu wszystko, o czym do tej pory milczałam: Że większość poszukiwaczy uważa go za najcenniejszy łup. Że nikt, kto go zobaczy, nie uzna go za osobę, tylko za rzecz.

W drodze powrotnej po raz ostatni minęliśmy trupy w kombinezonach ochronnych, a Zrodzony pomachał im na pożegnanie.

Zupełnie jakby je znał, jakby były jego przyjaciółmi.

Nieco później poczułam dreszcze na karku; miałam wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Wkrótce zidentyfikowałam źródło, które trzymało się z tyłu jak cień, krocząc na miękkich łapkach.

– Ten lis chyba za tobą idzie, Zrodzony. Powinnam się martwić?

– To lisica, jest oswojona – wyjaśnił.

– Wcale nie jest oswojona. Głaszczesz ją?

– Nie, ponieważ mi nie pozwala.

– Wiesz, dlaczego za tobą podąża?

– Kazałem jej.

– Kazałeś?

– Nie, oczywiście, że jej nie kazałem. To byłoby niedorzeczne. Nieświęte. Głupie. Niefajne.

– Dlaczego nie podkradniesz się do niej i jej nie pożresz jak jaszczurkę?

– Nie pozwoli mi – odparł Zrodzony.

– Nawet jeśli zaczał się bez ruchu? – To nie było nic osobistego, ale lisica i jej poufałość zaczęły mnie niepokoić.

– Ona stale jest włączona – wyjaśnił Zrodzony.

– Co to znaczy?

– Stale jest włączona, jak żarówka. Nie jest przygaszona, jak większość rzeczy.

– Co to znaczy? – powtórzyłam. Nikt już nie używa żarówek. Skąd Zrodzony o nich wie?

Nie odpowiedział, a gdy znów się obejrzałam, lisicy już nie było.

Mimo wszystko nadal kluczyłam i co jakiś czas się cofałam, by mieć pewność, że kiedy wkroczymy tajnym wejściem do Balkonowych Klifów, żadna żywa istota nie będzie nas obserwowała.

*

Obudziłam się gwałtownie w środku nocy i uświadomiłam sobie, że Zrodzony od pewnego czasu coś do mnie mówi. Stał obok mojego łóżka ze zwiniętymi krótkimi mackami, które świeciły na zielono, i mnóstwem oczu miotających się po całym ciele. Połowa z nich mnie obserwowała. Połowa patrzyła na

drzwi. Miałam wrażenie, że jeszcze przed chwilą przyglądał mi się ze znacznie mniejszej odległości.

– ...ale nie wiem, dlaczego mnie śledzili, i nie wiedziałem, że tam będzie tyle piachu i przestrzeni. Tak wiele przestrzeni. Było nawet niebo. Olbrzymie niebo. Tak olbrzymie, jakby miało na mnie spaść. No i te wszystkie... mury. Te wszystkie mury. Małe istoty za mną podążały i było gorąco. Goręcej. Było goręcej. Zdecydowanie goręcej. Nie chciało mi się pić, ale mogłoby tak być. Ponieważ ono było gorące. Rozległe i wielkie. Oto miasto. Tak wygląda miasto z bliska. Właśnie tak. Właśnie tak. Byli też astronauta. Zagrzebani w ziemi.

Jeszcze długo wspominał martwych astronautów. W ciągu kilku kolejnych tygodni czasami udawał, że rozmawia z trzema lalkami, które właśnie wróciły z Księżyca i pomagały na nowo zaszcześcić życie na Ziemi, albo coś w tym rodzaju. Zrodzony miał tyle macek, że gdyby tylko chciał, mógłby odgrywać bardzo złożone sceny.

Przewróciłam się na drugi bok, próbując zignorować jego nieprzerwany potok słów. Oczywiście, że czuł się oszołomiony. Oczywiście, że to było dla niego nowe doświadczenie. Wiedziałam, że muszę do tego przywyknąć, w przeciwnym razie zaskoczenie Zrodzonego zawsze będzie mnie szokować. Ale zdawałam sobie sprawę, że chociaż poczuję ulgę, będzie mi brakowało dzielenia z nim tych doświadczeń. Obojętność na czyjś nieustający zachwyty jest swego rodzaju darem.

Potem zaświtała mi pewna myśl i poklepałam Zrodzonego po miejscu, które uznałam za czubek głowy.

– Hę? Co? Rachel?

– Zrodzony, jak się wydostałeś z mieszkania? Wtedy, kiedy poszedłeś za mną.

Leniwa, powolna odpowiedź. Miałam poczucie, że poświęca moim pytaniom tylko małą część siebie, podczas gdy inne części jego ciała trzaskają, drżą i są gdzie indziej.

– Drzwi były otwarte. Były szeroko otwarte, dlatego wydawało mi się, że chcesz, abym...

Oparłam się na łokciu i mu przerwałam.

– Nie były i nie chciałam. – Zabezpieczyłam drzwi kilkoma rodzajami zamków, głównie po to, by Wick nie dostał się do środka.

– Szpara pod drzwiami była otwarta.

Potrzebowałam chwili, żeby to przetrwać. A więc Zrodzony rozpląszczył się jak naleśnik pozbawiony kości i przecisnął pod drzwiami. Świetnie.

Pozwoliłam mu wrócić na granicę czujności i uspienia, gdzie mógł śnić.

Ale sama byłam rozbudzona, więc poszłam do mieszkania Wicka, podejrzewając, że już wrócił z nocnych wędrówek. Chciałam się z nim przespać. Nie wiem, czy chodziło mi o sen, czy o coś więcej, jednak pragnęłam na godzinę albo cały ranek oddać się czemuś nieistotnemu, co da mi zapomnienie.

Samodzielne wychowywanie Zrodzonego było wyczerpujące.

Znalazłam Wicka obok jego ukochanego basenu pełnego „obrzydliwych” biotechnologicznych istot i wzięłam go tam, na podłodze – nie spodziewał się tego i był zaskoczony, ale chętny. Po wizycie w mieście miałam dosyć wymuszonej czujności i opanowania, a poza tym już w pełni doszłam do siebie po ataku. Mogłam swobodnie się poruszać bez bólu.

Byłam na zewnątrz i nie stało mi się nic złego. A przynajmniej nic złego nie miało szansy mnie spotkać. Jak również nic złego nie spotkało mnie wewnątrz.

– Nie teraz, pracuję! – zaprotestował zgodnie z naszym starym rytuałem, zasadami i procedurami.

– Teraz – odparłam.

– Ale próbuję pracować – odrzekł, a ja usłyszałam w jego głosie radość, gdyż ta dobrze znana skarga oznaczała, że nie ma nic lepszego niż oderwanie się od pracy. Zwłaszcza dzięki mnie, co nie zdarzyło się od kilku tygodni.

Tak więc go wzięłam, raz za razem, aż nic mu nie pozostało i oboje lśniliśmy od potu. Nasze ciała wciąż znały się nawzajem, a Balkonowe Klify wciąż wiedziały, że należymy do siebie. Nadal

czułam linie mocy rozciągające się na zewnątrz, moje pułapki splecione z jego niespodziankami, a my znajdowaliśmy się w samym centrum naszego dzieła.

Nawet gdybyśmy potem nie rozmawiali, nie wyszeptali czułych słów, tak osobistych, że nikt inny nie wiedziałby, co oznaczają, i tak byłoby dobrze. Poczulałabym się świetnie i utwierdziła w przekonaniu, że cokolwiek złego się między nami stanie, może zostać naprawione. Ale to sprawiło, że się odstłoniłam, może dlatego, że Wick zaraz po seksie zawsze sprawiał wrażenie weselszego i pewnego siebie.

Wstał, włożył obszarpane szorty i stary T-shirt, po czym zbliżył się do krawędzi basenu. Przyklęknął na jedno kolano i zaczął wyławiać z cuchnącej otchłani coś łuskowatego i metalicznie szarego, jednocześnie oglądając się na mnie zniewalającymi oczami ponad swoim bladym, szczupłym, ale muskularnym udem.

– Narażasz nas oboje, Rachel – powiedział wesoło.

Pod tym kątem wyglądał, jakby był nagi, odstłonięty i smukły. Jego ruchom towarzyszyły niemal owadzi szum i brzęczenie. Wtedy upewniłam się, że wziął coś na uspokojenie albo użył jednego ze swoich żuków i jakaś częśćka niego jest teraz daleko stąd.

– Poprzez seks?

Roześmiał się, bardziej piskliwie niż zazwyczaj, ze względu na akustykę jaskini, po czym przeszedł na drugą stronę basenu, gdyż jakiś błysk albo migotanie skłoniły go do zamieszania brei kijem.

– Zrodzony dzisiaj za tobą wyszedł – powiedział. – Przez niego wróciłaś wcześniej. On rośnie w absurdalnym tempie, Rachel.

A więc powiedział to na głos. Otworzyłam usta, by wyrazić oburzenie tym, że mnie szpiegował, ale po co miałabym to robić? Przecież sama wślizgnęłam się do jego mieszkania i przeszukałam jego rzeczy.

– Nie powinieneś bardziej przejmować się Mordem... i Magiczką?

– Zrodzony nie jest twoim przyjacielem, Rachel.

– Nigdy tak nie twierdziłam, Wick. – Chociaż teraz już tak było.
– Przecież stałaś w tym miejscu i tak mówiłaś; przekonywałaś mnie, żebym to zaakceptował.

Próbowałam się wymigać.

– Nie powiedziałam niczego takiego. Nie w taki sposób.

– Powiedziałaś, że muszę zaakceptować Zrodzonego.

Jeszcze jeden krok i wpadniemy w pętlę wyparcia. „Wcale tak nie mówiłam. Wcale tego nie zrobiłam”, co jest typowe dla par.

– A dlaczego nie możesz go zaakceptować?

– Ponieważ się mylisz. Ponieważ nie mogę zaprzeczać faktom. Mogę tylko sobie z nimi radzić. – Twierdził, że wiara w Zrodzonego jest jak religia. – Na przykład z faktem, że nic się z niego nie wydostaje.

Znów to samo, jakby to coś znaczyło.

– Nie wydaje mi się, żeby fakt, że Zrodzony nie sra ani nie szcza, był niebezpieczny. Raczej nie zagraża to naszemu bezpieczeństwu.

– Może gdzieś to ukrywa.

– Kogo to obchodzi, czy ukrywa swoje gówno, czy nie? – Nienawidziłam takich rozmów, które sprawiały, że wyglądaliśmy na tępych, rozdzielonych i małostkowych.

– Jeśli nie, to Zrodzony jest najbardziej wydajną istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Za późno, żeby rozebrać go na kawałki, Wick. Jest dla nas cenniejszy żywy. – Oto kilka faktów.

– Tak, jest za późno, ale nie z tego powodu – odparł Wick. – Szkoda, że nie byłem silniejszy na początku. Szkoda, że cię posłuchałem.

– Gdybyś wtedy mnie nie posłuchał, teraz moglibyśmy nie być razem.

Wick posłał mi szybkie spojrzenie.

– A jesteśmy razem? Jesteśmy naprawdę razem czy tylko mieszkamy pod jednym dachem?

Nie od razu odpowiedziałam. Łatwość, z jaką wślizgnęłam mu się do łóżka, teraz wydała mi się problemem. Nie dlatego, że do niego wracałam, ale dlatego, że on nie zadał żadnych pytań, nie

opierał się, zachował wątpliwości na później, pomimo naszych problemów. Wiedziałam, że to oznacza, że mam nad nim władzę, którą wcześniej tylko przeczuwałam. Chociaż może wiedziałam o tym od chwili, gdy pozwolił mi zatrzymać Zrodzonego.

– Tylko jeśli nie mamy przed sobą żadnych tajemnic – odrzekłam. To nie było w porządku. Ale jednocześnie było prawdą. Wick wciąż miał przede mną tajemnice.

Wstał, zmierzył mnie wzrokiem, wciąż trzymając rączkę żerdzi, na której końcu przymocował cedzak, by wyłowić najmniejszych mieszkańców zielonopomarańczowego zbiornika. Woda trzeszczała i syczała, gdy na wpół wyrosnięte istoty wynurzały się na powierzchnię i ponownie zanurzały. W zielonkawym świetle Wick wyglądał znacznie dziwniej niż Zrodzony.

– Wiem, że on mówi – rzekł Wick. – Zrodzony mówi. Słyszałem go. Słyszałem, jak kiedyś powiedział, że może być bronią.

Wezbrał we mnie gniew, a ja próbowałam go opanować.

– Podśluchiwałeś. W moim mieszkaniu.

Znów ogarnęło mnie poczucie, że ta kwestia w końcu nas zniszczy. Nie chciałam myśleć, że pewnego dnia staniemy się sobie obojętni, jak pary, które muszą mieszkać razem, ponieważ nie stać ich na wyprowadzkę ani samodzielne opłacanie czynszu.

Wick pokręcił głową.

– Wcale nie. Usłyszałem jego głos na korytarzu. Mówił do jaszczurek, które zabił. Zanim je pożarł. Nie widział mnie.

Zrodzony rzeczywiście często mówił do siebie. Obecnie częściej przebywał sam albo tylko w moim towarzystwie. Ta myśl bolała mnie najbardziej. Poczucie, że mu nie wystarczam.

– On nie jest bronią. Musiałeś źle usłyszeć. Zrodzony nie wie, o czym mówi.

Wick wzruszył ramionami.

– Być może.

Widziałam, że jest urażony, ponieważ nawet się nie przejęłam tym, że odkrył moją zdradę, przypadkiem dowiadując się, że Zrodzony potrafi mówić.

Wycofałam się i całkowicie poddałam, maskując jego urazę pocałunkami, maskując ją seksem. Ponieważ wciąż go

pragnęłam, ale także po to, by nie musieć z nim rozmawiać. Rozmowa stanowiła problem. Rozmowa była naszym wrogiem. Dosyć rozmów.

Co przyciągało mnie do Wicka? Co wciąż mnie przy nim trzymało? Nie chciałam przedstawiać go w zbyt korzystnym świetle, szukać wymówek albo zdradzać osobistych informacji, które mogły stanowić amunicję dla zwolenników bądź krytyków.

Ale na początku być może spodobało mi się w nim to samo, co w Zrodzonym. Pamiętałam dziecięcy zachwyt, z jakim podchodził do najprostszych rzeczy, które oswajały albo rozpraszały jego przerażenie, lęk i stres. Do najbardziej banalnych, oklepanych i cikliwych spraw. Na przykład do promyka słońca lub motyla. Ta postawa pozostawała w wyraźnym kontraście z jego podejrzliwością. Z nieufnością, którą nosił jak pancerz, by nikt nie zobaczył nieśmiałego chłopca kryjącego się pod spodem.

Nawet w tych trudnych czasach pełnych stresu i niepewności ta wrażliwość czasami do niego powracała. Zaledwie dwa dni po naszej rozmowie zobaczyłam z ukrycia, jak biega i płąsa korytarzem Balkonowych Klifów, powtarzając do siebie: „Dam radę to zrobić. Dam radę to zrobić. To też”.

Zastanawiałam się, czy jest taki szczęśliwy, ponieważ robaki diagnostyczne wgrzyły się w jego mózg. Pamiętałam u niego podobne zachowania, ale na samym początku. Jakiś czas później weszłam do jego mieszkania, a on znów był poważny. Czyżby okazywał tę stronę swojej natury wyłącznie w samotności?

Za późno go poznaliście. Teraz potrafię wymienić tylko to, co mnie niepokoiło. Wick potrafił być serdeczny. Potrafił być troskliwy. Potrafił być idealistą. Jestem tego pewna. Ale wiem także, że nigdy nie kazałam mu zaakceptować Zrodzonego ani nie powiedziałam, że Zrodzony jest moim przyjacielem.

Jak Zrodzony dał mi do zrozumienia, że potrzebuje prywatności

Kilka dni po tym, jak przyłapałam Zrodzonego na śledzeniu mnie w mieście, zaszokował mnie oficjalnym oświadczeniem: Postanowił wyprowadzić się z mojego mieszkania. Aby mi to oznajmić, skurczył się i stał „przyzwoity”, jak to nazwał, upodabniając się do człowieka, nie licząc zbyt dużej liczby oczu. Ale tak naprawdę ten „przyzwoity” wygląd oznaczał, że Zrodzony przypominał człowieka przechodzącego bolesną i mazistą przemianę w ziemską ośmiornicę z czterema nogami zamiast macek. W takiej postaci prosił o przysługi. Każdy, kto zobaczyłby proszącego Zrodzonego, uciekłby z wrzaskiem.

– A więc się wyprowadzasz? Poważna sprawa – odpowiedziałam obojętnie, chociaż na samą myśl o tym drżały mi dłonie. Serce podeszło mi do gardła, a w głowie słyszałam jakby łopot skrzydeł. Czy on mówi poważnie? Nie może tego zrobić. Nie pozwolę mu.

– Tak, Rachel – odrzekł, wydzielając woń wiciokrzewu i morskiej soli, co było jego sposobem na wywieranie nacisku. – To musiało się w końcu stać.

Naprawdę? To musiało się stać? Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Kiedy zamykałam oczy, widziałam wszystkie rozwidlające się odnogi Balkonowych Klifów, ale ta przyszłość pozostawała przede mną zakryta. Zrodzony istniał w jednym konkretnym miejscu, na przecięciu wszystkich linii, które tutaj nakreśliłam. Wychowam go w swoim mieszkaniu, będziemy tutaj razem żyć i to wszystko.

Ale powiedziałam tylko:

– Dokąd się wyprowadzasz?

– Do innego mieszkania w Balkonowych Klifach.

– Dlaczego? – Cóż za próżne słowo, biorąc pod uwagę, z kim miałam do czynienia.

– Potrzebuję przestrzeni – odrzekł w tak uroczy sposób, że niemal się rozplynęłam, pomimo paniki. – Potrzebuję prywatności. Muszę побыć sam.

– Czy to przeze mnie czujesz, że masz za mało przestrzeni?

– Nie, po prostu chcę mieć swoje miejsce. Obiecuję, że będę cię odwiedzał. Ty też możesz do mnie przychodzić, kiedy już się zadomowię, gdy doprowadzę tam wszystko do porządku. – To oznaczało, że wybrał dla siebie prawdziwą norę, która wymagała mnóstwa pracy. Albo że mieszkanie nadające się dla Zrodzonego wygląda zupełnie inaczej niż moje, co również nie było miłe.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że natrafił na taką scenę w jakiejś książce i teraz wcielał się w jedną z ról. Może w książce osoba, której rolę odgrywałam, krzyczała na niego, sprzeciwiała się albo bez końca przekonywała go, dlaczego się myli. Ale ja nie potrafiłam go tak traktować.

Tak wiele złych i nie do końca złych myśli niegodnych nas obojga. Już się potępiałam i przeklinałam za to, że nie potrafię być dobrą matką. Że skoro zabraniam mu wychodzić na zewnątrz i go obrażam, nie powinnam się dziwić, że nawet nie zauważyłam, że chce mnie opuścić. A poza tym, czy to nie jest naturalny etap rozwoju szybko dojrzewającego dziecka? Stać się dorosłym. Wyprowadzić się. Zyskać samodzielność. Ale nikt tak nie postępuje w mieście, gdzie trzymanie się razem, trwanie w jedności zapewnia większe bezpieczeństwo, nawet jeśli zaszczepiałam w Zrodzonym ideę normalnego życia i powszednie zwyczaje.

– Dobrze, ale pod kilkoma warunkami – odrzekłam po chwili milczenia. – Będą cię obowiązywały pewne zasady. Jeśli je złamiesz, wrócisz do mnie. – Zupełnie jakby to było coś złego, coś potwornego. Wciąż nie byłam pewna, skąd wziął się ten impuls, ta potrzeba oddzielenia. Czyżby z jakiegoś zewnętrznego źródła? Wciąż myślałam o tamtej lisicy, jakby to ona była znakiem zapytania, który stał za tym wszystkim.

– Jakie zasady? – spytał Zrodzony.

– Będiesz mnie codziennie odwiedzał.

– Oczywiście, że tak! – Wydawało się, że zasmuciła go sama

myśl, iż mogłabym tego nie chcieć, a może tylko przypisałam mu te uczucia.

– Nie będziesz wychodził do miasta beze mnie. To na razie oznacza, że w ogóle nie będziesz wychodził. Jeśli chcesz, możesz wymykać się pod drzwiami ze swojego mieszkania, ale nie opuszczaj Balkonowych Klifów.

– W porządku, Rachel. I tak będę zajęty zarządzaniem swojego mieszkania.

– Poza tym wciąż będziesz mi pomagał, jeśli będę cię potrzebowała. A także Wickowi.

Było nieuniknione, że relacja między Wickiem i Zrodzonym wkrótce nie będzie mogła się ograniczać do podejrzliwych spojrzeń. Obaj wiedzieli o swoim istnieniu i odgrywali różne role w swojej obecności. Wkrótce zostaną sobie oficjalnie przedstawieni. Przy Zrodzonym starałam się mówić o Wicku wyłącznie w pozytywny sposób, chociaż zaliczyłam kilka wpadek.

– Da się zrobić – odrzekł Zrodzony. – Umowa stoi?

– Tak, umowa stoi – odpowiedziałam, dostosowując się do jego słów, jakbyśmy podpisywali traktat.

Ten traktat ranił moje serce, ale porażająca myśl, że go tracę, ulotniła się. Pozostanie w pobliżu. Wciąż będzie z nami.

– Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję dziękuję dziękuję dziękuję.

Zrodzony stał się ogromny, rozpościerając skrzydła jak manta, i opadł na mnie, by zamknąć mnie w potężnym, porywającym uścisku – a ja go wytrzymałam, przytłoczona i niepewna, dlaczego jest mi tak smutno. Zrodzony był już tak silny, że nawet serdeczny gest mógł pozostawić na moim ciele siniaki.

– Zejdź ze mnie. – Ale sama jeszcze na chwilę do niego przywarłam.

Nowe mieszkanie Zrodzonego znajdowało się za rogiem, a pierwszego wieczoru jeszcze nie miałam świadomości trwałej zmiany, ponieważ Zrodzony wpadł, żeby porozmawiać, głównie

o tragicznym braku jaszczurek w Balkonowych Klifach. Potem zagraliśmy w grę, w którą bawiliśmy się, kiedy był młodszy, zaledwie kilka tygodni temu. Był już na nią za stary, ale gra przywoływała miłe wspomnienia i za jej pomocą okazywaliśmy sobie bliskość.

– Rachel, Rachel... czym jestem? – Migoczące kolory kojarzyły się z uśmiechem albo błyskiem ulgi.

– Ciężka sprawa, Zrodzony. Nie wiem, czym jesteś.

– Czy jestem wiewiórką?

– Raczej nie.

– Czy jestem rybą?

– Na pewno nie!

– Czy jestem... lisem? Może zostałem wychowany jako domowe zwierzę, ale naprawdę jestem królewskim lisem. Najbardziej królewskim z lisów. Pierwszym pośród lisiego rodu.

Pokręciłam głową.

– Nie, nie jesteś lisem. – Zrodzony ponownie czerpał opowieści z dziecięcej książeczki. Postanowiłam, że rano podaruję mu kilka książek o gospodarce i polityce. Jeśli uda mi się jakieś znaleźć. A może jakieś sensacyjne czytadło. Może to była moja podświadoma zemsta: Skoro chce być dorosły, zmuszę go, by całkowicie dorósł.

– A zatem... czy jestem... Zrodzonym?

– Tak. Jesteś... Zrodzonym!

– Doskonale, ponieważ właśnie takie imię mi nadałaś. – Nie wiedziałam, czy to była sarkastyczna uwaga.

– A ja jestem Rachel.

– Wcale nie. Jesteś istotą ludzką.

– A może tutaj swoje uszka mam, a na nosie sobie gram. – Moja mama lubiła tę wyliczankę.

– Czy na nosie można grać? Widzę twój nos, ale nie wiem, co masz na myśli.

Przygryzłam wargę, powstrzymując nerwowy chichot.

– Przestań myśleć choć na chwilę. Od tego myślenia przegrzeje ci się mózg. Chcesz, żeby tak się stało?

– Nie wiem – odparł. – Czy jeśli przegrzeje mi się mózg, dostanę

większy? Taki, który nie będzie w opuszkach moich palców?

Rozmowa stała się zbyt głupawa jak na mój gust, co oznaczało, że przyszedł czas na tę część zabawy, w której Zrodzony za pomocą nowo utworzonej dłoni odwzorowywał sylwetkę jakiegoś zwierzęcia, a ja starałam się odgadnąć, co to takiego. Potem robiłam to samo, chociaż moje ludzkie dłonie wydawały się niezgrabne w porównaniu z jego zręcznymi mackami.

Długo nie zapraszał mnie do siebie, ale sądziłam, że wciąż odgrywa rolę, próbując odkryć, co to znaczy być osobą. Poza tym pocieszała mnie myśl, że jestem jego powierniczką – że Wick pozostaje intruzem, który musi podkraść się do Zrodzonego i podsłuchiwać jego rozmowy z wyobrażonymi jaszczurkami.

Pomysł, że Wick mógłby wiedzieć o Zrodzonym więcej ode mnie, wydawał mi się śmieszny.

Co się wydarzyło, gdy rozmyślnie zabrałam Zrodzonego na zewnątrz

Wkrótce Wick dowiedział się, że Zrodzony zajmuje inne mieszkanie, co potraktował jako kolejny dowód zagrożenia. Ale bardziej palącym problemem było to, że w obecności Zrodzonego musiałam powstrzymać się od wspomniania o zewnętrznym świecie, ponieważ sama idea miasta i wszystkiego, co znajduje się poza Balkonowymi Klifami, niepokojąco go fascynowała. Wiedziałam, że z czasem stracę nad nim kontrolę – niezależnie od tego, czy będziemy mieszkali razem, czy osobno – i Zrodzony, pomimo danego słowa, poczuje pokusę wyjścia.

- Co się rymuje z pierogi? – spytał Zrodzony.
- Błogi?
- Nie, ciasto.
- Nieprawda, to słowo nie rymuje się z pierogi.
- Ale rymuje się z miasto, a ono rymuje się z błogi.
- Nic z tego nie jest prawdą.
- Prawda i fakt także się rymują.
- W pewnym sensie.
- Fakt rymuje się z miasto i błogi.
- Nie, w tym wypadku miasto połączone z błogi rymują się ze słowem „opinia”.
- Nie podzielasz mojej opinii?
- Zrodzony... – Jego asymetryczne rymy były jak trójwymiarowe kiepskie puenty – męczące, często zahaczające o skatologię czy też, jak sam to ujmował „w pełni naturalne, co się rymuje z kulturalne” – ale zawsze miały jakiś cel. Zazwyczaj było nim przekonanie mnie, bym zabrała go do miasta.

Jednakże utrzymywałam dyscyplinę i nie śpieszyłam się, by zabrać Zrodzonego ze sobą, mimo że tylko to mogło go uspokoić. Najpierw dwukrotnie wyszłam sama, chociaż nie zrobiłam niczego tak podniecającego i niebezpiecznego jak wspinaczka na

śpiącego Morda. Zyskałam na czasie, obiecując Zrodzonemu, że będzie mi mógł towarzyszyć podczas trzeciej wyprawy. Będę jego nauczycielką, chociaż ja sama wciąż się uczyłam.

A zatem dwukrotnie sama wyruszyłam na ulice i w obu przypadkach miałam wrażenie, że jestem przynętą. Nie wierzyłam w swoje pułapki ani swoją umiejętność wypatrywania pułapek. Postrzegałam siebie jako przynętę, taką samą jak martwi astronauty, którzy wcale nie spadli na Ziemię, chociaż tak wyglądali. Bycie przynętą wymaga myślenia o tym, co albo kogo się wabi, i co dokładnie jest w nas tak kuszące.

Miałam dwadzieścia osiem lat i pochodziłam z obcego kraju. Utrzymywałam się z poszukiwania, a gdy akurat nie zbierałam porzuconych kawałków biotechnologii, zajmowałam się dzieckiem, które nie było człowiekiem. Znałam się na broni. Znałam się na rozpoznawaniu kamuflażu innych ludzi. Potrafiłam z daleka wywęszyć pułapkę. Nie zdobyłam formalnego wykształcenia, ale zostałam dobrze wyedukowana w domu i sprawnie czytałam. Potrafiłam, z pomocą Wicka, wyhodować w swojej łazience jadalne organizmy. Właśnie dlatego byłam tak cenna, a za każdym razem, gdy wychodziłam, musiałam mieć się na baczności przed tymi, którzy ignorowali moje talenty, poszukując tylko białka, oraz tymi, którzy pragnęli wykorzystać moje zdolności bądź się ich pozbyć.

Kiedy wróciłam ze swoich wypraw ze znacznymi łupami, które przekonały Wicka, że w pełni odzyskałam siły, a nasz związek być może da się uratować... nie miałam już żadnej wymówki, żeby nie zabierać ze sobą Zrodzonego.

*

Jako że Zrodzony wybierał się ze mną, musiałam zapuścić się w znacznie bliższe okolice, co było wbrew zasadom, nie miałam jednak wyboru. Sama także krążyłam coraz bliżej domu. Mord był potężną masą, która nie mogła się ukryć, ale Magiczka była jak nóż dyskretnie wbity między żebra. Jej znaki i symbole były wszędzie, a niektóre dzielnice szybko stały się niebezpieczne, gdy zajęła je mieszanka jej prawdziwych wyznawców

i nawróconych w ciele. Litera M nabazgrana na budynku mogła oznaczać Morda albo kogoś innego.

Postanowiłam zaryzykować wyprawę do dzielnicy fabrycznej na północny zachód od Balkonowych Klifów. W tej plątaninie magazynów i zardzewiałych obiektów przemysłowych – bezładnej, pustej, cichej, rozległej – kryły się wszelkie wymówki i obietnice śmierci. Oto kominy, które zabiły tę część świata. Oto linie produkcyjne, które zasypywały nas niepotrzebnymi produktami, o których niezbędności zostaliśmy przekonani – zanim Firma wślizgnęła się do miasta i pokazała nam nasze najprawdziwsze, najgłębsze pragnienia.

W dzielnicy panowała złudna atmosfera mroku, spokoju i ciszy. Większość budynków była uszkodzona, niektóre z nich zostały wręcz rozdarte przez pociski podczas jakiejś dawnej wojny. Szlak był łatwy do odnalezienia, ale fizycznie wymagający – dużo wspinaczki po spiętrzonych, popękanych dźwigarach. Można było utknąć i skręcić nogę w kostce. Wkrótce poczułam ból w miejscach, w których zostałam zraniona. Tym razem byłam uzbrojona w metalową pałkę i poobijaną lornetkę. Pająki się skończyły, więc w woreczku przy pasie miałam jednego z trujących żuków Wicka. Takie żuki zagłębiają się w ciele, otwierają pancerz i zaczynają wirować. Sam szok wystarczy, żeby zabić ofiarę.

Szlak stał się mniej uciążliwy, gdy znaleźliśmy się w środku labiryntu; wąskie uliczki i ścieżki nie zawsze były zablokowane przez popsute maszyny albo wraki ciężarówek dawno pozbawione opon. Po lewej piętrzyły się sterty skał i betonowe dźwigary, środkiem biegła autostrada pyłu, a po prawej wznosiły się fabryki. Skały, skały, skały. Słupy, słupy, słupy. Wszystko rozbite na kawałki. Zawsze czułam się mała w tym miejscu, pośród katedr naszej epoki.

Zrodzony podązał kawałek za mną, przybrawszy postać dużej skały, która zatrzymywała się bezgłośnie, gdy się oglądałam. Był niemal niedostrzegalny.

Wędrowałam przed siebie, co jakiś czas zerkając przez ramię, gdyż nie udało mi się przekonać Zrodzonego, by szedł obok mnie.

Wkrótce zorientowałam się, że już nie podąża za mną skała, ale olbrzymi wijący się robak, bardzo podobny do tych, które rozkładały odpadki w moim mieszkaniu.

Potem, na krótką chwilę, do przodu wyrwała nerwowo bzycząca ogromna mucha – cóż za nieoczekiwany widok! – ale mój towarzysz szybko uzmysłowił sobie, że taki organizm pasuje tutaj jak pięść do nosa. Zważywszy to, co wiedziałam o poczuciu humoru Zrodzonego, nie byłabym zaskoczona, gdybym następnym razem zobaczyła za sobą pięść i nos. Ale jego kolejne wcielenie potwierdziło to, co już wiedziałam o Zrodzonym: że uwielbia jaszczurki, chociaż bez wzajemności.

Olbrzymia jaszczurka, mniej więcej wielkości człowieka, gramoliła się za mną. Skruszona jaszczurka. Zażenowana i zakłopotana jaszczurka o ogromnych wyłupiastych ślepiach i wystającym języku, gad poruszający się kawałek po kawałku, wyglądający zza głązów. Sprawdzający, czy zbyt go nie wyprzedziłam. Ohydny i niesamowity zarazem, a to mnie niepokoiło. Zrodzony stale mnie uczył, jak mam go „czytać”, ale czy to oznaczało, że mam akceptować niemożliwe?

Zatrzymałam się z pałką na ramieniu i odwróciłam w stronę jaszczurki.

Gad ponownie przekształcił się w skałę i znieruchomiał na tyle blisko, że nie musiałam do niego krzyczeć.

– Zrodzony. Widzę cię. Wyszedłeś razem ze mną. Wiem, że to ty.
Cisza.

– Zrodzony. Byłeś skałą, robakiem, muchą, a teraz jaszczurką. Myślisz, że jestem głupia? Nawet jeśli nie zabrałam cię ze sobą?

Skała delikatnie poruszyła się na boki.

– Masz niewłaściwe rozmiary, żeby być muchą albo jaszczurką. Poza tym wyglądasz obrzydliwie. Jak basen.

– Jestem skałą – odrzekł Zrodzony stłumionym głosem, który wydobywał się jakby spod niego. – Jestem skałą?

– O tak, jesteś skałą. Kurewsko wielką skałą. Głazem. Natychmiast wracaj do swojego normalnego wyglądu!

Kipiałam gniewem. Czy on to traktuje jak żart? Dla mnie to nie było śmieszne. Nie podobał mi się jego styl kamuflażu –

prymitywny i niemal komiczny, chociaż w nieświadomy sposób. A jeśli świadomy, to tym gorzej. Może wygląda to niezwykle, ale jest przeciwieństwem kamuflażu. Zmiana kontekstu może być śmiercionośna. Poza tym może miałam paranoję, ale wydawało mi się, że znów dostrzegłam idącą za nami lisicę.

– Zrodzony, chcę, żebyś spoważniał – odezwałam się do głazu.

Głaz coś odburknął. Nie byłam pewna, czy wie, że nie żartuję.

– Wychowałam cię od strączka. Dobrze o tym wiesz. – Przyjeliśmy ten mit, ponieważ był prosty i wygodny, chociaż Zrodzony wcale nie był strączkiem, a „wychowanie” trwało zaledwie cztery miesiące. Ale może dla niego to było całe życie.

– Tak – przyznał głaz. – Wychowałam cię od strączka.

– I wiesz, że chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze?

Głaz ponownie stał się jaszczurką, ale kolor jej skóry dopasował się do otaczającego nas ciemnego pyłu. Z daleka niewątpliwie wyglądało to tak, jakbym kłóciła się sama ze sobą, z pustką.

– Tego, co naprawdę najlepsze, czy tego, co ty za takie uważasz? Skąd wiesz, co jest najlepsze?

Zignorowałam ten bunt, zmieniając temat, jak zawsze robiła moja mama.

– Tutaj nie można sobie stroić żartów. Można być sprytnym, czujnym, zaradnym, ale nie ma miejsca na żarty. – Znał wszystkie te słowa, sama ich go nauczyłam. – Żarty są na miejscu tylko w Balkonowych Klifach.

Zrodzony znów stał się Zrodzonym, czym jak zwykle zdołał mnie oszołomić.

– Przepraszam, Rachel.

– Czy mógłbyś upodobnić się do człowieka? Proszę?

– Tak – odrzekł i przybrał jak najbardziej ludzką postać, tym razem bez kapelusza czarodzieja, ale z „normalnym” nakryciem głowy ukształtowanym z jego ciała i skóry. Był to kowbojski kapelusz, jaki podpatrzył w jakimś podartym komiksie, westernie. Żałowałam, że tak się stało – ten styl był mi całkowicie obcy i nic dla mnie nie znaczył.

Uzgodniliśmy, że przebierze się w długą szatę, ponieważ wtedy nie będzie musiał wypuszczać stóp. Im był starszy, tym bardziej

nienawidził stóp, być może ze względu na swoją fizyczną budowę, która czyniła takie rozwiązanie niewygodnym. Po takim kamienistym gruncie koniecznie musiał się przemieszczać za pomocą tysiąca rzęsek.

Ale wybryki Zrodzonego przede wszystkim mnie rozpraszały i zrywały moją więź z otoczeniem. Trudno mi było odzyskać pełną czujność. Powinnam była odprowadzić go prosto do Balkonowych Klifów, ale postanowiłam brnąć dalej.

Widząc przed sobą otwarte drzwi, wślizgnęłam się do przypadkowego budynku: dużego czteropiętrowego gmachu z powybijanymi szybami i odkształconym stalowym szkieletem. Być może ktoś kiedyś próbował tutaj zamieszkać, ale teraz ściany porastał tak zwany Firmowy mech. Można się nim żywić w obliczu głodu i pojawia się zazwyczaj w opuszczonych budynkach.

Wewnątrz, w rozległej fabrycznej hali, zobaczyłam: zardzewiałe części jakiejś maszyny, wystarczająco dużo kurzu, żeby udusić dziesięć osób, kałuże płynnej rdzy oraz, wzdłuż bocznej ściany, drabiny i schody prowadzące na dach. Żadnych cennych łupów. Potrzebowaliśmy rzeczy, które można spalić, odsączyć albo przekształcić.

Zrodzony nie potrafił ustać w jednym miejscu i natychmiast powrócił do swojej formy „podróźnej”: niższej, mniej więcej półtorametrowej, z rozszerzoną podstawą. Szpara na szczycie również nieco się poszerzyła, liczba macek wzrosła, ale stały się krótsze i grubsze, nie licząc jednej, która unosiła się jak peryskop, aby zapewnić lepszą perspektywę. Oczy pojawiły się na końcach macek i rozglądały się na wszystkie strony niczym zwiadowcy. Zrodzony nazywał ten tryb „grubymi warstwami”.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam.

– Badam okolicę razem z tobą?

– To, że jesteśmy wewnątrz budynku, nie oznacza, że możesz się zmienić w Zrodzonego. Musisz pozostać człowiekiem, dopóki nie wrócimy do Balkonowych Klifów. – Powtarzałam mu to

wielokrotnie przed wyjściem.

Żadne z oczu na mackach na mnie nie patrzyło, ale nie miałam wrażenia, że jest zażenowany albo zmartwiony. Najwyraźniej skupiał się na czymś innym.

– Tak, Rachel. Masz rację. Ale oni nadchodzą. Wkrótce się pojawią i powinnaś być gotowa. Chyba. Chyba tak?

Wkrótce się pojawią.

To od razu wzbudziło we mnie strach. Podobnie jak odgłos biegnących stóp. Wielu biegnących stóp.

Zbliżali się – słyszałam ich coraz bliżej, ale nie wiedziałam, skąd nadchodzą. Wiedziałam jedynie, że ktoś albo coś się zbliża. Mogliśmy się wydostać tylko górą. Dlatego razem ze Zrodzonym popędziłam po drabinach i schodach na dach. Zrodzony znów zmienił się w jaszczurkę, by móc się poruszać szybciej.

Ja i mój jaszczurzy potwór mknący po schodach na dach.

Co się wydarzyło na dachu

Początkowo nie widzieliśmy intruzów, ponieważ wyroili się spod ziemi. Z tego samego powodu nie miałam pojęcia, skąd nadchodzą: wewnątrz fabryki nie dało się dokładnie zlokalizować źródła dźwięków. Ale kiedy znalazłam się na dachu i popatrzyłam do środka przez szparę między poluzowanymi dachówkami, zobaczyłam kto nas ściga: kolejne zatrute na wpół przemienione dzieci, podobne do tych, które mnie zaatakowały. Wylewały się z przepustu. Eksplozja kolorów i tekstur oraz różnorodność kończyn. Niektóre miały opalizujące pancerze. Innym wyrastały koronkowe skrzydła. Kolejne miały kły jak tasaki, które rozpruwały ich usta. Nadciągały – miękkie, odsłonięte i różowe albo twarde i osłonięte. Odświętna parada zabójców. Stosując podział Wicka, niektóre należały do kategorii „modów”, a inne do „domorosłych”.

Zrodzony dostosował swój oddech do mojego. Najwyraźniej nie potrzebował lornetki, żeby im się przyjrzeć. Stał się szorstki i kłujący, a z jego ciała uniosła się słaba woń spalonych zapalek i zbożowego alkoholu.

– Więcej – szepnął. – Więcej. Dużo więcej. Takich samych.

– Cicho – odrzekłam. – Cicho.

Rzeczywiście więcej, a wszystkie dzieci zachowywały się, jakby miały jakiś cel, jakby znajdowały się na patrolu. Były uzbrojone we włócznie, kije, noże, maczety i śrutówki, niektóre naładowane, a inne, sądząc po sposobie ich trzymania, używane jako pałki. Rozbiegły się po fabryce, szukając czegoś. Zmroził mnie ich widok, tak małych, pozostawiających na zapyłonej posadzce taneczną plataninę odcisków stóp, łap, kopyt i butów. Nasze własne ślady nie zdradziły nas tylko dlatego, że dzieci opanowały wnętrze fabryki niczym gwałtowny pożar, przesłaniając wszystko, co pojawiło się przed nimi. Nie zostawiliśmy śladów na schodach prowadzących na dach,

a jednak dzieci wyraźnie nas szukały, usłyszały nas albo wytropiły spod ziemi.

Nie mogłam patrzeć bezpośrednio na dzieci, więc na chwilę skupiłam się na wzorach ich odcisków stóp. Drzazgi i grudki smoły wbijały mi się w dłoń. Chciałam trwać w bezruchu i ciszy, udając, że mnie tutaj nie ma, by nasi prześladowcy nie wpadli na pomysł wspięcia się na dach. By nie podnieśli wzroku i nie zauważyli refleksu światła na lornetce. Każda blizna na moim ciele pulsowała i płonęła. Ale pulsowała we mnie także żądza zemsty, którą musiałam stłumić. Byłam ze Zrodzonym. Wiedziałam, że zabił czworo z nich, ale teraz była ich niemal dwudziestka.

Jednakże Zrodzony nie miał zamiaru schodzić z dachu. Coś innego dotarło do jego nadludzkich zmysłów – zmysłów, które mogły być liczniejsze od moich. Stwardniał, zesztyniał, a jego oczy zmieniły się w otwory, z których wydobywały się kłęby różowej mgiełki.

– Nadchodzą inne istoty, Rachel – syknął jak para. – Coś innego nadchodzi, już teraz!

Inne istoty?

– Nieprzyjemne – wydyszał – nieprzyjemne nieprzyjemne. – Wystraszyło mnie, że Zrodzony się boi.

Przybrał monotonną barwę dachu, po czym rozpląszczył się jak naleśnik i spróbował owinąć mnie jak dywan. Albo jak olbrzymi szorstki język.

– Przestań! – szepnęłam, tracąc uchwyt. Lornetka dyndała mi na szyi. – Przestań, nie potrzebuję twojej pomocy. – Odepchnęłam krawędź ciała Zrodzonego. – Muszę to zobaczyć. Muszę to zobaczyć.

Udało mi się połowicznie wyzwolić z jego ochronnych objęć i ponownie przyłożyć lornetkę do oczu.

Na dole rozbrzmiały ryki i wrzaski, polała się krew; słyszałam wilgotne furkotanie towarzyszące rozrywaniu ludzi na kawałki. Wysłannicy Morda. Wlewali się przez drzwi, którymi weszliśmy ze Zrodzonym. Przebijali okna.

– Nie patrz – powiedziałam Zrodzonemu. – Nie patrz.

Ale jak mogłam go powstrzymać? Całą jego skórę pokrywały oczy oraz inne receptory, których nawet nie potrafiłam nazwać.

Jak mam opisać to, co zobaczyłam? To była straszliwa, błyskawiczna rzeź, nacechowana paskudną precyzją, która nie pozwalała odwrócić wzroku. Co gorsza, wysłannicy Morda wcielali w życie zemstę, jaką po tysiącokroć sobie wyobrażałam – w przyśpieszonej i nadnaturalnej formie.

Najbardziej zaszokowała mnie ich szybkość. Ponieważ wszyscy mieli postać złotych niedźwiedzi, potężnych i obrzydliwie pięknych, znacznie wyższych od człowieka, z grubymi mięśniami, które przy każdym kroku i susie napinały się pod powierzchnią futra, upodabniając ich do drzew oplątanych sztywnymi pnączami. A jednak poruszali się tak zwinnie i falowali niczym węże, wydry albo woda płynąca silnym nurtem.

Potworne złocistobrunatne rozmazane plamy, które rozrywały zdziczałe dzieci z szorstką swobodą baletmistrzów, zraszając ślady stóp na zapyłonej posadzce krwią i wnętrznościami. Tętnicze rozbryzgi. Głowy urwane z szyj. Kałuże ciemnej krwi tryskającej z głębokich wyżłobień na udach. Wycie i wrzeszczenie pozostałych dzieci, których ostatnia szóstka utworzyła półokrąg, wkrótce zmieniony w płataninę trzewi i odsłoniętych kości, gdy wysłannicy Morda rzucali się na nie z obu stron, rozrywając kłami i pazurami broniące dostępu ciało.

Ostra, dokuczliwa woń krwi poniosła się aż na dach. Towarzyszył jej smród szczyń i gówna.

Rozlegały się prośby o litość i szorstkie odmowy kapitulacji, chociaż wysłannicy Morda wcale o nią nie prosili. Nie można się poddać wysłannikowi, chyba że poprzez śmierć.

Kiedy skończyli, fabryka zmieniła się w brutalne malowidło pełne urwanych części ciała i rozlanych płynów. Prymitywnie nakreślony okrąg, naznaczony, jakby za pomocą ruchu miotły, czerwieniami, żółciami i ciemniejszymi odcieniami, tworzącymi plamy i dróżki, które niemal coś oznaczały. Pojawiały się na nim także zawijasy i spiętrzenia gęstszej farby, która nie została

wygładzona. Miałam wrażenie, że patrzę na przekrój mózgu Morda.

Kiedy skończyli, przestali być podobni do kolibrów o rozmazanych skrzydłach i znów stali się zwykłymi niedźwiedziami, które, w odróżnieniu od Morda, nie potrafiły latać. Z futrem posklejanym krwią niedźwiedzie oglądały skutki swojego bitewnego szału, brodziły w szczątkach, cały czas posapując, rycząc i gardłowo chrząkając. Stawały na dwóch łapach i ponownie opadały na cztery. Wciągały do nozdrzy powietrze, rozkoszując się jego wonią. Zgarniały na środek pomieszczenia głowy, które nie zostały zmiążdżone. Dyszały, mruczały i mamrotały z zadowoleniem.

Skoro się uspokoili, wreszcie mogłam ich policzyć. Pięciu wysłanników bez wysiłku zabiło dwudziestkę dzikich dzieci.

Ale chociaż nie ponieśli żadnych strat, widziałam, jak wiele kosztowała ich ta walka.

Gdy minął bitewny szal, razem z nim ustąpił jakiś impuls napędzający wysłanników, tak że niedźwiedzie nie poruszały się w normalnym tempie, tylko znacznie wolniej, drgawki przecinały ich futra, a pośród ryków i warczenia od czasu do czasu rozbrzmiewały skowyty i jęki. Wcześniej poruszali się w nienaturalny sposób, a teraz płacili za to cenę, niczym organizm, w którym przestaje działać amfetamina. To oznaczało, że mogą być słabi, jeśli przyłapie się ich tuż po rzezi.

– Drkkkkkk – wycharczał jeden z nich do towarzysza.

– Drrkkkkkkkrusz – odezwał się trzeci.

– Drrrkkkkksssiiii.

Wtedy piąty wysłannik Morda, niezgrabny i powolny, ale wciąż niebezpieczny, przeciął szlak krwi i zaczął się wspinać po schodach prowadzących na dach, gdzie się ukryliśmy.

Byłam na wpół owinięta Zrodzonym, więc nie miało to większego znaczenia, że podczas rzezi wsunął mi do ucha jedną z nibynózek i zaczął potajemnie do mnie przemawiać. Jeśli to pomagało mu się bronić przed paniką i powstrzymywało go

przed interwencją, to tym lepiej. Czułam się jak częściowo uśpiona osoba, która reaguje na czyjąś mowę, ale jeszcze nie jest rozbudzona. Byłam zbyt zaaferowana rzezią, zbyt świadoma słabości własnego ciała.

– Nieprzyjemne nieprzyjemne – powtarzał Zrodzony, gdy dzieci umierały, ale w jego słowniku zagościło także mniej typowe określenie. – Strata. Co za strata. Stracili to.

– Oni umierają – odparłam, obserwując krwawą jatkę. – Są zabijani.

– Już nie są tutaj. Tam też nie.

Gdzie znajduje się „tam”? Czy chciałam się dowiedzieć?

– Kiedy oni to robią?

Kolejne dziwne pytanie.

– Teraz, Zrodzony, robią to teraz. Na twoich oczach. – Ale podejrzewałam, że on widzi więcej ode mnie.

– Ale dlaczego oni to robią? Dlaczego?

Nie znałam odpowiedzi. Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam także, dlaczego Zrodzony już nie sprawia wrażenia przestraszonego.

Ale teraz jeden z wysłanników Morda wspinał się po schodach, a jego ciężkie kroki nie pozostawiały wątpliwości, co się stanie na dachu. Ze mną. Ze Zrodzonym.

– Możesz nas ukryć? – spytałam.

– Ukryć?! Ukryć przed czym? – Nagłący ton mojego głosu jego również skłonił do gorączkowej odpowiedzi.

– Przed niedźwiedziem.

– Niedźwiedziem?

– Istotą, która wspina się po schodach!

– Ukryć. – Wyglądało na to, że w krytycznej chwili pojawiło się zaburzenie w komunikacji. Problem w tłumaczeniu.

– Na przykład zmienić w skałę. Czy możesz udać, że jesteś skałą, zamykając mnie w środku i zostawiając mi wystarczająco dużo miejsca, żebym mogła oddychać? – Już wiedziałam, że potrafi się upodabniać do skały. Więc dlaczego nie? Nie mieliśmy innego wyboru.

– Powiedziałaś, żebym nie zmieniał się w skałę – zauważył

Zrodzony.

– Nieważne! Nieważne! Teraz już możesz stać się skałą. Możesz stać się skałą?

– Tak, mogę stać się skałą! – odrzekł Zrodzony entuzjastycznie.

– Mogę cię schować wewnątrz.

– A czy możesz pozostać skałą niezależnie od tego, co się wydarzy? Możesz nią pozostać? Być cichy jak skała?

Niedźwiedź wspinał się w oszłamiającym tempie, wyraźnie odzyskując siły. Zaraz znajdzie się na dachu. Jeszcze tylko chwila.

– Mogę pozostać skałą.

– A potrafisz pachnieć jak skała? Musisz pachnieć jak skała.

– Potrafię!

– Więc to zrób... teraz!

– Tak, Rachel!

Zrodzony rozpostarł się, rozwinął, uniósł wysoko, po czym runął jak rozbijająca się fala, a ja upadłam w samym jej środku, pochylona i na wpół zmiądzdżona przez rżęski i gumowate ciało.

Niczego nie widziałam.

Niczego nie mogłam zrobić.

Byłam uwięziona wewnątrz Zrodzonego, mając nadzieję, że na zewnątrz wygląda jak skała.

Nie czuję się pewnie w ciemnych miejscach. Przypominają mi inne czasy, gdy musiałam się ukrywać jako dziecko, razem z rodzicami. Ściśnięta. W dole. W tunelu. W szafie. Czekaając, aż ktoś mnie znajdzie, odkryje, odda. Trwając w ciszy, bezruchu, starając się nie oddychać, dopóki zagrożenie nie minie. Kiedy dotarłam do miasta, zaczęłam reagować na takie sytuacje jeszcze większą paniką.

Posapywanie niedźwiedzia coraz bardziej się zbliżało, wściekłe warczenie czystej zwierzęcej żądzы krwi, pod którym jednak kryły się zduszone słowa, przytłumione wykwity języka: „Drrrrkkkkkkk. Drrrrrk. Drrrrrk”.

Z trudem chwyciłam powietrze, z trudem panowałam nad oddechem. Znalazłam się w sytuacji, w jakiej nie znalazł się

żaden człowiek przede mną, a zarazem w sytuacji, jakiej ludzie doświadczają od tysięcy lat. W jednym świecie byłam ukryta w kokonie żywego organizmu, który wciąż nie dawał się wyjaśnić i, niezależnie od tego, jak bardzo go kochałam, pozostawał dla mnie tajemnicą. W innym świecie znajdowałam się wewnątrz jaskini, usiłując ukryć się przed dzikim zwierzęciem. Głębie tego, co znajome i nieznanego, zderzały się ze sobą. Zdezorientowana ponownie ujrzałam dziwaczne oko lisicy. Ponownie ujrzałam martwych astronautów. Zobaczyłam osobliwy kawałek mięsa pozostawiony jako pułapka na mnie. Zobaczyłam drżący bok Morda.

Wtedy zapragnęłam Wicka. Chciałam, żeby znalazł się na dachu i powiedział mi, co więcej mogę zrobić. Chciałam, żeby ułatwił mi życie i sprawił, by wysłannicy Morda zniknęli. Z pewnością wiedziałby, jak sobie poradzić. Zrodzony był tylko dzieckiem. Zrodzony był tylko skałą.

Czułam, że jeśli niedźwiedź będzie dłużej krążył wokół Zrodzonego-skały, klaustrofobia doprowadzi mnie do szaleństwa. Zacznę krzyczeć i błagać Zrodzonego, by mnie wypuścił. Miałam wrażenie, że nie mogę oddychać. Nie mogłam myśleć.

Ale Zrodzony to wyczuwał, wiedział, co się dzieje wewnątrz i na zewnątrz. Przestrzeń rozszerzyła się, a otaczające mnie ściany zaczęły promieniować zielonym światłem, dzięki czemu dostrzegłam wysuwające się ku mnie utworzone z ciała książkę oraz półkę, na której stał telefon.

Telefon drżał, jakby dzwonił. Podniosłam słuchawkę.

– Słucham – szepnęłam.

– Mówi Zrodzony. Dzwoni do ciebie Zrodzony.

– Wiem – odpowiedziałam. Czułam się jak dziecko z zabawkowym telefonem, ucinające sobie pogawędkę z wymyślonym przyjacielem.

– Nie musisz nawet wydawać żadnych dźwięków, żebym cię słyszał. Wystarczy, że będziesz poruszała ustami – oznajmił.

– Co się dzieje na zewnątrz? – spytałam bezgłośnie, a Zrodzony lekko się zachwiał, gdy coś pchnęło go z mojej lewej strony.

– Niedźwiedź mnie okrąża. Właśnie mnie popchnął i kawałek się potoczyłem, jak skała. Ale tylko kawałek. Ponieważ jestem skałą, nie Zrodzonym.

– Dobrze. Może niedźwiedź odejdzie.

– Czy powinienem się bać, Rachel?

– A boisz się?

– Martwię się, że niedźwiedź może zjeść kawałek mnie.

– Niedźwiedzie nie jedzą skał.

– Martwię się, że jeśli będę się zbyt martwił tym, że niedźwiedź zje kawałek mnie, przestanę być skałą, a wtedy niedźwiedź może mnie zjeść.

– Musisz pozostać skałą. – Całą siłą woli i każdą potajemną myślą nakłaniałam Zrodzonego, aby nadal zachowywał się jak skała.

– Muszę kończyć – odrzekł. – Myślę, że niedźwiedź zaraz zrobi coś innego. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia, Zrodzony – odpowiedziałam bezgłośnie.

Do usłyszenia, Zrodzony, i witaj, Zrodzony, wokół mnie.

Zachwiał się groźnie, a ja rozpostarłam ręce, by utrzymać równowagę. Byłam przerażona, że niezależnie od iluzji niedźwiedź wgrzyzie się w Zrodzonego i dotrze do samego środka, do mnie, i oboje umrzemy na tym dachu, gdzie w końcu odnajdzie nas Wick.

Drżenie, szarpnięcie, gwałtowny przechył i Zrodzony znów stał się ciasny i mały, pozostawiając tylko kulę powietrza wokół mojej głowy. Światło zniknęło razem ze wszystkim, co stworzył dla mojej wygody. Leżałam, ciężko dysząc, otaczająca mnie skóra Zrodzonego i jego ciało znów stały się kłujące i sztywne, a ocierające się o mnie rzęski zmieniły się w malutkie krzyczące usta, które dotykały mojego ubrania, rąk, nóg i włosów. Zrodzony bezgłośnie wrzeszczał do wnętrza swojego ciała, ponieważ nie mógł tego robić na zewnątrz.

Na chwilę ogarnęła mnie straszliwa panika, gdy uświadomiłam sobie, że niedźwiedź może mnie wyczuć wewnątrz skały. Zaczęłam wierzcąc i wymachiwać rękami, ale szybko znieruchomiałam, ponieważ każdy mój ruch sprawiał, że

Zrodzony jeszcze mocniej się wokół mnie zaciskał, tak że każdy oddech sprawiał mi ból.

Wyczuwałam wibracje wywołane przez łapy wysłannika i jego szczęki wgrzające się w Zrodzonego. Czułam, jak niedźwiedź obłapia, ściska i kaleczy górną część jego ciała. Zagłębia się w skałę. Kiereszuje ją. A ja byłam trupem w żywej trumnie, przygotowywałam się do ujawnienia i stanięcia twarzą w twarz z potężnym, szerokim kudłatym łbem niedźwiedzia. Do spotkania z wysłannikiem Morda. Do spotkania ze śmiercią.

Dotarł do mnie ciekawski pomruk. Wygłodniałe warczenie, tak grube i głośne, że przenikało każdą powierzchnię, odkształcało mój szkielet. Potem rozległo się sapanie.

Ale po chwili niedźwiedź umilkł i poczułam, jak podłoga ugina się pod wielkim oddalającym się ciężarem.

Gdy ten ciężar przeniósł się na schody i już niczego nie czułam ani nie słyszałam, wyszeptalam:

– Zrodzony. Zrodzony, jesteś tam? Wszystko w porządku?

Rzęski przestały wrzeszczeć. Ciało przestało reagować. Nic w Zrodzonym nie sprawiało wrażenia żywego. Równie dobrze mogłabym znajdować się wewnątrz czegoś bezwładnego – w kapsule ratunkowej wystrzelonej z eksplodującego statku kosmicznego daleko od Ziemi albo w jednoosobowym batyskafie zanurzonym w naszej śmiertelnej rzece, utrzymując się przy życiu dzięki niewielkiej porcji powietrza, które wkrótce miało się wyczerpać.

Czułam ucisk w płucach, jakbym zanurkowała głęboko pod ziemię, jakbym znalazła się tak daleko od powierzchni, że nie miałam pojęcia, jak wrócić. Jakby czekało mnie obrzydliwe, straszne zadanie wygrzebania się z wnętrza Zrodzonego.

– Zrodzony! – Zaryzykowałam i nieco podniosłam głos.

Odpowiedział mi głos dobiegający zarazem zewsząd i znikąd.

– Jestem tutaj, Rachel. Jestem tutaj. Wciąż jestem skałą.

– Jesteś ranny? – spytałam bezgłośnie.

– Nie czuję niektórych części siebie – odpowiedział. – Niektóre części mnie zniknęły.

– Nie ruszaj się. Nie ruszaj się, dopóki oni nie odejdą.

– Teraz łatwiej jest mi się nie poruszać, ponieważ jestem mniejszy.

Brzmiał dziwnie, jakby był nie tylko uszkodzony, ale też zaskoczony. Jego własne rany go zaskakiwały.

*

W starym świecie, gdy wychodziliśmy z rodzicami z tajnych pomieszczeń, tuneli, jaskiń czy szaf, wiedzieliśmy, do czego wracamy – do tego samego miejsca, które opuściliśmy, równie niebezpiecznego bądź bezpiecznego jak poprzednio. Ukrywaliśmy się, żeby móc pozostać w tym świecie, w który wierzyliśmy, niezależnie od wszystkiego. Ponieważ nie mieliśmy innego wyjścia. Ponieważ nie było żadnego lepszego ani gorszego świata, tylko miejsce, w którym się pojawiliśmy.

Ale kiedy wyłoniłam się z wnętrza Zrodzonego i znów stanęłam na dachu, nie czułam się tak samo. Wkrótce Zrodzony oznajmił, że wysłannicy Morda naprawdę odeszli i na dole pozostali tylko poszukiwacze, którzy pierzchną na nasz widok. Biotechnologiczne odrzuty, niektóre sprawne, inne poruszające się z wielkim trudem, które wychodzą nocą.

Mimo wszystko zaczekaliśmy do zmierzchu, a kiedy tak stałam obok Zrodzonego, świat zmienił się pod więcej niż jednym względem. Nie chodziło tylko o to, że Zrodzony mnie osłonił. Nie chodziło o zmienione niebo.

Podejrzliwy wysłannik Morda wyrwał kilka kawałków ciała Zrodzonego. Te kawałki spadły na dach i potoczyły się jak skalne odłamki, ale teraz drżały i napinały się jak rozwierające się i zaciskające dłonie, powróciwszy do cielesnej formy.

Zrodzony, który stał przede mną, nawet w tym słabym świetle wyglądał na zranionego i zniekształconego. Powrócił do swojego normalnego rozmiaru i kształtu, który przypominał odwrócony wazon łączący w sobie cechy kałamarnicy i ukwiału, ale był tak przygarbiony i przygaszony, jakim jeszcze nigdy go nie widziałam.

Skrzywiłam się, widząc, że jego lewy bok jest pobrużdżony i fioletowoczarny, a krąg ciemno lśniących oczu otacza ciało

w chaotyczny sposób, niczym przegniła karuzela w wesołym miasteczku, która trzyma się na jednej śrubie i za chwilę poleci w tłum. Wydzielał woń terpentyny, gnijących paluszków rybnych i zapleśniałych bandaży.

– Przykro mi, Zrodzony – odezwałam się roztrzęsionym głosem.
– Nie powinnam była cię tutaj zabierać.

Skądś wiedzieli. Wiedzieli, gdzie będziemy – ale którzy z nich? Dzieci czy wysłannicy? Nie wierzyłam, że to może być zbieg okoliczności albo pech. Poza tym przez mój umysł przetaczało się potworne poczucie odpowiedzialności. Gdyby Zrodzony się nie wyprowadził, gdyby nie udawał, że jest bardziej dorosły, być może nie podjęłabym tego ryzyka.

– W porządku, Rachel – odrzekł. – W porządku.

– Wcale nie.

Oczy Zrodzonego rozbłysły i pojawiło się w nich coś nowego: gniew, ale nie z powodu tego, że mu się sprzeciwiłam. To była autentyczna dorosła emocja, która wcześniej nie była w nim obecna. Wyrażał ją za pomocą pomarańczowoczerwonego blasku bijącego z jego wnętrza. Nie wiedziałam, czy u Zrodzonego czerwień oznacza ostrzeżenie, lecz on wiedział, że tak jest w moim przypadku.

– W porządku – powtórzył. – Muszę się uczyć. Muszę wiedzieć.

– Ale nie kosztem własnych ran.

– To nie rany najbardziej bołą – odparł.

Być może był dla mnie obcy, miał więcej zmysłów i robił rzeczy, jakich nie potrafi żaden człowiek... ale uważałam, że rozumiem, co do mnie mówi. (Tylko czy naprawdę tak było?). Teraz już wiedział, że może zostać ranny. Wiedział, że jest wrażliwy na atak. Radość już nie będzie mu tak samo smakować. Podobnie jak wygłupy. Ponieważ za tym wszystkim będzie się kryła świadomość, że może umrzeć.

– Jestem zmęczony, Rachel – powiedział. – Przez jakiś czas nie powinienem się poruszać.

– W porządku – odpowiedziałam i rzeczywiście tak było. Gdyby okazało się, że musimy zadomowić się na tym dachu na kilka godzin, byłam na to gotowa.

Ochłodziło się, gdy zaszło słońce, a gwiazdy rozbłysły na nietypowo bezchmurnym niebie. Długo milczeliśmy, a ja nie próbowałam zejść na dół na zwiady. Zrodzony potrzebował mojej uwagi, a poza tym chyba oboje obawialiśmy się opuszczenia dachu. Żadne z nas nie chciało z bliska zobaczyć skutków rzezi, nawet po ciemku. Ale Zrodzony także patrzył na gwiazdy, całkowicie skupiając na nich uwagę.

Niepewnie wyciągał w górę mackę, jakby chciał ich dosięgnąć.

Na pewno wiedział, że to niemożliwe, ale i tak powiedziałam:

– Nie możesz ich dotknąć!

– Dlaczego nie? Są gorące?

– Owszem, ale nie dlatego. Są bardzo, bardzo daleko.

– Ale moje ręce są długie, Rachel. Mogą być tak długie, jak zechcę.

– Możliwe, ale... – Urwałam, gdy uświadomiłam sobie, że Zrodzony żartuje. Zawsze kiedy to robił, zdradzał go pewien drobiazg, a właściwie wcale nie drobiazg. Niektóre z jego oczu przesuwają się w lewo, tworząc charakterystyczne skupisko. Nie panował nad tym.

– Diabelskie. Destrukcyjne. Deliryczne. Dogłębne. – Cztery nowe słowa, które wypróbowywał. Tylko że słowa „diabelskie” nie nauczył się ode mnie, co wzbudziło we mnie zazdrość. Jakaś inna książka, inne źródło.

To było zwyczajne nocne niebo, ale w tej chwili idealnie zestroiłam się ze Zrodzonym i dostrzegłam to także w jego oczach – jak gwałtowny przypływ uczuć. Ponieważ z tego, co było mi wiadomo, nigdy wcześniej nie widział otwartego nieba – najwyżej zerkał na nie przelotnie z Balkonowych Klifów o zmierzchu albo oglądał je w książkach. Tak wiele gwiazd i tak mało miejskich świateł, które by je zagłuszały. Taki sam widok oglądałam w naszym schronieniu na wyspie, bardzo dawno temu. Spacerowałam wtedy plażą i nie potrzebowałam latarki, tak jasno świeciły gwiazdy.

Migocząca rafa gwiazd, rozłożysta i fosforyzująca, a wokół każdej z nich mogą krążyć planety, na których być może istnieje życie. Niewykluczone nawet, że ludzie tacy jak my wpatrują się

tam w nocne niebo. Moja matka czasami tak mawiała – musimy pamiętać, że istnieje wszechświat poza nami i że nie mamy pojęcia, co w nim żyje, a chociaż przeraża nas myśl, że tak niewiele o nim wiemy, on z tego powodu nie przestaje istnieć. Jest coś poza tym wszystkim, co nigdy nie dowie się o nas i naszych zmaganiach, co nigdy nie będzie się nimi przejmować i przetrwa bez nas. Moja matka uważała tę myśl za pocieszającą.

Liczne oczy Zrodzonego stały się gwiazdami, na które patrzył, a jego skóra przybrała kolor aksamitnej nocy, tak że zmienił się w odbicie. Wysunęło się z niego tak wiele oczu na słupkach, że jego ciało rozpląszczyło się i przesłoniło większą część dachu, tworząc nieregularnie ukształtowaną kałużę, której krawędź opierała się o moje buty. Wciąż widziałam jego obrażenia, które wyglądały, jakby ktoś odgryzł mu kawałek ciała. Każdy słupek kończył się trójwymiarowym odwzorowaniem gwiazdy, a poszczególne gwiazdy łączyły się w skupiska, tak że Zrodzony upodobił się do nocnego nieba pokrytego mgławicami i galaktykami, a świetliki przemykały nad nim jak meteory.

– Są piękne – rozległ się jego głos po drugiej stronie rozgwieżdżonego ciała. – Są piękne.

Tym razem coś, co uznawał za piękne, rzeczywiście takie było. Odniosłam wrażenie, że stał mi się bliższy, mimo że przejawiał coraz więcej obcych cech, ale przezornie stłumiłam tę myśl. Czy naprawdę nie ma w nim podstępów? Czy nie wypowiedział tych słów ze względu na moją reakcję na skażoną rzekę? Chociaż podejrzewałam, że mówiąc, że niebo jest „piękne”, jedynie podtrzymuje rozmowę ze względu na mnie, wiedziałam także, że przybrał tę formę, by rozpocząć proces gojenia ran, i jest w niej coś, co go uspokaja i mu pomaga.

– Czym one są? – spytał. – Czy to... światła jak w Balkonowych Klifach? A może... elektryczne światełka? Kto je zapalił? – A więc w żadnej z książek nie czytał o gwiazdach. Niczego o nich nie wiedział.

– Nikt ich nie zapalił – odparłam, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że właśnie zlekceważyłam tysiące lat religii. Ale było za późno, żeby się wycofać.

– Nikt?

– Jesteśmy na planecie – wyjaśniłam, nie wiedząc, jak wielkie są luki w jego książkowej wiedzy. – Jesteśmy na planecie, która krąży wokół gwiazdy, czyli ogromnej kuli ognia. Tak potężnej, że gdybyśmy nie znajdowali się tak daleko, wszyscy byśmy zginęli, spalili się. Nazywamy ją słońcem, a ty któregoś dnia powiedziałeś, że słońce nie jest miłe, gdy mocno na ciebie świeciło. Ale te wszystkie punkciki światła to również słońca, tylko położone dalej, a wokół nich także krążą planety.

Oczy zaszły mi mgłą, gdy opowiadałam o tym Zrodzonemu. Odczuwałam skutki naszych ciężkich przeżyć.

– Wszystkie? Każde z nich? Przecież są ich setki.

– Tysiące. Może miliony.

Na samym środku rozgwieźdzonego ciała Zrodzonego uformowało się wielkie słońce, również osadzone na słupku. To była astronomiczna herezja. Wizja, którą przedstawiał, była metaforyczna, metafizyczna albo po prostu głupia.

– Ależ to niewiarygodne – odezwał się cicho. – Niesamowite. Druzgocące.

Nagle coś zaczęło przesłaniać gwiazdy, zmieniając migoczącą, lśniącą jasność w głęboką i ostateczną ciemność.

– A co to takiego? – spytał Zrodzony, jakby chodziło o coś normalnego, czego jeszcze nie poznał, ale o czym za chwilę mu opowiem, pouczając go, co ma o tym myśleć.

Zaniemówiłam, ponieważ przez chwilę miałam wrażenie, że kończy się świat, że los podstępnie umieścił nas na tym dachu, abyśmy oglądali koniec... wszystkiego.

Nagle zrozumiałam, na co patrzymy, i nie zdołałam powstrzymać zduszonego chichotu. Och, co za numer! Rzeczywiście nadszedł koniec świata.

– Co cię rozbawiło, Rachel? – W głosie Zrodzonego pobrzmiwał niepokój. Cofnął się spod moich stóp i wrócił do normalnej formy, wciąż pochylony i ranny.

– To jest Mord – odpowiedziałam.

Tak, to był Mord – unosił się i nurkował na nocnym niebie, wysoko w górze, tak olbrzymi, że nawet w tej odległości

przesłaniał gwiazdy. Gigantyczny niedźwiedź Mord sunął po nocnym niebie, kipiąc gniewem, a my słyszeliśmy ciche charczenie i porykiwanie dobiegające ze stratosfery, jego zduszone wściekłe posapywania. Gasił kolejne gwiazdozbiory, tym samym uświadamiając mi ich istnienie. Przynosił ze sobą najgłębszy mrok, a chociaż wzbudzał we mnie strach, nienawiść i pogardę, w tej chwili stanowił najczystsze odbicie miasta.

– Moooooordddddddddd – odezwał się Zrodzony syczącym głosem.

Nawet w odbitym świetle dostrzegłam, że każdy centymetr jego zdrowego ciała stał się ostry, nierówny, spiczasty jak groty włócznie albo kolce, a obracające się oczy podążały za przesłaniającą wszystko sylwetką Morda jak pozycje baterii przeciwlotniczych śledzące samolot. Ostrzeliwały pozycję Morda analizami, obliczeniami i trajektoriami.

– Jest bardzo daleko – powiedziałam uspokajającym tonem. – Nie robi ci krzywdy. – Żadne z tych stwierdzeń nie było całkowicie prawdziwe.

– To od niego pochodzą wysłannicy Morda – skojarzył Zrodzony. – On stanowi źródło.

– Tak.

– Są jego dziećmi.

– W pewnym sensie.

– Dlaczego pozwala, by jego dzieci robiły coś takiego innym dzieciom?

Nie znałam odpowiedzi, ale byłam pewna, że Zrodzony dowiedział się wystarczająco dużo o Mordzie ode mnie i od Wicka, więc rozumiał, na co patrzy. W jego wyobraźni zmieniliśmy Morda w straszdyło, potwora kryjącego się pod łóżkiem. Nie wychodź, nie rób tego, nie rób tamtego, ponieważ: Mord. Ale teraz Zrodzonego poranił jeden z wysłanników, więc próbował zrozumieć Morda. Jego prawdziwą naturę.

Mord dalej nurkował, sunął, krążył i opadał na niebie niczym bóg.

– Mord jest piękny – rzekł Zrodzony z pogardą. – Mord jest silny. Mord jest niemiły. – Sądząc po tonie jego głosu, zaczynał

parodiować własną niewinność.

– Głównie niemiły. Pamiętaj o tym i go unikaj.

– Zabija gwiazdy – zauważył Zrodzony. – Zabija gwiazdy i przynosi ciemność.

– Gwiazdy powrócą.

– Ale nie tamci ludzie na dole.

„Sam zabiłeś czwórkę z nich w Balkonowych Klifach”, chciałam powiedzieć. Ale tego nie zrobiłam.

Z czym wróciliśmy do Wicka

Ucieczka przed śmiercią sprawiła, że zakręciło mi się w głowie, gdy wślizgnęliśmy się do Balkonowych Klifów. Zrodzony również miał zawroty głowy, ponieważ dostrzegł taką reakcję u mnie, a ja chciałam odwrócić jego uwagę od bólu. Jeśli rzeczywiście go odczuwał; nie chciał mi powiedzieć, czy cierpi.

Po bliskim spotkaniu ze śmiercią życie nabrało nowego blasku. Kręciło mi się w głowie także ze złości, ponieważ gdy wreszcie zeszliśmy do fabrycznej hali, natrafiłam na pewien sekret, który musiałam przynieść Wickowi, gdyż należał do niego.

Dumnym krokiem pokonaliśmy bezbarwne korytarze, po czym dosłownie zgięliśmy się w pół ze śmiechu, a ja wiedziałam, że jestem nieodrodną córką swojego taty, ponieważ on też się tak zachowywał. Śmiech albo smutek zawsze rzucały go na kolana. W drodze powrotnej uznaliśmy, że Mord wcale nie jest „efektowny”, tylko „błazeński”, a gwiazdy przesłonił nam niezdarny, szalony latający niedźwiedź.

– Kto słyszał o latającym niedźwiedziu? – odezwałam się do Zrodzonego. – To tak, jakby znaleźć roślinę, która tak naprawdę jest mówiącą ośmiornicą.

Zrodzony skupił się na słowie, którego wcześniej nie słyszał.

– Błazen! – powiedział z entuzjazmem. – Zen bła! Błazeński balon!

Wiedziałam, że to na jakiś czas odwróci jego uwagę i co najmniej przez kilka minut nie będzie myślał o niedźwiedziach, bawiąc się słowem „błazen”, aż stanie się ono nierozpoznawalne.

– Tak, błazen – zgodziłam się, nieco trzeźwiejąc. Żartowałam ze swoim przyjacielem Zrodzonym, który najwyraźniej się nie zmienił pomimo wyprowadzki. Uratował nam obojgu życie, chociaż przy tym ucierpiał.

– Błazelon.

Nie chodziło o to, że Zrodzony nie jest autentyczny. Wręcz

przeciwnie, zawsze taki był. Lecz dostosowywał się do mnie, uczył się swoich reakcji przede wszystkim ode mnie, a dopiero w drugiej kolejności od świata i z książek. Zależało mi, żeby przynajmniej przez kilka godzin nie uznawał swoich obrażeń za porażkę.

Gdybym nie była tak upojona radością, Zrodzony również by jej nie okazywał. Tymczasem zbliżył się tanecznym krokiem do Wicka stojącego obok basenu, zatańczył wokół niego na swoich zwinnych rżęskach, a potem postanowił się „spłyścić”, jak to ujął, czyli rozpląszczył swoje ciało i wspiął się na sufit przypominającego katedrę pomieszczenia, skąd patrzył na nas gwiazdzistymi oczami, ponownie upodabniając się do nocnego nieba.

– Cześć, Wick! – zawołał z sufitu. – Cześć, Wick. Mam dla ciebie prezent. Rachel prosiła, żebym przyniósł prezent. Cześć, Wick.

Dopadliśmy Wicka z taką zuchwałością, że nawet nie zauważyłam, jak bardzo jest pijany, być może płótkami, a być może kiepskim bimbrem, który kupował. Ale kręciło mu się w głowie bardziej niż nam, a chociaż wyczuwałam, że to niebezpieczne, byłam zbyt zmęczona, by się przejmować. Wróciliśmy do Balkonowych Klifów. Byliśmy bezpieczni.

– Wick, to jest Zrodzony. Zrodzony, to jest Wick – odezwałam się.

Wpadłam na idiotyczny pomysł, że Wick może przyjrzeć się obrażeniom Zrodzonego. Ale niby dlaczego miałyby to robić? Czy jest lekarzem? Weterynarzem?

– Już się poznaliśmy – odrzekł Wick. – Rozmawialiśmy. Jesteśmy praktycznie braćmi. – W jego głosie pobrzmiwała mroczna pogarda dla siebie samego.

– Tak, Rachel! Znam Wicka. Wick mnie zna. Wpadłem do niego, jak na życzliwego sąsiada przystało. Wpadłem do niego i przywitałem się po przeprowadzce do mojego nowego mieszkania.

To mnie zaskoczyło. Zrodzony wydawał się zdecydowanie zbyt zadowolony ze swojego życzliwego zachowania.

– Tak się składa, Rachel, że Zrodzony wiedział bardzo dużo

o mnie, jeszcze zanim ze mną porozmawiał – rzekł Wick.

– Tak, Rachel stale o tobie opowiada, Wick.

– Na to wygląda.

Euforia mnie opuszczała.

Stałam bez ruchu, nie mogąc uwierzyć, że to, czego tak się obawiałam – pierwszy kontakt dwóch tak odmiennych substancji chemicznych – już się dokonało.

Wick i Zrodzony się znali. Rozmawiali ze sobą. Poczułam się zdradzona, jakby Wick zrobił coś za moimi plecami – a nawet gorzej, jakby zrobił to Zrodzony, chociaż to była absurdalna myśl. Czego mogłam pragnąć bardziej niż tego, by Wick i Zrodzony nawiązali ze sobą kontakt i znaleźli porozumienie?

– Co mi przyniosłeś, przyjacielu? – spytał Wick, podnosząc wzrok na Zrodzonego i ignorując moje zaskoczenie. – Może późny lunch? Albo spodnie na zmianę? Przyniosłeś mi coś nowego z Firmy? – Wick miał na sobie za duże klapki nie do pary, kraciaste szorty i biały podkoszulek naznaczony zieloną smugą. Zapewne właśnie szykował się do snu.

– Paaaaaaaaaaaaazur – odrzekł Zrodzony. – Przynoszę paaaaaaaaaaaaazur.

Z jego płaskiego ciała efektownie wysunęła się nibynóżka – co nie spodobało się Wickowi, który cofnął się o krok – a gwiazdy zniknęły i w ich miejsce pojawiły się normalne oczy. Wysunięta macka rzeczywiście trzymała dar dla Wicka: pazur.

Wick na niego popatrzył, a ja zadrżałam, ponownie widząc zbryzganą krwią podłogę fabryki. Pazur miał długość ludzkiego przedramienia, był groźnie zakrzywiony i kończył się szerokim ostrym czubkiem.

– Co... to jest? – wydukał Wick. – Coś ze zbiorników retencyjnych?

– Wiesz, co to jest – odpowiedziałam. Nie podobała mi się ta pijana wersja Wicka.

– Paaaazur! Cudowny paaaaazur. Od Mordźwiedzia – powiedział Zrodzony, upuszczając pazur na kamienną posadzkę. Nibynóżka się cofnęła. Jego oczy lśniły z radości, a może to był ból? – A teraz chcę ekspediować sufit.

– Eksplorować, a nie ekspediować.

Ciało Zrodzonego wydzieliło woń przypominającą słony zapach morskiej fali: wyraźną, ostrą, czystą. Zrodzony jeszcze bardziej się „spłycił”, tak że miał nie więcej niż pół centymetra grubości i zakrywał cały sufit.

– Zamierzasz ożenić się z tym sufitem, Zrodzony? – spytałam.

– Nie jestem żonaty! Nigdy się nie ożenię!

– Ale tak to wygląda.

– Nie! Tylko próbuję. Dzisiaj byłem próbowany. Nie raz.

– Chyba poddany próbie.

– Próbie ognia.

Wiedziałam, że musi wrócić do pełnej sprawności, a spłycenie i próbowanie mu w tym pomagają. Widziałam na nim blizny, ślady Morda, i rozumiałam, jak traumatyczne były dla niego przeżycia na dachu, pomimo zapewnień, że „nic mu nie będzie”.

Wick podniósł pazur i obracał go w dłoniach. Chwiejnym krokiem doszedł do krzesła obok zbiornika z bagiennymi eliksirami. W basenie było ciemno, a spod emanującej zielonym blaskiem powierzchni wydobywało się niewyraźne bulgotanie. Pomieszczenie oświetlały głównie świetliki i porosty na suficie, z których większość zakrył Zrodzony, chociaż podczas swojej eksploracji roztropnie zapalił światełka na swojej „twarzy”, by nam to zrekompensować.

Przyciągnęłam krzesło i usiadłam obok Wicka.

– Natrafiliśmy dzisiaj na wysłanników Morda. To dlatego się spóźniliśmy.

– Domyśliłem się... po tym pazurze – odparł szorstko zajęty oglądaniem przedmiotu.

Dokładnie przyjrzałam się Wickowi, który siedział zgarbiony na krześle z pazurami w dłoniach. O wychudły szkielet, o wystające kości policzkowe, o cienie pod oczami. Widząc go w takim stanie, rozlazłego, zmartwionego i wymizerowanego, nie miałam serca pouczyć go, że przede wszystkim powinien spytać, czy nic nam się nie stało. A potem powinien mnie przytulić. A następnie, jeśli miał choć trochę oleju w głowie, domyślić się po moim wyrazie twarzy, że musimy porozmawiać.

– Możesz się czegoś dowiedzieć na podstawie tego pazura? – Nie do końca rozumiałam biotechnologię i umiejętności Wicka, ale zaczęły mi przychodzić do głowy tak idiotyczne pomysły jak sklonowanie Morda, tylko że dobrego i odpowiedzialnego, Morda, który będzie nam pomagał.

– Tak, to pazur. Pochodzi od niedźwiedzia... wysłannika Morda. Mogę go wykorzystać. Dzięki.

– Co się stało, Wick?

– Uważasz, że to dobry pomysł przyprowadzić tutaj Zrodzonego? – Popatrzył na sufit, gdzie Zrodzony właśnie ekspediował jakąś powierzchnię, eksplorował świetliki i obejmował gniazdo (niebędących dziełem biotechnologii) pająków. – Zostaw świetliki w spokoju.

– Sam powinienes to wiedzieć – odparłam. – Już rozmawialiście. Jesteście przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi. Rozmawialiśmy na korytarzu. Nie miałem żadnego wpływu na jego pojawienie się tutaj, więc powinienem przynajmniej mieć pojęcie o tym, co robi. Nigdy wcześniej go tutaj nie wpuszczałem. A ty?

– Prawdę mówiąc, tak – przyznałam. – Razem ze Zrodzonym odwiedziliśmy wszystkie korytarze i tajne miejsca, a do niektórych z nich tylko on mógł się wślizgnąć. – „Wszystko naznaczyliśmy swoim zapachem”, chciałam dodać buntowniczym tonem. „Upewniliśmy się, że wszystko nosi nasz zapach”. – To oznacza, że nie tylko twoje pytanie jest spóźnione, ale Zrodzony może nam pomóc poznać nowe zakamarki naszego domu. Z jego pomocą możemy znaleźć więcej zapasów ukrytych pośród tych wszystkich śmieci.

– Zrodzony to, Zrodzony tamto – odrzekł Wick, stukając końcem pazura o ścianę basenu. – Już wcześniej było źle, a teraz mówisz mi coś takiego. Rachel, w tej chwili w Balkonowych Klifach nie ma żadnej żywej istoty poza tobą, mną i Zrodzonym. Czy to nic ci nie mówi? Prosiłem, żebyś go stąd zabrała...

– Z tego, co mi wiadomo, przynosił ci jaszczurki.

– Wcale nie. Pakował je do własnych ust, których nie potrzebuje.

– Ani Zrodzony, ani ja cię nie posłuchamy, Wick – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Szkodniki, pasożyty. Zrodzony po prostu oczyszczał to miejsce. – Ponieważ my także tutaj mieszkamy. Mieszkamy tu z tobą. Zrodzony i ja. Ja, Zrodzony i ty. Czy to nie wspaniałe? Chyba nie zaprzeczysz, że jest wspaniałe?

Zrodzony właśnie używał pacynek poruszanych mackami do odegrania ponad naszymi głowami kłótni o użycie i znaczenie słów „ekspediowanie” i „eksplorowanie”, wyraźnie starając się działać na moją korzyść.

– Jest dziełem sztuki – odrzekł Wick. – Geniuszem.

Miałam nadzieję, że nie usłyszał, jak Zrodzony szepcze, że Wick nie jest aż takim nudziarzem, jak twierdziłam. Że basen z góry „wygląda na całkiem fajowy, ale dosyć gorący, spoko”. Czyżby odkrył gdzieś w Balkonowych Klifach kolekcję czasopism dla nastolatków?

– A więc co jest nie tak?

– Najpierw go stąd odeślij – odrzekł Wick. – Zabierz go stąd.

– Nie. – Jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy, ale niemal straciłam cierpliwość. Oprócz zawrotów głowy i złości czułam wyczerpanie naszą przygodą i potrzebowałam snu, żeby uspokoić emocje po ucieczce.

Wick przez chwilę się zastanawiał, a potem niespodziewanie wrzucił pazur do basenu, jakby nic nie znaczył i był pozbawiony wartości.

– No dobrze, do diabła z tym – powiedział obco brzmiącym głosem. – Dlaczego nie?

Przez chwilę grzebał w metalowej skrzynce, po czym wyciągnął z niej garść alkoholowych płotek. Pomyślałam, że może nie jest pijany, tylko udręczony.

– Proszę, Zrodzony, poczęstuj się płotką – powiedział i rzucił kilka sztuk w powietrze. Niedostatecznie wysoko, ale to nie miało znaczenia. Zrodzony i tak sięgnął w dół i złapał je, zanim opadły.

– Ooooch, płotki za paaaazzur!

– Tak, Zrodzony – odrzekł Wick. – Płotki za pazur. Jesteś bardzo szczodry.

Zrodzony zaczął ucztować, delikatnie mlaszcząc, aby okazać nam swoją wdzięczność. Brzmiał jak stara cyrkowa foka, co także mnie irytowało.

– Więc teraz znasz Zrodzonego na tyle dobrze, żeby go upić?

Wick obrócił swoje krzesło, by siedzieć przodem do mnie.

– One nie działają tak samo na starego Zrodzonego. Po prostu nie. Dzieła biotechnologii różnią się od nas. Większość z nich jest nieprzewidywalna, bardziej niż ci się wydaje. Organizm Zrodzonego można odurzyć... w inny sposób. Masz, poczęstuj się.

– Rzucił w moją stronę kilka płotek.

Płotki bardziej przypominały solone sardynki, ale kiedy się w nie wgrzyzało, usta wypełniał łagodny miętowy chłód, a potem alkohol albo jego odpowiednik wsączał się do organizmu, przynosząc prawdziwe ochłodzenie i przyjemny cierpki posmak. Wspaniale sprawdzały się w upalny dzień.

– Czego nie chciałeś mi powiedzieć w obecności Zrodzonego? – spytałam po schrupaniu dwóch płotek. – Wykrztuś to wreszcie.

Znów na chwilę zamilkł, a potem zaczął odpowiadać, ale na swój sposób: wchodząc bocznymi drzwiami, klucząc przez labirynt.

– Rachel, tu jest teraz zbyt niebezpiecznie. To znaczy w Balkonowych Klifach. Zbyt niebezpiecznie, by być tutaj samemu. Po dzisiejszym wieczorze sama o tym wiesz.

– Przecież nawet nie spytałeś, co się stało. Nawet nie spytałeś. – Nie zdołałam zamaskować urazy, chociaż brzmiałam przez nią jak dziecko.

Skrzywił się.

– Może dlatego, że jesteś bezpieczna. Może dlatego, że wróciłaś. Może dlatego, że Magiczka właśnie wysłała mi wiadomość.

Chłód alkoholu nie mógł się równać z dreszczem, jaki przebiegł mi po plecach. Te wieści sprawiły, że ogarnęła mnie klaustrofobia, poczułam się nieswojo i nie mogłam usiedzieć na miejscu.

– Czego chciała?

– Otrzymamy ochronę – powiedział Wick, ignorując moje pytanie. – Otrzymamy zapasy, jedzenie, wodę, więcej lepszej

biotechnologii. Będziemy współpracować przeciwko Mordowi.

Znów zakręciło mi się w głowie, ale tym razem poczułam się, jakbym runęła w otchłań. Ogarnęło mnie przerażające i zarazem podniecające uczucie, że wszystko pędzi w niewłaściwym kierunku.

– Czego Magiczka chce w zamian?

Wick się skrzywił i popatrzył na swoje dłonie.

– To ci się nie spodoba.

– Oczywiście, że nie, Wick. Nawet tobie się to nie podoba.

– Chce dostać Balkonowe Klify. A zapewne także Zrodzonego.

Ponieważ zależy jej na dostępie do wszelkiej biotechnologii. Bez wyjątków.

Balkonowe Klify. Zrodzony.

Magiczka żądała wszystkiego, z naszymi duszami włącznie.

Jak poznałam Magiczkę i o co jej teraz chodziło

Do tej pory docierały do mnie tylko niepotwierdzone plotki dotyczące Magiczki, ponieważ Wick lakonicznie wypowiadał się na jej temat, a nie miałam innych źródeł. Niektórzy twierdzili, że była domorośla, wychowała się w rozbitych społecznościach na zachodzie i od dawna badała działalność Firmy. Podobno szybko zaczęła gromadzić wspomnienia od każdego, kto mógł jej dać coś użytecznego – nie tylko z myślą o zarobku, ale także po to, by zrozumieć, co się dzieje wewnątrz Firmy. Zamierzała wykorzystać przeciwko niej wszelkie dostępne informacje. Do niedawna wydawało się, że to czcze pogrożki. Ale okazało się, że wie wystarczająco dużo, by za pomocą gróźb albo łapówek wydobyć narzędzia i biotechnologię od ostatnich pracowników Firmy, którzy zaszyli się w porzuconym budynku, utrzymując się przy życiu dzięki spełnianiu zachcianek Morda.

Inni utrzymywali, że Magiczka kiedyś pracowała dla Firmy albo przybyła zza gór, które nie istniały, ponieważ znajdowały się za daleko, albo że pojawiła się tutaj, ponieważ jej przodkowie władali śródlądowym morzem, z którego teraz pozostały tylko sól i pustynia. Powiadali, że jest okrutna i sprawiedliwa, wysoka i niska. Mówili cokolwiek przyszło im na myśl, ponieważ nieuchwytna Magiczka rzadko się pokazywała.

Widziałam ją tylko raz. Nie lubiła pokazywać się na otwartej przestrzeni, a odkąd zyskała większą władzę, działała głównie za pośrednictwem obdartej armii ludzi, których zmusiła do zawarcia sojuszu. Wick tłumaczył, że jej władza opiera się na skutecznym wykorzystaniu poszczególnych części miasta do własnych celów, podczas gdy nam brakowało konkurencyjnej wizji, którą moglibyśmy jej przeciwstawić. Te miejsca nabierały formy, znaczenia i kształtu tylko dzięki jej wysiłkom, bez niej były niezorganizowane. Nam dodawało sił, a przynajmniej umożliwiało przetrwanie, odrzucanie tych granic i przestrzeni.

Ignorowanie jej kontroli. Chęć życia na uboczu, w Balkonowych Klifach.

Spotkałam ją, kiedy zawędrowałam daleko na południe, próbując uniknąć pewnego poszukiwacza psychopaty. Tamtego dnia zamierzałam jak zwykle zająć miejsce przy boku Morda, więc szłam jego tropem na zachód, ponownie wkraczając na rzadko odwiedzane terytorium, kierując się widoczną po prawej stronie strzaskaną czaszką obserwatorium. Ale tym razem zabrakło mi odwagi, by zagłębić się w to zamroczone futro, a mój przeciwnik uznał to za oznakę słabości.

Na południu rozciągała się odludna równina, a za nią wznosił się budynek Firmy. Odbiłam w bok na skraju równiny, by znaleźć schronienie pośród okrągłych ruin na paśmie wzgórz. W plecaku miałam lornetkę i wypatrywałam śladów obecności swojego prześladowcy.

Wkrótce moją uwagę zwróciło przeciwległe wzgórze, na którym znajdowały się podobne okrągłe ruiny. Być może była to para zbiorników albo warowni, w każdym razie na tle brązowoszarych kamieni pokrytych porostami i żółtymi pnączami przez krótką chwilę widziałam zarys wysokiej sylwetki ślizgającej się po wiekowym murze. Zniknęła tak szybko, że początkowo uznałam, że to przywidzenie wywołane zbyt czujnym wypatrywaniem drugiego poszukiwacza.

Nie więcej niż dziesięć minut później usłyszałam szelest, jakby odgłos rozkładania jakiegoś materiału, i obok mnie rozległ się głos:

– Witaj, Rachel.

Dobyłam noża, obróciłam się i zadałam pchnięcie, ale nikogo nie zobaczyłam. Ostrze przeszło pustkę. Bojowy żuk, którego przygotowałam, zawirował w powietrzu i spadł na ziemię.

– Odłóż nóż – odezwał się głos, chrapliwy i niski, ale kobiecy. – Odłóż go. Nie chcę cię skrzywdzić. Gdybym chciała, już byś nie żyła.

Posłałam kolejnego bojowego żuka w stronę głosu. Żuk zanurkował ku ziemi, wylądował na grzbiecie i zaczął się obracać, brzęcząc skrzydłami.

– Co za marnotrawstwo, Rachel – przemówił głos. – Nie sądziłam, że jesteś skłonna do marnotrawstwa.

– Kim jesteś? – Nie schowałam noża, ale nie użyłam kolejnego żuka.

– Nazywają mnie Magiczką. Może o mnie słyszałaś. – Głos rozbrzmiewał echem, dobiegał zewsząd i znikąd.

Wtedy jeszcze nie była dla mnie nikim wyjątkowym – kolejną uzurpatorką, kolejną oszustką, kolejną osobą, której uroiło się, że coś znaczy, ale jej imię wkrótce popadnie w zapomnienie.

– Czego chcesz?

– Lubisz konkrety, to dobrze. Tak samo jak ja. – Znów usłyszałam cichy szelest, jakby stała obok mnie. Ale jej nie widziałam.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, i odejdz. – Wciąż miałam na głowie poszukiwacza psychopate, Charlie’ego X.

– Jesteś teraz szczęśliwa, Rachel? – spytała Magiczka.

Szczęśliwa? Teraz? Co za dziwne pytanie. Próżne pytanie bez odpowiedzi. Z jego powodu miałam ochotę ponownie przeszyć nożem powietrze i posłać żuki na wszystkie strony świata.

– Co cię to obchodzi?

Niski, dźwięczny chichot.

– Nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale rzeczywiście mnie to obchodzi. Dlatego spytam ponownie: czy jesteś szczęśliwa? W Balkonowych Klifach? Z Wickiem? – Wyczułam w jej tonie samozadowolenie, sugestię sekretnej wiedzy oraz poufałość, przez które ją znienawidziłam.

– Pokaż się – zażądałam. – Pokaż się, jeśli chcesz ze mną rozmawiać.

– Jesteś dobrą poszukiwaczką. Masz sprawny umysł. Obserwuję cię od dawna. Wystarczająco długo, by uznać, że cię znam.

– Ja ciebie nie znam. – Światło na zmianę przygasało i rozjaśniało odludne równiny w dole, gdy chmury zbierały się i szybko sunęły po niebie. Nic innego się tam nie poruszało. Nic się nie pokazywało. Charlie X gdzieś tam był, zdecydowany mnie zabić.

– Ale mogłabyś mnie poznać. Dołączyć do mnie.

– W czym dołączyć?

– W czymś więcej niż to. – Wskazała niebo, słońce, ziemię, zupełnie jakbyśmy mogli to wszystko pozostawić.

– Dlaczego miałabym tego chcieć?

– Może dlatego, że nie jestem jak Charlie X – odrzekła, zaskakując mnie. – Nie jestem głupia. Nie jestem szalona. Nie żyję z dnia na dzień. Próbuję tutaj coś stworzyć; koalicję, drogę rozwoju.

– Co wiesz o Charlie’em X?

– Wiem, że nie żyje, i to ja go zabiłam. Po drugiej stronie tamtego zbiornika, na przeciwległym wzgórzu.

Ogarnęły mnie ulga i lęk.

– Kłamiesz.

– Przypuszczam, że szedł twoim tropem. Zamierzał się do ciebie podkraść i odebrać ci życie. Teraz już tego nie zrobi.

– Kłamiesz.

– Kiedy skończymy rozmawiać, możesz sama sprawdzić. Nie ma za co. – W jej głosie pobrzmiwała niezachwiana gwarancja, a ja jej uwierzyłam, chociaż nie chciałam.

– Co zamierzasz?

– Pokonać Morda. Wprowadzić nas wszystkich w przyszłość.

Takiego gorzkiego i kpiącego śmiechu Magiczka mogła jeszcze nigdy nie słyszeć.

– Gdybyś potrafiła to zrobić, nie byłoby cię tutaj.

– Czy wiesz, że Firma stworzyła potwory znacznie gorsze od Morda? Czy wiesz, że maczali palce w wielu sprawach, których nie powinni ruszać? Sprawach, które oddziałują także na twoje życie.

Splunęłam na ziemię.

– Mówi się, że zaczniesz modyfikować ludzi, może nawet bez pytania ich o zgodę.

Magiczka się roześmiała.

– Och, zawsze najpierw pytam. Ale powinnaś spytać o opinię Wicka, zanim mnie osądzisz. Wick chce tylko, by go pozostawiono w spokoju. Ja chcę zmienić miasto. Odzyskać to, co mieliśmy kiedyś.

- Chcesz mieć przewagę nad Wickiem.
- Już mam nad nim zdecydowaną przewagę.

Przypuszczałam, że to może być kłamstwo, ale jej pewny siebie ton zbił mnie z tropu.

- Ale nie na tyle dużą, żeby mógł mnie nakłonić do współpracy z tobą, prawda?

- Widzisz, Rachel, obcesowość i bezpośredniość czasami się przydają. Ale bywa, że stanowią prostą drogę na cmentarz.

- Muszę cię jeszcze raz poprosić, żebyś sobie poszła - odparłam.

- Albo co? Zostały ci jeden bojowy żuk i jeden pajak. Nie masz broni palnej. A aż do tej chwili nawet nie wiedziałaś, gdzie jestem.

Przede mną pojawiła się jakaś postać, na tyle daleko, by zaatakowanie jej nożem stanowiło nadmierne ryzyko. Doznałam szoku, zupełnie jakbym zobaczyła tygrysa - widok był tak rzadki, nierzeczywisty i hipnotyzujący.

Miała opuszczony kaptur, w przeciwnym razie zwróciłabym większą uwagę na to, że jej szata nie była uszyta z tkaniny, tylko stanowiła dzieło biotechnologii. Miała gęste ciemne włosy, brązową skórę i dostojne, lwie rysy twarzy, nie licząc blizny, która przecinała jej prawy policzek i sięgała do górnej wargi. Szczerze mówiąc, Magiczka była do mnie podobna, bardziej niż powinna, także za sprawą lśniących oczu i budowy ciała. Ale moja skóra była znacznie ciemniejsza, nie miałam blizny, nosiłam krótkie włosy i nigdy nie sprawiałam wrażenia osoby urodzonej do kierowania innymi.

Mord mógłby spaść z nieba, żeby ją pożreć, a ona i tak zachowałaby spokój, a nawet znalazła sposób na pozbawienie go apetytu.

- Teraz mnie widzisz - odezwała się. - Co o mnie sądzisz?

Postanowiłam być nieugięta.

- Sądzę i powtarzam po raz ostatni, że powinnaś sobie pójść.

Magiczka się uśmiechnęła, co wyglądało, jakby jej twarz rozblęśta promieniami słońca - nie mogłam zaprzeczyć temu blaskowi, któremu towarzyszyło groźne poczucie własnej

wartości.

– Jesteś cennym towarem – odezwała się. – Powinnaś być szczęśliwa, śmiała, mieć jakiś cel. Nie powinnaś kulić się jak kot w klatce. Ale widzę, że cię nie przekonałam. Dlatego na razie musimy się pożegnać, Rachel.

Kaptur wsunął się na jej głowę jak żywa istota, którą zapewne był, i Magiczka zniknęła w chmurze migoczących światełek – przy wtórze szeptu i delikatnego ruchu – a ja patrzyłam na to z szeroko otwartymi ustami. Może jej się poszczęściło i znalazła gdzieś ten biotechnologiczny kamuflaż odbijający otoczenie, co zapewniało mu głębię, dzięki której Magiczka nie przypominała płaskiej tekturowej sylwetki na tle krajobrazu.

Skąd mogłam wiedzieć, że naprawdę odeszła? Miałam wrażenie, że szczyt wzgórza jest opuszczony, mimo że wciąż na nim stałam. Czułam nieobecność. W ciągu kolejnych kilku dni, gdy obawiałam się, że Magiczka może mnie śledzić, starałam się odzyskać tamto poczucie, by upewnić się, że mam rację. Odeszła, by zająć się innymi sprawami, innymi planami, innymi ludźmi. Nie przypadła mi do gustu, a sposób, w jaki na mnie patrzyła, wywołał we mnie nieprzyjemne i tajemnicze wrażenie, że rzeczywiście mnie zna, chociaż nie miałam pojęcia, jak to możliwe. Znalazłam martwego Charlie’ego X w miejscu, które opisała. Nie miał na ciele żadnych obrażeń, ale jego rozmazane rysy naznaczyło przerażenie, jakby zobaczył inne oblicze Magiczki. Albo jej prawdziwą twarz.

*

Trzy lata później duch Magiczki wślizgnął się do naszego mieszkania i stanął pomiędzy mną a Wickiem. Co prawda jej baza znajdowała się na zachodzie, w zrujnowanym obserwatorium, ale najwyraźniej znalazła sposób, by wywierać na nas wpływ na odległość – ponieważ byliśmy słabi, kończyły nam się zapasy, a Wick nie widział innego wyjścia. Znalazła drogę wejścia, ponieważ zawsze tutaj była.

Zrodzony ucichł na suficie, podczas gdy nasze głosy stały się donośniejsze, a Wick przeszedł do obrony.

– Nie oddamy Balkonowych Klifów – odrzekłam. Nie oddamy także Zrodzonego. Byłam zmęczona i pijana, pijana, pijana, ale co do tego nie miałam wątpliwości.

– Nie musimy ich oddawać – odparł Wick bez entuzjazmu. – Wprowadzą się tutaj inni ludzie, pomogą nam zbudować fortyfikacje. Mieszkamy tutaj sami. Jak myślisz, jak długo to może jeszcze potrwać?

– Trwa już dosyć długo, Wick.

Wepchnęłam kolejną płótkę do ust. Chyba piątą. Oboje zachowywaliśmy się, jakbyśmy dzisiaj byli gotowi pochłonąć wszystkie alkoholowe płotki na świecie.

– Mamy szczęście, że udało nam się utrzymać tyle czasu.

– Dlaczego teraz? Powiedz, dlaczego ona domaga się tego właśnie teraz?

– Myślę, że planuje coś dużego. Jej plany są już chyba na ukończeniu. – Wick ściszył głos do szeptu, jakby Magiczka nas słuchała, co jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

– A jak się z tobą skontaktowała? Schwytała cię podczas jednego z twoich narkotykowych kursów? Złożyła ci rozmaite obietnice, których nie jest w stanie dotrzymać? A jeśli tak, to w jaki sposób tutaj wróciłeś? Dlaczego po prostu cię nie zatrzymała?

– Magiczka nie prosi. Ona nakazuje. Właśnie tak obecnie działa – wydaje ludziom polecenia, a oni je wykonują.

Magiczka na jednym wzgórzu, a Wick na drugim, komunikują się za pomocą gestów albo semafora.

– Kto wykonał pierwszy krok, Wick? Ona czy ty?

Mruknął coś pod nosem, wstał, chwycił krzesło z obu stron i kilkakrotnie stuknął jego nogami o podłogę.

– Powiedział, że on – doniósł Zrodzony z sufitu.

– Zrodzony, nie mieszaj się! – krzyknęliśmy oboje.

– Przecież powiedziałaś, że nie dosłyszałaś, a pomyślałem, że chcesz poznać odpowiedź.

– Wróć do mojego mieszkania, a ja zajrzę do ciebie przed snem – odrzekłam.

– Jasne, Rachel. Mogę wrócić do twojego mieszkania.

Sprawiał wrażenie przygnębionego, a może po prostu tego się po nim spodziewałam. Powoli zsunął się po ścianie, przybrał pionową postawę, ożywił swoje oczy i wyszedł. Nawet jeśli pozostawił po sobie smród złośliwego pajęczego pierdnięcia, postanowiłam to zignorować, tak jak ignorowałam fakt, że rewelacje Wicka były dla niego ważniejsze od obrażeń Zrodzonego.

– Chciałem tylko, żeby wszyscy dali mi spokój – rzekł Wick. – Tylko tego pragnąłem, od zawsze.

Znajomy refren. Nigdy nie pytałam, dlaczego chce, aby wszyscy zostawili go w spokoju. Taki jest Wick, myślałam. Wick lubi święty spokój.

– To nas zniszczy, Wick. Jak możesz jej zaufać?

– A jak mam ufać tobie? – odparł. – Sprowadziłaś tutaj Zrodzonego. Nie chcesz się go pozbyć. Wysłannicy są coraz groźniejsi, wszystko wygląda coraz gorzej. Nie mamy wyjścia.

– Wiesz, co się stanie ze Zrodzonym, gdy ona przejmie kontrolę.

Wick wzruszył ramionami, co oznaczało, że to już nie będzie jego problem. Może nawet miał nadzieję, że kiedy ktoś inny zajmie się Zrodzonym, odzyskam rozum i znów będziemy tylko „my”, a Zrodzony stanie się jednym z „nich”.

– Ale nie to jest najgorsze, Wick, i dobrze o tym wiesz.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Co masz na myśli?

– Dzikie dzieci, które widziałam dzisiaj, były takie same jak te, które napadły na mnie w Balkonowych Klifach.

– W mieście jest wielu strasznych ludzi – odparł Wick. – Całe mnóstwo.

– Te, które widziałam dzisiaj, zachowywały się jak patrol, jakby dla kogoś pracowały. Wiesz dla kogo? Myślę, że tak. – Bardzo chciałam to powiedzieć.

– Powinnaś odpocząć – odrzekł Wick. – Powinnaś się położyć. – Nie chciał na mnie spojrzeć, nawet kiedy stanęłam tuż przed nim. Ale to nie miało znaczenia. To chore, ale tak dobrze znaliśmy się nawzajem, że rozumieliśmy, co to oznacza. Ten komunikat był niemal najmniej ważny z tego, co chcieliśmy sobie przekazać.

A mimo wszystko nie ustępowałam, ponieważ to musiało zostać wypowiedziane na głos.

– Tamtego wieczoru, kiedy ludzie Magiczki wślizgnęli się tutaj i mnie zaatakowali, to nie był przypadek. Napadli na mnie, ponieważ Magiczka chciała wysłać ci wiadomość. Wiedziałeś o tym, a jednak mi nie powiedziałeś.

– Nie wiedziałem – zaprotestowałam. – Nie miałem pojęcia, że zrobi coś takiego. Robię wszystko, żeby nie stała ci się żadna krzywda. Czy możesz popatrzeć mi w oczy i powiedzieć, że według ciebie chciałem, by to się wydarzyło? W żadnym wypadku.

– Wick, ukryłeś informacje. Naraziłeś się jej, więc nie powiedziałeś mi prawdy. – Choć trzeba mu przyznać, że nie próbował się wypierać.

– Czy na moim miejscu zachowałabyś się inaczej?! – wykrzyknął. – I czy tamtego wieczoru zachowałabyś wyjątkową ostrożność? Dwa razy nie. Bylibyśmy teraz w tej samej sytuacji. Niezależnie od tego, co bym zrobił, chyba że oddałbym Balkonowe Klify.

– Nie ufałeś mi! – zawołałam. – Nie ufasz mi, kurwa!

– To nie ma nic wspólnego z zaufaniem – odparł Wick z frustracją i zalem. – Nic wspólnego z zaufaniem. – Zaufanie w jego ustach brzmiało jak brzydkie słowo.

– Gdybym wiedziała, byłoby lepiej. Byłbyś wobec mnie bardziej otwarty, nie zamykałbyś się na mnie i nie miałbyś tylu tajemnic. Nie rozumiesz, że Magiczka wbiła między nas klin i chciała, żebyś ochronił mnie przed jej żądaniami? Chciała odciąć cię ode mnie.

– Sama się ode mnie odcięłaś. Stało się tak na twoje własne życzenie, gdy sprowadziłaś do naszego życia Zrodzonego i nie chciałaś się go pozbyć, tylko kurczowo przy nim trwałaś. Sama to zrobiłaś. Właśnie ty!

– Wiedziałeś, że Magiczka próbowała mnie zwerbować trzy lata temu? – spytałam. – Wiedziałeś o tym, Wick? Oczywiście, że nie. Nie powiedziałam ci o tym, ponieważ nie chciałam, żeby miała nad tobą jeszcze większą przewagę.

Wick wydał z siebie okrzyk frustracji.

– Czym to się, do chuja, różni od tego, że cię chroniłem, nie mówiąc ci o wszystkim? Niczym się nie różni! Zupełnie niczym! Zresztą nic mnie to nie obchodzi!

Wrzeczeliśmy na siebie i wytykaliśmy się nawzajem palcami, nie mogąc przestać.

– To się różni tym, że ukrywasz przede mną jeszcze inne rzeczy. Nie powiedziałaś mi, dlaczego Magiczka w ogóle ma nad tobą przewagę. W swoim mieszkaniu ukrywasz tajemnice i sądzisz, że o nich nie wiem.

To zbiło go z pantałyku, ale po chwili uświadomił sobie, że nie mogę znać jego sekretów – dysponuję tylko poszlakami – ponieważ był niezwykle ostrożny.

– Nie mam tajemnic! – skłamał. – Nie mam żadnych tajemnic, o których powinnaś wiedzieć.

– Nie masz żadnych tajemnic, o których powinnam wiedzieć – powtórzyłam. – Wiesz, jak to głupio brzmi? Cóż, może rano przypomnisz sobie jakieś tajemnice, o których powinnam wiedzieć. Na przykład o projekcie z rybą. Albo o popsutym teleskopie. Albo metalowej skrzynce pełnej biotechnologii. Albo o twojej rodzinie, o której nigdy mi nie opowiadałeś. Może rano uzmysłowisz sobie, jak wiele powinnam wiedzieć, jeśli mamy razem mieszkać.

Wick wstał i zaczął wściekle mieszać breję w basenie długim kawałkiem drewna odwrócony do mnie plecami.

– Nie musisz być gdzie indziej? Nie ma nikogo, z kim powinnaś się spotkać? – Oskarżycielskie, raniące słowa, ale pobrzmiwał w nich także ból. Widziałam, że cierpi.

Od początku tkwiliśmy na tych samych pozycjach. Wick starał się mnie osłaniać i postępować słusznie, choć nie do końca wiedział, co to oznacza... a ja naiwnie sądziłam, że mogę jednocześnie wierzyć w Wicka i Zrodzonego. To nas demoralizowało. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, patrząc na siebie z dystansu, że żal, poczucie winy, a nawet kłótnie odwracają naszą uwagę od walki o przetrwanie.

Dumnym krokiem wyszłam z pomieszczenia, zgodnie z zapowiedzią zamierzając znaleźć Zrodzonego.

Jak zawiodłam Zrodzonego

Jednakże skupiałam uwagę na niewłaściwych rzeczach i ogarnięta złością nie poszłam prosto do swojego mieszkania, by zajrzeć do Zrodzonego. Mój świat robił się coraz mniejszy, ograniczał się do terytorium Balkonowych Klifów, które uważałam za zdobyte i bezpieczne. Dopiero później zrozumiałam, jak mógł się czuć Zrodzony, czego doświadczał pod tą optymistyczną powierzchownością. Jak mógł odebrać to, że kazałam mu samotnie wracać do mieszkania, chociaż został ranny, a po ataku na mnie wiernie czuwał przy moim łóżku.

Świat Zrodzonego gwałtownie się powiększył i teraz było w nim miejsce także na jego własną śmiertelność, potworności naszego świata oraz potężne otchłanie istniejące poza nami. Widział wściekłe ryczącego Morda. Dowiedział się, że Ziemia krąży wokół słońca, a światła, które widział na czarnym niebie, to odległe gwiazdy, wokół których krążą inne Ziemie z własnymi potworami i zniszczonymi miastami. Żaden badacz w dawnych czasach nie dotarł tak daleko i w takim tempie. Żaden astronauta okrążający Ziemię nigdy nie musiał się przystosować do trudniejszych warunków. Żadna żyjąca ani martwa istota nie musiała doświadczyć czegoś takiego, jednocześnie ucząc się mówić, myśleć i czuć. Czy to zbyt wiele? Czy on był w stanie znieść tak wielką presję? Jak wiele mógł przyswoić?

Kiedy tamtej nocy zeszliśmy z dachu – po tym, jak Mord zniknął z nocnego nieba – zatrzymaliśmy się w fabrycznej hali pośród śladów rzezi, ponieważ wciąż potrzebowałam informacji. Musiałam się dowiedzieć więcej o zmutowanych dzieciach, które z jednej strony działały z chaotyczną dzikością, ale z drugiej zachowywały się jak oddział na patrolu. Chciałam także zdobyć próbkę pochodzącą od jednego z wysłanników Morda, a Zrodzony znalazł oderwaną łapę i tak gwałtownie jej „próbował”, że dla Wicka pozostał tylko pazur. Usiłowałam

przekazać Zrodzonemu, że powinien się wstydić, ale dałam sobie spokój, gdy zrozumiałam, że potępiam kogoś, kto być może jest w szoku.

Ale znalazłam coś innego. Zmiażdżone, zabite dzikie dziecko, którego kurtka była w na tyle dobrym stanie, że mogłam w niej poszukać dokumentów, dowodu tożsamości albo czegokolwiek innego.

Znalazłam insygnia Magiczki. Znalazłam jej pieczęć i symbol. Dzięki tym dowodom zyskałam pewność, że to rywalka Wicka posłała dzikie dzieci do Balkonowych Klifów, żeby na mnie napadły. To wszystko nie wyglądało na przypadek, tylko na próbę przekazania wiadomości.

Miałam wrażenie, że nawet moja rozmowa ze Zrodzonym w drodze powrotnej do Balkonowych Klifów w tajemniczy sposób wiązała się z moją sytuacją. Słowa rosły w nocnym powietrzu, rozszerzały się, aż stały się niezmiernie istotne.

– Dlaczego świat tak wygląda?

– Nie wiem. Przez ludzi. Sami to sobie zrobiliśmy. – Wciąż to sobie robimy.

– Zawsze taki był?

– Nie zawsze. Kiedyś żyło w nim więcej ludzi i był lepszy. – Ale nie dlatego, że żyło w nim więcej ludzi.

– Więcej ludzi – odezwał się Zrodzony z namysłem.

– Tak. Na całym świecie były miasta, w których ludzie mieszkali w pokoju. – Nigdy nie było takiego czasu, by wszyscy ludzie żyli w pokoju. Trwały pokój wymagał ignorowania zbrodni lub historii, co oznaczało, że wcale nie były trwały. Co oznaczało, że jesteście nieracjonalnym gatunkiem.

– Miasta na całym świecie – powtórzył Zrodzony, jakby nie do końca wiedział, co to znaczy.

Byliśmy już prawie przy ukrytym wejściu do Balkonowych Klifów, gdy znów się odezwał.

– Czy jestem sam, jak Mord?

– Mord teraz ma swoich wysłanników.

– Ale wciąż jest sam.

– Masz mnie, Zrodzony.

– Chodzi mi o to, czy są inni tacy jak ja? Czy jestem sam? Jak Mord.

– Ja też jestem sama – odrzekłam, nieco użalając się nad sobą. Ale czy to ja uczyniłam się samotną, czy...

Nie znałam odpowiedzi na to pytanie, jednak nie podobało mi się, gdy Zrodzony porównywał się do Morda. Nie wiedziałam, co to oznacza i do czego może prowadzić.

*

Zamierzałam dołączyć do Zrodzonego w swoim mieszkaniu, ale w połowie drogi zmieniłam kierunek i postanowiłam ponownie przeszukać pokoje Wicka. Został kompletnie pijany przy basenie, więc ryzyko wydawało się niewielkie, ale może przeze mnie również przemawiał alkohol. To z pewnością był alkohol, a także poczucie, że coś mi się należy po tamtym traumatycznym wieczorze. Chciałam skrzywdzić Wicka, znaleźć sposób, by go ukarać.

Ale kiedy rozbroiłam dwa obronne robaki w drzwiach i zabrałam się do bardziej pospolitego zabezpieczenia zamka, wyczułam za sobą czyjąś obecność, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam Wicka skrytego w bezkształtnej ciemności korytarza.

Zaczęłam niezdarnie szukać wymówek albo wyjaśnień, jednocześnie wyciągając wytrych z zamka, ale kiedy ponownie spojrzałam w głąb korytarza, nikogo tam nie było. Gdzie on się podział? Pijana część mojego umysłu uznała, że to nieistotne, i znów zabrałam się do pracy. Tylko że gdy otworzyłam drzwi, ktoś postukał mnie w ramię i tuż za mną pojawił się Wick, zupełnie jakby zrobił mi kawał.

Tym razem wzdrygnęłam się, zakląłam i cofnęłam od drzwi.

– Oho! Oho! – wykrzyknął Wick, celując we mnie palcem tak pijany, że aż wykonał niezgrabny taniec radości. – Wiem, co próbujesz zrobić. Ponownie. Próbujesz włamać się do mojego mieszkania. Ponownie. – Pod wpływem jego samozadowolenia czar prysł i Wick momentalnie wytrzeźwiał. Jego chude oblicze emanowało upiornym, ostrym jak igła urokiem, a kanciasta twarz spochmurniała.

– Dlaczego się do mnie podkradasz? – odparłam, postanawiając się bronić.

– Wiesz, jakie to nudne, gdy próbujesz potajemnie wślizgnąć się do mojego mieszkania? Strasznie nudne. Ponieważ od początku wiedziałem. Jak mógłbym nie wiedzieć?

– Może zapomniałam ci coś powiedzieć i pomyślałam, że jesteś w środku, ale śpisz i nie słyszysz mojego pukania, więc... – Wskazałam drzwi i wykonałam nieuniwersalny gest oznaczający otwieranie zamka wytrychem.

Wick nie zrozumiał.

– Co to znaczy? Co robisz? Wkręcasz w kogoś korkociąg?

Roześmiałam się. Z jakiegoś powodu wydało mi się, że to najśmieszniejszy tekst, jaki kiedykolwiek słyszałam, może dlatego, że uważałam się za najsprytniejszego włamywacza na świecie, a Wick właśnie mi mówił, że bardziej przypominam postać z kreskówki, która przesadnie dużymi krokami skrada się do drzwi, podczas gdy ze ściany obserwują mnie czyjeś oczy.

– Zgadza się, jestem podstępna. Lubię się skradać.

Wick nagroził mnie ironicznym śmiechem, po czym przepchnął się do mieszkania. Ale zostawił otwarte drzwi.

– Zrodzony dzisiaj pokazał ci, co to znaczy być podstępnym – rzekł Wick, kiedy weszłam za nim. – Walczył z wysłannikiem Morda i przeżył. Może teraz robić, cokolwiek zechce. Jak mogłabyś go powstrzymać? Paaaaaazur! Paaaaaazur! Paaaaaazur! – Kpił ze mnie.

– Zamknij się.

Wskoczył na swoje łóżko i położył się oparty na łokciu. Dołączyłam do niego, ale zachowałam dystans.

– Może i tak nie żyłyby długo – odezwał się Wick. – Dzieci Magiczki. Jej wojsko. Jej ludziki. Czymkolwiek one są. Bo na razie wiemy tylko, że są popieprzone. – Mówił niewyraźnie, więc musiałam domyślać się części słów.

– Nie powinieneś się o tym wypowiadać. – Znów poczułam się bezbronna i wściekła.

– Już ci mówiłem... nie podejrzewałem, że Magiczka mnie zaatakuje.

– Wcale tego nie zrobiła! Zaatakowała mnie!

Uderzyłam go w bok, mocno. Wzdrygnął się i skrzywił.

– Bolało.

– Miało boleć.

Odwrócił się ode mnie i z napięciem wbił wzrok w ścianę. Przywdział zbroję, która niemal fizycznie go osłaniała, gdy nie chciał stawiać czemuś czoła.

Westchnęłam, co bardziej przypominało silny wstrząs, który pozwolił mi rozluźnić mięśnie klatki piersiowej i ramion. Popatrzyłam na sufit rozjarzony świetlikami. Były takie śliczne jak żywe gwiazdozbiory. Ale stopniowo gasły, średnio w tempie dwóch dziennie, a chociaż ich skupisk były całe setki, mieszkanie Wicka stało się zauważalnie ciemniejsze. Za kilka miesięcy zapadnie w nim mrok, lecz wtedy będziemy już niewolnikami Magiczki albo zostaniemy przez nią stąd wypędzeni.

Wick miał zbyt wiele tajemnic. Było nam coraz trudniej – zajmować tę samą przestrzeń, ale podróżować przez oddzielne wszechświaty potrzeb i pragnień.

– Masz wobec mnie dług – powiedziałam już bez gniewu. – Musisz mi powiedzieć, co się dzieje. A jeśli nie możesz, to znaczy, że wszystko jest kłamstwem. Jeśli nie możesz, to nic nam nie zostało.

– Uderzyłaś mnie, pamiętasz? – odrzekł. – Przed chwilą.

– Zasłużyłeś.

Wick długo milczał i się nie poruszał. Gdy w końcu przemówił, ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie powinnam zadawać pytań.

– Magiczka znalazła mnie za sprawą projektu z rybą – wyjaśnił.

– Nie pochodzi z miasta. Pochodzi z Firmy, z ostatniego pokolenia, zanim wszystko zaczęło się rozpadać. Poznałem ją podczas pracy nad projektem i właśnie w taki sposób dowiedziała się, kim jestem, kiedy odeszła z Firmy. Kiedy zgłosiła się do mnie po raz pierwszy, zawarliśmy układ. Miała dostęp do dużych ilości surowców. Zapasy, które ukradłem z Firmy, już się wyczerpały. To, co od niej kupiłem, uratowało mi życie. Od tamtej pory płacę jej biotechnologią i znalezionymi łupami. Ale

teraz zażądała wszystkiego...

– Co jeszcze wie?

– Zbyt dużo. Ale z jednego nie zdaje sobie sprawy. – Wick otworzył szufladę przy łóżku i wyjął metalowe pudełko pełne biotechnologicznych tworów, które przypominały łodziki. – Chyba już je widziałas.

– Czym one są?

– Kiedyś dostawałem je od Firmy – odrzekł Wick. – Teraz wytwarzam je tutaj.

– Ale co to takiego?

– Lekarstwo. Bardzo specjalistyczne lekarstwo, które muszę zażywać. Jestem chory.

– Co się stanie, jeśli nie będziesz go zażywał?

– Rozumiesz, dlaczego ci o tym mówię? Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. – Wiedziałam, co chce mi powiedzieć: „Wciąż mam tajemnice, ale teraz masz nade mną władzę”.

– Co się stanie, jeśli nie będziesz go zażywał, Wick?

– Umrę.

Zostałam z Wickiem przez kilka godzin, leżąc z ręką opartą na jego piersi, częściowo dlatego, że byłam wyczerpana po naszej kłótni. Nie tylko za sprawą samego konfliktu, ale także ulgi, że znów wróciliśmy znad krawędzi. Że dopóki wzbudzamy w sobie nawzajem frustrację i na siebie wrzeszczymy, nie wszystko między nami jest skończone, a nasza kłótnia, chociaż nie była udawana... nie była udawana. Dokąd mogłabym odejść? Dokąd on mógłby odejść?

Obracałam w myślach nowe fakty. Wick był chory, a ja od początku miałam przed oczami dowody: jego chude ciało, przezroczystą skórę, potrzebę stałej obecności diagnostycznych robaków w jego ręce. Magiczka pomagała nam przetrwać w Balkonowych Klifach, a Wick był od niej bardziej zależny, niż przypuszczałam. Nasza sytuacja pozostawała równie niekorzystna, może nawet się pogorszyła.

Kiedy wróciłam do siebie, żeby znaleźć Zrodzonego, już tam na

mnie nie czekał. Nie było go także w jego mieszkaniu, a gdy go nigdzie nie znalazłam, zrozumiałam, że kiedy my się kłóciliśmy, Zrodzony znów wyruszył w noc.

Wick miał całkowitą rację: już nie potrafiłam kontrolować Zrodzonego, jeśli w ogóle kiedykolwiek byłam do tego zdolna. Od tej pory miał wędrować po mieście, gdy tylko przyszła mu na to ochota.

Jak Zrodzony nauczył mnie, bym go nie uczyła

Kiedy miałam dwanaście lat, w nagrodę za dobre stopnie rodzice zabrali mnie do eleganckiej restauracji w naszym ostatnim bezpiecznym schronieniu. Przybyliśmy do tamtego miasta niemal cudem, uciekając z krainy bezprawia rządzonej przez szalonego dyktatora, który praktykował kanibalizm i przypadkowe amputacje. Przedostaliśmy się przez zewnętrzne fortyfikacje i barykady oraz przebrnęliśmy przez kwarantannę niekończących się pytań, ponieważ w mieście potrzebowali nauczycieli i lekarzy. Przez osiemnaście miesięcy nasz nowy dom zapewniał nam względną stabilność. Matka znalazła pracę jako pielęgniarka w przychodni, a ojciec wykorzystywał swoje umiejętności w pracy budowlanca.

W restauracji były nieskazitelnie czyste sztuce i serwetki białe jak kość, a także kelner, który zaczynał każde zdanie od „proszę pani” albo „proszę pana”. Mieli nawet gorące ręczniki i porcelanowe miseczki z wodą, w których można było obmywać ręce między daniami. Na ścianach wyświetlano sielankowe obrazy przedstawiające przyrodę, od pofałdowanych fal na czarnej plaży po zalesioną górską dolinę, tak wyraźną, że niemal czuć było podmuchy wiatru. Małe biotechnologiczne stworzonka, które przypominały połączenie puszystych piskląt z uroczymi chomikami, baraszkowały, świergotały i dawały pokazy na szerokiej okiennej ramie. Za oknem, za uroczą biotechnologią, widać było zwyczajną wieczorną scenerię z latarniami, brukowaną uliczką, a nawet kilkoma burczącymi samochodami.

Moja matka uwielbiała biotechnologię i zastanawiała się nad jej pochodzeniem. Coś tak zaawansowanego musiało powstać w miejscu, które potrafiło się obronić i zapewnić swoim mieszkańcom jedzenie oraz dach nad głową. Wierzyła, że biotechnologia pozostawia trop – staje się wskazówką pozwalającą odkryć bezpieczne miejsca.

Wtedy miasto już zaczynało się rozpadać, dlatego zajmowały nas kwestie bezpieczeństwa, chociaż wszyscy wokół starali się ignorować problem, z jeszcze większym zapałem oddając się codziennym przyjemnościom. Wciąż chodziłam do szkoły, po raz pierwszy od dawna. Ciężko pracowałam i miałam dobre stopnie. Traktowano mnie z typowym brakiem zaufania, z jakim musieli się liczyć przybysze. Dopasowałam się do rówieśników na tyle dobrze, że nie dokuczali mi z powodu moich kręconych włosów ani dziwnego akcentu. Nawet kiedy ktoś mi dogadywał, robił to z serdecznym uśmiechem, ponieważ mnóstwo dzieci w naszej szkole pochodziło spoza miasta. Byłam dumna ze swoich wyników, z tego, że zdołałam się przystosować i pozostawić za sobą koszmary, których doświadczyliśmy przed przybyciem do tego miejsca.

Rodzice dali mi prezent: książkę do biologii z rozkładówkami ukazującymi przekroje różnych środowisk, szczegółowo narysowane i jaskrawo, ale realistycznie pokolorowane. W dżunglach wiły się pnącza, na których siedziały malutkie małpki o olbrzymich oczach, jadowite żaby oraz absurdalnie fantastyczne ptaki. Na pustyniach w podziemnych norach siedziały poważnie wyglądające myszy, a ponad nimi narysowano łuskowate potwory o szybkich językach oraz panoramy naznaczone powykrzywianymi kaktusami. Książka sprawiała wrażenie nowej, ale wiedziałam, że matka przez ponad rok przechowywała ją w papierowej torbie. Kilka razy udało mi się potajemnie przeczytać krótkie fragmenty, gdy rodzice spali. Nie wiedziałam, że zachowywali ją dla mnie.

Jedzenie, gdy wreszcie się pojawiło, było idealne... rozpływało się na języku, mięso jak masło, warzywa idealnie ugotowane, wiejski chleb, jedwabisty w środku z cudownie przypieczoną skórką. Potem sycący deser: słodka i orzeźwiająca wieża z jakiejś gąbczastej masy podana z lodami waniliowymi. Rozbrykane biotechnologiczne istoty spadły z parapetu i zatańczyły wokół mojego deseru, wyśpiewując: „Wszystkiego najlepszego!”. Patrzyłam na te dwa stworzenia z zachwytem, chociaż gdybyśmy rok wcześniej spotkali je na pustkowiu, skończyłyby w garnku.

Kiedy wróciliśmy do domu, rodzice byli rozweseleni alkoholem; usiedliśmy razem w salonie, rozmawiając i śmiejąc się aż do północy. Nie miałam pojęcia, że któregoś dnia ich stracę i zostanę poszukiwaczką w bezimiennym mieście. Że będę miała koszmary o tonięciu i zaopiekuję się rozbrykaną biotechnologiczną istotą, która mówi i wystawia mnie na tak wiele prób.

Często żałowałam, że tamtego dnia nie zostaliśmy w domu, ponieważ posiłek w restauracji zagłuszył wspomnienia z reszty wieczoru. Chociaż próbuję, nie potrafię sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy, ale wciąż czuję smak tamtych lodów.

– Świat jest taki wielki, Rachel – powiedział Zrodzony, gdy wracaliśmy do Balkonowych Klifów po opuszczeniu dachu fabryki. – Ciągnie się i ciągnie.

„Ale ostatecznie się kończy. Staje się mniejszy”, chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

Nie wiedziałam, czy mój świat znów się powiększy po rewelacjach Wicka. Nie wiedziałam nawet, gdzie jest góra, a gdzie dół. Ale wiedziałam, że tamtego wieczoru złamałam słowo dane Zrodzonemu i przez cały dzień usychałam z tęsknoty za nim, znosząc irytujący sprężysty krok i wesołe pogwizdywanie Wicka, które przypisywałam jego radości ze zniknięcia Zrodzonego i które sprawiało, że nieco mniej było mi go żal z powodu jego choroby.

Nie wiem, dokąd udał się Zrodzony tamtego dnia, gdy zniknął, ani jakiego użył przebrania. Nie wiem, czy to w ogóle miało jakieś znaczenie, poza tym, że rozbudziło we mnie matczyną troskę. A może właśnie tamta chwila nieuwagi sprawiła, że cała reszta się wykoleiła. Wiem tylko, że wrócił bezpiecznie do domu i powitał mnie, jakby nic się nie stało i tylko wyskoczył na godzinkę.

Ale chciałam mu to wynagrodzić i postanowiłam, że zacznę w bardziej systematyczny sposób przekazywać mu wiedzę, by wiedział, czym są gwiazdy i słońce – tak jak nauczali mnie moi rodzice, kiedy nie było szkoły, kolacji ani eleganckich restauracji. Ponieważ wciąż miałam to, co mi ofiarowali. Nie tylko rytuały albo wartości, ale także kilka książek. W ten sposób przygotowali

mnie na bardziej optymistyczną przyszłość.

Straciłam cały dobytek, gdy przybyłam do miasta, ale w czasie swoich poszukiwań znalazłam inny podręcznik do biologii. Nie miał rozkładówek i nie było w nim aż tylu ilustracji, mimo to część rysunków przypominała mi moją ukochaną książkę. Postanowiłam, że podaruję go Zrodzonemu, razem z książkami dotyczącymi innych tematów. Ale te pozostałe książki stanowiły jedynie kamuflaż dla czegoś bardzo osobistego.

Zrodzony zamknął drzwi swojego nowego mieszkania, a ja, sama nie wiem dlaczego, zamiast zapukać, postanowiłam przekręcić gałkę. Może dlatego, że wejścia najwyraźniej nie broniła żadna biotechnologia. Kiedy zapukałam, nie od razu otworzył, więc pomyślałam, że może wyszedł, i przez chwilę z lękiem wyobrażałam go sobie w mieście, ale po chwili usłyszałam przytłumione „Już idę!” i „Zaraz”, po czym drzwi się otworzyły i Zrodzony zagarnął mnie do środka zakrzywioną macką, a ja poczułam się tak swobodnie w jego towarzystwie, że nie przeszkadzało mi to, z jaką siłą objął mnie w pasie i pociągnął.

Zatem znalazłam się w jego mieszkaniu, które sam „urządził”, kurczowo ścisnęłam swoje książki i próbowałam odpędzić obrazy wywołane przez słowa Wicka sprzed dwóch dni. To był pojedynczy pokój, ale bardzo duży, jakby Zrodzony zburzył ścianę działową, chociaż nie widziałam żadnych śladów zniszczenia. Czułam woń świeżej farby, mimo że to niemal niemożliwe, a pod spodem zapach bzu, który niewątpliwie miał maskować inne wonie.

– Siadaj – odezwał się Zrodzony. – Siadaj.

Ale nie było tutaj żadnych mebli do siedzenia, tylko pusta przestrzeń, goła podłoga, olbrzymi globus w kącie, niczym w starej bibliotece oraz szafa, spod której wysypywały się małe plastikowe płyty z dziecięcymi nagraniem. Odtwarzał je, formując igłę ze swoich rżesek i obracając płytę. Nigdy niczego nie słyszałam, lecz on najwyraźniej tak.

Usiadłam na stołku, który utworzył ze swojego ciała, pomiędzy nami rozpostarł się dywan tego samego pochodzenia, który w dotyku przypominał spód maty kąpielowej... a Zrodzony przybrał postać wieżyczki zwróconej w moją stronę, abym poczuła się swobodnie. Wieżyczkę przecinał szeroki uśmiech, na szczycie zaś znajdowało się duże, głupawo wyglądające niebieskie oko.

Chociaż przyszedłam go uczyć, miałam nadzieję, że pomogę mu także urządzić mieszkanie, ponieważ jedyną ozdobę na ścianach stanowili wiszący na hakach trzej „martwi astronauty”, na których natrafiliśmy podczas pierwszego wspólnego wyjścia.

Ten widok sprawił, że rozmowa początkowo się nie kleiła. Zrobiło mi się zimno, gdy zobaczyłam martwe czaszki za rozbitymi szybkami. Zupełnie jakby Zrodzony przyniósł do naszego domu coś śmiercionośnego.

– Co oni tutaj robią?

Ciała obwisły i oklapły, twarze wpatrywały się w podłogę. Na ścianie wisiały trzy trupy, trzy szkielety.

– Och, martwi astronauty? Lisica powiedziała, że powinienem jakoś ożywić te wnętrza. Dodać im trochę szyku i ikry.

Jego słowa z wielu względów odebrały mi mowę. Lisy. Martwi astronauty. A także „dodać szyku i ikry” – określenia, które zapewne znalazł w starych książkach i których nie powinien używać na co dzień. Ale nie to było najważniejsze.

– To nie są martwi astronauty. Co ci powiedziała lisica?

– Nieważne – odparł Zrodzony. – To był żart. Żartowałem. A więc po co mnie odwiedziłaś? Czym mogę ci służyć?

Czym mogę ci służyć?

– Zrodzony, na ścianie wiszą trzy szkielety.

– Tak, Rachel. Zabrałem je z rozstajów dróg. Uznałem, że będą tutaj ładnie wyglądały.

Wypatroszone, wychudzone, po jednym podartym stroju dla każdego z nas. Kiedy je zabrał? Jakże przy tym uruchomił pułapki i jak je przetrwał?

– To martwi ludzie.

– Wiem. Tam w środku z pewnością już nie ma życia. Martwi

astronaucci odeszli. Nie można już niczego w nich wyczytać.

Wielkie oko na szczycie wieżyczki zmniejszyło się i skupiło, a następnie wysunęło z ciała na delikatnej wici, która zaczęła się kołysać przede mną. Gdybym zechciała, mogłabym pogłaskać Zrodzonego po gałce ocznej.

– To upiorne – stwierdziłam.

– Upiorne – powtórzył, smakując nowe słowo. – Chodzi ci o duchy? Nawiedzone miejsca?

– Nie.

– Zapewniam cię, że nikogo tutaj nie ma – dodał, dotykając kombinezonów, które delikatnie się zakołysały. – Czy zrobiłem coś złego, Rachel?

Próbowałam przyzwyczać się do martwych astronautów na ścianie. Zrodzony wciąż tak ich nazywał, co oznaczało, że zapewne sama nazywałam ich tak w jego obecności, tym samym pieczętując ich pochodzenie. Ale tak naprawdę po prostu irytowało mnie, że Zrodzony przeniósł tutaj martwych astronautów, ponieważ następnym razem znacznie trudniej będzie nam rozpoznać tamto skrzyżowanie.

– Nie, nie zrobiłeś niczego złego. Ale wiem, że niektórzy mogliby się poczuć urażeni tym, że wieszasz martwych ludzi na ścianie. – Tak jakby w Balkonowych Klifach było pełno lokatorów.

– Wyglądają tak spokojnie. Sprawiali wrażenie samotnych. Myślę, że ktoś specjalnie umieścił ich na tamtych rozstajach, Rachel. Myślę, że zrobili to jacyś źli ludzie. Ale ja ich ocaliłem. Teraz chyba są bezpieczni.

Bezpieczni i wciąż martwi.

– Zrodzony, nie jest mi łatwo o to prosić, ale czy mógłbyś przynajmniej gdzieś ich schować, na przykład w szafie?

– Szafa jest pełna. – Ale coś, co wyczytał z mojej twarzy, sprawiło, że postanowił pozbyć się astronautów, więc dodał: – Na pewno znajdę jakieś lepsze miejsce.

Nie pytałam, co rozumie przez „lepsze”, a on ostatecznie nigdy nie usunął martwych astronautów.

Nie mogłam zapewnić Zrodzonemu odpowiedniego wykształcenia, ponieważ dysponowaliśmy tylko tym, co udało mi się znaleźć w Balkonowych Klifach. Kto ryzykowałby wyprawę do miasta w poszukiwaniu książek? Dlatego podarowałam mu podręcznik do biologii i skłamałam, że dostałam go od swoich rodziców. Zaproponowałam, abyśmy razem go przejrżeli.

Wić się cofnęła i wielkie oko ponownie umiejscowiło się ponad szerokim uśmiechem. Zrodzony przybrał niebieskozielony kolor, zupełnie jakby odzwierciedlał morskie fale, których nigdy nie widział, jakby obmywała go spieniona woda.

– To miłe, Rachel – powiedział. – Doceniam to... bardzo. Ale przeczytałem już wszystkie książki w Balkonowych Klifach. Przeczytałem je wszystkie i teraz od lektur wolę życie.

– Nie widzę tutaj żadnej biblioteki – odparłam nieco rozdrażniona, ponieważ znów poczułam się zbita z tropu.

Obiecałam sobie, że nie będę pytała, dokąd ostatnio odszedł, ponieważ to może być niebezpieczne, ale czułam, że oddaliśmy się od siebie, i winiłam za to niestałość Wicka, a nie siebie i Zrodzonego. Przecież jeszcze niedawno, gdy wracałam do zdrowia, biegaliśmy razem korytarzami Balkonowych Klifów.

– Och, sterty i sterty i sterty. Komu potrzebne rupiecie? Tyle rupieci. Tyle rzeczy, o które można się potknąć. Wszystko zapamiętałem. Wszystko przeczytałem. Wszystko czytam.

Spróbowałam myśleć jak Zrodzony: Bardzo duży bezkręgowiec, który stale rośnie i potrzebuje przestrzeni. Pokryty skórą bardziej inteligentną niż moja. Nie był człowiekiem, chociaż był osobą. Nie potrzebował tego co my. Dlatego nie miał mebli. Czy obecność tak wielu rupieci w moim pokoju sprawiała mu psychiczne cierpienie?

– Ale na pewno masz jakieś pytania.

Chodziło mi o bardziej ogólne kwestie, ale Zrodzony radośnie wziął się do zadawania szczegółowych pytań.

– O tak, pytania! Od jak dawna ludzie żyją na tej planecie? Co osiągnęli? Trudno mi to stwierdzić. Wcześniej wspomniałaś o duchach. Wierzysz w duchy? Czy na Ziemi pozostał jakiś statek

kosmiczny? Na pewno jakiś jest, może nawet dwa albo trzy. Czy kiedykolwiek czujesz się nawiedzona? Czy cokolwiek wydaje ci się niesamowite? Kim jesteście „my”, a kim są „oni”? Czy ludzie skolonizowali jakieś inne planety? Ile ludzi wciąż żyje na Ziemi?

– To wiele pytań – odrzekłam. Nie byłam pewna, od których zacząć ani jakich odpowiedzi udzielić. Książka, którą przyniosłam, niewiele mogła mi pomóc. Nie poruszała tematów interesujących Zrodzonego, przynajmniej podczas tej rozmowy.

– Oni mnie nawiedzają. – Często o tym wspominał, odkąd przestał być „dzieckiem”.

Zrozumiałam, że to słowo znaczy dla niego coś odmiennego. Krajobrazy, które przemierzał, nie przypominały tego, co widziałam. Mogłyby zaatakować moje zmysły w sposób, jakiego nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić.

– Kto?

Zrodzony zwrócił wieżyczkę w stronę trupów na ścianie i poświecił na nich purpuroworóżowym rozproszonym światłem.

– Oni. Ale nie jako duchy... Widzę to i smakuję. Całe to skażenie. Niskoaktywne promieniowanie, składowiska, odpływ. Każde miejsce jest chore, wszędzie jest choroba. Szacuję, że zużywam osiemnaście jaszczurek dziennie, by utrzymać ją z dala od siebie. Dlatego w każdej chwili jestem pewny samego siebie i świadomy, co się ze mną dzieje.

Kiedyś nie mogłam się doczekać prowadzenia dorosłych rozmów ze Zrodzonym, a teraz ich nie chciałam. Nawet nie do końca rozumiałam, o czym rozmawiamy, i nie chciałam, aby wciąż mi przypominał o próbach, jakim moje ciało jest codziennie poddawane w mieście.

Ale spróbowałam jeszcze dwukrotnie. Najpierw podzieliłam się z nim planem lekcji, który opracowałam, a według którego każdego dnia mieliśmy się zajmować innym przedmiotem. Podstawy matematyki, umiejętności językowe, nauki ścisłe, nauki nieścisłe. Nie zabrakło miejsca nawet dla muzyki i filozofii.

Zrodzony badał kartkę, którą przytrzymał nibynóżką; nawet nie zaszczyił mnie wysunięciem pełnej macki, ale skłonił mnie, żebym wstała i podała mu plan.

– Hmmpf – odezwał się. – Hmmpf. – Przerysowane, szmirowate aktorstwo. Satyryczne odgłosy. Pozornie nie zadał sobie trudu przeczytania kartki, ale wiedziałam, że to zrobił. Był rozmyślnie nieuprzejmy.

– Co się stało?

– Zrodzony gra na pianinie. Zrodzony tańczy. Zrodzony śpiewa. Zrodzony recytuje poezję. Czy właśnie tego chcesz? Podczas gdy będę się zajmował innymi, ważniejszymi sprawami, część mnie zapewne mogłaby to robić dla ciebie. Może mi się uda, jeśli naprawdę ci na tym zależy – powiedział poirytowanym tonem, prawdopodobnie próbując imitować intonację mojego języka, a mniej dbając o treść.

– Przecież robię to dla ciebie! Chcę, żebyś się uczył. – Nie robię tego dla siebie. W żadnym wypadku. Nawet nie ze względu na wspomnienie o małej uczennicy w dalekim mieście, podczas lekcji muzyki, w eleganckiej restauracji, na prawdziwym placu zabaw, marzącej o zostaniu pisarką.

– Uczę się każdego dnia, Rachel – odrzekł Zrodzony z frustracją, jakbym nie dostrzegała czegoś oczywistego. – Czytam, próbuję i obserwuję na każdym kroku. Właśnie tym się zajmuję.

Właśnie tym się zajmuję.

Wskazałam globus i spróbowałam po raz ostatni.

– Mogę przynajmniej pouczyć cię o tym?

To go zaciekawiło i bez trudu podniósł globus muskularną macką, jakby był zrobiony z papieru. Po raz pierwszy pomyślałam, że nie jest po prostu silny, ale groźny.

– To miejsce wygląda na skaliste, a ja chciałbym kiedyś wspiąć się na górski szczyt, a tutaj jest tyle jezior. Wyobrażasz sobie, Rachel? Tak wiele jezior. Tutaj żadnych nie mamy. Żadnych jezior. Chciałbym zobaczyć jezioro. Byłbym wesoły jak skowronek. Skowronka też chciałbym zobaczyć.

Podeksytowany zaczął zadawać konkretne pytania dotyczące miast, krajów i regionów. Ale większość tych miejsc już nie istniała, przynajmniej nie w dawnych granicach, kraje wchłonęły się nawzajem, a większe z nich popadły w anarchię i bezprawie, rozdzielając się na mniejsze komórki. Z tego, co pamiętałam,

większość miast spłonęła i rodzice mi o nich nie opowiadali, ponieważ zbyt wiele ich to kosztowało.

Zrodzony zachowywał się tak, jakby próbował rozwiązać problem, który już dawno za nas rozwiązano, a ja nie mogłam mu pomóc, nie chciałam do tego wracać.

Wreszcie dałam za wygraną. Po prostu odpuściłam. Im bardziej się starałam, tym bardziej Zrodzony się ode mnie oddalał, a mnie coraz bardziej zniechęcał, a nawet obrażał jego opór. Przyszłam tutaj, by go uczyć, ale tak naprawdę zależało mi na tym, żeby być blisko niego.

Ale pragnęłam także, by Zrodzony był „normalny”, dopasował się, przypominał zwyczajnego „chłopca”. Rozpaczliwie tego pragnęłam, zwłaszcza po wydarzeniach ostatnich kilku dni. Uświadomiłam sobie także, że może za nim nie nadążam. Może Zrodzony rozwinął się nie tylko fizycznie, ale także umysłowo, a ja wciąż traktuję go jak dziecko. To wielkie oko. Ta idiotyczna wieżyczka.

Co doprowadziło do mojej rezygnacji, co z kolei doprowadziło do mojego następnego pytania:

– Więc co mogę dla ciebie zrobić, Zrodzony? Musi być coś takiego.

Zniknęła wieżyczka i powrócił klasyczny kształt odwróconego wazonu. Zrodzony tak bardzo się skurczył, że krąg jego oczu zbliżył się do mojego stołka, a skóra przypominała burzowe wyładowania o zmierzchu. Pokrywały ją srebrzyste błyskawice pęknięć i cętkowana zieleń przechodząca w czerń, na której pojawił się niepokojący błękitny przeblysk, jakby łódka unosząca się na przejrzystej wodzie. Wydzielał niezdrową woń, jakby brandy pomieszanej z goframi posmarowanymi masłem i syropem.

– Jest coś takiego, Rachel – odrzekł Zrodzony. – Kiedyś obiecałaś mi, że to zrobisz. – W jego głosie pobrzmiwał błagalny ton.

– Tak? – zachęciłam.

– Mogłabyś sprawdzić miejsca, w których już nie mam czucia. Mogłabyś mi powiedzieć, co tam się dzieje.
Oszołomiła mnie głębia mojej bezmyślności.

A więc właśnie to zrobiłam – przyjrzałam się miejscom, w których Zrodzony stracił czucie – odkładając na bok książki i zapominając o zamiarze „wykształcenia” Zrodzonego, ponieważ nie tego potrzebował. Zrobiłam to, co mu obiecałam tamtego wieczoru, gdy zaatakował go wysłannik Morda. Czułam się fatalnie.

Na tym polega problem z osobami, które nie są ludźmi. Nie da się ocenić, jak bardzo zostały zranione ani jak bardzo potrzebują naszej pomocy, dopóki ich o to nie zapytamy, a one nie zawsze wiedzą, jak nam o tym powiedzieć.

Cóż mogę powiedzieć o ciele Zrodzonego albo o badaniu, które przeprowadziłam? Był taki, jaki mógł być – miejscami szorstki, miejscami gładki, nierówny i ostry jak papier ścierny, a w innych partiach wyslizgany jak rzeczny kamień. Poszczególne kwadranty Zrodzonego, logika podtrzymująca i wprawiająca w ruch jego ciało, były bardzo wrażliwe na dotyk i właśnie za pomocą dotyku zaczęłam poznawać jego złożoność – siłę okrągłych przyssawek, które potrafił tworzyć, elastyczną twardość pękatych rzęsek, które sprawiały wrażenie delikatnych, ale wcale takie nie były, niezniszczalność grzebieni, szklistą nieprzeniknioność oczu pokrytych ochronną powłoką, która twardniała, gdy oko się pojawiało, a znikiała na milisekundę przed jego wchłonięciem przez skórę.

W dotyku przypominał masywny mięsień bez odrobiny tłuszczu, lecz miejscami potrafił się robić prześwitujący, rozkładając fragmenty swojego ciała jak wachlarz albo błonę pławną. Znalazłam tam wzory, które wydawały się zbyt kunsztowne i ozdobne, by służyły jakiemuś celowi, a jednak tak było.

Z każdym nowym rozpostarciem Zrodzony pozwalał mi coraz bardziej zbliżyć się do swojego serca, nie odzywając się, tylko pozwalając, abym sama odnajdywała jego rany. Nie zmienił także swojego zapachu, pozostawiając neutralną woń z delikatną nutką swoistego aromatu, a co do światła... zmienił je w taki sposób, że jak fontanna wypływało strumieniem z czubka jego głowy, rozlewało się po suficie i odbijało na nas, abym mogła lepiej go widzieć. Czy właśnie takie uczucie towarzyszy nam, gdy dotykamy czegoś, czego nikt albo prawie nikt wcześniej nie dotykał? Na przykład płetwała błękitnego albo słonia? Gdy uświadamiamy sobie, że poza wszechwidzącym i wszechwiedzącym okiem mamy do dyspozycji także bogactwo dotyku – jakże odmienny sposób doświadczania tego, co już na zdjęciach wydawało się cudowne.

Bez trudu znalazłam defekty, ale szukałam dalej, żeby upewnić się, że niczego nie przegapiłam i odkryłam wszystkie uszkodzone miejsca. W sumie znalazłam trzy stwardniałe strefy, które pozostawały uparcie niewrażliwe na dotyk, przecinały obszary falującego ruchu i paraliżowały normalne funkcje ciała Zrodzonego. Kiedy je zidentyfikowałam, Zrodzony potwierdził, że pokrywają się z miejscami, w których nie miał czucia, i zmienił kolor wokół nich na ciemny burgund, odbarwiając tym samym zranione obszary. Stały się niemal białe: fragment macki, boczna część jego „twarzy” oraz obszar na samych obrzeżach ciała.

Wyraźnie widziałam odciski kła oraz pazura. Ślady wysłannika Morda, niczym piętno. Trudniej było ustalić naturę obrażeń.

– Zrodzony, musisz mi teraz odpowiedzieć na dwa pytania. Po pierwsze, czy to zmienione ciało jest martwe? – Chciałam użyć określenia „martwicza tkanka”, ale nie byłam pewna, czy je zna. – A po drugie, czy od czasu ugryzienia uczucie odrętwienia się rozprzestrzeniło?

Gdy tak się rozłożył, w pełni odsłonięty pod fontanną światła, bardziej niż kiedykolwiek przypominał mi człowieka, z powodów, których nie potrafię wyjaśnić, pomimo sterczących macek, rozplaszczonej krawędzi, środkowej kolumny oraz rozmaitych podkulonych części ciała, pod którymi wiły się rzęski.

W tej postaci wydawał się najbardziej swojski, w tej chwili najlepiej go znałam.

– Ciało nie żyje. Nie odbieram od niego żadnych bodźców. Odrętwienie początkowo się rozprzestrzeniało, ale odseparowałam martwe obszary. Nie wyczuwam innych ognisk skażenia.

– Czy rozumiesz pojęcie „trucizny”, bycia otrutym?

– Tak, Rachel.

– Czy ta substancja, która cię skaziła, przedostała się do twojego organizmu, gdy ugryzł cię wysłannik Morda?

– Tak, i tylko wtedy. Miałem się na baczności przed czynnikami zanieczyszczającymi w środowisku i nie dopuszczałem ich do siebie. Ale sądziłem, że ugryzienie spowodowało tylko obumarcie komórek.

– Zostałeś zatruty. Podejrzewam, że kły albo pazury wysłannika Morda, a może jedno i drugie, były pokryte czymś trującym.

Okazało się, że miałam rację, i odkryłam kolejne zagrożenie wiążące się z badaniem zewnętrznego świata: wysłannicy Morda byli jadowici jak węże. Ta trucizna pomagała im w walce z patrolem Magiczki, przyspieszyła masakrę modów i domorosłych.

– Co powinienem zrobić, Rachel? Czy jestem w tarapatach? Czy umrę?

– Nie, nie umrzesz. Ale przez jakiś czas możesz odczuwać dyskomfort. Jeśli jesteś jak inne zwierzęta, rany się zabliznią i znikną. Ale może się wdać zakażenie, dlatego musisz je obserwować i dać mi znać, jeśli te obszary się zmieniają.

– Zakażenie? Zmieniają?

– Pojawi się w nich stan zapalny.

– Stan zapalny?

– No wiesz... na przykład popatrz na ten strup. – Wyprostowałam przedramię. Miałam na nim obtarcia powstałe, gdy przewróciłam się na schodach tamtego wieczoru, gdy utknęliśmy na dachu fabryki. – Widzisz, że jest czerwony i cieknie z niego ropa.

– Ropa. Strup. Rooopaaasssstruuup. – Takie nieprzyjemne

słowa.

– Odrobina ropy to nie problem, ale gorzej, gdy jest jej dużo. W takim wypadku trzeba oczyścić ranę, ponieważ jest zakażona. Ale nie umrzesz. Tylko musisz mieć na to oko.

– Niedużo ropy – odrzekł Zrodzony i obok każdego z chorych miejsc z ciała wyłoniły się małe oczka, które zaczęły obserwować rany.

Z doświadczenia wiedziałam, że to żart i Zrodzony udaje, że wystawia strażę.

– Coś w tym rodzaju.

– Dzięki, Rachel. Dziękuję.

– Nie ma za co, Zrodzony. Do usług.

Wiedziałam, że teraz będę się o niego martwiła. O jego bezpieczeństwo, ponieważ nie miałam już nad nim kontroli i żadnej gwarancji, że zdołałabym go ochronić, gdybym wciąż nad nim panowała. Będzie mnie martwiła jego naiwna i ufna natura. A także luki w jego wykształceniu i dlatego „zapomnę” zabrać swoją książkę, ponieważ on wciąż musi się tak wiele nauczyć.

Zanim wyszłam, Zrodzony powiedział:

– Nie potrafisz przerwać, Rachel.

– Nie potrafisz przerwać czego?

– Próbuję i próbuję, ale nie potrafisz. Nie potrafisz przerwać, ale próbuję. Bardzo próbuję.

– Czego przerwać?

– Czytania. Próbowania. Uczenia się. Zmieniania się. Właśnie dlatego nie potrzebuję twoich książek, Rachel. Już i tak uczę się zbyt wiele i za szybko. Czuję, że wiedza mnie przepełnia i nie umiem przestać. Więc kiedy chcesz, żebym uczył się więcej, czuję się... czuję się...

– Zestresowany?

– Tak! Właśnie o to mi chodzi. Zestresowany. Czuję stres.

Magiczka nie potrafi przerwać tego, co robi, ja nie potrafisz przerwać tego, co robię, podobnie Wick, a teraz Zrodzony

również mówi mi, że tego nie potrafi.

– To nic złego – odpowiedziałam, czując ulgę, że wróciłam do łask Zrodzonego i mogę przeanalizować jego słowa. – Wszystko będzie w porządku. Nie zmuszę cię do nauki. Ale pozbądź się martwych astronautów.

– Oni się przekopują, ale nic nam nie grozi – odparł Zrodzony.

– Słucham?

– Wysłannicy Morda. Słyszę ich.

Niczego nie słyszałam i nikt nie zaatakował Balkonowych Klifów, ani tego dnia, ani kolejnego, ani w następnym tygodniu. Ale to nie znaczyło, że on ich nie słyszał.

Jak Magiczka wszystko pogorszyła

Może liczyłam na to, że jeśli zignoruję ultimatum Magiczki i będę unikać rozmowy na ten temat z Wickiem, zarówno ultimatum, jak i sama Magiczka przestaną istnieć, znikną z miasta, jakby nigdy ich tutaj nie było, i zajaśnieje przed nami jakaś nowa ścieżka, wskazująca nam drogę do zachowania Balkonowych Klifów i ocalenia nas samych.

Ale Magiczka miała inne plany.

Dziesięć dni po tym, jak poznałam jej ultimatum, Wick zabrał mnie do sekretnego punktu widokowego niedaleko szczytu Balkonowych Klifów, do którego musieliśmy się wspiąć po niestabilnych spiralnych schodach z kutego żelaza, tak krętych i ciasnych, że czułam się na nich jak kontorsjonistka. Ale niedaleko szczytu znajdował się płytki bunkier, w którym można było stanąć. Szyby wentylacyjne w suficie łączyły go z powierzchnią położoną około sześciu metrów powyżej. Przypominający nieckę korytarz prowadził na zachód.

Wewnątrz unosiła się ostra woń jakby pleśni i dżdżownic, ale z drugiego końca sączyło się słabe światło. Powoli ruszyliśmy naprzód, tunelem tak wąskim, że zderzaliśmy się łokciami, a od tarcia o ubranie nasze ciała oblewały się potem. Przejście doprowadziło nas do okna po wschodniej stronie wysokiego urwiska, skąd rozciągał się widok na pozostałą część miasta. Wąski prostokątny otwór, niewidoczny z dołu ani z góry, ale zapewniający panoramiczny widok.

Wick zdobył nowe informacje od kogoś, kto bardzo potrzebował jego pamięciożuków. Przyszło mi do głowy, że może te informacje były fałszywe, a Wick po prostu chciał się oderwać od swojego basenu i rozejrzeć po okolicy, żeby oczyścić umysł. Ale mimo wszystko do niego dołączyłam.

Z naszego punktu obserwacyjnego, spoglądając przez lornetkę, widziałam, że to prawda. Szalony złocisty blask słońca

odbijającego się od strzaskanej kopuły obserwatorium na północnym wschodzie, fortecy Magiczki, niemal mnie oślepił – i nie był jedyny. Nieco na południe, poniżej sztucznego cypla, lśniły mniejsze stanowiska dział. Nie było ich tam jeszcze trzy dni temu.

Na południowym zachodzie znajdował się budynek Firmy, obrzmiały biały owal, wielkie jajo, z którego wykluło się tak wiele niezadowolenia i chaosu, ale które jednocześnie wciąż nas karmiło, w różnym tempie i na różne sposoby, nawet jeśli nie zawsze nam się to podobało.

Na samym środku, na uprzątniętym skrzyżowaniu, siedział Mord i czyścił futro. Mimo że było matowe i pokryte krwią, i tak lśniło w słońcu, a krzepkie sylwetki wysłanników krążyły wokół swojego przygasłego boskiego przewodnika, pełniąc straż. Kiedy Mord skończył czyścić futro, wyrwał smukłe drzewo, chwycił je za gałąź i użył korzeni, aby podrapać się po grzbiecie. Potem zaczął turlać się po ziemi. Wstrząsające ryki i ziewnięcia, które wydobywały się z jego pyska, były spowodowane ulgą w swędzeniu. Kto wie, ile zmiążdżonych szkieletów spoczywało pod miejscem jego piaskowej kąpieli.

Pomiędzy nami rozciągały się sporne nizinne tereny: rozległa połać domów, podwórzy, dawnych komercyjnych budowli, muzeów, dzielnic biznesowych, drzew i zarośli, a także charakterystyczne pomarańczowo-zielone żyłki porostów pochodzących z Firmy, które pokrywały znaczną część tutejszych kamieni. Patrząc na to wszystko, można było dostrzec projekt odbudowy cywilizacji, praworządności, kultury... a zarazem przekonać się, jak wiele pracy będzie to kosztowało.

Żaden budynek nie miał więcej niż pięć pięter, ponieważ Mord chciał mieć dobrą widoczność podczas swoich spacerów, dlatego wyburzył dużą część okolicznych domów zgodnie z własnym obłąkanym kodeksem budowlanym. Niektóre z poskręcanych ruin wyglądały, jakby jakaś olbrzymia dłoń podniosła je i przetoczyła po równinie, podczas gdy po innych budowlach niemal nie było widać zniszczeń, jakie niewątpliwie kryły się w środku.

Ten teren nie był jasno określony, jednoznacznie martwy albo żywy, lecz stale wahał się między życiem a śmiercią. Zamieszkiwały go nie tylko społeczności i poszukiwacze, których nie widzieliśmy z naszego okna; w piaskowej glebie czały się formy życia, które Firma porzuciła i rozsiała po okolicy niczym pyłki dmuchawca. Czekwały na dotyk – na przykład kroplę wody albo krwi – aby wykiełkować i stać się łupem na polu bitwy. Nikt nie potrafił stwierdzić, gdzie ani kiedy to się stanie, więc nawet porzucona i zaniedbana działka pokryta kałużami toksycznego oleju i czarną pleśnią mogła w ciągu tygodnia bądź stulecia rozkwitnąć dziwnym życiem.

Jednakże niebo było jasno określone: W całym swym żarliwym błękitcie należało do Morda, który obejmował w posiadanie także wszystko, na czym postawił łapy na ziemi, nawet jeśli to niszczył. Pod ziemią... cóż, teraz wędrowali tam jego wysłannicy, wszędzie, gdzie byli w stanie się wcisnąć, ale poza tym obszary te odzwierciedlały naziemne sojusze i konflikty, zależne od układu tuneli, dawnych sieci metra i piwnic zburzonych budynków, zapomnianych na powierzchni. Ale tutaj rosnące wpływy Magiczki sprawiały, że obawialiśmy się niewidzialnej fali napływającej od dołu, która z czasem mogła nas wszystkich zmyć. Podejrzewaliśmy, że włóczące się bandy dzikich dzieci już nie działają przypadkowo, nie są wytworem środowiska, ale ukierunkowaną, ukształtowaną siłą.

Patrząc na mapę, która obnażyła przede mną swoje sekrety, zrozumiałam, że zbliża się konflikt o władzę w mieście, i dostrzegłam, jaki niesie on ze sobą wybór. Mieliśmy ogromne szczęście, że po tylu zmaganiach mogliśmy wybrać pomiędzy domorosłą tyranką w postaci Magiczki, która za wszelką cenę dążyła do zwycięstwa, a wyhodowanym przez Firmę tyranem Mordem, który utrzymywał miasto w stagnacji, uniemożliwiając nam jakiegokolwiek działania poza reagowaniem na jego kaprysy. Żaden z tych władców nie mógł być tolerowany na dłuższą metę, nie mieliśmy jednak pojęcia, kto może przyjść po nich, z drżeniem myśląc o tym, że widmo Firmy może odrodzić się z popiołów.

Kiedy tak patrzyliśmy, rozległ się jakiś donośny, dźwięczny odgłos, potem ponownie, i po raz trzeci. Mord uniósł swój szeroki łeb, na którym moglibyśmy wznieść kolejne Balkonowe Klify, i skierował pysk ku słońcu, chwiejnie i śpiewnie węsząc w powietrzu, w sposób typowy dla niedźwiedzi.

Czyżby ten dźwięk wydawało jakieś nieostrożne źródło białka? Cokolwiek sądził o tym Mord, stanął na tylnych łapach – był taki wysoki i potężny – i po chwili wyczuł, że dźwięk dobiega z obserwatorium. Wtedy z niewiarygodną lekkością wzbił się w powietrze, a jego wysłannicy również stanęli na tylnych łapach, węsząc i posapując z uznaniem. Wzleciał wyżej, aż stał się tylko dalekim cieniem na niebie, cudownym podróznym, psychotyczną plamą, a potem pewnie zanurkował w stronę źródła dźwięku, potężniejszy niż kiedykolwiek.

Ale kiedy wyrównał lot i opadł łukiem w stronę obserwatorium, wyrzutnie pocisków plunęły ogniem. Rozległ się urywany ryk, który nie brzmiał jak głos niedźwiedzia, tylko jak potężna maszyna.

Magiczka wystrzeliła pocisk w Morda. Pocisk wyłonił się spod ziemi, wirując i wyjąc, niewiarygodnie szybki, ciągnąc za sobą czarny dym.

Mord wykonał manewr, który mogę opisać tylko jako ślizg, zatrzymał się w powietrzu i wykorzystując swój ciężar, odwrócił się zadem ku ziemi, rezygnując z czołowego ataku i przyjmując bardziej pionową pozycję. Ruch był na tyle szybki, że chociaż pocisk w ostatniej chwili zmienił trajektorię, z gwizdem ominął łeb Morda.

Sądziliśmy, że spadłował, ponieważ poleciał dalej i wbił się w ziemię na opustoszałej równinie naprzeciwko budynku Firmy, wybuchając w chmurze płomieni i dymu. Iskra gwiazd, która szybko zmieniła się w rozprzestrzeniający się pożar.

Ale potem zobaczyliśmy, że jedna strona łba Morda również płonie, i zrozumieliśmy, że pocisk otarł jego czaszkę, zadając obrażenia, które z tej odległości trudno było ocenić.

Mord zawył z bólu i wściekłości, co przypominało ludzki krzyk, ale drugi i trzeci pocisk już mknęły w jego stronę, więc pośpiesznie ruszył ku słońcu. Szybował coraz wyżej, a pociski nakierowywały się na ciepło jego ciała, wznosząc się pod kątem prostym, pomimo oporu, jaki stawiała grawitacja.

Czy Mord dotrze do słońca, zanim pociski go odnajdą? Patrzyliśmy, wstrzymując oddech. Uderzyła mnie myśl, że Magiczce może się udać zabić Morda. Że Mord już za chwilę może umrzeć, na naszych oczach. A chociaż wszyscy czekaliśmy na ten dzień, jakaś chora część mnie kibicowała Mordowi, pragnąc, by przechytrzył pociski, ponieważ jest na to za wcześnie, nie jesteście gotowi, nikt z nas nie jest gotowy.

Mord wciąż się oddalał, aż w końcu znów stał się tylko kropką, satelitą unoszącym się ponad Ziemią, a pociski podążały za nim, choć coraz wolniej.

Aż w końcu zaczęły tracić moc.

Grawitacja ściągała je w dół, kładąc na nich coraz większe brzemie.

Wreszcie osiągnęły najwyższy pułap i zgubiły trop.

Spadły bezwładnie na ziemię.

Patrzyliśmy na boleśnie powolny upadek rakiet zmienionych w bomby, próbując odgadnąć, gdzie uderzą, i mając nadzieję, że daleko od nas. Poczuliśmy ulgę, a zarazem przerażenie, gdy runęły na sporne tereny i wybuchły, posyłając na wszystkie strony fale uderzeniowe i płomienie. Niektóre z pożarów od razu zgasły, inne jeszcze przez kilka godzin trawiły na wpół zrujnowaną okolicę, wypędzając z domów albo zabijając ludzi, którzy szukali schronienia.

Magiczka nie miała więcej pocisków, a wkrótce straciła także wyrzutnie, ponieważ Mord opadł ku ziemi, tym razem ostrożniejszy i bezgłośny, nadciągając znad pustyni poza miastem. Leciał nisko i cicho, szorując pazurami po wierzchołkach pustynnych skał.

Obrońcy obserwatorium i wyrzutni nie mogli widzieć tego, co my z naszego punktu obserwacyjnego. Niewykluczone, że uznali, iż Mord zginął na niebie, ponieważ z ich pozycji zapewne

wydawało się, że zniknął.

Pędząc z ogromną prędkością, z futrem wściekle powiewającym pod wpływem pędu powietrza, Mord wyłonił się zza obserwatorium, a następnie uniósł z chrapliwym okrzykiem bojowym i opadł na wyrzutnie pocisków, miażdżąc sprzęt i jego obsługę. Potem zburzył obserwatorium, tak że nie pozostała w nim ani jedna szyba, a potężne stalowe kręgi otaczające budynek poskręcały się i odkształciły, jakby uderzył w nie meteoryt albo nadgryzł je ząb czasu, jednak wszystko to spowodował sam Mord.

Jego wysłannicy już zaczęli się zbliżać do obserwatorium, co nie wróżyło Magiczce dobrze na przyszłość. Widzieliśmy ich mroczne sylwetki gramolące się na ściany i wpadające do środka, jakby chcieli wypełnić budynek i zniszczyć go od środka. Wyobraziłam sobie, że ta kula wypełnia się krwią, a całe wojsko Magiczki zostaje rozłożone na czynniki pierwsze.

Mord jeszcze nie skończył. Pęd powietrza zgasił skwierczące płomienie na jego policzku, ale futro miał osmalone, zakrwawione i poczerńiałe, a po tym, jak bezgłośnie rozwierał pysk i rozpaczliwie przyciskał do niego jedną łapę, widzieliśmy, że cierpi i szuka spokojnego miejsca, by wyleczyć rany. Kiedy jego wysłannicy włączyli się do dzielnicy obserwatorium, on sam poleciał na południe do rozległych zbiorników z zanieczyszczeniami, odpadami i niepotrzebnymi biotechnologicznymi istotami, gdzie złożył głowę, łagodząc ból wodą i czekając, aż brudny szlam zalepi ranę.

Kiedy to robił, jakiś relikwiarz systemów obronnych Firmy, który czaił się w zbiornikach retencyjnych, poszarzały ze starości łuskowaty lewiatan ze skrzelałkami, wyłonił się z mętnej wody i zaatakował Morda z boku. Bardziej przypominał legwana niż rybę, w jego ciele ziała potężna rana po ugryzieniu, a chwiejny krok sugerował brak niektórych kończyn. Mieliśmy wrażenie, że obserwujemy akwarium, w którym jakiś bóg umieścił przypadkowe stwory, chcąc sprawdzić, czy rekin zdoła pokonać niedźwiedzia. Walka nie trwała długo, gdyż Mord ogłuszył przeciwnika ciosami łap, a następnie wyrwał mu mózg, lewiatan

zaś opadł bezwładnie na piasek, jakby nigdy nie żył.

To była wprost niewiarygodna scena, ale wciąż nie opowiedziałam wam o najważniejszym, o tym, jak wydarzenia tego dnia stały się mitem, którego nie zdołają ubarwić nawet kolejne powtórzenia. Ponieważ Mord, najwyraźniej rozczarowany zrujnowanym obserwatorium i słabym oporem, jaki stawiał mu lewiatan, wciąż kipiąc gniewem i poszukując łatwej zemsty, zwrócił się przeciwko budynkowi Firmy.

Patrzyliśmy z nieopisanym szokiem, jak Mord odrywa górne piętra budynku, jakby otwierał smukły ul, a potem ciska je daleko na zachód, na pustynię za miastem. Następnie zaczął wybierać zawartość budynku, przy wtórze siorbania wsuwając swój potężny język do wnętrza labiryntu z kamienia i plastiku, szukając słodkich mięsa i krwi, a wypluwając resztę. W tej chwili w jego spojrzeniu nie było niczego ludzkiego, tylko głód, jakiego nie da się prawdziwie zaspokoić. To był straszny widok. Ludzie i inne stworzenia wyskakiwali z odsłoniętego plastra miodu, ginąc w zbiornikach retencyjnych, a on ich ignorował.

Eskadra śmigłowców, długo pozostających w ukryciu i wyraźnie zaniedbanych, desperacko próbowała poderwać się z górnych poziomów, ale Mord uniósł się wraz z nimi i strącił je z nieba. Część rozbitych szczątków i pogiętych skrzydeł upadła obok niego, podczas gdy inne wbiły się w okoliczną pustynię i opuszczone równiny, jakby od zawsze tam spoczywały.

Potem nadciągnęła ostatnia linia obrony, gęsta i ciemna chmara latających biotechnologicznych istot, niczym rój szarańczy albo os, ale Mord tylko wydał z siebie donośny, poirytowany śmiech i zaczął raz za razem przelatywać przez tę chmurę z szeroko otwartym pyskiem, jak wieloryb karmiący się krylem, aż w końcu zostały z niej tylko małe żałosne skupiska na horyzoncie.

Wyczuwałam w ruchach Morda taką radość i wolność, że zastanawiałam się, czy opór Magiczki i odruchowy atak lewiatana nie były tylko pretekstem do zmasakrowania budynku Firmy. Do zrobienia czegoś, czego i tak pragnął.

Po rozprawieniu się z systemami obronnymi Mord głębiej wkopał się w budynek Firmy, rozorując pazurami metal, kamień,

drewno i ludzi, od czasu do czasu natrafiając na prawdziwy skarbiec i unosząc pysk, aby kula wrzeszczących zakrwawionych kasków ześlizgnęła się w głąb jego gardzieli. Nawet z tej odległości na jego pysku widzieliśmy smugi czerwieni.

Patrzyliśmy zahipnotyzowani i przerażeni tym cierpieniem, aż wreszcie wszystko znieruchomiało, a nasycony Mord cisnął wnętrzości i kręgosłup lewiatana na rozpruty budynek, chcąc go ostatecznie pognać, po czym odleciał.

Później nie mogliśmy uciec przed jego wyciem i jękami, które przenikały powietrze, sprawiając, że nawet najczarniejszą noc rozjaśniały iskry smutku i wściekłości, których głębi nie byliśmy w stanie zrozumieć. Bok Seethera. Seether. Mord. Potężny niedźwiedź, który być może kiedyś był człowiekiem, jeszcze przez wiele nocy powracał na ruiny Firmy i niespokojnie spał na ich szczycie dręczony wizjami, przez które my również miotaliśmy się bezsennie, mrużąc oczy.

Tymczasem w całym mieście wysłannicy Morda odpowiadali własnym warczeniem, własnym „Drrrrrk!”.

Tego było za wiele. Czuliśmy się przytłoczeni. Rozważaliśmy swoje szanse. Szanse na to, że wciąż będziemy żywi za miesiąc albo następnego dnia. Biłam się z myślami, zastanawiając się, czy ultimatum Magiczki nie byłoby korzystniejsze. Może gdyby tament pocisk trafił w cel, wciąż dałoby się zapanować nad chaosem w mieście i go oswoić.

Požary wywołane uderzeniami pocisków zgasły dopiero późną nocą. Następnego ranka w mieście krążyły plotki, że Magiczka zginęła, wywleczona ze swojej podziemnej fortecy, wypatroszona, a następnie pożarta przez wysłanników Morda, by na Ziemi nie pozostał po niej nawet najmniejszy ślad.

Ale ja w to nie wierzyłam.

*

W swojej relacji starałam się we właściwy sposób oddać skalę tych wydarzeń, ale byłam tak wystraszona, że niemal straciłam głowę, patrząc na to wszystko z okna, a Wick przez cały czas szeptał komentował sytuację.

– Czy on naprawdę zaatakuje Firmę? Tak, zrobi to.
– Skąd ona zdobyła wyrzutnie i pociski? Sprytne. Te wszystkie wykopaliska.

– Czy to znaczy, że zaatakuje nas szybciej, czy dużo później? Tylko poniosła straty czy już po niej?

– Budynek Firmy sięga wiele pięt pod ziemię, on tylko odciął głowę. Ciało pozostało nietknięte. Na dole wciąż są żywi ludzie. Być może.

– Firma nie panuje nad Mordem. Ani trochę. Ale przynajmniej zniszczył źródło nowych wysłanników. Jedyne źródło. Chyba że mogą się rozmnażać.

Brakowało mi słów, by odpowiadać na jego pytania albo chociaż wyjaśnić, że nie znam odpowiedzi, bądź dyskutować z jego stwierdzeniami. Swoimi komentarzami uspokajał tylko siebie samego. Wiedziałałam jedynie, że Magiczka wyszła na nieroztropną idiotkę, skoro rozpętała coś takiego i przegrała, najwyraźniej nie mając planu awaryjnego, a my wszyscy będziemy musieli za to zapłacić. Nawet jeśli zginęła, jej zmutowane dzieci wciąż włóczyły się po mieście, a my nie wiedzieliśmy, co może się wyłonić z odsłoniętych niższych poziomów budynku Firmy.

Ale tam, przy oknie, mnie i mojego biednego chorego Wicka połączyła niezwykła bliskość. Znów czułam w jego oddechu słodką mineralną woń alkoholowych płotek, lecz mi to nie przeszkadzało. Włosy pachniały mu czyściej, niż powinny, stykaliśmy się biodrami i ramionami, a ja nie potrafiłam patrzeć na Wicka jak na kogoś chorego, wroga albo przeszkodę – nie w obliczu tych wszystkich linii, sieci i pułapek, które promieniowały z Balkonowych Klifów i wciąż pozostawały na miejscu pomimo tego, czego doświadczyliśmy. Czułam się zbita z tropu, gdyż instynkt podpowiadał mi, że Wick powinien zmienić kolor lub kształt. Tak wiele czasu spędzałam ze Zrodzonym.

– Dokąd pójdziemy, jeśli będziemy musieli opuścić Balkonowe Klify? – spytałam.

To było bardzo bezpośrednie pytanie i poczułam, jak serce

szybciej mu zabiło. Był jak olbrzymia rzekotka, która trwała w bezruchu, nie licząc serca podskakującego w piersi.

Nie poruszył się, więc nachyliłam się i pocałowałam go w usta, w nagrodę za kontemplację otchłani. A może dlatego, że wciąż nie był Mordem, Magiczką ani wysłannikiem, tylko sobą.

Potem powaliłam jego szczupłe, umięśnione ciało na posadzkę i usiadłam na nim, a w jego oczach pojawiła się niepewność co do moich zamiarów i tego, na czym zakończyła się nasza burzliwa kłótnia.

Zamierzałam sapać jak wysłannik Morda. Zamierzałam sapać, warczeć i uderzać Wicka łapami. Szczypać go, dyszeć na niego i pod każdym względem zachowywać się jak niedźwiedź. Nie licząc całowania.

Może nieco zwariowałam na skutek oglądanej rzezi. A może próbowałam się uwolnić od samej siebie, pamiętając, że moi rodzice przez większość czasu byli aktorami odgrywającymi rolę ojca i matki. Zdawałam sobie z tego sprawę, ponieważ w skrajnych sytuacjach, na osobności, zdejmowali maski i otwarcie wyrażali swoje wątpliwości, obawy, rozpacz i beznadzieję, gdy nasza sytuacja stale się pogarszała, a świat okazywał zarysy swojej prawdziwej surowości. Ale ze względu na mnie każdego dnia bez końca musieli udawać, że jest inaczej, a ja żałowałam, że nie mogę cofnąć się w czasie i powiedzieć im, żeby tego nie robili. Pragnęłam oglądać i zapamiętywać ich prawdziwe oblicza. Właśnie o tym myślałam, patrząc na Wicka. Chciałam, żebyśmy odstłonili się przed sobą nawzajem, zapominając, że Wick także odgrywa rolę. Tak samo jak Zrodzony.

– Wysłannicy Morda cię usłyszą i pojrzą nas oboje – szepnął mi do ucha, kiedy już zrozumiał, że nie zamierzam go zjeść. Byliśmy blisko, tak bardzo blisko.

– Chciałbyś.

– Nie, ty byś tego chciała!

Potem zaczęliśmy chichotać – pod wpływem rozbawienia, pod wpływem stresu.

Przestał się bronić, pozwolił, żebym go całowała, raz za razem,

wąchała go jak niedźwiedź. A więc to takie uczucie być Mordem albo jego wysłannikiem! Węsenie, wielka siła, ofiara pozbawiona szans ucieczki.

Przywarłam do Wicka całym ciałem, uświadamiając sobie, może po raz pierwszy, że szczęście nigdy nie przychodziło mu z łatwością. Nie chodziło mi nawet o trwały stan, ale o chwilę radości. Nie był w stanie ich przeżywać bez swoich alkoholowych płótek albo pamięciożuków; dźwigał zbyt ciężkie brzemię, z którego stale zdawał sobie sprawę i które zawsze było obecne w jego życiu. Wiedziałam, że nasze życie jest ciężkie i szybko staje się nieznośne, ale to nie była przyczyna stanu Wicka; to jedynie przyspieszało i podkreślało ten proces.

Widziałam, że w tej chwili ja również jestem dla niego ciężarem, ponieważ był ode mnie znacznie szczuplejszy, więc po jakimś czasie, gdy kłęby czarnego dymu unosiły się z budynku Firmy, a bezbronni ludzie na nizinie panicznie szukali schronienia, zsunęłam się z niego i położyłam obok, obejmując go ramieniem, kładąc dłoń na jego piersi. Takie kruche serce w takim twardym mężczyźnie.

– Jak się z tego wyplączemy, Rachel? – spytał po chwili. – Nie widzę drogi wyjścia. Już nie.

– Będziemy dalej umacniać Balkonowe Klify. Przeczekamy.

Nie miałam już więcej pułapek, a jedyny plan, jaki przychodził mi do głowy w obliczu szokującego ataku Morda na Firmę, to że ktoś musi nas uratować. Ale nikt nigdy tego nie zrobi.

Przez jakiś czas leżeliśmy przytuleni w naszej kryjówce, niespodziewanym azylu, podczas gdy miasto tliło się i zmieniało bez naszego udziału.

Jak próbowałam sobie radzić

Chociaż nie wiedzieliśmy, czy Magiczka żyje, za swój najpilniejszy problem uważaliśmy wysłanników Morda, którzy krążyli po mieście od chwili ataku rakietowego. Miałam wtedy wiele koszmarów oraz strasznych myśli związanych z wysłannikami i nie potrafiłam odróżnić, które są moje własne, a które zostały mi narzucone. Ponieważ właśnie tak się czułam: jakbym nie była w pełni sobą. Przez jakiś czas miałam wrażenie, że wysłannicy Morda wymuszają wszelkie działania i wszystko jest skutkiem ich machinacji. W mojej chorej głowie nawet odrzucenie przez Zrodzonego moich ksiąg stało się częścią ich planu. Nawiedzały mnie sny o wysłannikach, w których oni również potrafili latać, a w dachu nad basenem rozwierała się rozpadlina. Opadali przez nią, by porozmawiać z Wickiem, który knuł razem z nimi plany odebrania Balkonowych Klifów mnie i Zrodzonemu.

Pijani żądzą krwi wysłannicy Morda wywarkiwali z zębanych pysków słowa, jakich nikt z nas wcześniej nie słyszał, wyrażając, nawet podczas rzezi, myśli i pragnienia dotychczas niespotykane w mieście, wykraczające nawet poza myśli Morda. Z wnętrzości, które pozostawiali, bezskutecznie usiłowaliśmy wywróżyć, o co im chodzi, jaki sens może mieć... to wszystko.

Mord nigdy nie wypowiedział ani jednego zrozumiałego słowa, tylko wściekle ryczał. Tymczasem ci emisariusze, stworzeni na jego obraz – burzący ściany i rozbijający drzwi, żeby dostać się do żywego mięsa po drugiej stronie – bezustannie mówili. Nie zamierzali albo nie mogli przestać. Czasami szeptali. Czasami sapali albo przemawiali chóralnymi gardłowymi głosami. Śledziliśmy szlaki ich wędrówek przez świat za sprawą tej splątanej, krtaniowej mowy, której nie potrafiliśmy zinterpretować. Nie istniały tłumaczenia, nie mógł nam pomóc żaden pośrednik. Skoro więc nie rozumieliśmy niczego poza ich

działaniami, postanowiliśmy ich wykończyć i powstrzymać ten strumień mowy, tak jak oni zamierzali uczynić z nami, niezależnie od tego, jaką fazę surowego panowania Morda reprezentowali.

Ale przeważnie ukrywaliśmy się przed nimi, unikaliśmy ich, próbowaliśmy nie dać się zabić. Maskowaliśmy swój zapach i jeszcze bardziej zamaskowaliśmy swój dom. Rzadziej wychodziliśmy. Większość klientów Wicka zginęła albo gdzieś się zasyła, więc nietrudno było go przekonać, by pozostał za barykadami.

Często budziłam się w środku nocy, wyrwana ze snu przez wspomnienie olbrzymiego ogarniętego próchnicą oka Morda, które lśniło jak złowrogie słońce ponad moim łóżkiem, zastępując prawdziwe słońce. Wtedy dostrzegałam nad sobą tylko Zrodzonego, który obserwował mnie, zapewne szukając towarzystwa do rozmowy.

Dawałam Zrodzonemu to, co konieczne, nawet gdy byłam wyczerpana, ponieważ nie chciałam już nigdy stracić go z oczu. Tego bałam się najbardziej. Bałam się, że powoli stopi się z tłem, skoro tło stało się dla mnie najistotniejsze: podpieranie ścian, ustawienie nowej barykady na końcu korytarza, który mógł nie być dostatecznie zabezpieczony, wykopanie dołu. Widzieliśmy, jak dzikie dzieci wyskakują ze swojego podziemnego legowiska, więc obawialiśmy się, że intruzi mogą się dostać do nas od spodu. Czasami słyszeliśmy, jak ktoś leniwie bada okolicę i kopie nad naszą kryjówką; podejrzewaliśmy, że to wysłannicy Morda, którzy nawet nie podejrzewają, co się pod nimi znajduje. Ale nie na długo, nie na długo, uważał Wick.

Podczas swoich wizyt Zrodzony przez mniej więcej połowę czasu pozostawał w postaci podróżnej, jak sam ją nazywał, rozświetlony lodowym błękitem upstrzonym złotymi plamkami, które tworzyły gwiazdne wzory na ścianach. Moje świetliki były już zbyt przygaszone jak na jego gust. W tym trybie miał tylko dwoje oczu o osobliwie intensywnym spojrzeniu.

Czasami przyjmował nową „rozdętą” pozycję, która upodabiała go do olbrzymiego mięsistego bakłażana leżącego

na boku, z mackami opuszczonymi wzdłuż tułowia dla zachowania równowagi. Ale coraz częściej podczas pojedynczych odwiedzin wielokrotnie zmieniał kształt i kolor, tak że trudno było na niego patrzeć, zupełnie jakby ludzkie oko nie było przystosowane do oglądania pewnych rzeczy. Nie wiedziałam, czy traci nad sobą panowanie, czy wchodzi w jakąś nową fazę.

Z czasem zaakceptowałam to, że po prostu pojawiał się w moim mieszkaniu, chociaż ja musiałam zapowiadać swoje wizyty. Nawet jeśli mnie zaskakiwał, rozsznurowując moje buty po ciężkim dniu albo paradując w mojej białej bieliźnie. Już nie mogliśmy sobie pozwolić na zabezpieczanie drzwi mieszkania za pomocą biotechnologii; nie mieliśmy niczego cennego, co Zrodzony mógłby zjeść.

– Jak było na zewnątrz? – pytałam zamiast: „Dlaczego, dlaczego znów wyszedłeś?”. Lecz on zawsze wracał cały i zdrowy, po czym opowiadał mi, co się stało, a przynajmniej swoją wersję wydarzeń.

– Co się wydarzyło w tym mieście? – spytał kiedyś głosem zmęczonego życiem staruszka.

Nie znałam odpowiedzi. Myślałam: nie wiem, to się po prostu wydarzyło. Wszystko i wszędzie legło w gruzach. Za słabo się staraliśmy. Dawaliśmy się wykorzystywać. Brakowało nam dyscypliny. Nie spróbowaliśmy odpowiednich rozwiązań w odpowiednim czasie. Zależało nam, ale niczego nie zrobiliśmy. Zbyt wielu ludzi, za mało przestrzeni. Obciążeni, niezdolni do zauważenia drogi, którą widział Zrodzony. Może wysłannicy Morda wcale nie byli wynaturzeniem, tylko końcowym produktem.

– Jest martwe. Całkowicie zrujnowane. Wszyscy są... pokonani.

Wiem, że odpowiedzialny rodzic by zaprzeczył i odpowiedział, że to nieprawda. Ale miałam za sobą kolejny ciężki dzień, byłam niewyspana i mogłam tylko krytycznie się roześmiać. A więc wreszcie się zorientował. Małostkowa część mojej natury ucieszyła się, że coraz bardziej upodabnia się do nas. A raczej do mnie w moim obecnym stanie.

– Po prostu tak jest, Zrodzony. Walka o przetrwanie nie jest

piękna. A my staramy się przetrwać. Wiesz, co mam na myśli? – Uczciwe pytanie. Pomimo moich obaw Zrodzony był w łatwiejszej sytuacji od nas. Mogliśmy umrzeć z głodu w Balkonowych Klifach, a on w razie czego po prostu wchłonąłby krzesło albo jakiś inny przedmiot.

– Tak, wiem, co masz na myśli – odrzekł niecierpliwie. – Ale wcale nie musi tak być.

– Więc co zamierzasz z tym zrobić? – To miał być niemal żart albo prowokacja, ale przyznam, że byłam zaciekawiona.

– Jeszcze nie jestem pewien.

– Daj mi znać, kiedy coś wymyślisz.

– Dzisiaj spotkałem staruszkę. Kopał dziurę w ziemi.

– Tak?

– Kopał dziurę i rozmawiał ze mną.

– Zauważył, jak wyglądasz? – Był prawdziwym człowiekiem czy może postacią z książki?

– Nie. Ale powiedział mi, że nie pochodzi stąd.

– Nic dziwnego. – Mało która osoba powyżej trzydziestki stąd pochodziła.

– Staruszek powiedział, że kopie w poszukiwaniu jedzenia, ale ja widziałem tam tylko korzenie.

– Może był zbyt stary. – Może kopał dla siebie grób, gdyż miał wystarczająco dużo godności, by przewidzieć swoją przyszłość i ją zaplanować.

– Powiedział mi także, że trzeba z czegoś zrezygnować, żeby do czegoś dojść. Tak powiedział. Dlatego właśnie to będę musiał zrobić. Jeśli chcę do czegoś dojść.

– Jeszcze nie zauważyłeś? Wszyscy próbują zbudować dla siebie lepszą przyszłość. Zwłaszcza staruszkowie kopiący dziury w ziemi.

– Sarkazm? – spytał.

– Tak.

Coraz częściej zadawał to pytanie, więc rzadko uciekałam się do sarkazmu.

– Pomóż mi, Zrodzony – powiedziałam, trzeźwiejąc i przypominając sobie, kim dla niego jestem, a także dlatego, że

nie podobał mi się jego zblazowany ton. – Powinieneś mi pomóc w Balkonowych Klifach.

– Myślę, że od czasu do czasu znajdę wolną godzinę – odrzekł, jakby jego towarzyski kalendarz był pełen umówionych spotkań.

Musiałam wymyślić dla niego jakieś zadanie, które zarazem zapewni mu zajęcie, i będzie użyteczne dla mnie. Może dzięki temu nie wpadnie w szpony staruszków kopiących w ziemi.

*

Większość nocy wypełniały surowa kakofonia i silne poczucie potajemnych ruchów. Otaczały nas liczne hałasy – oraz ich echa – a także lamentsy, warczenie i odgłosy uśmiercania czegoś albo kogoś. To były dźwięki miasta, które już nie wierzyło w jednego władcę ani pojedynczą wersję przyszłości. Mord czasami warczał z obrzydzeniem, widząc ten nowy stan rzeczy, a ponad nami niedźwiedzi wysłannicy wkopywali się w ziemię w miejscach, w których kładł łeb. A może to byli ludzie Magiczki, ponieważ nic już nie było jednoznaczne, a obie strony starały się sprawić, by ich zabójstwa wyglądały na dzieło rywali.

Magiczka miała w tym względzie więcej szczęścia, gdyż wysłannicy nie byli wybredni. Kolejny nocny odgłos: zduszona agonia ludzi umierających na ulicy, którzy uciekli wysłannikom, ale nie truciźnie na ich zębach. Wkrótce także mutanty Magiczki dysponowały nie tylko twardszymi pancerzami, ale także własnym jadem, który wystrzeliwały z paznokci, na próżno licząc, że uda im się przebić gęste niedźwiedzie futro. Skutkiem tych „ulepszeń” było krótsze, ale bardziej intensywne życie, a dzikie dzieci poruszały się z niepokojącą szybkością.

Zrodzony ukuł pojęcie „Nokturnalia”, które opisywało niespodziewany rozkwit życia, do jakiego dochodziło za każdym razem, gdy ciemność wślizgiwała się do miasta. W mroku zawsze istniało jakieś życie, do którego nie należeliśmy i które poruszało się we własnym rytmie. Ale obecnie noc stała się jeszcze groźniejsza i bardziej wyrachowana, gdyż czaiło się w niej tak wielu, którzy uważali, że zapewnia im osłonę. Nie potrafiliśmy ich zrozumieć, nie wiedzieliśmy, skąd się biorą, nie nadążaliśmy

za ich sojuszami, a także za erupcją wyznawców Morda po porażce Magiczki, sojuszników potężnego niedźwiedzia, którzy oddawali mu hołd i naiwnie sądzili, że czyni ich to nietykalnymi.

Odgłosy wystrzałów w nocy stały się barometrem naszej desperacji – pociski były taką rzadkością w mieście, że każdy strzał, daleki albo bliski, oznaczał walkę o przetrwanie. Nocami, gdy rozlegało się co najmniej kilkanaście wystrzałów, trudno było uwierzyć, że nie porwie nas jakaś niepowstrzymana fala rzezi. Nocne światła także zmieniły się w pułapki. Małe obszary i punkciki życia, których badanie nie mogło się skończyć niczym dobrym.

Magiczka nie wróciła, ale wszyscy mówili o jej innowacjach. Obrosła mitem, a pod jej nieobecność pojawiły się nowe opowieści, przedstawiające ją jako męczennicę. Zrodzony przyniósł jedną z takich historii, zupełnie jakby to był cenny łup. W tej opowieści dziwny ptak o pięknym upierzeniu znalazł drogę do miasta. Bardzo dziwny ptak z dalekiej krainy. Latał zagubiony i zdezorientowany, próbując poznać miasto. Zrozumieć, gdzie dokładnie się znalazł. Co powinien zrobić.

Ale nie miał żadnego celu. Drugiego dnia ktoś próbował go schwytać i złamał mu skrzydło. Ptak uciekł, ze wszystkich sił starając się lecieć. Potem jakaś chodząca biotechnologiczna istota złapała go, zabiła i zjadła. Następnie Magiczka zabiła tę istotę i rozebrała ją na części, a wtedy dziwny ptak znów wzbił się w powietrze w mieście, lecz tym razem na rozkaz Magiczki nikt nie mógł go tknąć, ponieważ był jej emisariuszem, a wszyscy rozumieli, po co przybył do miasta.

Ponieważ Magiczka tego zapragnęła.

A nawet gdyby zgineła, jej dziwny ptak żyłby dalej.

Opowieści o budynku Firmy nie były dużo lepsze. Wysłannicy Morda patrolowali okolicę, Mord wykopał sobie schronienie, w którym mógł spać na boku, a strumień dziwacznych biotechnologicznych uchodźców wciąż wydobywał się ze zniszczonych miejsc, dołączając do Nokturnaliów. Nie podobał

mi się widok tych na wpół martwych istot, w większości pożeranych przez wysłanników Morda, które pełzały, zamiast chodzić, toczyły się albo kuśtykały...

Nie mogłam także przestać myśleć o idealnych małych biotechnologicznych niewolnikach, którzy paradowali wokół mojego tortu w eleganckiej restauracji. W moim umyśle krążyli tak całymi latami, podczas gdy ciasto pokrywało się czarną pleśnią i rozpadało, a oni nie mogli się zatrzymać, tylko wciąż chodzili w kółko ze śpiewem, aż w końcu umierali w pół kroku, a ich ciała gniły i rozpływały się w powietrzu, ukazując żałosne, delikatne szkielety.

Które nie przestawały tańczyć.

Jak próbowałam pomóc Zrodzonemu, pozwalając, by to on mi pomógł

Próbowałam uchronić Zrodzonego przed kłopotami, prosząc go o pomoc w dokładniejszym zbadaniu Balkonowych Klifów. Zabierałam go ze sobą, żeby przebijał mackami zewnętrzne ściany mieszkań i pomieszczeń, do których nie mogliśmy dotrzeć z powodu skalnych osuwisk i innych przeszkód. Miałam bardzo ograniczone możliwości poszukiwania zasobów w mieście, więc był to jedyny sposób na uzupełnienie zapasów.

Przedostanie się przez ścianę w normalny sposób, za pomocą ręcznego wiertła, było niemal niemożliwe i znacznie niebezpieczniejsze. Ale Zrodzony miał talent do wykorzystywania swojego ciała, ponieważ jego macki wedle potrzeby mogły się stawać twarde jak diament albo elastyczne jak pnącza i wnikać w istniejące szczeliny, by następnie rozbić odpowiednią część ściany, umożliwiając nam zajrzenie do środka. Zbudowałam bardzo długi i wąski teleskop z części trzech albo czterech innych teleskopów, dzięki czemu Zrodzony mógł robić równe otwory o określonej średnicy, a ja przepychałam teleskop na drugą stronę i wypatrywałam użytecznych łupów. A jeśli ściana była cienka, zerkałam gołym okiem.

Kiedy to nie działało, Zrodzony wypuszczał mackę zakończoną gałką oczną i mówił mi, co widzi. Jeśli odkrywaliśmy coś cennego, poszerzaliśmy otwór albo ryzykowaliśmy wybitcie wejścia, by móc wynieść zawartość pomieszczenia. Razem ze Zrodzonym graliśmy w grę polegającą na zgadywaniu, co znajduje się w pokoju, zanim się do niego dokopaliśmy. Zrodzony początkowo zawsze poprawnie typował, aż w końcu zaczął się mylić, zapewne celowo, czasami w absurdalny sposób.

– Łopatka, stół kuchenny, miski, popsuta lodówka, kilka krzesel, rzeźba olbrzymiego ptaka.

Spoglądałam przez swoją piracką lunetę i odpowiadałam ze śmiechem:

– Magazyn, drabiny, beczki, artykuły papiernicze, ekspres do kawy.

Ale dwa pokoje dalej oczywiście znajdowaliśmy rzeźbę olbrzymiego ptaka. Zaczęłam wierzyć, że Zrodzony dysponuje jakimś rodzajem radaru albo organem wykraczającym poza nasze pięć zmysłów.

Kiedyś odnaleźliśmy pomieszczenie pełne bezużytecznych niedziałających telefonów komórkowych. Jaszczurki dostały się do środka przez pęknięty sufit i pełzały po stertach komórek. Ale nie zatrzymało ich to na długo.

Innym razem poczułam się dziwnie oderwana od rzeczywistości, gdy przyłożyłam oko do otworu, który wywiercił Zrodzony, i zobaczyłam cały dom... domek dla lalek zajmujący większość pomieszczenia. Nie było tam niczego innego, a pięciopiętrowa budowla była tak zaniedbana, że skojarzyła mi się z Balkonowymi Klifami. W tej chwili ujrzeliśmy całkowicie inny świat, który przynależał do dawnych czasów i miejsc. Szorowałam ten domek dłużej, niż powinnam, zważywszy, że nie miał dla nas żadnej wartości.

Wszędzie leżały ciała, ale znajdowało się je także w mieście. Nie przypominały martwych astronautów, lecz były w takim stadium rozkładu, że łatwo było zignorować kilka pustych kości, rozsypujące się czaszki czy kosmyk włosów spoczywający na zardzewiałym zabawkowym samochodziku.

Dzięki swoim staraniom zdobyliśmy racje żywnościowe, siekiery do obrony, paliwo, a nawet zapakowane próżniowo pudełko z tuzinem szmaragdowych żuków wyprodukowanych przez Firmę, ułożonych w szeleszczących metalicznych rzędach. Wick zachichotał z zachwytu, gdy je zobaczył, i może na chwilę przestał na nas krzywo patrzeć.

Kiedy przypadkowo rozlałam trochę wody na podłogę, okazało się, że pod powierzchnią wije się cała masa alkoholowych płotek. Zrodzony był wniebowzięty, a ja musiałam go powstrzymać przed ich natychmiastowym pochłonięciem. Od tamtej pory

nosiłam przy sobie małą manierkę z wodą, żeby polewać napotykaną powierzchnię i odkrywać, co się pod nimi kryje. Najpierw ostrzegałam Zrodzonego, by się odsunął, ze względu na jego niepoohamowany apetyt.

Zrodzony lubił tę „grę”, ale zajmowała nam ona mnóstwo czasu, ponieważ nigdy nie chciał w niej uczestniczyć dłużej niż dwie godziny i wymyślał rozmaite wymówki, by wrócić do swojego mieszkania. Żadna z tych wymówek nie sprawiała wrażenia autentycznej, ale byłam zbyt rozkojarzona chaosem szalejącym poza murami naszego domu. W mojej głowie bezustannie wirowały mroczne myśli, które odciągały mnie od tego, czym zajmowałam się w danej chwili.

Czasami rozmawialiśmy podczas pracy, dzięki czemu zapomniałam o ciśnieniu w swojej głowie.

– Kiedy przywitałem się z pierwszymi ludźmi, jakich spotkałem wczoraj po wyjściu z domu, obrzucili mnie kamieniami, a potem uciekli – rzekł mi kiedyś Zrodzony. – Następna osoba, mała dziewczynka, próbowała mnie dźgnąć zardzewiałym nożem i zaczęła wrzeszczeć. Potem ponownie poprawiłem swoje przebranie.

– Mogli zareagować tak samo na mnie albo kogokolwiek innego – odparłam ze spokojem, ale tak naprawdę martwiłam się o niego. Przeszkadzało mi, że wypuszcza się na samotne wędrówki. Nie miałam nad nim prawie żadnej kontroli. Poza tym, że wciąż byłam w stanie nakłonić go do wywiercenia dziury w ścianie.

– Oni się boją wszystkiego – stwierdził Zrodzony. – Zwłaszcza Morda. Ale on jest tylko bardzo dużym niedźwiedziem, a jego wysłannicy to jeszcze mniejsze niedźwiedzie – dodał z pogardą.

– To niebezpieczne podejście – odpowiedziałam.

– Czy baliby się również mnie?

– Już się ciebie boją. – To miał być żart, ale zabrzmiał niewłaściwie.

– Wiem – odparł Zrodzony ze smutkiem. – To pierwsza rzecz, z którą muszę się uporać. Wick tego nie mówi, ale też uważa, że jestem dziwadłem. Potworem. Mijam go na korytarzu

i pozdrawiam, ale on nie odpowiada. Nie jest lepszy od ludzi w mieście. Nie przekazałaś mu moich łupów?

Sumiennie je przekazywałam, zawsze zaznaczając: „To od Zrodzonego”, a były to cenne przedmioty, które rozbudzały we mnie chwilową wdzięczność, że Zrodzony wędruje po mieście. Wick odpowiadał: „Podziękuj mu ode mnie”, ale się nie uśmiechał. Nie potrafił wyzbyć się oporów i znów miał paranoiczne myśli.

– On zna wszystkie nasze pułapki, wszystkie korytarze – powiedział do mnie. – Wczoraj mi pokazał. Wie wszystko, Rachel. – Oczywiście, że tak. Dzięki temu nie mógł nas zdradzić, gdy wchodził albo wychodził z Balkonowych Klifów, ale Wick tak na to nie patrzył.

Nie przypomniał mi o tym ponownie, ale nie mogłam pozbyć się tej myśli: Zrodzony oczyścił Balkonowe Klify ze wszystkich jaszczurek, pajaków, karaluchów i wszelkich dodatkowych źródeł białka, które nie wymagały wyjścia na zewnątrz. Zatem według Wicka jego podarunki stanowiły zadośćuczynienie, a nie czyniły nas jego dłużnikami.

– Pokłóciłem się z Wickiem – oznajmił Zrodzony. – Pewnie był w złym nastroju. Wróciłem później i próbowałem mu wytłumaczyć, że nie jestem tym, za kogo mnie uważa.

– Pokłóciłeś się? – Od początku nie byłam zachwycona wizją Wicka rozmawiającego ze Zrodzonym albo Zrodzonego rozmawiającego z Wickiem.

– Tak, chodzi mi o sytuację, gdy dwie osoby...

– Wiem, czym jest kłótnia. O co poszło?

– Och... o różne sprawy. Wiele spraw. Nic się nie stało, Rachel. Już wszystko jest dobrze. Staram się, by było dobrze.

Po chwili opowiadał mi o koszmarach, które go nawiedziły, i pytał, co oznaczają. Jeszcze później zmienił się w parę oczu unoszących się w powietrzu, gdy wspiał się po ścianie, upodabniając się do niej kolorem i fakturą. Przycupnęła na suficie i spytał:

– Widzisz mnie? Czy jestem niewidzialny?

Przynajmniej znalazłam coś nowego, co mogliśmy robić razem,

coś użytecznego, co mnie cieszyło oraz sprawiało, że czułam się rozgrzeszona z tego, że wcześniej usiłowałam go edukować za pomocą książek.

Wick podziwiał moją pomysłowość, ale nie moje metody. Nie podobało mu się, że Zrodzony angażuje się w poszukiwania, nie był zachwycony tym, że nasze wykopaliska robią zamieszanie na jego mapach, ponieważ to oznaczało, że Balkonowe Klify się zmieniają, a część korytarzy, które pozostawały pogrzebane, została odsłonięta. Każde zaburzenie planu piętra, który nosił w głowie, wywoływało u niego niezrozumiały szok.

Ale czasami, późną nocą, Wick zmieniał zdanie, przychodził do mojego mieszkania i podczas rozmowy okazywał słabość oraz wyrażał swój podziw dla Zrodzonego. Miałam wrażenie, że jest niezdecydowany i zagubiony, nie chce jednoznacznie się określić i coraz mniej skupia się na mnie. Nienawidziłam tej słabości bardziej niż wcześniejszego zacięcia, a on najwyraźniej to wyczuwał, ponieważ wychodził, zanim mieliśmy szansę wylądować w łóżku.

Powiedział, że może umrzeć bez swoich pigułek-łodziaków. Jednakże wciąż nie wiedziałam, co oznacza tamten popsuty teleskop albo twarz kobiety nakreślona na głowie olbrzymiej ryby.

Czy kiedykolwiek się tego dowiem?

Jak się nawzajem utraciliśmy

Potem nadszedł dzień, który był zarazem jak zwycięstwo i porażka – dzień, w którym Wick i ja osiągnęliśmy spokój. Pracowaliśmy nad umocnieniem Balkonowych Klifów z taką determinacją, że nie wiedzieliśmy, co więcej moglibyśmy zrobić. Stale mieliśmy obolałe mięśnie i zmęczone umysły od poszukiwania luk w naszym rozumowaniu. Z każdą godziną przygotowań Wick pokazywał mi, że odrzuca kontrolę, jaką nad nim sprawowała Magiczka, dowodząc tego swoją pracą, wysiłkiem, poświęconym czasem.

Wreszcie osiągnęliśmy cel, chociaż sami temu nie dowierzaliśmy, a wraz z nim mentalność typową dla obłączonej twierdzy. Miałam wrażenie, że czekam, aż jakaś potężna siła wyważy drzwi, wespcnie się na mury albo podda się i odejdzie. A być może uwierzyliśmy, że to już koniec, ponieważ podświadomie rozumieliśmy, że nie uda nam się zapewnić bezpieczeństwa Balkonowym Klifom. Zawsze znajdzie się jakaś droga wejścia.

Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – zabezpieczyliśmy wewnętrzne fortyfikacje, zgromadziliśmy zapasy, przewidzieliśmy różne kierunki ataku – a jednak żaden atak nie nastąpił. Nie odnotowaliśmy prób naruszenia żadnej ze stref, które monitorowaliśmy dzięki żukom, pająkom albo informatorom Wicka. Czyżbyśmy przecenili swoją wagę w targanym niepokojami mieście? Czy zostaliśmy, o dziwo, zapomniani? A może jest już po wszystkim i raczej umrzemy z głodu albo pragnienia niż z nożem wbitym w brzuch lub z rozszarpanym gardłem? Paradoksalnie najbardziej przeraziło nas to, że w takim wypadku nie będziemy mogli poddać się Magiczce.

Na naszych granicach przeważnie panował nienaturalny spokój.
– To tylko oznacza, że grają na czas – mówił Wick, nie zdając

sobie sprawy z tego, jak wiele Zrodzony uczynił, aby „oczyścić okolicę”.

– Nie pozostała ani jedna jaszczurka – poinformował mnie Zrodzony, a skoro teren opustoszał, nie czaili się na nim żadni poszukiwacze.

Jednakże poczucie obłączenia, nawet podszyte beznadzieją, było lepsze niż rzeczywiste obłączenie bądź otwarty atak. W naszym schronieniu było duszno i ciasno, musieliśmy zatkać dziurę w suficie laboratorium Wicka, bojąc się, że zobaczą nas wysłannicy Morda, a ja przestałam wychodzić na balkon, ponieważ wyobrażałam sobie, jak trafia mnie w gardło strzała albo zaskakuje mnie ktoś wspinający się po ścianie, a jednak wciąż udawało nam się utrzymać nasz dom, więc każdy dzień był świętem. Minęły cztery tygodnie i nadal nie było ani śladu Magiczki, ani jej ultimatum. Najwyraźniej miała bardziej palące problemy, na przykład ukrywanie się przed Mordem albo bycie martwą.

Tamtego spokojnego wieczoru zostawiłam Wicka przy basenie, gdzie wciąż obsesyjnie rozmyślał, jak najlepiej wykorzystać pozostałe biotechnologiczne istoty, i poszłam do łóżka.

Obudziłam się gwałtownie niecałą godzinę później.

Wick pojawił się w nogach mojego łóżka. Na chwilę ogarnęła mnie panika, dopóki go nie rozpoznałam, a wtedy odetchnęłam z ulgą, chociaż nie byłam zachwycona pobudką o tak późnej porze. Nie podobało mi się, że najpierw Zrodzony, a teraz Wick postanowili wchodzić do mojego pokoju nieproszeni i bez pukania. Przywoływało to wspomnienia, o których wolałabym zapomnieć.

– Zamknęłam drzwi, Wick. Jak tutaj wszedłeś? Co tutaj robisz?

Obcesowo wzruszył ramionami.

– Tak samo jak ty wchodzisz do mojego mieszkania.

W jego głosie pobrzmiwał dziwny ton. W pokoju było ciemno, a ja wciąż byłam oszołomiona, więc miałam wrażenie, że jego białą skórę pokrywają plamy, niektóre blade, inne przejrzyste, kilka błękitnych, zupełnie jakby przydarzył mu się jakiś wypadek z chemikaliami.

– Co jest aż tak ważne, że nie może poczekać do rana? – spytałam, siadając na łóżku. Prawdę mówiąc, chciałam, żeby sobie poszedł.

– Nic szczególnego. Po prostu chciałem się dowiedzieć, czy mnie kochasz, Rachel.

– Do kurwy nędzy! – wybuchłam. – Budzisz mnie, żeby spytać, czy cię kocham? – Nie byłam po prostu poirytowana. Chciałam zmienić się w wysłannika Morda i zmasakrować Wicka. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy i co inni nam zrobili, po tym, jak udało nam się przywrócić odrobinę normalności do naszego związku, on zadaje mi takie pytanie.

– Ale czy mnie kochasz?

– Idź do łóżka, Wick – warknęłam. Odeśpij to. – Wracaj do swojego mieszkania. – Cierpiał na bezsenność wywołaną stresem, ale ja też musiałam się wyspać.

Nie usłyszał mnie, a może mnie zignorował, w każdym razie niespokojnie przysiadł na moim posłaniu.

– A co ze Zrodzonym? Jego kochasz? Jak bardzo?

Już wcześniej poruszaliśmy ten temat, ponieważ stosunek Wicka do Zrodzonego był podszyty zazdrością, ale nigdy tak otwarcie nie kazał mi się zadeklarować.

– Jestem dla niego jak matka – odpowiedziałam cierpliwie. – A on jest dla mnie jak dziecko. – Starłam się zachować spokój, obawiając się, że powiem coś lekkomyślnego i jeszcze bardziej zwiększę dystans między nimi.

Wick uśmiechnął się z goryczą i smutkiem.

– Czy właśnie tym wciąż dla ciebie jest? Dzieckiem?

– Tak – odpowiedziałam, nieco mijając się z prawdą.

Jakim słowem określić wychowywanie osieroconej inteligentnej istoty? Może takie słowo jeszcze nie istniało. Po raz pierwszy wyobraziłam sobie prawdziwych rodziców Zrodzonego i ogarnęła mnie rozpacz na myśl o tym, że oni gdzieś tam są, pośród nocy rozbrzmiewającej odgłosami dalekich wystrzałów.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś, Rachel – odrzekł Wick, po czym wyszedł.

Zamknęłam drzwi na zasuwkę.

Ale godzinę później wciąż jeszcze nie spałam. Myślałam o dziwnych odwiedzinach Wicka i jego osobliwym wyglądem. Nie mogłam o tym zapomnieć. Przypominał ducha. Prawdziwego ducha, nie upiornie wyglądającego człowieka.

Ubrałam się, poszłam do mieszkania Wicka i zapukałam, ale nikt się nie odezwał. Ponownie zapukałam, tym razem głośniej. Wciąż żadnej reakcji. Albo mocno spał, albo wyszedł. Na wszelki wypadek wybrałam się nad basen.

Kiedy zbliżyłam się do drzwi, usłyszałam głosy. Pomyślałam, że Zrodzony wpadł z wizytą do Wicka. Pewnie rozmawiają. Świetnie. Przyśpieszyłam kroku.

Skręciłam za róg i wparowałam do laboratorium.

Zastałam Rachel rozmawiającą z Wickiem.

Zastałam siebie rozmawiającą z Wickiem.

To była zmyślna kopia, udana podobizna, której widok głęboko mną wstrząsnął. Patrząc na siebie rozmawiającą z Wickiem, czułam się jak zjawa, zupełnie jakby ktoś ukradł mi ciało.

Wick spojrzał na mnie, obejrzał się na drugą Rachel i wzdrygnął się, a obronne żuki zaroily się na jego ręku. Najwyraźniej potrafił odróżnić oryginał od naśladowcy.

– Czym jesteś?! – krzyknął do drugiej Rachel. – Czym jesteś?

Ale ja znałam odpowiedź.

Tą drugą Rachel był Zrodzony.

Dawno temu żyła kobieta, która znalazła pewne stworzenie na boku olbrzymiego niedźwiedzia. Dawno temu była sobie biotechnologiczna istota, która rosła i rosła, aż zamieszkała we własnym mieszkaniu. Dawno temu osoba imieniem Zrodzony przywdziała skóry dwojga ludzi, których podziwiała, udając, że nimi jest. Może Zrodzonym kierowały szlachetne pobudki, może miał dobry powód. Może uważał, że dla odmiany postępuje właściwie. Może.

– Zrodzony – odezwałam się. – Zrodzony.

Słyszając moje rozczarowanie i przerażenie, druga Rachel natychmiast zmieniła się w Zrodzonego. Po jej ciele przebiegła

spazmatyczna fala, ze wszystkich stron dobiegło westchnienie odbijające się echem w jaskini i po chwili stanął przede mną Zrodzony, którego znałam, ale bardziej podobny do szerokiego wiru pełnego oczu, przytwierdzonego wąskim końcem do ściany, obracającego się jak hipnotyzująca iluzja.

W miejscu, w którym stałam. W miejscu, w którym stała Rachel.

Ta magiczna sztuczka miała swoją cenę. „Rachel” właśnie wyciągała rękę w stronę nadgarstka Wicka, a kiedy popatrzyła na mnie z niepokojem i jej rysy rozplynęły się w wirze, gdy rozpadła się na kawałki, jej oczy się zwielokrotniły i wyrosły jej macki, sięgnęła do ręki Wicka i go dotknęła.

Wick krzyknął i zatoczył się do tyłu w stronę krawędzi basenu, oparzony albo w jakiś inny sposób zraniony tym dotykiem. Machnął drugą ręką, rozpaczliwie broniąc się przed badawczymi mackami Zrodzonego, i uwolnił rój żuków, a te całymi dziesiątkami poleciały w stronę Zrodzonego, zamierzając wwiercić się w jego ciało i je zniszczyć.

Ale nie zdołały do niego dotrzeć. Zamiast tego stopiły się z powierzchnią jego skóry, a on wydał z siebie potężny krzyk i ruszył ku Wickowi jak ciemno połyskująca fala pływowa.

Tylko że ja stałam w środku – po mojej lewej stronie Zrodzony, po prawej Wick, śmiertelni wrogowie.

– Przestańcie! Przestańcie! – wrzeszczałam.

Mogłam się dostać w krzyżowy ogień. Każdy z nich mógł mnie zignorować i ulec instyktowi.

Zrodzony cofnął się, mimo że jednocześnie stał się jeszcze potężniejszy i bardziej złowrogi, przestaniając pozostałe świetliki Wicka, ponieważ mknął po suficie jak wściekła fala. Patrzyłam na to zastygła w bezruchu, jakbym to ja była tą drugą Rachel.

Pozostałe bojowe żuki Wicka zaroily się wokół jego ciała, chroniąc go przed kolejnym atakiem, a w basenie rozległy się plusk i skrzek jakichś istot, które zapewne stanowiły wsparcie.

Drugi atak nie nastąpił.

Zrodzony cofał się coraz bardziej, jakby chciał się wtopić w sufit i przez niego przeniknąć. Jego skóra, pokryta szeroko rozwartymi oczami i mackami, rozdzielała się i rozplýwała jak

kropelki wody obserwowane w zwolnionym tempie. Kulił się, prosząc o przebaczenie, ale jednocześnie było w nim coś buntowniczego, tak że nie potrafiłam go rozgryźć. W powietrzu przez jakiś czas unosił się smród przypalonego masła i zjełczałej wątróbki, który stopniowo zanikał.

Nawet dzisiaj wciąż na nowo odtwarzam sobie w myślach tamte pierwsze chwile. Zastanawiam się, co i w jaki sposób Zrodzony myślał. Pragnę zatrzymać czas. Pragnę, by czas się zatrzymał, a Wick wyszedł, bym mogła porozmawiać ze Zrodzonym na osobności. A potem, żeby wyszedł Zrodzony, bym mogła spokojnie porozmawiać z Wickiem. Muszę mieć pewność, że dobrze zrozumiałam tamte chwile i podjęłam właściwe decyzje. Ale nie mogę mieć takiej pewności.

Wiem tylko, że zasłoniłam własnym ciałem Wicka i wbiłam wzrok w Zrodzonego, który przykrywał cały sufit i mógł spaść na nas jak tsunami i utopić nas w swoim cieple, gdyby tylko zapragnął. Kiedy tak na niego patrzyłam, żadne gwiazdozbiory nie mogły mi przesłonić faktu, że jest potworem.

Byłam tak blisko Wicka, że czułam jego nerwowy puls i drżenie ciała, gdy przywarł do mojego ramienia, wpatrując się w pustkę. Wrzaski ucichły. Robaki diagnostyczne przemierzały powierzchnię jego skóry, starając się ze wszystkich sił złagodzić skutki rany zadanej przez Zrodzonego, co oznaczało, że Wick był półprzytomny. Od kilku tygodni prawie nie karmiliśmy robaków, więc martwiłam się, że zdechną, zanim wyleczą Wicka. Ale nie widziałam krwi, tylko siniaki i szok.

- Nie chciałem, Rachel - odezwał się Zrodzony błagalnym tonem. - Nic chciałem go skrzywdzić. Nie zamierzałem go skrzywdzić. Zaskoczyłaś mnie, Rachel. Zmusiłaś mnie.

- Zmusiłam cię, żebyś rozmawiał z Wickiem, udając mnie?! Zmusiłam cię, żebyś rozmawiał ze mną, udając Wicka?! - Krzyczałam na Zrodzonego. Krzyczałam na niego i wrzeszczałam, ponieważ nie mogłam zrobić nic innego. Ależ byłam głupia i lekkomyślna, a teraz wszystko się popsuło. Dostrzegałam to, nawet jeśli Zrodzony tego nie widział.

- Chciałem pomóc - odrzekł Zrodzony. - Chciałem pomóc.

Chciałem, żebyście oboje byli dla siebie mili. – Mili, niemili. Ale on już nie był dzieckiem. – Nie chciałem, żebyście stale się o mnie kłócili.

– Nie ty o tym decydujesz – wychrypiałam, nie mogąc dłużej krzyczeć przez obolałe gardło. – Nie powinienes o tym decydować.

Byłam wystraszona i wściekła. Ponieważ ukazano mi coś, co już wiedziałam. Coś, co podświadomie nie dawało mi spokoju. Tyle razy Wick i ja zapieraliśmy się, że wcale czegoś nie powiedzieliśmy, zrzucając to na karb kłopotów z komunikacją albo pomyłki, ale nigdy nie braliśmy pod uwagę, że osoba, z którą rozmawialiśmy bądź nie rozmawialiśmy, była kimś albo czymś innym. Te sytuacje stopniowo psuły nasz związek i napełniały nasze życie wyjątkowym i szalonym brakiem zaufania. Teraz będziemy musieli przeanalizować naszą niedawną przeszłość, poskładać wszystkie wspólnie spędzone chwile i ustalić, co było rzeczywiste.

Zrodzony prosił i próbował tłumaczyć, ale ja go nie słuchałam.

Czy to jego dosiadłam w punkcie obserwacyjnym, warcząc jak wysłannik Morda, tamtego ranka, gdy Magiczka wystrzeliła pociski? Czy to z nim, a nie z Wickiem planowałam obronę Balkonowych Klifów? Czy wcielał się w Wicka, gdy spaliśmy razem?...

Nie, nie mogłam brać pod uwagę aż takiego pogwałcenia zaufania. To nie mogła być prawda. Musiałam wierzyć, że znam ciało prawdziwego Wicka, że wodząc palcami po wszystkich jego bliznach oraz niedoskonałościach i wpuszczając go do swojego wnętrza, nie ulegałam potwornemu kłamstwu.

Ale musiałam o to zapytać.

– Zrodzony, ile razy się w nas wcielałeś? Czy byłeś w moim łóżku, w łóżku Wicka?

Trwało to chwilę, ale gdy w końcu zrozumiał pytanie, wzdrygnął się i przybrał szarą barwę.

– Nie. Nigdy. Jak możesz tak myśleć?

– Dlaczego miałybyśmy tego nie robić?

– Teraz się mnie boisz – odrzekł. – Ale robię tylko to co wy.

– Nie robimy czegoś takiego.

– Weszłaś potajemnie do jego mieszkania. On także wszedł potajemnie do twojego mieszkania, skradając się i szpiegując.

– Zrodzony... – Podniosłam na niego wzrok. On także na nas patrzył, tona obcego ciała z setką oczu.

– Kocham cię – odezwał się moim głosem. – Ale boję się ciebie i nie mogę ci zaufać.

– Skrzywdziłeś Wicka.

– On też zamierzał mnie skrzywdzić – odparł Zrodzony. – Wiem, że tak było. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, i tak mnie nienawidził.

Patrzyłam na wszystko chłodno i rzeczowo, tylko rozgorączkowany Wick u mojego boku przypominał mi o pewnych prawdach.

– Powinłam była pozwolić Wickowi, by rozebrał cię na części. Czym ty jesteś?

– Rachel, to ja, Zrodzony. Twoje dziecko. Kochasz mnie jak swoje dziecko. Powiedziałaś, że kochasz mnie jak swoje dziecko.

– Zawiodłam go tymi słowami, więc dlaczego teraz powinnam próbować go ocalić?

– Nie jesteś człowiekiem – wykrztusił Wick, jakby po raz pierwszy zaczerpnął powietrza.

Wiedziałam, że odzyskał równowagę i zaczął wracać do siebie po tym, co mu zrobił Zrodzony.

– Ale jestem osobą – odparł Zrodzony. – Rachel tak mi powiedziała... Jestem osobą!

– Osobą, która udaje innych ludzi – zauważył Wick.

– Czy znasz mnie w taki sam sposób, w jaki poznałeś jedną z tamtych jaszczurek, które pożarłeś?

– Nie! – zaprotestował Zrodzony.

– Więc jak to możliwe, że mnie udajesz?

– Potrafię upodobnić się do ciebie, ale nie mógłbym stać się tobą, chyba że...

– Chyba że byś mnie zabił – dokończył Wick. Stał nieruchomo obok mnie, a ja wyczuwałam, że jest gotowy, by ponownie zaatakować Zrodzonego.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, Rachel – rzekł Zrodzony.

– Zrodzony rozumie – powiedział Wick. – Wie, czym jest. Jest zabójcą. Musimy rozłożyć go na części.

Zrodzony upodobił się do granatowoczarnego burzowego nieba. Poczułam żrącą woń atramentu i przypalonego mchu. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały troska i niepewność.

– Nie pozwolę wam. Niczego nie zrobiłem. Niczego bym nie zrobił. Niczego nie robię.

– Nie rozumiem – odrzekłam z naciskiem. Ale już rozumiałam. Prawdziwie i dogłębnie, chociaż wcale nie chciałam. Może wiedziałam o tym od samego początku. Co Zrodzony robi w mieście, a co zamaskowała rzeź mutantów Magiczki dokonana przez wysłanników Morda. Ludzie, o których mi opowiadał, staruszek i inni – jakie były te rozmowy? Czy gwałtownie się zakończyły? Zbieranie próbek.

– Pewnie robi to od dawna – rzekł Wick. – Skoro tak szybko się uczy. Skoro tak szybko rośnie.

Wyraz jego twarzy był dla mnie nierozpoznawalny i nieprzenikniony, tak obcy i dziki, a zarazem mechaniczny, że się wystraszyłam i poczułam, że stanęłam pomiędzy dwoma potworami.

– Spytaj go, Rachel – ciągnął Wick. – Spytaj go. Nic z niego nie wychodzi, wszystko wchodzi.

Zrodzony rozciągnął się do pełnych rozmiarów na szorstkim suficie, zerkając na nas jak pływak zanurzony w odwróconym oceanie. Ukazał się nam w pełnej krasie, imponujący i przerażający. Teraz już wiedziałam, że odbicie sobowtóra Rachel wciąż było w nim obecne i mógł je w każdej chwili przywołać, jak marionetkę, a tuż obok kryło się odbicie Wicka.

– To kosztuje – odezwał się Zrodzony. – Bycie tym, kim jestem. Robienie tego, co robię. Ale kocham cię, Rachel. Kocham cię i stać mnie na więcej. Mogę przestać.

Ze wstydem przyznaję, że się zawahałam, a Wick to zauważył.

– Udowodnij. Powiedz prawdę. Bądź szczery – odparł Wick. – Czy zabijasz ludzi? Powiedz.

– Nie zabijam – odrzekł Zrodzony. – Wchłaniam. Pobieram próbki. Trawię. Wszystko żyje. We mnie.

– Zabija ich – upierał się Wick. – Płądruje ich wspomnienia. Płądruje ich wiedzę o świecie. Zgódź się. Zgódź się, Zrodzony. Tak będzie najlepiej. Pozwól, bym rozłożył cię na części. Dobrze o tym wiesz. W przeciwnym razie pewnego dnia staniesz się gorszy niż Mord.

Czy to nie miało znaczenia, że Zrodzony walczył ze sobą, że nie chciał zabijać? Może nie. Ale dostrzegłam niemal niezauważalną zmianę w jego postawie i ogarnął mnie lęk, że nie zdołamy go nakłonić, by umarł. Że nigdy się nie zgodzi, żebyśmy rozebrali go na części, i stanę przed trudnym wyborem, a Wick nigdy mnie nie zrozumie, chociaż chodzi o nasze przetrwanie.

– Odejdź – powiedziałam. – Musisz odejść i nigdy nie wrócić. Musisz.

Wygnanie. Te słowa same mi się nasunęły. Ale czy mieliśmy inne wyjście? Każda inna decyzja oznaczała zdradę Wicka, zdradę Balkonowych Klifów, a Zrodzony ułatwił mi wybór. Mimo wszystko było to jedno z najtrudniejszych zadań mojego życia. Najtrudniejsze.

Zrodzony zmienił kolor na morski, a jego ciało stało się miękkie; półprzezroczyste powierzchnie odbijały światło.

– Ale przecież cię kocham – odrzekł. – Jesteś moją rodziną.

– Ja też cię kocham, Zrodzony – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Ale to niczego nie zmienia. – Może wystarczy nam wspomnienie miłości, może wystarczy czas, który spędziliśmy razem. Ale w głębi duszy już panikowałam i wszystko we mnie wrzeszczało na samą myśl o rozstaniu.

– Nie będę miał domu – rzekł Zrodzony.

– Wiem.

– Nie będę miał z kim rozmawiać.

Niemal nie mogłam tego znieść, ale musiałam.

– Zrodzony – odezwałam się. – Musisz to zrobić dla nas. Jeśli nas kochasz. Wiem, że to trudne, ale nie jesteśmy bezpieczni.

Niby w jakim celu Zrodzony się wyprowadził? Po co powiedział mi, że nie potrafi przestać? Dlaczego przez ostatnie kilka tygodni

spędzał w naszym towarzystwie najwyżej po dwie godziny? Wiedział. Doskonale zdawał sobie sprawę. Był mordercą.

– Nigdy nie poznam żadnego innego człowieka tak, jak poznałem ciebie – odrzekł, a ja poczułam to w kościach, sercu i głowie.

Nigdy nie poznam nikogo tak, jak poznałam Zrodzonego, a nawet jeśli jeszcze kiedyś go spotkam, nie będzie tak samo jak wtedy, gdy mieszkaliśmy razem w Balkonowych Klifach, biegaliśmy korytarzami, robiliśmy dziury w ścianach, żartowaliśmy i śmialiśmy się, a ja uczyłam go nowych słów, które przechowywał w swoim umyśle jak klejnoty i powtarzał raz za razem, dopóki nie nauczył się ich lepiej ode mnie.

– Będzie ci lepiej – skłamałam. – Wszystko będzie dobrze – skłamałam.

Wick milczał. Nie był częścią tego wszystkiego i miał na tyle rozsądku, by się nie odzywać.

– Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę, Rachel? – spytał Zrodzony.

– Jestem pewna, że jeszcze się zobaczymy. Oczywiście, że tak.

W Zrodzonym zaszła kolejna zmiana, którą dostrzegłam tylko ja i której nie mogłam przekazać nikomu innemu. Odczytałam ją jako stoicyzm i akceptację. Zszedł z sufitu i przybrał kształt Zrodzonego, jakiego znałam, który kiedyś mieszkał ze mną i którego uważałam za roślinę.

Zbliżył się. Stał obok mnie, a ja nawet nie mrugnęłam. Wyciągnął w stronę mojej twarzy jedną grubą, miękką mackę. Krąg orbitujących oczu. Ciało przypominające wazon albo kałamarnicę. Migoczące kolory zdradzały pewność siebie i śmiałość, ale wiedziałam, że tylko stara się mnie pocieszyć, i to napełniło mnie wątpliwościami. Czy prawdziwy potwór, prawdziwy zabójca nie wchłonąłby nas albo nie przedstawił nam ultimatum, nie zamordowałby nas i nie przejął Balkonowych Klifów?

– Odejdę – rzekł Zrodzony. – Będzie mi lepiej. Nie martw się o mnie. Nic mi się nie stanie. Nie zapomnę cię, Rachel. Nigdy cię nie zapomnę.

Potem przemknął obok mnie i opuścił jaskinię, a ja padłam na

kolana i nie pozwoliłam Wickowi się do mnie zbliżyć. Byłam załamana i nie potrafiłam zaakceptować tego, co się stało. Wewnętrzne oblężenie dobiegło końca. Miałam wrażenie, że wszystko dobiegło końca.

Zrodzony odszedł.

Co znalazłam w mieszkaniu Zrodzonego

Po odejściu Zrodzonego byłam wrakiem człowieka. Niczego nie widziałam, niczego nie czułam, zataczałam się, wpadając na przedmioty. Na ściany. Na meble. Wszystko rozmazywało mi się przed oczami. Chciałam ukarać się za to, co się stało. Chciałam się ukarać i ruszyć na poszukiwanie Zrodzonego, żeby powiedzieć mu, że wcale tak nie myślałam, że możemy go zmienić, powstrzymać jego instynkty, że on sam może z nimi walczyć, i wszystko będzie dobrze.

Ale tego nie zrobiłam. Zamiast tego leżałam zwinięta na łóżku w swoim mieszkaniu i szlochałam, aż sprawiło mi to ból. Chciałam, żeby mnie bolało. Nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie. Mord mógłby mnie wykopać spod ziemi i połknąć na raz, a jakaś częśćka mnie byłaby za to wdzięczna. Lecz istniała też inna część Rachel, część, która przetrwała sześć lat w mieście i cierpliwie czekała za kulisami, podpowiadając: „Wyrzuć to z siebie, wyrzuć to wszystko teraz, żeby później cię nie zabiło”.

Kiedy się obudziłam, po upływie nie wiem ilu godzin, dni czy tygodni, zajrzałam do Wicka. Z trudem znajdowaliśmy słowa, nie czuliśmy między sobą więzi, a ja nie mogłam na niego patrzeć, ponieważ miałam wrażenie, że jesteśmy innymi ludźmi, którzy prowadzili ze sobą inne rozmowy. Nie wiedziałam, do kogo właściwie mówię, musiałam przeanalizować nasze liczne spotkania z poprzednich miesięcy, by ustalić, kiedy miałam do czynienia z Wickiem, a kiedy z podszywającym się pod niego Zrodzonym. Później oboje będziemy mogli rościć sobie prawa do rozmów, których nie odbyliśmy, a wszystko po to, by przekonać drugą stronę, że pragniemy wyłącznie tego, co potwierdza opowieść o naszej miłości i przyjaźni, a cała reszta nas nie interesuje.

Po jakimś czasie dałam się poprowadzić intuicji, która pozwala mi unikać pułapek. Zaprowadziła mnie ona do mieszkania

Zrodzonego. Chciałam upewnić się, że naprawdę odszedł, a także je przeszukać. Weszłam cicho i powoli, wyzuta z wszelkich uczuć, ale zarazem prawie spodziewając się, że zastanę Zrodzonego w mieszkaniu.

Nie było go i niewiele po sobie zostawił. Nigdy nie posiadał zbyt wielu przedmiotów. Trzej martwi astronauta wciąż wisieli na hakach na ścianie, ale nie mieli nade mną żadnej władzy. Zrodzony tak przyzwyczał mnie do ich szkieletów, że stali się niemal starymi przyjaciółmi.

Znalazłam tylko to, co pozostało w szafie – mnóstwo ubrań należących do innych ludzi, wszelkich rozmiarów i stylów, większość poszarpana, znoszona lub poplamiona krwią. Część z nich stanowiły łupy z innych części Balkonowych Klifów, innych nie rozpoznawałam, ale większość zapewne pochodziła od ludzi, których Zrodzony „wchłonał”. W szafie leżało pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt koszul. Co najmniej.

Na samym spodzie, pod stertą spodni, znalazłam gruby dziennik z literą B na okładce. Nie wyglądał interesująco – poszarpany i przebarwiony, zapewne znalezisko, które zamierzał ponownie wykorzystać. Był zamknięty na zamek, ale w dziurce tkwił kluczyk. Długo mu się przyglądałam, zanim go otworzyłam. A potem wpatrywałam się w zapisane strony, aż słowa rozmazały mi się przed oczami i zniknęły. Pewnie nie chciałam ich przeczytać. Ale byłam Rachel poszukiwaczką, a to był wyjątkowy łup. Poza tym byłam pusta w środku i szukałam odpowiedzi.

Większość dziennika wypełniały zapiski w językach, których nie potrafiłam odczytać. Ale na pierwszej stronie znajdowała się pierwsza niezdana próba pisma.

Mam na imię Zrodzony.

– Wcale nie mam na imię Zrodzony. Tak mnie tylko nazywa Rachel. To oznacza dźwiganie brzemia, którego nie chcesz.

Mam na imię nie-Zrodzony i przybyłem tutaj na ciele Morda, niezależnie od tego, co mówi Rachel.

- Nie przybyłem tutaj na ciele Morda.
- Zaplątałem się w futro Morda. (Kto mnie zaplątał?).
- Skąd pochodzę?

Mam na imię nie-Zrodzony. Nie przybyłem tutaj na ciele Morda, ale jestem człowiekiem.

- Nie jestem człowiekiem. Nie jestem człowiekiem. Nie jestem człowiekiem.
- Rachel twierdzi, że jestem „nim”. Czy jestem nim, nią, obojgiem, a może żadnym z nich?
- Jestem osobą.

Przybyłem tutaj z dalekiej gwiazdy.
Przybyłem tutaj z księżycą, jak martwi astronauty.
Zostałem stworzony przez Firmę.
Zostałem stworzony przez kogoś.
Tak naprawdę nie jestem żywy.
Jestem robotem.
Jestem osobą.
Jestem bronią.
Jestem nie/inteligentny.

Mam dziewięć zmysłów, a Rachel tylko pięć. Mogę wytwarzać oczy, kiedy tylko zechcę, a Rachel nie. Gdyby straciła swoje oczy, byłaby ślepa. Gdybym ja stracił swoje oczy, nadal bym widział.

Nie wiem, kiedy jestem tym, czym chcę, że bym był, a kiedy jestem sobą. Lepiej jest być „uroczym”. Tak jest bezpieczniej.

Niemiło. NIEMIŁO.

Zrodzony przybył z dalekiej gwiazdy. Zrodzony przybył z dalekiej Firmy. Zrodzony nie mógł przestać jeść. Zrodzony nie mógł przestać zabijać. Zrodzony nie myśli o tym w taki sposób, ale to pewnie to. To musi być zabijanie.

ZRODZONY MUSI PRZESTAĆ ZABIJAĆ. ZRODZONY MUSI PRZESTAĆ SMAKOWAĆ. ZRODZONY MUSI PRZESTAĆ BYĆ ZRODZONYM. ZRODZONY MUSI JEŚĆ TO, CO JUŻ JEST MARTWE, JAK NORMALNE OSOBY.

A co, jeśli jestem jedyny?
Jeśli nie mogę umrzeć?
Jeśli nikt mnie nie stworzył?

Wszystko tam było. Wszystko, w czym mu pomogłam i w czym nie okazałam się pomocna. Wszystko, czym go uczyniłam i nie uczyniłam. Tak jak sam powiedział, wślizgiwał się do naszych mieszkań, ponieważ widział, jak ja wślizgnęłam się do mieszkania Wicka. Udawał, że jest mną i że jest Wickiem, ponieważ chciał, żebyśmy się nie kłócili i byli dla siebie sympatyczni. Widział, jak odgrywamy różne role, dźwigając nasze brzemie, i pomyślał: Co mi szkodzi spróbować tego samego?

Uczyłam go przez cały czas, poprzez wszystko, co robiłam, nawet gdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Poprzez wszystko, co robiłam, nie tylko wtedy, gdy starałam się go uczyć. W każdej chwili, a teraz wiele bym oddała, by cofnąć niektóre z tych chwil. Żałowałam, że zakradłam się do mieszkania Wicka. Żałowałam, że nie byłam lepszą osobą.

Rachel nie może mnie ochronić przed Mordem, a ja nie mogę jej

ochronić przed sobą.

Na tyle różnych sposobów Zrodzony powtarzał mi „Nie potrafię przestać”. Nie potrafię przestać rosnąć. Nie potrafię przestać być tym, kim jestem. Nie potrafię przestać zabijać ludzi, a ja go zagłuszałam, ignorowałam, próbowałam udawać, że jest kimś innym niż w rzeczywistości, przez co go zdradziłam. Ponieważ Zrodzony wiedział, czym jest.

Nie chciałem się wyprowadzić z mieszkania Rachel. Ale musiałem. W przeciwnym razie nie wiem, co by się z nią stało. Wciąż zjadam jaszczurki, ale to nie wystarczy. Może kiedy zostaną sam, będzie lepiej. Może odzyskam kontrolę.

Opisy dni i chwil, gdy wychodził do miasta i „zdołał się powstrzymać” albo „nie zdołał się powstrzymać”. Tabele z wzorami. Próby zrozumienia siebie. Eksperymenty z czynnościami zastępczymi.

Najgorsze jednak były sytuacje, gdy wiedział, że robi źle, a mimo to nie umiał ani nie chciał się powstrzymać i zabijał ludzi, żeby nie zabić mnie. Był coraz bardziej zdesperowany, tracił głowę i nie mógł z nami o tym porozmawiać.

Liczba koszul w jego szafie rosła w miarę jak się powiększała.

Stawał się... czym? Pochodził... skąd?

Był bardziej samotny, niż mogłam sobie wyobrazić. Bardziej zdesperowany. Nie dało się inaczej tego opisać.

Jeszcze gorsze były wpisy, w których Zrodzony wyrażał wobec mnie „wdzięczność”. Byłam dla niego taka serdeczna, tak wiele mu przekazałam, tak wiele się nauczył, „nigdy mnie nie zapomni”, jakby już wtedy wiedział, że pewnego dnia zostanie wygnany z Balkonowych Klifów.

Nic z tego, co znalazłam w mieszkaniu Zrodzonego, nie przyniosło mi pocieszenia. Ale uważałam, że nie zasługuję na pocieszenie.

*

Mniej więcej tydzień później znów zobaczyłam Zrodzonego, z daleka. Zapadał zmierzch. Wciąż trwaliśmy w Balkonowych Klifach, a ja wyszłam na balkon, by popatrzeć na skażoną, piękną rzekę i wszystkie cienie, które tworzyła. Byłam wyciszona. Rany Wicka dobrze się zagoiły, chociaż nie całkowicie.

Daleko w dole zobaczyłam siebie samą pędzącą wzdłuż rzeki. Biegłam swobodnie, płynnie i zwinnie przemierzając skalisty teren. Nie wyglądałam dokładnie jak ja, a poza tym stałam na balkonie, więc wiedziałam, że patrzę na Zrodzonego.

Nie wiedziałam, że jestem taka krucha i poruszam się tak delikatnie. Nie wiedziałam, że Zrodzony tak bardzo mnie kocha.

Ten widok niemal złamał mi serce. Nie będę kłamać, przez jedną niezapomnianą chwilę pełną lekkości miałam wrażenie, że jestem tam na dole i patrzę na świat oczami Zrodzonego, a nie stoję na balkonie we własnej skórze.

Uczucie minęło, a Zrodzony, zupełnie jakby wiedział, że ktoś go obserwuje, ponownie stał się sobą, ponieważ nikt nie mógł mu tego zabronić, a ja zobaczyłam, że znów podążają za nim tamte dziwne zwierzęta. Małe lisy, króliki oraz istoty, które wyglądały jak lisy i króliki, ale nimi nie były.

Próbowałam przekonywać siebie, że stał się częścią miasta, ale strata była zbyt świeża, bym traktowała go jak kolejną przeszkodę, zagrożenie lub okazję. Wiedziałam, że nigdy nie będę w stanie tak na niego patrzeć.

Sądziłam, że zwierzęta go ścigają, ale nie – wkrótce stało się jasne, że Zrodzony je prowadzi. W jakiś sposób nimi dowodził. Wszystkimi zapomnianymi i odrzuconymi stworzeniami, których miasto nie zauważało.

Podczas gdy rzeka płynęła swoim biegiem, unosząc nas wszystkich.

Część trzecia

Co odebrano Mordowi i nam

Kilka dni po tym, jak wyrzuciliśmy Zrodzonego, Mord stracił zdolność latania. Ktokolwiek mu ją odebrał, zapewne miał nadzieję, że stanie się to, gdy Mord będzie sunął w powietrzu nad miastem, tak że runie z olbrzymiej wysokości i zginie w oceanie własnej krwi. Ale tak się nie stało. Po prostu obudził się pewnego ranka i nie mógł latać. Czy przyniosło nam to ulgę? Powinno, ale z jakiegoś powodu odebraliśmy to jako jeden ze zwiastunów tego, że rzeczy, na których polegaliśmy, zaczęły się zmieniać.

Mord siedział w apokaliptycznym splendorze swojego futra na cementowej powierzchni pustego parkingu, otoczony swoimi posapującymi, stękającymi, parskającymi wysłannikami, i nie mógł odlecieć. Nie potrafił się unieść, wzbić w niebo ani zawisnąć w powietrzu. Słyszeliśmy zaskoczenie w jego powarkiwaniach, które były jak wysyczone znaki zapytania, a potem rozległ się chrapliwy ryk wściekłości i oburzenia. Mord nie mógł latać, a kilkanaście kultów w całym mieście zapewne upadło, ich wyznawcy zaś uciekli zagubieni, rozpierzchli się albo popełnili samobójstwo. Bóg przestał być Bogiem. Bóg będzie musiał chodzić po ziemi tak jak my wszyscy. Stracił coś, co miał mieć wiecznie i co stanowiło jego istotę, a ta strata wywołała w nim szok.

Ale Mord próbował ponownie stać się bogiem. Rzucił się w niebo, po czym zatoczył się i z trudem złapał równowagę, uderzając przednimi łapami o chodnik. Wyprostował się do pełnej wysokości, napinając wszystkie mięśnie, jakby mógł siłą

woli wznieść się w powietrze... podczas gdy jego zagubieni wysłannicy kłębili mu się pod nogami, chóralnie pokrzykując „Drrk-drrk”.

Mord próbował raz za razem, ofiarowując siebie niebu, ale ono wciąż go odrzucało, niezależnie od wybranej metody. Pełny rozpęd na czterech łapach, ostrożna próba ze szczytu trzypiętrowego budynku, który zawalił się w chwili skoku. Kolejny rozbieg, tym razem na tylnych łapach, ale wszystko na nic. Potężny niedźwiedź spędził połowę ranka na próbach odzyskania dawnej magii, uruchomienia zaszczepionej przez Firmę technologii, która pozwalała mu przemieszczać potężne ciało w powietrzu. W końcu powrócił do instynktownych zachowań: biegał na czworakach pośród starych i nowych ruin, rozbijając wszystko na swojej drodze, rozłupując domy, burząc kominy, które padały jak nędzne słomki bądź wykałaczki.

To wszystko nie miało znaczenia. Mord próbował osiągnąć prędkość ucieczki, której nigdy nie był w stanie uzyskać albo nie potrzebował, i za każdym razem spadał na ziemię po kilku zapierających dech w piersiach sekundach, podczas których wydawało nam się, że jego brzuch i łapy znów zdołały oderwać się od podłoża. Ale to było tylko złudzenie i Mord ciężko uderzał o ziemię, czasami obijając sobie kości i mięśnie, z impetem, który burzył place i kompleksy mieszkalne.

Powstawał z obłoków pyłu wznieconych przez te zniszczenia i spoglądał w stronę horyzontu, jakby tam kryły się jakieś odpowiedzi. Ale odkąd zaakceptował nowe ograniczenia swojej mocy, głównie siedział. Mord siedział i rozmyślał. Siedział, rozmyślał i kołysał na boki potężną głową, przyglądając się swoim włościom, zaciekawiony, kto jako pierwszy wyzwie go do walki w jego osłabionym stanie. Wyraźnie był w morderczym nastroju, ponieważ rozumiał, co się wydarzy, i był gotowy. Ale jednocześnie wyglądał jak mały niedźwiadek, który musi sam sobie poradzić pośród potężnych stert kości, w jakie zmieniło się miasto.

Widziałam Morda głodnego i spragnionego. Widziałam go ogarniętego sekretnym cierpieniem. Widziałam go zranionego,

z obolałą łapą albo ramieniem, ale jeszcze nigdy nie widziałam go przypartego do muru, zdesperowanego lub śmiertelnego. Nikt go takim nie widział, lecz właśnie miało się to zmienić, z czym wiązały się zarówno lęk, jak i nadzieja. Wszyscy w mieście zadawali sobie przewrotne pytanie, co będzie nas jednoczyło, jeśli Mord kiedyś umrze.

– Magiczka wróciła – stwierdził Wick. – Na pewno.

– To jej dzieło? – spytałam, chociaż niezbyt mnie to interesowało.

Wick wciąż miał dostęp do najnowszych wieści, choć grono jego kontaktów się przerzedziło. W kolejnych dniach dotarły do nas plotki, że ludzie Magiczki przedostali się do budynku Firmy, przedarli przez oddziały wysłanników Morda i wyłączyli bądź zniszczyli mechanizm, który dawał mu jego moc. Inni uważali, że uziemienie Morda jest opóźnionym skutkiem zrujnowania przez niego budynku Firmy, gdzie znajdował się mechanizm, który wreszcie odmówił posłuszeństwa, albo znakiem, że jego wyznawcy w Firmie stracili w niego wiarę.

Niezależnie od tego, jaka była prawda, niby dlaczego miałyby mnie obchodzić, czy Mord potrafi latać? Doznałam straszliwego szoku i straty, z której nigdy się nie otrząsnę. Żyliśmy w mieście, więc musieliśmy się zachowywać, jakby to nie miało żadnego znaczenia, nie mogliśmy okazywać słabości, jeśli chcieliśmy przetrwać. Teraz musiałam – niczym Mord, tylko w mniejszej skali – uważnie wypatrywać, co może mnie zaatakować, gdy jestem osłabiona nieobecnością Zrodzonego.

Kiedy mijały kolejne dni i stało się jasne, że Mord nigdy więcej nie polecą, z miasta zniknął dźwięk, z którego obecności nie zdawaliśmy sobie sprawy. Był to odgłos jakby potajemnej manipulacji powietrzem, który pozostawiał po sobie tak niewielki ślad, że trudno mi go opisać. Tak niedostrzegalny, delikatny, pozbawiony struktury, smaku albo zapachu, że wiedzieliśmy jedynie, że zniknął, ale nie potrafiliśmy sobie przypomnieć jego natury. Instynktownie wiedziałam, że ten

podskórny, podprogowy szum wiązał się ze zdolnością latania Morda.

Pomyślałam o Zrodzonym i jego dodatkowych zmysłach. Pomyślałam o Firmie i Mordzie, zastanawiając się, czego jeszcze w mieście nie słyszemy, a z czego zdamy sobie sprawę dopiero, gdy zostanie nam to odebrane.

*

Znacznie bliżej domu natrafiliśmy na subtelny, ale niezaprzeczalny dowód odrodzenia Magiczki. Wick z żalosną miną poprosił, bym udała się do północnego wyjścia z Balkonowych Klifów i zobaczyła, co obecnie się za nim znajduje. Wiedziałam, że chce mnie czymś zająć, żebym przestała myśleć o odejściu Zrodzonego, i wypełnić czymś pustkę w mojej głowie, w przeciwnym razie po prostu by mi powiedział. Ale i tak poszłam.

Przed północnym wyjściem Magiczka albo ktoś inny zgromadził trzech martwych astronautów, których Wick tam porzucił, wykopał dla nich otwarte groby, umieścił w nich ciała, a obok ustawił trzy tabliczki podpisane: Wick, Rachel, Zrodzony.

Na ziemi patykiem wyskrobano słowo: ODEJDŹCIE.

Magiczka miała nieaktualne informacje, jeśli to rzeczywiście ona za tym stała, a nie jej podwładni albo ktoś postronny. W Balkonowych Klifach pozostała nas tylko dwójka, a mieliśmy wrażenie, że jest tutaj znacznie bardziej pusto. Ale kiedy zobaczyłam groby, przede wszystkim uznałam, że Magiczka nie jest poważną osobą. Do tej pory, chociaż byliśmy wrogami, chyba nadmiernie ją szanowałam, pocieszając się myślą, że stanowi nadzieję dla przyszłości miasta, a po rozlewie krwi i godnych potępienia czynach może nadejść czas pokoju i równowagi.

Kiedy tak stałam, zza pobliskiej sterty żużlobetonowych cegieł usadowionych na mchu wyłonił się znajomy lis, a raczej lisiczka. Ale to nie było prawdziwe zwierzę. W wyraźnym świetle wyglądała jak porzucona inteligentna biotechnologiczna istota. Wydawało mi się, że pod futrem na jej klatce piersiowej widzę

malutkie szczątkowe ręce. Wodziła wkoło wzrokiem w zbyt ludzki sposób.

– Powiedz Magiczce, że może się odpieprzyć – powiedziałam lisicy, chociaż nie sądziłam, aby to Magiczka ją wysłała. Prędeziej Zrodzony. A może tylko miałam taką nadzieję.

Lisica posłała mi spojrzenie, które zapewne miałam zrozumieć, ale znaki i symbole mnie nie interesowały.

– Idź sobie – powiedziałam.

Lisica przekrzywiła łeb, zmierzyła mnie wzrokiem i zaszczekała.

– Idź sobie – powtórzyłam.

Zrobiła coś ze swoim futrem, które wyraźnie nie było futrem, tylko jakąś bioluminescencyjną sztuczką... i powoli zaczęła blaknąć, kawałek po kawałku, aż rzeczywiście sobie poszła, tylko znikając mi sprzed oczu. Miałam wrażenie, że słyszę oddalający się tupot łapek.

Czy zawsze potrafiła to robić, czy Zrodzony ją nauczył?

Jakaś część mnie była zmęczona tym, że martwi astronauta stale zmieniają front, a ich ciała są traktowane bez szacunku i nie mają stałego miejsca. Prawdę mówiąc, nie chciałam już więcej ich oglądać.

Dlatego poświęciłam trochę czasu, wróciłam do środka, znalazłam zardzewiałą łopatę i zakopałam ich w gotowych grobach, a następnie wyrzuciłam tabliczki, starłam butem napis ODEJDŹCIE i powiedziałam kilka słów nad mogiłami, które zakryłam mchem i sosnowymi igłami, starając się jak najlepiej je zamaskować, by nikt się nie domyślił, że ktoś został tutaj pochowany.

– Spoczywajcie w pokoju – powiedziałam. – Spoczywajcie w pokoju i niech już nikt nie wykorzystuje was do swoich głupich gier.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałam opowieść o Magiczce i dziwnym ptaku, wydała mi się imponująca i ważna – odniosłam wrażenie, że coś oznacza. Ale nic nie znaczyła.

Zwłaszcza dla zjawy, a tym wtedy byłam. Byłam zjawą. Byłam zjawą. Linie zaczęły się strzępić i zrywać. Świetliki zgasły w moim mieszkaniu. Toaleta przestała działać. Jadaliśmy tylko dwa posiłki dziennie. Wprowadziłam się do mieszkania Wicka, by oszczędzać zapasy, ale jego świetliki w końcu również zgasły.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Dzisiaj spotkałem lisicę. Szła za mną i zamierzałem ją zjeść, ale mi nie pozwoliła, chociaż grzecznie przeprosiła. Kiedy chwilę porozmawialiśmy, uznałem, że nie chcę jej zjeść”.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Moje najwcześniejsze wspomnienie to jaszczurka robiąca na mnie kupę, dlatego od zawsze nienawidzę jaszczurek za to, że popsuły moje pierwsze wspomnienie. Ale zarazem je kocham, ponieważ są pyszne”.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Rzeka nie jest piękna. Jest skażona. Jest pełna trucizny. Próbowałem jej, smakowałem ją. Nigdy nie będę w niej pływał, chociaż chyba chciałbym kiedyś popływać. Całe to miasto jakby sprzysięgło się, żebym nie mógł sobie popływać. Rzeka jest zatruta, większość studni wyschła, stawy należące do Firmy także są skażone, niezależnie od tego, co mówi lisica, a morze pod nami wyschło setki lat temu. Chciałbym się wykąpać, jak dzieci w książkach. W starej wannie, która ma łapy jak zwierzę. Potrzebuję dużej wanny. Długiej kąpieli. Kąpieli. Urodzony, by się kąpać. Zrodzony, by się kąpać”.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Wiem, że według Rachel zabijanie jest złe. To oznacza, że zapewne jestem zły, ponieważ czasami *zabijam*. Ale nie potrafię przestać, zresztą to jest przyjemne jak oddychanie, niemożliwe, żeby takie było zabijanie, a poza tym wciąż widzę ich wewnątrz siebie i mówię do nich, a oni nadal są tym, kim albo czym byli wcześniej, nawet jaszczurki, więc czy to naprawdę może być *zabijanie*?”.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Nie jest łatwo skupiać się na mówieniu, gdy czuję się tak, jakbym był w dwóch albo trzech miejscach jednocześnie. Brzmiał wtedy tak, jakbym nie znał znaczenia wypowiedzianych słów”.

Napisał Zrodzony w swoim dzienniku: „Świat jest zepsuty, a ja nie wiem, jak go naprawić”.

Kiedy po jakimś czasie nie mogłam znaleźć dziennika Zrodzonego, wiedziałam, że to Wick go przede mną ukrył, i nie miałam nic przeciwko temu – byłam niemal wdzięczna. Zapamiętałam wszystko, co zdołałam zrozumieć, wszystko, co zapisano w języku, który znałam. Sam dziennik nie miał znaczenia. W każdej chwili ktoś mógł mi go odebrać. Liczyło się to, co postanowiłam zapamiętać.

Nieobecność Zrodzonego uprościła coś w Balkonowych Klifach. Uprościła mnie i Wicka, przez co nasze codzienne życie stało się nudniejsze i pozbawione jakiegoś istotnego burzliwego spektrum barw, a ja nie uznawałam siebie za w pełni żywą. Często czułam się ograniczona, mała i bezużyteczna. Ale na co dzień odczuwałam ulgę, ponieważ wyzbyliśmy się pozorów i nasze życie stało się bardziej autentyczne. Nawet to mogło być złudzeniem, lecz ostatecznie wszystko jest rodzajem złudzenia.

Z powodu Zrodzonego musieliśmy stworzyć hasła zabezpieczające nasze tożsamości. Zmienialiśmy je codziennie po obudzeniu oraz po każdym spotkaniu na korytarzu – za każdym razem, gdy rozdzielały nas sen albo obowiązki. Przez pewien czas żyliśmy w strachu, że Zrodzony powróci i ponownie się pod nas podszycie.

Hasła były głupawe, jedyne barwne słowa pośród zalewu monotonnej mowy. Większość zaproponował Wick, który traktował to jak przedłużenie gier, w które graliśmy, gdy dostarczałam mu biotechnologię. Fakt, że czasami śmiałam się z powodu tych haseł, czynił resztę moich dni jeszcze nudniejszymi.

- Poproszę kalosze – odzywałam się do Wicka.
- Przeklęta ostryga – odpowiadał.
- Koguci łeb.
- Skoczek mułowy.
- Trań, trań, Misia Bela.
- Ropiejący płaszcz Magiczki.

Bardzo głupawe, ale dzięki tym słowom wiedzieliśmy, że

jesteśmy prawdziwi – że rozmawiamy z kimś prawdziwym. Nawet jeśli ja sama nie czułam się prawdziwa.

Może śmiałam się, ponieważ te hasła brzmiały jak coś, co mógłby powiedzieć Zrodzony.

*

Wick już nie wspominał o spełnieniu żądań Magiczki, nawet po odkryciu grobów. Coś się zmieniło w Wicku wraz z odejściem Zrodzonego, a także w naszej więzi pomimo jego odejścia, tak że teraz żądania Magiczki sprawiały, że Wick coraz częściej myślał o Balkonowych Klifach jako o fortecy lub reducie. Tymczasem ja po prostu robiłam to, o co prosił, i zmuszałam się do popierania jego wizji, ponieważ nie miałam własnej.

Na szczęście pochłaniała nas praca. Odpędzała większość pozostałych myśli i dawała nam radość, przynajmniej mnie. Nie potrafiliśmy przewidzieć dalszych losów miasta, ale wciąż mieliśmy Balkonowe Klify. Wciąż je mieliśmy i ponownie się trudziliśmy, wspólnie i bez słowa, by ochronić je przed przypadkowym wytropieniem przez mordercze niedźwiedzie.

Najbardziej błyskotliwym pomysłem było podpięcie feromonów do świetlików w naszym mieszkaniu. Ich działanie było opóźnione o około trzydziestu sekund, ale gdyby ktoś inny niż my uruchomił bioczujniki przy wejściach do Balkonowych Klifów, świetliki na suficie zaczęłyby grupowo umierać. Najmniej błyskotliwym pomysłem było oczyszczenie kanału wentylacyjnego nad łóżkiem, który stanowił awaryjną drogę ucieczki.

Przygotowywaliśmy się na jakąś katastrofę, której formy nie potrafiliśmy przewidzieć. Ponieważ sieci oraz hierarchie wciąż nie były bezpieczne i nie mieliśmy żadnych sojuszników. Ponieważ wysłannicy Morda nauczyli się korzystać z narzędzi, a osłabiony Mord nabrał sprytu i kierował ich oddziałami jak generał. Przeprowadziliśmy inwentaryzację zapasów, chociaż wolałabym jeść żywe owady niż rzadką, dawno przeterminowaną breję, która znajdowała się w tych pakunkach. Zakrzepła sałatka z kurczakiem. Gulasz wołowy z marchwią.

Mieliśmy dwadzieścia trzy porcje, które mogły nam wystarczyć na czternaście dni. Deszcz padał nieregularnie i przeważnie był skażony, więc mieliśmy zapas wody zaledwie na tydzień, jednak dzięki skroplonej parze wodnej, którą Wick zbierał każdego ranka, nie musieliśmy naruszać tej rezerwy. Biotechnologiczne istoty wydobyte z basenu mogły nam zapewnić pożywienie na kolejny tydzień albo dwa, pod warunkiem, że włączymy do puli także pozostałe pamięciożuki. Charakterystyczna chrupkość i kwaśny smak sprawiały, że jedzenie ich było ostatecznością.

– Rację żywnościową czy pamięciożuka? – spytał Wick, biorąc je do rąk.

– Żuka żywnościowego?

– Nie mamy ich w jadłospisie.

Ale do jadłospisu powróciły inne potrawy. W Balkonowych Klifach znów pojawiły się jaszczurki oraz pająki, a ja na własne oczy widziałam trzy olbrzymie rybiki, które sunęły korytarzem, pozostawiając ślady w pyłe, jakby się ścięły. Za każdym razem, gdy widziałam jakąś żywą istotę w Balkonowych Klifach, myślałam o Zrodzonym.

W „wolnym” czasie przesiadywaliśmy razem z Wickiem w tunelach, pokojach, na korytarzach, stykając się ramionami, zabezpieczeni hasłami. Czy to byłeś ty? Czy to byłaś ty? Czy to był Zrodzony? Wciąż ustalaliśmy, co rzeczywiście do siebie mówiliśmy, czego Wick nie powiedział, kiedy mnie z nim nie było. Gdy usuwaliśmy fałsz i wzmacnialiśmy prawdę, tym samym usuwaliśmy zniszczenia, całe pomieszczenia w naszych wnętrzach rozjaśniały się chociaż imitacją światła, a my coraz dalej wypędzaliśmy intruza.

Ale nie byłam gotowa pozbyć się go na dobre.

Co wzięłam od „Nokturnaliów”

Miesiąc po tym, jak straciliśmy Zrodzonego, zaczęłam wychodzić nocą. Wmawiałam sobie, że wciąż jestem zjawą, więc nikt mnie nie zobaczy. Albo wmawiałam sobie, że to zwiad na rzecz Balkonowych Klifów, albo okłamywałam się w inny skuteczny sposób. Ponieważ potrzebowałam kłamstw. Ponieważ Mord stał się bardziej śmiercionośnym drapieżnikiem, a Magiczka powróciła. Zwerbowała nowych rekrutów do swojej uleczonej armii, a wysłannicy Morda odkryli, że ich jadowity oddech dzięki użyciu odpowiedniego katalizatora może wzniecać pożary. Osłabiony Mord stał się nieco mniej imponujący i przerażający, ale to nie położyło kresu jego rządóm. Stał się groźniejszym drapieżcą, przyjmując bezlitosną taktykę. Magiczka już nie miała wyrzutni pocisków, więc odpowiadała zwykłymi kulami, ale wkrótce zabrakło jej amunicji, a wszyscy w mieście odetchnęli z ulgą. Teraz musiała werbować jak największą liczbę żołnierzy, by przytłoczyć Morda.

Zaczęliśmy dostrzegać pewne schematy. Niektórzy ludzie po prostu znikali, a miasto nie znało żadnego wyjaśnienia poza plotkami – opowieściami o niewidzialnym zabójcy powtarzanymi przez nielicznych ocalałych informatorów Wicka oraz garstkę moich znajomych poszukiwaczy. Początkowo te zniknięcia nie wydawały nam się niezwykle. Miasto było skarbem wydanym na pastwę psychopatów. Ludzie stale znikali. Ludzie często umierali.

Jednakże plotki wymieniane ze staruszką spotkaną na rogu ulicy, albo młodym chłopakiem przebywającym w miejscu niedawno opuszczonym przez wysłanników Morda, coraz bardziej nas przekonywały, że dzieje się coś nowego. Mord był straszny, groźny i przerażający, ale ta nowa istota była jak cień. Zmieniała się w to, co pożarła. Niektórzy twierdzili, że może się stać twoim sąsiadem albo przyjacielem. Plotki przypisywały winę różnym źródłóm. Według jednej z teorii była to nowa

taktyka wysłanników, którzy, chcąc wzbudzić jeszcze większy strach, zaczęli grzebać swoje ofiary, zamiast pozostawiać je jako krwawe ostrzeżenie. Inni mówili, że to dzieło pojedynczego wysłannika Morda, bardziej przebiegłego od reszty, który oszalał i zaczął się zachowywać jak seryjny zabójca, a nie jak niedźwiedź.

Według innej teorii Magiczka, ranna i obłąkana po ataku Morda na jej fortecę, nocami przemierzała miasto, dusząc nieostrożnych mieszkańców i ukrywając (albo pożerając) ich ciała. Albo, co gorsza, zaczęła ich wykorzystywać do swoich biotechnologicznych projektów. Ale najstraszniejsza plotka głosiła, że to Firma stała za tymi zniknięciami – że zniszczenie przez Morda górnych pięter budynku Firmy sprawiło, że tajemniczy władcy zamieszkujący niższe poziomy zaczęli porywać ludzi nocami, poddawać ich praniu mózgu i zmieniać w obłąkane biotechnologiczne zombie.

Ja znałam prawdę.

Nie opowiadałam Wickowi o swoich wędrówkach, nawet nie wspominałam, że wychodzę, a kiedy już byłam na zewnątrz, wyobrażałam go sobie na korytarzach Balkonowych Klifów, gdzie wzywa imienia zjawy, ale żadna zjawa się nie ukazuje. Podtrzymywała mnie wątpliwa nadzieja: Za każdym razem, gdy sądziłam, że nasz związek nie przetrwa tego braku zaufania, a Wick i ja w końcu tak bardzo się od siebie oddalimy, że nic nie zdoła nas ponownie połączyć, odkrywaliśmy, że jesteśmy nadspodziewanie elastyczni, a im gorzej mają się sprawy w mieście, tym większy margines braku zaufania dopuszczamy.

Jednakże niezależnie od wszystkich wymówek, zjawa pragnęła spotkać się ze Zrodzonym, nie zważając na ryzyko. A może właśnie ze względu na nie. Chciała zobaczyć się ze Zrodzonym i znaleźć jakiś sposób na naprawienie sytuacji. Była zagubiona i zdawała sobie sprawę, że Wick nigdy by tego nie zrozumiał, dlatego musiała zachować tajemnicę. Była przekonana, że zachowuje się wystarczająco odpowiedzialnie i pomocnie w Balkonowych Klifach, teraz więc może podjąć samotne ryzyko.

Może nie dbała o to, że coś może jej się stać. Może w głębi duszy uważała, że pod nieobecność Zrodzonego Wick nie ma prawa decydować, dokąd ona wędruje.

Żeby to miało jakikolwiek sens i okazało się skuteczne, zjawa musiała przywołać prostsze czasy, wyruszyć w przeszłość, poprzez fragmenty dziennika Zrodzonego, w których Zrodzony przebywał w mieście dłużej, niż to było bezpieczne. Był zagubionym dzieckiem, które wymagało opieki. Dlatego przeszukiwałam tę nocną krainę – Nokturnalia, jak on ją nazywał – stąpając niczym anonimowy duch zrujnowanymi ulicami naszego popieprzonego miasta.

Prowadziłam subtelne i ukradkowe poszukiwania, wykorzystując zdobywane latami umiejętności. Żadna zjawa nie wahałaby się po mieście na oślep, wykrzykując imię Zrodzonego. Żadna zjawa nie podeszłaby do wysłannika Morda i nie zapytała, czy ten widział Zrodzonego, ponieważ zjawa tak naprawdę nie chciała umrzeć – być może tylko zbliżyć się do krawędzi, by całe spektrum barw znów pojawiło się w jej głowie.

Dowód roztropności: kiedyś, w samym sercu dawnej dzielnicy handlowej, zjawa wyjrzała zza rogu i w oddali ujrzała dwóch wysłanników Morda. Rozrywali ludzkie ciało. Zjawa zawróciła i zoczyła z trasy o kilka przecznic, a następnie dokonała kolejnej korekty, gdy na rogu ulicy napotkała grupkę chudych jak szkielety ludzi popijających samogon ze starych butelek. Spoglądali w inną stronę i nic w nich nie stanowiło choćby namiastki rozsądku. Zjawa uznała, że wkrótce także staną się duchami, a wtedy będzie można z nimi porozmawiać.

Zjawa wykorzystywała złość i smutek w inny sposób: angażując się w kontrolowane, bezkrwawe, precyzyjne poszukiwania. Najpierw przeszukała otoczenie Balkonowych Klifów, a potem, zaczynając na południu, wyruszyła na tereny, na które mógł się udać Zrodzony. Serce zjawy szalało z gniewu. A dlaczego? Dlatego że nie była w stanie obronić Zrodzonego przed światem albo świata przed Zrodzonym? A może pod wpływem frustracji wywołanej pragnieniem, by mimo wszystko go odnaleźć?

Kiedy zjawa zanurzyła się w ciemności, poczuła się pewniej,

a poszukiwania nabrały sensu. Cel uległ zmianie i zjawa stała się kronikarzem zniszczonego miasta, które nie mogło wiecznie trwać rozdarte między wrogami a potworami, gdyż w końcu również czekał je los ducha. Jego ciało wciąż rozpaczliwie chwyciło oddech i powracało do życia – nadal zachowywało zdolność odnowy. Ale to musiało się skończyć. Miasto nie mogło bez końca być rozdierane i burzone. W końcu pamięć zbiorowa zawiedzie, a podróżni, jeśli kiedykolwiek się tutaj pojawią, znajdą tylko połąć pustyni, która kiedyś była rozległym oceanem, po mieście zaś nie pozostanie żaden ślad.

Mimo wszystko ludziom wciąż zależało. Podczas swoich wędrówek zjawa dostrzegała ich troskę i ogarniał ją lekkomyślny entuzjazm na myśl o tym, że ludzie wciąż mogą dbać o coś umierającego, martwego.

Mogłabym wykradać się tak z Balkonowych Klifów, dopóki ktoś by mnie nie zabił, gdyby zjawa w końcu nie znalazła tego, czego szukała. Zjawie także może się znudzić przeczesywanie terenów zamieszkałych przez lękliwych i niebezpiecznych, nawet jeśli często potajemnie się skrada i jest sprawną aktorką okrzepłą dzięki smutkowi i nienawiści do siebie samej, która sprawia, że inni niechętnie zadają jej pytania.

Mężczyzna, którego nie widziałam, nieznanomy schowany wewnątrz niszy, przed którą ziemię pokrywało tłuczone szkło i jeszcze gorsze rzeczy, przekazał zjawie wskazówkę.

– Coś dziwnego? Coś dziwnego? Za płonącym niedźwiedziem. Za placem zabaw. Szuka pożywienia. Jak najbardziej znajdziesz coś dziwnego. A potem może tego pożałujesz.

Czy coś dziwnego wystarczy? Zjawa będzie musiała sama się przekonać.

– A może coś zwyczajnego? – Zachichotał dumny ze swojego żartu, gdy zjawa się oddalała. – Na pewno nie wolisz czegoś zwyczajnego?

Spalony niedźwiedź leżał pod wyblakłym różowym łukiem dawno zniszczonego pasażu. Farba obłaziła niczym chora skóra,

ukazując popękane kamienie i kunsztowną siatkę odsłoniętych stalowych belek. Zjawa już wcześniej korzystała z tego charakterystycznego punktu, oddalonego o niecały kilometr od dzielnicy, którą kiedyś zaszczyłali swą obecnością martwi astronauty. Wysłannikowi nie powiodło się zianie ogniem i ogarnęły go płomienie, tak szybko, że martwy niedźwiedź wciąż przysiadł na tylnych łapach, poczerniały i łysy, niczym olbrzymi demoniczny nietoperz albo szczur. Czaszka pozbawiona futra była czarna, lśniąca i wąska, tułów składał się ze stopionych w jedną całość kości oraz uschniętego mięsa i popiołu. Pazury u szerokich stóp robiły oszałamiające wrażenie, groźnie połyskując bielą, i nikt nie chciał dotknąć truchła, w obawie przed pułapką. Za każdym razem, gdy je widywałam, ciało coraz bardziej przypominało posąg: pamiątkę wysłaną z przyszłości, w której Mord niepodzielnie władał miastem, a wszyscy oddawali mu hołd. Przeszlibyśmy od Epoki Firmy do Epoki Niedźwiedzi, chyba że Magiczka postawiłaby na swoim.

Używałam truchła niedźwiedzia jako punktu orientacyjnego, zapuszczając się jeszcze dalej, w pierwszej kolejności wypatrując patroli Magiczki. Po tej stronie było bezpieczniej, na terytorium należącym do Magiczki albo do nikogo, gdy Mord zyskiwał przewagę na zachodzie, a Magiczka zmieniała taktykę.

Tamtej nocy zjawa przecięła ciemny dziedziniec, mijając garstkę szepczących widm, kierując się ku opuszczonemu, dawno splądrowanemu sklepowi, którego szyldu już nie dało się odczytać. Wspięłam się po drabinie na plac budowy. Drabina była nowa i błyszcząca, co sprawiło, że zjawa uśmiechnęła się kpiąco. Tak oczywista pułapka musiała być żartem pozostawionym przez tego, kto zabił bądź pojmał osoby, które ją zastawiły. Zgodnie z oczekiwaniami na dachu nie czekało na mnie nic poza bezpiecznym przejściem i lekkim wiaterek. Księżyc poszedł spać albo umarł, a ja nie mogłam patrzeć na gwiazdy bez wspomnienia Zrodzonego.

Po drugiej stronie znalazłam skamieniałe pozostałości miejskiego parku z gnijącą fontanną pośrodku. Pomimo śladów świadczących o tym, że ktoś próbował wskrzesić to miejsce,

huštawki odkształciły się i zawaliły, a w powietrzu unosiła się woń padliny oraz skwaśniałego szpiku. Jako doświadczona zjawa nie postawiłabym tam stopy, więc prześlizgnęłam się wzdłuż krawędzi, ostrożnie i powoli, jakby pył pokrywający plac zabaw mógł być toksyczny albo jakbym miała do czynienia z ogromnym i przerażającym głębokim basenem pełnym potworów.

Za parkiem natrafiłam na lodowisko albo odsłonięty magazyn i przez chwilę patrzyłam z jego skraju, jak pięcioro poszukiwaczy przegląda bogaty zbiór bezwartościowych odpadków. Przyświecali sobie robaczką świetojańską uwięzioną w klepsydrze i zapewne zamierzali odejść, kiedy skończy się piasek. Ich łup stanowiły brudne foliowe torby wypełnione bezwartościowymi przedmiotami, stare beczki, rozmiękłe i zapleśniałe pudła oraz kilka stert porozrzucanych śmieci, które leżały tutaj już od tak dawna, że ktoś zdążył je przejrzeć, a nawet przestały cuchnąć. Ale każde kolejne pokolenie miało niższe oczekiwania.

Dwie kobiety trochę mnie przypominały, chociaż jedna była łysa, a druga miała ciemniejszą skórę. Nastoletni chłopiec był biały i stał z opuszczoną głową, zupełnie mnie ignorując. Ostatnie dwie osoby były anomaliami: gigantyczny mężczyzna oraz dziewczynka, która nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat. Razem, a jednak osobno, milczący, jeśli nie liczyć pomrukiwań i kiwnięć głową, okrążyliśmy zmumifikowane skorupy martwych psów oraz wyschnięte gówno jakiegoś dużego ssaka, szukając skarbów. Co ciekawe, olbrzymą dostrzegłam na końcu, dlatego zastanawiałam się, czy nie wyszedł z cienia dopiero po moim pojawieniu się.

Nie wiedziałam o tych ludziach niczego poza tym, że jak na poszukiwaczy nie brakowało im honoru lub prawości, ponieważ nie spróbowali mnie zaatakować ani przepędzić, mimo że stanowiłam dla nich konkurencję. Większość popatrzyła na mnie podejrzliwie, a następnie wróciła do poszukiwań, co oznaczało, że moje moce zjawy zapewne słabły. Energicznie skinęłam głową i posłałam im długie spojrzenie, mając nadzieję, że dostrzegą oba gesty w słabym świetle.

Z długiego doświadczenia wiedziałam, że zajmą się także martwymi psami i gównem, ale przy ich rozbieraniu można się solidnie pobrudzić, więc zrobią to dopiero na końcu. Poza tym badanie trupów i gówien wiązało się z uwolnieniem paskudnych woni, od dawna uśpionych i uwięzionych. Wytrawnego poszukiwacza można poznać po stępionym węchu oraz zręcznych dłoniach.

Dziewczynka dostrzegła błysk i znalazła dwie ususzone alkoholowe płotki, które wepchnęła do swojej torby. Mogło je ożywić kilka kropel wody, ale wprawdzie musiała zdecydować, czy nie lepiej ją wypić.

Potężny mężczyzna nie był wystarczająco zwinny do tej gry, więc trzymał się z dala od pozostałych. Dokładnie oczyścili podłogę, zanim on zaczął się schylać nad tymi samymi powierzchniami. Zastanawiałam się, w jaki sposób przetrwał tak długo i dlaczego nie był wychudzony. Może kiedyś dysponował okazałymi zapasami, a kiedy się skończyły, musiał się zająć poszukiwaniem. Może był członkiem jakiejś grupy albo kultu i został wyrzucony albo przepędzony przez wysłanników Morda. Uchodźcy, którzy przybywali do miasta w poszukiwaniu azylu, często ponownie stawali się uchodźcami.

– Mamy kryjówkę – odezwała się dziewczyna, podchodząc do mnie.

Mamy kryjówkę. To prawdziwy cud, że to dziecko jeszcze nie zostało wcielone do armii mutantów Magiczki. Była drobna, ale mocno trzymała się na nogach i nie odwracała wzroku, nawet gdy krążyłam wokół niej jak upiór.

– Mamy jedzenie, zapasy i jesteśmy zainteresowani wymianą.

Może do złożenia tej propozycji skłoniła ją jakaś pozostałość mojej widmowości, a może moja zdecydowana postawa. Albo jakiś inny impuls.

– Zapraszasz mnie jako partnerkę czy jako mięso? – spytałam. Może ja także szukałam czegoś tak prostego jak walka.

Dziewczynka tylko się roześmiała. To był tak czysty i dźwięczny odgłos, że miało się wrażenie, że pochodzi z przeszłości miasta, sprzed Morda, sprzed Firmy. Taki dźwięk może błyskawicznie

sprowadzić drapieżców. Żadni się nie pojawili, więc pewnie dokładnie sprawdziła okolicę.

– Ani jedno, ani drugie – odpowiedziała jedna z kobiet. – Nie jesteśmy tacy.

– Może jestem zainteresowana – odrzekłam.

Zjawa poczuła szarpnięcie, zachęte. Aby stać się włóczęgą, zejść na ulicę i tam zostać, codziennie podejmować ryzyko, tak jak dawniej, zapewniając sobie bezpieczeństwo dzięki wyzbyciu się oczekiwań. Może to najlepszy sposób zostania zjawą.

– To niedaleko – powiedziała dziewczynka.

Doszłam do wniosku, że jest ich przywódczynią. Może dlatego, że była tak wyjątkowo, a może dlatego, że oddziały Magiczki wywyższyły młodość w całym mieście.

– Pójdę, jeśli będę mogła zabrać ze sobą swojego partnera. – Wskazałam potężnego mężczyznę.

Zjawa zauważyła kilka niepokojących rzeczy w potężnym mężczyźnie, głównie to, że jego kształt czasami ulegał zmianie. Nie sposób było to zauważyć w cieniu, chyba że się tego wpatrywało.

– Jego? – zdziwiła się dziewczynka. – On jest z tobą? Myśleliśmy, że jest sam. Dotychczas zawsze był sam. – Wyczułam u niej wahanie spowodowane nie tylko ostrożnością, ale także popełnioną pomyłką: Czyżby złożyła mi propozycję, którą miałam odrzucić?

Potężny mężczyzna stał i wpatrywał się w zjawę, chociaż sam też był duchem.

– On jest ze mną – odrzekłam.

– Jesteś z nią? – spytała go jedna z kobiet.

Potężny mężczyzna pokiwał głową.

Pewnie zastanawiał się, dlaczego miałyby podążać za zjawą i po co ja to robię.

Idąc pośród dawnych zniszczeń – przez poskręcany metal zawalonych maszyn i tunele wykopane w chaosie powywracanych sklepowych wózków i innych wynalazków

pozbawionych celu – dotarliśmy do ich schronienia: dziedzińca osłoniętego połową dachu, wystawionego, a zarazem niewystawionego na działanie żywiołów i atak Morda. Z góry zapewne wyglądało jak poszarpany trójkątny okruch otwartej przestrzeni. Prawdopodobnie liczyli, że Mord nigdy ich nie wytropi, chociaż nawet uziemiony górował nad niemal wszystkim.

Mieli prowizoryczne namioty rozstawione pod płóciennym dachem i wartowników pilnujących pojedynczego wejścia. Miałam nadzieję, że są na tyle mądrzy, by mieć tajne wyjście. Naliczyłam dwanaście osób, głównie dzieci, niezmiennych przez Magiczkę. Wszystkie były szczupłe, a ciemność prześlizgiwała się po nich, zamiast do nich przywierać.

Grupa znalazła imponującą robakowatą biotechnologiczną istotę bez wyraźnie zaznaczonych głowy ani ogona i ją podpaliła. Stworzeniu najwyraźniej to nie przeszkadzało, gdyż, płonąc, wydawało z siebie zadowolone mruczenie. Charakteryzował je hipnotyzujący powab. Wyglądało jakby tańczyło, żywy kawałek ciała pośród ognia, ciemnopomarańczowy z nierównymi czerwonymi i białymi liniami wzdłuż krawędzi. Wydzielало tak dużo ciepła, że podgrzewali nad nim jedzenie, a w zamian chciało tylko, by bez końca je podpalać.

Patrząc na popiół i stertę świeżych odpadków, szacowałam, że przebywają w tym miejscu od trzech nocy, a jeśli zostaną na kolejne trzy, staną się przewidywalni i wszyscy umrą. Schwyta ich patrol Magiczki albo wywęszy któryś z wysłanników Morda. Ale zjawie bardzo zależało na tym, by przetrwali.

Czworo zgromadziło się wokół ognia, a potężny mężczyzna i ja zajęliśmy miejsca po przeciwnej stronie. Mężczyzna kucnął i posyłał mi szybkie spojrzenia, jakby się denerwował. Czym miałyby się denerwować?

– Co dla nas masz? – spytała dziewczynka. Nie podobał mi się jej uśmiech, jakby trzymała asa w rękawie.

– Zależy od tego, co możecie zaproponować... Na przykład to? – Wskazałam wijącą się płonąca istotę.

Dziewczynka roześmiała się, a ja wbrew sobie zachwyciłam się

tym dźwiękiem. Kiedy spoglądała na mnie nad płomieniami, wyglądała jak wróżka, a biotechnologiczna istota była żywiołakiem ognia, którego okiełznała. W porównaniu z nią zjawia czuła się zmęczona i stara.

– Potrzebujemy go – odpowiedziała z niewinnością, która w jej wieku musiała być fałszywa.

Ale współczułam jej, ponieważ z pewnością była zdenerwowana, a pozostała ósemka czekała w cieniu, by się na nas rzucić, gdybyśmy okazali się niebezpieczni.

– Mam coś takiego – powiedziałam i położyłam na swojej dłoni bojowego żuka, zbliżając go do ognia, żeby mogła się przyjrzeć.

Mój masywny przyjaciel się cofnął, ale położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Nie przejmuj się – powiedziałam. – To nie na ciebie.

Bojowy żuk widział lepsze dni. Połyskujący pancerz był popękany, a wewnętrzne skrzydła nie chciały się złożyć i wystawały z tyłu, ale wciąż potrafił się wwiercić w ciało i sprawić kłopoty intruzowi lub wrogowi. Po prostu nie mógł zbyt daleko polecieć.

– Dobry do obrony albo walki na krótki dystans – powiedziałam dziewczynce.

– Ile możesz zdobyć? – spytała.

– To jedyna sztuka. Ale są jadalne, a poza tym mogę dorzucić dwie alkoholowe płotki, w zależności od tego, czym dysponujecie. Może nawet więcej niż dwie.

Odezwał się zastępca dziewczynki, chłopiec o rozbieganym spojrzeniu.

– Twój przyjaciel nic nie mówi. Dlaczego milczy?

– Wypadek – odparłam, spoglądając na mojego przyjaciela z uśmiechem. – Od tamtej pory prawie się nie odzywa.

– Działa mi na nerwy – stwierdził chłopiec, nie zdając sobie sprawy, że sam denerwuje dziewczynkę.

– Powinien.

Przez dłuższy czas wpatrywałam się w chłopca, a on we mnie, podczas gdy mój przyjaciel starał się wyglądać niepozornie i wbijał wzrok w ziemię.

– Więc co możecie mi zaproponować? – spytałam, ponownie skupiając się na dziewczynce.

Dziewczynka skinęła na chłopca, jednocześnie spoglądając na niego spode łba, a on przywołał kogoś innego.

Mieli do zaproponowanie mniej więcej to, czego się spodziewałam. Przyprawdzili najdrobniejszą i najmłodszą osobę ze swojego grona. Chłopiec miał osiem albo dziewięć lat, był ogolony na łyso dla ochrony przed kleszczami i wszami, miał ciemnobrązową skórę oraz pozostałości dziecięcego tłuszczu, ale oczy starego człowieka. A widząc jego zaciśnięte zęby i ręce skrzyżowane na poszarpanej koszuli, domyśliłam się, że jest wystraszony.

– Za bojowego żuka i płotki możesz dostać Teemsa – odezwała się dziewczynka.

– Po co mi Teems?

Ton mojego głosu musiał zabrzmieć groźnie, a może odpowiedziałam za szybko, w każdym razie dziewczynka ostrożnie dobierała słowa.

– Ponieważ znasz Magiczkę. Ponieważ jeśli zaprowadzisz Teemsa do Magiczki, dostaniesz cztery albo pięć żuków.

– Dlaczego uważasz, że znam Magiczkę?

– Ponieważ jesteś poszukiwaczką Rachel. Pracujesz dla Wicka, a on zna Magiczkę.

Złe myśli w mojej głowie zaczęły się wić i mnożyć. Próbowałam je wrzucić w płomień podsycane przez biotechnologiczną istotę, ale bezskutecznie.

Mała dziewczynka, która po raz pierwszy zobaczyła mnie przed kilkoma minutami, na wpół ukrytą w ciemności, oszacowała mnie i uznała, że będę gotowa sprzedać Magiczce człowieka za biotechnologię...

– Gdzie tutaj jest haczyk? – spytałam. – Oddajecie Teemsa za jednego żuka i dwie płotki?

– Oni mnie nie oddają – odezwał się Teems, wciąż stojąc z założonymi rękami. Miał surową minę, przez którą jego twarz wyglądała na wychudzoną. – Chcę odejść. Powiedziałem, że to zrobię.

Oczywiście rozumiałam, co się dzieje. Grupa nie była w stanie znaleźć wystarczająco dużo jedzenia i wody, by przeżyć, a Teems zapewne był nie tylko najmłodszym, ale także najmniej uzdolnionym poszukiwaczem, najłabszym ogniwem. Jego utrata to jedna mniej gęba do wykarmienia.

Teems w tym układzie miał nie tyle zostać uwolniony, by samotnie radzić sobie w niebezpiecznym miejscu, ile przekazany pod czyjąś opiekę. A on chciał być panem swojego losu, więc pisał taką historię swojego życia, w której miał kontrolę i sam pragnął tej zmiany.

Wiedziałam, że mogłabym zdobyć Teemsa za darmo. Nie musiałabym nawet oddawać żuka i dwóch płotek. Dziewczynka chciała się go pozbyć, zależało jej, by odszedł. Ale Teems będzie musiał poradzić sobie w inny sposób.

Podaliśmy dziewczynce żuka, a ona ostrożnie podniosła go z mojej dłoni.

- Nie chcę Teemsa - oznajmiłam - ale możesz zatrzymać żuka, jeśli zaopiekujesz się Teemsem jeszcze przez miesiąc.

Zarówno Teems, jak i zastępca dziewczynki patrzyli na mnie z mieszaniną nadziei, oszołomienia i rozczarowania. Dziewczynka starała się ustalić, w co gram i co to oznacza dla niej.

- Nie znam Magiczki i nie jestem tą Rachel - rzekła zjawa. - Zresztą nie chcielibyście znać Rachel ani Magiczki. Poza tym nie powinniście zapraszać nieznajomych do swojego obozu, chociaż jest taki ładny, a wy chcecie się nim pochwalić.

Dziewczynka i ja wstałyśmy, Teems się wycofał, a zastępca sprawiał wrażenie niepewnego, podczas gdy ósemka w cieniu nieco się zbliżyła.

- Zrodzony, powinieneś im pokazać swój prawdziwy wygląd. - Popatrzyłam na mężczyznę, wyczuwając, że dziewczynka zastanawia się, czy wydać pozostałym rozkaz do ataku. Wyraz jej twarzy trudno było nazwać łaskawym czy wyrozumiałym.

Dopóki nie zobaczyła Zrodzonego w pełnej krasie, gdyż ten po chwili zmienił się z masywnego mężczyzny w ogromną jak smok wersję ich płonącej biotechnologicznej istoty, potężnego

rozpalonego ślimaka, który górował nad ich namiotami i pluł ogniem, a jako że Zrodzony zawsze lubił się popisywać, jego wersja miała głowę i świecące oczy. Zrzucenie przebrania było dla niego łatwe jak obranie banana.

Wszyscy – dziewczynka, jej zastępca, Teems, pozostali – cofnęli się pod ściany otaczające dziedziniec i po początkowym szoku stali milczący i nieruchomi, jakby dzięki temu mogli się przed nami ukryć. Jednakże na ich twarzach, dotkniętych przez blask płomieni Zrodzonego, malowały się napięcie i przerażenie, świadomość, że miasto wciąż skrywa tajemnice i niespodzianki, które mogą ich zahipnotyzować, odrzec ze złudzenia, że dysponują instynktem przetrwania.

Dziewczynka podała mi żuka.

– Możesz go wziąć. Możesz zabrać wszystko, co chcesz, jeśli teraz odejdziesz.

– Zachowaj go – odrzekłam. – I zachowaj Teemsa. Nie idźcie za nami. Nigdy więcej nie przyprowadzajcie nieznanym do swojego schronienia. Nie zostawajcie tutaj na noc. Nie szukajcie mnie. Nie szukajcie Magiczki.

Potem Zrodzony zmniejszył się i przygasł, a ja wyprowadziłam go z tego miejsca.

Poprowadziłam Zrodzonego obok placu zabaw na dach sklepu, kilka przecznic od spalonego niedźwiedzia. Zaczął padać śnieg, ale płatki były szare: popiół nadlatujący z zachodu, gdzie wysłannicy Morda podłożyli ogień pod fortece Magiczki. Nie był gorący. Był nijaki. Nic sypiące się z czarnego nocnego nieba.

Tam na dachu, gdzie nikt go nie widział, Zrodzony wreszcie się odprężył, jak ktoś, kto długo wciągał brzuch. Z ulgą rozplynał się po podłożu, tworząc gruby dywan pokryty łagodnymi neonami oczu.

Skoro znalazł się przede mną, zjawa odeszła, gdyż potrzeba odnalezienia Zrodzonego była nieodłączną częścią jej świata. Zadałam mu pytanie, ale nie pamiętam jakie, nawet nie wiem, czy było istotne. Pewnie nie.

– Mogę wrócić do domu? – spytał Zrodzony, ignorując moje pytanie. – Wick mi przebaczył?

– Nie. – Wick mu nie przebaczył. Ja też nie.

– Więc po co tutaj przyszedłeś?

Żeby zobaczyć, jak żyje. Upewnić się, że nic mu się nie stało. Z powodu jakiejś więzi, odwiecznego uczucia. Skłonności do samookaleczenia. Odruchowego drgania ogona martwej jaszczurki.

– Widziałeś dzisiaj coś nowego? – spytałam.

Kształt przede mną zawrzał, spienił się, pofałdował na krawędziach, w końcu pod wpływem poczucia solidarności wobec człowieczeństwa znów zmienił się w potężnego mężczyznę, którego znała dziewczynka z jej grupą.

– Czy to początek jakiejś lekcji, Rachel? Zmusiłaś mnie do odejścia. Ty i Wick. Teraz nie masz prawa mówić mi, co mam robić. Ani zmieniać mnie w... pokaz fajerwerków.

– Widzisz, jak żyją ludzie? Nie pogłębiaj ich nieszczęścia.

– Nigdy wcześniej nie byłem w ich obozie. Ochroniłbym ich. Spróbowałbym.

– Oni wszyscy są Rachel – odrzekłam. – Tamta dziewczynka. Pozostali poszukiwacze.

– Nie skrzywdziłbym jej. Nie skrzywdziłem jej.

– Ale dołączyłeś do nich. Już wcześniej wyruszałeś z nimi na poszukiwania. Jak myślisz, jak to by się skończyło? – Czy ja też wystawiłam tę dziewczynkę na niebezpieczeństwo, chociaż usiłowałam jej pomóc? Pułapki, pułapki.

– Starałem się dopasować – odparł Zrodzony z wyrzutem. – Podjąłem się uczciwej próby. Aby pokazać ci, że potrafisz.

Podjąłem się uczciwej próby. Zrodzony nie jest mieszaniną różnych istot, ale jego mowa zawsze będzie pomieszana. Coś mu odebrałam i nie dałam nic użytecznego w zamian. Teraz próbuje wypełnić tę pustkę.

– Kim on był? Twoje ciało?

– Zwykłym poszukiwaczem, jak ty.

– Co z nim zrobiłeś?

– Nic. Nic specjalnego. Kiedy go spotkałem, był umierający. Nie

miał rodziny. Nie miał przyjaciół.

– Zabiłeś go?

– Wszystko umiera, Rachel. On już umierał. Wolałabyś, żebym teraz się w niego nie zmieniał? Sprawiasz wrażenie niezadowolonej.

– Jak bardzo był umierający?

– Całkiem mocno.

– Nie przestałeś zabijać.

– Był całkiem mocno umierający – powtórzył Zrodzony.

Nic nie odpowiedziałam. Nie poruszałam się. Zjawa powracała, ponieważ żywa, oddychająca osoba nie potrafiła znaleźć wyjścia. Wciąż zależało mi na Zrodzonym, obchodziło mnie, co się z nim stanie, ale zarazem poczułam na plecach zimny dreszcz. Myślałam o tym, jakimi mitami może obrosnąć postać Zrodzonego, tak jak kiedyś Mord. Zastanawiałam się, jak bardzo są do siebie podobni.

Zrodzony był zbyt inteligentny, by nie wyczytać tych myśli z mojej twarzy, i zbyt naiwny, by się nie odezwać.

– Mam pomysł, Rachel. Jeszcze nie odmawiaj. Tylko posłuchaj.

– Zrodzony...

– Staram się zabijać tylko złych ludzi, Rachel, oraz tych, którzy już umierają. Coraz lepiej nad tym panuję. W końcu nad tym zapanuję. A jeśli uda mi się przestać, może będę mógł wrócić do Balkonowych Klifów. Może ty i Wick mi pozwolicie? Mógłbym sprzątać, budować pułapki, może nawet pomagać Wickowi w pracy z biotechnologicznymi istotami. Mógłbym teraz z tobą wrócić i spróbować. Obiecuję, że będę się dobrze zachowywał, Rachel.

Teraz to ja go zignorowałam.

– Nie możesz więcej stosować tego przebrania. Zostałeś zdemaskowany. Ktoś mi o tobie powiedział. Nie zdołałeś się dopasować. Ludzie zaczęli domyślać się prawdy.

– Dobrze, Rachel – odrzekł, ale na jego ponurej twarzy pojawiło się zadowolenie, jakbym się na coś zgodziła. Może wystarczyło mu, że go odszukałam.

Wkrótce stanął przede mną Zrodzony w postaci podróżnej, ale

znacznie większy niż kiedyś, a ja pożałowałam, że w ogóle wyszłam z domu, i zapragnęłam wrócić, chociaż wiedziałam, że gdy tylko się tam znajdę, znów zacznę myśleć o mieście i rozmowie ze Zrodzonym.

– Jeszcze nie możesz wrócić – odrzekłam i od razu pomyślałam, że powinnam być bardziej stanowcza i powiedzieć: „Nigdy. Nigdy nie będziesz mógł wrócić”. Dlaczego nie potrafiłam tego zrobić? Co mnie powstrzymywało? Dlaczego nie umiałam stłumić tej ostatniej iskry miłości wobec niego? Ludzkiego współczucia? Litości?

Zrodzony milczał i wyraźnie oklapł, a popiół wciąż spadał na nas z nieba. Roztarłam go na koszuli, plamiąc ją na szaro.

– Rachel... czy ja kiedyś umrę?

– Tak. Wszystko umiera. – Już znał odpowiedź. Hasło i odzew. Robiliśmy to wcześniej.

– A ludzie w moim wnętrzu? Zwierzęta?

– Już nie żyją – odparłam. Niezależnie od tego, jak wiele razy to powtarzałam, Zrodzony wciąż nie rozumiał.

– Nie, wcale nie umarli, Rachel. Zabiłem ich, ale nie umarli. Mylisz się. Myślę, że nigdy nie umrą.

– Umarli pod tym względem, który jest dla nich najważniejszy. – Ale uważałam, że kiedy Zrodzony mówi o „umieraniu” i „zabijaniu”, ma na myśli coś innego niż ja. Dla niego, na jakimś poziomie, którego nigdy nie będę w stanie pojąć, śmierć nie istniała i nic nie umierało, a zatem staliśmy po przeciwnych stronach rozległej przepaści niezrozumienia. Ponieważ czym jest człowiek bez śmierci?

– Wciąż lubisz jaszczurki? – spytałam po chwili milczenia. Nie było powodu zadręczać go całą resztą.

Zrodzony jakby zaświergotał.

– Wciąż lubię jaszczurki. Ale one mnie nie lubią.

– Ciekawe dlaczego.

– Ale teraz bardziej lubię wysłanników Morda – dodał Zrodzony. – Poluję na nich, ponieważ chcą cię zabić. Niełatwo ich zabić, ale staram się. Gdyby wszyscy zniknęli, Balkonowe Klify znów byłyby bezpieczne. Nie musiałyby się ukrywać. Może

mógłbym częściej cię widywać i moglibyśmy częściej rozmawiać. Mogłabyś schodzić ze mną nad rzekę. Chodzić ze mną w wiele miejsc.

Zrodzony próbował znaleźć tylne wejście prowadzące do Balkonowych Klifów.

– Niebezpiecznie jest polować na wysłanników. Nie powinienes tego robić. Jest ich zbyt wielu.

Musiałam zignorować resztę jego dążeń. Musiałam. Musiałam być silna i zdusić w zarodku pomysł potajemnych schadzek, prowadzenia podwójnego życia za plecami Wicka. Jeśli pozostanę nieugięta, może to spotkanie mnie uodporni, uzdrowi.

– Muszę to robić – rzekł Zrodzony. – Muszę. Wszystko będzie lepiej. Zobaczysz. Zobaczysz. – Pobudzony, skupiony tylko na jednym, potwór dbający o moje dobre samopoczucie.

– Muszę już iść – oznajmiłam.

– Nie możesz zostać dłużej? Tylko trochę dłużej? Proszę?

– Chciałabym, ale nie mogę.

Zrodzony pokiwał głową w sposób, w jaki tylko on potrafił to robić.

– Wiem. Ale tak dobrze było znów cię zobaczyć, Rachel. Tak dobrze. Tak dobrze.

Wyciągnął mackę, a ja uścisnęłam ją jak dłoń, tylko przez chwilę się wahając. Była gładka i miękka. Jak ciało osoby.

– Nie porzucę cię, Rachel – zapewnił. – Sądzisz, że mnie porzuciłaś, ale ja wiem, że tak nie jest. Nie naprawdę. A ja cię nie porzucę. Nigdy. Przekonasz się. Zrozumiesz.

Zjawa rozpadała się na kawałki, pragnąc upodobnić się do mgły albo rosy albo czegokolwiek innego, byle nie być istotą zdolną przyjąć to, co właśnie proponował Zrodzony.

Potem Zrodzony zmienił kształt na coś olbrzymiego i drżącego, a zarazem długiego, niskiego i opływowego niczym wąż. Oddalił się z tak przerażającą szybkością, że wyglądał jak gruba rozmazana czarna linia przemierzająca zygzakami dach, która po chwili zniknęła za krawędzią.

„Nie zrobię niczego ludziom, których dzisiaj widziałas”, obiecał. Ale wiedziałam, że pałac pamięci Zrodzonego jest rozległy,

głęboki i pełen czaszek.

*

Przy martwym, spalonym niedźwiedziu ktoś na mnie czekał. Nigdy nie widziałam, aby świecił tak jasno, w ciemności i deszczu popiołu. Był tak wysoki i wyprostowany, że całkowicie przyćmiewał niedźwiedzia. Może nigdy wcześniej nie widziałam go takim, jaki jest naprawdę. Jego skóra jaśniała, a błogie, stanowcze i spustoszone oblicze wyglądało jak coś ocalonego z przeszłości. Jak podobizna ze starego obrazu, zbyt idealnie oświetlona, by była prawdziwa.

– Wick...

– Nie możesz nigdy więcej tego robić, Rachel. Nie możesz mi tego robić.

Z jego twarzy wyczytałam potężne poczucie straty, urazy i zdrady; jeszcze nigdy nie widziałam w tym mieście kogoś tak obnażonego. Wiedziałam, że wszystko widział, słuchał mojej rozmowy ze Zrodzonym, i nie mogłam tego znieść. Było mi wstyd. Nie czułam się godna.

Ale bardzo chciałam. Chciałam być godna tego, że Wick tak jasno świeci, dla mnie.

Stałam przed nim i wytrzymałam jego spojrzenie, tak jak dziewczynka wytrzymała mój wzrok na dziedzińcu. Pokiwałam głową. Nigdy więcej tego nie zrobię. Już nigdy nie odszukam Zrodzonego, nieważne, co się stanie. Niezależnie od tego, jakie to będzie bolesne.

– Banalna wyrocznia – powiedziałam, żeby dać mu znak, że jestem prawdziwa.

Miałam wrażenie, że całe jego ciało wibruje pod wpływem głębokich emocji, które odczuwał. Był taki sztywny i zdecydowany. Stał na krawędzi i musiał podjąć decyzję. Sparaliżowany wątpliwościami, które promieniowały na zewnątrz, ale także do wewnątrz, jakby wciąż coś ukrywał.

– Węgorz z ogrodu botanicznego – odpowiedział w końcu.

Był taki piękny, zbuntowany i taki gotowy, że miałam wrażenie, że tak naprawdę nigdy wcześniej go nie widziałam, a nawet

teraz, gdy myślę o swoim droгим Wicku, wyobrażam go sobie, jak stoi obok martwego niedźwiedzia, zupełnie jakby sam go pokonał, z oczami jak zielono-złote diamenty, wyprostowany jak człowiek, który wie, że może wszystko stracić, ale i tak zamierza podjąć ryzyko.

Jak straciliśmy to, o co walczyliśmy

Dałam schronienie zabójcy i nie potrafiłam się z tego otrząsnąć, tylko wciąż obracałam tę myśl w głowie, próbując pozbyć się jej śladów. Zrodzony nie był zabójcą w takim sensie, w jakim ja byłam zabójczynią, ale kimś, kto uśmiercał niewinnych i próbował nazywać ich winnymi. Sądziłam, że kieruję się życzliwością i uczę Zrodzonego, jak być dobrym. Ale czy można sprawić, by wilk pożarował zabicia swojej ofiary? Czy orzeł może poczuć się winny, że lata? Jedynym ratunkiem przed poczuciem winy, jedyną ideą, którą mogłam trzymać w dłoniach niczym malutkie i lśniące znalezisko, które może się okazać bezwartościowe, było przekonanie, że nie potrafiłam pozbyć się swoich uczuć, ponieważ Zrodzony znaczył coś więcej. Że wciąż w niego wierzyłam, ponieważ intuicja podpowiadała mi coś, czego nie wiedziała głowa.

Może to była ułuda, może się myliłam, ale czułam to nawet jako zjawę. Nawet jako zjawę stojącą naprzeciwko Zrodzonego w tej opustoszałej części miasta wciąż byłam przekonana, że Zrodzony jest porządną osobą dotkniętą straszliwą przypadłością. Chociaż próbowałam porzucić te myśli i uwierzyć, że jest złym i podłym psychopata, nie byłam w stanie tego uczynić.

Wróciłam do Balkonowych Klifów razem z Wickiem, już nie jako zjawę. Wróciłam do domu, gdzie czekał na mnie okrucieństwo radosnego czasu poprzedzający koniec i utratę wszystkiego. Wick mógł znów się ode mnie oddalić albo ja od niego, ale w ciągu tych kilku dni poznałam go z intensywnością, jaka nie mogła trwać bez wypalenia nas obojga.

W jego mieszkaniu zdarłam z siebie zakurzone, brudne ubrania, a potem jego zakurzone, brudne ubrania i pieprzyliśmy się z furją i zapamiętaniem, które przyćmiły wszystko inne. Nie chciałam, żeby był delikatny, a on sam też nie chciał taki być, więc braliśmy się raz za razem, aż byliśmy tak obolali i zmęczeni, że mogliśmy

spać bez marzeń i koszmarów – byliśmy wyczerpani, głodni i nie rozwiążaliśmy żadnych problemów, ale to nie miało znaczenia.

Później leżeliśmy i rozmawialiśmy, starając się być jak najbardziej szczerzy. Opowiedziałam mu o poszukiwaczach, których spotkałam, i o wysłannikach Morda na rozstajach dróg, a także o tym, jak odrętwiała i stara czułam się bez Zrodzonego w Balkonowych Klifach. Nie mówiłam o tym po to, by zranić Wicka, ale by wypuścić potwory ze swojego wnętrza i spędzić choć jedną noc bez nich. Zesztywniał obok mnie, gdy słuchał mojej opowieści, a potem znów się rozluźnił, a ja poczułam olbrzymią ulgę w tym, co zwyczajne.

Potem umięśnione ręce otoczyły moje ramiona oraz biodra i, zupełnie jakbyśmy byli uzależnieni, sen pomieszał się z jawą, a dłonie Wicka pracowicie błąkały się dokładnie tam, gdzie ich chciałam i potrzebowałam. Ponownie stwardniał i kochaliśmy się powoli, a ja cieszyłam się uczuciem rozproszenia i rozbicia na drobne kawałki, które były wszędzie i nigdzie.

Przez te kilka dni było prawie normalnie.

Czwartej nocy po moim powrocie przyśniły mi się liski podążające za Zrodzonym. Szły wyschniętym dnem oceanu poza miastem. Bawiły się w piasku, poszczekiwały i popiskiwały, kolejno wtapiając się w tło, by pojawić się gdzie indziej, jakby to nie był kamuflaż, tylko teleportacja. Potem jedna z lisiczek przystanęła i popatrzyła na mnie, a ja wiedziałam, że to ta sama, którą spotkałam przy grobach astronautów.

Obudziłam się kilka godzin później, czując na twarzy deszcz meteorytów. Zobaczyłam, że gasną świetliki Wicka, nie pojedynczo, ale całymi rojami, zaciemniając duże połacie sufitu, a ich martwe ciała spadają na łóżko.

Zbudziłam Wicka szarpnięciem.

– Wick... musimy się zbierać. Natychmiast.

Popatrzył na sufit nieprzytomnym wzrokiem, a następnie sięgnął po swoje spodnie i już po chwili gorączkowo się ubieraliśmy.

Pozostało trzydzieści światełek, potem dwadzieścia, potem dziesięć, aż w końcu otoczyła nas ciemność, nie licząc bladego blasku Wicka i jego pozostałych robaków. Poślanie pokrywały małe ciemne ciała.

– Skąd nadchodzi? – spytałam, chociaż znałam odpowiedź. Nie wiedzieliśmy tylko, kim są intruzi.

– Zewsząd – odrzekł Wick z nienaturalnym spokojem, wyciągając nasze plecaki z wyposażeniem awaryjnym.

Moje serce było jak bijąca pałka próbująca wydostać się z piersi. Mieliśmy wszystko, czego potrzebowaliśmy do przetrwania. Znaliśmy drogę ucieczki. Minęły może dwie minuty od chwili, gdy zauważyłam umierające światełka.

Wick otworzył na oścież drzwi swojego mieszkania.

Na korytarzu było pełno niedźwiedzi.

Ściana szorstkiego, matowego futra, któremu głębi dodawały cienie. Z boku potężny łeb jednego z wysłanników Morda i zad kolejnego blokujący nam wyjście. Woń nieopanowanej dzikości wlała się do mieszkania: krew, błoto, gówno i gnijące mięso. Nuta liści i porostów, ostry i gorzki posmak oddechu Morda, który wypełnił korytarz, stając się naszym nowym powietrzem.

Pół sekundy później zatrzasnęłam drzwi.

Po dwóch sekundach Wick umocnił je za pomocą ostatnich żuków, po czterech sekundach wepchnął mnie do szybu wentylacyjnego, po pięciu ja go tam wciągnęłam.

Po dziesięciu sekundach niedźwiedzie wpadły do mieszkania i je zniszczyły. Kiedy zaczęły bić łapami w wejście do szybu wentylacyjnego, Wick przyciągnął kolana do piersi, a gdy ruszyłam naprzód, niemal wszedł mi na głowę, by uciec przed pazurami i łapami.

Czołgaliśmy się tuż ponad rykami i straszliwym smrodem. Za sobą słyszeliśmy huk i odgłos rozłupywania, gdy niedźwiedzia łapa przebijała ściany szybu wentylacyjnego. Po chwili dołączyła do niej kolejna, a potem następne, rozdzierając sufit, zbliżając się do nas, podczas gdy inne próbowały przewidzieć nasze ruchy

i nas wyprzedzić.

Skręciliśmy na rozwidleniu, nie odzywając się ani słowem, czując, że nasze brzuchy są wystawione na atak. Czołgaliśmy się jak najszybciej, ponieważ szyb wciąż biegł nad korytarzem. Wystarczył jeden dobrze wymierzony cios z dołu, by sufit runął, a nasze wnętrza wylały się w powodzi krwi.

Oboje byliśmy jak ślepe, nieme istoty, zanurzone w dojmującej panice, która opadała na nas jak ciemna ściana, a zarazem napełniała nas wielkim spokojem. Plecaki zostały w mieszkaniu. Nasze umysły również zostały na dole, gdzie karmiły się nimi niedźwiedzie. Uciekły tylko nasze ciała, które wciąż odruchowo brnęły tunelem, chociaż niedługo musiały się zatrzymać. Pragnęliśmy uciec, uciec, uciec, więc parliśmy naprzód, nie zważając na ból obijanych piszczeli i zdzieranej skóry. Czuliśmy bezmyślną, wszechogarniającą żądzę ucieczki z miejsca, którego tak długo broniliśmy, i nic innego się dla nas nie liczyło, na nic innego nie zwracaliśmy uwagi.

Początkowo znajdowałam się przed Wickiem, niechcący kopiąc go po twarzy, ale potem mnie wyprzedził i sama musiałam znosić jego kopniaki, jednak nie czułam bólu, jeszcze nie. Ból pojawił się później, wypełniając całe nasze ciała, jakbyśmy byli rybami miotającymi się w sieci, do połowy wydobytymi z wody, które nie mogły ani się udusić, ani żyć.

W końcu ostry ból zakrwawionej dłoni szorującej o żwir i nierówne kamyki ocucił mnie ze zwierzęcego ośpienia.

– Wick! Stój! – syknęłam, ale on mnie nie usłyszał. – Wick! – Wciąż mnie nie słyszał.

Chwyciłam go za stopę, przez chwilę się z nim zмагаłam, aż w końcu przyciągnęłam go do siebie, unieruchomiłam mu ręce i poczułam, jak jego ciałem wstrząsa dreszcz, po którym dał za wygraną i zwiotczał.

– Posłuchaj – szepnęłam mu do ucha.

Nasłuchiwaliliśmy. W oddali słyszeliśmy metaliczny ryk niedźwiedzi, który docierał do nas za pośrednictwem kanału wentylacyjnego, a także niewyraźne głuchoe odgłosy kopania.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Wick.

– Nie mam pojęcia. – Skoro on nie wiedział, to ja tym bardziej. Widziałam tylko półtora metra kanału przed i za sobą.

– Zniszczyli wszystko. Niszczą wszystko – wyszeptał Wick z bólem, który przenikał nie tylko jego ciało.

Atak nadszedł z wielu stron jednocześnie, uruchomił wszystkie nasze pułapki i zniszczył biotechnologiczne istoty, a łatwość, z jaką te linie zostały przerwane, zaszokowała nas równie mocno jak sama inwazja. Złożona mapa spłonęła bez śladu. Z trudem myśleliśmy. Z trudem oddychaliśmy. Nie potrafiliśmy sformułować pytań, które miały spaść na nas później, pytań o przyczyny i metody.

Oboje wiedzieliśmy, że wciąż grozi nam niebezpieczeństwo.

– Jak się wydostaniemy? Na pewno obserwują wszystkie wyjścia.

– Mogą nie wiedzieć o jednej drodze. Prowadzi na południe.

– Co takiego? – Wick popatrzył na mnie, jakbym bełkotała bez sensu.

Uśmiechnęłam się. Nie tylko on miał tajemnice.

– Poprosiłam Zrodzonego, żeby wykopał tunel w starych mieszkaniach, kiedy robiliśmy dziury w ścianach i szukaliśmy zapasów.

Błysk nadziei w oczach Wicka, a potem grymas.

– Ale skoro Zrodzony o nim wie, to oni też.

– Zrodzony nas nie zdradził – odparłam. – Może Magiczka albo ktoś inny, ale nie Zrodzony.

Wick miał ochotę zaprotestować i wtedy ogarnęły go kolejne wątpliwości.

– Dlaczego na południe?

Na tym polegał problem. Przez ponad miesiąc nie używaliśmy południowych wyjść. Zgodnie z przesuwanymi się liniami frontu w wojnie między Magiczką a Mordem południe było krainą Morda. Skorzystanie z południowego wyjścia oznaczało, że znajdziemy się za liniami wroga i będziemy musieli przebić się na północ na bardziej neutralne terytorium. A to oznaczało napotkanie kolejnych wysłanników Morda.

– Jaki mamy wybór, Wick? Żadnego.

– Nie mamy zapasów – zauważył Wick. – Moglibyśmy spróbować zatoczyć krąg, wślizgnąć się do mojego laboratorium i zabrać kilka rzeczy.

– Zabiją nas. Oni nie odejdą. Zginiemy, jeśli się nie wydostaniemy.

Podczas naszej rozmowy odgłosy niedźwiedzi przybliżyły się i stały liczniejsze, jakby wysłannicy stopniowo zajmowali wszystkie pomieszczenia i zakątki.

– Jest bezpieczne miejsce na południu – zmienił zdanie Wick. – Ukryty zbiornik. Niewielkie pomieszczenie obok studni.

– Zatem właśnie tam pójdziemy – postanowiłam. – Nie mamy wyjścia.

To brzmiało jak ostatnia linia obrony, ale trudno. Wkrótce się przekonamy, czy Zrodzony nas zdradził. Pomyślałam o tamtej dwunastoletniej dziewczynce. Przypomniałam sobie błogo płonąca biotechnologiczną istotę.

Pocałowałam Wicka w usta i wbiłam w niego wzrok.

– Żyjemy. Wciąż żyjemy.

Nie wiedziałam, jak zinterpretować jego ostrożne spojrzenie. Nie zdawałam sobie sprawy, że opuszczenie Balkonowych Klifów może być dla niego wyrokiem śmierci.

*

Droga była wolna. Udało nam się odnaleźć tajne wyjście, chociaż wciąż słyszeliśmy, jak niedźwiedzie plądrują nasz dom, ryczą i pokrzykują „Drrk! Drrk!”, zbyt głośno, byśmy mogli zapomnieć o strachu. Ale ja nie chciałam przestać się bać.

Ocalenie wymagało przejścia przez serię dużych otworów, które Zrodzony wybił w domach dawno zmarłych ludzi. Nieregularne otwory były wystarczająco duże, by przecisnąć się przez nie w zgarbionej pozycji albo na czworakach. Wiele z nich wybito w jednej linii, mogliśmy więc zaglądać do kolejnych pomieszczeń, wypatrując zasadzek. Inne zasłoniłam, aby utrudnić życie intruzom. Dlatego czasami musieliśmy usunąć z drogi stół albo rozbitą komodę. Niektóre mysie dziury prowadziły nas w przeciwnym kierunku. Droga była kręta,

ponieważ zdecydowałam się używać tylko tych obszarów, które nie znajdowały się na wykresie Wicka.

Przechodzenie przez kolejne otwory – ziejące pustką, wywołujące dreszcz niepewności – oznaczało konieczność wsuwania głów w poszarpane gilotyny i wystawiania się na pastwę zła, które mogło czaić się po drugiej stronie.

Ale odwiedzane pomieszczenia sprawiały, że uświadamialiśmy sobie, co tracimy i pozostawiamy. Czuliśmy ciężar osobistej historii i ślady tak wielu dawnych istnień. Bywałam w tych pokojach – mimo ich liczby wciąż pamiętałam, co kryło się w każdym z nich, chociaż nie były to przedmioty pochodzące z moich wypraw. Do pewnego stopnia byłam przygotowana. Ale Wick dużo gorzej znosił przebywanie pośród wspomnień innych ludzi, gdy cierpliwie przygotowywaliśmy się do ucieczki przez kolejne pomieszczenia.

Pokrywała nas warstwa pyłu i brudu. Mieliśmy odciski na dłoniach. Bolały nas stawy i pościerane kolana.

Po pewnym czasie już niemal nie słyszeliśmy wysłanników Morda, a chociaż szlak wiodący przez ten upiorny grobowiec wciąż skręcał i zawracał, stopniowe obniżanie się terenu i napływ świeżego powietrza przekonywały nas, że zmierzamy we właściwym kierunku. Chociaż żadne z nas o tym nie mówiło, czuliśmy, że pomimo głodu i pragnienia zdołamy się wydostać. Chociaż trzęsły nam się ręce, a gdy odpoczywaliśmy, w naszych myślach kłębiły się niedźwiedzie, mieliśmy cel i czekało na nas schronienie: bezpieczny azyl Wicka. Czekwały na nas jedzenie i woda. To stanowiło wystarczającą motywację. Byliśmy niemal wolni.

Ostatnie drzwi prowadziły do schodów wiodących w dół, a ja wiedziałam, że na ich końcu znajduje się ukryte wyjście, z zewnątrz zamaskowane powaloną skałą, gałęziami i cienką warstwą porostów.

Stanęliśmy na szczycie schodów, znacznie starsi niż jeszcze kilka godzin wcześniej. Za chwilę mieliśmy opuścić nasz dom.

Wypaść na świat, który dotychczas staraliśmy się trzymać na dystans i z którym spotykaliśmy się tylko na naszych warunkach.

– Jesteś gotowy? – spytałam Wicka, który obejmował mnie ramieniem.

Rozmazywał ciepłą krew po mojej zakurzonej koszuli, ale nic mnie to nie obchodziło.

– Będziemy jak krab pustelnik bez skorupy – zauważył Wick.

– Znajdziemy nową skorupę.

Westchnął przeciągle, co zabrzmiało niemal jak agonalne charczenie.

– Jestem gotowy.

Osłabieni opuściliśmy Balkonowe Klify.

Co oznaczała wolność

Niektóre krajobrazy w mieście pozwalają puścić wodze fantazji, przynajmniej na krótki czas, i to dobrze: w wyobraźni możemy panować nad tym, czego nie da się kontrolować w prawdziwym świecie. Teren, na którym się znaleźliśmy, krzywiąc się i mrużąc oczy pod wpływem ostrego południowego słońca, mógł uchodzić za porośnięte chwastami pochyłe pole prowadzące do łagodnego wąwozu okolonego sosnami i szczytami pogrzebanych budynków. Można nawet było sobie wyobrazić, że wąwóz został wyżłobiony przez wodę, która wciąż bulgotała w jego lśniącej otchłani, pieniała się na poszarpanych skałach, a potem spływała dalej, gdzie jar przechodził w opustoszałą równinę broniącą dostępu do budynku Firmy.

Ale od lat nie płynęła tędy woda, a wszystkie drzewa były uschnięte, bezlistne i na wpół skamieniałe. Ich kłamstwo obnażały rosnące wokół powykrzywiane kaktusy. Nieliczne požółkłe chwasty wyzierały z piaskowej gleby, a bliżej zbocza wąwozu musiały się przebijać przez popękany asfalt, tak stary i wypaczony, że jego poczerniała powierzchnia mogłaby zwiastować erupcję potężnego podziemnego wulkanu.

Po niebie krążyły sępy, co stanowiło dobry znak. Skoro na dole leżało coś martwego, to kiedyś musiało być żywe, przynajmniej przez chwilę. Połamane pnie drzew i sterty odpadków usypane pod starymi murami mogły zapewnić dobrą osłonę, gdybyśmy zechcieli spróbować szczęścia wewnątrz wąwozu.

Schronienie Wicka znajdowało się na zachodzie, nieco na północ od naszego położenia. Idąc wąwozem, zboczylibyśmy z kursu, ale w przeciwnym razie nie mogliśmy liczyć na żadną osłonę po wyjściu z cienia Balkonowych Klifów, a baliśmy się wystawienia na widok wysłanników Morda.

Zaschło mi w gardle. Miałam na nogach swoje najlżejsze buty. W kieszeniach znalazłam tylko wyschniętą alkoholową płótkę,

którą podzieliłam się z Wickiem, i scyzoryk. Wick nie zdradzał, co ma przy sobie, jedynie wspominał, że „trzymaj to na później”.

Ruszyliśmy w stronę wąwozu, gramoląc się w dół zbocza, aż dotarliśmy do płaskiego terenu pokrytego asfaltem i chwastami, za którym zaczynało się bardziej strome zejście. Obejrzałam się na Balkonowe Klify, tak zarośnięte mchem i trawą, że z tej perspektywy wyglądały jak szczyt urwiska, a nie krawędź olbrzymiego budynku.

Kiedy tak patrzyłam, nagle odniosłam wrażenie, że czas stanął w miejscu, i dobiegł mnie głos Wicka, który wrzeszczał, jakby z oddali, i szarpał mnie za rękę, a ja zdziwiłam się, że słońce zniknęło, a na Balkonowe Klify padł cień, chociaż niebo było bezchmurne.

Spróchniałe i przekrwione słońce obok prawdziwego słońca. Balkonowe Klify porwane sprzed moich oczu i odgradzone ścianą ciemnego brązu. Odliczanie uderzeń serca, powolnych i elastycznych jak kapanie resztek miodu ze słoika na talerz stojący daleko w dole.

Świat był pełen hałasu, a potem nagle wypełniła go cisza, w której całe powietrze opuściło moje płuca, ogarnął mnie wielki spokój i upadłam na plecy, zupełnie jakbym zawsze leżała w tej pozycji.

Hucząca fala, potworna wibracja przesywająca ziemię, rzuciła mnie na podłoże. Oddalałam się od Wicka albo to on oddalał się ode mnie w głąb wąwozu, by w końcu upaść na bok między chwastami, zakrwawiony i szokująco blady na tle czarnego asfaltu. Widziałam go kątem oka, ale musiałam zwrócić wzrok ku niebu, jakby przygniatał mnie jakiś potężny ciężar.

Mord wzniósł się nade mną, do tej pory ukryty albo niewidzialny, a kawałki asfaltu wyrzucone w powietrze pod wpływem uderzenia jego stóp o ziemię teraz opadły obok nas jak deszcz. Uniosłam jedną dłoń, aby osłonić twarz, ale nie mogłam odwrócić wzroku. Błękitne niebo, dziwnie spokojne, cisza i Mord, olbrzymi złoto-brunatny niedźwiedź stojący na tylnych łapach, aby przesłonić niebo i zniszczyć wszystko, od drobinek kurzu po słońce... oraz ja, leżąca na ziemi i wpatrująca się w sięgające

coraz wyżej cielsko, w płonące, kipiące niebo otaczające tę masę futra niczym aureola wokół nieprawdopodobnie gęstej sierści, w masywną uniesioną łapę zwieńczoną pazurami, a także w zawieszony niemożliwie wysoko złocisty długi pysk, kły, olbrzymie żółte oko, równie groźne jak w moich snach – zwiastun obłędu i rozpacz. Mogłabym przysiąc, że to oko mnie zauważyło, zwróciło się ku mnie z uwagą i nie zamierzało odpuścić. Mogłabym przysiąc, że Mord mnie poznał, a jednak wciąż leżałam na plecach, porwana szokiem, czując, że pękł mi bębenek w uchu, a z boku mojej głowy spływa coś lepkiego. Nie czułam rąk ani nóg, które były jak żałosne gałązki.

Z bolesną powolnością Mord coraz bardziej rósł w moim polu widzenia. Mijały tygodnie, gdy tak leżałam, a Mord w swoim nieskończonym miłosierdziu cierpliwie planował, jak usunąć niebo, usunąć świat i zostać Bogiem Nicości. Aż w końcu pewnego dnia, w ostrym blasku słońca, u boku krwawiącego Wicka, zobaczyłam tuż nad sobą pokryte bliznami czarne poduszki uniesionej łapy, kępki futra sterczące wokół palców, ogromne bryły ziemi leniwie opadające i wirujące w powietrzu oraz fale pyłu rozplywające się na boki. Śmierdział błotem i delikatnie pachniał wiciokrzewem. Śmierdział gównem i, o dziwo, pachniał miętą. Długie żółte pazury były takie duże, ich zakrzywione końcówki takie ostre, a ja widziałam na nich linie pęknięć w miejscach, w których były wielokrotnie uszkodzane i naprawiane. Na swój sposób były równie delikatne i cudowne jak śmiercionośne.

Mniej błękitu i więcej Morda, a ja za chwilę miałam zostać unicestwiona przez naszego boga, rozdeptana na miazgę. Wtedy wszystko się skończy, także moja urywana i niezgrabna zabawa w życie. Wszystkie wysiłki zmieniają się w bezruch i bezmyślność, moje atomy zostaną uwolnione, by stać się czymś innym.

Poduszki łap Morda były chłodne i ciemne, uspokajały mnie i znajdowały się bardzo, bardzo blisko.

Ale bardzo blisko było też słowo, które ktoś wykrzykiwał do mojego słyszającego ucha, moje imię: „Rachel! Rachel! Rachel!”. Brzmiało absurdalnie, jak krakanie wrony. Razem ze słowem

pojawiło się wrażenie przyciągania, wleczenia po nierównej powierzchni, a ja zaczęłam się szybko przesuwać, podczas gdy stopa wciąż się ku mnie obniżała.

Ciemność rozszerzała się, ale moja twarz znalazła się w świetle i znów zobaczyłam niebo. Ciemność była bardzo blisko. Moja klatka piersiowa była w świetle, ale nogi leżały w cieniu. Wydawało mi się to osobliwe, jak deszcz padający tylko po jednej stronie ulicy.

Ostatnie mocne, bolesne szarpnięcie za rękę i moje ciało podskoczyło pod wpływem tupnięcia potwora w skórę świata. Potem Rachel opadła i potoczyła się w dół zbocza, połączona z jakąś inną istotą, która wciąż wykrzykiwała imię zjawy: „Rachel!”.

Świat pociemniał, ale nawet jeśli umarłam, to przynajmniej odzyskałam słuch i docierało do mnie coś więcej poza głosem odzywającym się w mojej głowie. Grzmot i ryk, wrzaski oraz okrzyki „Drrk! Drrk!”, które musiały mi się przywidzieć, gdy ktoś wlekkł worek mięsa i nim miotał.

Gdzieś niedaleko znajdowała się rzeka futra, która zmieniała się w ciemną suchą rzekę pełną skał oraz chemikaliów, i właśnie tam zostałam wyrzucona na brzeg, czekając, aż ktoś, ktokolwiek, mnie odnajdzie.

Jak znaleźliśmy tymczasowe schronienie

Kiedyś na dobranoc, chociaż on tak naprawdę nigdy nie sypiał, opowiedziałam Zrodzonemu o swoim azylu na wyspie, dokąd rodzice, po wielu trudach, zabrali mnie, gdy miałam sześć albo siedem lat. Tam przeżyłam dwa lata bez niepokojów, wojny i obozów dla uchodźców. Zaczęłam wierzyć, że mogę zostać na tej wyspie na zawsze. Dawała takie samo złudzenie trwałości jak Balkonowe Klify, tylko bardziej przekonujące.

Mieliśmy mieszkanie w stolicy nad zatoką, ale najwyraźniej pamiętam nie nasz dom, miejskie budynki czy nawet plażę, ale ogród botaniczny i znajdujący się w nim ozdobny staw z niedziałającą fontanną na środku. Lilie wodne pokrywały powierzchnię wody maślanożółtymi kwiatami i okrągłymi zielonymi liśćmi o uniesionych krawędziach, które kształtem imitowały szary granitowy murek otaczający staw. Murek miał taką wysokość, że kiedy stawałam na palcach, mogłam dosięgnąć wody i zanurzyć w niej dłoń. Malutkie rybki łaskotały mnie, skubiąc skórę na opuszkach moich palców. W mulistej wodzie pływały także karpie, niezgrabne złote rybki i brązowe tajemnicze węgorze, których skrzela przypominały eksplozje koronki po obu stronach głowy. Tłuste brzydkie żaby siedziały na straży na liściach lilii, a żółwie wielkości moich kciuków wygrzewały się na słońcu w tym miniaturowym świecie. Ślimaki o szarych przezroczystych skorupach, przez które widać było ciemność ich zwiniętych ciał, ukrywały się na murku, więc musiałam być ostrożna, by ich nie zmiażdżyć swoim niezdarnym, niezręcznym ludzkim ciałem.

Nie żyły tam żadne zmienione stworzenia; do ogrodu nie wpuszczano biotechnologicznych istot, a rząd traktował posiadanie sztucznych zwierząt jako akt szpiegostwa. Zniekształcone lub rzadkie okazy wzbudzały panikę, a gazety donosiły o przypadkach osaczenia i zabicia biotechnologicznych

istot przez ludzi z maczetami.

Ale moja matka mawiała przy kolacji, na co ojciec reagował wznoszeniem oczu ku niebu, że takich istot jest na świecie więcej, niż się ludziom wydaje. Na tym polega udawanie, wtapienie się w tło, unikanie wykrycia.

Po lekcjach bawiłam się z kolegami w ogrodzie pilnowana przez którąś z matek albo mojego ojca. Wspinaliśmy się na drzewa nad stawem, przemierzając labirynty gałęzi porośniętych sznurami jaskrawoczerwonych kwiatów, od których kręciło mnie w nosie, a morska bryza wiejąca z drugiej strony ulicy przynosiła woń soli i orzeźwienie naszym spoconym ciałom. Potem odprowadzano nas nadmorską drogą do domów. Jeśli akurat miałam pieniądze, które zarabiałam, wykonując drobne prace, po drodze wstępowaliśmy do sklepiku na rogu, gdzie kupowaliśmy solone śliwki i ryżowe cukierki. Staruszka za ladą nigdy się nie uśmiechała, ale dawała mi za darmo małe ozdobne parasolki, jakie ludzie kiedyś wkładali do swoich drinków.

Po kolacji rodzice przeważnie zabierali mnie na plażę, jeśli jeszcze nie było za ciemno. Szukaliśmy muszelek albo boso brodziliśmy na płycznach. Lubiłam patrzeć, jak naburmuszone ryby w piaskowym kolorze kołyszą się tam i z powrotem pod falami. Później wracałam do domu, żeby odrobić lekcje, a przed snem ojciec czytał mi książeczki dla dzieci, a czasami nawet książki dla dorosłych albo ilustrowany zbiór wierszy. Na wyspie nikt już nie drukował książek i często mieliśmy przerwy w dostawie prądu. Ale nie zauważałam tego i wcale się tym nie przejmowałam. Miałam tam spędzić całe życie. Każdy dzień był taki sam jak poprzedni, podobnie jak każda noc, gdy bryza przybierała na sile, szeleszcząc liśćmi palm, a czasami rozlegał się cichy tupot szczerów albo myszy, który mnie hipnotyzował, ale mojego ojca skłaniał do gorączkowego budowania pułapek.

Każdego ranka mężczyzna, który wychował się na wyspie i sprzedawał między innymi szklane słoiki z przegotowaną, filtrowaną wodą, odprowadzał mnie i dzieci sąsiadów do szkoły.

Byliśmy ubrani w brązowe skórzane sandały i źle uszyte, drapiące szare mundurki, które szkoła wykorzystywała na nowo każdego roku. Uczyliśmy się języków, matematyki, fizyki, a potem wychodziliśmy na przerwę. Po drugiej stronie drogi była plaża, a my zapuszczaliśmy się dalej, niż nakazywał rozsądek, wygłupialiśmy się, badaliśmy granice naszego terytorium, odkrywając ogromne palmowe kraby albo kapryśne raki, które przychodziły znad pobliskiej rzeki.

Zanim udawało nam się dotrzeć do morza, jakiś dorosły zazwyczaj nas przywoływał. Ale czasami docierałam do ogrodzenia i patrzyłam na błotne równiny przy ujściu rzeki. Lubiłam obserwować szczeniaki mułowe – miękkie, śliskie, psotne stworzenia z wyłupiastymi oczami i płetwami, które pozwalały im się poruszać także po lądzie. Nawet nie zwracałam uwagi na bagienny smród, tak bardzo lubiłam skoczki mułowe, a także ostrożne kraby nawigatory, które pokrywały całe połacie błota, gdy byłam w połowie drogi, ale gdy tylko zbliżyłam się do ogrodzenia, znikwały w swoich otworach, pozostawiając wymarłe miasto.

Ale skoczki mułowe nie zwracały na mnie uwagi. Trwały jak szare posągi, delikatnie poruszając tylko ziemnowodnymi skrzelami. Potem gulgotały i we własnym tempie wskakiwały z powrotem do wody. Niektóre zachowywały się jak strażnicy, a inne najwyraźniej lubiły się wygłupiać. Trudno było dostrzec różnicę.

Matka często wypytywała mnie o skoczki mułowe, o to, czy mają dziwne oczy albo nietypowo się zachowują. Albo czy widziałam cokolwiek innego, co wydało mi się osobliwe. Odpowiadałam, że nie. Mówiła, że słyszała plotki o biotechnologicznych istotach szukających schronienia na błotnych równinach. Uważała, że takie istoty pozostawiają ślad, a jeśli podąży się za nim do źródła, można znaleźć bezpieczny azyl. Wtedy odgadłam prawdę: Rodzice nie sądzili, że to życie będzie trwać wiecznie. Traktowali wyspę jako tymczasowe schronienie, które wkrótce opuścimy.

Teraz trudno mi uwierzyć, że mogłam wieść tak luksusowe

życie, mieć tak dużo wolnego czasu albo bez zachłanności patrzeć na te wszystkie źródła białka. Wszystko to po przeniesieniu do miasta, w którym obecnie mieszkałam, zostałyby ogołoczone w pół dnia albo jeszcze szybciej – staw w ogrodzie botanicznym zmieniłby się w pusty zbiornik z mętną wodą, a błotne równiny w zwykłą jałową ziemię.

Kiedy skończyłam opowiadać Zrodzonemu o wyspie, spytał:

– Czy to jakaś bajka?

– Nie, to część mojego dzieciństwa.

– A więc bajka.

– Nie, to się wydarzyło naprawdę.

– No tak, „kiedy byłam dzieckiem” – odrzekł, jakby tworzył w pamięci osobną kategorię zmyślonych opowieści. Byłam starą nudziarą, która ciągle paplała o nieistniejącej wspaniałej przeszłości.

– To prawda, Zrodzony – upierałam się.

– Co to jest pies? – spytał.

– Wiesz, co to jest pies.

– Pies to posiłek na czterech łapach.

– Zrodzony!

– Sama tak powiedziałaś.

– To był żart. – Ale tutaj nie było już żadnych psów, nie licząc nieufnych osobników na obrzeżach miasta. Żadnych przyjaznych psów, ponieważ przyjazny pies to posiłek na czterech łapach.

– Gdzie teraz jest tamta wyspa? – spytał Zrodzony, jakby wyspa mogła sobie swobodnie odpłynąć, ale głównie chodziło mu o zmianę tematu.

– Nie wiem.

– Wciąż jest na niej tak samo?

– Nie wiem.

– Myślę, że nie.

– Być może się nie zmieniła.

Zastanawiałam się, co Zrodzony może o tym wiedzieć. Swoje własne krótkie dzieciństwo spędził zakorzeniony w jednym miejscu, jak wyjątkowy okaz rośliny doniczkowej. Nigdy nie podróżował.

Nie dawał za wygraną, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo mnie irytuje.

– Skąd wiesz, że to się wydarzyło? – spytał. – Czy to gdzieś zapisano?

Skąd wiem, że to się wydarzyło? Ponieważ teraz tego nie ma, ponieważ wciąż czuję tę stratę. Ale wtedy nie umiałam tego przekazać Zrodzonemu, ponieważ nigdy niczego nie utracił. Jeszcze nie. Cały czas tylko gromadził, próbował, smakował. Zdobywał kolejne części świata, podczas gdy ja je traciłam.

Kiedy po raz pierwszy obudziłam się, a raczej ocknęłam w schronieniu Wicka, posadził mnie pod kamienną ścianą obok siebie, naprzeciwko płytkiej studni. Wszystko skrywał cień, poza wodą, od której bił błękitny falujący blask. Ponad nami ściany łączyły się ze sobą jak we wnętrzu iglicy, pozostawiając tylko mały punkcik światła na szczycie. Otaczały nas woń mchu oraz czysta ciemność.

Dwa z moich palców powitały mnie wściekłym, przeszywającym bólem, a moje obolałe ramię było jakby oplątane elektryczną pajęczyną. Miałam podrapane i zakrwawione nogi, podarte spodnie oraz poobijane miednicę i lewe biodro, którym boleśnie dotykałam kamiennej posadzki. Słabość w kostce mogłam rozchodzić, ale w poważniejszym stanie znajdowało się moje lewe ucho. Liczyłam się z tym, że już zawsze będę musiała słuchać drugim uchem i ciągle mieć się na baczności, ponieważ dźwięki docierające z lewej strony będą przytłumione. Wciąż czułam w kościach skutki uderzenia Morda o ziemię i byłam zbyt świadoma swojego ciała, by nadal udawać zjawę.

Nasze zakurzone i brudne buty tkwiły żałośnie na stopach, a ja nie chciałam zdejmować swoich ze strachu przed tym, co zobaczę.

Cienkie włosy Wicka potargały się jak u szalonego geniusza, a twarz była tak zakurzona, że przypominała maskę, zza której rzucał przenikliwe szelmowskie spojrzenia. Nie podobał mi się

czerwony kolor jego twarzy i rąk. Dotychczas sądziłam, że jest co prawda roztrzęsiony ucieczką, ale poza tym nic mu się nie stało, jednak to zaczerwienienie wyglądało tak, jakby ostro pił, a także kojarzyło mi się z pewnym gatunkiem alg rozkwitających w skażonej wodzie. Nie mogłam uwierzyć, że mimo to jest odprężony, swobodny, mniej zmartwiony ode mnie i spogląda na mnie z łobuzerskim uśmiechem.

– Gdzie jesteście? – spytałam.

Powiedział mi.

Pomiędzy nami a studnią stała odwrócona pusta skrzynia. Na jej szorstkiej powierzchni drżała pojedyncza czarna fasolka podana na talerzyku.

– Zgadniesz, co to jest? – spytał. Nasza stara zabawa, chociaż zazwyczaj to ja przynosiłam mu łupy.

– Fasola.

– Zgadza się! Fasola.

– Ale czy naprawdę? Może to coś lepszego?

– Nie. Niestety to tylko fasola. Pewnego rodzaju.

– Skąd wzięłaś ten talerz?

– Nieważne.

– Zjemy tę fasolę?

Wick pokręcił głową.

– Nie, chociaż formalnie rzecz biorąc, to nasze jedyne pożywienie. Miałem ją w kieszeni.

Zostało nam jedno ziarno fasoli.

– Fasolka – odezwałam się. – Imponujące. Co za obfitość.

– Pomyślałem sobie, że powinnaś wiedzieć, jacy byliśmy zaradni podczas naszej ucieczki, zanim otworzę plecak, który znalazłem tutaj, i sprawdzę, czym jeszcze dysponujemy. – Wyciągnął plecak z cienia po swojej drugiej stronie.

– Więc go otwórz – powiedziałam. Byłam głodna.

Na spodku przed nami drżąca fasolka pękła i ze środka wyłonił się mały, wilgotny owad, który rozłożył prześwitujące skrzydła, jakby zrobione z obsydianu. Przypominał ważkę, ale był znacznie delikatniejszy. Potrząsnął skrzydłami i wzbił się w powietrze, zawirował nad studnią, po czym zniknął

w ciemności między kamiennymi ścianami. Może wyleciał przez otwór na szczycie zbiornika albo postanowił w nim zamieszkać. Tak czy inaczej, już nigdy nie widzieliśmy naszej „fasolki”.

– Co to za biotechnologia?

– Żadna biotechnologia – odrzekł Wick. – Nie mam pojęcia, jak to się znalazło w mojej kieszeni. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięło. Nikt tego nie zbudował. To było jajeczko. Coś złożyło je w mojej kieszeni. Czyż to nie niesamowite?

– Wypuściłeś go – powiedziałam z żartobliwą naganą, wciąż bawiąc się w nasze gry, chociaż po odejściu Zrodzonego to już nie było to samo.

Wick wzruszył ramionami.

– Jeśli w plecaku nie ma niczego do jedzenia, to i tak nieważne. Niech kawałek Balkonowych Klifów tutaj zamieszka. Czemu nie?

Nasze nowe schronienie było o wiele skromniejsze od poprzedniego. Zbiornik z zewnątrz wyglądał jak zapadnięty kopiec albo hałda kamieni, które się zawałyły i pogrzebały kogoś, kto pod nimi mieszkał. Wejście kryło się za ruchomym kamieniem w miejscu, w którym kopiec łączył się ze zboczem wzgórza, natomiast kłapa obok studni prowadziła do tunelu, który wiódł do zamaskowanego wyjścia oddalonego o ćwierć mili.

Okrągła studnia zajmująca połowę płaskiej kamiennej podłogi zawierała w sobie słonawą wodę, której powierzchnia znajdowała się kilka cali poniżej poziomu posadzki. Woda kiedyś być może była skażona, ale teraz po ścianach studni pełzały tam i z powrotem biotechnologiczne filtry w postaci tłustych świecących na niebiesko ślimaków. One oraz elektryczna woń spalonych zapalek, którą wydzielala woda, najlepiej świadczyły o tym, że nikt inny nie znalazł tego miejsca. W przeciwnym razie zostałyby zajęte.

Ale to nie była kryjówka Wicka, tylko schronienie Magiczki, które Wick odkrył kilka miesięcy temu, a zatem nie byliśmy w nim bezpieczni. Poza tym nawet zawałone i ukryte dla

czujnego oka stanowiło widoczny punkt na horyzoncie.

W pamięci nosiłam tylko fragmenty wspomnień dotyczących tego, co się stało po ataku Morda – urywanych, przenikliwych wspomnień o upadku, mozolnym wstawaniu, ciągnącym mnie Wicku, ześlizgiwaniu się do wąwozu i ukrywaniu w jego głębi, podczas gdy Mord minął nas i odszedł, jakby nigdy nie zamierzał nas skrzywdzić, co być może było prawdą. Może nawet nas nie zauważył. Może pojawił się tam tylko po to, by wstrząsnąć okolicą, tupnięciem wypędzić wszystkie szkodniki z ukrycia. Ale jego wysłannicy także czaili się w pobliżu, więc wkrótce musieliśmy uciekać między martwymi połamanymi drzewami, między stertami osobliwego szaro-czarnego gruzu, który upodabniał krajobraz do obcej planety. Biegłam, póki nie opadłam z sił, gdy ustąpił szok, który blokował ból i wprawiał moje ciało w ruch. Wtedy zaczęłam skakać na jednej nodze, a Wick mnie prowadził i zachęcał do wysiłku. W końcu opadłam nieprzytomna niedaleko naszego tymczasowego schronienia.

W plecaku znajdowało się typowe wyposażenie: awaryjne racje żywnościowe, nóż, manierka na wodę, dwie koszule, wiekowa apteczka, poobijana lornetka, pistolet bez amunicji, kompas, kilka starych batonów białkowych, które już na pierwszy rzut oka wyglądały na równie twarde jak kły Morda.

Wick rozłożył wszystko w rzędzie, jakby składał ofiarę bogu zbiornika.

– Jedzenie na tydzień – oznajmił. – Woda na zawsze. No, przynajmniej na znacznie dłużej niż jedzenie.

Musiłam się nachylić i obrócić, by go usłyszeć, ponieważ moje rozdarte i pokryte bąblami ucho odbierało jego mowę jako ciche brzęczenie.

– Jedzenie na dwa tygodnie, jeśli ograniczymy się do jednego posiłku dziennie – odrzekłam.

– To niebezpieczne. Już jesteśmy osłabieni.

– Możemy dźwigać tę kryjówkę na plecach, gdy będziemy szukali pożywienia?

– I tak nie możemy tutaj zostać. Ja nie mogę tutaj zostać – odparł Wick.

- Co to znaczy, że ty nie możesz zostać?

- Moje lekarstwo... łodziki. Potrzebuję ich, aby pozostać przy życiu.

Tylko na niego popatrzyłam; to była najbardziej szczerą rzeczą, jaką do mnie powiedział. Do tej chwili jego uzależnienie było dla mnie abstrakcją, która istniała tylko w mojej głowie. Stopa Morda znów opadała, żeby mnie zmiążdżyć, razem z Wickiem.

- Mogę znaleźć więcej tylko w budynku Firmy - dodał. - Powinnaś wyruszyć na północ i spróbować wrócić do miasta, podczas gdy ja powędruję na południe.

- Więc ty pójdziesz na południe, a ja na północ. Kiedy podjąłeś tę decyzję za nas oboje?

- Albo możesz tutaj zostać i poczekać na mój powrót.

Parsknęłam kpiąco.

- Zostać i czekać, aż wysłannicy Morda mnie otoczą i zabiją? Albo wpadnie tutaj uciekająca przed nimi Magiczka? Albo jakikolwiek inny włóczęga, który zwęszy wodę?

- A zatem na północ - rzekł Wick.

- Zostać tutaj i umrzeć w ciemności ze ślimakami albo ruszyć na północ i umrzeć w świetle? Zostawić cię na pastwę losu? Nie sądzę.

Ale Wick jeszcze nie skończył mnie zaskakiwać. Wyjął kopertę z kieszeni spodni. Miała wielkość typowych kopert, w jakich ludzie kiedyś wysyłali listy, i była wystarczająco gruba, żeby pomieścić pięć albo sześć kartek. Była poplamiona wyschniętym potem i wprasowanym pyłem, wielokrotnie składana i rozkładana. Wick nie napisał tego listu tutaj, w zbiorniku. Napisał go na długo przed opuszczeniem Balkonowych Klifów i cały czas nosił przy sobie.

- Skłamałem - powiedział. - Nie zabrałem z Balkonowych Klifów tylko fasolki. Proszę, to dla ciebie.

Nie przyjąłem koperty, tylko popatrzyłam na nią podejrzliwie. Byłam przekonana, że to pułapka.

- Co to jest?

- List do ciebie. Ode mnie.

- Zapomniałeś zabrać lekarstw, ale wzięłeś to?

– List był w mojej kieszeni. Lekarstwa trzymałem w plecaku.
– Nie chcę go czytać – odparłam.
– To kłamstwo – odrzekł Wick, drażniąc się ze mną. Nawet się uśmiechnął. – Chcesz go przeczytać. W nim jest wszystko, czego nigdy ci nie powiedziałem, ponieważ nie mogłem. Ale musisz się dowiedzieć. Jeśli nie wrócę z Firmy, przeczytaj go.

Wick przemawiał ze swobodą, ponieważ czuł się swobodnie: Całe dręczące go brzemię znalazło się w tym liście, który teraz mi przekazywał.

– Jest tylko jeden problem, Wick... Idę z tobą. Nie zostawię cię.
– Przeczytaj list, zanim podejmiesz tę decyzję.
– Nie.
– Weź go.
– Nie.

Podał mi list.

– Nie. A jeśli w drodze poczujesz się gorzej? Nawet nie dotrzesz do budynku Firmy.

– Dlaczego znów wszystko komplikujesz?
– Wcale nie, po prostu stawiam sprawę jasno. Po tym, jak uratowałeś mi życie, po całej reszcie... wydaje ci się, że możesz mnie zmusić, żebym cię porzuciła. To nie takie proste, Wick. Nie zgodzę się, żeby to było takie proste. – Wyrwałam mu list z ręki. – Dlatego wezmę twój list, ale nie możesz mnie powstrzymać przed pójściem z tobą na południe.

Wick umilkł, zbierając siły. Zadrżał pod wpływem jakichś silnych emocji. Nie reagowałam, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli zobaczy, że dostrzegam jego słabość, całkowicie się rozsypie. Nie wiedziałam, czy list zawiera to, co w nim najlepsze, czy raczej to, co najgorsze.

– Jeśli pójdziemy do Firmy, możesz zobaczyć rzeczy, których nie masz ochoty oglądać – ostrzegł. – Tam nie będzie tak, jak ci się wydaje.

Roześmiałam się, ale nie bez czułości.

– Och, Wick, czym to się różni od naszej obecnej sytuacji? – Miałam dosyć gadania. Chciałam ruszyć w drogę, powędrować na południe, odejść z tego tymczasowego schronienia, które

ostatecznie i tak miało nas zdradzić.

- Jeśli mamy podróżować razem, nie czytaj listu, chyba że zginę.
- Nie dajesz mi powodu, bym chciała utrzymać cię przy życiu.

Zachichotał w odpowiedzi, a kiedy trąciłam go łokciem w zębra, zmienił temat.

Wydaje mi się, że zaufanie, którego szukał Wick, nie polegało na decyzji, kiedy przeczytam jego list, ale na czymś głębszym. Tak naprawdę nigdy bym mu nie powiedziała, gdybym przeczytała list. Nie dowiedziałby się o tym.

Wiedziałyby tylko, czy zostałam u jego boku, czy go porzuciłam.

W naszym tymczasowym schronieniu takie proste sprawy nabierały wielkiego znaczenia. Sposób, w jaki Wick przekrzywił głowę, jakby brakowało mu siły, i opierał się o ścianę, by prosto siedzieć. Liczne dawne blizny na jego dłoniach i rękach, ślady ugryzień jego biotechnologicznych owadów. Odstłonięta skóra na szyi, napięta i bezbronna, tak że miałam ochotę go tam pocałować. Badawcze spojrzenia, jakie od tej pory mi posyłał, jakby tylko kilka kroków dzieliło nas od końca świata, a on chciał mnie zapisać w pamięci. To było dziwne, ale przyjemne i ważne uczucie, móc w ten sposób odpocząć po naszej ucieczce.

Rozebrałam się i umyłam szmatą zamoczoną w studni. Wyprałam ubranie i rozłożyłam je na kamieniu sterczącym ze ściany, żeby wyschło. Potem poprosiłam Wicka, żeby się rozebrał, i jego również umyłam, startłam brud z jego twarzy, delikatnie pieściłam obtarcia i zadrapania na jego ciele, wodziłam dłońmi po jego piersi, plecach, nogach.

Kiedy oboje byliśmy czyści, położyłam głowę na jego kolanach obok płytkiej studni, popatrzyłam na mech oraz chłodne kamienie nad naszymi głowami i długo się nie odzywałam ani niczego nie robiłam, tylko słuchałam, jak Wick opowiada o Balkonowych Klifach, o tym, jak bardzo żałuje, że nie zdołał zabrać swojego plecaka, gdy uciekaliśmy szybem wentylacyjnym, to bowiem całkowicie zmieniłoby naszą sytuację, o tym, że oprócz lęku i straty odczuwa ulgę, ponieważ bez Balkonowych

Klifów jesteśmy znacznie mniej narażeni na ataki Magiczki, a także o tym, że wysłannicy Morda wykazali się niezwykle sprytem, skoro poradzili sobie z naszymi zabezpieczeniami. Tym samym starał się zachować nieco optymizmu i szacunku dla siebie, przynajmniej częściowo nas usprawiedliwiając.

– Tego miejsca byłoby łatwiej bronić niż Balkonowych Klifów – stwierdził.

– Ale do jego zajęcia potrzeba mniejszej liczby niedźwiedzi – zauważyłam.

Przez chwilę zastanawiałam się, co by się stało, gdyby Zrodzony wrócił do Balkonowych Klifów i odkrył, że zostaliśmy wypędzeni.

– Tylko że tutaj nie ma niczego wartego zdobycia.

Poza wodą. Niemal każdy byłby gotowy za nią zabić.

– Balkonowe Klify i tak były dla nas za duże – powiedziałam.

– Tak, znacznie za duże i pełne niedźwiedzi.

– Opanowane przez niedźwiedzie.

– Zatłoczone i zapchane niedźwiedziami. Ta kryjówka jest wolna od niedźwiedzi.

– Na razie.

– Na razie – zgodził się Wick.

Niedźwiedzie rzeczywiście zachowały się sprytnie, inteligentnie, cierpliwie. Zupełnie jakby nas podsłuchiwały, zagrzebane w mchu, pogrążone w cichym zimowym śnie, a zarazem świadome naszych ruchów, położenia pułapek, silnych i słabych punktów naszych fortyfikacji. Ale wiedzieliśmy, że to nie ma większego sensu i że zostaliśmy pokonani dzięki ich ślepej furii, przytłaczającej szybkości i sile woli oraz lekceważącemu podejściu do własnych ofiar, i być może nigdy w pełni nie zrozumiemy głębi naszej porażki. Może sprzedała nas Magiczka, któryś z klientów Wicka albo ktoś inny.

Ale to nie wszystko. Nie potrafiłam zapomnieć pierwszego uderzenia Morda, które nadeszło bez żadnego ostrzeżenia, wzbudzając trzęsienie ziemi i wysysając całe powietrze, by po chwili znów wywołać powalający podmuch. Niebo zawirowało, zniknęło i pozostał tylko Mord oraz pewność, że zostanie zmiażdżona.

Jednakże Wick był gdzie indziej, krążył pośród innych wspomnień o Mordzie, kładąc podwaliny, wymyślając słowa, które mogły go doprowadzić do innych słów, których nie umiał wypowiedzieć. Dopóki same pośpiesznie nie opuściły jego ust.

- Znałem Morda, kiedy pracowałem w Firmie. Lubił obserwować ptaki, razem jadał lunch i czytaliśmy książki. Ciekawiło go wiele rzeczy i wykonywał rozmaite zadania dla Firmy, a oni nawet włączyli go do zespołu, który badał miasto i planował jego odbudowę. Ale to była kpina, ponieważ Firma już wtedy się rozpadała i traciła sens, a rozkazy z centrali nadchodziły coraz rzadziej. Przełożeni zaczęli mieć dziwne pomysły dotyczące kursu, jaki powinniśmy obrać. Kiedy projekt z rybą zakończył się fiaskiem, zrezygnowali także z odbudowy miasta. Umieścili Morda w wydziale eksperymentalnym. To był rodzaj kary. Obwiniali go za niepowodzenie projektu z rybą, chociaż nie było w tym jego winy, podczas gdy Magiczka nie poniosła żadnych konsekwencji. Nikt z nas nie mógłby wytrzymać tego, co mu wtedy robili, do czego go przeznaczyli. Wciąż potrafił mówić i był świadomy, gdy poddawali go modyfikacjom, ale w końcu postradał zmysły, a ulgę przynosiło mu tylko tworzenie zapisków, które przemyciłem na zewnątrz w popsutym teleskopie z pomocą innego pracownika, po tym, jak odszedłem z Firmy. Właśnie to widziałas w moim mieszkaniu, Rachel. Tamte wykresy pomogły mi nauczyć się tworzenia biotechnologicznych istot, a przynajmniej ich modyfikowania...

Dzisiaj Mord próbował nas zabić, miażdżąc nas łapą. Dzisiaj miał kilka pięter wzrostu i był potworem. Wick był tym równie zszokowany jak ja i z trudem próbował dopasować do siebie dwa nieprzystające światy, normalny i groteskowy, stary i nowy, walcząc o to, by przyziemne mogło istnieć obok niemożliwego, co wydawało się równie nierealne jak to, że kiedyś zanurzałam palce w stawie, pozwalając, by skubały je małe rybki, obserwowałam szczeniaki mułowe zza szkolnego ogrodzenia albo jadałam w eleganckiej restauracji.

Wciąż umiał mówić i mógł zostać zrozumiany.

Nie chciałam, żeby Mord bardziej nas przypominał, ale żeby był

jeszcze mniej do nas podobny. Kiedy mordował i plądrował, chciałam go uznawać za psychotyczną bestię, która nie może zostać odkupiona i nie ma w sobie niczego ludzkiego. Pragnęłam, żeby chociaż jedna rzecz w nowym świecie była taka sama jak w starym.

Dlatego słuchałam w milczeniu, kiwałam głową i wydawałam pomruki, jakbym wszystko rozumiała. Tak naprawdę myślałam jednak o czymś innym. List Wicka palił jak ogień. Był jak granat tkwiący w mojej kieszeni, a tylko ja mogłam ustalić, kiedy wybuchnie. Czy Wick opowiadał mi o tym i sprzymierzał się z Mordem, aby przygotować mnie na coś, co znajduje się w liście? A może chciał złagodzić jego efekt? Albo to była ostatnia próba zniechęcenia mnie do pójścia razem z nim?

Już nie rozmawialiśmy o liście ani o naszym planie wędrówki na południe. Wszystko zostało postanowione, a Wick miał na tyle rozumu, żeby nie wracać do tego tematu.

*

Tamtej nocy zewsząd pojawiały się kolejne dowody. W środku nocy poczułam, że muszę się przewietrzyć i wysikać, a nie mieliśmy wiadra. Dlatego wymknęłam się na zewnątrz, strzęp cienia, i przykucnęłam nad szczęśliwą kępą chwastów niedaleko wiekowych kamieni. Była to bolesna pozycja, biorąc pod uwagę moje poobijane ciało.

Patrząc w stronę Balkonowych Klifów, widziałam płomienie liżące szczyty skał i wierzchołki drzew, a także kolejne pożary na północnym wschodzie i zachodzie, zupełnie jakby atak na nas był częścią jakiejś większej akcji. Z tego miejsca wydawało się, że walki toczą się o większą część miasta, ale nie wiedziałam, kto walczy, czyje losy się ważą i w których dzielnicach.

Właśnie kończyłam, gdy zauważyłam, że noc jest idealnie cicha. Początkowo złożyłam to na karb mojego uszkodzonego słuchu, ale niewykluczone, że chodziło o coś więcej. Wstałam, szybko zapięłam spodnie i wspierałam się po kamieniach na szczyt zbiornika, skąd zaczęłam wypatrywać śladów ruchu w ciemności. Zewsząd otaczały mnie poskręcane pasy czerni: konary

uschniętych, zdeformowanych drzew na pochyłości prowadzącej ku martwej równinie przed budynkiem Firmy. Pomędzy drzewami, w oddali, plamy jaśniejszego cienia lśniły w niewyraźnym świetle, a chmury miały niemal błękitno-fioletowy kolor.

Nic się nie pojawiało, nic się nie poruszało, ale byłam cierpliwa i wodziłam wokoło wzrokiem. Ze szczytu zbiornika widziałam tak rozległe terytorium, że nie mógł się przede mną ukryć żaden ruchomy obiekt.

Nagle w głębi lasu, w miejscu, w którym teren wyrównywał się przed ostatnim łagodnym wzniesieniem, pojawiło się ledwie dostrzegalne zakłócenie, jakby para wodna unosząca się na tle jaśniejszych plam. Nie byłam pewna, ale intuicja podpowiadała mi, że ktoś biegnie z dużą prędkością w dół zbocza i od dłuższego czasu był widoczny z tej perspektywy, nawet jeśli ja go nie dostrzegałam. Tak mógł biec tylko ktoś ścigany.

Dlatego podążyłam wzrokiem za linią wzburzonego powietrza i około sześćdziesięciu metrów dalej zauważyłam surową, aż nazbyt znajomą rzekę. Za bardzo przypominała futro. Bezgłośnie falująca widmowa ciemność, napierająca i kipiąca żądzą krwi, złożona z samych niedźwiedzi, podążająca nierozważną, ale radosną trajektorią. Przynajmniej trzech wysłanników ścigających... co?

Ich ofiara zgubiła krok, zatrzymała się, jakby chciała się namyślić, a potem niczym wir cienia szybko obróciła się i pomknęła ku nowemu celowi na południu. Jej migotanie na tle drzew kogoś mi przypominało.

Potem zapadła cisza, a ruchy stały się niemożliwe do rozszyfrowania, więc wróciłam do środka.

Ku mojemu zaskoczeniu Wick już na mnie czekał. Wstał z podłogi i wyglądał, jakby w ogóle nie spał. Światło bijące od studni oblewało go elektrycznym błękitem.

– Wysłannicy Morda – oznajmiłam.

Wick pokiwał głową.

Nie powiedziałam mu o swoich podejrzeniach, że Magiczka również może się kierować na południe. Pomimo wyzwolenia

z Balkonowych Klifów mógłby na to zareagować w sposób niekorzystny dla nas obojga.

Kiedy się pakowaliśmy, Wick mnie zagadnął:

– Musisz postanowić, co chcesz robić później. Poza byciem poszukiwaczką.

– Później, czyli kiedy? – spytałam.

Nie odpowiedział mi.

Kogo spotkaliśmy na opustoszałej równinie

Ruszyliśmy na południe, trzymając się nadziei, że budynek Firmy zapewni nam ratunek – Wickowi lekarstwa, a mnie nowe schronienie, w którym uzupełnię zapasy. Pod tym względem nie różniliśmy się od wyznawców Morda. Mieliśmy tylko inne rytuały i słowa. Wick opowiadał o swojej tajnej wiedzy dotyczącej bocznego wejścia obok dwóch zbiorników retencyjnych przylegających do budynku Firmy. Twierdził, że skoro Mord przeniósł się na północ, zburzone piętra z pewnością zostały splądrowane, a poszukiwacze odeszli. Przytakiwałam mu, chociaż to nie był plan, tylko konieczność.

- Niżej znajduje się jeszcze jeden poziom.
- To na nim wzorowałeś Balkonowe Klify?
- Tak.
- Wiesz, jak się tam dostać?
- Tak. Mord mi pokazał, gdy jeszcze był człowiekiem.
- Czy to nie są nieaktualne informacje?
- Nic się nie zmieniło.

Czyżby? Słowa Wicka tak bardzo czarowały nadzieją, że nie potrafiłam oddzielić faktów od fikcji ani ocenić, kiedy tylko próbuje sam podnosić się na duchu.

Wynurzywszy się z martwego lasu, podróżowaliśmy poprzez ciemną noc, przemierzając ziemię niczyją między miastem a budynkiem Firmy. To była strefa pozbawiona życia, nie licząc pojawiających się w niej niebezpiecznych istot. Błotne równiny bez błota, gdzie strzaskane betonowe fundamenty ludzkich siedzib już dawno przemieściły się pod popękana powierzchnią złożoną z soli i trujących wyziewów. Przez grunt przesączały się substancje wyciekające z podziemnych zbiorników, od czasu do czasu tworząc kałuże gęstych i tłustych płynów rozlewające się po suchym podłożu.

Nikt rozsądny nie szukał wodopojów w miejscach wycieków ani

nie pił esencji niegdyś żywych istot. Dawno temu Wick powiedział mi, że kiedy Firma po raz pierwszy pojawiła się w mieście, ten obszar obsiano obronną biotechnologią, ale z czasem zapomniane pułapki wniknęły głęboko pod ziemię. Przy odrobinie szczęścia mogliśmy uniknąć zdetonowania tych żywych min.

Mimo wszystko lepiej było przekraczać równinę nocą, gdy ziemię w niektórych miejscach rozświetlał słaby blask pozostały po dawnych mikroorganizmach. W świetle dnia teren był bardziej nagrзany i nieprzyjemny, a każdy drapieźnik mógł nas dostrzec z odległości wielu mil, chyba że dysponowalibyśmy kamuflażem, tak jak Magiczka. Cementowe fundamenty czały się pod warstwą zmiażdżonych i bezużytecznych odpadków, żadne charakterystyczne punkty nie ułatwiały nawigacji i nawet sępy rzadko pojawiały się na niebie. Wokół unosił się smród kwaśnego błota i chemikaliów, a przy niekorzystnym wietrze musieliśmy zatykać usta i nos.

Budynek Firmy oglądany przez starą lornetkę zabraną z kryjówki przypominał pęknięte jajo – z powietrza zapewne wyglądał jak spłaszczony biały owal, wokół którego rozpościerały się gruzy pozostałe po ataku Morda, który rozgrzebał wnętrzności gmachu. Ale, jak zauważył Wick, ściany wnikały w ziemię, zapowiadając niższe warstwy zachowane przed zniszczeniem.

Na południowym wschodzie, tuż obok budynku, zauważyliśmy szerokie zbiorniki, niemalże jeziora, w których pływały martwe i chore ciała nieudanych projektów Firmy, a także istoty, które zdołały uciec, a przynajmniej tak im się wydawało. Ja także kiedyś im uciekałam, ale teraz wracałam.

Podczas wędrówki przez równinę docierały do nas oznaki konfliktów. W pierwszej godzinie słyszeliśmy dobiegające z daleka odgłosy wysłanników Morda podążających naszym tropem, a kiedy zrobiło się ciemniej i słońce oblało nas krwistoczerwonym blaskiem upstrzonym złotymi plamkami, a nad równiną wzmógł się gorący wiatr, w oddali pojawiły się dwa z tych stworzeń.

Wtedy już przemierzaliśmy równinę i czuliśmy się odsłonięci. Boleśnie przypadliśmy do ziemi za stertą żwiru i obserwowaliśmy wysłanników Morda przez lornetkę. Leżąc na brzuchu, miałam wrażenie, że ziemia za chwilę owinie mnie i pożre. Byłam obolała, ale wiedziałam, że wkrótce mój mózg będzie musiał przezwyciężyć opór ciała i będę zmuszona wstać, chociażby po to, by czołgać się dalej.

Wysłannicy Morda niczym żołnierze ukryli się w okopach, które sami wykopali i zamaskowali, a gdy wieczór wypalił czerwień i zgasił złoto słońca, pozostawiając niebiesko-szarą mgiełkę upału, byliśmy przekonani, że dostrzegli nasze przygarbione sylwetki na równinie, w drżącym powietrzu albo cieniu.

A jednak nie: Po wyskoczeniu z okopów pognali na południowy zachód, w poprzek naszego pola widzenia, wzbijając obłoki pyłu. Nie widzieliśmy żadnych nieprzyjaciół, jednak po chwili dogonili jakąś ofiarę i zaczęli ją na oślep atakować pazurami i kłami.

W bezpiecznej odległości lisy, które nie były lisami, naśladowały zachowania niedźwiedzi i z nich kpiły, również gwałtownie zmieniając kierunek, kłapiąc szczękami w powietrzu, goniąc własne ogony i używając swojego kamuflażu, by zniknąć, a następnie pojawiać się w innym miejscu. W pewnej chwili jeden z wysłanników znieruchomiał i zapatrzył się na lisy, jakby się zastanawiał, czy są wrogami.

- Ktoś tam jest – zauważyłam.
- Tam zawsze ktoś jest – odrzekł Wick.
- Wścieklizna? Szaleństwo? Zabawa? – zgadywałam.
- Albo Magiczka.
- Gryzące muchy?

Kiedy tak patrzyliśmy, to, czego nie mogliśmy dostrzec, umknęło przed tym, co widzieliśmy, i pościg rozpoczął się na nowo na zachodnich rubieżach równiny, chociaż niewidzialna ofiara wciąż próbowała przedostać się na południe, a gdy zrobiło się całkowicie ciemno, odniosłam wrażenie, że jeden z wysłanników potknął się i upadł, jakby otrzymał cios, ale nie miałam czasu patrzeć, gdyż musieliśmy kontynuować naszą ucieczkę.

Lisy zmieniły się w czerwonawe błyski na tle zachodzącego słońca, a potem w mroczne sylwetki, siedzące i obserwujące. W końcu zniknęły.

Tak więc wędrowaliśmy w ciemności, przez równinę, która okazała się mniej wymarła, niżbyśmy sobie życzyli. Wokół nas rozlegały się cichsze ryki niż te pochodzące od niedźwiedzi, szczekanie lisów i śliski szelest, który, jak mieliśmy nadzieję, wywoływały węże, oraz tupot ryjących ssaków o różowych palcach w kształcie gwiazdek, a nawet skrzeczenie żaby nawołującej z wody, przed którym ukrywaliśmy się za rzędem kaktusów. Otaczające nas bryły ciemności nie pozwalały nam ocenić, co stanowi zagrożenie, a co jest niewinne.

– Nie pamiętam, żeby tu było tyle życia – narzekał Wick. Ale wątpiłam, by w ostatnich latach wędrował tędy nocą.

Chmury przesłaniały księżyc w nowiu, który oblewał niebo fioletowym blaskiem, a wraz z zapadnięciem zmroku wiatr nieco zelżał. Wciąż brnęliśmy naprzód, aż w końcu godzinę przed świtem zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym ziemia była ciemniejsza i tworzyła płytkie wyżłobienia albo rozpadliny, którymi niosły się niezniekształcone dźwięki. Rozbiliśmy obóz w wąwozie od zawietrznej strony olbrzymiego powalonego słupa, tak głęboko, jak udało nam się dotrzeć, powstrzymując irracjonalny lęk przed tym, że słup przetoczy się i nas zmiażdży albo jakiś nocny niedźwiedź wygarnie nas z kryjówki jak termyty.

Nie wiedzieliśmy, czy wysłannicy Morda mogą zmierzać w naszą stronę, ale śledzenie ich ruchów już nas spowolniło, podobnie jak fakt, że noc była nadspodziewanie pełna życia. Zamierzaliśmy odpocząć godzinę i wczesnym rankiem wyruszyć w stronę zbiorników retencyjnych. Mimo że obandażowałam obolałą kostkę, ta wciąż dokuczała mi na nierównym gruncie, a Wick musiał przez większość czasu nieść plecak, póki miałam niesprawne ramię. Czułam się jak skrzypiąca, wiekowa istota, która przedwcześnie się zestarzała.

W milczeniu podzieliliśmy się racją żywnościową. Po wypiciu

łyka wody z naszych skromnych zapasów Wick się położył, a ja stanęłam na straży, ponieważ i tak nie mogłam zasnąć. Bolało mnie biodro i miałam wrażenie, że tkwię w egzozkiecie, który poobijano młotkami.

Spod naszego słupa księżyc wyglądał jak martwy, skażony, zabarwiony na wyjątkowy fabryczny odcień szarości: zaokrąglona głowa nieżyjącego robota z na wpół odsłoniętą czaszką. Ale i tak wznosiłam ku niemu wzrok, ponieważ na niebie nie było niczego równie jasnego, a przed sobą miałam tylko pustkę.

Próbowałam przywołać wspomnienia nocy na mojej wyspie, zmienić ostry wiatr w tropikalną bryzę, a cienie i piasek w figlarne fale i ciemne sylwetki palm. Ale otaczał mnie brudny i jałowy krajobraz, a obsesja na punkcie przeszłości mnie wyczerpała.

Błądziłam wzrokiem, coraz bardziej otepiała, i wbrew sobie niemal zasnęłam. Wciąż widziałam, jak wysłannicy Morda ścigają coś niewidzialnego przez równinę. Wciąż widziałam poduszki olbrzymiej łapy Morda obniżające się, by mnie zmiażdżyć, a perspektywa unicestwienia wzbudzała we mnie osobliwy respekt.

Kiedy się otrząsnęłam, w powietrzu unosiła się przytłaczająca woń, jakby wiekowego, pozbawionego fal oceanu pogrzebanego w wodnym osadzie, w soli i odbiciach. Ciemność uformowała się w niemal rozmyślny sposób. Na równinie dotychczas nawet w mroku wyraźnie odznaczały się nierówności terenu, ale teraz miałam przed sobą jednostajną, połyskującą czarną płaszczyznę. Ten widok przywoływał kojące wspomnienia: widziałam błyski i migotanie tysiąca świetlików, jak na suficie w Balkonowych Klifach. Łagodne, złociste mruganie na ziemi, które miało mnie uspokoić.

Krawędź tego morza migoczących światel zbliżyła się do skraju pękniętej skały oddzielającej się od słupa, spoglądając na mnie badawczo.

– Ciii, Rachel. To ja. – Znajomy głos, sztuczka iluzjonisty.

Znieruchomiałam, opierając się pokusie obudzenia Wicka.

– Odstraszyłem niedźwiedzie – powiedział. – Odesłałem je na jakiś czas. – Ale które niedźwiedzie?

– Jak nas znalazłeś, Zrodzony? – To pytanie wydawało się kluczowe.

– Och, lisiczka powiedziała mi, gdzie jesteście. Od jakiegoś czasu jestem w mieście i walczę z wysłannikami Morda.

– Czego chcesz? – Mówiłam cichym i spokojnym głosem.

Wick drgnął obok mnie, a ja doskonale wiedziałam, co powie, i że będzie miał rację.

– Witaj, Wick, jak się masz?

– Odejdź – odrzekł Wick.

– Bo co, Wick? – odparł lekceważąco Zrodzony. – Rzucisz na mnie kilka robaków? Zacznieś mnie przezywać? Wygnasz mnie?

Obejrzałam się i położyłam dłoń na piersi Wicka.

– Pozwól mi z nim porozmawiać – wyszeptałam. – Zaufaj mi.

– Zasmuciło mnie, że musieliście opuścić Balkonowe Klify – rzekł Zrodzony. – To było takie sympatyczne miejsce dla nas wszystkich. Nie chcecie tam wrócić?

– Pewnego dnia, Zrodzony.

Pomimo noża w kieszeni, rozglądałam się za jakąś bronią, ale wiedziałam, że niczego takiego nie znajdę. Najwyżej coś, co sprawi, że poczuję fałszywą pewność siebie. Kamień. Kawałek rury.

Zrodzony był taki ogromny, pokrywał ziemię jak plama oleju. Wiedziałam, że jadł, próbował.

– Idziecie do budynku Firmy – rzekł.

– Tak.

Smoknął, jakby był mną rozczarowany.

– Ależ budynek Firmy jest obrzydliwy. Nie znoszę go. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Wiedziałam z jego dziennika, że maskuje swój dawny strach. Czy gdyby ujawniła się prawdziwa natura Zrodzonego i zabiłby nas oboje, tak że Rachel i Wick odtąd istnieliby tylko w jego wnętrzu, to byłibyśmy naprawdę martwi, czy może wciąż żylibyśmy w jakiejś zmienionej postaci?

Wtedy odezwał się Wick. W jego głosie dało się usłyszeć

współczucie.

– Zrodzony, nie idziemy na północ. Wybieramy się na południe. A ty nie możesz nam pomóc.

Zrodzony milczał tak długo, że poczułam się nieswojo. W panującej ciszy słyszałam jakby dygotanie, ciche syczenie i płaczące jęki – wszystkie one wydobywały się z pola świetlików, którym był Zrodzony. Wick cofnął się w ciemność pod słupem, a ja wiedziałam, że jest gotowy do ataku i w razie potrzeby wykorzysta przeciwko Zrodzonemu resztki biotechnologii. Ale nie to zajmowało mi myśli.

– Dobrze się czujesz, Zrodzony? – Nie zamierzałam okazywać mu troski, ponieważ wtedy musiałabym się martwić, jak na to zareaguje Wick... ale byłam zmęczona, a poza tym przecież go wychowałam, więc nie potrafiłam się powstrzymać. Nawet teraz, na tej piekielnej równinie pod martwym księżycem, gdy zmierzaliśmy do otwartego grobu, jakaś część mnie czuła, że jestem coś winna Zrodzonemu.

– Och, Rachel – odrzekł Zrodzony, po raz pierwszy, odkąd go znałam, sprawiając wrażenie znużonego i starego. – Jakoś sobie radzę. Bardzo się staram. Ale wysłannicy Morda są sprytni. Nawet kiedy się do nich upodabnam, w końcu mnie wykurzają. Pokonuję ich i wchłaniam, ale jest ich tak wielu, a ich ugryzienia pieką.

– Pokaż mi, gdzie jesteś ranny – poprosiłam.

Świetliki wyblakły i na popękanej równinie rozbłysły matowe srebrno-szare plamy.

Tak wiele martwych obszarów, tak wiele miejsc, w których jad zabił tkankę. Zrodzony był teraz ogromny i stale rósł, zbyt szybko, by obrażenia mogły go powstrzymać, ale był ranny, jego ciało doznało uszczerbku. Patrząc na niego, nie potrafiłam stwierdzić, kto ostatecznie zwycięży w tej wojnie na wyniszczenie.

– Powinieneś przestać – powiedziałam, a spod mojego pancerza przebiła się matczyzna troska. – Powinieneś na jakiś czas odpocząć w bezpiecznym miejscu i wrócić do zdrowia.

Zrodzony roześmiał się, jakbym powiedziała coś absurdalnego,

a na jego skórze pojawiły się zmarszczki i spirale. Taka ludzka reakcja ze strony istoty, która obecnie wyglądała tak nieludzko. Zrodzony się roześmiał, a jego rany zniknęły i w ich miejsce rozbłysły świetliki, chociaż nie tak liczne jak poprzednio.

Przede mną zjawiła się mniejsza wersja jego dawnej postaci. Idiotyczny wazon z uchem, kręgiem oczu i zakrzywionymi mackami na szczycie.

– Jestem zbyt duży, żeby długo się ukrywać, Rachel. Nie potrafię się wcisnąć do odpowiedniej kryjówki. Poza tym cały czas jestem tak głodny, dobrze o tym wiesz, Rachel. Zawsze o tym wiedziałaś, powtarzałaś mi to, a ja cię nie słuchałem. Ponieważ nie mogłem. Głód staje się tym dotkliwszy, im więcej jem.

Tak wiele oczu spoglądających na mnie z porozumiewawczym błyskiem i rezygnacją. Jeden znużony weteran rozmawiający z drugim.

– Łatwiejsza ofiara – odpowiedziałam, wkraczając na niebezpieczne terytorium.

– Nie, Rachel, już nie staram się być dobry – odparł. – To nie leży w mojej naturze. Zostałem stworzony, by pochłaniać. Stworzony, by zabijać. Teraz o tym wiem. Wszystko na nic.

– Musisz próbować.

Puste słowa, które go pobudziły i rozpały.

– Mówię ci, Rachel, że już nie mogę. Nie jestem zbudowany tak jak ty. Nie jestem człowiekiem. Nie jestem osobą.

Na jego rozległym morzu, pośród zmarszczek, pojawiły się ludzkie głowy, jak pływacy w wodzie. A także zwierzęce łby oraz głowy zmutowanych dzieci i wysłanników Morda. Co najmniej kilkunastu wysłanników. Lśniące, ciemne głowy z otworami zamiast oczu. Przypatrywały nam się.

Ale mnie już nie dało się zaszokować.

– Przestań, Zrodzony – powiedziałam.

Głowy się wycofały, morze uspokoiło się i wyciszyło. Poczułam zapach słońca na piasku, fal i wszystkiego, co kochałam w swojej przeszłości.

– Jesteś osobą – powiedziałam, ponieważ musiałam. Pomimo świadectwa moich oczu, a może ze względu na nie.

– Rachel, nie widzisz tego co ja. Ja dostrzegam wszystkie powiązania – odrzekł Zrodzony. – Widzę, dokąd to wszystko zmierza, ku czemu dąży. Po prostu nie byłem wystarczająco silny, żeby doprowadzić to do końca. Czekałem i zwlekałem. Myślałem, że może...

Wiedziałam, co myślał. Mnie przychodziły do głowy takie same myśli, nawet po złożeniu obietnicy Wickowi. Wick siedział niespokojny za moimi plecami. Był przekonany, że Zrodzony nas zaatakuję, ale byliśmy bezpieczni. Zawsze byliśmy bezpieczni, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych.

– Posłuchaj mnie i się schowaj – poprosiłam. – Znajdź jakąś kryjówkę. Zamaskuj się.

Ale Zrodzony miał inne pomysły.

– Rachel, co się z nami dzieje, kiedy umieramy? Dokąd idziemy?

– Zrodzony...

– Dokąd, Rachel?

– Donikąd. Trafiamy do ziemi i już nigdy stamtąd nie wychodzimy.

– Nie sądzę, by to była prawda, Rachel. Sądzę, że dokądś odchodzimy. Nie do nieba ani piekła, ale dokądś. Wiem, że tak musi być.

– Dlaczego?

– Ponieważ przyszedłem do ciebie, by powiedzieć, że wiem, jak wszystko naprawić. Widzę to tak wyraźnie i teraz jestem w stanie to zrobić. Mogę tego dokonać. Wszystko naprawię. Zobacysz... i przekonasz się, że mówiłem prawdę.

Potem zrobił minimalną pauzę, a gdybym go tak dobrze nie znała, nie zauważyłabym jej ani nie domyśliła się, co ona oznacza.

– Aż w końcu wszystko między nami znów będzie dobrze, będziecie mogli wrócić do Balkonowych Klifów, a ja zamieszkać z wami i wrócą czasy, gdy biegaliśmy ze śmiechem korytarzami albo gdy mnie przebieierałaś i wyprowadzałaś na balkon ponad tamtą piękną rzeką. Będzie tak jak dawniej.

– Zrodzony.

Mogłam tylko wypowiedzieć jego imię, ponieważ nie potrafiłam mu przekazać, w jaki sposób instynkt zмага się we mnie

z rozsądkiem. Nie w obecności Wicka. Sądziłam także, że Zrodzonego ogarnęły fałszywe wyrzuty sumienia, które podsuwają mu myśl, że dzięki sile swoich przekonań i emocji można wszystko naprawić, podczas gdy to niemożliwe. Wyrzuty sumienia i fałszywy obraz sytuacji skłaniały Zrodzonego do mówienia tych zwarjowanych rzeczy.

– Do widzenia, Rachel.

– Do widzenia, Zrodzony.

Jakże błędnie odczytałam tę chwilę i jak bardzo teraz tego żałuję. Wierzyłam, że powinnam zamknąć przed nim serce i nie ustąpić. Pożegnać się z nim i postarać się, by to zabrzmiało szczerze.

– Ale wiem, że jeszcze się zobaczymy – rzekł Zrodzony.

Gdybym mogła cofnąć czas, przystałabym na jego propozycję. Przed naszym rozstaniem udzieliłabym mu zgody, zapewniła, że mu wierzę, niezależnie od tego, co naprawdę czułam, aby mógł z radością podążyć wybraną przez siebie ścieżką. Może nawet roztoczyłabym przed nim fałszywą wizję szczęśliwego życia w Balkonowych Klifach. Mam tylko nadzieję, że coś w moim wyrazie twarzy i zachowaniu pozwoliło mu uwierzyć, że pomimo tego, co zrobił, nigdy nie mogłabym całkowicie go opuścić.

Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie, a zaniepokojony Wick niezdarnie wstał.

Zrodzony z fantastyczną szybkością cofnął się i podniósł, gdy promienie porannego światła pojawiły się na szarym przytłumionym niebie. Przez ułamek sekundy był tęgi, bezkształtny i ciemny, a potem z tego grubego, przypominającego glinę kikutu wyrosła potężna złocisto-brunatna kudłata głowa: łeb niedźwiedzia o serdecznych ślepiach i niemal uśmiechniętym pysku z różowym językiem, a ja zrozumiałam, że Zrodzony spogląda na mnie po raz ostatni.

Później oczy stały się żółte jak próchnica, pysk wydłużył się i zaostrzył, a głowa urosła, tak że Wick i ja wycofaliśmy się w cień słupa. Ciało Zrodzonego rozszerzyło się, potężne i silne, zwieńczone szeroką, piękną głową, a na jego pysku w blasku świtu odmalowały się nie smutek, nienawiść albo przerażenie,

ale rodzaj błogiej pewności, anielska zwierzęcość połykająca czystymi białymi kłami.

Ciało rośło i rośło i rośło, wznosząc się ku niebu, aż wreszcie łeb Zrodzonego jako niedźwiedzia sięgał wysoko ponad nas, a masywne, muskularne ciało, tylne łapy i stopy stały się szersze od słupa, pod którym coraz głębiej się chowaliśmy. Podobieństwo było uderzające i całkowite, chociaż wzorowane na wchłoniętych wysłannikach, a nie na samym Mordzie, przez co Zrodzony wyglądał jeszcze bardziej Nieludzko i dziko, a jego ciało było bardziej zbite i zwinne. Opływowo.

Ten nowy Mord, nowy Zrodzony, popatrzył na nas z wysoka, ryknął, a następnie pośpiesznie ruszył na północ, w stronę miasta, podczas gdy my wyskoczyliśmy z ukrycia, by na niego popatrzeć.

Zrodzony-Mord początkowo biegł jak jaszczurka, potem jak rybik, aż w końcu zaczął się zataczać jak pijany, kołysząc się i wzbijając olbrzymie obłoki pyłu, gdy przyzwyczajał się do bycia niedźwiedziem. Wreszcie zapanował nad sobą i ruchy jego łap stały się ruchami niedźwiedzia, gdy sadził potężne susy na czworakach, rycząc jedno słowo: „Mord!”. Mord! Wyzywał swojego przeciwnika. Był tym całkowicie pochłonięty. Zostawił nas w tyle. Wędrował na nieznanie terytorium.

My także ruszyliśmy w drogę. Nie mieliśmy sobie niczego do powiedzenia, mogliśmy tylko spakować zapasy i skierować się na południe. Mogłam tylko odwrócić się od horyzontu, podczas gdy w oddali biotechnologiczne pułapki wybuchały pod ciężkimi łapami Zrodzonego, wystrzeliwując tuż za nim, tworząc sylwetki lądowych i wodnych potworów, iluzje życia, które bezsilnie chwyciły puste powietrze, szukając ciała do rozdarcia, po czym padały na ziemię w fałszywych śmiertelnych drgawkach.

Zrodzony powiedział jeszcze jedną rzecz, zanim odszedł, ale nie potrafiłam ocenić, czy sam ją wypowiedział, czy może jego słowa w jakiś sposób pojawiły się w moim umyśle: „Wciąż przy tobie będę”.

Światło poranka ukazało, że wyłobienia w terenie wokół słupa to ślady po nieudanym ataku rakietowym Magiczki.

Schodząc z równiny, obok brudnej kałuży zauważyliśmy samotną kaczkę ze złamanym skrzydłem. Chodziła tam i z powrotem, piła z kałuży, stawała na straży, znów piła, przystawała w ciszy. Czekwała. Miała szczęście, że nikt jej nie zabił, że uniknęła zauważenia.

Ruszyliśmy dalej, w stronę Firmy.

Jak sobie poradziliśmy przy zbiornikach retencyjnych

Martwe płetwy i trzepoczące skrzela, bezcielesne drzenie, hałaśliwe pełzanie czegoś, co powinno mieć cztery nogi, ale miało tylko dwie. Małe pozwijane krewetki uwięzione w kałużach, wykluwające się i umierające, raz za razem, wciąż te same organizmy w osobnym akcie prokreacji. Toksyczne. Zamknięte naczynie. Zespólny fragment DNA, niemający końca, a zarazem pozbawiony prawdziwego życia. Czym jest osoba? Kim byli ludzie, którzy stworzyli to miejsce?

Połowę powierzchni większego zbiornika pokrywała plama krwi, jak niewidome oko nieznanego pochodzenia, pozbawione źródła, jednak chora krew wciąż wypływała gdzieś w dole – jeden łyk oznaczał śmierć – stanowiąc być może jedną z najbardziej diabolicznych pułapek Firmy. A może nie mieli nad nią kontroli. Może nie było nikogo, kto mógłby ją wyłączyć, więc plama krwi wciąż się rozszerzała i nie stanowiła już ich problemu ani odpowiedzialności.

Taka była natura zbiorników retencyjnych, które przylegały do budynku Firmy i do opustoszałej równiny, solnej niziny, która nie była naturalna, lecz składała się ze zmielonego plastiku, szkła i metalu. Odpadków, których nie mogli albo nie chcieli spalić. Zalegały one także na dnie zbiorników. Piętrzyły się wokół budynku jak lepki kawior pochodzący od jakiejś przemysłowej ryby. Tryskały wokół naszych butów i do nich przywierały. Barwiły zbiorniki na wszystkie możliwe kolory, ale po zmieszaniu stawały się ciemnozielone, błękitne albo różowe, w zależności od światła. Ten delikatny blask odbijał się także w kłębach oparów unoszących się nad niziną, które rozplływały się w powietrzu, zanim dotarły do poziomu kolan.

Oto źródło zatrucia i skażenia. Oto miejsce, do którego wyrzuca się biotechnologiczne istoty, by umierały, pożerały się nawzajem albo padały łupem sępów, kojotów bądź ludzi takich jak ja,

którzy arogancko uważają się za zawodowych poszukiwaczy żywych tkanek. Na dole znajdowali się także kolejni martwi astronauty, zbita masa ciał na dnie mniejszego zbiornika, wciąż ubranych w jaskrawopomarańczowe kombinezony ochronne, wewnątrz których nie pozostało niemal nic z mięsa i kości.

Nie polowałam tutaj od wieków, ale znałam to miejsce i zawsze go nienawidziłam, gdyż było ponure, chore i stanowiło najwyraźniejszy dowód tego, jak bardzo Firma nas nienawidzi. Nie podobało mi się, że jestem częścią jej ekologii, ale nie miałam wyjścia, dopóki wstępu na te tereny broniły wściekłość Morda i jego nieprzewidywalny stosunek wobec Firmy, a później konflikt między Magiczką a Mordem oraz jego wysłannicy.

Wick nie był wewnątrz budynku od czasu, gdy opuścił Firmę.

– Jest tutaj tak ładnie, jak zapamiętałaś? – spytałam, gdy się zbliżyliśmy.

– Ładniej.

Tutaj nigdy nie było ładnie, ale teraz jeden z boków budynku, przylegający do dwóch zbiorników, zapadł się do środka i poczerniał pod wpływem pożarów, a padlina zbrukała niegdyś nieskazitelną biel, która teraz wyzierała spod smug czerwieni, zieleni i rozmazanego grafitu. Kawałki ścian, które przypominały grube skorupy jajka, wysokie na dwa piętra, przecinały sztuczny piasek w miejscu, w którym upadły po ataku Morda, nie licząc tych, które wylądowały w zbiornikach. W pobliżu spoczywały także podłużne fragmenty stopionych wraków śmigłowców, które wyglądały jak czarne wałki: śmigłowców wysłanych do walki z Mordem. Osobliwie bezkrwawy obrazek, a w kabinach nie było ani śladu pilotów – nawet skrawka szkieletu.

Nie uprzątnięto z kolei łajna Morda, którego łagodne sterty piętrzyły się przed budynkiem Firmy niczym nieudolnie zwinięte bele słomy. Stare odchody wyschły i zostały oskubane do czysta; mieliśmy szczęście, że Mord obecnie rzadko tutaj bywał.

Ale musieliśmy znaleźć boczne wejście – zakamuflowane i niewidoczne, które mogła otworzyć tylko czujna i wyszkolona ręka Wicka. Dostać się do na wpół zatopionych pomieszczeń, z których niemal nikt nie korzystał i o których mało kto wiedział.

Nie byłoby to możliwe przed zniszczeniem Firmy przez Morda i teraz także mogło się okazać zbyt trudne, to jednak było pierwsze miejsce, które powinniśmy sprawdzić.

Co gorsza, napotkaliśmy niedźwiedzia, który początkowo uciekł przed nami na martwą równinę, oglądając się przez potężne ramię, jakby nie był pewien, co tutaj robi.

Czy powędruje dalej ku straszliwemu i zarazem cudownemu Zrodzonemu-Mordowi, który już dotarł do skupiska rozbitych budynków i wciąż dominował w naszym polu widzenia? A może ruszy za nami?

Zwolnił, jakby napotkał silny przeciwny wiatr. Zawrócił, przez chwilę się namyślał, po czym ruszył w naszą stronę, galopem przemierzając równinę. Przez chwilę obserwowałam go przez lornetkę, sprawdzając jego położenie względem charakterystycznych elementów krajobrazu i szacując jego prędkość, aż w końcu powiedziałam Wickowi, że może do nas dotrzeć za niecałe dziesięć minut.

To oznaczało, że jeśli nie znajdziemy wejścia w ciągu pięciu minut, będziemy musieli zrezygnować i uciec dalej na południe, na pustynię. Stamtąd trudno będzie nam wrócić do miasta poprzez zrujnowane tereny na zachodzie. Na jakiś czas dołączymy do tańca lisów na zapyłonym dnie dawnego morza. A potem umrzemy. Z pragnienia. Zabici przez drapieżniki. Albo dogoni nas niedźwiedź.

W pobliżu widzieliśmy jezioro i całą tragedię niepełnego życia, obraz tajemnic istnienia oraz przyczyn, dla których traktujemy w ten sposób siebie nawzajem i zwierzęta. Z trudem brnęliśmy przez sztuczny piasek, by dotrzeć na drugą stronę budynku Firmy, znaleźć drzwi i dostać się do środka, zanim staniemy się kolacją dla niedźwiedzia.

Nieco dalej widzieliśmy martwą równinę i zbliżającego się niedźwiedzia, a za nim podskakujące żywe plamki kolejnych wysłanników, których przyciągnął Zrodzony, maruderów coraz bardziej zbliżających się do jego zamaskowanej sylwetki. Niektórzy padali ofiarą ostatnich zagrzebanych w ziemi biotechnologicznych pułapek, które pojawiały się jak dym, jak

świadomy szmaragdowo-lazurowy pył. Migoczące pokazy, które znikwały na wietrze, a następnie pojawiały się ponownie jako ściany i chmury falujących mikroorganizmów. Widzieliśmy, jak jeden z niedźwiedzi wpadł w tę sieć i runął na ziemię, drgając konwulsyjnie, z szeroko rozwartymi szczękami, jakby nie mógł oddychać. Ale po chwili sieć pękła, niedźwiedź wstał i stare środki bezpieczeństwa ujawniły swą widmową naturę. Firma utraciła władzę.

W oddali dzięki lornetce dokładnie widzieliśmy zdarzenia, w które nie mogliśmy uwierzyć. Może to było złudzenie. Może uważaliśmy, że takich rzeczy nie należy oglądać w świetle dnia, w każdym razie długo staraliśmy się temu zaprzeczać.

Wick się roześmiał, widząc absurdalną zapalczywość szybko zbliżającego się jadowitego niedźwiedzia oraz przejrzyste piękno biotechnologii ponad równinami. Nie umknęła nam ironia sytuacji – aby uciec przed mniejszym zagrożeniem, musieliśmy podjąć większe ryzyko. Ta decyzja ciążyła nam jak żar słońca palący szyję albo nóż przystawiony do gardła. Straciliśmy Balkonowe Klify. Opuściliśmy nasze tymczasowe schronienie. Straciliśmy miasto. A teraz mieliśmy stracić także powierzchnię. Najwyraźniej byliśmy bogatsi, niż nam się wydawało, skoro stale ponosiliśmy takie straty, a jednak wciąż żyliśmy.

Ale czym jest wytrzymałość i dzielenie się stratami, jeśli nie dowodem oddania? Ponieważ Wick okazywał mi troskę, wiodąc mnie płytką częścią grobli pomiędzy dwoma zbiornikami retencyjnymi i ławicami zmielonych odpadów, po przegniłej desce, którą jakaś sprytna dusza ułożyła w płytkiej wodzie, wyznaczając niepewny szlak prowadzący na skraj schronienia.

Ten gest niósł ze sobą nadzieję, a ja w kieszeni kurtki niosłam list.

Dziwne, co zapamiętujemy, a co zapominamy. Pamiętam, jak mokry piasek obejmował mi stopy, jakby chciał nas wciągnąć, i pamiętam niezrównoważony wyraz pyska niedźwiedzia, niemal ludzką lekkomyślność, z jaką szedł chwiejnym krokiem po piasku

po drugiej stronie pierwszego zbiornika, powarkując z każdym krokiem. Pamiętam, co mówił Wick, ale nie wiem, po co to mówił, i znów poczułam się jak uwięziona w bursztynie albo jak zjawa. Obserwowałam niedźwiedzia, jakby zahipnotyzował mnie widok zbliżającej się śmierci. Mogłam tylko stać w miejscu z nadzieją, że boczne wejście się otworzy.

Sadzący susy niedźwiedź, pełen życia, pełen ognia, i my, wygłodniali, samotni i mali, tak mali obok niego. Było w tym coś prawdziwego, co jednak mi umykało.

Tymczasem w głębi zbiornika retencyjnego, niemal u naszych stóp, pod martwymi astronautami, których pokryły martwe trzciny, zaczął się ukazywać jakiś duży brązowy głaz, a na powierzchnię wypłynęły olbrzymie bąble powietrza.

Wick znalazł drzwi.

Były zablokowane.

Nie mogły nas ocalić.

Niedźwiedź prawie nas dopadł.

Jednakże w pobliskiej ścianie było pęknięcie. Wystarczająco szerokie, by posłużyć za przejście. Wystarczająco szerokie dla nas, ale nie dla niedźwiedzia.

To nie był sen. To nie był koszmar. To naprawdę nam się przydarzyło. Pamiętam, jacy byliśmy zmęczeni, przez brak snu, wysiłek i racjonowanie wody. Nie byliśmy przygotowani, odpowiednio sprawni ani gotowi, by wściekle i rozpaczliwie walczyć o życie. Staliśmy pomiędzy zbiornikami, które były dla nas źródłem łupów, wysłannik Morda pędził w naszą stronę, a my kurczowo trzymaliśmy się skrawka gruntu, który bardziej przypominał mokry i porowaty piasek, uwięzieni pomiędzy niedźwiedziem a pęknięciem w ścianie. Niedźwiedź albo pęknięcie, rysa.

Wciąż mieliśmy czas. Tak sądziłam.

Pysk wysłannika przypominał maskę wściekłości, nienawiści i żądzy krwi, a ja nie miałam na to odpowiedzi. Być może nie ma na to żadnej prawdziwej odpowiedzi. Ale byłam człowiekiem i wolałam umrzeć zagubiona w ciemności niż z rozdartą szyją, odgryzioną twarzą i wyprutymi wnętrznościami.

Ukryty niedźwiedź, który na nas czekał, gwałtownie wynurzył się ze zbiornika retencyjnego w chwili, gdy chwyciłam Wicka za rękę i wciągnęłam go za sobą do szczeliny, ku małej szansie na ocalenie. Milcząca bestia uderzyła o ścianę z taką siłą, że wzbiła obłok pyłu, a woda z jej futra zbryzgała mnie brudnymi kroplami.

Wick był wewnątrz budynku. Widziałam, że przedostał się razem ze mną. Ale brunatne futro przesłoniło szczelinę i światło, ogarnęła nas fala smrodu padliny i wiedziałam, że nie weszliśmy wystarczająco daleko. Nie weszliśmy wystarczająco daleko.

Krzyk oporu Wicka, wywracająca mi żołądek klaustrofobia, gdy wdzieralam się głębiej, szorując policzkiem o szorstką skałę, wrzask Wicka, niedźwiedź usiłujący go dosięgnąć.

Objęłam Wicka w pasie jedną obolałą ręką i pociągnęłam go na siebie, a on potknął się i runął tyłem w głąb szczeliny. Pazury wielkiego niedźwiedzia opadły, Wick ponownie wrzasnął, a potem znaleźliśmy się na ziemi, na oślep brnąc w coraz gęstsza ciemność.

Ledwie się mieściłam, opierając się tyłkiem o jedną ścianę i rękami napierając na drugą, jak najszybciej sunąc bokiem niczym krab, rozdzierając sobie ubranie, kalecząc skórę, pchając przed sobą nasz plecak, który w końcu spadł i utknął poniżej. Ryk niedźwiedzia rozlegał się tak blisko. Powietrze było duszne i gęste, pełne pyłu i pajęczyn.

Wick przepychał się tuż obok, objijając się o mnie, zagłębiając się w przejściu szybkimi ruchami. Chciałam rozpaczliwie uciekać, zanurzyć się w szczelinie, tak głęboko, by kły i pazury nie mogły nas dosięgnąć, ale w tym miejscu nie dało się przemieszczać szybko. Było zbyt wąsko. Nie można było biec. Najwyżej przesuwać się bokiem.

– Dalej, Wick! Szybciej! – Na zmianę wypowiadałam te słowa, wrzeszczałam i milkłam skupiona na dalszym wciskaniu się

w głąb szczeliny i chronieniu dłoni przed kolejnymi zranieniami.

„Wybierz jedną rzecz, na której się skupisz, najważniejszą rzecz, a całą resztę odłóż na bok”, mawiała moja matka. Na statku. W zrujnowanym mieście. W wysokiej trawie, gdy ukrywaliśmy się przed uzbrojonymi ludźmi.

– Jesteś ranny? – pytałam Wicka. Nie wiedziałam, czy coś mu się stało.

– Ramię – odrzekł. – Krew.

Jad.

Byliśmy bezmyślnymi skorupiakami, martwymi za życia. Zredukowanymi do niesamodzielnej siły, która chwiejnie oddalała się od szczęk kłapiących przy wejściu. Popychałam swój plecak czubkiem głowy, by przemieszczać naprzód tę straszliwą przeszkodę, podczas gdy za nami niedźwiedź rozpaczliwie wyrywał pazurami kawałki ściany, drapiąc rozszerzającą się szczelinę, a odgłosy „Drrk! Drrk!” grzechotały wewnątrz naszych czaszek, przepływały ponad nami i opadały z góry, napełniając nasze gadzie mózgi świeżą obawą przed czekającymi na nas widmowymi niedźwiedziami.

Wick umilkł i zwiotczał, a ja nie wiedziałam, czy to oznacza, że umarł, czy może stracił przytomność, ale nagle się ocknął, gwałtownie wciągając powietrze. Domyślałam się, że jego ostatni diagnostyczny robak zdołał powstrzymać krwotok. Obróciłam się w ciasnej przestrzeni na tyle, by móc widzieć Wicka, który powoli przesunął się w moją stronę i zaczynał się na mnie wspinać, gotów przepełznąć nade mną, jeśli również nie ruszę naprzód, co w końcu zrobiłam. W świetle, którego nie przesłoniła sylwetka niedźwiedzia, widziałam, że uderzenie łapy rozorało ramię Wicka: cztery ślady pazurów znaczyły ciało pod rozdartym materiałem, ale krwawienie było mniej obfite, niż można się było spodziewać. Nie byłam w stanie dostrzec, jak głęboka jest rana. Jak bardzo zabrudzona pyłem i martwym mięsem innych ofiar.

Pazury były nasączone tym samym jadem co kły, ale nie każdy niedźwiedź był jadowity. Widziałam, że ostatni robak zdechł,

tworząc falującą białą obwódkę wokół rany. Czy zabił go jad, czy może był już słaby, a Wick zbyt go obciążył?

Niedźwiedź przerwał niszczenie ściany. Wielkie mordercze oko zbliżyło się do poszerzonej szpary, by przygwoździć nas spojrzaniem. Przekrwione, świadome, szacujące naszą wartość. Nie mogłam odwrócić wzroku, mimo że osuwałam się po ścianie, wykrzywiona. „Drrrk. Drrrk” oraz coś w rodzaju kpiącego powarkiwania.

Potem oko zniknęło i cień potężnego cielska niedźwiedzia odsunął się od szczeliny.

Wick odzyskał zmysły i położył się na moich kolanach, a ja zatamowałam krwotok kawałkiem materiału, który oddarłam ze swojego podkoszulka.

- Szybcy – odezwał się Wick. – Są tacy szybcy.
- Jesteś ranny. Musimy się dostać do bezpiecznego miejsca.
- Jad – rzekł Wick, wtórując moim obawom.
- Nie możesz być pewien.
- Czuję go. Robak wiedział. On zawsze wie – dodał.
- Możesz przeżyć jad. – To się zdarzało. Słyszeliśmy o takich przypadkach. Ale to nie byli ludzie, którzy już byli chorzy. Ludzie, którzy już tak wiele przeszli.

Dzieliło nas zaledwie sześć albo dziewięć metrów od wlotu szczeliny.

Niedźwiedź zniknął. Nie słyszeliśmy warczenia. Pasek nieba nas kusił, czysty białawy błękit. Wzywał nas, błyszcząc nadzieją.

- Raczej nie odszedł – powiedziałam. – Obawiam się, że pojawił się też drugi.

- Rzuć kamień – zaproponował Wick. – Ja nie mogę.

Ale ja także nie byłam w stanie tego zrobić w tej ciasnej przestrzeni, mimo ośmiu prób, ponieważ musiałam rzucać od dołu. Dopiero za dziewiątym razem kamień poleciał tam, dokąd chciałam, i nic nie strąciło go z kursu. Nic z rykiem nie przesłoniło światła.

- Niedźwiedzie nadal tam są – stwierdził Wick.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, ale nie możemy ryzykować.

- To przejście jest głębsze, niż sądziłam – przyznałam.
- A jeśli jest ślepe?
- Wtedy wrócimy. Podejmiemy ryzyko. Ale jesteś ranny.
- Mogę wstać. Mogę chodzić. – Chociaż „chodzić” brzmiało śmiesznie w tej bruździe, w tym uskoku tektonicznym.
- Światło czy ciemność? – spytałam.
- To ty budujesz pułapki – odrzekł Wick. – Co zalecasz?
- Żebyśmy ocknęli się z tego koszmaru.

Wick się roześmiał. To był odgłos człowieka pogodzonego z tym, co może nadejść.

- A więc ciemność.
- Przejście.
- Szczelina.
- Przejście-szczelina, ponieważ jeśli mam umrzeć, nie chcę tracić ostatnich chwil na kłótnię o coś takiego.

Oboje byliśmy przekonani, że za ten widok błękitnego nieba trzeba będzie zapłacić wysoką cenę.

Nie mogliśmy także zapomnieć, co widzieliśmy w oddali, gdy uciekaliśmy przed niedźwiedziami. Tam, spowite dymem i ogniem, pośród chóru dalekich wrzasków i wybuchów, walczyły dwa olbrzymy – lustrzane odbicia – Mord przeciwko Mordowi, więc nie mieliśmy wątpliwości, że Mord zwycięży. Nie wątpiliśmy także, że wysłannicy Morda, którzy kłębili się oszołomieni u ich stóp, będą musieli opowiedzieć się po jednej ze stron i być może wybiorą niewłaściwie. Dwa potężne niedźwiedzie stawały na tylnych łapach, mocowały się i ponownie rozczepiały, na zmianę goniły się nawzajem, gryzły, uderzały masywnymi łapami uzbrojonymi w śmiertelne pazury i wydawały z siebie ryki oraz stęknienia, które nawet z tej odległości brzmiały ogłuszająco.

Zrodzony walczył z Mordem o panowanie nad miastem, podczas gdy my szukaliśmy szczęścia w budynku Firmy, nie wiedząc, który bóg okaże się zwycięzcą, gdy powrócimy na powierzchnię.

Zanurzyliśmy się w ciemność.

Szło się fatalnie. Plecak stale nam przeszkadzał, ale go potrzebowaliśmy – musiałam trzymać go przed sobą, aż zdrętwiała mi ręka, albo popychać, powłócząc nogami jak więzień podczas spaceru. Niebo zmieniło się z cienkiej kreski w szarą falującą szczelinę, a potem całkowicie zniknęło i nie widzieliśmy go nawet jako iluzji optycznej. Nie wiedziałam, jak daleko sięga pęknięcie, nie potrafiłam wyczuć, jak wysoko znajduje się sklepienie.

Wick promieniował niezdrowym wściekle czerwonym blaskiem. Ale nawet to niepewne światło pomagało mi widzieć pocieszający wzór na ścianie, wzdłuż której szedł. Upewniałam się, że jego słaba dłoń, którą trzymałam, nie jest złudzeniem, jak mi się czasami zdawało, gdy drętwiała mi ręka.

Przesuwaliśmy się bokiem, a gdyby szczelina zakończyła się ślepym zaułkiem, nie wiem, co byśmy zrobili. Może wpadlibyśmy w rozpacz i dali za wygraną. Szpara miejscami zwężyła się tak bardzo, że musiałam odpychać się od obu ścian, by brnąć naprzód, więc to, co przedtem uważałam za nieznośnie ciasne, staowało się obfitym darem przestrzeni.

Moje oczy przyzwyczyły się do mroku, ale nie było na co patrzeć. Na ścianach nie było ani śladu biotechnologicznych istot, nawet mchu pochodzącego z Firmy. Ta pustka napierała na moją pierś, wypełniała mi płuca, tak że musiałam bronić się przed nagłymi atakami paniki i nudności, poddając się otępieniu, co było znacznie prostsze niż ten potępieńczy rytm: raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, popchnąć plecak, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, popchnąć plecak.

Rozmawiałam z Wickiem, gdy tak parliśmy naprzód, chcąc odwrócić jego uwagę od odniesionej rany, a on odpowiadał szeptem, ścisnął moją dłoń lub dawał mi inne znaki, że mnie słyszy.

– Jaka wtedy byłam? – spytałam. – Kiedy mnie poznałeś? – Skomplikowane pytanie.

– Wesoła, zdystansowana, piękna.

– Nie taka jak teraz. Nieszczęśliwa. Przystępna. Brzydka.

- Taka jak teraz – odparł. – Właśnie w tej chwili.
- Nie czuję rąk.
- A ja nie czuję stóp... twoimi rękami.

Histeryczny śmiech. A może tylko histeria.

Śpiewaliśmy piosenki. Głupie, absurdalne piosenki wyśpiewywane fatalnymi, zachrypłymi głosami, wymyślane na poczekaniu. Albo stare melodie, które znali moi rodzice, a których musiałam uczyć Wicka.

Opowiadałam mu historie, ponieważ dzięki temu ja również mogłam na kilka minut zapomnieć o naszym położeniu, napierając na ścianę, by zyskać więcej przestrzeni. Aby być całkowicie bezpieczni, musielibyśmy zachowywać ciszę – nie wiedzieliśmy, co albo kto może nas usłyszeć z przodu ani co może podążać naszym śladem – ale milczenie w takiej ciemności oznaczałoby ostateczne wyzbycie się tożsamości, a na to nie mogłam pozwolić. Wciąż miałam głos. To nie były zaświaty. Nie byłam martwa. Wick nie był martwy.

Opowiadałam o nieprawdopodobnych wyczynach poszukiwaczy, o największych biotechnologicznych znaleziskach. Opowiadałam historie, które przekazywali mi rodzice, o początkach świata, o tym, że Ziemię kiedyś dźwigał na swojej skorupie morski żółw. Opowiadałam o rekinich bóstwach oraz mieszkańcach wysp, którzy zmieniali się w drzewa albo ptaki, by przechytryć potwory. Opowiadałam o swoich przygodach w mieście, chociaż Wick już znał te historie. A kiedy brakowało mi sił, gdy ogarniała mnie ciemność i musiałam się zatrzymać, Wick przejmował pałeczkę, snując zmęczonym, eterycznym głosem legendy o mieście, powtarzając zasłyszane plotki dotyczące Magiczki bądź dzieląc się swoimi wspomnieniami o Mordzie.

Podczas rozmowy braliśmy głębokie oddechy, ponieważ powietrze stawało się coraz bardziej gęste i zatęchłe, a oboje czuliśmy, że coraz trudniej jest nam się skupić, ogarniały nas zawroty głowy i ślanialiśmy się na nogach. Miałam także poczucie zamknięcia w trumnie, która przemieszczała się razem ze mną, i tylko drapanie ubrania oraz uderzenia łokciami

o ściany przypominały mi, że to nieprawda.

W końcu nadeszła chwila, gdy już nie mogłam się przesuwac naprzód, potknęłam się i uderzyłam w palec u nogi, po czym znieruchomiałam ze zgiętymi kolanami i dłońmi na udach.

– Dlaczego się zatrzymałaś? – Głos Wicka zabrzmiał słabiej niż dotychczas.

Nie chciałam mu mówić. Nie chciałam, by wiedział. Że zawiedliśmy, że już po nas, a ja nie mam siły wracać. Że najwyraźniej ponownie utknęliśmy w szybie wentylacyjnym w Balkonowych Klifach, nigdy stamtąd nie uciekliśmy, a cała reszta była ułudą.

– Wick, przede mną jest ściana.

Kiedyś pragnęłam być zjawą, a teraz moje marzenie może się spełnić. Tylko że zbyt wiele czułam. Byłam brudna od potu i żwiru sypiącego się ze ścian, trzęsły mi się nogi i bolały mnie biodra.

Wick przez jakiś czas czuł moje drzenie, ale był zaskakująco spokojny.

– Wspinaj się – powiedział.

– W górze nie ma światła. Żadnego podmuchu. Jeśli zaczniemy się wspinać, a tam niczego nie ma...

Spadniemy albo, co gorsza, utkniemy w objęciach skały. Ściany były tak blisko siebie, że nie dało się solidnie o nie zaprzecć. Wspinaczka pozbawi nasze mięśnie resztki sił, tak że w końcu przestaniemy panować nad swoimi nogami i rękami. Wtedy nie czeka nas katastrofalny upadek. Zamiast tego opadniemy jakby w powolnej symulacji śmiertelnych obrażeń, okładani i szarpani przez ściany, które będą nas przytrzymywać i boleśnie opuszczać, nie pozwalając, abyśmy po prostu runęli na ziemię i roztrzaskali głowy. Będziemy tak słabi, że stracimy jakąkolwiek szansę, żeby się wydostać. Kto wie, jak długo będziemy leżeć połamani i konający w ciemności.

– Wspinaj się – powtórzył Wick, a ja zrozumiałam, że on również nie ma siły zawrócić.

Zatem zaczęliśmy się wspinać w ciemności, nie patrząc w dół, ponieważ nie mogliśmy tam wrócić, modląc się do bogów,

w których nie wierzyliśmy, by w górze czekało na nas światło.
Jakiegokolwiek światło.

Co znaleźliśmy w ruinach Firmy

Na początku musiałam okłamać Wicka w kwestii Zrodzonego, ponieważ kiedy to już stało się ważne... przestało mieć znaczenie. To było, zanim po raz pierwszy zabrałam Zrodzonego do miasta. Wick i ja kłóciliśmy się, czy Zrodzony może być bronią, a ja lekceważyłam jego teorię, twierdząc, że nie ma ku temu żadnych przesłanek. Ale Zrodzony sam powiedział, że może być bronią, podczas kolejnej nocnej rozmowy, w które go wciągałam, gdy nie mogłam spać, lub które mnie rozbudzały, gdy byłam śpiąca.

Zrodzony znów mówił do siebie:

– Nie czuję się jak broń. Nie wyglądam jak inne rodzaje broni. Może miałem stać się bronią, ale coś się nie udało. Nawet nie wiem, skąd pojawiło się u mnie słowo „broń”. Wcześniej go nie znałem. Broń broń broń. Broń? Br. Oń. Be. Er. O. Eń. – Przetrawiał to słowo, zanim ono go skolonizowało.

Jego oczy zmieniły się w kolce albo ostre krawędzie i stał się miniaturowym zielono-niebieskim morzem rozciągniętym na mojej podłodze, pokrytym zamarzniętymi falami.

– Rachel, wiem, że nie śpisz.

Oczywiście, że o tym wiedział. Miałam otwarte oczy, a on już niejednokrotnie dowiódł, że znakomicie widzi w ciemności.

– Gdzie poznałeś słowo „broń”? – spytałam. Zrodzony przywykł do tego, że pytam go o źródła jego wiedzy, chociaż wielu rzeczy uczył się ode mnie.

– Och, no wiesz – odrzekł. – No wiesz... tam gdzie zawsze.

– Tam gdzie zawsze?

– Tu i tam, za siedmioma górami, za siedmioma lasami.

Uznałam, że ten sposób dociekania prawdy na nic się nie zda, ponieważ Zrodzony uciekał się do języka rodem z książeczek dla dzieci. Szczerze pożałowałam, że tak wiele mu ich podarowałam.

– Wątpię, byś był bronią – powiedziałam zaspanym głosem. – Jesteś na to zbyt niepoważny.

– Broń nie może być niepoważna?

– Nie – oceniłam. Kiedy później się nad tym zastanowiłam, uznałam, że większość broni jest niepoważna albo pod jakimś względem niepoważnie wygląda.

– Ale co, jeśli jednak nią jestem, Rachel?

– W takim razie nie wiem.

– Czego nie wiesz? Jak mnie powstrzymać? Czy jeśli jestem bronią, nie będziesz musiała mnie powstrzymać? W książkach ludzie zawsze powstrzymują broń.

To było poważne stwierdzenie. W jakich książkach? Dlatego usiadłam na łóżku i spoważniałam. Wywierałam wpływ na Zrodzonego, on jednak w równym stopniu wpływał na mnie, dlatego moje podźwignięcie się na posłaniu i przybranie poważnej miny przypominało jego zmianę kształtu i ułożenia oczu.

– Opowiadasz bzdury – odparłam.

Moja kolejna sztuczka polegała na skłonieniu Zrodzonego do skupiania się na kluczowych słowach, z którymi go zapoznawałam. Zrodzony wtedy zazwyczaj zaczynał powtarzać dane słowo w rozmaitych kontekstach. Ale nie tym razem.

– Ale jak miałabyś mnie zatrzymać? – spytał. – Jak?

Nie chciałam się nad tym zastanawiać, a przynajmniej nie w swoim mieszkaniu, w łóżku, w towarzystwie Zrodzonego.

– Jak powstrzymujesz inne bronie? – naciskał. – Zabijałaś ludzi, żeby je powstrzymać? Jak to się robi?

– Załóżmy, że nie jesteś bronią – odpowiedziałam. – Nie jesteś bronią tylko czymś niezwykłym, cudownym i użytecznym. Odkryj, czym jest ta niezwykła rzecz, a potem postaraj się nią być.

Po tej rozmowie nie mogłam zasnąć, gdyż ogarnął mnie niejasny niepokój. Co Zrodzony mógł o tym wszystkim wiedzieć? Wszyscy byliśmy jakimś rodzajem broni. Wszyscy zostaliśmy zamienieni w broń.

– Jestem osobą czy bronią? – Wciąż chciał słyszeć, że jest osobą. Dlatego dawał mi różne możliwości do wyboru, licząc na to, że pewnego dnia się przejęzyczę i powiem: „Nie jesteś osobą”.

– Jesteś osobą. Ale jak każda osoba możesz być także bronią.

Teraz, kiedy razem z Wickiem wspinaliśmy się w stronę światła – przynajmniej na to liczyliśmy – przypominałam sobie tamtą rozmowę i zbudziła się we mnie nadzieja na coś, czego nigdy wcześniej nie pragnęłam.

Chciałam, aby Zrodzony był bronią. Nieważne, co się z nami stanie, gdy zapatrzymy się w światło, chciałam, aby był nie tylko dobrą, ale wręcz znakomitą bronią. Taką, która może pokonać Morda.

*

Ale nie było światła, ponieważ tkwiliśmy w przejściu-szczelinie niemal do zmierzchu. Znaleźliśmy tylko otwór, jakby pozostałość z Balkonowych Klifów, i zaczęliśmy radośnie chichotać, ciesząc się ze świeżego powietrza przeganiającego zaduch. Chichotaliśmy i ocieraliśmy brudne twarze z pyłu i pajęczyn, podciągając się ostatkiem sił, by w końcu położyć się pomiędzy olbrzymimi pożółkłymi kręgami jakiegoś martwego zwierzęcia oraz białym gipsowym modelem niedźwiedziego łba, na którego widok Wick cicho się roześmiał, trzymając się za bok.

– Och, Rachel – westchnął. – Och, Rachel.

Luksus przestrzeni, możliwość rozprostowania kości i odetchnięcia świeżym powietrzem – dostaliśmy zbyt wiele tlenu na raz, zbyt wiele wolności.

Podnosiliśmy wzrok na bezchmurne granatowe, szarzące niebo, na którym coraz wyraźniej rysował się martwy księżyc. W powietrzu wisiała słaba, ale uporczywa słona woń, której nie mógł przegnać nawet chłozzczący wiatr. Unosiła się z lewiatana, którego zabił Mord, a którego kręgosłup wił się w gruzach wokół nas.

W tym miejscu nic się nie poruszało, chyba że dotknął tego wiatr. Ten bezruch wydawał się niesamowity i nienaturalny, a jednak nic nas nie atakowało. To był zwykły opuszczony budynek, w którym otaczały nas rozmaite rodzaje szczątków, od poskręcanego, rozbitego sprzętu po resztki namiotów i innych oznak tego, że pracownicy Firmy pod koniec zmienili się

w dzikich lokatorów. Oglądaliśmy prowizoryczne detale ich życia.

Wiatr przynosił nam jedyny dźwięk, który mógł pochodzić z czasów, gdy Mord zniszczył budynek Firmy. Ale Mord teraz nienawidził Zrodzonego. Słyszeliśmy jego ryk, a także ryk drugiego olbrzyma; pod jednym krył się gniew, a pod drugim oszołomienie, jakby jeden z przeciwników wciąż nie znał natury drugiego. Ten odgłos – wyraźny, odległy, natarczywy – dobiegał z północy i świadczył o tym, że Mord i Zrodzony wciąż walczą.

Tymczasem my, dwa worki mięsa, żyliśmy pośród zniszczeń, które Mord spowodował w Firmie. Oboje byliśmy tak pokryci brudem, że Wick przypominał jakąś jaskiniową istotę, którą po wielu latach odkopano i wydobyto na powierzchnię. Gdyby Mord wciąż potrafił latać i mógł obserwować świat z góry, zobaczyłby dwa małe skrawki mięsa, niewarte zabicia, leżące pośród rozległego morza niepokoju i nieporządku, otoczone ścianami, które wciąż były wystarczająco wysokie, by uniemożliwić nam wyjrzenie na zewnątrz. Skrawki mięsa zachwycone własnym przetrwaniem, uradowane w swojej słabości.

Jednakże Wick był słabszy ode mnie. Co prawda czułam drżenie i mrowienie w każdym mięśniu w swoim ciele, a mój bok i plecy były rozognione pod wpływem tarcia o ścianę szczeliny, ale przynajmniej nie poturbował mnie niedźwiedź.

Posadziłam Wicka pod jednym z potężnych kręgów i zaczęłam szperać w plecaku w poszukiwaniu jakiegokolwiek pomocy. Bandaży, tabletek przeciwbólowych, środków odkażających.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– Dobrze – odpowiedział zachrypniętym głosem, który brzmiał jak odgłos pilnika na srebrnej nici. – Czuję się dobrze.

To była nieprawda. Drżały mu dłonie, a cienie pokrywające twarz nie były skutkiem brudu, podobnie jak żółtawe plamy pod oczami. Ślady pazurów na ramieniu spuchły i wciąż były świeże, mimo że pokryły się strupami. Napęczniały, jakby miały pęknąć. Musiałam oczyścić i opatrzyć rany, nawet jeśli nie uda mi się usunąć trucizny.

– To będzie bolało – ostrzegłam całkiem niepotrzebnie, biorąc

pod uwagę, jak Wick na mnie patrzył. Dobrze. Był wystarczająco przytomny, żeby czuć się rozdrażniony.

Nie krzyczał, gdy robiłam to, co musiałam zrobić, chociaż zdarłam mu skórę, oblałam ją ogniem, a potem obwiązałam ramię, na tyle luźno, by bandaż nie przywarł do skóry. Nie rozmawialiśmy o tym, co oznacza ta rana, o potencjalnych kolejnych fazach działania jadu.

Dałam mu łyk wody z naszej manierki, sama też się napiłam, a potem długo siedzieliśmy oparci o kręgosłup poległego wroga Morda. Byłam zbyt zmęczona, by dostrzegać w tym bezruchu cokolwiek poza chwilowym bezpieczeństwem. Ale gdybym właśnie nie wyłoniła się ze szczeliny w podłodze, z miejsca, w którym spodziewałam się umrzeć, mogłabym zdawać sobie sprawę, że bezruch oznacza kontrolę. Brak poszukiwaczy oznacza kontrolę. Ktoś albo coś władało tym miejscem, mimo że robiło ono wrażenie opuszczonego.

– Wiesz, dokąd powinniśmy teraz iść? – spytałam. Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko brnąć dalej, póki starczy nam sił. Kierowała mną nadzieja, że znajdę nie tylko lekarstwo Wicka, ale także odtrutkę na jad.

– Tak – odrzekł Wick. – Jeśli drzwi nie zostały pogrzebane pod kośćmi lewiatana lub dźwigarami.

Od strony miasta znów dobiegł ryk, a z potężnych głosów dało się wyczytać, że wynik walki wciąż jest niepewny.

– Kiedy tylko będziesz gotowy – powiedziałam, chociaż perspektywa wstania z ziemi wydawała się równie nieosiągalna jak dotarcie do dalekiej mitycznej krainy, gdy jest się uwięzionym w ruchomych piaskach.

– Już – odparł Wick, zgrzytając zębami, po czym podparł się jedną ręką i wstał.

Poszłam w jego ślady, zakręciło mi się w głowie, prawie zemdlałam, otrząsnęłam się, plecak bujał się przy mojej dłoni jak ciężkie wahadło. Wick chwycił mnie za nadgarstek i pomógł mi się wyprostować, krzywiąc się z wysiłku.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedział. – Wiem, że drzwi wciąż tam będą.

Wszystkie nasze słowa, wszystko, co mówiliśmy do siebie w tym miejscu, było niezwykle praktyczne, jakby już było za późno na inne rozmowy, skoro tak bardzo zbliżyliśmy się do śmierci, do kresu. Jakby cała reszta mogła zostać wypowiedziana tylko w przeszłości, zanim poznaliśmy przyszłość.

Kiedy Wick prowadził mnie przez ten zrujnowany labirynt, widzieliśmy mnóstwo śladów opuszczenia, elementy układanki takie jak wyrwane ściany i zapomniane biurka spiętrzone jak drewno na opał albo kości lewiatana spoczywającego na szczycie budynku jak bezsilny strażnik. Zaimprovizowane sterty papieru pokrytego popiołem. Małe namioty znaczące krajobraz i towarzyszące im ślady ognisk, zawsze rozmieszczone wokół porzuconych otwartych laboratoriów, które często były zburzone, ale otaczały je niezniszczone przedmioty, jakby Mord chciał im poświęcić szczególną uwagę. Od czasu do czasu widywaliśmy skorupy martwych ciał leżące pod belkami albo skulone w kątach. To miejsce było zaburzone i na wprost zniszczone na długo przed tym, jak Mord zerwał dach. Nie spustoszyła go wojna domowa pomiędzy poszczególnymi frakcjami, tylko uczynił to narastający chaos.

Najbardziej niepokoiły nas wszechobecne niedźwiedzie. Zdjęcia i rysunki niedźwiedzi, podarte, przemoczone, przyklejone do ścian. Prymitywne rzeźby niedźwiedzi, ich popiersia. Niedźwiedzie biegające, chodzące, siedzące, wykresy, które wyraźnie posłużyły do stworzenia wysłanników Morda. Wszystkie one na szczęście zniknęły w cieniach i mroku, gdy noc przesunęła nad nami swą ciemną dłoń. Widzieliśmy, jak bardzo ocaleni pracownicy Firmy zaangażowali się w kult Morda, a także jak wytrwale poszukiwali rozwiązania problemu, którego nie dało się rozwiązać. Trudzili się, wykorzystując resztki swojej wiedzy, by służyć Mordowi, rozpaczliwie pragnąc mu służyć, a on w końcu i tak ich zniszczył.

*

Okazało się, że nie ma żadnych magicznych drzwi, więc musieliśmy poszukiwać niższych poziomów, odurzeni słabością, chorobą i obrażeniami, podtrzymując się nawzajem, by móc rozglądać się wśród zawalonych sufitów, niestabilnych ścian nośnych i duszącego pyłu, coraz mniej przejmując się kolejnymi napotkanymi trupami.

Dla Wicka to było jak powrót do miejsca, którego zniszczenia od dawna pragnął – przy czym sam chciał go dokonać. Nie potrafił zaakceptować tego, że ktoś go wyręczył, a jego postawa cieszyła mnie tylko dlatego, że rozniecała czysty ogień, który przez jakiś czas płonął w jego wnętrzu.

Przeszukiwaliśmy gruzy, a Wick starał się pogodzić ze zrujnowaniem budynku Firmy. Z tym, że miejsce, od którego się oddalił, już nie istniało w formie, jaką pamiętał, a ludzie, którzy zajmowali tak ważne miejsce w jego umyśle, zapewne od lat nie żyli. Znów stawał się zwykłym pracownikiem, jakby to miejsce pobytu kształtowało człowieka, a nie odwrotnie.

Kiedy tak wędrowaliśmy, świadomość tego, że nic nie idzie po jego myśli, dodawała Wickowi sił w poszukiwaniach, które stały się poszukiwaniami tego, co znajome, i tego, co się zmieniło. Tymczasem inna świadomość – mijającego czasu, tykającego zegara – docierała do nas za pośrednictwem Zrodzonego i jego walki z Mordem. Zdawałam sobie sprawę, że ta walka może sprawić, iż wszystko inne przestanie mieć sens, ale wciąż pomagałam Wickowi zagłębiać się w nieruchomym, obojętnym wirze śmieci, rzeczy bezużytecznych, tajemniczych i żałosnych. Wkrótce już nie słyszeliśmy ryku Morda i nie wiedzieliśmy, czy zagrzebaliśmy się zbyt głęboko, czy może Mord zwyciężył.

– Tego nigdy tutaj nie było – szeptał Wick. – Dlaczego to zrobili?

– To by im się nie przydało – gderał Wick. – Mieliby z tego więcej pożytku, gdyby to zjedli!

– Nie przewidzieli, że taka barykada nie wytrzyma?

Wick balansował na granicy starości, a ja przez chwilę widziałam jego przyszłą wersję uwięzioną w przeszłości. Żadne z nas już nie panowało nad naszymi potworami.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do jakiejś granicy – równania, na które składało się chaotyczne połączenie dźwigarów, ścian i upadku oraz powielonych drewnianych, metalowych lub plastikowych elementów – Wick przestał mówić i rozejrzał się, jakby coś usłyszał. Ale to był odgłos straty. Nie wiedzieliśmy, czy Mord i Zrodzony wciąż walczą. W każdym razie już ich nie słyszeliśmy.

Utrata tego dźwięku odebrała Wickowi energię potrzebną do narzekania i przeczesywania ruin, a bez mojego zegarka pozostało mi tylko nieustające wrażenie, że ktoś albo coś obserwuje nas z ukrycia. Niepokojące mrowienie zmysłów, które trwały w stanie najwyższej czujności. Ale Wick już nie dbał o ostrożność albo stracił taką umiejętność pod wpływem jadu, więc kilkakrotnie musiałam go uciszać i pouczać, aby szedł wolniej, w przeciwnym razie się potkniemy. Odgłosy naszej wędrówki niosły się hałaśliwym echem.

– Już niedaleko, już niedaleko – odezwał się Wick kilka minut później, chwytając trop. Przynajmniej tyle mu pozostało.

Znaleźliśmy się na dnie zawałonej części budynku. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak gruba i głęboka jest warstwa gruzów, która z tej perspektywy przypominała koronkowy wzór stworzony przez huragan albo trzęsienie ziemi. Zeszliśmy w głąb tornada szczątków. Nie podobała mi się wizja ponownej wspinaczki po zboczu tego sztucznego wąwozu, ale nie wiedziałam, czy w ogóle będziemy mieć taką szansę.

Wick zaczął łomotać pięścią w rozerwane drzwi, które prowadziły na schody zasypane gruzami, a potem grzmocić w nie czołem i uderzać dłońmi w futrynę. Musiałam go powstrzymać, przygwoździć do ziemi jego chwytające i drapiące dłonie, tak by nie urazić zranionego ramienia.

– Co, Wick? Co?

Był rozpalony – czułam gorączkę promieniującą spod jego dłoni – i spocony, a jego oczy schowały się głębiej w oczodołach i pojawiło się w nich światło, niczym ciemnoczerwone płomyki – intensywne, pełne życia, ale zdecydowanie zbyt jasne.

Wpatrywał się w jeden punkt, a ja zastanawiałam się, czy nie traci wzroku. Zmarniały robak przyczepiony do jego ramienia zmienił kolor z białego jak kość na czarny i zaczął się rozpląwać w tłustą substancję, która plamiła Wickowi koszulę. Cuchnął tą ciecżą.

– To było tutaj, Rachel – powiedział straszliwie spanikowanym głosem. – W tym miejscu. Właśnie tutaj. Ale Mord odciął tę część. Odciął dostęp, żebyśmy nie mogli dostać się do środka. Nienawidzi mnie. Chce mnie zabić. Chce mnie zabić.

Wick majaczy. Wick z głową pełną waty i żyłek, przemawia do mnie z dna starej studni. Wyobraża sobie, że Mord osobiście się nim interesuje, chociaż potworem nie kieruje nic osobistego. Zerkając w dół tej rozpadliny, widziałam ciemną, chłodną i zapyloną otchłań.

– Posłuchaj mnie, Wick – odezwałam się. – Mord tego nie zrobił. Nie mógł tego zrobić. To zbyt precyzyjna i stara robota. Te drzwi zablokowano dawno temu. – Zbyt rozmyslnie.

Wick zwiotczał pod ścianą i opuścił głowę otoczony beużytecznymi łupami.

– To bez znaczenia. To nie ma żadnego znaczenia.

W jego oczach dostrzegłam odległy błysk straty, całkowitej rozpacz na myśl o wspinaczce, wdzieraniu się na szczyt szczeliny, by wrócić do zbiorników retencyjnych. Nie zdoła tego zrobić w tym stanie. Podejrzewałam, że ja również.

Ochlapałam mu twarz wodą, chociaż mieliśmy jej tak niewiele. Zmusiłam go, by upił łyk z manierki oraz otworzył i zjadł całą rację żywnościową, chociaż tylko część z niej zdołał utrzymać w żołądku.

Potem zostawiłam go na straży naszego plecaka, wycieńzonego i starego, z cieniem zarostu na twarzy. Wpatrywał się w przestrzeń, jakby przez jakiś czas chciał pobyc poza światem.

Tymczasem zaczęłam szukać innego wejścia. Skoro schody zawaliły się już dawno, być może pod wpływem ruchów pozostałej części gruzów i kolejnych katastrof pojawiło się jakieś inne przejście, które uda mi się odnaleźć.

Odsunęłam stół od ściany. Nic. Zajrzałam pomiędzy ścianę a pękniętą kolumnę, która zapewne spadła tutaj z wyższego poziomu. Znów nic.

Raz za razem nic.

Wick był coraz bardziej nieobecny.

Pomyślałam o Zrodzonym ukrywającym rzeczy w szafach. Zaczęłam sprawdzać ulubione kryjówki Wicka, a także miejsca, w których lubiłam chować cenne łupy w terenie, jeśli były zbyt duże, bym mogła sama je przynieść do domu. Bezskutecznie.

– Wick, musisz się otrząsnąć – wyszeptalam. – Musisz mi pomóc.

Nagle zauważyłam głowę lisicy, która patrzyła na mnie z odległości około sześciu metrów, wystającą ze ściany jak myśliwskie trofeum. Pierwsza myśl: Lisica przenika przez ścianę, jest niesamowita. Umieram. To halucynacja.

Ale wtedy zdałam sobie sprawę, że zwierzę zagląda przez dziurę w ścianie, i chociaż nie wyczułam z dołu świeżego podmuchu, to zauważyłam, że przez otwór jest wsysane powietrze. W porównaniu z przejściem-szczeliną ta dziura będzie wystarczająco szeroka... jeśli tylko prowadzi do tego samego miejsca co schody.

Lisica zniknęła. Ale mieliśmy zejść do jej leża. Podążyć za tymi zębami, szczękami, jasnym zwierzęco świadomym spojrzeniem.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam.

– Wick... chodź tutaj. Zabierz plecak.

Żadnej odpowiedzi. Był niedaleko, ale oklapł, jakby zapadł w sen, a kiedy do niego podeszłam, okazało się, że jest ledwie przytomny. Jakoś udało mi się go dobudzić, chociaż wciąż majaczył, i wyjaśniłam mu, że musimy wejść do tej dziury. Wmówiłam sobie, że jego kiwnięcie głową oznacza, iż otwór rzeczywiście może prowadzić do tego samego miejsca co schody. W żołądku poczułam nieprzyjemny ucisk wywołany nie tylko głodem. Ponieważ nie mogłam mieć pewności. Ponieważ nie sądziłam, by Wick miał taką pewność, nawet gdyby był w pełni przytomny.

Ale nie zamierzaliśmy się wspinać. Nie zamierzaliśmy także

zostać tutaj i czekać na śmierć. Gdybym zostawiła Wicka i ruszyła na poszukiwanie, nie wiem, czy zdołałabym wrócić na górę. Gdybym zostawiła Wicka, być może nigdy więcej bym go nie zobaczyła, a on umarłby w samotności.

– Wick, rozumiesz, prawda? – Próbowałam sama się pocieszać.
– Nie mamy innego wyjścia. Wiem, że jesteś chory, ale trzymaj się mnie. – Wytrzymaj jeszcze trochę.

Wick musiał pójść przodem, w przeciwnym razie nie mogłabym go ocucić albo popchnąć, gdyby stracił przytomność. Ze względu na ciasnotę w przejściu plecak powinniśmy pchać przed sobą.

Jeśli wpadniemy do wnętrza ziemi, pozbedziemy się wszystkich problemów.

Co znajdowało się wewnątrz budynku Firmy

Znaleźliśmy siódmy poziom. Doprowadził nas do niego otwór. Wślizgnęliśmy się do niego jak myszy, ale w pyłe widzieliśmy tropy tak wielu zwierząt, jakby przeszła tamtędy cała menażeria albo armia. Ukryty czy nie, tunel był używany, jednak nie zauważyłam żadnych śladów lisicy. Kiedy wyszliśmy z drugiej strony, znaleźliśmy się w szerokiej, wysokiej, pozbawionej charakteru przestrzeni. Za plecami mieliśmy zablokowane drzwi, a przed sobą łukowato sklepione przejście prowadzące do labiryntu korytarzy i pomieszczeń.

W korytarzu i łukowatym przejściu panował klimat opuszczenia, a słaby biały blask bijący od ścian wskazywał na działanie mikroorganizmów, które osłabło na przestrzeni lat. Osłabła także woń środków odkażających albo wyparł ją zatęchły smród zwierzęcego futra. Miało się wrażenie, że to miejsce właśnie miało ożyć, ale zablokowało się i teraz już nigdy nie wróci do życia, chociaż w tle wciąż rozlegało się jakieś bębnienie albo buczenie, albo odgłos delikatnych wibracji.

Pomieszczenie, które według Wicka miało nam pomóc – dzięki zapasom lekarstw – znajdowało się tuż za rogiem. Posadziłam Wicka naprzeciwko otworu wyjściowego i zgodnie z jego wskazówkami powędrowałam sklepionym przejściem do punktu aptecznego... lecz okazało się, że został on splądrowany. Spóźniliśmy się. Wszystko zabrano – przybory lekarskie, elementy instalacji, krzesła, nawet blaty.

Ja jednak byłam dokładna. W zapomnianym kącie znalazłam cztery pigułki-łodziaki. Były stare i skurczone. Delikatnie podniosłam je drżącymi rękami i otrzepałam z kurzu. Wiedziałam, że jak zwykle jakoś przetrwamy, chociaż bez luksusów, ale i tak byłam wdzięczna losowi. Jedna pigułka na miesiąc. Właśnie zapewniłam Wickowi cztery, może pięć miesięcy życia, jeśli przeżyje zatrucie jadem. Zabrałam pigułki

razem z innymi resztkami, na wypadek gdyby one także mogły się Wickowi do czegoś przydać.

Nie było mnie tylko dwadzieścia minut. Kiedy wróciłam, Wick wciąż leżał w tym samym miejscu. Przyklęłam na jedno kolano i dałam mu do połknięcia pigułkę, po którą sięgnął z wdzięcznością i pełną świadomością, biorąc głęboki oddech.

– Tutaj jest spokojnie. Tutaj jest całkowicie spokojnie – wychrypiał.

– Ale ktoś nie bez powodu zapieczętował tamte schody – odrzekłam. – Zagubione drzwi z tej strony sprawiały wrażenie zacementowanych albo zawalonych kamieniami. Ktoś zadał sobie dużo trudu.

– Czyżby?

Albo dzięki lekarstwu częściowo wrócił do siebie, albo odzyskał przytomność, ponieważ wreszcie odnalazł niezniszczoną część Firmy, miejsce, w którym czuł się jak w domu.

– Czy jest tam coś jeszcze? – spytałam. – Coś, o czym powinienam wiedzieć?

– Nie – odparł Wick. – Zabierz tyle zapasów, ile się da, i możemy odejść.

Ale wtedy zobaczyłam to w świetle. Ponad tropami zwierząt, ponad odciskami naszych butów, w tym samym pyle – kolejne ludzkie ślady. A w korytarzu nie było nikogo oprócz nas.

– Kto tutaj przyszedł, kiedy mnie nie było, Wick?

– Nikt.

– Nikt?

– Nikogo nie widziałem.

– A słyszałeś kogoś?

Wick pokręcił głową.

Początkowo mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się wewnątrz próżniowej bańki – wokół panowały całkowita cisza i bezruch – a nagła szczodrość powietrza i przestrzeni mnie usypiała. Jednakże teraz to uczucie zniknęło.

Miałam przy sobie tylko nóż. Rozpaczliwie potrzebowaliśmy zapasów – jedzenia, wody, wszystkiego, co mogliśmy tutaj znaleźć. Nie mogłam zabrać Wicka ze sobą, nie zdołałabym go

dowlec do otworu, gdyby znów stracił przytomność; wciąż miał w sobie jad.

Poza tym uświadomiłam sobie, że znam to miejsce. Już kiedyś chodziłam tymi korytarzami i uznałam, że to dzięki Balkonowym Klifom. Wick pod wpływem jakiegoś potajemnego impulsu albo nostalgii dokładnie odwzorował w naszym domu ten poziom budynku Firmy.

Może nigdy nie zgłębię wszystkich tajemnic Wicka.

Zostawiłam Wickowi nóż. Przyprowadziłam go do punktu aptecznego i ukryłam w kącie, by nie był widoczny z wejścia. Położyłam obok niego plecak i poprosiłam, żeby schował pozostałe łodziki do kieszeni koszuli.

Obiecałam, że niedługo wrócę, i ruszyłam na poszukiwania. Poszłam sprawdzić, jak wygląda tutejsza wersja basenu. Czy będzie obrzydliwa? Ale przede wszystkim podążałam za śladami butów w miejscach, w których ukazywały się na warstwie pyłu w padającym świetle. Nie wiedziałam, czy to dobra decyzja, ale sama ją podjęłam.

Po drodze gromadziłam widownię, której się spodziewałam, gdy poszłam do punktu aptecznego. W każdym mijanym pomieszczeniu widziałam kolejne ślady ich planów i rządów, a ich ukradkowe kroki dołączały do moich. Dwa, trzy, potem sześć, dotrzymujące mi kroku, podnoszące na mnie wzrok w niepokojący sposób: Lisiczka, która podążała za Zrodzonym, albo jej bliźniaczka. Otwarty pyszczek, potyskujące ślepie. Oraz jej towarzysze, niektórzy w przebraniach lisów, inni nie. Cienie w krainie cieni; miałam szczęście, że tylko przez nią przechodziłam. A one mi pozwoliły.

Prześlizgiwałam się przez te korytarze równie swobodnie jak one – jakby tutaj było moje miejsce albo jakbym już wcześniej tu była.

Ale przecież nie mogłam tutaj być, prawda?

*

Znalazłam ją w pomieszczeniu, które będę nazywała Salą Luster. W innym życiu znajdowałby się tutaj basen Wicka z całym urodzajem stworzonego życia. Zamiast tego znalazłam sztuczną jaskinię, niemal jak amfiteatr, o matowej metalowej posadzce, kamiennych ścianach i zaokrąglonym suficie, który zniknął wysoko w ciemności.

Na przeciwległym końcu: półświatło bijące od srebrzystej ściany. Przed ścianą tory dla jakiegoś pojazdu, który przewrócono na bok, tak że ze środka wysypała się chaotyczna sterta plastikowych skrzynek. Tak jak wszystko na tym poziomie, Sala Luster sprawiała wrażenie wygładzonej i schematycznej, jakby zbudowano ją z gotowych elementów. Jak wiele takich Sal istniało w innych budynkach Firmy?

Po lewej stronie stała Magiczka, kontemplując tę wizję.

Wahałam się między walką i ucieczką, ale zdołałam stłumić oba instynkty.

– Witaj, Rachel – powiedziała, nie odwracając się.

Nigdy się nie dowiem, czy chciała mi się pokazać, czy nie miała wyjścia, ponieważ jej kamuflaż umierał. To, co kiedyś okrywało ją od stóp do głów, teraz ściekało z niej jak żywa peleryna. Pod pewnymi względami przypominało ćmy, kameleony i ptasie pióra. Furkotało, wzdychało i trzaskało na jej plecach, bezustannie przesuwając się i nerwowo łopocząc. Wyglądało na poszarpane, stare i nieskuteczne.

Podeszłam bliżej, ale nie za blisko, stukając butami o metalową podłogę.

– Już się nie odzywasz? – spytała Magiczka ze znajomą władczą irytacją. – Nie chcesz czegoś powiedzieć? Na przykład spytać, co to takiego? – Wskazała srebrzystą ścianę.

Nie chciałam patrzeć na ścianę. Bałam się, że jeśli to zrobię, stracę z oczu Magiczkę. Podeszłam bliżej, ale wciąż niezbyt blisko. Czułam linie mocy, pułapki, które tu na mnie czekały, które czekały na nią. Doskonale zdawałam sobie sprawę z istot, które miałam na karku.

Moje oczy powoli przywykły do tego osobliwego światła i do ciemności Magiczki. Stała wyprostowana jak zawsze, ale

sprawiła wrażenie zaniedbanej, miała smugi brudu na policzku i potargane włosy. Zastanawiałam się, czy trwa w bezruchu, ponieważ jest ranna i nie chce, żebym się dowiedziała.

– Widziałam cię na równinie – odezwałam się. – Widziałam, jak odpierasz ataki wysłannika Morda. To pewnie wtedy uszkodziłaś sobie pelerynę.

– Ubzdurali sobie w tych włochatych łbach, że to ja odebrałam Mordowi skrzydła – odrzekła Magiczka.

– A nie zrobiłaś tego?

Wzruszyła ramionami ze znużeniem, ale w jej głosie pobrzmiwała satysfakcja.

– Może Mord po prostu już nie chciał latać. Może był tym zmęczony.

– Głupio zrobiłaś, atakując Morda – odparłam.

Wykrzywiony uśmiech w mroku, drapieżna mina.

– Prawie uszło mi na sucho. Może jeszcze tak się stanie.

– Tak, twoja wojna z wysłannikami z pewnością idzie po twojej myśli, skoro przybyłaś tu osobiście z tak daleka.

– Mówisz jak ktoś, kto nie chce śmierci Morda, Rachel.

– Od jak dawna za nami podążasz? – spytałam.

Nie obchodziła mnie jej odpowiedź; chciałam tylko dowiedzieć się, co planowała. Ale potrzebowałam także odrobiny czasu, by zastanowić się, co dalej zrobić.

Wtedy się odwróciła, a ja zobaczyłam jej twarz, która w ciągu zaledwie trzech lat postarzała się o dekadę – znaczyły ją ślady urazów, zużycia i obrażeń. Najwyraźniej całkowicie się rozsypała. Zauważyłam, że drży i kurczowo zaciska prawą dłoń, jakby powstrzymywała ból. Uciekała – potrafiłam to dostrzec w jej spojrzeniu. Wysłannicy Morda wykurzyli ją z ukrycia mniej więcej w czasie, gdy zaatakowali Balkonowe Klify, i sprawy nie potoczyły się po jej myśli.

– Od wystarczająco dawna – odpowiedziała. – Powiedzmy, że od zbiornika. Powiedzmy, że od chwili, gdy podsunęłam waszą woń niedźwiedzim w Balkonowych Klifach. Ale to nieistotne. To z kolei jest bardzo ważne – dodała, wskazując srebrną ścianę. – Coś baśniowego, coś cennego, o czym nigdy nie rozmawia się

w mieście, ponieważ nie rozmawiało się o tym nawet w Firmie.

Zobaczyłam, że w drugiej dłoni ściska coś, co wyglądało jak bezprzewodowy panel kontrolny. Wcisnęła jakiś guzik.

– Tak niewiele wspomnień opowiadało o tym miejscu – ciągnęła. – Ale natrafiłam na ślad i on wystarczył, żebym zapragnęła, by to była prawda.

Ściana srebra zmieniła się w rzekę srebrnych kropeł deszczu, a potem w znieruchomiłą scenę, tak rzeczywistą, że nie potrafiłam przyjąć, iż patrzę na ekran. Przypomniały mi się hologramy z eleganckich restauracji dawno temu, ale tutaj patrzyłam na pojedynczą scenę.

– Muszę to przyznać twojemu Wickowi – odezwała się Magiczka. – Ukrył to przede mną, a poza tym nie sądziłam, że będzie do tego zdolny. Albo że w ogóle o tym wie. Ciekawe, czy tobie też nic nie powiedział. Zdajesz sobie sprawę, jak wiele przed tobą ukrył, Rachel?

Liski i ich krewniacy skradali się wokół nas, na zmianę pojawiając się i znikając, jakby na chwilę opuszczali czasoprzestrzeń. Magiczka nie widziała, że otacza ją całe zgromadzenie, że otaczają ją ludzie, pewnego rodzaju. Sama niemal ich przegapiłam i zbyt długo ich nie rozumiałam.

Ponownie wskazała ekran.

– Tam to wszystko trafiało. Temu służyło. Przysyłali nam zapasy. Bez przerwy czerpali z miasta, a my odsyłaliśmy produkty. Nie kolejną albo podziemnym tunelem, ale przez to.

To była całkiem ładna scena, pochodząca z miejsca niezniszczonego przez wojnę, nietkniętego rujnującym wpływem Firmy. Obraz migotał i nie poruszał się, i chociaż nigdy nie nabierał ostrości, widziałam, że jest kompletny, funkcjonalny i bogaty, przedstawia wszystko, czym nasze miasto nie jest i zapewne nigdy się nie stanie. Ale on również nie był prawdziwy i nie mógł nas ocalić. Nikogo z nas. Dlatego nie dopuszczałam go do głosu, nie wpuszczałam do swojej rzeczywistości.

– Od kilku lat nic tam nie trafia – powiedziała Magiczka. – Kiedy zorientowałam się, że istnieje, ten poziom był już tylko mitem, plotką. Teraz to już bez znaczenia. Chociaż przez jakiś czas

przysyłali nam różne rzeczy, prawda? Na przykład to... – Wskazała skrzynki i to, co z nich wyciekło.

Podejrzewałam, że Magiczka nie zaglądała do innych pomieszczeń. Nie zobaczyła nawet tej odrobiny, którą ja widziałam, tego, co splądrowali lisica i jej towarzysze, co zanieśli do miasta albo przerobili na swoją modłę. Nawet jeśli widziała wszystkie tunele wydrążone na tym poziomie, w podstawach ścian i sufitach, to je zignorowała. Wejścia zbyt małe dla człowieka, ale nie dla innych istot.

– Kiedyś śniłam, że to prawda – przyznała Magiczka. – Śniłam, że to prawda, a ja zdołam przejść na drugą stronę. Ale teraz już nie ma drugiej strony. Wielka szkoda. Jednakże zbadanie tego miejsca może się okazać użyteczne.

Nie, Magiczka od razu przyszła tutaj. To był jej skarb. Szukała kolejnej szansy na zmartwychwstanie, kolejnej szansy. A to wymagało większej ilości biotechnologii, dlatego teraz staliśmy w jaskini na poziomie, który, mimo że w większości ogołocony, wciąż zawierał wystarczająco wiele skarbów, by pozwolić komuś takiemu jak Magiczka zacząć od nowa. Z niewielką pomocą.

– Kto wie, co się wydarzy w mieście, Rachel. Nikt z nas nie może wiedzieć, do czego powrócimy. Ale ja znam ciebie, Rachel. Znam twoje życie. Możemy znaleźć wspólny cel. Mogłabyś mi pomóc. Ja mogę cię ochronić. Postarać się, by niczego ci nie zabrakło. Zasługujesz na to, w końcu mnie tutaj doprowadziłaś.

Czy następnie każe mi porzucić Wicka? Czy jest aż tak zdesperowana? Nie potrafiłam ocenić. Stała przede mną w swojej obszarpanej pelerynie i prosiła, bym przyłączyła się do tej samej sprawy, która niszczyła dzieci, poddawała je eksperymentom i tłumaczyła światu, że jest ku temu dobry powód, a świat jak zwykle chętnie słuchał takich usprawiedliwień, ponieważ ta droga była łatwiejsza. Najgorsze było to, że dla mnie taki wybór był korzystny, gdy patrzyłam na niego oczami poszukiwaczki i morderczyni. W ten sposób Magiczka zdobyła wielką władzę – bezpieczeństwo, jedzenie, terytorium. Została przywódczynią, niezależnie od tego, co inni myśleli o jej podwładnych i tym, jak nimi dowodzi. Niezależnie od tego, że teraz musiała uciekać –

ponieważ wciąż żyła.

– Mogłabym także opowiedzieć ci o twojej przeszłości, więcej, niż ci się zdaje. Te wszystkie luki, których nie umiesz wypełnić. Wiem, co powinny zawierać.

A co ty byś zrobił, drogi czytelniku, który możesz podążać za mną tak samo jak Magiczka, niewidzialny, czujny i bezkarny?

*

Trudno wyjaśnić, jak bardzo znenawidziłam Firmę, gdy zobaczyłam tamto miejsce w znieruchomiałym zwierciadle. Moja nienawiść rosła przez całą wędrówkę, podczas której Wick tracił siły, a jednocześnie wciąż na swój sposób oddawał hołd Firmie. Teraz to uczucie stało się jak mój własny strach albo jak fala, która przeze mnie przepływała, tak intensywnie, jakby to był pierwszy raz.

Uzależnili nas od siebie. Eksperymentowali na nas. Odebrali nam zdolność stanowienia o sobie. Aby utrzymać porządek, posłali straszliwego sędziego, który stał się jeszcze bardziej nieopanowany i psychotyczny. Odczłowieczyli Wicka. Na swój sposób stworzyli Magiczkę, ponieważ wszystko, co robiła i budowała, sprzeciwiało się Firmie. Resztki Firmy w końcu odgrodziły się od nas murem, gdy już z nami skończyły i gdy pozostawianie tych niedobitków samym sobie i negocjowanie z Mordem coraz bardziej groźnego i niemożliwego zawieszenia broni, które i tak nie miało szans się utrzymać, stało się zbyt niebezpieczne.

Wszystko, czego miałam się dowiedzieć o ich prawdziwej naturze, znajdowało się w tym blaknącym, niesprawiedliwym miejscu. Czy to przyszłość w jakiś sposób wykorzystywała przeszłość? Czy w lustrze widniała scena z jakiejś innej, kwitnącej części świata? Czy to była inna wersja Ziemi? Nie wiem. Wiem jedynie, a raczej wierzę, że te drzwi prowadziły do innego miejsca – że Firma skądś przybyła i została tam uformowana oraz zdeformowana, a jednocześnie zdołała na dobre zakorzenić się w naszej najstarszej historii, wbrew naszej woli. Pozostanie w niej długo po tym, jak Mord umrze albo

zostanie ostatecznie pokonany. Długo po tym, jak zmienię się w popiół albo gnijące mięso lub zostanę pogrzebana w jednej z mogił Magiczki.

Zostaliśmy sami. Zawsze byliśmy sami. Nie mieliśmy dokąd uciec i nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo jakaś część mnie pragnęła nie być zdana tylko na siebie i liczyła, że w głębi Firmy znajdzie się jakaś osoba, która będzie znała odpowiedzi, która wciąż będzie w stanie wszystko wyjaśnić i która, jeśli tylko ją poprosimy, pociągnie jakąś dźwignię albo wciśnie guzik, by naprawiły naszą sytuację, odnowiły ją i wszystko odświeżyły.

Ale tak się nie stało. Po jakimś czasie pozostała mi tylko świadomość, że Magiczka wciąż jest przy mnie i obie stoimy pośród zwierząt, które przedostały się do środka przez pęknięcia, przekopały się, wróciły do miejsca, które stworzyło ich zniszczone i podatne na zniszczenie życie. Szczury w ścianach, które właśnie wszystko przebudowywały i zmieniały. Były przyszłością, ale Magiczka nie zdawała sobie z tego sprawy. Sądziła, że to ona jest przyszłością.

W opadającej kaskadą srebrnej ścianie stanowiącej jednokierunkowe drzwi ukazywał się, niczym wewnątrz ozdobnej kuli ze śniegiem, kuszący widok potężnej rzeki z nabrzeżem i molo, oszalałamiąco błękitnego nieba z ptakami zatrzymanymi w locie pośród pierwszych oznak wiosny oraz jasnych, nowoczesnych budynków wznoszących się na ziemi, która nigdy nie zaznała wojny. Taka scena zapewne każdego mieszkańca naszego zrujnowanego miasta napełniłaby tęsknotą i być może przywołałaby dawne wspomnienia.

To była oczywista pułapka.

Magiczka nadal mówiła. Stojąc w tej jaskini, wciąż próbowała coś mi przekazać. Dlaczego powinnam do niej dołączyć. Co to wszystko oznacza. Jak można ocalić miasto przed nim samym.

Nie słuchałam jej dłużej. Zabiłam ją kilkoma uderzeniami kamienia, a zwierzęta nie zrobiły nic, by mnie powstrzymać. Może postąpiłyby tak samo, gdyby nie ja. Ale je wyręczyłam.

Miasto nie miało przyszłości, póki żyła w nim Magiczka. Być może byłam doprowadzona do ostateczności, gdy podjęłam tę decyzję, ale miałam jasność umysłu.

Zabawne, że Magiczce wydawało się, że mnie zna, i dlatego zachowywała się nieostrożnie w moim towarzystwie. Ale tak naprawdę mnie nie znała. Ani trochę, niezależnie od tego, jak wiele informacji na mój temat zgromadziła.

Poza tym nie mogła znać jeszcze jednej tajemnicy: Już przeczytałam list od Wicka, można więc powiedzieć, że od początku nie miała szans.

*

Ale było coś, czego nie wiedział nawet Wick, a także coś, co wciąż przede mną ukrywał, pomimo swojego listu. Wick przybył tutaj po lekarstwo. Magiczka szukała biotechnologii, by znów móc wcielić w życie plan władania miastem. A ja byłam tutaj jako duch Wicka, osoba, która nawiedzała go każdego dnia jego życia.

Wszyscy mieliśmy zbyt ograniczone umysły, by zrozumieć to, co mogło nam się objawić, gdybyśmy naprawdę szukali i naprawdę patrzyli.

W tamtych wywróconych skrzyniach znajdowały się rozmaite przedmioty. Zapasy mające utrzymać pozostałości Firmy. Surowce do tworzenia kolejnych biotechnologicznych istot, które miały zostać odesłane. Racje żywnościowe. Martwe embriony, by obsiać miasto kolejnymi alkoholowymi płótkami.

Ale ostatni transport z Firmy zawierał Zrodzonego – wielu Zrodzonych. Całe setki wysypały się z pojemników przed lustrem. Oznaczone jak zabawki, jednak wykres z boku pojemników nie zgadzał się z tym, co wytoczyło się ze skrzyń. Strąki ze Zrodzonymi. Uśpionymi, uwięzionymi przez kogoś, kto okazał się na tyle przezorny, że odciął ten poziom.

Dopóki nie przekopały się tutaj zwierzęta.

Po tym, jak zabiłam Magiczkę na oczach lisicy, która nic nie zrobiła, powiodłam dłońmi wzdłuż delikatnego mechanizmu, który kiedyś sterował srebrną ścianą. Miasto nie miało przyszłości, póki żyła w nim Magiczka. Ale nie mielibyśmy

przyszłości także wtedy, gdyby stworzenia z tajnego transportu, których celem było pochłanianie i „próbowanie”, wkroczyły setkami do miasta.

Czy Firma zamierzała zniszczyć miasto? Całkowicie je oczyścić? Zbadać to, co zostanie pochłonięte? Jeśli tak, to zawiodła. Wszystko, co wysypało się ze skrzyń, zostało przebite, uśmiercone, zanim miało szansę zaistnieć. Pozostała tylko garstka, która mogła się wydostać, ale to byłoby możliwe tylko pod warunkiem, że otaczające mnie zwierzęta by na to pozwoliły. Gdyby lisy tego pragnęły. Czy istoty ze skrzyń próbowały tego więcej niż raz? Czy Zrodzony obudził się jako pierwszy? Czy zwierzęta zmodyfikowały go przed wypuszczeniem? Z tego, co widziałam w innych pomieszczeniach, lisica i jej towarzysze wiele zmienili. Ci, którzy mieli dłonie, pomagali tym, którzy byli ich pozbawieni. Za rogiem czaiła się cicha rewolucja.

Co do informacji ztajonych przez Wicka, to zapewne znajdowały się w jego liście, ale także we wskazówkach, które zostawiał po drodze.

Mord pokazał mi, czym jestem.

Ponieważ w jednym z pomieszczeń znalazłam to, co tak zręcznie ukrywał i z czym tak długo żył: Stertę porzuconych wykresów i modeli biotechnologicznych istot. Pudła pełne uwiędłych części.

Każda z nich miała jakąś wersję twarzy Wicka. Zmiażdżoną. Popękaną. Zapomnianą. Odrzuconą. Opuszczoną. Zawieszoną.

Wick nigdy nie był osobą.

Ale dla mnie zawsze nią był.

Co znalazłam w liście Wicka

Droga Rachel!

Nie wiem, jak napisać taki list. To pierwszy list, jaki do kogokolwiek piszę.

Powiedziałem Ci, że jestem chory, i to prawda, ale istnieje także inna choroba, a są nią wszystkie pozostałe tajemnice, które pozostają w ukryciu. O zachowanie jednej z tych tajemnic mnie poprosiłaś, inne sam musiałem zachować. Jednakże większość z nich bierze swój początek w tym fakcie: Nasze pierwsze spotkanie, które pamiętasz, tak naprawdę nie było naszym pierwszym spotkaniem. Nie przybyłaś tutaj znad rzeki. Nie przybyłaś z północy. Pochodzisz z wnętrza Firmy. Znalazłem Cię, ponieważ stamtąd pochodzisz.

Twoi rodzice umarli wkrótce po Twoim przybyciu. Zginęli w straszliwy sposób, który odcisnął na Tobie piętno. Znalazłem Cię niedaleko zbiorników retencyjnych przy budynku Firmy siedem lat temu, kilka miesięcy przed Twoim pierwszym wspomnieniem z naszego spotkania. Zataczałaś się, byłaś roztrzęsiona i pogrążona w żałobie, od wielu dni nie miałaś niczego w ustach.

Zbiorniki retencyjne były wtedy koszmarem na jawie, znacznie gorszym niż obecnie. Cynicznym miejscem, które pozwalało Firmie uważać się za miłosierną, ponieważ duża część istot, które tam wyrzucali, przez jakiś czas przeżywała. Nowe porzucone eksperymenty i nieudane biotechnologiczne stworzenia pojawiały się w zaskakującym tempie, a poszukiwacze i zwierzęta wykazywali się morderczym apetytem.

Kiedy Cię znalazłem, szłaś pośród scen rzezi i rozpaczy – przez piekło na Ziemi pełne odrzutów z Firmy. Nie wiem, jak długo byś tam przetrwała, zanim ktoś uznałby Cię za biotechnologiczną istotę, a nie człowieka, i zaszlachtował, schwytał lub spróbował zmodyfikować.

Byłaś w szoku. Miałaś rozbiegane spojrzenie. Twoje ubranie było

w strzępach i ktoś już zdjął Ci buty.

Kiedy do Ciebie podszedłem, coś do mnie powiedziałaś; najwyraźniej chciałaś po prostu wyrazić swoje myśli. Bezbarwnym, obojętnym głosem, jakbyś pochodziła z innej planety.

„Jesteś piękny. Taki piękny. A coś tak pięknego by mnie nie skrzywdziło”.

Nie spodziewałem się usłyszeć od Ciebie takich słów, które zupełnie nie pasują do tego, kim obecnie jesteś, ale przez długi czas było to jedyne, co do mnie powiedziałaś. Roześmiałem się, gdy Cię usłyszałem. To była bzdura. Potwierdzała Twoje zaburzenie i zwichnięcie. Potwierdzała, że jesteś łupem.

Poza tym to nie była prawda. Skrzywdziłem Cię, chociaż nie poprzez pozostawienie Cię w tamtym miejscu, i bardzo długo nie wiedziałem dlaczego. Nie rozumiałem, dlaczego Cię ocaliłem. Powtarzałem sobie, że zrobiłem to, ponieważ byłaś jedyną ludzką istotą pośród tego krajobrazu i zobaczyłem Cię tak nagle. Ponieważ się Ciebie nie spodziewałem. Ponieważ zaskoczyły mnie Twoje słowa. Ponieważ w pewnym sensie ja też zostałem odrzucony.

Ale po powrocie do Balkonowych Klifów nie wydobrzałaś, nie zagoiły się rany wywołane przez to, co Cię spotkało.

Niektórzy ludzie przybywają do miasta z wewnątrz Firmy, a nie z zewnątrz. Przynajmniej kiedyś tak było. Twój rodzice pochodzili z wewnątrz Firmy – byli pasażerami na gapę, którzy zostali przysłani w skrzyniach z jakiegoś innego miejsca. Nie mogę Ci powiedzieć, co to za miejsce, ponieważ nikt w mieście tego nie wie, a większość nawet nie podejrzewa jego istnienia.

Ale jeśli ktoś przybył w skrzyni z zapasami, zgodnie z regulaminem Firmy nie był człowiekiem. Był tylko częściami zamiennymi albo biotechnologią. Żadnych wyjątków. I tak miałaś szczęście, że ktoś Cię nie zabił, młodej kobiety, tylko wyrzucił przy zbiornikach retencyjnych, byś skołała w ukryciu.

Niestety, Twój rodzice zginęli w budynku Firmy. Zostali zabici, gdy wychodzili ze skrzyń, zamordowani, a Ty byłaś tego

świadkiem, widziałaś wszystko, a następnie trafiłaś na krwawe pustkowie na skraju nieznanego miasta, którego nigdy wcześniej nie widziałaś.

Byłaś zupełnie zagubiona. Rodzice Cię tutaj przywieźli, tak daleko od najbliższego morza, a potem zostali zabici na Twoich oczach. Coś w Tobie pękło i nie dawało się naprawić.

Pewnego dnia, zaledwie miesiąc po tym, jak Cię przyjąłem, gdy już zrozmiałaś, co zrobiłem, odszukałaś mnie i poprosiłaś, abym odebrał Ci wspomnienia. Chciałaś, by uleciały z wiatrem. Chciałaś, by wszystkie zniknęły – nie zostały pogrzebane, stłumione albo się zablźniły, ale zniknęły. Wszystkie co do jednego. Chciałaś zacząć od zera. „Napełnij mnie wspomnieniami kogoś innego”, powiedziałaś. „Wiem, że ci na mnie zależy, Wick, więc zrób to dla mnie”.

Wtedy po raz pierwszy dostrzegłem w Tobie jakiekolwiek emocje.

Ponieważ tego pragnęłaś, wiedziałem, że postradałaś zmysły, ale wkrótce zrozumiałem także, że jeśli nie dam Ci tego, o co prosisz, to poradzisz sobie inaczej, pójdziesz do kogoś innego albo zrobisz coś jeszcze gorszego.

Wciąż nie mogłem Cię rozgryźć. Po projekcie z rybą oszedłem z Firmy, a raczej zostałem wypędzony, wyrzucony do zbiorników retencyjnych tak jak Ty. Tam miałem umrzeć. Zamiast tego zbudowałem dla siebie życie w mieście. Ale nie uznawałem się za osobę. Nie podejmowałem decyzji jak osoba. Czułem, że po tym wszystkim, co zrobiłem i wytrzymałem w Firmie, nie zasługuję na to. Miałem wrażenie, że się zgubiłem i już się nie odnajdę, mogę jedynie liczyć na przetrwanie. Dlatego podejmowałem decyzje nie jak osoba, ale jak ktoś, kto stara się przeżyć.

Ale wobec Ciebie podejmowałem decyzje, które nie miały sensu. Nigdy nie powinienem Cię zabrać ze zbiorników retencyjnych, nie powinienem się angażować, tylko zdać się na los, cokolwiek miało Cię czekać. Przeszkadzało mi, że muszę udawać osobę, by wpuścić Cię do swojego życia. Tylko że teraz, aby dać Ci to, o co prosiłaś, miałem Cię z tego życia wyrzucić. Nie pamiętałaśbyś ani mnie, ani miasta. Z wielu powodów odpowiedziałem, że tego nie zrobię.

A jednak nalegałaś – kurczowo trzymałaś się tego pomysłu, jakby

tylko to mogło Cię ocalić. Sądzę, że chciałaś się ukarać. Uważałaś, że zasługujesz na karę za swoją bezsilność. Ale jednocześnie byłaś znerwicowana, zraniona, samotna i zagubiona. Straciłaś swoje życie z rodzicami i znalazłaś się bez nich w tym miejscu...

W końcu więc zrobiłem to, o co prosiłaś... a przynajmniej większość. Odebrałem Ci wspomnienia o mieście, śmierci rodziców i o tym, co wydarzyło się tuż przedtem. Odebrałem to wszystko, ale zostawiłem coś innego.

Nie wiem, czy będzie Ci trudniej – obecnej Rachel – zrozumieć, dlaczego prosiłaś mnie o unicestwienie wspomnień, czy pojąć, dlaczego nie mogłem spełnić Twojej prośby. Nie prosiłaś, żebym Cię zabił, ale uczynił inną osobą, abyś mogła zbudować dla siebie inne życie, od samego początku. Skoro Cię szanowałem – a tym bardziej, jeśli Cię kochałem – powinienem był to zrobić.

Ale myśl o uczynieniu Cię czymś mniej niż osobą, szyfrem, była dla mnie nieznośna. Nie mogłaś tego wiedzieć, ale żadne rozwiązanie nie byłoby dla mnie trudniejsze. Nie wyobrażałem sobie także, że miałbym bez Twojej wiedzy napęłnić Cię cudzymi wspomnieniami. Dlatego uznałem, że Ci to wynagrodzę i znalazłem inny sposób, ale tylko zaspokoilem swój egoizm, decydując się na rozwiązanie, które pozwoliło mi nadal Cię znać, chociaż Ty mnie zapomniałaś.

Potem Cię wypuściłem i znów zostałaś sama. Ponieważ co mogłem wiedzieć o wspólnym życiu z inną osobą, opiece nad nią? Nic.

Zadbałem o to, żebyś obudziła się niedaleko skażonej rzeki, pod Balkonowymi Klifami. Dzięki temu mogłem Cię obserwować przez lornetkę, upewnić się, że odzyskałaś przytomność i wciąż nic Ci nie grozi. Patrzyłem, jak wstajesz i odchodzisz.

Myślałem, że to wszystko – że na tym koniec.

Ale nadal o Tobie myślałem, o tym, co robisz, czy czujesz się lepiej. Czy to, co zrobiłem, było dobre, złe, a może i takie, i takie.

To było silniejsze ode mnie. Zacząłem Cię szukać w mieście, a gdy w końcu Cię odnalazłem, przez pewien czas tylko Cię obserwowałem, sądząc, że to mi wystarczy. Ale pewnego dnia doszło do spotkania, które pamiętasz: nad rzeką, gdzie Cię

odnalazłem i okłamałem. Udawałem, że Cię nie znam, i zaproponowałem Ci to, czym dysponowałem.

Spytałem Cię, czy chcesz otrzymać wspomnienia lepszych czasów. Mogłem je dostarczyć. Właśnie tym się zajmowałem. Odmówiłaś. Gdybyś się zgodziła, byłem gotowy to zrobić, a potem odejść i już nigdy więcej Cię nie szukać. W pewnym sensie dostałaś to, czego wcześniej pragnęłaś.

Nie mogłem Ci nigdy powiedzieć, co zrobiłem. Zbyttno się bałem, a potem było za późno. Żyłem w samym środku kłamstwa. Chociaż wcześniej znaliśmy się tylko przez krótki czas, było mi wstyd, że wykorzystałem to, co o Tobie wiedziałem, dla własnych korzyści. Pomimo straszliwego, niegodnego podskórnego uniesienia, które poczułem, gdy otrzymałaś drugą szansę i zostałaś, a potem, już jako współnicy, zaczęliśmy razem umacniać Balkonowe Klify. Mieszkać w nich.

Owszem, Rachel pozbawiona Firmy i śmierci rodziców była zagubiona, owszem, była smutna. Ale byłaś także bardziej pewna siebie i pozbyłaś się desperacji oraz pobudzenia, które świadczyły o głębokiej ranie. Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle jestem zdolny być osobą – wtedy, w chwili mojej największej zdrady.

Na tym polega największa ironia: że uważałem zdradzenie Cię za przejaw bycia godnym zaufania, jakby świat stanął na głowie.

Ale to nie jedyne, co zrobiłem. Zanim ponownie się spotkaliśmy, zanim znów zamieszkałaś w Balkonowych Klifach, zdarzyło się jeszcze coś, o czym nigdy Ci nie powiedziałem.

Pragnęłaś zapomnienia. Chciałaś nie istnieć. Ale to miało swoją cenę. Sprzedałem Twoje wspomnienia Magiczce. To była moja cena, na którą nieświadomie przystałaś. Wspomnienia z wnętrza Firmy. Wspomnienia o mnie. O śmierci Twoich rodziców. O tym, jak dostałaś się do punktu dostępu.

Magiczka się mną interesowała, tak jak wszystkimi stworzeniami pochodzącymi z Firmy, zwłaszcza ludźmi, których tam знаła. Zwłaszcza pracownikami Firmy porzuconymi przy zbiornikach retencyjnych, którzy mogli przetrwać i wciąż mieszkać w mieście. Ludźmi, którzy mogli wiedzieć o Firmie więcej niż ona. Zadawała pytania. Szpiegowwała. Odkryła, że projekt z rybą przetrwał,

*ponieważ wybrałem się nad zbiorniki, a ona mnie tam zobaczyła.
Wykorzystała te informacje, by dowiedzieć się jeszcze więcej.*

Musisz zrozumieć: nie zależało mi na Tobie, gdy po raz pierwszy Cię zobaczyłem. Traktowałem Cię tylko jako łup. Troska pojawiła się później. Poza tym nie uważałem, bym robił coś złego. Sądziłem, że nigdy więcej Cię nie spotkam. Spodziewałem się, że Magiczka w końcu zniknie. Zginie z czyjejś ręki albo rozpułynie się bez śladu. W tamtych czasach nic poza jej bezwzględnością i chłodnym spojrzeniem nie zapowiadało jej sukcesu. Zwłaszcza że sprzeciwiała się Firmie.

Ale Magiczka wiedziała o Mordzie z innych źródeł i wykorzystywała to, by mnie szantażować i wyciągać ode mnie informacje. Dawałem jej to, co w mojej ocenie najmniej mnie pogrążało, a ona w zamian milczała i sprzedawała mi potrzebne zapasy.

Ponieważ to, co odkryła, było prawdą: pomogłem stworzyć Morda. Firma wykorzystała to, czego nauczyliśmy się podczas realizacji projektu z rybą, by zbudować Morda. Ale nie budowała go od zera. Nie nadawała ludzkiego oblicza zwierzęciu, jak to było w przypadku ryby. Chciała stworzyć zwierzę na bazie istoty ludzkiej.

Może nie zdawałem sobie sprawy, co Firma zamierzała mi zrobić, ale to mnie nie usprawiedliwia. Powinienem był znaleźć drogę wyjścia albo odkryć sposób, aby wyciągnąć Morda. Tylko że nie miałem wyboru. Żadnego. To ja się tym zajmowałem, gdy projekt z rybą został wygaszony. Przeniosłem się na jego prośbę; trzymałem go za rękę, gdy wszystko się zaczęło, zanim przestał mnie rozpoznawać. Na początku chyba nie rozumiał, co się stanie.

A potem zniknąłem, wyrzucony przez Firmę, i nie mogłem niczego zrobić dla Morda, nawet go pocieszyć.

Nie potrafiłem nawet ocalić ryby – mogłem tylko skrócić jej cierpienia, po tym jak przez kilka miesięcy marniała w zbiornikach

retencyjnych. Wygląda na to, że jedyną dobrą rzeczą, jaką zrobiłem, było odnalezienie Ciebie. Wiem, o co naprawdę mnie prosiłaś, a co ja Ci zrobiłem, lecz sądziłem, że to wszystko przeminie, stanie się nieistotne, ulegnie zapomnieniu. Myliłem się. Tak nie mogło się stać. Wszystko tylko przez chwilę kryło się pod powierzchnią.

Magiczka nie tylko znała moją rolę w stworzeniu Morda, ale później, kiedy sprowadziłem Cię do Balkonowych Klifów, groziła, że wyjawি prawdę o Twojej historii, za każdym razem, gdy czegoś potrzebowała. Dopóki nie posunęła się za daleko i nie zażądała Balkonowych Klifów.

Potem pojawił się Zrodzony, a ja nie mogłem Ci go odebrać, ponieważ już wystarczająco namieszałem w Twoim życiu. Wciąż pytałaś mnie, czy Zrodzony jest osobą. Ale ja uważałem, że sam nią nie jestem, Rachel. Dlatego nie mogłem Ci powiedzieć.

Ponieważ dowiesz się, że nie jestem tym, za co mnie masz. Bardziej przypominam Zrodzonego, a za każdym razem, gdy mówiłaś mi, że on jest ludzki, ja czułem się coraz mniej jak człowiek, mniej rzeczywisty. Nie mam Ci tego za złe, ale tak to wygląda i zawsze będzie wyglądało w moim przypadku.

Musisz zrozumieć, że nigdy nie zamierzałem Cię skrzywdzić. Wszystko, co robiłem, przez wiele lat, robiłem dla Ciebie i w trosce o bezpieczeństwo Balkonowych Klifów.

*

Przeczytałam list Wicka jeszcze w naszym tymczasowym schronieniu. Zmagałam się z jego treścią przez całą podróż do wnętrza budynku Firmy. Kiedy sadzałam Wicka pod ścianą, dawałam mu wodę, zachęcałam do wysiłku. Za każdym razem, gdy na niego patrzyłam, widziałam coś innego, czułam coś innego. Był jak lustro i okno, za którym wciąż zmienia się widok.

Informacje, które mi przekazał, wciąż wyływały na powierzchnię, by mnie ranić i gryźć. Wydawało mi się, że już więcej nie można mi odebrać, ale oto list, który miał mi pomóc odzyskać coś, co utraciłam, jeszcze bardziej mnie ogołocił. A co, jeśli rzeczywiście pragnęłam się zatracić? Jeśli moja wcześniejsza

tożsamość postąpiła bardzo sprytnie i mądrze, odbierając mi to wszystko? Abym mogła przetrwać, może nawet znaleźć szczęście. A co, jeśli cierpiałam tylko dlatego, że pamiętałam radosne czasy?

Zawsze mamy wybór, nawet jeśli są nim amnezja bądź śmierć. Ale teraz rozumiałam także, jak wielkie brzemię ciążyło na Wicku. To była tajemnica, która mogła go uśmiercić w inny sposób niż choroba. Coś, przez co wielu ludzi w mieście mogło go znienawidzić, a nawet postanowić zabić. Albo, pośród wyznawców Morda, wywyżżyć go w sposób, który również przyniosłby mu pewną śmierć.

Teraz wiedziałam, dlaczego Wick wciąż próbował i tak wiele wybaczał. Ponieważ czuł, że on także bardzo potrzebuje przebaczenia.

Ale ostatecznie wszystko sprowadzało się do jednego wniosku: nie chciałam pamiętać. Nie było mi to potrzebne. List Wicka nie sprawił, że ktokolwiek stał się mniej martwy albo bardziej żywy. Wick pozostawił w mojej głowie bałagan, ale z tego jednego zdawałam sobie sprawę. Nie spędziłam długich lat na ich poszukiwaniu, ale na żałobie i podtrzymywaniu wspomnień. Nie chciałam pamiętać więcej. Wybaczyć innym możemy dopiero wtedy, gdy wybaczymy samym sobie i nauczymy się żyć z tym, co zrobiliśmy. Jeśli tego nie potrafimy, nie będziemy umieli żyć także z tym, co zrobili inni.

List Wicka już nie istnieje. Zniszczyłam go, ponieważ był niebezpieczny. Ale nie zapomniałam tego, co w nim napisał.

Niektórymi częściami tego listu nigdy się z wami nie podzielę.

Droga powrotna i co dostrzegłam na horyzoncie

Droga powrotna wcale nie była łatwiejsza. Była trudniejsza i nie ma co ukrywać, że walcząc ze sobą, nie poznałam żadnej prawdy poza tym, że życie jest walką. Znalazłam się w jakiejś szarej krainie poza światem, pośród krajobrazu wyczerpania i udręki. Nie pozostało mi nic więcej do ofiarowania, a jednak coś ofiarowałam.

Małe zwierzęta mi nie pomagały; ich cele bardzo się różniły od moich. Nie obchodziło ich, że Wick jest chory, a ja padam ze zmęczenia. Kręciły się wokół martwego ciała Magiczki, lizały jej dłonie i twarz, aż wreszcie zostawiły ją w spokoju i odeszły do swoich spraw. Może zgniła tam pod ziemią.

Wyniszczał mnie każdy krok, który stawiałam razem z Wickiem, albo którego nie byłam w stanie postawić, chociaż musiałam, w przeciwnym razie straciłabym wolę walki. Najgorsze było to, że nie mogłam uciec przed żadną mijającą sekundą. Każda chwila była wyraźna i charakterystyczna, każda odnosiła się tylko do siebie samej. Czułam, że czas napełnia moje ciało bólem, ale musiałam przenieść Wicka do tymczasowego schronienia. Uwolnić się z tego wraku. Myślałam o swoich rodzicach, o wszystkich naszych wymuszonych długich wędrówkach, które teraz pomagały mi przetrwać, oraz o tym, że bardzo byli dzielni, skoro mnie tutaj dostarczyli, więc nie mogę zawieść.

W pewnej chwili znów usłyszałam dalekie odgłosy konfliktu i chociaż wciąż byłam uwięziona w budynku Firmy, zrozumiałam, że bitwa pomiędzy Mordem a Zrodzonym nadal trwa. Ale kiedy nie możesz uciec mijającym sekundom i jesteś pewien, że umrzesz, zanim odzyskasz wolność, niektóre rzeczy przestają mieć znaczenie. Odgłosy, które słyszałam, docierały do mnie jakby zza mętnego morza odległości i pamięci.

Przeprowadziłam Wicka przez ruiny Firmy, w górę sztucznego

tornada odpadków, ślizgając się, raniąc i ocierając skórę, a potem przez przejście-szczelinę, brnąc w stronę światła, które mogło nas zabić, aż wreszcie ze zduszonym westchnieniem ulgi runęliśmy na krwawe piaski nad zbiornikami retencyjnymi, poddając się pieszczocie ich płytkich, niebezpiecznych wód, i odkryliśmy, że strażnicy opuścili posterunki – wysłannicy odeszli, a na horyzoncie widniał miraż, którego nie potrafilismy ogarnąć myślą ani rozszyfrować.

Dwie potężne bestie walczyły pośród płonących ruin miasta. Wpadały na siebie nawzajem, wycofywały się, znów atakowały – wyczerpane, wyczerpujące, brutalne. Szary dym nadciągnął nad miasto, otaczając sępy, które ślizgały się wysoko ponad łbami olbrzymów niczym poszarpane czarne aureole.

Wickowi pogorszyło się w wąskim tunelu i pewnie utknęły tam bez przytomności, gdybym nie była czujna. Podtrzymawałam go, popychałam naprzód i przytrzymawałam głowę, gdy wymiotował. Jad coraz głębiej w niego wnikał; ciemne żyły wyraźnie odznaczały się na czerwonawej skórze, usta zabarwiły się na czarno, oddech spłycił się i cuchnął. Miał zamknięte oczy, ale trzepotał powiekami. W ciemności czułam ich dotyk na opuszkach swoich palców.

Przy zbiornikach retencyjnych zebrałam resztki sił i chwiejnym krokiem poniosłam Wicka w stronę opustoszałej równiny, która stanowiła naszą nagrodę za przetrwanie tak długo. Ku miastu rozdartemu przez potwory.

Na równinie nic nie mieszkało, a może po prostu widok podwojonego Morda wszystko wypłoszył. Bylibyśmy łatwą ofiarą, ale na szczęście nic się do nas nie zbliżyło. Zabrałam biotechnologiczny kamuflaż Magiczki, ale nie mogłam się zmusić do noszenia istot, które wyraźnie cierpiały, więc schowałam je delikatnie do plecaka i zapiełam suwak. Może czaiły się na nas jakieś niebezpieczeństwa, ale ja ich nie widziałam.

– Jesteś zbyt cennym łupem, aby cię zostawić – powiedziałam Wickowi.

– Dobrze sobie radzisz... wracasz do zdrowia – poinformowałam Wicka.

– Musisz jeszcze tylko trochę wytrzymać – prosiłam Wicka.

Jego ciało było tak lekkie i giętkie, niemal dawało się składać, zupełnie jakby Firma takim go stworzyła, a zarazem tak słabe, że byłam od niego silniejsza, silniejsza, niż myślałam, choć wciąż był w stanie mnie chwytać, nieświadomie, instynktownie.

– Odbudujemy Balkonowe Klify – mówiłam mu, chociaż mnie nie słyszał. – Znów tam zamieszkamy.

Nie powiedziałam tego tylko po to, by go pocieszyć; chciałam pocieszyć samą siebie. Mówiłam szczerze. Ale tylko, jeśli zamieszkalibyśmy tam razem. Gdybym została sama, wtopiłabym się w miasto. Zniknęłabym, wyrzekłabym się swojego imienia, przeszłości i nadziei na znalezienie domu, stając się nikim.

Na skraju równiny, gdzie na zboczu czekał mroczny las, delikatnie ułożyłam swoje brzemię na rzadkiej trawie i upuściłam plecak. Wick miał zamknięte usta i oczy, był zimny. Ogarnęło mnie straszliwe uczucie tonięcia. Czy umarł, kiedy go niosłam? Czy już nie żyje?

Połamanymi palcami i drżącymi dłońmi nie potrafiłam sprawdzić, czy ma puls. Jego twarz cechował spokój, którego nie chciałam interpretować. Ale nie mógł umrzeć. Nie pozwolę mu być martwym.

Zwilżyłam mu usta, a potem sobie. Pocałowałam jego brudną twarz i ją obmyłam. Raz za razem wypowiadałam jego imię. Nie zwracałam uwagi na nic poza jego bezwładnym, drobnym ciałem leżącym na żółknącej trawie. Nawet nie mogłam nim potrząsnąć ani w żaden inny sposób go ocucić, ponieważ najłżejszy wstrząs mógł mu zaszkodzić.

Uklękałam obok Wicka. Czułam się taka lekka i bezsilna. Pokrywały mnie brud oraz krew, moja i cudza. Mój żołądek przypominał skurczony kamyk, a ciało tak wyschło, że nie miałam łez.

Uspokoiliłam się. Powstrzymałam drżenie, mocno przytrzymując prawą rękę lewą dłonią, po czym ujęłam nadgarstek Wicka – na tyle długo, że przekonałam siebie, iż wyczuwam słaby puls. Wmawiałam sobie, że Wick przeżyje, jeśli tylko się nie zatrzymam i nie poddam.

Ponownie założyłam plecak. Chwyciłam Wicka, stanęłam na szeroko rozstawionych nogach i go podniosłam.

Razem ruszyliśmy w górę zbocza.

Bywa, że jesteś świadkiem wydarzeń o takiej skali, że nie wiesz, jak je umiejscowić w kosmosie albo w odniesieniu do przebiegu typowego dnia. Jeszcze gorzej, gdy takie wydarzenia się powtarzają z coraz większym nasileniem, spadając na ciebie kaskadą chwil, których nigdy nie przeżyłeś i nie potrafisz sklasyfikować. To niepokojące, ponieważ w końcu się do nich przyzwyczajasz i przechodzisz nad nimi do porządku dziennego, a jeśli trwa to dłużej, takie wydarzenia przestają się poddawać krytyce i osądowi, wzbudzać przerażenie bądź zachwyt, a historia nie potrafi ich pojąć.

Kiedy niosłam Wicka w górę zbocza, od strony miasta dobiegł nowy dźwięk. Brzmiał jak odwrócenie dźwięku, który nas opuścił, gdy Mord stracił zdolność latania. Nieustające trzaskanie, które jakby przenikało grunt, trochę jak trzęsienie ziemi, ale niezupełnie. Odgłos, który zmuszał do podniesienia wzroku.

Wciąż daleko, ale wyraźnie widoczny ponad drzewami, w świetle późnego poranka, Mord już nie walczył z Mordem, ale ze Zrodzonym, ponieważ Zrodzony zrzucił kamuflaż, porzucił pazury i kły, stając się jeszcze straszliwszy i bardziej kompletny – jak prawdziwy bóg, który odrzuca hołdy wiernych, ponieważ wychowała go poszukiwaczka, która nigdy nie nauczyła się religii. Potwór, którego pomogłam wychować, walczył z potworem, którego Wick pomógł stworzyć.

Przeżyłam szok, gdy zobaczyłam, jak futro w jednej chwili ustępuje miejsca Zrodzonemu, jakiego znałam, tylko znacznie większemu. Świecący fioletowy wazon, rosnąca sylwetka, która mogłaby być jakimś nowym dziwnym budynkiem, ale była żywą istotą. Zrodzony nie radził sobie jako Mord, więc postanowił spróbować szczęścia we własnej postaci. Rozprostował się do pełnej wysokości, nieco przewyższając

Morda, wypuszczając znajome macki, podczas gdy przy podstawie zakotwiczyły go rzęski, każda z nich duża jak ja.

Zaskoczony Mord zatoczył się do tyłu, uderzając o ściany już sypiących się budynków, wzbijając potężne obłoki pyłu. Ale po chwili się otrząsnął, a gdy kłęby i burze pyłu opadły, zobaczyłam, że ruszył naprzód, aby zaatakować wrażliwe ciało Zrodzonego, a wysłannicy zapewne tłumnie rzucili się na jego podstawę.

Z pyska Morda dobył się ryk najczystszej radości, jakby potwór był zachwycony, że już nie musi walczyć ze sobą, tylko staje naprzeciwko wyraźnie określonej i odsłoniętej istoty.

Ponieważ Zrodzony zapłacił wielką cenę za tę przemianę – nieważne, że najeżył się kolcami i ostrymi krawędziami, nieważne, że tłukł Morda mackami, które odrastały po oderwaniu. Nie mógł powstrzymać tego, który miał prawdziwą naturę zabójcy – nie mógł powstrzymać Morda przed wbijaniem się w jego ciało. Mord zagłębiał się w Zrodzonego, wrywał wielkie zakrzywione kawały mięsa, które drżało i trzęsło się, spadając na ziemię, podczas gdy Zrodzony wrzeszczał tak przeszywająco, że aż uginały się pode mną kolana na wzgórzu i czułam przejmujący strach, rozmyślając o tym, co się stanie, jeśli Mord wygra, a Zrodzony zginie.

Mord raz za razem rzucał się na Zrodzonego, przyciągał go bliżej, zmuszał do pochylania szyi, a zaniepokojony Zrodzony migotał – kręgi oczu na zmianę pojawiały się na jego ciele i znikwały. Dygotał i chwiał się, odpychał Morda mackami, ale niedźwiedź mocno się trzymał, szukając okazji do zabójczego ugryzienia. Ranił gardło Zrodzonego i rozdzierał go pazurami. Kły przebijały mięso z okropnym chrzęstem, od którego pękało mi serce. Wysłannicy Morda upodobnili się do ciemnych smug gramolących się po bokach Zrodzonego, podczas gdy Mord zręcznie żłobił jego ciało, jakby było zbudowane z wosku, a on miał ogniste pazury. W oddali kolejna część ciała Zrodzonego upadła z młaśnięciem na ziemię.

Zrodzony miotał się w tym uścisku miażdżony w sposób, który nie wydawał mi się możliwy. Była to tak straszliwa wizja, że odwracałam wzrok, brnąc naprzód z Wickiem. Życie Zrodzonego

słabło, a ja wiedziałam, jak się czuje, znając powagę własnych obrażeń.

Dopóki Zrodzony się nie poddał.

Dopóki nie zrozumiał, jak sędzę, co musi zrobić. Nie wygra. Nie może wygrać. Chociaż jest bronią, nie jest aż tak zaprawiony w bojach jak Mord, który bezustannie pożerał, szukał okazji do ugryzienia, wyczekując bulgotu i bryzgnięcia krwi, które kończyły życie ofiary, nigdy się nie cofał, nigdy się nie poddawał, jakby to oznaczało śmierć.

Nikt w mieście nie widział całości tego, co wydarzyło się potem, ale wszyscy dostrzegliśmy fragment, który w naszych wspomnieniach stał się całością.

Kiedy Mord zaczął żerować na ciele Zrodzonego, ten zmienił taktykę. Zamiast próbować stać się wyższym, rozszerzył się na boki, tak że Mord musiał się przygiąć do ziemi i przekopywać przez ciało ofiary, brudząc się nim, szukając serca Zrodzonego, które mógłby wyrwać i pokazać, wciąż bijące, całemu miastu. Ale Zrodzony coraz bardziej się rozpląszczał i jednocześnie poszerzał szczelinę na szczycie swojego ciała, tak że upodobił się do kwiatu passiflory. Złożonego i pięknego, o wielu poziomach.

Dla Morda to zapewne wyglądało jak kapitulacja, zapowiedź śmierci. Zatem niedźwiedź wstał, wyprostował się na tylnych łapach, a następnie opadł prosto na Zrodzonego... lecz ten cały czas się otwierał i otwierał, tak że Mord wpadł prosto w jego środek, a wtedy boki Zrodzonego błyskawicznie się uniosły, macki zaś zamknęły się nad Mordem jak więzienne kraty. Zrodzony skoczył ku niebu i zatrzasnął się jak pułapka; tylko łeb Morda wciąż wystawał z otworu.

Rozległy się stłumione skomlenie i wrzask, wycie, ryk, huk, kłapanie potężnych szczęk.

Mieliśmy wrażenie, że coś zassało powietrze z nieba ku Zrodzonemu. Ucichły wszystkie dźwięki.

Pojawiło się oślepiające srebrzysto-białe światło, promieniowanie, którego fala przeniknęła krajobraz i rzuciła mnie na ziemię, tak że przygniotłam Wicka. Fala światła, która

nie emitowała ciepła. Gdzieś bardzo blisko rozległ się donośny grzmot. W mojej głowie pojawiło się słowo, przysięgam, pojedyncze słowo, moje imię: „Rachel”. Które oznaczało coś innego niż jeszcze przed chwilą.

Długo leżałam niepewna, co zobaczę, gdy się podniosę.

Wstałam. Popatrzyłam w stronę miasta. W okolicy nie leżały żadne strzaskane ciała gigantów. Nie było szczątków. Nie było padliny, którą mogliby się pożywić poszukiwacze.

Mord i Zrodzony zniknęli, zupełnie jakby nigdy nie istnieli, a miasto było nieruchome i ciche, nie licząc zawodzących wysłanników oraz krętych kosmyków dymu, które wciąż unosiły się nad tym, co zostało zniszczone.

We mnie jednak nie pozostał ani kawałek przestrzeni. Wypełniał mnie smutek wywołany tą nieobecnością, tak że ledwie mogłam oddychać.

Urodził się, ale ja go zrodziłam.

Wiedziałam, że Zrodzony pod koniec był przerażony. Wiedziałam, że cierpiał, ale zawdzięczaliśmy mu dar lepszego życia. Opłakiwałam dziecko, które było serdeczne, słodkie i ciekawskie, ale nie potrafiło przestać zabijać.

Co się stało potem i co się zmieniło

Nie pozostało wiele do opowiedzenia. Większość, w tym życie, które wiodę, to tylko skutki tamtych wydarzeń.

Przy zbiorniku, naszym tymczasowym schronieniu, nakarmiłam Wicka, jakby był rzadkim i delikatnym kolibrem, podczas gdy jego organizm radził sobie z resztką jadu. Nakłoniłam go do napicia się wody ze studni. Opatrzyłam i oczyściłam jego rany. Mówiłam do niego, chociaż wciąż mnie nie słyszał. Trzymałam go za rękę. Wypatrywałam wrogów, ale żadni się nie pojawili.

Cały czas mówiłam mu, że go kocham, że jest osobą. Że jest osobą. Że go kocham. Ponieważ tak czułam. Ponieważ uważałam, że jeśli nie usłyszy tych słów, może umrzeć, a potem nie będę już miała okazji ich wypowiedzieć.

Bez przerwy odnajdywaliśmy się i gubiliśmy nawzajem, tak już z nami było. Niewykluczone, że tylko ja byłam w stanie naprawdę uczynić Wicka osobą, przebacząc mu. A gdybym mu przebaczyła, gdyby to zobaczył, być może razem zostalibyśmy ludźmi.

Padło przez trzy dni i trzy noce. Już to byłoby dostatecznie dziwne, lecz to nie był zwykły deszcz. Z nieba spadały wszelkiego rodzaju stworzenia albo pod wpływem tego deszczu nowe istoty wyrastały spod ziemi. Trawa wokół zbiornika dziko się rozrastała, tworząc zielone ścieżki, a na części martwych poczerniałych drzew na zboczach zauważyłam nowe liście. Dowiedziałam się, że na niektórych ulicach w mieście pojawiły się pnącza i rośliny, których nie oglądaliśmy tutaj od lat. Podczas burz ptaki lirycznie śpiewały, a ukrywające się zwierzęta po raz pierwszy od dawna opuszczały swoje schronienia.

Jednakże większość stanowiły niezwykle biotechnologiczne istoty. Na opuszczonej równinie woda uruchomiła ostatnie

pułapki, z których wzbiły się w górę olbrzymie obłoki i eksplozje życia, nawet erupcje pszczoł albo stworzeń przypominających pszczoły, które wyłoniły się z bagien i rozproszyły na wietrze. Wydłużone, elastyczne stwory wygrzebywały się spod ziemi, gdzie długo pozostawały w uśpieniu, podejrzliwe i niemal pokorne w swoich ruchach, po czym oddalały się na krzywych nogach, by kopać nory.

Wody zbiorników retencyjnych podniosły się i wylały, zatapiając budynek Firmy i rozlewając się po równinie, tak że do dziś nie wiemy, jak duża część nowego życia, które pojawiło się pośród nas, pochodzi z tamtej chwili. W samym mieście strumienie alkoholowych płotek zbudziły się do śliskiego, wijącego się życia, razem z mikroorganizmami zawartymi w deszczu zaludniając strzaskane ulice i infiltrując pęknięcia oraz grotty. Ku oszołomieniu ludzi przyzwyczajonych do biedy w tej jednej chwili w całym mieście zapanowała... obfitość.

Trzeciego dnia strumień wysechł, a wilgoć wyparowała albo wsiąkła w ziemię, spora część roślinności uschła, nowe zwierzęta zaś pozdychały, ukryły się albo zostały pożarte. Dla nowo przybyłego obserwatora miasto mogłoby sprawiać wrażenie równie zrujnowanego i bezużytecznego jak poprzednio. Ale takie nie było. Miasto zostało obmyte tak dokładnie, jak to tylko możliwe, a to, co mu odebrano, było równie ważne jak to, co zostało dodane.

Czwartego dnia Wick otworzył oczy i okazało się, że ma jasne spojrzenie wolne od bólu. Chwiejnie wstał i rozejrzał się po zbiorniku ze słabym uśmiechem na twarzy.

Utrzymałam go przy życiu. Zawiodłam w wielu innych sprawach, ale utrzymałam Wicka przy życiu.

W tych pierwszych chwilach przytomności podał mi nasze ostatnie hasło, które potwierdzało, że jest prawdziwy.

– Już ich nie potrzebujemy – odrzekłam.

Przez chwilę patrzył na mnie oszołomiony, aż wreszcie zrozumiał.

Ktoś słabszy niż Wick otoczyłby się fałszywą przeszłością, osobistą historią, skonstruował jakiś pretekst, opowiadał

kłamstwa – albo oparł się na zakłamanych wspomnieniach, które dała mu Firma. Ale Wick tego nie zrobił. Trzymał się na uboczu, chciał być sam, wolał samotność od zniewolenia mitem.

– Uratowałaś mi życie – powiedział i mnie pocałował, a ja mu pozwoliłam.

Tej nocy wróciliśmy do Balkonowych Klifów, żeby przeszukać ruiny i zacząć od nowa.

*

Dziwne, zapomniane zwierzęta porzucone przez Firmę żyją pośród nas, wraz ze swoją niezaspokojoną ciekawością, jak Zrodzeni, którzy nie chcą starego świata. Niczego od niego nie potrzebują. Sami są sobie sterem i kierują swoim losem, chociaż niektórzy ludzie wciąż postrzegają je jako pożywienie, jako coś zbędnego. Znajduję pociechę w ich nieustraszonosci. Przynosi mi ulgę to, w jaki sposób wcielają w życie swoje plany, wypełniają swoje przeznaczenie. Z czasem wszystkich nas przewyższą, a historia miasta pewnego dnia stanie się ich historią, nie naszą.

Wysłannicy Morda jeszcze przez pewien czas terroryzowali okolicę, ale musieli się zmierzyć z grozą wywołaną śmiercią ich pana. Wielu umarło w ciągu najbliższych trzech albo czterech lat, a ci, którzy pozostali, byli zarazem najbardziej niebezpieczni i najbardziej cywilizowani. Posługiwali się swoim własnym językiem złożonym z ćwierkania i posapywania, a także zaczęli rozwijać własne zwyczaje. Ich młode są odsuwane od bezmyślnej przemocy i zachowują się bardziej jak niedźwiedzie: są czujne, sprytne i ostrożne, jakby lepiej rozumiały swoje miejsce.

Dzikie dzieci, które stworzyła Magiczka, rozpląnęły się w mieście. Niektóre były zbyt poranione i stworzyły własne wyjęte spod prawa społeczności, okopane głęboko pod fabrykami. Wychodzą nocami, by siać zniszczenie i przypominać nam, że wciąż istnieją. Ale one także zostały zdziesiątkowane i już nigdy nie opanują tak okazałego terytorium jak za czasów Magiczki.

Inne znalazły drogę wyjścia – część wróciła do rodzin, które im przebaczyły i je przyjęły, pomimo fizycznych deformacji, pomimo

psychoz. Niektóre nie miały tyle szczęścia, ale i tak porzuciły dawne życie i zamieszkały w cieniach pod mostami i w opuszczonych budynkach. Nigdy nie miały całkowicie dojść do siebie, lecz nikt nie mógł nic na to poradzić.

Ale teraz mogę spacerować ulicami, wzdłuż których rosną młode drzewka, i odwiedzać targ, na którym ludzie osłonięci prowizorycznymi namiotami sprzedają swoje towary. Mogę to robić, chociaż niektórych części miasta nadal nie odwiedzam, ponieważ czai się tam zbyt wiele przemocy. W dzielnicy obserwatorium czasami widzimy światła, także elektryczne – część dawnego świata, która do nas powraca. Ludzie kopią albo oczyszczają studnie, wokół których tworzą się nowe społeczności. uprawiają warzywa. Podobno założono kilka sadów.

Na skrzyżowaniach jest mniej martwych astronautów, którzy mogliby nas zbić z tropu. Jesteśmy tylko my i potwory, które stanowią część historii i zawsze nam towarzyszą. W tym nowym-starym mieście nie pragnę żadnej władzy poza władzą nad swoim życiem. Zawsze chciałam, by miastem nikt nie rządził. Ani Firma, ani Mord, ani Magiczka. Nawet Zrodzony, mimo że go kochałam.

Przez jakiś czas widywałam lisiczkę przed Balkonowymi Klifami. Przez jakiś czas za mną podążała. Jasne spojrzenie, czujnie postawione uszy, szybki krok. Wybrałaś mnie? Chciałaś, żebym znalazła Zrodzonego? Czy może to był przypadek, pomyłka, ślepy los? Wiedziałaś, co się może stać, kiedy go znajdę? Nie spodziewałam się odpowiedzi, a lisiczka w końcu przestała się pojawiać.

Wick twierdzi, że żyjemy w alternatywnej rzeczywistości, ale odpowiadam mu, że to Firma jest i zawsze była alternatywną rzeczywistością. Prawdziwa rzeczywistość to coś, co tworzymy w każdej chwili każdego dnia, tkamy ją za pomocą decyzji, które podejmujemy w każdej sekundzie życia. Mówię mu, że Firma to przeszłość żerująca na przyszłości – a my jesteśmy przyszłością.

Migocząca rafa gwiazd, rozłożysta i fosforyzująca, a wokół każdej z nich mogą krążyć planety, na których być może istnieje

życie. Niewykluczone nawet, że ludzie tacy jak my wpatrują się tam w nocne niebo.

Czy istniał jakiś świat po drugiej stronie? Czy właśnie to oznaczała ta lśniąca ściana srebrnych kropel deszczu? Była bramą? A może to złudzenie?

To bez znaczenia. Ponieważ teraz możemy go stworzyć tutaj.
Świat.

Jak teraz żyję

Balkonowe Klify były opustoszałe, gdy wróciliśmy. Przybyliśmy czujni, gotowi przepędzić intruzów, ale niedźwiedzie odeszły, a nikt inny nie odważył się wprowadzić. Wysłannicy Morda spowodowali wiele zniszczeń, ale rozśmieszyło nas do łez to, że początkowo nie potrafiliśmy odróżnić tego, co zniszczyli, od tego, co zostawili w spokoju, i musieliśmy się kierować śladami odchodów. Zrodzony wybił tyle dziur w ścianach. Spoglądając na Balkonowe Klify świeżym okiem, zrozumieliśmy, że mieszkaliśmy w posprzątanej kloace, która wymagała znacznie dokładniejszego przewietrzenia.

– Co teraz, Rachel? – spytał Wick. – Co teraz zrobimy?

– Co tylko zechcemy – odpowiedziałam.

Zatem wzięliśmy się do pracy.

Wick już nigdy nie wrócił do pełnej fizycznej sprawności, chociaż miewa lepsze dni. Lewa strona jego ciała jest częściowo sparaliżowana, lewa ręka nie działa poprawnie. Skóra nie zbladła, tylko wciąż przecinają ją czarne linie żył. Czasami miewa nieobecne spojrzenie, jakby słuchał muzyki, której ja nie potrafię usłyszeć. Ale przez większość czasu nie jest zagubiony w fugach ani wspomnieniach, czy cokolwiek go wtedy zajmuje. Żyjemy, wspieramy się nawzajem i radzimy sobie z tym, co mamy. Wick naprawił swój basen, wciąż wytwarza biotechnologię i nauczył się produkować swoje lekarstwo, zanim minęły cztery miesiące i skończył się zapas łodzików.

Nigdy nie powiedziałam Wickowi, że zabiłam Magiczkę – ona po prostu nie wróciła. Skoro Wick mógł tak długo dźwigać brzemień swojej tajemnicy, to ja również mogę zachować swoją, by go nie obciążać.

Nie powiedziałam Wickowi także o tym, że znam jego

ostateczny sekret. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego liście, chociaż pewnie domyśla się, że go przeczytałam. Żeby być razem, potrzebujemy tajemnic i tematów, których nie poruszamy. Czasami rozmowa jest pułapką, a rzeczy, które sobie mówimy, uważając je za niezwykle istotne, i których potem żałujemy, stają się częścią nas i nie potrafimy przestać o nich myśleć, choćbyśmy bardzo starali się ich pozbyć.

Wolę dawne zdrady oparte na zaufaniu. Moja obecność u jego boku mówi Wickowi wszystko, co powinien wiedzieć, a niezależnie od tego, co jeszcze uczynił w życiu, nigdy nie zabił nikogo kamieniem. Poza tym już nie handluje wspomnieniami.

Wick nigdy nie uważał się za osobę i stale go to nękało. Zrodzony zawsze próbował być osobą, ponieważ ja tego od niego wymagałam i ponieważ uważał, że to słuszne. Wszyscy chcemy tylko być ludźmi, chociaż żadne z nas nie wie, co to naprawdę oznacza.

Początkowo uważałam, że, kiedy leżymy w łóżku, Wick szuka tylko mojego ciała. Ale on długo poszukiwał mnie – osoby o imieniu Rachel, która ostatecznie również pokochała osobę o imieniu Wick.

Życie wciąż jest ciężkie, ale sprawiedliwe, i jest w nim więcej radości, która nie karmi się cierpieniem.

*

Istnieją terytoria, których nie warto zajmować, pułapki, których nie warto zastawiać.

W Balkonowych Klifach mieszkają z nami także inni ludzie. Kiedy spaceruję korytarzami, patrzą na mnie nowe twarze. Większość zaprosiliśmy, a część to dzieci, które nie miały się gdzie podziać. Nie wymagamy od nich niczego poza tym, by starali się poszukiwać łupów i pomagali utrzymać Balkonowe Klify.

Wick tworzy zabawki dla dzieci, biotechnologiczne drobiazgi, które rozśmieszają je lub oszałamiają. Lubię patrzeć, jak Wick się bawi. Lubię słuchać śmiechu dzieci. To znacznie lepsze niż elegancka restauracja. Bardziej przypomina ogród botaniczny na

wyspie. Jest prawie takie samo.

Teems jest jednym z chłopców, którzy z nami zamieszkali, i traktuję go prawie jak swoje dziecko. Marzyłam o tym, aby sprowadzić tamtą dziewczynkę, przywódczynię, i ją wychować, ale nie udało mi się jej odszukać. Zamiast tego znalazłam Teemsa i go przygarnęłam. On był pierwszy.

Teems jest zwykłym chłopcem, który lubi bawić się piłką, nie znosi warzyw i czyta moje książki, kiedy mu każę. Uwielbia dokazywać w błocie, a jego uparta mina sprawia, że zawsze wygląda, jakby czemuś się sprzeciwiał. Ale ma duże oczy, które wszystko chłoną i nie umyka im żaden szczegół. Jest uczciwy, pełen szacunku, honorowy i dzielny w miarę swoich możliwości.

Uczę go tylko użytecznych rzeczy, które dają nadzieję. Chcę, by stał się tym, kim jestem, a także tym, kim nigdy nie zostanę.

Jestem pewna, że Teems uważa mnie i Wicka za starych ludzi, którzy są zbyt szczodrzy i niedostatecznie twardzi. Ludzi, którzy już nie potrafią dostrzegać pułapek. Ale czy kiedykolwiek naprawdę je dostrzegaliśmy? Wick i ja przeżyliśmy sporo przygód. Wystarczająco dużo jak na całe życie i nie przeszkadza nam, że nie wie o nich nikt poza nami, że stanowią naszą wspólną tajemnicę. Nikt inny w mieście nie uwierzyłby w tę historię i nikt nie byłby w stanie jej zrozumieć, zresztą to niepotrzebne.

*

Pozostała jeszcze tylko jedna rzecz, o której chcę opowiedzieć. O tym, jak pewnego słonecznego spizowego dnia, niedługo po naszym powrocie do Balkonowych Klifów, wybrałam się, jak przystało na poszukiwaczkę, w okolice miejsca, w którym zniknęli Zrodzony i Mord.

Tam ponownie znalazłam Zrodzonego. Podniosłam go z gruzów. Otrzeptałam z pyłu. Był słaby, malutki – tak jak za pierwszym razem, gdy na niego natrafiłam. Ale to był on. Pachniał jak ocean mojej młodości – solą, falami i wodorostami. Ale ktoś inny mógłby poczuć inną woń.

Zabrałam go jako cenny łup i zaniiosłam do Balkonowych Klifów. Nie odzywał się, nie potrafił mówić, ale czułam, że wciąż

jest tam w środku. Zabił wielu ludzi. Robił straszne rzeczy, chociaż wcale nie chciał. Wszyscy robiliśmy straszne rzeczy.

Postawiłam go na naszym balkonie, na widoku Wicka, obiecując sobie, że jeśli Zrodzony kiedyś urośnie lub się odezwie, skończę z nim. A jeśli Wick będzie chciał go zabrać, pozwolę mu rozebrać go na części.

Ale tak się nie stało. Wick go nie zabrał. Zrodzony nie poruszał się samodzielnie; był jak roślina czerpiąca substancje odżywcze ze słonecznego światła. Nigdy więcej się nie odezwał, chociaż ja do niego mówiłam i może nawet trochę liczyłam na to, że mi odpowie. Nie potrafiłam do końca pozbyć się wątpliwości i pragnień; chyba możecie mi to wybaczyć.

W dobre dni siedzimy z Wickiem na balkonie, trzymamy się za ręce i patrzymy na lśniąca rzekę o zmierzchu. Dla tych, którzy mnie znają, po upływie tylu lat jestem tylko kobietą w średnim wieku, która mieszka w Balkonowych Klifach i opiekuje się dziećmi, osobą, którą czasami widują wysoko ponad rzeką, nie tak skażoną jak dawniej, rzeką, która pewnego dnia może stać się prawdziwie piękna.

Podziękowania

Jestem wdzięczny niedźwiedziom, że znoszą bzdury, które o nich wypisuję. Niedźwiedzie są fascynującymi, inteligentnymi, sprytnymi i imponującymi zwierzętami. Zaslugują na naszą miłość i wsparcie. Jeśli jakiegoś spotkacie, proszę, nie uciekajcie, tylko stańcie nieruchomo. A jeżeli to konieczne, połóżcie się na ziemi i udawajcie głąz.

Wszystkie niedźwiedzie są cudowne. Wielu ludzi także. Dziękuję swojej pierwszej czytelniczce, mojej żonie Ann, a także Seanowi McDonaldowi, mojemu cierpliwemu i błyskotliwemu redaktorowi w wydawnictwie Farrar, Straus & Giroux, oraz wszystkim innym w FSG za ich cierpliwość i błyskotliwość. Dziękuję swoim brytyjskim, kanadyjskim, chińskim i niemieckim wydawcom za wczesne zainteresowanie powieścią. Dziękuję swojej agentce, Sally Harding, oraz Cooke Agency. Dziękuję również Eliemu Bushowi, Scottowi Rudinowi, Alenie Mayo i wytwórni Paramount Pictures za entuzjazm i kreatywność.

Dziękuję swojej pasierbicy, Erin Kennedy, i wnukowi Riley'emu (Mr. R) za przemyślenia dotyczące tego, jak powinien mówić Zrodzony. Szczególne podziękowania dla Erin za pożyczenie zwrotu „długa mysz”.

Dziękuję jednemu ze swoich literackich idoli, Steve'owi Ericksonowi, za zamieszczenie wczesnego fragmentu Zrodzonego w swoim cudownym czasopiśmie „Black Clock”, na długo przed tym, jak skończyłem powieść. Jego uwagi redakcyjne i wsparcie wiele dla mnie znaczą.

Na końcu dziękuję naszemu potwornemu kotu, Neo, znanemu jako Massive Attack, bez którego nie zaistniałyby pewne aspekty osobowości zarówno Zrodzonego, jak i Morda. Na przykład stosunek do jaszczurek.

(Przed spotkaniem z niedźwiedziem proszę zajrzeć do oficjalnego poradnika dotyczącego zasad bezpieczeństwa).

Dziwny Ptak

Opowieść ze świata Zrodzonego

Dla Ann.

*Dziękuję Sjónowi,
który pożyczył mi jednego ze swoich błękitnych lisów.*

Ucieczka

W pierwszej chwili Dziwny Ptak pomyślała o niebie nad oceanem, którego nigdy nie widziała, w miejscu położonym daleko od obmytego płomieniami laboratorium, z którego się wyłoniła, gdy pękła klatka, lecz jej skrzydła cudem pozostały całe. Długo nie wiedziała, czym naprawdę jest niebo, gdy latała podziemnymi korytarzami w ciemności, unikając ostrzeliwujących się postaci i nawet nie wiedząc, że szuka drogi wyjścia. Zobaczyła otwierające się drzwi w suficie, usłyszała za sobą chrobot szczuropodobnej istoty, więc uciekła, unosząc się z dymiących ruin. Ale nawet wtedy jeszcze nie wiedziała, że niebo jest błękitne ani czym jest słońce, ponieważ wyfrunęła na chłodne nocne powietrze i cały jej zachwyty skupił się na punkcikach światła, które przecinały mrok w górze. Potem dała się porwać radości lotu i wzbijała się coraz wyżej, nie dbając o to, kto ją zobaczy ani co ją czeka w rozkosznym spadaniu i szybowaniu poprzez bezkres przestrzeni.

Ponieważ jeśli tak wygląda życie, to ona dotychczas nie żyła!

Wschód słońca, który zapłonął na horyzoncie ponad pustynią, na tle ściany palącego błękitu, oślepił ją i zaskoczona spadła ze swojego schronienia na gałęzi starego drzewa na piasek.

Przez jakiś czas trzymała się blisko podłoża, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, bojąc się słońca. Czuła żar drażniącego piasku i wyczuwała jaszczurki, węże, robaki i myszy żyjące pod ziemią. Wędrowała zrywami przez pustynię, która kiedyś była dnem rozległego morza, niepewna, czy może wzlecieć bez ryzyka spłonienia.

Czy to coś jest blisko, czy daleko? Może to światło laboratoryjnego reflektora, za pomocą którego starają się ją odnaleźć? Słońce stale się wznosiło, ona walczyła

z niepewnością, powietrze falowało, skorpiony z szelestem wychodziły spod piasku, na odległej wydmie jakaś istota rzuciła się na niewielkie zwierzę, które niedostatecznie daleko odskoczyło, a powietrze pachniało popiołem i solą.

Czy to sen? Co by się stało, gdybym teraz wzbiła się w powietrze? Czy powinnam to zrobić?

Pomimo palącego słońca miała wrażenie, że jej skrzydła nabierają siły, a nie słabną, i jej wędrówka stała się bardziej śmiała. Nie wynikała ze złamanego skrzydła, lecz była świadomym wyborem. Wzór, jaki jej skrzydło pozostawiało na piasku, był jak wiadomość, którą pisała do siebie. Żeby nie zapomnieć. Ale o czym?

Odgłos łap tupiących na piasku wzbudził w niej panikę i natychmiast porzuciła lęk przed płonąca kulą, po czym wzbiła się niemal pionowo w niebo, coraz wyżej i wyżej. Jej ciało się nie sprzeciwiło, a błękit otulił ją i przygarnął. Kiedy zatoczyła krąg nad swoimi śladami, lecąc pod wiatr i sprawdzając siłę skrzydeł, zauważyła dwa lisy, które wachały jej tropy.

Podniosły na nią wzrok, zaszczeły i zamachały ogonami. Ale Dziwny Ptak nie dała się nabrać. Dwukrotnie zapikowała ku nim dla zabawy, a one piszczały i posyłały jej urażone spojrzenia, przykrywające chłód i żarłoczne uśmiechy.

Potem znów wzbiła się wyżej i ruszyła na południe, starając się nie patrzeć w słońce. Na zachodzie leżało laboratorium, w którym kiedyś tworzono takie piękne i straszliwe istoty.

Dokąd zmierza?

Na wschód i na południe, ponieważ nieustępliwy kompas w jej głowie stale pcha ją naprzód.

Na co liczy?

Szuka celu oraz życzliwości, której dotychczas nikt jej nie okazał.

Gdzie chce się zatrzymać?

W miejscu, które będzie mogła nazwać domem i w którym poczuje się bezpieczna. W miejscu, w którym znajdzie inne istoty takie jak ona.

Mroczne skrzydła

Następnego dnia na horyzoncie obok słońca zadrżała i zadygotała wizja miasta. Upał był tak silny, że miasto bez przerwy się poruszało w falach światła. Przypominało setkę spiętrzonych i ustawionych obok siebie laboratoriów, które lada chwila mogły popękać i runąć.

Dziwny Ptak wzdrygnęła się i odbiła na południowy zachód, a potężne miasto wkrótce rozpląnęło się w ciemne pasy i kręgi na piasku, aż w końcu zniknęło. Czyżby zniszczył je żar słońca? Czy było tylko duchem? Słowo „duch” uwierało ją w głowie, brzmiało obco, ale wiedziała, że oznacza kres czegoś.

Czy laboratorium jest duchem? Nie dla niej.

Siódmego dnia po tym, jak intruzi przekopali się od spodu do laboratorium... naukowcy, odcięci od swoich zapasów, obłączeni w sali ze sztuczną wyspą przeznaczoną dla ich dzieł, zaczęli zarzynać stworzone przez nich zwierzęta, by zdobyć pożywienie.

Dziwny Ptak przysiadła na haku pod sufitem i patrzyła, wiedząc, że może być następna. Jak borsuk, który spoglądał w górę, marząc o skrzydłach. Jak koza i mała. Wpatrywała się w nie i nie odwracała wzroku, ponieważ byłoby to oznaką tchórzostwa, a ona nie była tchórzem. Ponieważ musiała je jakoś pocieszyć, nawet jeśli na nic im się to zdało.

Wszystko, co jej dano i odebrano, doprowadziło ją do tej chwili, gdy ze swojego schronienia promieniowała miłością do wszystkich zwierząt, którym nie mogła pomóc, jednocześnie nie czując niczego wobec ludzi.

Nawet w tych jej częściach, które były ludzkie.

Pierwsze wolne ptaki napotkała wkrótce po opuszczeniu miasta duchów, zanim ponownie skręciła na południowy wschód. Trzy duże, ciemne osobniki unosiły się na prądach powietrznych

wysoko w górze, a bliżej leciało stado malutkich ptaszków. Wyśpiewała im swoją pieśń, przyjacielskie powitanie pobratymców, ogłaszając, że chociaż ich nie zna, to je kocha. Ale ptaszki, które miały oczy jak kropeczki i kłębiły się niczym pojedyncza żywa istota, na zmianę wznosząc się i opadając jak fala albo widmowy cień mknący po niebie, nie uznały jej za swoją siostrę. Było w niej zbyt wiele obcego.

Uznały Dziwnego Ptaka za wroga, rozświergotały się chrapliwie, potężnie zatrzepotały skrzydłami i natarły na nią dziobami. Opadła i przekoziółkowała oszołomiona, by znaleźć się pod nimi, ale one za nią podążyły, dziobiąc i ujmując swoją niechęć w jednym donośnym orkiestralnym dźwięku, otulając ją jak płaszcz, tak że czuła na sobie drapanie ich tłustych, cętkowanych piór.

Było to nieznośne doznanie i Dziwny Ptak z wrzaskiem przerwała lot nurkowy, a zamiast tego szybko się wzbiła, pędząc przez studnię zimnego powietrza, walcząc z ciężarem swoich pobratymców, aż ptaszki w końcu zaczęły od niej odpadać, niezdolne wznieść się tak wysoko, i wściekle zakłębiły się pod nią jak chmara komarów. Lodowaty wiatr przyniósł metaliczną woń, świat otworzył się przed Dziwnym Ptakiem, a wtedy ujrzała na zakrzywionych krawędziach, że pustynia ma swój kres i przynajmniej z jednej strony ustępuje miejsca zielonym drzewom. W oddali poczuła ostry, kuszący zapach morskiej soli, który szybko się rozwiął, lecz przemówił do jej wewnętrznego kompasu, ponownie budzącego się do życia.

Nagle trzy ciemnoskrzydłe potwory, unoszące się nad nią, znalazły się po obu jej stronach. Pióra na końcach ich szerokich skrzydeł przypominały długie palce, głowy były szare i łyse, a oczy lśniły czerwienią.

Stwory przez kilka minut unosiły się na wietrze, a Dziwny Ptak cieszyła się, że może odzyskiwać siły w ich towarzystwie. Ale wkrótce z niepokojem wyczuła, że mroczne skrzydła badają obrzeża jej umysłu, zabezpieczenia, które umieścili tam naukowcy. Ściany, o których istnieniu nie miała pojęcia, stały na swoich miejscach, po czym, zgodnie z ustalonym protokołem,

otworzył się pojedynczy kanał komunikacji, podczas gdy cała reszta skryła się za nienaruszalną tarczą.

Pochodzenie?

Zamiary?

Cel?

Słowa pojawiły się w jej głowie umieszczone tam przez mroczne skrzydła. Nie знаła odpowiedzi, lecz stwory, zbliżając się, otworzyły się przed nią, a jako że były starsze, na razie nie poczuły zagrożenia, nie zauważyły, że ich własne zabezpieczenia zostały naruszone za sprawą złożonych mechanizmów żyjących wewnątrz Dziwnego Ptaka. Większość tego, co było w nich nowe i co zrodziło się z ich woli, miało na celu umożliwienie im bardziej niezależnej rozmowy i dalsze upodobnienie do ptaków.

Dziwny Ptak uświadomiła sobie, że, tak samo jak ona, mroczne skrzydła nie są czystej krwi ptakami, a poza tym, w odróżnieniu od niej, częściowo nie są zbudowane z ciała. Zaszokowana zrozumiała, że niczym żywe satelity okrążają świat od tak dawna, że z trudem ogarnęła tę liczbę lat umysłem. Pojęła, że polecono im obserwować wszystko z góry i przekazywać informacje do kraju, który już nie istnieje, do dawno zniszczonej stacji odbiorczej, dla potrzeb wojny, która skończyła się jeszcze dawniej.

W ich bezbronności i oddaniu dawnej misji, w której ramach napełniały się danymi aż po brzegi, by potem skasować część z nich i zacząć od początku, Dziwny Ptak dostrzegła wizje dawnego świata, miasta, które zapadały się albo wybuchały jak rozkwitające passiflory, upadek i rozwój, które w istocie były tym samym. Potem widziała już tylko to, co obserwowały z nieba, w świetle i ciemności, ciche i bezstronne, nieskłonne do osądów... bo niby jaki miałyby wydać osąd? No i jaki wyrok miałyby wykonać, skoro wszyscy winni byli martwi i pogrzebani? Ale dzięki tym obrazom Dziwny Ptak dowiedziała się, że laboratorium paradoksalnie służyło jako schronienie... chociaż nie dla trzymanyh w nim zwierząt.

Mroczne skrzydła nie potrzebowały pożywienia. Nie potrzebowały wody. Nieprzerwanie latały i badały teren w dole;

ich szpony nigdy nie poczuły twardej gałęzi, a dzioby nie zaznały pokarmu. Ta myśl wywołała w Dziwnym Ptaku niemal ludzkie mdłości.

Czy mam was wyzwolić? – spytała. W pewnym sensie zamierzała wyzwolić także świat zaklęty w ich wnętrzach.

Ponieważ rozumiała, że to możliwe, że wystarczy odpowiednie polecenie, by mroczne skrzydła spadły z orbit, zaczęły myśleć samodzielnie i powróciły na ziemię. Nie wiedziała, co wtedy zrobić, z pewnością jednak czują się lepiej, prawda?

Ale jej pytanie zaniepokoiło mroczne skrzydła, ponownie uruchomiło w nich wewnętrzne systemy bezpieczeństwa. Wszystkie trzy wydały z siebie potężny okrzyk i nagle rozpadły się na czarne kropki, które były miniaturowymi wersjami ich samych, po czym rozpląnęły się w powietrzu. Mroczne skrzydła zniknęły, jakby nigdy ich nie było, a Dziwnemu Ptakowi szybciej zabiło serce i wzniosła się wyżej, jakby mogła uciec przed tym, co zobaczyła.

Po upływie kolejnego dnia albo tygodnia kropki odnajdą się i połączą, utworzą znajomy wzór i trzy mroczne skrzydła znów będą sunęły przez niewidzialną skórę świata po wyznaczonych trasach, wykonując zadania dla dawno umarłych panów. Być może będą latać przez kolejny wiek albo dwa, zarazem martwe i żywe, dopóki to, co je napędza, nie zestarzeje się, lub ich cielesna część nie ulegnie zużyciu.

Ale nawet w postaci kropek miotanych podmuchami wiatru mroczne skrzydła wciąż komunikowały się ze sobą nawzajem. Dziwny Ptak je słyszała, pyłki mówiące do pyłków, dzielące się dotyczącymi jej informacjami. Przekazujące wiadomości, które z pewnością były kłamstwami.

Analiza

>>Skład: Połączenie ptaka z homo sapiens i innymi ziemskimi formami życia. Niestabilna mieszanka.

>>Cel misji niepewny; próba przejęcia kontroli nad synapsami przebiegła niezgodnie z pierwotnym planem. Stuprocentowa

pewność zakłóceń.

>>Wniosek: Istnienie uśpionych komórek nieznanego pochodzenia i przeznaczenia.

>>Działanie: Uniknąć niktąć niktąć niktąć!

O zmierzchu usiadła na szczycie zardzewiałego kadłuba okrętu, który zatonał na pustyni pół wieku wcześniej. Była zmęczona. Ogarnął ją smutek, gdy dryfowała przez skórę nieba, obserwując, jak pustynia zmienia się w góry zardzewiałego sprzętu elektronicznego i wiekowych przyczep kempingowych, które zwapniały i skamieniały do postaci wydym.

Razem ze smutkiem pojawiła się świadomość, że Dziwny Ptak może być potężna – i że wielkością niemal dorównuje mrocznym skrzydłom. Że jej stopy są zakończone pazurami, które mają za zadanie rozrywać, rozcinać i rozdzierać. Że jej dziób jest ostry i zakrzywiony. Że nie potrzebuje pożywienia jak inne ptaki, a przynajmniej nie potrzebuje go często i może się bez niego obywać. Pod tym względem bardziej przypominała mroczne skrzydła.

Kiedy nocne stworzenia wypełzły ze swoich kryjówek, a wiatr zwolnił i nabrał charakteru, napłynęła wraz z nim silna woń piżma, a z nią metaliczny posmak, produkt uboczny wieków skażenia. System Dziwnego Ptaka bezustannie oczyszczał się z duchów, śmiertcionośnych cząsteczek mniejszych niż okruchy mrocznego skrzydła.

Przepełniona nowo odnaną siłą, widziała w myślach historię tego miejsca, co przychodziło jej równie naturalnie jak oddychanie. Pod okrętem kryło się wiele innych, pogrzebanych w piasku, który kiedyś zakrywała słona woda. Głębia i szczegółowość tego miejsca niemal przekraczały jej możliwości; świat ją przytłaczał.

Wzbierały w niej nowe zdolności, których istnienia nie podejrzewała. Włączały się, by czasami ponownie się wyłączać, zupełnie jakby laboratorium nie dokończyło pracy. Jeśli chciała, mogła sięgnąć poza krawędź świata, poczuć życie pulsujące we

wszystkich kierunkach, nawet to ukryte, cierpiące czy nieistotne.

Spróbowała się przespać, jak zwykle na wpół rozbudzona, ponieważ w jej wnętrzu czuwało otwarte oko.

Pierwszy sen

We śnie Dziwny Ptak widzi czarnowłosą i brązowoskórą kobietę, która obiera owoc, jabłko z sali ogrodowej, kroi na kawałki i wkłada do miseczki. Zna ją z laboratorium; kobieta ma na imię Sanji. Wręcza miseczkę kolejnej kobiecie, która bardzo ją przypomina, chociaż jest wyższa i ma bardziej okrągłą twarz. Siedzą obok siebie na kanapie. Dziwny Ptak skądś wie, że przyjaciółka Sanji kiedyś pracowała w laboratorium, ale odeszła na długo przed ucieczką Dziwnego Ptaka.

Przed nimi unosi się ruchomy wizerunek innych ludzi, którzy rozmawiają i spacerują. Kobiety ich oglądają, żartując i śmiejąc się. Dziwny Ptak widzi laboratorium rozciągające się za nimi, wciąż czyste, nowe i świeże. Światła jeszcze działają. Nadal jest mnóstwo jedzenia.

Sanji karmi swoją towarzyszkę kawałkiem jabłka i mówi:

– Chronię cię przed zepsutymi jabłkami. To moje zadanie. Przez te wszystkie lata wyłącznie dzięki mnie nie umarłaś po zjedzeniu zepsutego owocu. Tylko ja oddzielam cię od tego losu.

Druga kobieta śmieje się i ściska jej dłoń, a wtedy drugie imię wpada do umysłu Dziwnego Ptaka, ale po obudzeniu już go nie pamięta.

Tylko uczucie spokoju. Tylko orzeźwiający smak jabłka.

Burza

Kierując się na południowy wschód, ponad rozległą pustynią, Dziwny Ptak miała wrażenie, że świat w dole jest bardzo stary i zużyty. Tylko gdy wzbijała się na dużą wysokość, mogła udawać, że jest piękny.

Podczas lotu próbowała nie myśleć o swoich snach, ponieważ ich nie rozumiała, a zresztą nawet nie wiedziała, czym jest sen, gdyż to pojęcie nie mieściło się w jej wewnętrznym leksykonie, a ona sama miała trudności z rozróżnieniem tego, co rzeczywiste i nierzeczywiste.

Podobnie jak kłębiące się hologramy, które od czasu do czasu grasowały po powierzchni wymarłej pustyni, odtwarzając zachowania pochodzące z czasów tak odległych, że obecnie nie miały najmniejszego sensu. Ludzkie postaci, które chodziły, choć składały się wyłącznie ze światła. Czasami miały na sobie ochronne kombinezony albo stroje astronautów. Wlekły się albo biegały po piasku, jakby były prawdziwe, potem rozplywały się w powietrzu, a następnie pojawiały w tym samym miejscu, co na początku, by znów wlec się albo biegać, raz za razem.

Ich widok przypominał Dziwnemu Ptakowi o śnie, a także o drobnych elementach opadających z niej na powierzchnię pustyni. Malutkich kawałkach, których nie potrzebowała ani nie rozumiała, ponieważ działo się to w sposób zbyt regularny, by mogło być przypadkiem, zresztą wiedziała, że jej wewnętrzny kompas kieruje tym procesem. Za każdym razem mikroskopijne części ulegały regeneracji, by mogła ponownie je zrzucić.

W laboratorium naukowcy co tydzień pobierali od niej próbki. Każdego dnia traciła jakąś cząstkę siebie. Było dużo gorzej, gdy coś dodawali; wtedy czuła się niezręcznie, jakby musiała się przystosować do większej wagi, chwiała się na swojej żerdzi, przez kilka godzin bijąc skrzydłami, zanim znów poczuła się na swoim miejscu.

Piątego dnia, gdy Dziwny Ptak wreszcie przyzwyczała się do tego procesu – oraz do słońca, hologramów, miast i większych wysokości, gdzie wiał lodowaty wiatr – krawędź świata przestąpiła szybko zbliżająca się chmura. Jeszcze nigdy nie napotkała burzy, ale wiedziała o nich i zaprogramowano ją tak, by ich unikała. Ale chmura zbliżyła się za szybko, była wszechogarniająca, a Dziwny Ptak dopiero w ostatniej chwili zauważyła, dlaczego tak się dzieje: ponieważ to wcale nie była chmura, tylko rój szmaragdowych żuków, a szelest, z jakim leciały, wzbudził w niej strach.

Próbowała zanurkować w bezpieczne miejsce, ale źle obliczyła odległość i rój otoczył ją jak mur. Zderzyła się z nim, straciła panowanie nad skrzydłami i runęła poprzez gęstwinę żuków, zwolniła, ścierając się z ich pancierzami, lecz zdążyła wyrównać lot, dzięki czemu zdołała – z głową opuszczoną jak taran i zamkniętymi oczami – przebić się na drugą stronę, chociaż żuki szarpały jej pióra i tarty brzuch.

Po wyrwaniu się na wolność, poczuła zaskakującą lekkość i wzbiła się szybciej, niż oczekiwała, pochwycona przez prąd powietrza wzbudzony za sprawą przelotu roju. Myślała, że już po wszystkim, ale wtedy dostrzegła przed sobą przyczynę paniki żuków: prawdziwą burzę, która rozciągała się nad całym horyzontem i szybko zbliżała.

Systemy alarmowe, które nie uruchomiły się w starciu z żukami, teraz zbudziły się do życia. Przezroczysta osłona zakryła jej oczy, a echolokacja wyłączyła się, dzięki czemu do głosu doszły układy namierzania i podcierwień, mające pokierować nią wewnątrz zawieruchy.

Po chwili burza uderzyła, pozostawiając ją bez żadnego schronienia, planu ani obrony, tylko z kompasem pulsującym w jej wnętrzu oraz ciałem chłostanym przez wiatr wiejący ze wszystkich kierunków, tak że Dziwny Ptak próbowała jedynie nie spaść i nie dać się rozerwać na strzępy.

Opuszczaly ją siły i na zmianę wznosiła się i opadała, tylko

dlatego, że wiatr tak chciał. Być może krzyknęła, zanim coś ciemnego i masywnego, wirując, wyleciało z zawieruchy. Być może wydała z siebie dźwięk, który był imieniem jakiejś osoby, gdy ten obiekt uderzył ją w bok, wepchnął w studnię turbulencji i pozbawił przytomności. Później tego nie pamiętała.

Ale kogo mogła wołać? Przecież nikt nie mógł jej pomóc, prawda?

Więzienie

Kiedy Dziwny Ptak odzyskała przytomność, dzwoniło jej w głowie i znajdowała się w pomieszczeniu zmienionym w więzienną celę wewnątrz budynku pogrzebanego pod piaskiem. Tylko długa na stopę okienna szpara pod sufitem świadczyła o obecności słońca. Wszystko było ciemne i twarde – ławka pod ścianą, przypominająca długą, szeroką skrzynię ze skarbami, była twarda. Ściany były twarde. Czarne kraty, wzmacniane drutem i deskami, by nie mogła się wyslizgnąć, były twarde. Żadnej miękkiej powierzchni, która mogłaby przynieść ulgę. Ani śladu zieleni ani jakiegokolwiek życia, które mogłoby ją pocieszyć.

Docierała do niej woń śmierci, rozkładu i niezliczonych lat cierpienia, a za kratami widziała słabo oświetlone, długie i niskie pomieszczenie wypełnione dziwacznymi meblami. Po przeciwnej stronie łukowato sklepione przejście prowadziło w ciemność.

Dziwny Ptak wpadła w panikę, poczuła bezkształtne przerażenie. Znów znalazła się w laboratorium. Nie mogła znaleźć drogi wyjścia. Już nigdy nie zobaczy nieba. Trzepotała skrzydłami i wrzeszczała, spadła z ławki na gołą ziemię i leżała tam z otwartym dziobem, rozpostartymi skrzydłami, próbując wyglądać na dużą i groźną.

Nagle zapaliło się światło, ciemność się rozproszyła i Dziwny Ptak zobaczyła swojego porywacza. Później w myślach miała go nazywać Starcem.

Siedział na odwróconym wiadrze obok gnijącego biurka i obserwował ją, a reszta pomieszczenia za jego plecami wciąż była pogrążona w mroku.

– Piękna – odezwał się. – Miło mieć w tym miejscu coś pięknego.

Dziwny Ptak milczała, ponieważ nie chciała, by porywacz dowiedział się, że go rozumie, a także, gdy tego chce, potrafi używać ludzkiej mowy, chociaż nie rozumie wszystkich słów.

Zamiast tego zaskrzeczała jak ptak i zatrzepotała skrzydłami jak ptak, a Starzec patrzył na nią z podziwem. Postanowiła we wszystkim upodobnić się do ptaka. Ale zarazem bacznie go obserwowała.

Upływ czasu sprawił, że Starzec był zgięty wpół. Miał brązowe ciało, ręce i twarz pokryte różowobiałymi plamami, jakby dawno temu coś go poparzyło i próbowało obedrzeć ze skóry. Miał tylko jedno oko i dlatego patrzył na nią z takim zdecydowaniem i naciskiem. Jego broda pobieliała, więc stale wyglądał, jakby tonął, a morska piana kłębiła się wokół jego twarzy i pokrywała jasnymi cętkami poparzony nos i wychudzone policzki. Nosił cienką opończę albo kawał szmaty – trudno ocenić – oraz pas, przy którym wisiały narzędzia i długi, płaski zardzewiały nóż.

– Uratowałem cię z piasków. Byłaś pogrzebana, wystawała ci tylko głowa. Burza strąciła cię z nieba. Masz szczęście, że cię znalazłem. Lisy i łasice by cię dopadły. Byłabyś teraz w czymś brzuchu. Jako wyjątkowy posiłek.

Starzec nie przypominał naukowca i nie mówił jak naukowiec, a jego dom nie wyglądał jak laboratorium. Dziwny Ptak uspokoiła się na tyle, by poszukać obrażeń; odkryła obolałe i napięte miejsca, ale żadnych złamanych kości. Stracone pióra odrosną. Przejrzała skórę w poszukiwaniu pasożytów i rozgniotła dwa krawędzią dzioba, podczas gdy mężczyzna nie przestawał mówić.

– Mam na imię Abidugun. Byłem stolarzem, jak mój ojciec, a wcześniej jego ojciec. Ale od tamtej pory zajmowałem się wieloma rzeczami. Teraz jestem także pisarzem. – Wskazał wiekową maszynę do pisania stojącą na rozchwianym biurku. Dziwnemu Ptakowi skojarzyła się z metalowym żółwiem z wnętrzościami na wierzchu. – Próbuję to wszystko opisać. Wszystko musi zostać zachowane na papierze. Wszystko. Żadnych wyjątków.

Starzec popatrzył na Dziwnego Ptaka, jakby oczekiwał odpowiedzi, ale ona nie odpowiedziała.

– Kiedy nie mam gości, sypiam w celi – ciągnął. – Więzienie otacza nas ze wszystkich stron i rozciąga się pod nami na wielu

poziomach. Wiem o tym, ponieważ kiedyś, dawno temu, byłem tutaj więźniem. Ale to stare dzieje. Nie chcesz o tym słuchać. Nikt nie chce.

Chociaż więzienie było rozległe, a podczas burz piaskowych szum wiatru odbijał się echem w jego licznych pomieszczeniach, Dziwny Ptak dowiedziała się, że cały majątek Starca mieścił się w tym długim pokoju, w którym postanowił zamieszkać, a cała reszta budynku była dla niego tylko siedzibą dręczących wspomnień.

– Jestem tutaj sam i tak mi się podoba. Ale czasami dobrze mieć gości. Jesteś moim gościem. Pewnego dnia cię oprowadzę, jeśli będziesz grzeczna. Bycie grzecznym wymaga przestrzegania zasad, którymi się z tobą podzielę.

Ale nigdy tego nie zrobił, a Dziwny Ptak zobaczyła trzy krzyże stojące na piasku na zewnątrz, które uznała za żerdzie dla innych, dawno martwych ptaków. Zobaczyła malutki ogród i studnię obok krzyży, ponieważ włączyła echolokację i zarzuciła mroczną sieć zmysłów na połyskujące morze, by złowić wszystko, co znajdowało się poza jej celą. Studnia i ogród stanowiły zagrożenie, mimo że udawały porzucone, zaniedbane i zarośnięte.

– Jestem Abidugun – powtórzył. – Ciebie nazwę Isadorą, ponieważ jesteś najbardziej olśniewającym ptakiem, jakiego widziałem, więc potrzebujesz olśniewającego imienia.

A zatem Dziwny Ptak na pewien czas została Isadorą i starała się jak najlepiej reagować na to imię – kiedy Starzec karmił ją resztkami i kiedy czytał jej opowieści z książek, historie, których nie rozumiała. Chociaż planowała ucieczkę, postanowiła być grzecznym zwierzątkiem.

Ale w laboratorium naukowcy trzymali ją pod specjalnymi lampami, które imitowały światło słońca i na swój sposób ją karmiły, dlatego teraz, gdy zamieszkała w niemal całkowitej ciemności, dotkliwie odczuwała ten brak.

– Powinnaś więcej jeść – mawiał Starzec, ale jedzenie, które

przynosił, często wzbudzało w niej odrazę.

– Życie jest trudne – mawiał Starzec. – Wszyscy tak twierdzą. Ale śmierć jest gorsza.

Potem się śmiał, ponieważ często to powtarzał, a Dziwny Ptak podejrzewała, że ktoś mu to powiedział, a on uległ czarowi tych słów. Śmierć jest gorsza. Tylko że ona nie wiedziała niczego o śmierci, poza tym, co widziała w laboratorium. Dlatego nie potrafiła ocenić, czy śmierć jest gorsza. Marzyła tylko o tym, by znaleźć się daleko od Ziemi i zamieszkujących ją ludzi. Sunąc w powietrzu dokąd tylko zechce, wolna od obaw, że wzniosła się za wysoko. Sprawić, by ludzie ponownie się zmniejszili i zmienili w odległe chwiejnie kroczące duchy, znikające i ponownie się pojawiające, zapętlone i nieistotne.

Za wydumą skrywającą siedzibę Starca leżało zrujnowane miasto, rozległe, oszłamiające i niebezpieczne. Wewnątrz tego miasta poruszały się widmowe sylwetki potwornych postaci, których Dziwny Ptak nie potrafiła rozpoznać z daleka. Niektóre mieszkały pod powierzchnią, inne wędrowały wśród strzaskanego krajobrazu, a jeszcze inne latały w górze.

Bliżej, wryty na celowniku jej dodatkowej percepcji... lis, na szczycie wydmy, ciekawski i niewielki, niemal jak wartownik obserwujący pozycję Starca. Wkrótce dołączyły do niego kolejne, a ona dostrzegała zarysy ich zamiarów i, zaintrygowana, podążała za nimi za pomocą echolokacji, gdy tylko wyczuwała je w pobliżu. Nie miała nic innego do roboty i po raz pierwszy doświadczała nudy, która nie miała żadnego znaczenia w laboratorium, ponieważ tam nie było jej z czym porównać. Ale teraz już znała bezkresne błękitne niebo, więc stawiała się niespokojna.

Jej zmysły badały także liczne tunele i poziomy więzienia, gdy Starzec wyruszał na polowanie, dzięki czemu pod jego nieobecność dobrze poznała kraty, deski i drut. Starzec często zabierał maczetę i znikał w labiryncie poniżej, gdzie polował na długie, czarne istoty, które przypominały łasice. Słyszała odległe

piski, rozlegające się, gdy je znajdował i zabijał, a w myślach widziała, jak bąble i kopczyki odzwierciedlające ich życie stają się coraz mniejsze i w końcu znikają.

Jak to możliwe, że w ich unikach i piskach kierowanych do siebie nawzajem Starzec nie dostrzegął inteligencji? W te poranki, gdy po obudzeniu widziała cienkie, bezwładne ciała czarnych łasic przewieszane przez krawędź masywnego garnka stojącego na stole w połowie szerokości pomieszczenia, doznawała poczucia straty, jakiego Starzec nie mógł z nią dzielić.

Dziwny Ptak wiedziała, że choć Starzec uznaje ją za piękną, w obliczu głodu zabije ją, oskubie z olśniewających piór, ugotuje i zje, jak każde inne zwierzę.

Będzie wisiała na krawędzi garnka, bezwładna i bezmyślna, już nie jako Isadora, ale jakiś dziwny martwy ptak.

Lisy nocą

Lisy wychodziły o zmroku i zaglądały przez szparę w celi Dziwnego Ptaka pod kątem, który uniemożliwiał Starcowi ich dostrzeżenie. Ich oczy połyskiwały; miały złe zamiary, ale nie wobec niej. Śpiewały jej pieśń nocy, używając podstyszalnych warknięć, pisków i szczeknięć. Nie bały się więzienia ani Starca, ponieważ nie przypominały większości lisów, ale były jak inne zwierzęta z laboratorium – czujne w charakterystyczny sposób.

Dlatego ona również cicho im śpiewała, pocieszając się w ten sposób w swojej celi, a gdy blask księżyca kładł się grubą, jasną warstwą na chropowatym policzku wydmy, lisy zaczynały baraszkować i hasać dla czystej przyjemności. Zachęcały ją, by do nich dołączyła, i wpuszczały ją do swoich umysłów, dzięki czemu mogła dowiedzieć się, jak to jest baraszkować i hasać na czterech łapach, oraz oglądać świat z poziomu lisa. To było prawie jak latanie. Prawie.

Dziwny Ptak wiedziała, że w tych chwilach lisy również mogą zaglądać do jej umysłu. Pulsujący kompas na to pozwalał i je wabił. Z upływem czasu ten fakt przestał ją martwić, ponieważ była upojona poczuciem wolności, więzienie zaś było zbyt wilgotne i paskudne. W końcu zapragnęła, by lisy poznały jej umysł, ponieważ bała się, że nigdy nie odzyska wolności, a w ten sposób lisy mogłyby zabrać ze sobą na pustynię chociaż jej niewielką częśćkę.

Wkrótce rozumiała lisy lepiej niż ludzi w laboratorium albo Starca, i potrafiła je przywoływać, a one gromadziły się na szczycie wydmy i z nią rozmawiały. Wypytywały ją, skąd pochodzi i jakie to uczucie unosić się tak wysoko nad ziemią. Czy miejsce, z którego pochodzisz, jest lepsze? Spodobałoby się nam? Jest gorsze niż twoje więzienie? Jak uciekałeś?

Nocami części jej ciała nadal się odłączały i odpływały przez wąskie okno, mikroskopijne kępki, które opuszczały ją, by stać

się czymś innym w innym miejscu. Nie wiedziała, co to oznacza, jaki układ jej ciało zawarło z biologami w laboratorium, nie pytając jej o zgodę.

Ale lisy najwyraźniej radowały się tymi chwilami, gdyż podskakiwały w ekstazie i z udawaną zajadłością próbowały chwycić mikroskopijne cząstki, jakby chciały pokierować je w niebo, gdzie miały unosić się bez chwili spoczynku.

Opowieść Starca

Starzec nigdy nie otwierał drzwi celi, tylko wsuwał paskudne jedzenie przez otwór, który następnie zabijał deską. Najwyraźniej wiedział, że Dziwny Ptak potrafiłaby bez uszczerbku na zdrowiu uciec nawet przez tak niewielką szparę.

Kiedy wpychał do celi jedzenie, zawsze powtarzał:

– Jesteś dobra, Isadoro. Jesteś dobra, wiem o tym. Piękna i dobra.

Ale co to znaczy dobra albo piękna i dlaczego te rzeczy są tak ważne dla Starca?

Nic w laboratorium nie sprawiało wrażenia dobrego, a piękno to forma bez funkcji. Wszystko, co mogło być w niej piękne, miało jakieś zastosowanie. Wszystko, co było w niej dobre, także miało jakieś zastosowanie.

A jednak kompas pulsował w jej wnętrzu i czasami doprowadzał ją do szaleństwa, napełniając pragnieniem ucieczki i myślami o mrocznych skrzydłach, o tym, jak rozpadły się, a potem połączyły.

To lisy podsunęły jej ten pomysł – że może uciec, stając się widmem. Gdyby zmieniła się w widmo, Starzec by jej nie widział i pomyślałby, że uciekła, a wtedy otworzyłby drzwi celi, dzięki czemu naprawdę mogłaby się wydostać. Wiedziała, że pojęcia widma i widmowości znaczą coś innego dla lisów, ale i tak zamierzała spróbować.

Dlatego położyła się w ciemności obok metalowej ławki, gdzie nie dosięgało jej migoczące światło słońca, znieruchomiła, a neurony, które żyły w jej piórach, zaczęły zmieniać kamuflaż Dziwnego Ptaka, osłabiając opalizację oraz dokładnie imitując barwy i odcienie celi. Jej naturalny kamuflaż miał sprawiać, by podczas lotu wydawała się ciemna od góry i jasna od dołu, dlatego zmiana wymagała świadomego wysiłku.

Starzec tymczasem dzielił się z nią swoimi wspomnieniami

o ludziach i miejscach, których nie znała i które jej nie obchodziły, aż w końcu zaczął narzekać na ciemność i zapalił więcej świateł, czyli przyniósł kilka powoli wijących się białych świecących robaków i wepchnął je w otwory zrobione w suficie. Z tego, że skarżył się na brak światła, Dziwny Ptak wywnioskowała, że staje się coraz mniej widoczna.

– Pewnie psuje mi się wzrok – mruknął Starzec, ale nie mógł sobie pozwolić na więcej światła, ponieważ robaki mogły się stać pożywieniem, gdyby łasice nabrały sprytu, a ogród zaczął usychać.

Potem kontynuował swoje kazanie, niczym przygnębiona wersja laboratoryjnego kapelana, który poświęcał tak wiele czasu na bezsensowne przemawianie do zwierząt.

– Nie jestem człowiekiem, jakim byłem kiedyś. To miejsce kiedyś było inne. Na zewnątrz jest więcej ludzi. Mnóstwo rozmaitych rzeczy. Ale nie przetrwałbym bez schronienia. Potrzeba kogoś młodszego, silniejszego. Kogoś, kto nie jest wyczerpany – a wiem, że ludzie w końcu przyjdą i odbiorą mi nawet to. W drugim kierunku rozciągają się tylko pustynia i pustkowia, nic dobrego. Powinnaś wiedzieć, w końcu stamtąd przybyłaś. W tym mieście dorastałem, chociaż nic z niego nie pozostało. Wszyscy już nie żyją. Pozostaliśmy tylko ja, jaszczurki, łasice i kilka ropuch. Czasami jakiś intruz. A teraz ty.

Starzec bełkotał tak godzinami, czasami zrzędził i wściekał się, pokazując oblicze, jakiego Isadora nie znała. Ale to także cieszyło Dziwnego Ptaka, ponieważ dzięki tym powtórzeniom mogła go coraz lepiej poznawać, nie tylko jego mowę, ale także nastroje. Dostrzegła samodzielnie zadaną ranę, którą nosił w sercu.

Jednym z jego ulubionych tematów było miasto, które kryło się tuż za wydumą. Za każdym razem, gdy Starzec o nim opowiadał, ściszał głos i wyglądał na wystraszonego, a Dziwny Ptak przypominała sobie cienie potworów, które wcześniej wyczuła.

– Najlepiej o tym nie mówić. Najlepiej po prostu żyć i nawet o tym nie myśleć. Dogłądać studni. Dogłądać ogrodu, nie spoglądając w stronę horyzontu.

Z miasta dobiegały ciche gardłowe jęki i ryki, a ona wiedziała,

że Starzec je słyszy, ponieważ nawet najbardziej dalekie odgłosy sprawiały, że dygotał przy swoim biurku z wiekową maszyną do pisania, zwrócony do Isadory plecami. Ponieważ jej piękno go rozpraszało. Ponieważ musiał dłużyć przy swojej „wielkiej opowieści”. Historii swojego życia i „tego, w jaki sposób świat stał się właśnie taki, Isodoro”.

Ale ona знаła relacje i opowieści z laboratorium, więc wiedziała, że jego historia nie może być wielka. Ponieważ skończyła mu się taśma do maszyny i miał tylko pięćdziesiąt kartek. Liczył na to, że klawisze i tak odcisną litery na papierze, jakby wypalały piętno, a kiedy zużył wszystkie pięćdziesiąt kartek, po obu stronach, zaczął od nowa, pisząc na już odcisniętym tekście.

– Widzisz, moja piękna Isodoro, w ten sposób zaznaczam to wszystko w swojej głowie. Piszę, żeby zapamiętać, a jeśli nawet nie znajdę więcej papieru, moja opowieść i tak stanie się prawdziwsza i pewnego dnia zapiszę ją, jak trzeba, na zawsze.

Jednakże Isadora uważała, że pisanie raczej pomaga Starcowi zapomnieć koszmary, których nie chciał pamiętać, bo coraz częściej przerywał, szukając w pamięci szczegółów, które z pewnością pogrzebał i utracił pośród krzyżujących się, bezsensownie splątanych liter odcisniętych na papierze. Gdyby udało mu się pozostawić wszystko na kartce, te opowieści nie mogłyby dalej żyć w jego wnętrzu. Ona nie miała takiego ujścia dla wspomnień, i każda chwila stała w niej żyła, ale i tak nie zazdrościła Starcowi pisania.

W drugim tygodniu jej niewoli Starzec zaczął robić sobie przerwy w pracy, gdy ta nadmiernie go przytłaczała, a wtedy opowiadał jej, co zamierza przekazać za pomocą klawiszy.

– Kiedyś dostałem tort urodzinowy. Tylko sobie wyobraź. Pamiętam, miałem dwanaście lat, zdmuchnąłem wszystkie świece, a tort był taki słodki, wilgotny i cudowny, kleiła mi się od niego cała buzia, ponieważ mój brat wepchnął mnie twarzą w ciasto. Nigdy nie jadłem takiego tortu, przyszli wszyscy moi koledzy. Ktoś żonglował pomarańczami. Od tak dawna nie widziałem pomarańczy. Ani jabłek.

Przerwa, oszołomienie w jedynym oku, które wpatrywało się w Isadorę. Błysk, trzepot rzęs, bolesny grymas, który powiedział jej, że Starzec cierpi wewnątrz, że dokucza mu coś starego, ale potężnego.

– Nikt już nie rozumie. Wszystko stracone.

Ale co właściwie zostało stracone? Dawny świat wcale nie był lepszy dla istot takich jak Dziwny Ptak. Po prostu był inny.

Potem Starzec odezwał się niepewnie, niemal ukradkowo:

– Gdybym wypuścił cię z celi, zostałabyś ze mną? Zostałabyś, gdybym to zrobił, prawda? Gdybym tak cię wytresował?

Ale ona milczała, ponieważ słowo tresura znała tylko z laboratorium, gdzie oznaczało ból i cierpienie, Starzec zaś stał się ponury i zamknięty w sobie, a w tym nastroju potrafił być okrutny.

Dlatego tylko zmniejszyła kamuflaż, nastroszyła piórka i stała się bardziej opalizująca, pozwalając, by kolory zapłonęły na jej piórach jak ogień, a Starzec potraktował to jako odpowiedź.

Była piękna, a zatem dobra.

Tajemnica Starca

Pewnego wieczoru Starzec wyłonił się z tuneli, niosąc specjalny skarb, jak go określił.

– Alko-sardynki, Isadoro – powiedział, wyciągając w jej stronę garść malutkich suchych srebrnych rybek. – Firma je produkuje, a przynajmniej kiedyś to robiła. Normalnie musiałbym pójść po nie do miasta, ale tym razem znalazłem je w podziemiach. Co prawda leżały obok szkieletu, ale on już ich chyba nie potrzebował, ani niczego innego.

Firma? Nie wiedziała, co to oznacza, ale później z jego słów wywnioskowała, że to coś w rodzaju jej laboratorium, tylko znacznie większego.

Rzucił dwie sardynki na podłogę celi, zatrzymując resztę, po czym z szerokim uśmiechem wepchnął sobie pół tuzina rybek do ust, rozgryzł je, rozkoszując się smakiem, i przełknął niemal w całości.

– Pyszne, Isadoro! Pyszne. Spróbuj. Spróbuj już teraz.

I Isadora to zrobiła, zaskoczona tym, że prawie nie smakowały jak ryby, tylko jak nektar, a gdy już zniknęły w jej przełyku, wypełniły ją płynnym ciepłem. Wkrótce poczuła się tak, jakby unosiła się w powietrzu, a gdy podniosła wzrok, Starzec płasał przed nią i wirował z wyciągniętymi rękami, jakby obejmował niewidzialną partnerkę. Wreszcie znieruchomiał i spojrzał na wnętrze celi.

– Czujesz to? Czujesz, Isadoro? To świetny towar. Najlepszy.

Jedyne oko miał przekrwione, a białe plamy na jego twarzy poczerwieniały. Wyglądał na oszalałego, jakby coś próbowało się z niego wydostać.

Isadora była jednak zbyt upojona, by poczuć zagrożenie. Zamiast tego dostrzegła, że Starzec wreszcie sprawia wrażenie szczęśliwego, i na swój sposób zaczęła dotrzymywać mu kroku, gdy znów zatańczył. Biła skrzydłami i wskakiwała na metalową

ławkę, zatracona w tańcu, który traktowała jak inny rodzaj latania.

Nagle Starzec wpadł na jakiś pomysł, przerwał taniec i przyciągnął duże stare lustro, popękane i zużyte, a Isadora, przycupnięta na metalowym łóżku za kratami i drutem, ujrzała swoje odbicie.

Po raz pierwszy zobaczyła się w całości i zafascynowało ją, w jaki sposób kolory na jej ciele przenikają się, rozmywają, rozprzestrzeniają i blakną. Przemieszczały się po jej piórach i wzbierały, tak że w niektórych miejscach stawała się bardzo jasna, a w innych bardzo ciemna.

– Widzisz, Isodoro? – rzekł Starzec. – Widzisz? Jaka jesteś piękna? Nie tłum tego. Nie w takim ponurym świecie. Nie w tym świecie. Jesteś jak płomień. Cenny płomień.

Isadora po ptasiemu kiwnęła głową.

– Dobrze, dobrze, dobrze – wyszeptał Starzec, ale wyczuła, że jej reakcja mu nie wystarczyła i liczył na coś innego. Znów zaczął tańczyć, ale tym razem do niego nie dołączyła.

Kiedy zakręciło mu się w głowie, przerwał taniec, a Isadora przysiadła na metalowej ławce, czekając, co się dalej wydarzy. Starzec chwycił się za głowę i opadł na krzesło przy biurku.

– Jesteś dobrą przyjaciółką, Isodoro – stwierdził, chociaż to nie była prawda. – Uczyniłaś moje życie tutaj lepszym. Samo patrzenie na ciebie czyni je lepszym.

Posłał jej ostre spojrzenie.

– Chcesz się dowiedzieć, po kim nosisz takie imię? Chcesz?

Nie czekał na jej reakcję, tylko odwrócił się w stronę biurka, hałaśliwie pogrzebał za drzwiczkami i wy dobył niewielki metalowy krążek, gruby na około pięciu centymetrów, postawił go sobie na kolanie i wcisnął guzik znajdujący się z boku.

Zachwycona Isadora – po raz pierwszy w życiu pijana – zobaczyła, że nad krążkiem pojawił się wizerunek uśmiechniętej, tańczącej kobiety ubranej w suknię.

– To jest Isadora – rzekł Starzec. – Znałem ją, znałem ją dawniej. Kobieta odezwała się, wypowiadając tylko dwa zdania.

– Och, Charlie, przecież to głupie. Wyłącz to.

Ale on odtworzył nagranie ponownie, a potem jeszcze raz.

– Och, Charlie, przecież to głupie. Wyłącz to. Och, Charlie, przecież to głupie. Wyłącz to. Och, Charlie, przecież to głupie. Wyłącz to.

Ptasia Isadora początkowo nie zorientowała się, że Starzec spochmurniał i z każdym odtworzeniem nagrania siedzi coraz bardziej sztywno. Nie potrafiła zinterpretować emocji przemieniających jego twarz.

– Och, Charlie, przecież to głupie – powiedziała takim samym głosem jak na nagraniu. Nauczyła się tej sztuczki w laboratorium, podobnie jak wszystkiego innego. Sprawiała tym przyjemność naukowcom, więc miała nadzieję, że zadowoli także Starca.

Starzec wyprostował się gwałtownie na krześle i odłożył krążek na blat biurka.

– Och, Charlie, przecież to głupie – powtórzyła Dziwny Ptak, wciąż używając głosu kobiety. – Najpierw oddzielamy otaczającą tkankę od serca i płuc, a następnie delikatnie wsuwamy urządzenie w ściankę aorty. Potem trzeba zassać krew. Potem trzeba zassać krew.

– Zamknij się – rzucił Starzec z napastliwą, wystraszoną miną.

– Wyrwały się z zamknięcia – powiedziała Dziwny Ptak. – Są w środku. Odetną nam drogę. Pozabijają nas.

– Kazałem ci się zamknąć!

– Jaki mamy wybór? Jeśli ich nie zabijemy, umrzemy z głodu. Nieważne, że to wstrętne i wcale ci się nie podoba. Nieważne, jak bardzo jesteś do nich przywiązany.

Starzec cisnął metalowym krążkiem w kraty celi i krzyknął:

– Powiedziałem, żebyś była cicho! Milcz, ale już!

– A ptak – ciągnęła Dziwny Ptak, jakby nie mogła się powstrzymać i koniecznie chciała zrelacjonować ostatnie rzeczy, które usłyszała w laboratorium przed swoją ucieczką, głosem kobiety, na której zależało Starcowi. – A ptak sobie poradzi. Nie mamy jak się do niej dostać. Będzie musiała tam siedzieć i gapić się na nas jak dziwadło. – Skończyły im się pociski. Posyłali jej wygłodniałe spojrzenia, w których nie było głodu wiedzy. Wszyscy oprócz Sanji, która była zajęta otwieraniem kanału

wentylacyjnego.

W końcu ucichła, a Starzec przywarł do krat, z rozedrganą twarzą i wytrzeszczonym okiem. Czymś się z nim podzieliła, a on ją zignorował.

– Niczego nie rozumiesz, Isadoro – zaszlochał, a potem wyszeptał swoją tajemnicę, syczącym głosem, który obiecywał zniszczenie i przepowiadał jej śmierć.

Isadora nie chciała poznać tej tajemnicy ani nie poczuła się zaskoczona. Nie rozumiała jej też w pełni; wiedziała tylko, że po jej wysłuchaniu ponownie przypomniała sobie garnek obwieszony bezwładnymi ciałkami łasic.

– Jeśli będę musiał, to cię zabiję, Isadoro, ale nie pozwolę, żebyś ze mnie kpiła. Dlatego się zamknij. Musisz się zamknąć i już nigdy nie chcę słyszeć, jak odzywasz się tym głosem. W przeciwnym razie cię zabiję. Albo zagłodzę cię na śmierć w tej celi.

Ale Isadora go nie słuchała, ponieważ nie musiał jej zapewniać, że może ją zabić. Wiedziała o tym. Przypomniała sobie wieczór w laboratorium, gdy zwierzęta ustawiono w narożniku obszernej rzeźni, gdzie miały zagrać w grę zwaną szachami, w pewien świąteczny dzień, gdy nieporozumienia doprowadziły naukowców do podziału na odrębne frakcje.

Każdy kafelek na podłodze stanowił część szachownicy. Strusie były skoczkami ustawionymi po przeciwnych stronach planszy. Były tam także lwy i hieny, jeżozwierze i bociany, nawet olbrzymie salamandry i skoczki mułowe, ponieważ terraria wciąż działały bez zarzutu.

Przysiadła na ramieniu Sanji i patrzyła na nieruchome, ciche zwierzęta, wystraszone, że sprowadzono je tutaj na śmierć, bo przecież znalazły się w rzeźni. Sanji piła, wszyscy pili, w przeciwnym razie nie spędziliby tutaj zwierząt. Byli uzbrojeni w pistolety albo kije do popędzania i nie przestawali pić, a niektórzy tańczyli tak samo jak Starzec.

Pracownicy laboratorium zmuszali zwierzęta do uczestnictwa w grze, której te nie rozumiały, zanosząc się rozpaczliwym śmiechem. Sami też nie wiedzieli, co robić, lecz przeczuwali, że będzie coraz gorzej. Bez końca krążyli w klatkach w ślad za

swoimi podopiecznymi, ponieważ nie mieli dokąd pójść.

Czy Sanji też jest uwięziona? Czy naukowcy mogą odejść? Czy zanim świat ich dopadnie, wreszcie odkryją to, czego szukali w ciele swoich stworzeń, uwolnią zwierzęta i porzucą laboratorium?

Obserwując tę grę, którą Sanji nazwała szachami, Dziwny Ptak wiedziała, jaki będzie wynik. Niezależnie od przywiązania, jakie naukowcy czuli wobec podopiecznych, to nie miało szansy tak się skończyć. Wszystko zakończy się w rzeźni, gdzie zwierzęta staną w rzędach, czekając na kres.

Dziwny Ptak zastanawiała się, jak to możliwe, że tak myśli, że jest zdolna do takiego buntu, nawet jeśli rozgrywa się on w milczeniu, wyłącznie w jej głowie.

Drugi sen

W drugim śnie Sanji trzyma jabłko w jednej dłoni, a nóż w drugiej i idzie plażą w cieniu stromego urwiska, stąpając boso po rozbijających się falach. Oprócz nich na plaży nikogo nie ma. Na morzu także jest pusto – żadnych łodzi, żadnych pływaków.

Dziwny Ptak idzie u boku Sanji. Jest człowiekiem, ale nie czuje swojego ciała; równie dobrze mogłaby być cząsteczkami powietrza. Przytłaczają ją morską sól, szum fal i wiatr, który jest zarazem silny i delikatny. Piasek jest chłodny, a z wody wynurza się linia ciemnych skał pokrytych wodorostami i ślimakami. Chociaż nie widzi słońca, po ilości światła domyśla się, że nadchodzi zmierzch. Chociaż nie widzi żadnego budynku, wie, że na szczycie urwiska, za linią drzew, stoi inne laboratorium.

Długo idą obok siebie, a Sanji patrzy tylko przed siebie i nic nie mówi. Dziwny Ptak czuje potrzebę, by coś powiedzieć, ale nie potrafi. Wciąż jest ptakiem. Jest ptakiem. Jest ptakiem. Ale jest człowiekiem i idzie obok Sanji, podczas gdy na niebie prawdziwe ptaki krążą, pokrzykują i szukają w morzu ryb oraz innego pożywienia. Są wśród nich nie tylko mewy i rybołówki, ale także albatrosy, a Dziwny Ptak wie, że nigdy nie poczuły pod nogami stałego lądu, tylko od zawsze unoszą się w powietrzu. Na jej oczach przechylają się, a następnie wznoszą coraz wyżej, pozostawiając za sobą swoich braci.

– Zostawisz mnie dla tego miejsca – odzywa się Sanji. – Pewnego dnia będziesz zmuszona mnie zostawić, a wtedy będziesz potrzebowała mądrości, sprytu i odwagi. Będziesz musiała być bardzo dzielna, jeśli to, co stworzyliśmy, ma przetrwać. A ja będę dzielna razem z tobą. Znajdziemy sposób.

Dziwny Ptak chce odpowiedzieć, znajduje właściwe słowa, ale nie potrafi wypowiedzieć żadnego z nich, ponieważ kiedy spogląda w dół, już nie ma swojego ciała i jak albatros znika na niebie, pociągnięta ku górze, jakby jakaś niewidzialna dłoń porwała ją z plaży.

Ucieczka

Isadora postanowiła zostać widmem w noc czarną jak smoła. Przycupnęła na ciemnej podłodze w kącie celi i skupiła się, próbując wyobrazić sobie, że jej tam nie ma, a w tym celu wyłączyła wszystkie układy i zmysły, nie licząc wzroku i słuchu, pogrążając się w ciszy. Po pewnym czasie uświadomiła sobie, że jest niewidzialna, a atomów jej ciała nie sposób odróżnić od krat, posadzki i drewnianych klocków po drugiej stronie krat.

Starzec tymczasem siedział odwrócony plecami i stukał w klawisze maszyny do pisania.

Wyobraziła sobie, że to będzie przypominało jej ucieczkę z więzienia, i była na to gotowa. Starzec będzie zaskoczony, pomyśli, że uciekła, i otworzy drzwi, a wtedy ona wyfrunie w burzy trzepoczących skrzydeł, okładając go po twarzy, i ucieknie pod ziemię razem z łasicami. Później odnajdzie kanał wentylacyjny. Znajdzie drogę na powierzchnię, do światła.

Kiedy Starzec skończył szaleńczo tłuc w klawisze, postanowił nasycić oczy jej widokiem, ale jej nie zobaczył, więc, powłóczę nogami, podszedł do krat, stanął nad nią i przeszył wzrokiem róg celi.

Na jego obliczu rozlało się zaskoczenie. Poczucie straty, niespodziewanie świeży żal. Ale po chwili się otrząsnął, zaczął uśmiechać, a w końcu śmiać.

– Ach, Isodoro, oszustka z ciebie. Dlaczego stałaś się taką oszustką? Wszystkie jesteście takie same, każda na swój sposób. Każda z was ma swoje sztuczki. Ty także, ale nie jesteś taka cwana, jak ci się zdaje. Nie jesteś taka cwana jak ja. Znam wszystkie sposoby więźniów. Myślisz, że nie widziałem tego wcześniej? – Przypomniała sobie trzy krzyże w piasku. – Nie otworzę drzwi. O nie, Isadora uciekła z celi! Nie wydaje mi się. Do tego próbujesz mnie przechytrzyć, gdy wykonuję tak ważną pracę! Mimo że okazałem ci tyle dobroci. Pokaż się! Ujawnij się!

Nie otworzę drzwi. Pokaż się!

Jego twarz pociemniała i zaczął krążyć po pomieszczeniu, młóćąc pięściami powietrze. Ale ona się nie poruszyła, nie zdradziła swojego położenia. Jej plan zawiódł, ale nie chciała, żeby zobaczył, jak się przemienia.

W końcu Starzec odezwał się urywanym, rozgoryczonym głosem.

– Mógłbym cię tutaj trzymać, ale gdyby coś mi się stało, byłabyś w potrzasku. Nie podoba mi się ta myśl. Nie chciałbym, żeby mnie coś takiego spotkało. Niezależnie od tego, jak dobrze albo źle postępowałem. Dlatego zapewnię ci dobry dom. Lepszy dom. Skoro koniecznie chcesz mnie opuścić. Zabiorę cię do miasta i sprzedam. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Czy rzeczywiście tak będzie najlepiej?

Po jakimś czasie Starzec uspokoił się i zasnął. Widziała go z ławki. W tym tygodniu stracił na wadze, a jego broda stała się tak gęsta i potargana, że przypominała gniazdo. W laboratorium nie mogła mieć gniazda, ale wiedziała, co to takiego. Jego oko stawało się coraz bardziej niespokojne i czasami drżały mu dłonie.

Tej nocy lisy nie przyszły. Księżyc nie pojawił się na niebie. Leżała w ciemności, wyczerpana, czuła swędzenie i ból skrzydeł, ciasnotę i ponurość celi. Pod pewnymi względami było tutaj gorzej niż w laboratorium.

Tajemnica Starca wciąż przewijała się w jej głowie, zarazem nieobecna i nieusuwalna.

Dziwny Ptak za mało znała ludzi, by wiedzieć, którzy z nich zachowują się racjonalnie. Okazało się, że w laboratorium nie było nikogo racjonalnego.

Miasto

Następnego dnia Starzec dodał środków nasennych do jej jedzenia, a gdy się ocknęła, już nie była w celi, tylko w worku na jego ramieniu. Zmierzali do miasta. Wyczuwała, że jest popołudnie.

Ślepa i skrępowana rozpychała się w worku. Starzec nie zwracał na to uwagi, wędrując podziemnymi korytarzami, przemierzając więzienny labirynt. Nie obchodziło go, czy będzie poobijana lub uszkodzona, z czego wywnioskowała, że może zostać sprzedana jako kawałek mięsa, a niekoniecznie jako cudo, którym ktoś będzie się zachwycał. Ale nie bała się, przynajmniej nie ciemności. Ponieważ wyczuwała wokół siebie tak wiele stworzeń: ryby dwudyszne hibernujące pod posadzką, łasice w ścianach, salamandry w suficie oraz wszechobecne pająki i robaki. Jeżeli nie będzie mogła o sobie stanowić, sięgnie na zewnątrz i znajdzie pociechę we wszystkim, co istnieje poza granicami jej tożsamości.

Przed sobą „widziała” rozgałęzienia i ścieżki systemu tuneli, przewidywała, które z nich Starzec wybierze, a które ominie, podniecona grożącym im niebezpieczeństwem, gdy zbliżyli się do jakiegoś potężnego kształtu, który skrył się za ścianą, do niepewnego podróznego spłoszonego przez światło, które niósł Starzec. On sam nie miał pojęcia, że dzieli te mroczne miejsca z taką istotą, ale Dziwny Ptak wiedział.

– Niektóre tajemnice dzielimy tylko my dwie – mówiła Sanji w laboratorium podczas tamtych ostatnich wieczorów, gdy inni naukowcy siedzieli w swoich kwaterach albo pełnili wartę na barykadach.

Sanji kontynuowała pracę nad Dziwnym Ptakiem. Zawsze używała miejscowego znieczulenia, żeby Dziwny Ptak niczego nie czuł i nie niepokoiła się, a zarazem mogła uczestniczyć w tych jednostronnych rozmowach. Dlaczego Sanji chciała, by

Dziwny Ptak to zapamiętała? Nie wiadomo. W każdym razie zamknięcie w worku sprawiało, że powracały tamte słowa, chwile, gdy nie mogła odpowiadać, ale otrzymywała tak wiele.

– Ptasie mózgi są niemal tak dobre jak ludzkie, tylko ciaśniej upakowane. Ale nie jesteś tylko ptasim mózdzkiem, prawda?

A więc czym? Jeśli nie „tylko” ptakiem?

Zobaczyła niebo późnego popołudnia, gdy Starzec wyciągnął ją z worka, trzymając ją za nogi dłonią w rękawiczce, ponieważ bał się jej pazurów. Walczyła z zawrotami głowy, wisząc do góry nogami, a widząc, jak łuk skalistej ziemi poprzecinanej rzekami piasku na zmianę zbliża się i oddala, przypominała sobie zabawę na huśtawce, ale właściwie dlaczego? Przecież to nie mogło być jej wspomnienie, ani Isadory. Mogło pochodzić tylko z laboratorium, z jakiegoś innego źródła. Kiedy była na huśtawce? Z nadwerężonymi stawami, zmieniona w wahadło, cieszyła się z widoku słońca, najpierw pod sobą, gdy swobodnie opadała, a potem, podczas ruchu wznoszącego, nieco bardziej na wprost.

Wyłonili się z otworu w ziemi zamaskowanego zakurczonym płótnem, wypęzli na płaską powierzchnię, a Starzec zaklął i dwukrotnie uderzył ją przez worek, jakby niewygodna i długość wędrówki były jej winą. Ale Dziwny Ptak już dostrzegą, gdy akurat znajdowała się w szczytowym punkcie wahadłowego ruchu, że dotarli do zrujnowanego miasta.

Wkrótce zostanie sprzedana. Wkrótce znajdzie się w jakimś innym miejscu.

Trzymała skrzydła blisko ciała pod pętami, wołąc ból od tego, co mogło się stać, gdyby się rozluźniła i pozwoliła im zmienić pozycję. Wiedziała, że Starzec by się nie zatrzymał, gdyby zraniła się o skały, czego i tak stale musiała unikać, przesuając głowę z boku na bok.

Woń tego miejsca wydawała jej się nienaturalna. Metal i rdza przypominały jej o okrucach mrocznych skrzydeł rozpadających się w rój. Czuła skażoną wodę i smród zgniłego

mięsa. Skradali się ulicami wzdłuż wątych drzew, pożółkłych krzewów i żółtej trawy, na zmianę penetrując i opuszczając labirynty strzaskanych dźwigarów i na wpół zawalonych domów. Kątem oka dostrzegała podążające ze nimi małe stworzenia, niepewne, czy są drapieżcami, czy ofiarami, a jej kompas szaleńczo wirował.

Ale pojawiły się także wstrząsy ziemi w oddali oraz drżenie powietrza, a Starzec splunął na bok i przyśpieszył kroku. Zatrzymał się na skraju zrujnowanego dziedzińca wypełnionego piaskiem, żwirem i dziwnym mchem, okolonego czterema ceglanyścianami, które wyglądały, jakby poszarpały je i rozdarły jakieś potwory.

– Nie ma, nie ma – zamruczał. – Dlaczego ich tutaj nie ma?

Z pewnością wystarczy jej tylko chwila, by wzbiec się w powietrze i uciec z niewoli. Ktoś w końcu poluzuje sznur wokół jej nóg. A może uda jej się go zerwać? Czy zdołałaby napiąć i zerwać linę albo znalazłaby w sobie tyle siły, by odlecieć pomimo więzów? Pomimo osłabienia niewolą.

Potem, w taki sposób, że zobaczyła to nawet Dziwny Ptak, która kiedyś była Isadorą... jakiś cień pojawił się na skraju świata, częściowo przesłonięty przez dziedziniec i wznoszące się za nim ruiny. Coś olbrzymiego i niewyraźnego wzbilo się w powietrze. Kształtem nie przypominało ptaka. Nie mogło to być także nic, co Dziwny Ptak kiedykolwiek widziała w locie.

W laboratorium trzymano niedźwiedzia. Miał powycierane futro, był niewielki i nie było z nim kontaktu, nawet gdy krążył wzdłuż szklanych ścian klatki, ponieważ nie miał dokąd pójść. Nie wiedziała, co się z nim stało, dokąd mógł uciec, gdy laboratorium zapłonęło, jak mógłby przetrwać na pustyni. Ale Dziwny Ptak wiedziała, że to był inny gatunek, inny rodzaj niedźwiedzia.

Ponieważ ten niedźwiedź umiał latać, tak jak ona, i chociaż widziała go tylko z daleka, odwrócona do góry nogami, na chwilę wstrzymała oddech z zachwytem. Był zarazem piekielny i wieczny, jak anioł, niespodziewany i cudowny, a zarazem straszny. Wszystkie z jej licznych zmysłów nie radziły sobie z ogromem

informacji generowanych przez tę sylwetkę unoszącą się na horyzoncie. Gdyby zwierzę wylądowało obok niej, miałyby cztery lub pięć pięter wysokości. Mimo tego nurkowało i skręcało jak jerzyk albo jaskółka w pogoni za owadami, chociaż nie wiadomo w jakim celu.

Nie martwiła się, że niedźwiedź może oznaczać śmierć; czuła euforię, ponieważ potrafił latać i Dziwny Ptak nagle wyobraziła sobie, że ona sama włada przestworzami, tak potężna, że inni się jej boją.

Widok niedźwiedzia przeraził Starca, który nieco poluzował uchwyt na jej nogach, ale niewystarczająco, więc wciąż czekała.

Jakby wstydząc się swojego lęku, Starzec skrzywił się i popatrzył na nią, a jego oko przypominało dziurę, przez którą powinna była zobaczyć niebo.

– To jest Mord, wielki niedźwiedź. Stworzony przez Firmę. Kupiony przez Firmę. Po prostu Mord. Nie ma innego imienia. Pokazuje się tutaj i patrzy na nas każdego dnia, Isadoro. Jest naszym przekleństwem, ale dalekim. Teraz tutaj nie przyleci. Jest potężny, ale zarazem zwyczajny, równie zwyczajny jak tamta porzucona sofa. – Wskazał coś długiego i miękkiego z drewnianymi nogami, przypalonego i przysypanego wyparzonymi cegłami.

Mówiąc te słowa, Starzec krzywił się i drżał, więc Dziwny Ptak mu nie uwierzyła, chociaż wisiała głową w dół, związana i mocno przytrzymywana. Starzec nie rozumiał Morda, tak samo jak nie rozumiał Dziwnego Ptaka, i właśnie dlatego teraz przeklinał swoją Isadorę, pośpiesznie rozglądając się na boki, a zarazem, niemal wbrew swojej woli, zerkając w stronę horyzontu, by sprawdzić, czy Mord pozostaje daleko.

Prawdziwe zagrożenie było znacznie bliżej.

W ziemi ponad głową Dziwnego Ptaka otworzyła się jama, z której wystrzeliła dłoń, chwyciła Starca za kostkę i przewróciła go silnym szarpnięciem. Dziwny Ptak upadła z krzykiem. Więzy na jej pazurach poluzowały się, a gdy znalazła się na ziemi, wreszcie we właściwej pozycji, zerwała je i przetoczyła się, uwalniając skrzydła.

To był właz, ukryty podobnie jak wejście do tunelu Starca.

Drobny mężczyzna w zapyłonym ubraniu, z twarzą przypominającą pysk nietoperza, zaczął wciągać Starca do swojej kryjówki, a ten wrzasnął i w ostatniej chwili chwycił Dziwnego Ptaka za skrzydło, wlekąc ją za sobą w stronę pułapki.

Ogarnięta paniką cięła jego dłoń pazurami i uderzała w nią dziobem. Starzec krzyczał, ale nie zamierzał jej puścić, a gdy wreszcie uwolniła skrzydło i ponownie go uderzyła, poczuła, jak coś w niej ustępuje i jedna z kości wygina się w niewłaściwy sposób.

Oddaliła się na środek dziedzińca, podskakując i trzepocząc skrzydłami, po czym odwróciła się na jednej nodze, wciąż zaplątana w sznur, ale z uwolnionym dziobem, i zobaczyła Starca do połowy zanurzonego w otworze, rozpaczliwie drapiącego ziemię, by nie dać się wciągnąć. Człowieczka o twarzy nietoperza już nie było widać, ale zapewne trzymał swoją ofiarę za nogi.

– Isadoro! – błagał Starzec. – Isadoro!

Wyciągnął w jej stronę rękę, jakby byli przyjaciółmi, a nie porywaczem i więźniem. Jakby mogła go uratować.

Mężczyzna skryty pod ziemią szarpnął i Starzec zanurzył się w paszczy włazu aż po klatkę piersiową. Miał zapiaszczoną brodę i przypominał żabę połykaną przez węża, spanikowaną, ale zarazem jakby pogodzoną z losem.

– Isadoro – powiedział. – Isadoro. Isadoro.

Chociaż oboje wiedzieli, że już jest po nim.

Dziwny Ptak na próbę machnęła zranionym, przekrzywionym skrzydłem, wiedząc, że w każdej chwili może wyskoczyć na nią z ukrycia jakieś zwierzę, po czym wzbiła się w powietrze, chociaż skrzydło było rozpalone i obolałe.

Z powietrza Starzec wyglądał, jakby zawsze składał się tylko z głowy, szyi i klatki piersiowej sterczących z ziemi. Machał jedną ręką, patrzył na nią, gdy wznosiła się coraz wyżej, wykrzykiwał imię, które nie było jej imieniem. Zaszokowany. Przerażony. Podczas gdy mężczyzna o twarzy nietoperza zajmował się nim od dołu.

Wkrótce Starzec stał się tylko nieistotną kropką w dole. Ludzie

tak dziwnie pojmują wdzięczność. Kiedy należy ją okazywać. Kiedy należy się z nią wstrzymać. Czy powinna być wdzięczna za uwięzienie? Co powinna teraz czuć? Wyśpiewała pytanie, które było jednocześnie odpowiedzią.

Wznosząc się, poczuła, jak opada z niej imię Isadora, i na zawsze stała się tylko Dziwnym Ptakiem, chociaż nie potrzebowała żadnego imienia, przynajmniej nie w takim sensie, w jakim ludzie mają w zwyczaju nadawać imiona.

Mężczyzna o twarzy nietoperza

Wewnętrzny kompas ją strofował, powtarzał jej, że musi lecieć na południowy wschód i opuścić miasto, ale kiedy próbowała zmienić kierunek i okrążyć dziedziniec, ból przeszył jej skrzydło i zrozumiała, że jest zraniona znacznie gorzej, niż sądziła.

Skrzydło zawodziło, nie dawało się zgiać, pulsowało bólem, a ona nie mogła kontrolować pułapu ani utrzymać odpowiedniej prędkości. W dole wciąż rozciągał się dziedziniec, ze wszystkich stron otoczony nieznanym terytorium, które nie zapewniało żadnej osłony. Machając zdrowym skrzydłem, ruszyła w stronę kępy drzew po drugiej stronie dziedzińca. Zmagając się, dryfując w powietrzu jak suchy liść, zdołała twardo wylądować – krzyknęła, kiedy uszkodzone skrzydło uderzyło o pagórek, a następnie ponownie wzbiła się w powietrze i mocno chwyciła prawą nogą poczerniały konar, po czym od razu wskoczyła w głąb gęstego zagajnika.

Tam, przegrzana i targana przeszywającym bólem, wyciągnęła zranione skrzydło i zaczęła obserwować dziedziniec. Nie dostrzegła ani Starca, ani napastnika o twarzy nietoperza. Nie widziała nawet włazu. Ale nie ufała ciszy i bezruchowi. Wiedziała, że jeśli nie zdoła odlecieć, w końcu będzie musiała przeciąć otwarty teren na własnych nogach, by znaleźć inne schronienie, w którym wróci do zdrowia. Miejsce, w którym będzie woda. Chłodne i ciemne.

A jeśli mężczyzna o twarzy nietoperza wciąż czeka w swojej pułapce? Albo jeśli jest ich więcej?

Kurczowo trzymała się konaru aż do zmierzchu, bojąc się poruszyć. Musiała być cierpliwa. Upewnić się.

Kiedy wzeszedł księżyc, dwie duże jaszczurki pojawiły się po przeciwnych stronach dziedzińca, rozejrzały się ostrożnie,

a potem popędziły poprzez gruzy na środek placu, ścigając się nawzajem, jakby księżyc odebrał im rozum. Ale nie rzucił się na nie żaden drapieżnik, a kiedy wreszcie otrząsnęły się z oszołomienia, rozdzieliły się i dostojnym krokiem powędrowały w stronę swoich kryjówek.

Jaszczurka, która minęła schronienie Dziwnego Ptaka, bezpiecznie dotarła do celu. Kiedy drugi zwierzak przechodził obok krawędzi włazu, drobny mężczyzna wyskoczył spod ziemi, z szokującą zręcznością pochwycił w biegu jaszczurkę i łapczywie wpakował ją sobie do ust, po czym ukląkł w blasku księżyca i, rozglądając się dumnie, zaczął żuć zdobycz, której ogon rozpaczliwie wił się w kąciku jego ust.

Po tym zdarzeniu Dziwny Ptak długo zachowywała czujność, ale w końcu musiała na chwilę przysnąć, ponieważ nagle się ocknęła i stwierdziła, że wciąż trwa noc.

Górna połowa ciała Starca leżała porzucona pod ścianą po przeciwnej stronie dziedzińca, a jego pojedyncze martwe oko wpatrywało się w niebiosa.

Mężczyzna o twarzy nietoperza stał pod jej drzewem. Jego oblicze przypominało szarą maskę, która lśniła ciemno w blasku księżyca. Może było to tylko złudzenie wywołane perspektywą, ale wyglądał, jakby bezgłośnie płakał. Ten stwór zabił Starca. Ten stwór pożarł jaszczurkę.

Podniósł na nią olbrzymie, wystraszone oczy. Miał nieruchomą twarz o dużych rozszerzających się nozdrzach i dziwacznie ukształtowanych kościach policzkowych, okoloną i upstrzoną delikatnym, miękkim futrem. Uwięziona na drzewie nie mogła przestać na niego patrzeć, chociaż wyglądał groteskowo.

Może wcale jej nie zauważył.

Może wróci do swojej podziemnej trumny.

Ale po chwili z sykiem wskoczył na pień największego martwego drzewa. Za pomocą potężnych susów i zręcznych ruchów przemierzał konary, wspinając się ku niej, a ona rzuciła się do ucieczki, czując ognisty ból w zranionym skrzydle, przeskakując między drzewami, starając się dotrzeć do gałęzi, która nie utrzyma jego ciężaru i z której ona będzie mogła

bezpiecznie opaść na mur, a następnie do miasta.

Czuła go za sobą, słyszała jego syczący oddech, dotarła do muru, ciężko przefrunęła na drugą stronę i zniknęła w ciemności.

Podczas gdy on wciąż szukał jej w koronach drzew.

Dziwny Ptak zmieniła barwę piór na szarą i ukryła się w rowie odpływowym. Nie była w stanie odczytać żadnej wizji miasta, ponieważ nie chciało się przed nią ujawnić. Było zbyt rozległe i poplątane, a ona musiała się skupić na odbieraniu ciepła otaczających ją żywych istot, aby wiedzieć, czego jeszcze powinna unikać. Bardziej od wzroku przydawała jej się zdolność odczytywania zarysów gruzów oraz wyczuwania śladów pary wodnej, które doprowadziły ją do oleistej kałuży, odrobiny rosy na dnie rozdarłej puszkii.

Kiedy nastał świt, wciąż była zagubiona w mieście i przeczuwała, że nigdy się nie uwolni. Miasto było zbyt niewyraźne, a zarazem pełne zagrożeń, tak że drżała z wysiłku, próbując cały czas zachowywać czujność.

Dotarła do mostu, który zawalił się na piasek, i do ruin jakiejś fortecy, niskiego muru, pod którym spoczywały suche szczątki szkieletów i zardzewiałe fragmenty broni palnej. Dokąd powinna pójść teraz?

Mężczyzna o twarzy nietoperza pojawił się na moście i wbił w nią wzrok. Beznamiętny. Ciekawski. Jakby była jaszczurką skazaną na pożarcie. Albo na coś gorszego.

Wyczuwał ją pomimo jej kamuflażu, zawsze będzie w stanie ją wyczuć.

Wpadła w panikę i wzbiła się w powietrze, pomimo bolącego skrzydła. Wrzasnęła, gdy ogień przeszył miejsce, w którym skrzydło łączyło się z ciałem, ale i tak niezdarnie się uniosła, robiąc sobie jeszcze większą krzywdę, wirując i tylko nieznacznie odrywając się od ziemi.

Mężczyzna o twarzy nietoperza pobiegł w jej stronę z syczącym krzykiem i odrażająco wykrzywionym obliczem.

Dziwny Ptak rozprostowała skrzydło, rozpaczliwie pragnąc

poszybować, ale runęła na ziemię.

Po chwili ją dopadł, a ona już nie miała żadnej kryjówki, ani w powietrzu, ani na ziemi. Żadnej ucieczki. Jej pazury nie wystarczyły.

Obserwatorium

Ponad Dziwnym Ptakiem wirowały światy i gwiazdy – tak bliskie na purpurowiejących niebiosach, znaczone smugami światła dalekich galaktyk i mroczną intensywnością mgławic oraz smugami szarego światła świtu, które wpełzało przez pęknięcia w kopule. Gdzieś z boku umbra palona rdzy pokrywała potężny teleskop, który kiedyś zajmował centralną pozycję, ale został z niej zrzucony przez dawno zapomniany kataklizm.

Głowa błękitnego lisa lśniła na pochyłej ścianie. Choć niewątpliwie był martwym trofeum, jego ślepia wpatrywały się w nią, a pysk poruszał się, wydając szczeknięcia zagłuszone przez inne głosy, dlatego, aby się pozbierać, przez pewien czas ignorowała wszystko poza tym sufitem i lisim łbem, który lśnił nawet na tle opalizującej farby użytej do odmalowania kosmosu.

Dziwny Ptak leżała przyszpilona do kamiennego stołu pod bezkresnym horyzontem, który, jak się później dowiedziała, stanowił część opuszczonego miejskiego obserwatorium.

W głębi błękitny lis. Na pierwszym planie dwie wpatrzone w nią twarze, okolone kosmosem, jedna znajoma, przypominająca nietoperza, a druga kobieta i obca.

- Co mi przyniosłeś, Charlie X? – spytała kobieta.
- Rzecz. Istotę. Zwierzę. Ptaka.

Charlie X zawsze brzmiał jak zdenerwowany człowiek, który akurat połyka jaszczurkę, i używał prostych zdań, by go zrozumiano. Dziwny Ptak z czasem miała do niego przywyknąć. Zrozumiała, że pod nieruchomą maską jego rysów kryje się złożona uczuciowość, której nie ograniczają logika, rozsądek, a nawet instynkt samozachowawczy. Że potrafi być jednocześnie serdeczny, okrutny, bohaterski i tchórzliwy, by po chwili zapomnieć o wszystkim, co zrobił. Być może tak było dla niego lepiej, skoro zjadał tak wiele rzeczy, których nie powinien. Nazywał kobietę Magiczką.

– Zabić je wszystkie! Zabić je wszystkie! – zawołała Dziwny Ptak. – Zabić je zabić je! – Miała do dyspozycji tylko słowa z laboratorium, którymi mogła atakować albo się bronić. Wiedziała, że to za mało.

Charlie X się wzdrygnął, ale Magiczka nawet nie drgnęła, a spokojny wyraz jej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie.

– Sztucznie stworzony ptak – powiedziała. – Żałosny, pechowy laboratoryjny ptak, który wcześniej nie istniał. Który jakoś zdołał uciec i nie wie niczego o świecie. Widzę to.

– Cenny – odrzekł Charlie X, poruszając nozdrzami. Jego krtań wyrzuciła się i załkało w niej coś żywego.

Wokół krawędzi kamiennego stołu pojawił się rząd dziecięcych twarzy, które napierały na Magiczkę, ale ona nie zwracała na nie uwagi.

– Wkrótce dowiemy się, z czego jesteś zrobiona, a wtedy urządzimy przedstawienie, prawda?

Wszystkie dzieci przytaknęły i popatrzyły na Dziwnego Ptaka lśniąco oczami.

Coś pękło w jej wnętrzu. Gdyby tylko nie napotkała burzy. Gdyby udobruchała Starca i nie trafiła do miasta. Gdyby Starzec nie wpadł w pułapkę. Gdyby nie wyciągnęła skrzydła i go nie nadwerężyła...

Magiczka wyjęła z kieszeni pająka i postawiła go na Dziwnym Ptaku. Długonogi krystaliczny pająk ślizgał się po jej ciele, na zmianę zapadał się w nie i wydobywał na powierzchnię, podczas gdy ona czuła swędzenie i obecność intruzów, którzy przedostawali się przez zamknięte drzwi w jej wnętrzu. Nie mogła ich powstrzymać. Jej zabezpieczenia były dziełem Sanji i innych, którzy zostali do tego celu gruntownie przeszkoleni, ale ta ekscentryczna pomieszana magia najwyraźniej nic sobie z nich nie robiła. Pełzająca istota była na wpół zdziczała. Pogardzała podprogramami i dodatkowymi zmysłami. Dziwny Ptak zrozumiała, że to nie pająk ją bada, lecz wola, która się za nim kryje. To Magiczka pełzała po jej mózgu, podczas gdy ona leżała bezbronna na stole. Magiczka dowiadywała się wszystkiego.

Dziwny Ptak starała się zamknąć jak najwięcej przejść,

rozpaczliwie zatrząskiwała kolejne drzwi przed niestrudzenie zbliżającymi się próbnikami pająka. Ale miała ograniczone możliwości.

Kiedy pająk się zbliżał, coraz więcej traciła, kolejne kawałeczki oddalały się jak szalupy opuszczające tonący okręt, który stopniowo się rozpadał, co zapewne zaplanowała Sanji. Mroczne skrzydła stawały się rojem. Fragmenty, które ulatywały w powietrze, gdy sama latała, teraz opuszczały ją z większą energią i intensywnością, coraz liczniej i liczniej. Może zanim Magiczka ją zabije, większość jej ciała i tak zniknie, uniesie się przez szczeliny w kopule aż do miasta.

– Bądź dzielna – powiedziała Sanji, widmo, rozbłysk neuronu, nicość. – Czasami bycie dzielnym oznacza beczynność, oczekiwanie.

Dzieci wciąż łypały na nią pożądliwie, Charlie X i Magiczka patrzyli z jeszcze większej wysokości, a delikatny i śmiercionośny pająk dalej wykonywał swoje zadanie.

Trzeci sen

W trzecim śnie Dziwny Ptak jest lśniącym czerwonym jabłkiem na laboratoryjnym stole z nierdzewnej stali. Sanji patrzy na nią, ubrana w laboratoryjny fartuch oraz rękawiczki, i przykłada palec do ust.

– Ciii... to nasza tajemnica. Nie możesz nikomu powiedzieć.

Ale komu miałyby powiedzieć?

Potem Sanji za pomocą skalpela kroi jabłko na ćwiartki. Nasiona wypadają ze środka Dziwnego Ptaka, wirując, suną ku krawędzi stołu i spadają na podłogę.

– Widzisz, spotkałyśmy się dzięki ptakom – mówi Sanji, nie przerywając krojenia – ponieważ obie z nimi pracowałyśmy. Nie w ten sposób, nigdy nie chciałam tak pracować z ptakami. Ale nie miałam wyboru, podobnie jak ona. Powinnaś o tym wiedzieć.

Kobieta, która kiedyś była zatrudniona w laboratorium i którą Sanji kochała.

Dziwny Ptak nie czuje bólu ani przerażenia pod wpływem nacięć, tylko coś w rodzaju ulgi, jakby opadało z niej napięcie. Nasiona powinny się znajdować na zewnątrz. Nasiona powinny wypaść z ciała i zostać uzupełnione.

– Proszę – odzywa się Sanji. – Gotowe. Teraz musisz tylko wrócić do domu. Znajdź ją, ponieważ ja nie potrafię.

Cztery części jabłka wlatują w powietrze i każda z nich jest nią, a wszystkie razem tworzą Dziwnego Ptaka. Łączą się ponad stołem w kompas.

– Kompas jest twoim sercem. Kompas znajduje się w twoim sercu. Ukryłam go głęboko i nie wolno ci z niego rezygnować, nawet jeśli zrezygnujesz ze wszystkiego innego.

Tylko że tych ostatnich słów przed końcem snu nie wypowiada Sanji, ale ktoś obcy.

Tylko że połowa jabłka jest gdzieś ukryta.

Potem rozlega się śmiech, śmiech dwojga ludzi, którzy dzielą się

czymś mądrym lub prawdziwym, melodyjny i wesoły, chociaż bardzo odległy.

Przemiana

Starzec powiedział Dziwnemu Ptakowi, że okłamał ją, ponieważ była taka piękna. Skłamał w sprawie więzienia i miejsca, jakie w nim zajmował. Skłamał w sprawie opowieści, którą zapisywał na maszynie.

– Byłem tutaj strażnikiem. Kiedy świat się rozpadł, gdy skończyły się rządy prawa, zamknęliśmy więzienie. Zostawiłem więźniów w ich celach. Zabiliby mnie. Zaczekałem, aż poumierają z głodu. Potem przetrwałem, zabijając innych strażników, którzy również starali się mnie zabić – właśnie tak straciłem oko i zostałem poparzony. W końcu zostałem sam i rozmawiam ze sobą. Ponieważ tak wygląda świat, w którym teraz żyjemy, więc zrobiłem to, co musiałem, co każdy zrobiłby na moim miejscu. Isadoro.

Na pustych kartkach Starzec usiłował uchwycić i upamiętnić życie swoich więźniów oraz innych strażników, zapamiętać jak najwięcej szczegółów, aby stali się mniej martwi. To był jeden z wielu powodów, za których sprawą Dziwny Ptak zrozumiała, że Starzec nie postępuje racjonalnie, ale także uświadomiła sobie, że jest zdolny do poczucia winy, wyrzutów sumienia, pragnie odkupienia.

W laboratorium wielu naukowców mówiło „wybacz mi” albo „tak mi przykro”, zanim zrobili zwierzętom w klatkach coś nieodwracalnego. Ponieważ czuli, że mają takie prawo. Ponieważ sytuacja była wyjątkowa, a świat umierał. Dlatego dopuszczali się tych samych czynów, które zniszczyły świat, żeby go ocalić. Nawet Dziwny Ptak, przycupnięta na palmie na sztucznej wyspie otoczonej fosą pełną głodnych krokodyli, dostrzegała niedostatki tej logiki.

Ale wiedziała, że w pająku Magiczki nie ma niczego racjonalnego, ponieważ, ujawniając jej tajemnice, jednocześnie ukazywał wnętrze Magiczki, i dlatego wiedziała, że może się

spodziewać najgorszego.

Pająk się wycofał, dzieci – w większości nagie, z twarzami usmarowanymi zaschniętą krwią i brudem – zwróciły się do Magiczki z wyczekiwaniem, jakby mogła wyjawic jakąś doniosłą prawdę. Nawet Charlie X patrzył na nią jak na królową.

– Pełno zwierząt – powiedziała Magiczka z zadumą, odpychając od siebie stłoczone dzieci, wzbudzając wśród nich falę, tak że z trudem utrzymywały równowagę. – Nie z Firmy. To inny rodzaj rzemiosła. Sprawia specjalistyczne wrażenie. Czy ich laboratorium znajduje się w mieście? Wątpię. Wiedziałabym o tym. Więc gdzie? Bez obaw, wydobędę to z ciebie. – Znów opuściła wzrok na Dziwnego Ptaka. – A także to, co kryje się w twoich oczach. Ponieważ ktoś tam jest. Ktoś inny niż ty.

– Czy mogę. Czy mogę.

– Nie, nie możesz, Charlie X. Niezależnie od tego, co chcesz powiedzieć.

– Nagroda. Jest nagroda.

– Jest nagroda? – Magiczka roześmiała się drwiąco i nawet Dziwny Ptak, unieruchomiona na stole, rozpoznała ostrzeżenie w jej głosie.

– Ptak niewidzialny. Ptak niewidzialny na drzewie. Charlie X widzi. Ptak ucieka. Ale Charlie X śledzi, tropi. Przynosi. Nagroda?

Magiczka z wdziękiem odwróciła się w stronę Charliego X z wyciągniętą ręką, a kiedy znów znieruchomiła, Charlie X miał przecięte gardło za sprawą noża, który ukrywała w rękawie.

Charlie X zatoczył się i odzyskał równowagę, odruchowo chwytając się za szyję. Dzieci o okrągłych twarzach, smutne, niedożywione dzieci, wzdychały i trajkotały w języku, którego Dziwny Ptak nie znała, a może to był tylko nic nieznaczący bełkot. Ale nie cofnęły się ani nie sprawiały wrażenia szczególnie zaskoczonych, po czym Dziwny Ptak poznała, że Magiczka często dopuszczała się morderstw.

Z gardła Charliego X nie wypłynęła krew, tylko strumień malutkich myszy, które zaczęły zaszywać rozcięcie zębami od środka, podczas gdy mężczyzna bulgotał i próbował utrzymać się na nogach. Zatoczył się na stół, a jego dłoń oprócz kamienia

dotknęła także jej skrzydła.

– Znaj swoje miejsce, Charlie X. Pamiętaj, że nie jesteś moim uczniem. Przynosisz mi różne rzeczy. W zamian możesz liczyć na przysługi – na przykład pozwalam ci żyć jak pajak przy włązie w twoim królestwie na dziedzińcu i nie wtrącam się tam w twoje sprawy. Ale to wszystko. Nie jesteś jednym z moich podopiecznych.

Charlie X w tej chwili nie dbał o pouczenia ani nagrody, chociaż rana już została zaszyta, a myszki powróciły do swojej kryjówki za jego ustami.

– Nie jesteś jednym z moich podopiecznych. – Magiczka wskazała dzieci. – Nie jesteś wystarczająco młody i jesteś po części nietoperzem.

– Wciąż młody – zbulgotał Charlie X, ale nie mógł odeprzeć drugiego zarzutu.

Nadal próbował się odbudować, ale Magiczka strzeliła palcami i dzieci go pochwyciły, po czym, pomimo oporu, podźwignęły i poniosły na ramionach jak żywą trumnę. Opuściły obserwatorium przez łukowato sklepione drzwi w głąbi i wyrzuciły Charliego na zewnątrz, by wrócił do swojego włazu i posilił się szczątkami Starca.

Dziwny Ptak dotychczas była przekonana, że nie ma niczego gorszego od laboratorium albo celi Starca, ale pomimo piękna tajemniczych planet wirujących nad jej głową, wiedziała, że oto znalazła się w miejscu, które Sanji nazywała „swego rodzaju piekłem”.

Głowa błękitnego lisa spoglądała na nią beznamiętnie ze ściany i świeciła jak lampa, ponieważ Magiczka zmieniła ją w lampę, chociaż nie miała na tyle miłosierdzia, by pozwolić lisowi zapomnieć, czym się stał. Kiedy Dziwny Ptak patrzyła na wciąż żyjącego zwierzaka, zrozumiała, że Magiczka jej nie zabije. Zrobi coś gorszego.

Zamglony obraz, rozpad, odczytana z intensywnego spojrzenia Magiczki wiedza, że już nie będzie ptakiem, co uczyni ją pustą,

jeszcze zanim dotknie jej ostrze noża albo któreś ze stworzeń Magiczki zakopie się i zagnieździ w jej ciele. Tęskniła za dniami spędzonymi w swojej celi w podziemnym więzieniu, za nocami, które dzieliła z lisami. W tej chwili były to dla niej bez troskie wspomnienia bezpiecznych czasów.

Dzieci o martwych oczach powróciły i stłoczyły się wokół stołu, łaknąc pokazu. Magiczka wzbudziła w nich to pragnienie, ukierunkowała ich energię, by ich zamiary odzwierciedlały jej własne. Na swój sposób stanowili rodzinę.

– Isadoro, jesteś taka piękna – powiedział Starzec, ale nie zobaczyła jego twarzy pośród tłumu, podobnie jak twarzy Sanji. Nie rozumiała jego słów, dopóki nie zaczęła ich wypowiadać Magiczka.

– Jesteś uroczą istotą. Ale możesz być jeszcze piękniejsza... i bardziej użyteczna.

– Moje nasiona są twoimi nasionami – odrzekła Dziwny Ptak. Kiedyś powiedziała jej to Sanji, nie pamiętała, czy stało się to we śnie, czy w laboratorium.

Magiczka nie dała się zbić z tropu.

– Może to prawda, a może nie, w każdym razie to ty doświadczysz przemiany. Bez znieczulenia, moja droga. Ale w odróżnieniu ode mnie jesteś sztucznym tworem, więc nie powinnaś go potrzebować. Znajdziesz sposób, aby się odurzyć. Jeśli w ogóle mnie rozumiesz, a nie jesteś jak nakręcany słowik. Ale musisz sama sobie poradzić, ponieważ nie mogę tego dla ciebie zrobić.

– Przy pustyni i nad morzem. Obok lasu i przy bagnie. – Laboratoria. Badania. Ona, ptak.

– I na stole, gotowa na przemianę – odpowiedziała Magiczka.

Dziwny Ptak nie potrzebowała słów, wyczytała wszystko z jej spojrzenia. W taki sposób Sanji patrzyła na nią i na pozostałych w laboratorium. Zanim coś dodała, odjęła, podzieliła, pomnożyła, jakby poprzez odwołanie do matematyki jej czyny stawały się abstrakcją i już nie dotyczyły ciała oraz krwi.

Tym razem się nie uratuje. Nie ucieknie z obserwatorium, przynajmniej nie we własnej postaci.

Uderzył ją ostry, przeszywający ból, jakby każde z dzieci przykładało płonąca zapałkę do jednego z jej piór, a każda lotka była niczym ostrze wbijające się w ciało. Ale nawet w ten sposób nie można opisać cierpienia, jakie czuła, gdy Magiczka odebrała jej skrzydła, złamała kręgosłup, kolejno usunęła kości, ale pozostawiła ją przy życiu, wijącą się i bezkształtną na kamiennym stole, pozostawiając jej także wzrok, dzięki czemu mogła obserwować, jak Magiczka wyrzuca tak wiele niezastąpionych części. Sapała przez szparę ust, gdyż usunięto jej również dziób.

Nagle fala zadowolonych okrzyków dzieci i ich stłoczonych pożądlivych twarzy, które przesłaniały niebiosa, cofnęła się i zapadła cisza, w której malcy wstrzymali oddech, obserwując nową sztuczkę Magiczki, która znów zmniejszyła ciało Dziwnego Ptaka. Działała niezwykle inwazyjnie, a zarazem gładko i z kliniczną precyzją, więc Dziwny Ptak nie mogła umrzeć pod wpływem szoku, chociaż była obdzierana ze skóry. Chociaż była przekształcana.

- Każde stworzone zwierzę - odezwała się Magiczka niewyraźnym, nieobecny glosem. - Każde stworzone zwierzę, każde dzieło biotechnologii, nosi podpis, a czasami wiele podpisów. Należą do ich twórców. Informują o ich zamiarach. Te podpisy pozostawiają wiadomość, niekoniecznie zamierzoną. A jeśli uda się odczytać te wiadomości, można... och, cóż tutaj mamy? Jakiś nadrzędny, spleciony z tobą element, którego nie powinno tutaj być... drugi głos. Pozwól, że go uciszę. No. Gotowe. Jak już mówiłam, chociaż wątpię, by ktokolwiek tutaj mnie rozumiał, a przynajmniej mam taką nadzieję, ta „operacja” nie mogłaby się udać bez odczytania wspomnianych podpisów. Zamiarów. Aby zmienić zamiary, nie wolno sprzeciwiać się naturze. Na przykład w tym „ptaku” są obecne ślady kałamarnicy, a nawet człowieka. Posiada on także silnie rozwiniętą zdolność kamuflażu, zarówno fizycznego, jak i wewnętrznego. W co zatem mam zmienić tę istotę? W coś, co może być dla mnie użyteczne.

Ktoś zna odpowiedź? Oczywiście, że nie. Ale wkrótce większość z was wskoczy na stół, żeby przekonać się osobiście.

Nadeszła chwila, gdy Dziwny Ptak – szarpana, przekształcana, rozciągnięta – znalazła sposób na wyłączenie bólu i sprawienie, by wszystko, co jej odbierano, stało się obojętne. Sufit się oddalił, podobnie jak śmiechy dzieci, a nawet dłonie Magiczki, współuczestniczące w jej rozpadzie, oraz małe, niewinne istoty, jak pajak i robaki, które Magiczka wysłała w podróż do jej wnętrza, by ułatwiły proces przetwarzania.

To wszystko z niej opadło i pozostały tylko głowa lisa na ścianie, przypatrująca się życzliwie, emanująca błękitnym, niesłabnącym, wiecznym światłem, błogą agonią, oraz kompas, który wciąż żył w jej wnętrzu i potajemnie pulsował ukryty przed Magiczką. Tylko Dziwny Ptak wiedziała o jego pulsowaniu i chociaż był dokuczliwy jak śwędzenie, poprzez swą obecność odwracał jej uwagę i przekonywał ją, że wciąż nie umarła. Przemienił się z kompasu w jej głowie w sygnał nadawany ku południowemu wschodowi, ku jakiemuś odległemu miejscu, informujący, że nie może tam dotrzeć, więc południowy wschód musi przybyć do niej. To pulsowanie było pulsowaniem jej umysłu, serca, przetrwałych resztek ciała. Tylko ono wybawiało Dziwnego Ptaka, choć już nie była ptakiem. Wciąż żył w niej sygnał, który oznaczał coś więcej niż ciało.

Sanji, zarazem porywaczka i powierniczka:

– To żaden wstyd uciec w ciemność. To żaden wstyd na jakiś czas się poddać.

A Starzec, wyglądając ze swojego trupa na skraju dziedzińca, dodał:

– Ja teraz mieszkam w ciemności. Żyję tam. Umieram tam. Żyję tam.

Nie miała skrzydeł. Była rozciągnięta na stole do niemożliwej długości i szerokości. Mijały kolejne godziny. Dzieci straciły zainteresowanie i odeszły. Pozostali tylko lis i Magiczka, choć lis nie miał wyboru.

Magiczka otarła pot z twarzy, popatrzyła na swoje nowe dzieło, które odwzajemniło spojrzenie oczami ukrytymi pośród opalizujących piór, łąpczywie chwytając powietrze, jak flądra, ustami, które teraz kryły się na spodzie tego, co Magiczka stworzyła z jej ciała.

– Kiedy dojdiesz do siebie, będę cię nosiła jak pelerynę – powiedziała Magiczka. – Nikt nie zobaczy, że się zbliżam. Będę niewidzialna, gdy się tobą otulę, i za to jestem ci wdzięczna, chociaż wątpię, by ci się to spodobało. Ale taka jest cena przemiany. Ktoś zawsze musi zapłacić.

Istota na kamiennym stole leżała nieruchomo. Istota na kamiennym stole już upodobniła się do niego fakturą i barwą, zgodnie ze swoją naturą. Istota na kamiennym stole słuchała pulsowania sygnału i odliczała rytm, wyczekując.

Dokąd zmierza?

Na co liczy?

Gdzie chce się zatrzymać?

Czwarty sen

W czwartym śnie Sanji jest ptakiem i leci u boku Dziwnego Ptaka wysoko nad Ziemią, skąd nie widać ani nie czuć żadnego bólu i cierpienia. Sanji jako ptak prezentuje się dziwacznie, gdyż jej ciało składa się w wielu różnych zwierząt, z których tylko niektóre potrafią latać. Mimo to leci.

Dziwny Ptak składa się z powietrza, a nie ciała. Rozkoszuje się tym i napawa, może triumfalnie się unosić, całkowicie niewidzialna. Zastanawia się, dlaczego Sanji wybrała przebranie ptaka, skoro mogła stać się powietrzem, stać się nicością.

Dziwny Ptak długo żyje w tym śnie. Żyje w nim tak długo, jak to możliwe.

Czas i peleryna

Po tym wszystkim zupełnie się nie spodziewała... że Charlie X będzie ją uwielbiał. Wodził palcami po pierzastej pelerynie, gdy sądził, że Magiczka tego nie widzi, a dzięki jego dotykowi Dziwny Ptak dowiedziała się więcej o swoich konturach i zasięgu, ponieważ niektórych części siebie w ogóle nie czuła, stały się odrętwiałe. Odległe widmo dłoni Charliego X kreśliło dla niej mapę jej nowego ciała.

- Miękka - szeptał Charlie X, jakby nigdy wcześniej nie znał niczego miękkiego. - Ładna. - Podziwiał rękodzieło, którego nie stworzył. On tylko zabił i zjadł człowieka. Tylko doścignął ją, schwytał i dostarczył komuś jeszcze gorszemu.

Magiczka często podrzynała gardło Charliemu X, a jednak on zawsze powracał, a Magiczka coraz bardziej się do niego przyzwyczajała i coraz bardziej na nim polegała. Dziwny Ptak straciła rachubę tego, jak wiele razy gardło Charliego X zostało przecięte i jak wiele razy z jego ust wylewały się myszy. Ale za każdym razem jego dłoń bardziej drżała, a smutek w jego oczach opanowywał całą twarz.

Dziwny Ptak nienawidziła jego dotyku. To, co ofiarowywał jej poprzez swoją uwagę, odbierał po stokroć, ponieważ nie dawał jej wyboru. Teraz ona stała się jak Starzec na dziedzińcu, na wpół wciągnięta pod ziemię. Odcumowana, krążąca, powracająca, niezdolna, a zarazem zdolna do ucieczki.

Po doznanym okrucieństwie Dziwny Ptak nie mogła wrócić do siebie. Nie miała skrzydeł. Nie miała skrzydeł, a jej panikę i szok łagodził tylko fakt, że Magiczka odebrała jej liczne zmysły. Jej usta nie mogły śpiewać, tylko płytko, niewygodnie dyszeć. Jej oczy widziały tylko to, co znajdowało się w górze, późnym wieczorem, gdy Magiczka odkładała ją na spoczynek, oraz tuż po

wschodzie słońca, zanim znów ją podniosła.

Pomiędzy tymi chwilami nie mogła zaznać prawdziwego snu, a jedynie jego na wpuł świadomej imitacji, przez co stale czuła się wyczerpana, wciąż zapominała, że została okaleczona, biła nieistniejącymi skrzydłami, drżała wewnątrz, dygotała w swojej gładkiej, smukłej bezkształtności i długimi momentami nie wiedziała albo zapominała, w jakiego rodzaju istotę została zmieniona.

Podczas jednej z tych koszmarnych pierwszych nocy Magiczka, pijana władzą, przekazała Dziwnego Ptaka dzikim dzieciom i pozwoliła im biegać po obserwatorium i nosić ją w górze, tak jak czyniły z Charliem X. Czuła wszędzie na sobie ich brudne ręce; szarpały ją, dźgały, próbowały rwać, czasem nawet gryźć, a Dziwny Ptak uświadomiła sobie, że Magiczka wykorzystuje swoje dzieci do sprawdzania wytrzymałości swoich dzieł.

Dzieci głośno zakrzyknęły, zaniósły ją do teleskopu i owinęły nią pęknięty okular, a następnie zaczęły się huścić na zwisających końcach. Potem przeniosły ją w jakieś inne miejsce i znów się na niej pohuśtały. Kąsały jak myszy Charliego X, ale nie tak delikatnie. Owijały się nią po sześć naraz, a Magiczka śmiała się, udając, że nie widzi ich wystających nóg i głów.

Ponownie zobaczyła burzę żuków oraz podążającą za nimi prawdziwą burzę i stała się zarazem żukami, rozrywanymi przez cyklon, jak i kłębiącymi się bezmyślnie, szalejącymi chmurami. Mimo że z zewnątrz była całkowitym bezruchem i ciszą.

Peleryna i kaptur, owijanie i odwijanie, co bolało najbardziej, gdyż ponownie zapominała o braku skrzydeł i czuła się wytracona z równowagi, dostawała zawrotów głowy i nie mogła się zatrzymać, w stałym poczuciu niedokończenia, jakby była samą skórą, która wślizgiwała się na ciało Magiczki, co czyniło ją mniej niż zwierzęciem, mniej niż niczym, samą powierzchnią bez głębi, płaską kałużą, która z czasem zmieni się w coś jeszcze mniej znaczącego.

– Cóż za wspaniała peleryna, a jaka użyteczna – powiedziała Magiczka do Dziwnego Ptaka, gdy odebrała swój skarb dzieciom.
– Będziesz świadkiem wielkich rzeczy, ważnych rzeczy.

Dziwny Ptak wzdychała i krztusiła się nieprzywykła do tak gwałtownego opadania. Powstrzymywała to odczucie i ratowała się, wyobrażając sobie, że kaptur otaczający twarz Magiczki to jej prawdziwe skrzydła, które przekształcają się i zaginają wokół lwiej głowy. Że sama zapragnęła otulać rysy Magiczki, a gdy tylko zechce, może rozdzielić skrzydła, rozerwać to obramowanie, uczynić Magiczkę widzialną. Albo ścisnąć jej twarz tak mocno, że ją udusi.

Życie w takiej bliskości istoty, która ją zniszczyła, było nie do opisanania, sprawiało, że każda chwila była pełna napięcia. Łączyła je tak intymna więź, że Dziwny Ptak czuła każdy oddech Magiczki, twardnienie mięśni na jej plecach, siłę ramion, czasem delikatne tchnienie wewnątrz kaptura, smukłe palce skubiące materię jej piór i życia. Dłonie Magiczki były jeszcze gorsze niż dłonie Charliego X; układały ją, szarpały i napinały, tak że jej pióra zmieniały się wbrew jej woli, dopasowując się do okrywanego krajobrazu.

Kompas Magiczki

Nie tylko Dziwny Ptak miała kompas, który nią kierował, ale najwyraźniej dotyczyło to także Magiczki. Ta świadomość rodziła się w Dziwnym Ptaku powoli, na przestrzeni tygodni, miesięcy i lat. Ponieważ obecnie nic nie przychodziło jej łatwo ani szybko.

Na północy mieszkał potężny niedźwiedź Mord, śmiertelny wróg w walce o panowanie nad miastem. Na południu wznosił się budynek Firmy, która również była czymś w rodzaju laboratorium, znacznie większym od tego, z którego uciekła. Na zachodzie, ze względu na przemienione dzieci, Magiczka założyła swoją siedzibę główną w obserwatorium, natomiast na wschodzie mieszkali poszukiwaczka Rachel oraz rywal Magiczki imieniem Wick, którzy wzbudzali w Magiczce zmienne emocje. Rachel pracowała z Wickiem albo dla niego, a on tworzył nowe istoty, podobnie jak Magiczka, i wymieniał je na towary.

Magiczka potajemnie spotykała się w Wickiem niedaleko obserwatorium, okrywając się Dziwnym Ptakiem i przekradając obok własnych strażników, by upominać swojego rywala, próbować mu rozkazywać lub wywierać na niego wpływ. Wick nigdy jej nie ulegał i był równie nieobliczalny jak ona. Chudy i blady sprawiał wrażenie, jakby pod jego powierzchownością nie kryła się żywa istota.

- Pamiętaj, jak bardzo mogłabym cię skrzywdzić - mówiła Magiczka, a Dziwny Ptak zastanawiała się, dlaczego nie skrzywdzi Wicka od razu.

Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że Wick musi być na swój sposób potężny, ale wtedy już jej to nie obchodziło, ponieważ zaczęła się rozpadać.

Magiczka czasami szpiegowała Wicka i Rachel ze swojego ulubionego miejsca - stojąc nad wezbraną, zatrutą rzeką pod urwiskiem, w którego ścianie wycięto mieszkania. Kiedyś stała tam tak długo, że Dziwny Ptak zwróciła na to uwagę, otrząsnęła

się z zamyślenia, ponieważ wszystkie mięśnie w ciele Magiczki były napięte i gotowe do działania. Wkrótce, gdy zapadł zmierzch, Rachel i Wick wyszli na balkon i pokłócili się. Wtedy Magiczka zaczęła mrużyć coś pod nosem i kłócić się sama ze sobą, a Dziwny Ptak uświadomiła sobie, że Magiczka potrafi czytać z ruchu warg i wypowiada odczytane słowa, by skuteczniej zapisać je w pamięci. Dziwny Ptak nie miała żadnej opinii na temat Wicka, ale podobał jej się sposób bycia Rachel, która była zwarta, samodzielna i precyzyjna.

Tego samego dnia Magiczka podjęła się znacznie bardziej niebezpiecznego zadania obserwacji Morda. Skryta pod peleryną zbliżała się do brudnego boku niedźwiedzia, gdy ten ucztował na krwawych szczątkach, ciężki i potężny; stawała tak blisko, że mogłaby go dotknąć, a smród krwi maskował jej woń. Trwała tam w milczeniu, drżąc pod wpływem jakiegoś sekretnego pragnienia – niebezpieczeństwa, śmierci? – gdy się podnosił, chociaż ktoś inny mógłby uciec, bojąc się zmiążdżenia. Ale Magiczka tylko wzdychała rozdzierająco.

Podchodziła do niego metodycznie, badając jego zwyczaje, gdy rósł i stawał się coraz bardziej niezrównoważony. Podążała za nim do budynku Firmy, którego wciąż bronił, i obserwowała napięte rozmowy pomiędzy ludźmi zamkniętymi wewnątrz a potężnym niedźwiedziem.

– Wszystko się sypie – oznajmiała triumfalnie w drodze powrotnej do obserwatorium. – On stał się zbyt żądny krwi, a oni sobie nie radzą. Musimy przyspieszyć ten proces. Musimy zaprowadzić chaos. Stać się symbolem porządku.

Mord nie interesował się Dziwnym Ptakiem, która widziała go po raz pierwszy tak wiele miesięcy albo lat temu. Jego zdolność lotu obecnie przypominała kpinę, a agresja upodabniała go do Magiczki. Był niesamowity, ale nie inspirował Dziwnego Ptaka ani nie robił na niej wrażenia, ponieważ przydarzyło jej się już tak wiele niesamowitych rzeczy. Dlatego przywierała do pleców Magiczki i doświadczała Morda tylko wtedy, gdy ta się od niego oddalała, przez co niedźwiedź zawsze był dla niej czymś dużym i niezrozumiałym, co z czasem stawało się coraz mniejsze.

Kiedy Magiczka zajmowała się swoimi sprawami, prowadziła obserwację, odwiedzała ulubione miejsca, Dziwny Ptak zawsze musiała patrzeć w drugą stronę, wbijać wzrok w horyzont, od którego Magiczka się odwracała. Często miała nadzieję, że patrzy w przyszłość, o której istnieniu Magiczka nie wie. Liczyła na to, że od strony horyzontu nadciągnie zagrożenie, ktoś albo coś, co zapragnie ją zabić, a Dziwnemu Ptakowi było obojętne, czy napastnik wcześniej rozerwie piękną pelerynę. Ponieważ nie była głupia i wiedziała, że ich losy są ze sobą splecione.

Ale wtedy, kiedykolwiek to było, Dziwny Ptak już nie chciała żyć albo nie wiedziała, że może żyć, co w ostatecznym rozrachunku oznaczało to samo.

Wyspa

Czasami, w pierwszych dniach bezkresnej rozpacz, Dziwny Ptak pozwalała, by Starzec do niej przychodził i czołgał się w stronę drzewa po piasku wyspy, która stanowiła jej schronienie. Działo się tak, kiedy Magiczka akurat wykonywała jakąś misję, albo późną nocą, gdy ptasia peleryna leżała na kamiennym stole, a Magiczka była zajęta knuciem lub naradzaniem się ze szpiegami bądź podwładnymi, albo, co było najgorsze, gdy Dziwny Ptak wisiała w szafie w mroku potajemnej kwatery Magiczki głęboko pod obserwatorium.

Dziwny Ptak pozwalała, by Starzec jej się ukazywał, nazywał ją Isadorą i „piękną”, a w jego ustach to słowo brzmiało inaczej niż w ustach Magiczki, dzięki czemu przez chwilę czuła złudną pociechę i widziała lisy na wydmach spoglądające na więzienie.

Potem jednak widziała Charliego X wciągającego Starca pod ziemię albo Starca wyznającego swój sekret i rozumiała, że ta wizja jest oznaką słabości.

– Słabość może być siłą – powiedziała jej Sanji, ale Dziwny Ptak jej nie wierzyła. Ta forma słabości była rozkładem jestestwa, pisaniem historii na nowo.

Sanji teraz znacznie częściej się odzywała i Dziwny Ptak uciekała myślami na laboratoryjną zadrzewioną wyspę, którą otaczała fosa z krokodylami. Sanji siadała na sąsiedniej gałęzi i rozmawiała.

Wyspa także była słabością, ale chociaż Dziwny Ptak nigdy nie opuszczała swojej żerdzi ani nie wzbijała się w powietrze, na wyspie miała skrzydła. Nie były one własnością Magiczki ani Isadory.

– Domyślam się, podobnie jak ty – odpowiedziała Sanji, chociaż Dziwny Ptak nie zadała pytania. – Może dałam ci mapę laboratorium. Może włożyłam ci kompas w pazury, chciałam, żebyś uciekła. Ponieważ sama nie mogłam tego zrobić.

Dziwny Ptak w to nie wierzyła. Sanji mogła uciec w każdej chwili, tak jak jej towarzyszka.

– Jak? Nie miałam skrzydeł.

Dziwny Ptak poczuła ukłucie paniki i zwalczyła pragnienie zatrzepotania skrzydłami. Bała się, że będzie zdolna to uczynić, a to odkrycie wytrąci ją z równowagi i doprowadzi do szaleństwa, przez co już nigdy nie przysiądzie na żadnej żerdzi, tylko wzbije się w niebo i zniknie w ciemności, aż nie pozostanie po niej ani jeden skrawek.

– Mogłabyś przelecieć ponad całym tym niepokojem, katastrofą i skażeniem – powiedziała Sanji. – Mogłabyś nad nimi przelecieć, przetrwać i dotrzeć w jakieś lepsze miejsce. – Nawet jako widmo Sanji powiedziała to zbyt swobodnym tonem.

Czy istnieje lepsze miejsce? Tutaj, wewnątrz snu? Czasami Sanji zabierała ją do laboratoryjnego ogrodu, gdzie rosła jabłoń, ale zawsze czyniła to po pobycie w rzeźni, więc ogrody, mimo że stanowiły źródło spokoju i pocieszenia, były naznaczone czerwienią i nie widziała ich z powodu zawieruchy w swoim sercu. Jak Sanji mogła ją wtedy zabrać do ogrodu? Jak mogła nie dostrzec, co jej zrobiła?

– Ale ja? – mówiła Sanji. – Ja już byłam stracona. Dla mnie było już za późno. Przekazałam ci zbyt dużą część siebie. Nie mogłam się skontaktować ze swoimi towarzyszami, zniknęły satelity. Nie miałam innego wyjścia, musiałam w ciebie uwierzyć.

Dzięki temu Dziwny Ptak zrozumiała, że Sanji z laboratorium zginęła, i to przed wieloma miesiącami albo jeszcze dawniej, ponieważ czas teraz inaczej płynął dla Dziwnego Ptaka, nie potrafiła więc ocenić, czy prowadzi te wymyślone rozmowy kilka godzin, czy wiele lat po tym, jak Magiczka ją przemieniła.

Tutaj światło słoneczne nie wpadało nawet przez wąskie okienko wychodzące na wydmy. Tutaj miała tylko to, co próbowała od siebie odepchnąć: liczne operacje, których Magiczka dokonała na niej od chwili pojmania. Trzy albo cztery? Aby uczynić pelerynę idealną. Aby uczynić ją idealną. Pięć, sześć albo siedem?

Przycupnięta na wyspie, gdzie już nie otaczały jej cztery szklane

ściany, tylko woda, bezkresna jak świat, Dziwny Ptak czasem mogła udawać, że wie.

Czasami szukała wzrokiem twarzy dzieci, które nadal tłoczyły się wokół kamiennego stołu podczas jej operacji – wypatrując jakiegoś znaku, nie tylko współczucia, ale pamięci, iskry, która świadczyłaby o tym, że zdają sobie sprawę, że były świadkiem jej okaleczenia, a ktoś poza Magiczką rozumie, że kiedyś nie była tym skrawkiem mięsa.

Było także ukryte w niej źródło sygnału badającego przestrzeń, którego Magiczka, za sprawą nieuwagi albo innego defektu, nadal nie odnalazła, a zatem nie uciszyła.

Nie mogła oceniać upływu czasu na podstawie wyglądu dzieci, chociaż te stale zmieniały się za sprawą ingerencji Magiczki, przez co upodabniały się do Charliego X. Ale przy stole wciąż pojawiały się nowe dzieci, poddawane różnym przemianom, zatem ta metoda nie była skuteczna i pozwalała jedynie oszacować, jak dalece Magiczka wdrożyła swoje plany – kiedy doświadczała trudności, a kiedy triumfowała.

Ile minęło czasu? Najwyższa pora, by Magiczka wyciągnęła ją z szafy i założyła przed wyjściem na świat.

– Jesteś z nas najlepsza – powiedziała Sanji. – Jesteś lepsza od nas wszystkich. Zadbaj o to. Wiem, że droga jest daleka i niebezpieczna, a ty będziesz się bała. Ale musisz próbować, musisz lecieć dalej.

Ostatnie, co Sanji powiedziała do niej w laboratorium. Ostatnie słowa. Najgorsze, co ją spotkało, zanim pojawili się intruzi.

„Odejdź”, rozkazała Dziwny Ptak Sanji i kobieta zniknęła z gałęzi.

Ale świecący łeb lisa pozostał, zawieszony w powietrzu, skierowany w jej stronę.

Dziwny Ptak zastanawiała się, dlaczego lisa głowa nigdy nie opuszcza tego miejsca, uśmiecha się do niej z taką zajadłością i nie ulega jej woli. Zupełnie jakby była czymś prawdziwym, a nie wytworem jej umysłu, a bywały dni, gdy ta zagadka stawała się jedynym, czego mogła się uchwycić pośród splątanego czasu, gdy leżała obnażona przed światem, który tak bardzo się od niej

różnił, że równie dobrze mogłaby nie istnieć, przez co sama pragnęła, by inni także nie istnieli.

Potem nadchodził kolejny ranek albo wieczór i stawała się obrończynią i tajemnicą Magiczki. Razem wykradały się do miasta i w najgorsze albo najlepsze dni wszystko znów było na swoim miejscu, a ona wiedziała, ile lat minęło, odkąd straciła skrzydła. Wtedy bezgłośnie krzyczała i błagała boga, w którego nie wierzyli naukowcy z laboratorium, by mogła powrócić do miejsca, w którym nie potrafiła śledzić upływu czasu. Boga, którego laboratoryjny kapelan mimo wszystko przywoływał, gdy uświęcał eksperymenty, jakby to miało jakieś znaczenie dla Dziwnego Ptaka. Bo kim mógł być ktoś, kto pozwalał na istnienie takiego miejsca, jeśli nie potworem?

Musiały minąć kolejne lata, które w większości spędzała na wyspie, by pragnienie skończenia ze sobą, którego nie mogła wcielić w życie, nie doprowadziło jej na drugą stronę obłędu do jeszcze gorszych miejsc.

Była świadkiem powstania armii Magiczki oraz tego, jak Magiczka zdradziła Charliego X. Jego myszy nie mogły mu pomóc i umarł na pustkowiu obok starej studni, obnażony, wbijając wzrok w niebo, daleko od wjazdu prowadzącego do jego kryjówek. Na końcu myszy wypłynęły z jego gardła i zniknęły pośród wysokiej trawy, z takim entuzjazmem i tak szybko, że zdziwiła się, co tak długo trzymało je przy Charliem X.

Doświadczyła tej samej grozy co Magiczka, gdy Firma stworzyła wysłanników Morda: niedźwiedzie normalnych rozmiarów wyhodowane na podobieństwo Morda, które nie potrafiły latać, ale były bezwzględne i nienaturalnie silne... Dziwiło ją, jak szybko Magiczka przystosowała się do nowej sytuacji. Widziała, jak wielką miłością i nienawiścią obdarzała pozostałości Firmy. Zdawała sobie sprawę, że Magiczka zrobiłaby wszystko, by zapanować nad miastem, podjęłaby każde ryzyko. Że była osamotniona w tym pragnieniu, niezależnie od tego, jak wiele osób stało przy jej boku.

Ale wtedy sygnał pulsujący we wnętrzu Dziwnego Ptaka zaczął słabnąć; w niektóre dni budziła się ślepa i były ją w stanie ocucić tylko igły Magiczki, którymi wstrzykiwała pod jej skórę ohydne płyny. Wtedy już niemal zapomniiała, co oznaczał sygnał, i że kiedyś mógł służyć jako kompas prowadzący ją na południowy wschód.

Wreszcie bywały dni, gdy rezygnowała z tak dużej części siebie i tak idealnie rozpływała się w pustce, że ta pociecha stawała się zbyt bolesna. Kiedy sygnał ustał, świadomość, że kiedyś w niej pulsował i przypominał jej o innym życiu, sprawiała jej więcej bólu, niż gdyby Magiczka od razu wyrwała z niej kompas.

Błękitny lis

A jednak. Jednak. Poza kresem jej historii i jej samej.

Pewnego dnia w jej głowie rozległ się szybki tupot łapek.

Znajoma woń i wołanie skierowane do niej, do źródła wewnętrznego sygnału, które teraz było powoli stygnącymi popiołami. Wyspę okrywał zimowy lód i nie rosły na niej żadne drzewa. Otaczała ją szachownica, a nie ocean, a zwierzęta na poszczególnych polach były zamrożone, nawet krokodyle, których pyski zastygły w wyrazie cierpienia. Nie potrafiła się pozbierać. Nie potrafiła przywołać Sanji. Starzec i Charlie X skradali się w cieniu po drugiej stronie wyspy, a ona nie mogła ich powstrzymać.

Nagle rozległy się odległe odgłosy tupania, skrobania i kopania, ponad uśmiechniętym pyskiem błękitnego lisa, wciąż unoszącego się nad wyspą, spoglądającego na nią i dającego jej światło, którego sama nie mogła sobie dać, niczym prawdziwe słońce. Co nowego się tutaj wydarzyło? A może już to знаła? Uświadomiła sobie, że zza oczu zwierzaka spogląda na nią cała zgraja lisów, których część poznała na wydmie przed więzieniem Starca.

Z głowy wydobywały się piski i szczeknięcia. Lisy nie używały mowy, ale i tak wiedziała, co do niej mówią.

Nie możemy pomóc, ale możemy cię namierzyć, jeśli sygnał wciąż płonie. Przystanie pulsować, gdy umrzesz, a jesteś bliska śmierci.

Razem z tą wiadomością pojawił się natłok obrazów, którym Dziwny Ptak musiała dokładnie się przyjrzeć, aby je zrozumieć – ich walka, plany, ucieczka z Firmy, własna wizja miasta i wrogość Magiczki. Potrzebowała czasu, by poskładać to wszystko w całość. Rozumiesz?

Właśnie tam, w blasku księżyca, uwięziona przez Starca, Dziwny Ptak wpuściła je do swojego umysłu, a one nigdy tak naprawdę nie odeszły. Mogły ją namierzyć i choć nie potrafiły jej

pomóc, wcale tego od nich nie oczekiwała. Nikt nie umiał jej pomóc, ale wystarczyło, że ją namierzą. Jeśli się nie podda, zawsze będą wiedziały, dokąd powędruje. Jeśli świadomie je wpuści, sygnał przybierze na sile. Dlatego nie może umrzeć i musi je wpuścić.

Tak, powiedziała. Tak, rozumiem. Uświadomiła sobie, że jedno z jej najpiękniejszych wspomnień, jedno z nielicznych dobrych wspomnień, dotyczy radosnych psot lisów na wydmach dawno temu.

Łód skuwający wyspę stopił się, a wtedy Charlie X i Starzec wycofali się, pola szachowe ze straszliwymi figurami na powrót stały się oceanem, a głowa błękitnego lisa uśmiechnęła się i ogrzała jej zmęczoną, zapomnianą duszę.

Podczas gdy Magiczka kontynuowała wojnę o podbój miasta, Dziwny Ptak czuła obok siebie obecność lisów. Były istotami z rozbitych miejsc. Powstańcami, których nikt nie dostrzegał. Knuły na pustyni, tańczyły i ujadły dla samej przyjemności, ponieważ były wolne i nikt się nie domyślał, że ich taniec miał się stać tańcem miasta i je wyzwolić. Że jeśli nie będą mogły prowadzić swojej walki z dziką radością, nie będą prawdziwie wolne, lecz ulegną strachowi i niepewności.

Pokładała w tym nadzieję, gdy Magiczka walczyła z wojskami Morda, wycofała się, straciła obserwatorium po nieudanej ofensywie, uciekła do podziemi, by uczynić swoich dziecięcych wojowników jeszcze groźniejszymi, wprowadzić jeszcze bardziej bezwzględne i bezsensowne zmiany. Armia Morda składała się z samych drapieżców, których instynkt nie dopuszczał wahania, a żądza krwi nie dała się pohamować. Węsząc, przeszukiwali kolejne budynki, starając się wyplenić mutantów Magiczki, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów, ponieważ zjadali martwych, miażdżąc ich wypełnione szpikiem kości.

Magiczka stała się bardziej odizolowana i samotna. Popadała w paranoję. Przemieszczali się szybko i bez zbędnego bagażu, nigdy nie nocując dwukrotnie w tym samym miejscu.

Coraz częściej przemawiała do Dziwnego Ptaka, nie wiedząc, że Dziwny Ptak zdradza ją poprzez samo pozostawanie przy życiu.

– Ich potwór grasuje w mieście, szerząc chaos, ale pozwolę, by Mord się nim zajął. Ich potwór jest młody i wie tak mało – mówiła, a Dziwny Ptak wiedziała, że chodzi jej o tak zwany „twór Wicka”, Zrodzonego, którym Rachel kiedyś się opiekowała, istotę zdolną zmieniać kształt i rozmiar. Magiczka podejrzliwie patrzyła nawet na najbardziej zaufanych poruczników swojej dziecięcej armii. Poddawała dzieci różnym sprawdzianom, zanim dopuściła je do siebie, a czasami wahała się nawet przed wkładaniem swojej żywej peleryny.

– Mord musi się zmęczyć. Musi osłabnąć. Przeczekam go i w ten sposób pognębię – mawiała, a Dziwny Ptak wyczytywała z jej zaskoczonego tonu, że to Firma, a nie Magiczka odebrała Mordowi zdolność latania. Uziemiony niedźwiedź kierował swoją wściekłość ku niewłaściwemu wrogowi.

– Nigdy nie opuszczą Balkonowych Klifów, jeśli ich do tego nie zmuszę – mówiła, a Dziwny Ptak wiedziała, że Magiczkę martwią fortyfikacje wzniesione przez Wicka, więc nie była zaskoczona, gdy ta oddała go w ręce wysłanników i wykurzyła z jego reduty.

– Kiedy będzie po wszystkim, odbuduję miasto z takim rozmachem, że nikt go nie rozpozna. Będziemy mieli drzewa, szkoły, biblioteki, sklepy spożywcze i wszystkie inne zwyczajne rzeczy, jakie powinny się znaleźć w mieście – zapowiadała Magiczka, a Dziwny Ptak ją ignorowała, ponieważ takie przemowy były przeznaczone dla dziecięcej armii, którą Magiczka karmiła pięknymi wizjami, chociaż jej głowa była pełna martwych robaków, żywych pajaków i trupów, liczniejszych, niż mógłby to sobie wyobrazić Charlie X.

Dziwny Ptak była już wtedy tylko brudną starą szmatą na ramionach Magiczki, ale nawet w takim stanie nie potrafiła uwierzyć w jej wdzięk ani miłosierdzie.

Magiczka pozostawiała za sobą sterty czaszek i spalonych ciał, a przemienione dzieci, które kiedyś podążały za nią z żądzą krwi i radości zabijania, teraz słuchały jej ze strachu, co jej odpowiadało.

Ostatnie dni

Potem wydarzyło się coś, co zbiło Dziwnego Ptaka z tropu, ponieważ mimo rozpaczliwej nadziei, jaką przyniosły jej lisy, była wyblakła, matowa i wyczerpana, zbyt wiele przeszła i zniosła więcej, niż powinna jakakolwiek żywa istota. Miała słaby wzrok, słuch i węch. Słyszała tylko echa głosów w swojej głowie i miała nadzieję, że pośród nich wciąż rozlegają się głosy lisów.

Tak więc mogła odczytać, co się dzieje, jedynie z napiętego jak stal ciała Magiczki, która w jednej chwili była rozluźniona, a już w następnej zeszywniała i znieruchomiła, tak że naprężone mięśnie i ściągnięte ramiona musiały jej sprawiać ból, a w jej zszokowanym wnętrzu pojawiła się rana. Potem rozpaczliwie popędziła w dół schodów, przez tunele, w chłodzie podziemi, nie w świetle. Nic nie mówiła, gdyż nie miała do kogo się odezwać, co oznaczało, że dzieci odeszły, ukryły się albo zostały pokonane, a zewsząd otaczali ją wysłannicy Morda.

Podążyły na południe, jak powiedział Dziwnemu Ptakowi sygnał w jej wnętrzu. Coraz dalej na południe, aż stało się jasne, że ich celem jest budynek Firmy. Lisy szarpały nerwy Dziwnego Ptaka, zmuszając ją do obudzenia się, by sygnał silniej pulsował. Mimo że początkowy przyptyw nadziei osłabł wraz z utratą zdrowia, coraz mniej się tym przejmowała, zamknięta wewnątrz własnego mózgu. Dryfowała, spodziewając się, że lada chwila fale wyrzucą ją na zbocze wzgórza obok Charliego X, z czego być może będzie zadowolona.

Kiedy Magiczka zbliżała się do budynku Firmy, dwukrotnie musiała uciekać przed wysłannikami Morda, którzy próbowali skierować ich na północny zachód i wypędzić z miasta. Ich smród poruszał nawet zawodzące zmysły Dziwnego Ptaka, i chociaż sami tak cuchnęli, bez trudu wyczuwali nawet najłżejszą woń Magiczki, a przynajmniej tak jej się wydawało, dlatego

wysmarowała sobie twarz błotem i buty odpadkami, by zgubili trop.

Mimo wszystko ją znaleźli, ponieważ niosła na plecach źródło sygnału. Wskoczyli ze spalonych i zakopanych w piasku kryjówek, a Dziwny Ptak jako pasażer mogła tylko patrzeć, jak rozdzierają ją pazurami, zanim Magiczka uciekła, ranna, ale nie śmiertelnie.

Kły ledwie chybiły celu, ale nie chybiły Dziwnego Ptaka. Czym jednak jest kilka rozcięć i rozdarć dla kogoś, kto już został doszczętnie zniszczony? Przedtem tak często była uderzana, tak wiele razy musiała wytrzymać każdy atak, niezdolna do ucieczki, że nie wpadła w panikę, a nawet nie odczuła bólu.

Pod osłoną opuszczonego budynku, którego przeznaczenie zagubiło się pośród piasku i upływającego czasu, Magiczka odpoczywała rozwścieczona – łapczywie chwytając powietrze i przeklinając swojego pecha. Narzekała na nadnaturalne zdolności tropienia, którymi popisywały się niedźwiedzie, chociaż tak naprawdę to lisy nimi kierowały, pozostawiając wskazówki, które zdradzały położenie Magiczki.

Wysłannicy Morda ścigali je przez całą noc i po wschodzie słońca, a Magiczka nie dbała o to, że jej peleryna broczy krwią na piasek. Nie obchodziło jej, jak to może wpłynąć na jej kamuflaż, gdyż martwiła się tylko stłuczonymi żebrami oraz długim, płytkim skaleczeniem na plecach, które przecięło Dziwnego Ptaka na wylot.

– Sądzą, że już mnie mają – odezwała się Magiczka do Dziwnego Ptaka, przygniatając ją plecami do ściany. – Ale nikt nie zna budynku Firmy tak dobrze jak ja. Nie licząc Wicka, a on też tam zmierza. Jeśli mu się uda, podążę za nim i go okradnę. A jeśli nie, my dwie też sobie poradzimy, przeczekamy całe zamieszanie.

Dziwny Ptak nie odpowiedziała. Istniała w osobliwym świecie, w którym całymi godzinami doświadczała świata tylko pośrednio, gdyż jej zmysły nie działały.

Lisy były jej oczami i uszami, dlatego mogła usłyszeć słowa Magiczki dzięki lisowi, który podkraść się blisko, i zobaczyć ją jego oczami. Magiczka i jej peleryna były niewidzialne, ale lisy

potrafiły dostrzec tańczący na jej szczycie migoczący błękitny płomień, który był sygnałem nadawanym przez Dziwnego Ptaka.

Musiała podtrzymywać ten płomień. Musiała go podtrzymywać. Wyobrażała go sobie jako pulsującą czerwień, ale naprawdę był niebieski, błękitny jak lisia głowa na ścianie Magiczki.

Magiczka wciąż brnęła naprzód, pomimo własnego wyczerpania i wyczerpania jej żywej peleryny. Sama zastawiała pułapki, cofała się, szukała bezpiecznych szlaków, jakby wiedziała, że nie dla wszystkich jest niewidoczna, aż w końcu znalazły się w odległości niecałej godziny marszu od budynku Firmy. Dziwny Ptak coraz bardziej niepokoiła się lisami, a w głębi jej umysłu odzywało się coś starego i kruchego, co przyprawiało ją o dreszcze i sprawiało, że wątpiła, czy naprawdę zna swoich kompanów.

Tymczasem za nimi na horyzoncie działo się coś zbyt przerażającego dla Magiczki, która tylko raz się obejrzała i głośno wstrzymała oddech. Widok, którego lisy nie chciały pokazać Dziwnemu Ptakowi, tak że musiała wyteńczyć własny słaby wzrok, ale ostatecznie zdołała tylko dostrzec, że Mord walczy na tle nieba z czymś równie potwornym jak on sam.

– Liczy się tylko to, co przed nami – oznajmiła Magiczka swojej zdradzieckiej pelerynie.

Tymczasem duch Charliego X prześladował je obie, a jego chirurgiczne myszy piskliwie przekazywały Dziwnemu Ptakowi absurdalne skargi, dotyczące monotonii pracy i wieloletniego oddania swojemu żywicielowi, spodziewając się zapewne, że okaże im współczucie, skoro sama od tak dawna służy Magiczce. Ale się przeliczyły.

W ciemności Charlie X w końcu się wycofał, a ona zrozumiała, że myszy, które do niej przemawiały, to nie te same zwierzęta, które знаła. Wiedziała, że tunele tętnią życiem, chociaż już nie miała do dyspozycji mrocznej, połyskującej sieci, którą mogła chwycić i przyciągać do siebie tropy innych stworzeń.

Zanurzały się w budynek Firmy, coraz głębiej i głębiej,

a Magiczka szeptała pocieszające słowa przeznaczone tylko dla siebie. Potem zapadła cisza, gdyż lisy odeszły, i towarzyszyły jej jedynie ciemność, rana przecinająca ją w połowie oraz pewność, że już po niej, że nie wytrzyma dłużej, a w ciemności pozostały tylko Sanji albo duch Sanji albo Dziwny Ptak mówiąca do siebie: „Najwyższy czas odpocząć”.

Ostatni przekaz do niej z podziemnego świata: wizja lepszego miejsca, które nie istnieje. Na tym obrazie widziała ptaki zatrzymane w locie i zazdrościła im, ponieważ uchwycono je w chwili, gdy nie musiały być posłuszne niczemu poza powietrzem, poza wiatrem.

Potem zaczęła opadać w głąb budynku Firmy. Ze swojej kryjówki na wyspie rzuciła się do morza, ponieważ przez krótką chwilę widziała, że krokodyle zniknęły, upadek jest bezpieczny i nie pozostało jej nic innego.

A zatem spadła, bezwładna i bezkształtna, do morza, a ono wzięło ją w pocieszające objęcia, okazując jej największą serdeczność, jakiej kiedykolwiek zaznała. Czuła się karmiona, a zarazem pozbawiona ciężaru, już nie była częścią kogoś innego i nie widziała siebie oczami innych. Mogła być sobą.

Sprawiło jej to ból, ponieważ wiedziała, że to nie może być prawda, że to tylko sztuczka.

Była jedynie powierzchnią. Nigdy nie była ptakiem uderzającym o szybę, tylko samą szybą i nawet nie mogła się zobaczyć.

Czas tego nie naprawi.

Piąty sen

Drzewo na wyspie straciło wszystkie liście, a po krokodylach zostały szkielety. Siedziała skulona na martwym drzewie, a wokół wyspy rozpościerała się pustynia pełna bezludnej chwały, a na niej, na wpół pogrzebane, jak po burzy, wszystkie martwe zwierzęta z laboratorium, nieruchome, nie licząc oczu. Błękitny lis już nie świecił z góry. Wszystko oświetlał tylko niewyraźny, bezkresny blask.

Nie miała skrzydeł, gdy stała obok drzewa, które niemal całkowicie uschło. Już nie pamiętała swoich skrzydeł, więc odpadły.

– Zawczasu zrezygnowaliśmy z wszelkich wygód, ponieważ wiedzieliśmy, że wkrótce i tak znikną – powiedziała jej Sanji, która siedziała obok. – Wiedzieliśmy, że będzie nam trudniej, jeśli zaczekamy, aż się ulotnią. Tego byśmy nie przetrwali. Dlatego staraliśmy się coraz bardziej ograniczać. Nie chodziło tylko o luksusy, ale o dużo więcej. Bardziej zaangażowaliśmy się w inne sprawy.

– We mnie – odrzekła Dziwny Ptak.

– Tak, w ciebie.

– Nigdy nie okazałaś mi dobroci ani troski.

– Okazywałam ci jedno i drugie.

– Byłaś okrutna.

– Wyobraź sobie, że stajesz w obliczu końca świata. Wyobraź sobie, że ktoś, na kim ci zależy, jest daleko w chwili, gdy bardzo potrzebujesz nie tylko jego samego, ale także tego, nad czym pracuje. Wyobraź sobie, że zapada ciemność, a ty nie możesz porozmawiać z tą osobą, mimo że masz część klucza. Wyobraź sobie, że rozpaczliwie starasz się temu zaradzić.

– Czym jest kompas w moim wnętrzu?

– Ostatnią szansą. Ostatnią nadzieją. Pieśnią, którą tylko ty potrafisz wyśpiewać. Ukrytą.

– Dokąd miałam się udać?

– Już tam byłaś.

Ale teraz nie znajdowały się na wyspie. Były w ogrodzie, mijaly jabłonie, idąc przez wysoką trawę, po spotkaniu w rzeźni, i nie pozostało im nic więcej do powiedzenia.

Na co liczyła?

Potwory walczyły, a świat tonął w ogniu i deszczu. Tymczasem ona była uwięziona w worku. Wisiała głową w dół. W trumnie pod włazem razem z mężczyzną o twarzy nietoperza. Na drzewie. Spadała przez powietrze. Spadała przez ciemność.

Dziwny Ptak zanurkowała w aromatycznym morzu, gęstym, ciepłym morzu, które ją otaczało, pocieszało, karmiło, gdy unosiła się w jego objęciach. Jak przyjemnie zasmakować nieważkości, już nie być noszoną na czyichś plecach, nie być częścią kogoś innego. Ponieważ to uczucie przekonało ją, że Magiczka została wypędzona albo zginęła.

Po prostu unosić się, ślizgać i dryfować... Razem z nią w grzęzawisku były inne istoty, które miały ją leniwie, ale o to nie dbała. Obejmowały ją długie, cienkie robaki, którymi również się nie przejmowała. Tam, gdzie jej dotykały, jej ciało goiło się i odbudowywało. Słyszała odgłos ciekącego płynu, jak podczas napełniania wanny, i stopniowo się unosiła, gdy wody przybywało.

Miała jasny umysł, chociaż jej zmysły były przytłumione, jakby długo i spokojnie spała, po czym obudziła się bez udziału budzika. Ale czy kiedykolwiek nastawiała budzik?

Nad sobą widziała promień słońca i twarze wpatrujących się w nią ludzi otaczających zbiornik. Nie byli okrutni, ale zatroskani. Nie byli wściekli, ale chcieli jej pomóc. To byli Rachel i Wick, a gdy Dziwny Ptak zobaczyła ich oraz sufit ponad nimi, domyśliła się, że już nie jest w budynku Firmy, tylko w Balkonowych Klifach, w fortecy wrogów jej wrogów.

Wick miał pokaleczone czoło i przekrwione oczy, przejrzystą skórę i wychudzone ciało. Rachel była brudna, pokrywały ją zadraśnięcia i oparzenia. Cokolwiek ich spotkało, musiało wystawić ich na ciężką próbę. Cokolwiek ich spotkało, dopiero niedawno dobiegło końca, dzięki czemu Dziwny Ptak

uświadomiła sobie, że minęło niewiele czasu.

– Czym jest ta istota? – odezwała się Rachel, a jej niewyraźny głos dobiegał do Dziwnego Ptaka jakby z olbrzymiej wysokości, z nieprawdopodobnie dalekiego miejsca.

– Raczej czym nie jest – odrzekł Wick, przerywając oględziny Dziwnego Ptaka i przenosząc wzrok na Rachel.

– Umie latać? – spytała Rachel.

– Nie ma skrzydeł – zauważył Wick.

– Gryzie?

– Jeśli tak, to czy powinniśmy ją zjeść?

– Chyba kiedyś mówiłeś, że znacznie gorzej zjeść bombę niż nadajnik sygnału. Powinniśmy ją wykończyć? Jest niebezpieczna?

– Nie. Nie jest. Jest tylko zmęczona i nieufna, została wykorzystana jak my wszyscy. Nie jest... sobą. Już nigdy nie będzie sobą.

Wick uśmiechnął się gorzko, a wtedy połączyło ich coś odwiecznego, starszego niż Dziwny Ptak, czego nie była w stanie wyczuć, a jedynie zaobserwować. Z czegoś rezygnowali albo coś odzyskiwali. Rachel opierała dłoń na jego ramieniu, jakby udzielała mu wsparcia.

– Potrafisz ją ocalić? – spytała Rachel. – Powinieneś to zrobić?

Zagadkowy wyraz twarzy... Może Rachel uzna, że żyjącą peleryną nie warto zawracać sobie głowy. Może ją porzucą, tak jak porzucano ją wcześniej.

Wick był zajęty rozprostowywaniem zaplątanego fragmentu Dziwnego Ptaka i rozkładaniem jej na powierzchni gęstej wody w leczniczym zbiorniku. Jego dotyk jej nie martwił. To bardzo przezornie z ich strony, że przygasili światła na suficie, dzięki czemu jej nie oślepiały, a przyjemny blask kojarzył się z zimą przy ciepłym kominku. Kiedy miała okazję zaznać zimy? Albo widzieć kominiek?

– To łup – odezwała się Rachel. – W tej chwili niewiele wart. Popatrz na te wszystkie blizny. Na ranę na samym środku. Pióra straciły kolor i blask. Wydobyłam tę istotę, chociaż sprawiała wrażenie martwej. Sama nie wiem dlaczego.

Ale Wick nic nie mówił, tylko wpatrywał się w jedyne zdrowe

oko Dziwnego Ptaka i jej zrujnowane ciało, zastanawiając się, odczytując informacje, które otrzymywał od oplątujących ją robaków diagnostycznych.

Gdybyście mogli mnie zobaczyć taką, jaką widziały mnie mroczne skrzydła, pomyślała Dziwny Ptak.

Ale Rachel zapewne uznała, że milczenie oznacza brak zainteresowania, ponieważ się odwróciła.

– Mogę wystawić ją na zewnątrz, żeby sama sobie radziła. Albo pociąć ją na części. Teraz to nieistotne... jeśli właśnie tego chcesz.

Lekkie drżenie ciała Wicka, skrywane emocje, współczucie, które nie pozwalało mu patrzeć na Rachel, gdy to mówiła. Natomiast z jej strony spojrzenie towarzyszki, która zna swojego partnera tak dobrze, że nie potrzebuje słów.

– Uwierzysz, że Magiczka nosiła na sobie tę biedną istotę? – rzekł Wick, nie odpowiadając Rachel. – W pewien sposób także ją stworzyła. – Na jego twarzy malowały się podziw i obrzydzenie. – Magiczka zmieniła tę istotę w pelerynę. Rozpoznaję jej szwy, jej znaczniki.

– Czym była wcześniej?

– Mieszkanką różnych rzeczy, ale miała zewnętrzną formę... ptaka. Dużego ptaka o opalizujących skrzydłach. Potężnego, skoro powstała z niej taka długa peleryna, chociaż Magiczka ją pocięła.

– Zewnętrzną formę?

– Jest w niej zbyt dużo człowieka. Jest bardzo złożona. Zmodyfikowany układ nerwowy. Wciąż widzę te miejsca. Neurony rozmieszczone nie tylko w głowie, ale także w piórach, które są hybrydą, zawierają w sobie coś z głowonoga. Właśnie dlatego wciąż może myśleć – jej mózg znajduje się w całym ciele. Nie wiem, czy Magiczka zdawała sobie z tego sprawę.

– To... jest człowiek?

Wick pokiwał głową i Dziwnego Ptaka znów dotknęły dłonie. Miękkie i spokojne, a kiedy jej dotykały, informacje płynęły do Wicka za pośrednictwem palców.

– Czasami stwórca zostawia podpis. Właśnie go szukam.

– Jaki był cel jej istnienia przed spotkaniem Magiczki?

Wick wzruszył ramionami.

– Możemy tylko zgadywać. Niewykluczone, że było ich kilka. Ale zanim Magiczka zdobyła tę istotę, zajmowała się ona... roznoszeniem materiału genetycznego. Podczas lotu na nowo obsiewała świat mikroskopijnymi organizmami.

– A teraz?

– Magiczka usunęła tę zdolność, odebrała ptakowi skrzydła. Usunęła kości. – Wick cofnął dłonie. – To nie wszystko, co wyczytałem. Zanim Magiczka przemieniła tę istotę, ktoś inny wzbogacił ją o znacznie więcej ludzkich cech oraz zdolność podejmowania decyzji. To były bardzo konkretne umiejętności. W takich przypadkach zazwyczaj pochodzą z wielu źródeł, ale tutaj źródło było jedno. To był zarazem transfer cech osobowości.

– Nie rozumiem. Czy to ważne?

– Ważne? Nie wiem. Ale na pewno ciekawe. Ktokolwiek to zrobił, skrócił w tym celu własne życie, a przynajmniej znacznie się osłabił. Jakby chciał, żeby ważniejsza część z niego zaistniała w tej nowej formie.

Ich milczenie i zmęczenie było także zmęczeniem Dziwnego Ptaka. Mieli dość rozlewu krwi, bezmyślnych działań w imieniu porządku, w imieniu wskrzeszenia miasta.

Wiedziała, jak wiele ich kosztowało to, by po prostu się jej nie pozbyć.

Wewnątrz Dziwnego Ptaka poruszały się robaki, które łączyły zranione miejsca, tak że z każdą chwilą sygnał coraz bardziej przypominał kompas, a lisy wycofywały się, gdyż nie były już potrzebne i same jej nie potrzebowały, ona zaś znów widziała je w miejscu, do którego przynależały, na dalekich wydmach, gdzie uśmiechały się za rozświetlonym wąskim oknem, okazując miłość sobie nawzajem, jej i swojemu poległemu kompanowi, błękitnemu lisowi, którego Magiczka przybiła do ściany. Tak naprawdę odeszły już dawno, i chociaż wyspa zniknęła, Dziwny Ptak odczuła tę stratę, lecz trwało to tylko chwilę, a robaki wciąż

pobudzały ją i czyniły silniejszą, przywracając to, co odebrał pająk Magiczki, wzmacniając to, co było podatne na kształtowanie, dzięki czemu miała ochotę wzlecieć, chociaż nie potrafiła.

– Jesteś silna – odezwała się Sanji w jej głowie. – Masz w sobie kompas. Odejdiesz z tego miejsca. Przeżyjesz je. – Dziwny Ptak po raz pierwszy uwierzyła, że to może być prawda, ale nie dlatego, że Sanji tak powiedziała.

Wick wciąż mówił, a Dziwny Ptak słuchała jednym uchem, rozumiejąc tylko niektóre z jego słów. Chciała wiedzieć tylko o niektórych sprawach.

– Jest coś jeszcze – rzekł Wick. – Rodzaj genetycznego imperatywu, głęboko pogrzebanego, powiązanego z konkretnym miejscem. Ten ptak, ta istota przez większość życia czuła przytłaczającą potrzebę dotarcia do tego celu, od chwili, gdy dokonano modyfikacji, które uczyniły ją bardziej ludzką. W głębi tego miejsca znajduje się wiadomość, którą przyniosła, zaszyfrowana tak, że nie umiem jej odczytać.

– Więc powinniśmy ją wypuścić? – spytała Rachel ze szczególnym naciskiem.

– Tak. Tak. Po tym, jak już... Jeśli nam się uda. Nie da się jej naprawić, nie w typowy sposób. Niektóre rzeczy zniknęły na zawsze, innych nie potrafię wymienić, jeszcze innych nie rozumiem. Ale mogę pozostać wierny temu, czym miała być. Mogę uwolnić ją od warunkowania. Pozostaną współrzędne, ale istota, którą ukształtuję z tej... tej ruiny... będzie mogła samodzielnie wybrać, co zrobi i dokąd się uda. Nie miała tego luksusu od dawna.

Ostatecznie Wick wydobyl z dawnego basenu aż cztery Dzwne Ptaki, a pozostałość niegdyś żywej peleryny opadła bez czucia na dno, by karmiły się nią rybki, skoczki mułowe i pozbawione płetw istoty, które nigdy nie chciały zostać odnalezione. Tam została wprawiona w ruch i porwana do tańca w ciemności przez ostre, pośpieszne pocałunki kłapiących i szarpiących zębów, tak

że przez jakiś czas wydawało się, że samowolnie wznosi się i opada, chociaż kierowała nią wola tych, którzy na niej ucztowali; lecz umierające komórki nie miały nic przeciwko temu, przemieszczały się tam, dokąd je pociągnięto, przekazywane z pyska do pyska, odbierając swoisty hołd.

Dziwne Ptaki przedostały się na balkon; dwie zaniósł Rachel, a dwie Wick. Były małe jak zięby, szare, ale szybkie i sprytnie. Niczym się nie różniły, a każda wierzyła, że jest pierwowzorem, i nosiła w sobie te same wspomnienia. Kiedy przypatrywały się sobie nawzajem, widziały siebie. W ich trelach kryły się współrzędne i komunikaty, potajemny szyfr wszechrzeczy. Ich umysły były takie jak wcześniej, choć przypominały żywe srebro.

Lekkość ich ciał była dla nich źródłem zachwytu, świętem i cudem. Zrzucały ciężar niczym uciążliwą pelerynę, którą można zatopić w zbiorniku.

Dłonie, które je niosły, w tej samej chwili wypuściły je ponad zatrutą rzeką, cisnęły w powietrze ze śmiechem i radością, jakby w ten sposób błogosławiły to miejsce, a ptaki wznosiły się triumfalnie coraz wyżej i wyżej, zachwycone tym uczuciem, potęgą ruchu. Zawróciły, by jeszcze raz popatrzeć na parę stojącą na balkonie, a następnie zatoczyły koło ponad rzeką, przemknęły między drzewami rosnącymi na brzegu i skierowały się na południe.

Już nie były Dziwnym Ptakiem, lecz na zawsze nim pozostały.

Dokąd zmierzała?

Ekstaza lotu, ekstaza wyboru, a trzy z czterech wybrały kierunek wskazywany przez kompas – południowy wschód, południowy wschód i południowy wschód, śpiewając opowiadającą o tym pieśń wdrukowaną w ich umysły. Czwarta nie chciała mieć nic wspólnego z kompasem ani miastem, pragnęła tylko samotności, więc poleciała na północ, a pozostałe nie miały jej tego za złe i śpiewały dla niej, dopóki nie zmieniła się w kropkę na horyzoncie.

Potem pozostała trójka ruszyła na dobre, zmagając się z wiatrem, nieprzywykła do odzyskanej lekkości ciał po okresie przykucia do ziemi, a ich lot przynajmniej częściowo miał na celu ucieczkę przed wspomnieniami, ucieczkę przed tym, co tak trudno było znieść. Ich ciała lśniły w blasku słońca, dzioby i oczy płonęły jasno.

Ponad miastem, a potem w głąb pustyni, poza zrujnowany budynek Firmy, poza lisy, gdzie nie mógł ich dosięgnąć duch Magiczki. Leciały nad rozległymi terenami, z poczuciem celu, przez palący upał, jak strzały wypuszczone w stronę samego celu. Pędziły naprzód. Czujne, czujne, czujne. Robiły pętle, nurkowały i wirowały, razem i osobno, ponieważ latanie po takiej przerwie wciąż było dla nich nowością.

Trzeciego dnia ich sylwetki widoczne na tle nieba uruchomiły stary system rakietowy zagrzebany w ziemi, który posłał ku nim cztery pociski o rozszerzającej się trajektorii, niby otwierającą się dłoń, i chociaż skręcały, na zmianę zwalniały i przyśpieszały oraz zwiększały pułap, nie mogły ich zgubić, aż w końcu jedna odłączyła się i wyprowadziła rakiety ponad pustynię.

„Pamiętajcie o mnie, ale lećcie dalej”, powiedziała im, zmuszając swoje ciało do powietrznych akrobacji, jakich nigdy wcześniej nie próbował żaden śpiewający ptak. Potem rozległ się wybuch, pióra opadły ku ziemi. Kolejna dusza zgasła. Czy to się kiedyś

skończy? Nigdy się nie skończy, póki na Ziemi istnieje życie.

Ale dwa Dziwne Ptaki leciały dalej, śpiewając swoją wyjątkową pieśń, jakiej nie śpiewał żaden inny ptak, wciąż kierując się na południowy wschód, zbliżając się do celu, dodając sobie nawzajem otuchy swoją obecnością.

Przy wodopoju okolonym palmami, ku któremu opadły, by się napić, zaskoczył je długi i niski przyczajony drapieźnik barwy piasku. Ale nie był wystarczająco szybki i ptaki wzbily się hałaśliwie w niebo, besztając go z rozdrażnieniem i wspominając łaskawość lisów.

Wolały brnąć naprzód w ciemności niż przezornie pozostać w tym miejscu i długo leciały bez odpoczynku i bez wody, ponieważ czuły, że są blisko celu, i nie chciały zwlekać. Kompas potężnie pulsował, jakby chciał je rozsadzić, dźwięczał im w uszach tak przesadnie i śmiało, że widziały gwiazdy, ale także dawał im energię do dalszej podróży. W drodze traciły masę, spalając mięśnie, dzięki czemu mogły doświadczyć jasności świtu na dużej wysokości, gdy przebiły się przez mgłę i obłoki. Maruderzy w dole strzelali do nich, ale fale wyrzucanej na oślep amunicji nie mogły ich odnaleźć, a ptaki omijały wszelkie stworzenia, które wylatywały ku nim z bezkresnego błękitu.

Po trzech dniach ich podróży ze źródła odgłos wiatru się zmienił i poczuły woń morskiej soli, mimo że były jeszcze daleko od wody, a ten zapach dodał im sił, lecz z radości stały się nieostrożne i nie zauważyły, że docierające do nich dźwięki zmieniły się, a wiatr zgęstniał i natarł na nie z drapieżnymi zamiarami.

Sokół rzucił się ku nim z góry i przebił jedną, po czym wzbil się wyżej, zanim ta, która ocalała, zdążyła zrobić unik lub zapłakać nad doznaną stratą, zupełnie jakby od zawsze była sama. Jakby od zawsze był tylko jeden Dziwny Ptak. Ale konająca towarzyszka zachęciła ją do dalszego lotu, błogosławiąc ptakowi, który ją pochwyił, ponieważ działał zgodnie ze swoją naturą i w jego działaniu nie było okrucieństwa.

Dziwny Ptak leciała dalej samotnie, otrzeźwiała, poprzez burze, noc i ziąb. Ignorowała ślad mrocznych skrzydeł w górze,

ignorowała wszystko poza kompasem, który bił jak drugie serce, gdy zbliżyła się do oceanu, a w tym sercu wyczuwała puls wszystkich tych, których utraciła, w laboratorium, więzieniu i podczas wojny Magiczki.

Wystarczyła jedna. Tylko jedna musiała lecieć dalej, dotrzeć do samego końca, niezależnie dokąd ją ten koniec doprowadzi.

Gdzie chciała się zatrzymać?

Dziesiątego dnia pustynia się skończyła i przed oczami Dziwnego Ptaka nagle pojawiły się granatowe pozostałości wycofującego się potężnego oceanu. Wiekowe fale, wijąca się, naznaczona solą linia zatoki i plaże sięgające tak daleko, usiane kamieniami i wodorostami... nigdy nie widziała czegoś takiego poza swoimi snami. Woda zawsze pochodziła z butelki w klatce albo z cuchnącej fosy otaczającej wyspę. Ocean okazał się czymś nowym i podniecającym, choć był tak stary, a rzeński wiatr niósł woń drewna i wąsonogów, ostry, lecz świeży zapach basenów pływowych i smród wyrzuconych na brzeg przedmiotów.

Przysiadła bezpiecznie wewnątrz gęstego kolczastego krzewu na skraju oceanu, pozwalając, by wiatr poszukiwał jej pośród gałęzi. Miasto było tak daleko, że nie wiedziała, czy kiedykolwiek odnajdzie drogę powrotną, co także przynosiło jej pociechę.

Tej nocy Dziwny Ptak spała w zgięciu gałęzi, otoczona kolcami, ukojona szumem napływających i wycofujących się fal oraz słonymi podmuchami wścibskiej, upartej bryzy.

Pierwsza noc bez snów. Pierwsza noc przespana w całości, wolna od pobudek i paniki. Coś tak zwyczajnego, a zarazem tak wielka łaska.

Ruszyła dalej wzdłuż wybrzeża wczesnym rankiem, gdy znad morza nadpłynęła mgła. Niezmiennie podążała na południe, kierując się linią fal. Coraz dalej i dalej, w drodze znajdując czas na zachwywanie się swoją drobną postacią i tym, jak odmiennie się czuła w porównaniu z czasami, gdy dorównywała rozmiarami mrocznym skrzydłom. Podobało jej się to uczucie oddzielenia ziaren od plew, jakby wcześniej było jej zbyt dużo, ale w końcu usunięto wszystko, co niepotrzebne, pozostawiając tylko to, co czyste.

Mknęła przez pozostałości nadbrzeżnych sadów, gdzie plamy czerwieni i pomarańcza przypominały jej o Sanji i jabłkach albo ogrodzie. Mijała powykręcane skarłowaciałe drzewa ukształtowane przez nieustępliwy wiatr i erozję, czuła aromat gęsto rosnących dzikich kwiatów, przez które przelatywała, by poczuć łaskotanie płatków na nogach.

Na czarnych skalnych wychodniach śliskie, miękkie zwierzęta poszczekiwały potoczyście, po czym wpadały do morza, znikają pod wodą, a następnie wypływały na powierzchnię, ukazując ciemne wąsy i duże, smutne oczy. Dalej od brzegu niewyobrażalne morskie potwory dawały znać o swoim istnieniu za sprawą potężnych cieni odznaczających się na tle granatowej wody.

Drugiej nocy znalazła się w miejscu, w którym nadmorskie urwiska wznosiły się wysoko, a okolica sprawiała wrażenie wyludnionej. Znalazła cuchnącą wodorostami niszę w zwietrzałym kamieniu i spała czujnie, mając się na baczności przed łasicami i szczurami, przed naturalnymi i nienaturalnymi drapieżnikami. Kilkudniowa podróż, podczas której nie napotkała żadnego człowieka, była dla niej błogosławieństwem i uspokoiła jej myśli. Nie bała się, ponieważ w najgorszym przypadku czekała ją śmierć, a umierała już wielokrotnie.

Trzeciego dnia o poranku schroniła się przed gwałtowną nawałnicą, a gdy wyszła, słońce odbijało się od szczytów szemrzących fal. Wzbiła się w powietrze i wkrótce kompas w jej wnętrzu wściekle zapulsował. Wzleciała ponad wzgórze, zbliżyła się do ściany urwiska, następnie wyrównała lot nisko nad trawiastą równiną, a wtedy na skraju przepaści dostrzegła zrujnowane laboratorium i rosnącą obok jabłoni. Bliźniaczo podobne do laboratorium, z którego uciekła.

Czy to miał być jej cel? Coś w jej wnętrzu zbuntowało się na ten widok. Przebyć taki szmat drogi i tak wiele znieść tylko po to, by w pewnym sensie powrócić do punktu wyjścia? Czy w środku znajduje się kolejna wyspa? Kolejna rzeźnia i ogród? Czy, wbrew faktom, partnerka Sanji może wciąż żyć? Wątpliwe. Jej mroczna sieć zmysłów nie wyczuła żadnych oznak życia.

Dwukrotnie przeleciała nad laboratorium. Potężny pożar zalał dach czernią, porywając anteny i inny sprzęt. Czyjś atak rozpruł bok budynku, a na zewnątrz wysypała się płatanina biurek, krzeseł i stołów ze stali nierdzewnej, a także kości porośniętych mchem i bluszczem.

Pustynia przedarła się w pobliże laboratorium, które stało na wąskim pasie zieleni pomiędzy lądem a morzem. Dziwny Ptak czuła się niepewnie i stale wypatrywała zagrożeń, ale nie wyczuła śladów innych ludzi. Ktokolwiek rozpruł budynek, już się oddalił, wyruszył na morze albo wzdłuż wybrzeża. Czy wróci? Nie знаła żadnego miejsca, które byłoby wolne od takiej groźby.

Dziwny Ptak nie zamierzała wlecieć do budynku i przemierzyć jego wąskich korytarzy. To przekraczało jej możliwości i błogostawiła dar Wicka, który umożliwił jej świadome przybycie do tego miejsca oraz jego świadome opuszczenie, jeśli tego zapragnie. Jakikolwiek było przeznaczenie kompasu obmyślane przez Sanji, Dziwny Ptak się spóźniła.

Czuła zmęczenie i znużenie, ponieważ odbyła daleką podróż. Czuła także ulgę. Mogła zrzec się tej wędrówki, porzucić swoje zadanie i po prostu żyć tak długo, jak zdoła. Nawet nie przeszkadzało jej, że jest sama, chociaż kiedyś liczyła na to, że znajdzie inne istoty swojego rodzaju. Wiedziała, że nie mogą żyć w takim miejscu, ponieważ gdyby naprawdę były jej pobratymcami, już dawno by się zbuntowały i umknęły albo zginęły podczas próby ucieczki.

Ale kompas nadal silnie pulsował, zamiast wyłączyć się po osiągnięciu celu. Dlatego podążyła za nim jeszcze kawałek, oddalając się od laboratorium i kierując w stronę morza, nawet jeśli wiódł ją na manowce, bo cóż miała do stracenia?

Słodką wodą z pobliskiego strumyka opadała kaskadą do oceanu ponad krawędzią urwiska. W omszałych zakamarkach pod łukiem wody wyczuła liczne kryjówki, w tym niewielką jaskinię. Kompas pulsował tak mocno, że z trudem utrzymywała się w powietrzu, ale zdołała zanurkować pod wodospadem i wleciała do jaskini. Wewnątrz znalazła zagajnik ciemnozielonych drzew porośniętych fioletowymi jagodami,

które, jak wnioskowała po zapachu, były jadalne.

Kompas się zatrzymał, ponieważ nie działał w pobliżu swojego bliźniaka.

Na jednym z drzew siedziało lustrzane odbicie jej dawnej postaci, wielobarwny ptak w całej swej opalizującej chwale. Jej dawna, piękna forma, pozbawiona doświadczenia, wpatrująca się z zaciekawieniem w małego ptaszka, który wślizgnął przez drzwi wejściowe. Ale Dziwny Ptak wiedziała, kto jeszcze żyje w tym umyśle, tak jak wiedziała, co żyje w jej własnym wnętrzu.

Przez chwilę obie milczały, ostrożne i niespokojne. Wpatrywały się w siebie. Potem Dziwny Ptak dostrzegła pierwsze oznaki tego, że jej towarzyszka ją rozpoznaje, a gdy ten mur runął, żadna z nich nie mogła dłużej się ukrywać.

– Chciałabym, żeby ten świat był lepszy, Sanji. Żebyśmy wszyscy byli lepszymi ludźmi. Chciałabym wciąż żyć i móc cię powitać. Chciałabym, żeby nasze plany się powiodły. Żebyśmy ocalili świat. Chciałabym... ale kiedy odbierasz tę wiadomość, wiem, że to nieprawda i zawiedliśmy. Było za późno. Trzymałam się tak długo, jak to było możliwe, ale...

A potem odpowiedź:

– Nie mogłam być przy tobie, kochana. Ale mogę się tobą opiekować do końca swoich dni.

Wszyscy, którzy stworzyli Dziwnego Ptaka, zmieniali ją, żywili w związku z nią jakieś nadzieje bądź obawy lub źle jej życzyli, umarli. Wszyscy umarli, a wraz z nimi ich plany. Ale Dziwny Ptak widziała przyszłość. Będą szukały pożywienia w podszyciu, siadały na dachu zrujnowanego laboratorium i dziobały jabłka, które wiatr strąci z drzewa. Uwiją gniazda na ścianie urwiska i będą długo żyły. Żywiąc się owsem i jeżynami nad rozległym morzem, razem albo samotnie.

Wszystkie niepotrzebne rzeczy. W tej chwili z Dziwnego Ptaka opadły wszystkie niepotrzebne i nieistotne rzeczy, które zostały zapomniane lub straciły znaczenie. Kompas pulsujący w jej sercu był ludzką potrzebą, a podążanie za nim tak naprawdę bardzo ją ograniczało.

Ale jakie to ma znaczenie. Czym są ciała? Gdzie się kończą

i gdzie zaczynają? Dlaczego muszą być niezmiennie? Dlaczego muszą być silne? Tak wiele traciła, ale śpiewała z radości. Śpiewała z radości. Nie dlatego, że cierpiała albo została okrojona. Ale dlatego, że wreszcie stała się wolna, a mimo że świata nie da się uratować, nie zostanie on także zniszczony.

Piękny ptak zaśpiewał, i chociaż była to nieznaną pieśń, Dziwny Ptak ją zrozumiała, a cząstka Sanji, która pozostała w jej wnętrzu, rozpoznała ją i odpowiedziała. Ptaki śpiewały do siebie nawzajem, dwoje umarłych porozumiewających się intymnym językiem.

O autorze

Jeff VanderMeer jest wielokrotnie nagradzanym powieściopisarzem i redaktorem, autorem między innymi bestsellerowej trylogii *Southern Reach* – której pierwszy tom, *Unicestwienie*, został zekranizowany przez wytwórnię Paramount w 2018 roku – a także współredaktorem, razem ze swoją żoną Ann VanderMeer, antologii *The Big Book of Science Fiction*. Dorastał w Republice Fidżi, a obecnie mieszka w Tellahassee na Florydzie.